PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTOREGO PANEM BÓG JEGO" *Ps. 143.*

ROK LI. Tom 203.

LIPIEC — SIERPIEŃ — WRZESIEŃ

1934

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO"

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Wszystko na większą chwałę Boga.

Refleksje na uroczystość św. Ignacego, 31 lipca.

Było to 15 sierpnia 1534 r. W krypcie kościoła na Montmartre w Paryżu, zebrało się siedmiu młodych ludzi z uniwersyteckiem wykształceniem, by ślubem zobowiązać się do nowego życia, jakie po długich naradach wspólnie obrali.

Duszą tej grupy był najstarszy z nich Inigo de Loyola, rozmiłowany niegdyś w wojskowym zawodzie rycerz. Raniony w r. 1521 przy bohaterskiej obronie twierdzy Pampeluny i przykuty do łoża boleści, niebawem zrozumiał wyższe plany Boże i oddał się całem sercem nowemu ideałowi służenia Panu nad Pany.

I sam i pozyskani przezeń towarzysze postanowili narazie udać się do Palestyny w celu nawracania niewiernych, lub gdyby się to okazało niemożliwem, ofiarować się papieżowi na wszelkie prace apostolskie.

Takie było skromne ziarno gorczyczne Towarzystwa Jezusowego, które wnet rozrosło się na świat cały. Za formalne jego narodziny trzebaby uważać pierwsze uroczyste potwierdzenie przez najwyższą władzę Kościoła w 1540 r., ale nic nie przeszkadza, by już w czterechsetną rocznicę jego pierwszego zawiązku poświęcić kilka uwag naczelnemu hasłu, które od początku stało się jego właściwą normą, siłą wewnętrzną i najwyższym ideałem.

Wartość każdego człowieka zależy od wartości zasad, któremi jest przejęty, oraz od wprowadzenia ich w życie i w czyn. Do czego ostatecznie dążyli owi młodzi ludzie? Co stało się gwiazdą przewodnią ich życia? Czy nowy zakon miał na celu zwalczanie protestantyzmu, grożącego Kościołowi zalewem?

Czy może miał być fanatyczną gwardją przyboczną papieży, jak to nieraz mówiono? A może przeznaczeniem jego było stać się stróżem i pionierem ultramontanizmu? Czy ukrytym jego celem nie było zapanowanie nad światem i samym Kościołem? — I takie bowiem zamiary niekiedy mu podsuwano.

Jeden miał on cel, jedno tylko hasło: wszystko na większą chwałę Boga. Powtarza się ono dziesiątki razy w jego ustawach, które zresztą całe są jedynie rozwinięciem i praktycznem zastosowaniem tej naczelnej zasady do różnorodnych warunków istnienia oraz potrzeb danego czasu.

Ziszczenie tego hasła we wszystkich dziedzinach życia ma być jedynem pragnieniem każdego z członków. Nie jest ono tajemniczą dewizą zamkniętej garstki ani monopolem tych, którzy mają odwagę poświęcić dla tej sprawy całe życie. Owszem ma ono stać się zasadą teoretyczną i praktyczną każdego człowieka. Toteż w podstawowem rozmyślaniu „Ćwiczeń duchownych", które urabiają całego ducha Towarzystwa i stanowią jeden z najważniejszych środków pracy nad innymi, podkreśla św. Ignacy usilnie, że „każdy człowiek stworzony jest nato, by chwalił Boga, Pana naszego, jemu oddawał cześć i służył mu, a przez to zbawił duszę swoją. Wszystko zaś inne na świecie zostało stworzone dla człowieka, by mu dopomóc w osiągnięciu tego celu".

Cóż on chciał przez to wyrazić?

Zasadę tę zaczerpnął z nauki objawionej, która zgodnie z rozumem twierdzi, że celem ostatecznym wszystkiego jest chwała Boża.

I każdego, który wzywa imienia mego, ku chwale mojej stworzyłem go, ukształtowałem go i uczyniłem go, mówi Pan przez Izajasza (43, 7). Według św. Pawła jesteśmy przeznaczeni do życia wiecznego, *abyśmy byli ku chwale sławy jego* (Efez. 1, 12), dlatego nalega: *Czy tedy jecie, czy pijecie, czy co innego czynicie, wszystko ku chwale Bożej czyńcie* (1 Kor. 10, 31). Nawet Chrystus nie inny miał cel na ziemi. *Jam wsławił Ciebie na ziemi, wykonałem sprawę, którąś mi zlecił* (Jan 17, 4).

Owszem ta prawda, że ostatecznym celem wszechrzeczy jest chwała Boża, to dogmat wiary czyli prawda przez

Boga objawiona i jako taka do wierzenia podana przez nieomylny nauczycielski urząd Kościoła. Głównie na soborze watykańskim orzekł on uroczyście, że: „jedyny prawdziwy Bóg przez dobroć swą i wszechmocną potęgę z zupełną wolnością stworzył świat duchowy i materjalny, nie dla zdobycia lub pomnożenia własnego szczęścia, ale dla okazania swej doskonałości przez dobra udzielone stworzeniom". Dlatego, „ktoby przeczył, że świat został stworzony na chwałę Boga", podpada klątwie, wyłączającej go jako heretyka ze zgromadzenia wiernych.

Naczelne hasło Towarzystwa Jezusowego nie jest przeto jedną z wielu zasad życia duchownego, to jedyna i najbardziej podstawowa prawda całego porządku świata, znana nietylko z objawienia ale i z dociekań rozumowych. Wyraża ona ponadto nietylko bezwzględnie pewny pozytywny fakt, czyli, że tak jest rzeczywiście, ale także pewnik z natury swej konieczny, czyli, że inaczej nawet być nie może.

By atoli zrozumieć wewnętrzne uzasadnienie takiego twierdzenia, należy wpierw dokładnie zdać sobie sprawę, czem jest właściwie, na czem polega owa chwała Boża. Jakże możemy o niej twierdzić, że jest koniecznym i ostatecznym celem wszystkiego, jeśli przedtem nie określimy dokładnie, co należy przez nią rozumieć? Czy może ona posłużyć do lepszego zrozumienia całej działalności zakonu, jak długo sama będzie niezrozumiałą? Czy wogóle będzie kto mógł świadomie zastosować ją należycie w życiu, o ile nie zdobędzie jasnego o niej pojęcia?

A pojęcie to nie jest wcale tak łatwe, jakby się mogło zdawać na pierwszy rzut oka. Chwała Boża jest celem świata. Czyż wszystko nato tylko istnieje, aby człowiek mógł wznosić hymny pochwalne na cześć Pana? Takby wynikało z określenia chwały Bożej, jaką nieraz podają, mówiąc, że jest ona *clara cum laude notitia*, jasne poznanie wraz z pochwałą.

Objaśnia się zaś tę definicję w ten mniej więcej sposób: Przez wszystkie rzeczy stworzone Pan Bóg objawił nazewnątrz swą mądrość, dobroć, potęgę; są one jakby odzwierciedleniem Jego własnej doskonałości, tak że istota rozumna może przez ich poznanie wznieść się umysłem i sercem do Stwórcy, czyli poznać go i umiłować. Przez to przedewszy-

stkiem wypełni wolę jego i zasłuży sobie na żywot wieczny w chwale niebieskiej.

Otóż to poznanie i miłość oraz rodzące się z nich dobre uczynki człowieka byłyby właściwą chwałą, składaną Bogu jedynie przez istotę rozumną; inne rzeczy oddawałyby Bogu chwałę tylko przez człowieka, o ile mianowicie przez swoją przedmiotową doskonałość umożliwiają mu owo poznanie Stwórcy.

Takie pojęcie rzeczy, jakoby jedynie człowiek, niby arcykapłan całego widzialnego świata składał Bogu właściwy hołd chwały, choć napozór jasne i łatwe, nasuwa jednak człowiekowi myślącemu cały szereg wątpliwości i pytań.

Najpierw przez tyle wieków swego istnienia ludzkość nic prawie nie wiedziała o tych zachwycających tajnikach przyrody, jakie dopiero pod mikroskopem odkryły się zdumionym oczom nowoczesnego człowieka. Nikt przeto z ludzi nie wznosił się z nich dawniej do poznania i miłości Boga. Czyżby więc miljony owych tworów powstawały i ginęły bez osiągnięcia zasadniczego celu?

Powtóre dziś jeszcze tysiączne światy rozrzucone w bezmiernych przestworzach dopiero stopniowo stają się dostępne dzięki potężnym teleskopom, atoli wielka część wszechświata jest jeszcze zupełnie nieznana. Jakżeż więc ona daje właściwą chwałę Panu?

A czy wielu wielbi Boga z powodu owych miljardów istot żyjących w bezmiernych lasach dziewiczych nad Amazonką czy gdzieindziej?

Co gorsza, nawet te rzeczy, z których człowiek oddawna korzysta, niezawsze spełniały swe przeznaczenie — oddawania chwały Panu. Dostępne bowiem ludziom złym lub obojętnym, służą im wprawdzie, ale często tylko do złego czyli obrazy Boga, wcale zaś nie do lepszego poznania go i miłości. Czyż więc Bóg nie osiągnął w nich właściwej zamierzonej chwały?

Największą atoli trudność sprawia wogóle pojęcie jakiejś chwały Bożej. Czyż ten wszechmocny Pan, stwarzający świat materjalny oraz istoty duchowe, aby być przez nie wielbiony, nie robi wrażenia jakiegoś naiwnego egoisty, co śmiesznie lubuje się w pochwałach i szuka ich chciwie?

Jaskrawo wyraził tę myśl Edward von Hartmann (*Phänomenologie des sittlichen Bewusstseins*, 1879, str. 781): „Dlaczegóż ten Bóg powołuje stworzenia do życia, które już samo przez się jest cierpieniem i nędzą, a staje się podwójnie bolesnem wobec kar nakładanych za przekroczenie boskich przykazań? Skoro wobec jego wszechmocy, nieograniczonej wiedzy i miłości niema mowy o jakiemś usprawiedliwieniu go czy wymówce odnośnie do stworzenia dokonanego z całą świadomością, nie pozostaje nam z punktu widzenia teizmu nic innego, jak przyznać, że Bóg pomimo przewidzianej nędzy, dlatego tylko nie zaniechał stworzenia, ponieważ pragnął posiadać jakby jakąś publiczność, którąby go czciła i chwaliła, choćby ta pochwała była wynikiem zaślepionej głupoty lub obłudy, zrodzonej z niewolniczego strachu."

Czyżby rzeczywiście wielki, niepojęty Bóg szukał swej chwały, chciał być podziwiany, i dlatego stwarzał jakby miljony widzów, aby mu słali oklaski i hymny sławy? Postępują niekiedy w ten sposób naiwni ludzie, żądni zewnętrznych oznak honoru, ale On, — nieskończenie wielki Byt, — niczego od nas właściwie otrzymać nie może! Gdyby czegoś podobnego potrzebował lub pragnął, nie byłby Bogiem.

Wkońcu więc z całem tem określeniem: *clara cum laude notitia* wchodzimy w ciasny zaułek bez wyjścia. Jeżeli bowiem rzeczywiście cały ten świat został nato stworzony, aby człowiek poznając z niego Boga, miłował go i służył mu, czyli jeśli tylko w takiem lub podobnem uwielbieniu ze strony istot rozumnych Bóg odbiera ową chwałę, dla której wszystko do bytu powołał, to oczywiste, że celem ostatecznym wszechświata byłoby właściwie coś stworzonego. Wszystkie bowiem owe akty poznania i miłości są przemijającemi aktami stworzeń. A więc celem całego stworzenia byłoby jakieś nikłe dzieło niektórych stworzeń! Mamy klasyczne błędne koło.

Toteż jest rzeczą ciekawą stwierdzić, że wspomnianą definicję, zapożyczoną od Cycerona, który chce jedynie określić sławę mowcy u ludzi, przytacza św. Tomasz wyłącznie wtedy, gdy udowadnia, że szczęście człowieka nie może polegać na rozgłosie u ludzi (1, 2 q 2 a 3), oraz gdy

rozprawia o próżnej chwale (2, 2 q 132), natomiast nie używa jej nigdy w owych kilkudziesięciu rozdziałach 3 księgi Cont. Gent., w którym właśnie omawia wyczerpująco i głęboko ostateczny cel wszechrzeczy. Okoliczność ta jest również dość pewnym wskaźnikiem co do wartości tej utartej skądinąd formuły.

Słusznie też przy obecnem zagadnieniu o chwale Boga jako celu świata, zauważa J. Stufler T. J. „Nie da się zaprzeczyć, że nauka o chwale Bożej jako ostatecznym celu stworzenia, może łatwo być źle zrozumiana, jeżeli w jej przedstawieniu nie unika się bardzo starannie wszelkich wyrażeń, tchnących antropomorfizmem. Rzeczywiście, nie jest to wcale łatwem tak objaśnić dogmat katolicki, by w całej pełni zajaśniała najczystsza i całkiem bezinteresowna miłość Boża, której dziełem jest stworzenie świata i daleko pozostała wszelka myśl, jakoby on dla siebie szukał jakiegokolwiek dobra, choćby czysto zewnętrznego. Kto się bliżej zajmował najnowszą literaturą dogmatyczną, jaka od dni soboru Watykańskiego pojawiła się w tej kwestji, niezawsze i nie pod każdym względem będzie może zadowolony z tego, co ona zawiera i przyzna, że nie wszyscy teolodzy tak mówili, by uniemożliwić wszelkie nieporozumienie". (Zeits. f. k. Theol. 1917, str. 658.)

W przedstawieniu tego trudnego zagadnienia należy mianowicie w całej rozciągłości zachować i ściśle ze sobą połączyć w jednej harmonijnej syntezie dwie podstawowe a niezaprzeczalne prawdy, które napozór wzajemnie się wykluczają: celem ostatecznym nie może być żadne stworzenie ni dobro jego, lecz chwała Boga, — z drugiej zaś strony cała owa chwała Boża nic a nic Bogu samemu nie daje, ani żadnej korzyści przysporzyć mu nawet nie może, lecz całkowicie i jedynie jest dobrem samego tylko stworzenia.

Dlatego też w określeniu tego pojęcia nie możemy żadną miarą wychodzić z definicji rozgłosu u ludzi. Dobra opinja i sława, jaką człowiek zyskuje u podobnych sobie śmiertelników, niema w rzeczywistości nic prawie z tego czem jest chwała Boga, cel do którego Stwórca kieruje wszystkie swoje dzieła. Żeby ją należycie pojąć, należy

przedewszystkiem pamiętać, kim jest sam Bóg i na czem polega jego działanie oraz czem jest świat w stosunku do niego. Czemże jest chwała Boża rozpatrywana na tem tle?

Jak wiemy, Bóg jest Pełnią Bytu, nieograniczoną Doskonałością, która w jednej niepodzielnej Rzeczywistości jest nieskończoną Prawdą, samem Dobrem i niewymownem Pięknem. Nie jest On jakimś biernym stanem czy statycznym masywem, ale jest cały najwyższą Czynnością, jednym wiecznie trwającym czyli zawsze świeżym Aktem rozumu, żywą nieustanną Myślą, w której zawiera się i wyraża całe bezmierne Bogactwo jego Boskiej Istoty.

Wobec tego oceanu Bytu, Dobra, Prawdy i Piękna najdoskonalsza Istota nie może być zimną i obojętną, ale kocha to wszystko bezwzględnie i całkowicie. Jak więc Bóg jest cały jedną odwieczną Myślą, zawsze świeżą i niezmienną o nieskończenie bogatej treści i najwyższej intensywności, tak też równocześnie i tożsamościowo jest najpotężniejszym Aktem ekstatycznej Miłości, ukochania wszystkiego, co się w tej całej myśli zawiera, jest błogosławionym Zachwytem wobec prawdy i Piękna, którem jest on sam.

Otóż przenikając te niewyczerpalne bogactwa Bytu, jakie istnieją w jego niezłożonej, lecz również nieskończonej Doskonałości, Bóg widzi, że Doskonałość tę możnaby przedstawić i niejako naśladować w niezliczonych podobieństwach. Jego Myśl, niesłychanie twórcza, pojmuje i kształtuje owe różnorodne światy, tak poszczególne jednostki jak i całe zespoły istot stworzonych, z których każda przez całą właściwą sobie doskonałość jest jakby słabym promykiem wielkiego Słońca Prawdy, cząstkowem odzwierciedleniem jednego Bytu.

Bóg kocha niewymownie zachwycającą treść swej całej Istoty, kocha ją pod każdym względem, gdyż niema w niej absolutnie niczego, czegoby można nie kochać; kocha ją przeto również jako Pierwowzór wszelkiego Piękna i dlatego kocha też to wszystko, w czem znajduje się choćby słabiutki odblask jego nieskończonej Doskonałości.

Powiedzmy ściślej, ponieważ Bóg kocha całą przepiękną Treść swej Myśli, dlatego chce,

by je niewyczerpalne bogactwo wyraziło się w najrozmaitszy sposób w istotach stworzonych, chce ją niejako wypowiedzieć choć częściowo — i dlatego właśnie wszechmocną siłą twórczej woli stwarza olbrzymi, przedziwny świat. To pomysł i dzieło Jego oryginalnej u nikogo niezapożyczonej myśli.

Niby wielki artysta, pełen genjalnych idei, urzeczywistnia niektóre z nich, według swego upodobania. Daje stworzeniom najróżnorodniejsze doskonałości, przymioty, siły i działania, wiąże je w jedną harmonijną całość — kosmos — bo chce, by każde na swój sposób miało pewien udział w pełni jego Bytu. Chce rozdawać swe dobra!

Nie powołał do istnienia wszystkich owych możliwych a bardzo różnorodnych światów, w których mogła objawić się i wyrazić jego nieskończona Doskonałość, lecz w całej ich niezliczonej ilości wybrał tylko ten jeden rzeczywisty wszechświat gwiazd i słońc i planet z naszą maleńką ziemią i wszystkiemi istotami, jakie na niej żyją. Stworzył też nieprzejrzane zastępy duchów, i w ten sposób przez olbrzymi zespół istot materjalnych i duchowych wyraził cząsteczkę swej twórczej myśli.

Mądrość obmyślająca miljardy rozmaitych istot, by przez nie poniekąd wyrazić choć odrobinę swej niewypowiedzialnej Doskonałości, hojna miłość lubiąca dawać, by innych przypuścić do swych niewyczerpalnych bogactw, oto działanie Boże. Ono jest racją istnienia wszystkich rzeczy. Do zrealizowania tego zamiaru kieruje Bóg wszystkie dzieła swoje.

Naśladować w najrozmaitszy sposób Boski Pierwowzór, oto cel świata. Wszystkie istoty dążą do tego, by upodobnić się do Boga — taka jest ulubiona formuła, w której Doktor Anielski krótko a wyraźnie wyraża cel wszechrzeczy. „Wszystkie rzeczy nato istnieją, by osiągnąć pewne podobieństwo do Boga". „Pan Bóg kieruje wszystko do Siebie jako do ostatecznego celu, nie by jemu samemu cośkolwiek przez to przybyło, lecz by na rzeczach wycisnąć podobieństwo swej dobroci". „Cokolwiek dąży do własnej doskonałości, dąży do upodobnienia się z Bogiem". „Wszystko przez swe wysiłki i działania

zmierza do podobieństwa z Bogiem jako do celu ostatecznego". (Cont. Gent. III 19—21).

Upodobnić się do Boga! oto najwyższy ideał a zarazem najbardziej konkretny cel każdej istoty. Upodabnia się ona do Niego przez wszystkie swoje doskonałości istotne i przypadłościowe, przez swą naturę i jej działanie, i dlatego każda na swój sposób i według miary własnej doskonałości odzwierciedla choć zdaleka i słabiutko niewyczerpalną Treść Pierwszej Przyczyny. Im doskonalszą jest sama, im wyższe zajmuje stanowisko w hierarchji istot stworzonych, czyli im w pełniejszej mierze uczestniczy w doskonałości Bytu, tem lepiej i pełniej wyraża w sobie coś z Boskiego Pierwowzoru, — a tem samem większą oddaje mu chwałę. Upodobnienie się do Boga jest jedyną chwałą, jaką stworzenie może dać swemu Stwórcy. Z chwały tej jednak nie ma żadnej korzyści Bóg, ma ją całą jedynie stworzenie.

Chwała Boża i doskonałość stworzenia, to nie są wcale dwie odrębne rzeczy, między któremi mogłaby zajść prawdziwa kolizja! To jedna i ta sama rzeczywistość, ujmowana z dwu punktów widzenia. Cały zespół doskonałości, składających się na wszechstronne wyposażenie danej istoty, jest równocześnie jej własnem nieodłącznem dobrem i chwałą Boga Stwórcy. Im bardziej bowiem kto upodobni się do Boga, tem doskonalszem oczywiście będzie jego podobieństwem, tem samem więc będzie miał pełniejsze uczestnictwo w bycie, czyli tem większym i wspanialszym będzie sam!

Chwała Boża przeto nie ogranicza się wcale do aktów religijnych w ciaśniejszem słowa znaczeniu. To nie tylko nabożeństwa czy hymny pochwalne; chwałę Bożą stanowi ta cała olbrzymia rzeczywistość istot z ich wszechstronnemi zaletami i działaniem, o ile właśnie przez nie naśladują czyli wyrażają Boski Pierwowzór.

Człowiek wtedy oddaje pełną chwałę Stwórcy, gdy całkowicie jest takim człowiekiem, jakim go chce mieć Bóg.

Jako istota rozumna i obdarzona wolną wolą jest on w sposób osobliwy „obrazem Boga". Toteż przedewszystkiem w pełnem rozwinięciu sił i zasobów rozumu i woli, odpo-

wiednio do swej natury, daje Panu tę właściwą chwałę, której mu inne nierozumne stworzenia dać nie mogą.

Gdy więc rozum jego odda się całkowicie i bez przesądów poznaniu prawdy, skądkolwiekby ona mogła pochodzić, gdy wola w szlachetnym porywie przylgnie do tej prawdy i dobra, a zwłaszcza gdy przedmiotem jego poznania i miłości stanie się Pierwsza Prawda i Najwyższe Dobro, wtedy osiągnie szczyt właściwej sobie doskonałości i tem samem będzie cały chwałą Bożą.

Taki to ideał jest hasłem przekazanem Towarzystwu przez św. Ignacego. Urzeczywistnienie w sobie i w innych pełnego „obrazu Boga" to cel, do którego mają zmierzać wszystkie jego trudy i prace.

Jak treścią życia Bożego jest sama nieskończona Prawda i Dobro, czyli sam Bóg, tak i każdy człowiek ma mieć tegoż jedynego Boga za treść własnego życia. Ideał ten a zarazem najwyższy swój cel urzeczywistnia on na ziemi tylko stopniowo, powoli i jakby w zarodku; w całej pełni zaś osiągnie go dopiero w błogosławionem życiu wiecznem, gdy Bóg sam sobą napełni całe jego poznanie i połączy się z nim w niewymownie błogim uścisku ekstatycznej miłości, czyli gdy przypuści swe stworzenie do nadprzyrodzonego a bezpośredniego udziału w swem własnem życiu; — wtedy to w przebóstwionym człowieku zajaśnieje doskonały obraz Boży, a najwyższe szczęście stworzenia będzie tożsamościowo największą chwałą Stworzyciela.

Na ziemi przygotowuje się człowiek do tak wielkiej przyszłości, uzdalnia się do uczestnictwa w tem niepojętem życiu samego Boga, o ile właśnie wzrasta w doskonałości własnej przez różnorodną czynność według praw natury podniesionej do porządku nadprzyrodzonego. Ma osobiście działać według normy danej sobie przez Stwórcę w tym tylko celu, aby świadomie i dobrowolnie urzeczywistnił we współpracy ze Stwórcą to arcydzieło, jakie z niego zamierzył zrobić najwyższy Artysta.

Otóż w przeprowadzeniu tego dzieła, we wykonaniu planów swej hojnej miłości posługuje się Bóg działaniem stworzeń. Nie używa on ich do tej pracy jakoby ich sam

potrzebował, lecz czyni to, aby im dać możność lepszego i wspanialszego upodobnienia się doń.

Ponieważ bowiem Bóg niczego innego w swych dziełach nie zamierzał, jak tylko by w hojny sposób szafować dobrem, jakie sam w sobie posiada w niewyczerpalnej pełni, czyli dać stworzeniom udział w swych doskonałościach, dlatego właśnie chciał też, by one same nie były biernemi, lecz by w najrozmaitszy sposób naśladowały jego twórczość, czyli były prawdziwemi przyczynami. On, wszechmocna Energja niezmierzonego Ducha udzielił swym dziełom najróżnorodniejszych sił, aby przez działalność swą własną były pewnem podobieństwem Boga jako Przyczyny.

Cała hierarchja czynności stworzeń, począwszy od żywiołowych energij kosmicznych, co od miljonów lat na wielką skalę pracują nad wytworzeniem z mgławic tysiącznych systemów słonecznych, poprzez siły życiowe, cicho i misternie ale niemniej potężniej działające w niesłychanie zróżniczkowanym świecie roślin i zwierząt, aż do duchowych sił umysłu i woli, które opanowują nawet olbrzymi świat materjalny, biorą go na swe usługi i przekształcają go według pomysłów własnej twórczości, — to całe olbrzymie, nieustanne, potężne i subtelne działanie czy w największych czy w najmniejszych istotach, jest jednym obrazem Tego, który jest samą Czynnością, bez cienia bierności, zawsze świeżą, bez znużenia nieustanną.

Ta wspaniała a wieloraka czynność stworzeń, wzajemne oddziaływanie na siebie sprawia, że służąc sobie w rozmaity sposób, są ze sobą związane w jedną uporządkowaną całość. Bez niej świat byłby jedynie jakiemś chaotycznem zbiorowiskiem luźnych jednostek, w którem ponadto panowałaby straszliwa martwota.

Oddają więc rzeczy chwałę Panu i przez to także, że służą człowiekowi, umożliwiają mu życie, zaspakajając potrzeby ciała, a przedewszystkiem prowadzą do poznania Boga oraz pobudzają do jego miłości, — ale jest to tylko j e d e n, n i e z a ś j e d y n y sposób oddania mu chwały. Wszystko co w nich jest i cała ich działalność, choćby bezpośrednio nie przyczyniała się do tego kultu ściśle religijnego, jest w swoim

zakresie pewnem upodobnieniem się do Stwórcy, naśladowaniem jego doskonałości, a więc i prawdziwą chwałą jego.

Co więcej, nie dlatego właściwie spełniają swoje najwyższe przeznaczenie, że służą człowiekowi, ale odwrotnie, ponieważ dążą żywiołowo do swego ostatecznego celu, mianowicie do wszechstronnego według możliwej im miary, upodobnienia się do Boga, przeto dążą na swój sposób do naśladowania go w przyczynowości i dlatego działają i tą właśnie działalnością służą człowiekowi.

Piękne kwiaty mogą wprawdzie porwać serce człowieka ku wspólnemu Stwórcy, lecz nie na tem tylko polega właściwa chwała, jaką dają Panu; sam ich przepych i wdzięk, choćby nie znalazł żadnego oddźwięku w duszy ludzkiej, jest już sam przez się rzeczywistą chwałą Boga, gdyż jest pewnem odbiciem czyli cząstkowem naśladowaniem Wiekuistego Piękna.

Podobnie i człowiek oddaje Bogu chwałę przez wszystko czem jest i co ma w sobie dobrego, przez całe działanie swoje, o ile ono jest zgodne z naturą i jej normalnym stosunkiem do reszty rzeczywistości.

Nabożeństwa i inne praktyki religijne są tylko jednym ze środków, by pełniej i ściślej połączyć się z Bogiem i doskonałością własną upodobnić się do niego.

Podobieństwo to utrwala on w sobie i udoskonala przez posługiwanie się otaczającym go światem, gdy mianowicie z rzeczy stworzonych wznosi się umysłem i sercem do Pana. Z drugiej strony jednak daje temuż Bogu chwałę także przez własną wielostronną działalność i wpływ, jaki sam wywiera na otaczający go świat, czyli przez pracę nad rozwojem kultury duchowej i materjalnej. Jako pan świata, nad którym panuje przez swój rozum, zna i użytkuje jego siły i prawa, wytwarza przez technikę i sztukę nowe oryginalne wartości, jest również wspaniałym obrazem Boga, upodabnia się doń jako przyczyny, czyli daje mu chwałę.

Stąd kultura i religja, należycie pojęte, nietylko nie są sobie wrogie, ale jedna wspomaga drugą, owszem często stają się jedną służbą Bożą.

W najwyższym zaś stopniu staje się człowiek doskonałem jego podobieństwem stworzonem, gdy nietylko sam

w sobie wzrasta we wszechstronnej doskonałości, ale także współpracuje z Nim, aby w podobnych sobie istotach rozumnych i wolnych rozwinąć i ukształtować w całej pełni obraz i podobieństwo Boże, czyli czynnie pomaga bliźnim do osiągnięcia najwyższego celu, do posiadania samego Boga przez poznanie i miłość tu na ziemi, a tem samem i wieczne współżycie z Nim w niebie.

Taka jest ostateczna podstawa wszelkich prac apostolskich. Im więcej będzie ludzi oddanych Bogu, im ściślejsze ich współżycie z Nim, tem większa chwała Boża.

Widzieliśmy, co wyraża to hasło. Ta naczelna zasada, według której „celem istnienia świata i rządów Bożych jest Dobro Istotne, do którego rozdawnictwa i upodobnienia się z Niem wszystko zmierza" (Św. Tomasz, Sum. theol. 1 q 103 a 4) jest prawdą metafizyczną, niedopuszczającą żadnych wyjątków ni poprawek, a tem samem prawdą bezwzględnie praktyczną, normą postępowania, tak jak jest i podstawą istnienia. Ona to bowiem przenika całą istotę rzeczy i ich działanie, ona jest podstawą ich bytu, dlatego bowiem jedynie istnieją, że hojna wszechmoc Boskiego Artysty chciała wyrazić przez dobra użyczone stworzeniom Piękno i niewyczerpalne bogactwo swej Istoty.

Możliwie doskonałe upodobnienie się do Boga jest ostatecznym i najszczytniejszym celem wszystkiego. To rzeczywista i wielka chwała Boża, z której jednak nie on sam odnosi pożytek, bo ona nic mu dodać nie może, ale stworzenia czerpią z niej całą swą doskonałość i szczęście. Możnaby może ogrzać słońce płomykiem zapałki, wzmocnić głos gromu szelestem listka, ale pomnożyć szczęście Boga chwaleniem go, to bezmyślna naiwność! Ale trzykroć szczęśliwy ten, kto sam staje się jego żywą chwałą!

Ks. Bronisław Bojułka T. J.

Ziemia i rasa w Trzeciej Rzeszy.

Przewrót ideowy, który w tak krótkim czasie dokonał się w Niemczech, musi niewątpliwie wywoływać zdumienie. W okresie powojennym nie jest to zjawisko odosobnione. Nie mówiąc już o Rosji, gdzie zresztą rewolucję sowiecką można do pewnego stopnia uważać za końcowy etap dłuższego rozwoju, widownią podobnych przewrotów były Włochy, a nawet poczęści Stany Zjednoczone. Jest to więc jakby ogólna atmosfera psychiczna ogarniająca człowieka powojennego. Jeżeli jednak przewroty te mają wyraźne oblicze negatywne, gorzej przedstawia się rzecz z ich obliczem pozytywnem. Najłatwiej o program pozytywny było rewolucji sowieckiej, nietylko ze względu na długie przygotowanie doktrynalne, lecz również dlatego, że ustrój socjalistyczny jest poniekąd maksymalizacją pewnych cech ustroju kapitalistycznego. Korporacjonizm Włoch faszystowskich, który uchodzić może za najbardziej znamienny wyraz nowego ustroju jest tak silnie objęty przez państwo dyktatorskie, że nie może jeszcze świadczyć o swej zdolności do samodzielnego życia. Łatwo zdać sobie sprawę z siły sugestywnej mistycyzmu rasowego głoszonego przez niemiecki narodowy socjalizm, nikt jednak nie mógłby zapewne dać jasnej odpowiedzi na pytanie, jak sobie należy wyobrażać ustrój Trzeciej Rzeszy, inny w porównaniu z dotychczasowym, a zgodny z nową wiarą. Wiadomo, że dzisiejszy narodowy socjalizm nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi do słynnych 25 punktów swojego programu, który zresztą w sprawach ustroju gospodarczego zadawala się ogólnikowem sformułowaniem postulatów popierania stanu średniego, w kombinacji z częściową

socjalizacją. Jeden z pisarzy gospodarczych tego obozu (Kurt Ritter) wyznaje szczerze, że polityka gospodarcza narodowego socjalizmu nie jest, na szczęście, obciążona żadnemi nieżyciowemi, w przeszłości sformułowanemi doktrynami, może więc dostosowywać się do zmieniających się warunków. W tym stanie rzeczy tem większe zaciekawienie musi budzić każda pozytywna reforma ustrojowa. Można do nich zaliczyć ustawę z 27 lutego b. r. o przygotowaniu organicznej przebudowy gospodarstwa niemieckiego w kierunku ustroju stanowego, oraz rozporządzenie o tymczasowej organizacji stanu „żywicieli" Rzeszy z 8 grudnia 1933 r. i ustawę o zagrodach dziedzicznych z 29 września 1933 r. O ustroju stanowym niewiele dowiadujemy się z tych ustaw, jest on bowiem w nich określony tylko w najogólniejszych zarysach organizacyjnych; pozostają właściwie jako reforma najbardziej uchwytna owe zagrody dziedziczne. Należy więc poświęcić im nieco bliższą uwagę, gdyż być może odsłoni się nam w nich tajemnica nowego ustroju.

Aby krótko scharakteryzować te zagrody dziedziczne — dokładniej omówimy je później — wystarczy powiedzieć, że są to fideikomisy dla tych, którzy mają prawo do tytułu „chłopa" (Bauer), o obszarze, od wielkości samodzielnego gospodarstwa małego do 125 ha; fideikomisy, ponieważ nietylko przechodzić one mają niepodzielnie w drodze spadku, lecz również są wogóle niepozbywalne i nieobciążalne. Takie fideikomisy chłopskie są niewątpliwie nowością, własność bowiem chłopska o zbliżonym typie istniała jako objaw szczątkowy w niektórych tylko okolicach Niemiec (t. zw. *geschlossene Hofgüter* w Badenji); trudno nawiązywać tę formę własności chłopskiej do ograniczeń obrotu w epoce pańszczyźnianej, gdyż te ostatnie miały zupełnie inny charakter prawny i cel gospodarczy. Inaczej coprawda przedstawia się rzecz, jeżeli chodzi o częściowe a nie integralne ograniczenia obrotu. Były one niejednokrotnie propagowane w literaturze niemieckiej XIX wieku i znalazły też w pewnej, chociaż w nieznacznej mierze, zrealizowanie. Wypływały czyto z mniej lub więcej wyraźnej ideologji „niemieckiego poczucia prawnego", czy też z dążeń do ratowania własności chłop-

skiej, zagrożonej w swym bycie przez przeciążenie długami i rozdrobnienie; o tyle więc najnowsza reforma nie jest bez precedensów zarówno ideowych, jak praktycznych. Czy jednak te precedensy znaczą to samo, czy nowa reforma jest tylko ich rozwinięciem, oto pytanie, które należy sobie postawić, aby ocenić charakter tej nowej struktury własności chłopskiej w Trzeciej Rzeszy.

Niemcy są klasycznym krajem niepodzielnego dziedziczenia zagród chłopskich. Badania przeprowadzone pod kierunkiem Sering'a (1897—1910) wykazały, że okolice o niepodzielnem dziedziczeniu mają olbrzymią przewagę w Prusiech, a tylko w terytorjach południowo-zachodnich dorzecza Renu regułą jest dzielenie ziemi w spadku. Działo się to nie na podstawie przepisów prawnych, lecz w drodze zwyczaju. Zrozumieć to można, jeżeli się zważy, że okolice o niepodzielnem dziedziczeniu posiadają wielką ilość większych gospodarstw chłopskich, dobrze zabudowanych i zagospodarowanych, które równie trudno dzielić, jak folwarki wielkiej własności, a okolice dzielenia ziemi w naturze są terenami największego, jak na stosunki niemieckie, rozdrobnienia. Nie należy również zapominać i o tem, że przechodzenie niepodzielne zagrody nie napotyka na opór innych współdziedziców, jeżeli znajdują oni odpływ ze wsi do miast i przemysłu, a rozwój przemysłowy Niemiec stwarzał pod tym względem możliwie korzystne warunki. Z tem niepodzielnem dziedziczeniem łączy się jednak niebezpieczeństwo przeciążenia spłatami, jeżeli współdziedzice mają przynajmniej prawo do legitymy, a na nią nie starczy, pozostały poza zagrodą majątek spadkowy. Mniej realne niebezpieczeństwo podziałów spadkowych, a raczej chęć utrwalenia panujących zwyczajów, bardziej realne niebezpieczeństwo przeciążenia spłatami, doprowadziło do pewnych, niezbyt coprawda radykalnych, reform prawa spadkowego. I tak przyszła najpierw do skutku ustawa z r. 1874, dla Hannoweru, na której wzorowały się ustawy na podobnych zasadach oparte dla Oldenburga, Westfalji, Szleswiku i paru drobniejszych terytorjów północno-niemieckich; w myśl tych ustaw, w razie dziedziczenia beztestamentowego zagrodę obejmuje niepodzielnie jeden ze sukcesorów, który zostaje

uprzywilejowany przez częściową redukcję spłat na rzecz współdziedziców. Na podobnych zasadach jest oparta ustawa pruska z r. 1896 dla włości rentowych i osad stworzonych przez Komisję Kolonizacyjną, z tą różnicą, że podczas gdy przy poprzednio wymienionych ustawach, z częściowym wyjątkiem co do Westfalji, dziedziczenie niepodzielne uzależnione jest od wpisania do odpowiedniej księgi, tutaj było ono obligatoryjne, co się tłumaczy tem, że te włości i osady powstały przy współudziale państwa. Jeszcze o jednej reformie należy wspomnieć, aby ten obraz był zupełny, a mianowicie o kodeksie szwajcarskim z r. 1907, który wprowadza niepodzielne dziedziczenie *ab intestato* z tą różnicą, że nie oznacza osoby objemcy, pozostawiając to porozumieniu współdziedziców lub rozstrzygnięciu sądu, przez co staje się zbędne uprzywilejowanie objemcy.

Mówimy stosunkowo obszernie o tych reformach prawa spadkowego, aby podkreślić ich umiarkowanie: pozostawia się naogół nienaruszoną wolność testowania, szanuje się w znacznej mierze prawa majątkowe współdziedziców. Reformy te bowiem chciały być raczej umocnieniem istniejącego zwyczaju, aniżeli rewolucjonizowaniem poczucia prawnego ludności wiejskiej. Liczyły się one niewątpliwie także i z tem, że niepodzielne dziedziczenie, to wypędzanie młodszej generacji ze wsi do miast i przemysłu, lub na emigrację. I to jest też druga strona problemu. Wieś w Niemczech, i nie tylko w Niemczech, wyludniała się, czemu, między innemi, mogło właśnie zaradzić udostępnienie nabywania ziemi najszerszym kołom ludności wiejskiej; dlatego też ważniejszem, aniżeli reformy prawne, dążeniem niemieckiej polityki agrarnej była i po dziś dzień pozostała akcja osadnicza, prowadzona nietylko w celach narodowościowych. Inne postulaty ograniczenia wolności obrotu nie doczekały się nawet tak częściowego urzeczywistnienia, jak reforma prawa spadkowego. Szeroko dyskutowane projekty ograniczenia wolności obdłużenia, od najskrajniejszych aż do stosunkowo umiarkowanych, nie ostały się wobec uzasadnionej krytyki, której najdoskonalszy wyraz dał w krótkiej rozprawie znakomity prawnik wiedeński Fr. Klein, a mianowicie że każde utrudnienie obdłużenia pogorszy zdolność

kredytową rolnika; jedynym śladem tych tendencyj w ustawodawstwie była ustawa pruska z r. 1906 o fakultatywnej granicy obdłużenia, która została wprowadzona w życie tylko w Prusiech Wschodnich. Inny charakter, i dlatego też nie należą tutaj do rzeczy, mają ograniczenia obrotu, wprowadzone przez niektóre ustawy niemieckie, a wymierzone przeciw spekulacyjnemu rozbijaniu gospodarstw chłopskich.

Tak się przedstawia bilans przedwojennych reform prawnych w Niemczech. Jest on właściwie bardzo skromny, gdyż punkt ciężkości spoczywa, ściśle biorąc, na reformie prawa spadkowego. Mimo to znajduje w nich wyraz idea głębsza i słuszna, która zasługuje na podkreślenie. Jest nią poczucie potrzeby ochrony prawnej gospodarstwa jako takiego. Przypadkowy w danym momencie fakt śmierci właściciela sprowadza przewrót w życiu gospodarstwa, o dalszych losach gospodarstwa decyduje również przypadkowy, o ile nie bierzemy pod uwagę świadomego regulowania ilości potomstwa, fakt ilości sukcesorów. Występuje tu konflikt interesów gospodarstwa, jako żywego organizmu z osobistemi interesami majątkowemi rodziny właściciela; konflikt ten starają się rozwiązać, i to z uwzględnieniem pomijanych dotychczas interesów gospodarstwa, omówione powyżej reformy prawa spadkowego. Możnaby tutaj zaznaczyć, że podobna koncepcja uczynienia z gospodarstwa jakby ośrodka uprawnień tkwi w założeniach znanego projektu kodeksu agrarnego śp. Wł. L. Jaworskiego i że jest to koncepcja, do której, być może, należy przyszłość. Wiele przemawia za tem, że współczesne tendencje rozwoju prawa idą w kierunku oddzielenia przedsiębiorcy, kupca, bankiera, rolnika i t. p. od osoby, która nim jest w danej chwili, i stworzenia z przedsiębiorstwa niejako osoby prawnej o samodzielnej egzystencji i o własnych prawach i obowiązkach.

Wśród przepisów o zagrodzie dziedzicznej należy dla jasności obrazu wyróżnić postanowienia dotyczące samej zagrody dziedzicznej i dotyczące osoby właściciela jako takiej, gdyż dla instytucji tej rzeczą najbardziej charakterystyczną jest zupełnie swoiste powiązanie kwalifikacyj realnych i personalnych: zagroda dziedziczna jest nią wtedy, jeżeli jest

wyłączną własnością osoby mogącej być „chłopem“ (bauernfähig). Pozostawmy sprawę tych kwalifikacyj osobistych na później, tem bardziej, że łączy się to z koncepcją stanu chłopskiego, a zajmijmy się najpierw omówieniem przepisów określających samą zagrodę dziedziczną, porządek dziedziczenia oraz niepozbywalność i nieobciążalność.

Górną granicą dla zagrody dziedzicznej jest obszar 125 ha; znaczy to, że instytucją tą objęte są w każdym razie owe tak liczne w niektórych prowincjach i tak społecznie cenne gospodarstwa średnie, wielkochłopskie. Bardziej znamienne jest określenie dolnej granicy. Ma to być obszar potrzebny, aby „wyżywić i odziać rodzinę, niezależnie od rynku i ogólnego położenia gospodarczego, i aby utrzymać gospodarkę na zagrodzie“. Nie jest to może sformułowanie zupełnie precyzyjne, pozwala jednak na dorozumienie się, o co chodzi. W literaturze narodowo-socjalistycznej występuje niejednokrotnie niechęć do współczesnej zależności od bezosobistego rynku i przeciwstawianie temu stanowi rzeczy gospodarki wieków średnich, pracującej nie na zysk, lecz na zaspokojenie odpowiadających „stanowi“ potrzeb. Ustrój narodowo-socjalistyczny prawdopodobnie będzie dążył do uregulowania cen artykułów rolniczych w niezależności od rynku, jak o tem można sądzić z niektórych wypowiedzeń programowych, to regulowanie więc może mieć, przynajmniej teoreśycznie, na celu zapewnienie zdolności do wyżywienia właccicieli małym zagrodom dziedzicznym; ten cel byłby pewniej osiągnięty przez ustalenie dość wysokiej dolnej granicy obszaru. W każdym razie zwiększy się znacznie ilość zagród wyłączonych z pod obrotu; w obrocie pozostaną tylko gospodarstwa małe i najmniejsze oraz własność wielka.

Zasadą przy dziedziczeniu jest niepodzielne przejście zagrody na jednego dziedzica. Do dziedziczenia dopuszczeni są potomkowie męscy w linji prostej, bracia i ich potomkowie męscy, córki i ich potomkowie męscy, wreszcie tak samo siostry spadkodawcy. W granicach tej samej linji rozstrzyga prawo starszeństwa lub prawo najmłodszego, zależnie od panującego zwyczaju; spadkodawca decyduje o wyborze dziedzica, pominąwszy wypadki mniej ważne, wtedy, gdy nie było dotychczas w zwyczaju prawa niepodzielnego dziedzi-

czenia. Prawa współdziedziców z linji przychodzącej do dziedziczenia są ograniczone do minimum; z majątku pozostałego poza zagrodą winny być spłacone wszystkie długi spadkowe, nawet obciążające hipotecznie zagrodę, współdziedzice mogą więc dostać tylko ewentualną nadwyżkę majątku. Mają otrzymać wykształcenie w zawodzie odpowiadającym stanowi zagrody a z chwilą dojścia do pełnoletności, wyposażenie, o ile pozwalają na to środki zagrody; jeżeli bez własnej winy znajdą się w potrzebie, mogą znaleźć przytułek w zagrodzie wzamian za pracę. Spotkać się można z przywiązaniem wagi do tego ostatniego postanowienia ze względu na możliwość zaopatrywania w ten sposób bezrobotnych; zapewne nie będzie to miało większego praktycznego znaczenia, gdyż i koło tych osób nie jest wielkie (tylko współdziedzice lub uprawnieni do legitymy), i wyegzekwowanie trudne, jeżeli braknie dobrej woli. Zbierając razem te postanowienia, można powiedzieć, że jest to najbezwzględniejsze prawo niepodzielnego dziedziczenia, jakie sobie wyobrazić można.

To bezwzględne związanie przechodzenia w drodze spadku własności zagrody z pokrewieństwem krwi, znajduje uzupełnienie w dalszem, definitywnem już wyłączeniu z pod obrotu. Chłop może posiadać tylko jedną zagrodę. Sprzedaż jest niedopuszczalna; sąd zagród dziedzicznych może udzielić zezwolenia na sprzedaż, jeżeli zachodzi ważna przyczyna, a więc tylko w drodze wyjątku, a winien zezwolić, jeżeli nabywcą jest bezpośrednio uprawniony do dziedziczenia, co znów jest modyfikacją zasad spadkowych. Tak samo zasadniczo niedopuszczalne jest obciążenie hipoteczne zagrody, (z wyjątkiem wypadków, w których zezwala sąd z ważnych przyczyn), i postępowanie egzekucyjne w stosunku do niej, również wykluczoną jest egzekucja na wytworzone w zagrodzie produkty rolne, z jedynym wyjątkiem dla pretensyj publiczno-prawnych; w tym ostatnim wypadku pretensja może być przejęta przez stan żywicieli, reprezentowany przez okręgowego przywódcę chłopów. Wspomnieć należy tu jeszcze o tem, w jaki sposób będzie możliwem (poza dziedziczeniem) nabycie zagrody i jej utrata. Przedewszystkiem można nabyć nową zagrodę powstałą wskutek parcelacji wielkiej własności; w innych wypadkach nabycie musi poprzedzić

utrata własności przez dotychczasowego właściciela w razie pozbawienia go lub utraty *Bauernfähigkeit* — rzecz ta, jako odnosząca się do kwalifikacyj osobistych, będzie omówiona później. Będą to bądź co bądź wypadki o charakterze jednorazowym lub wyjątkowym; wielka masa własności ziemskiej między własnością zupełnie drobną a wielką będzie wyłączona z pod obrotu i kredytu, a tem samem ta ziemia wróci do stanu gospodarki przedkapitalistycznej.

Kto jest „chłopem"? Tylko właściciel zagrody dziedzicznej może nazywać się chłopem; stosunek jednak prawa do noszenia tytułu chłopa i prawa do własności dziedzicznej jest dosyć powikłany. Wprawdzie bowiem ten, kto stracił *Bauernfähigkeit*, nie traci przez to prawa do własności zagrody, ani zagroda charakteru zagrody dziedzicznej, z drugiej strony jednak możliwe są wypadki pozbawienia własności zagrody, kiedy niema małżonka lub uprawnionego dziedzica, któremu możnaby powierzyć zarząd i użytkowanie zagrody. Warunki *Bauernfähigkeit* są, poza obywatelstwem niemieckiem, trojakie: rasowe, moralne i gospodarcze. Trzeba być najpierw krwi niemieckiej lub krwi równego pnia (stammesgleich); dołącza się do tego jeszcze czystość krwi. Nie jest czystej, kto po ojcu lub po matce ma domieszkę krwi żydowskiej lub kolorowej, i to do 1 stycznia 1800 r. wstecz. „Stammesgleich" oznacza niewątpliwie rasę germańską, stąd też germanizacja elementu słowiańskiego, tak ważny do niedawna cel polityki pruskiej, nie będzie się przyczyniać do powiększania kadrów niemieckiego chłopa. Warunki moralne sprowadzają się do określenia „ehrbar" (nieposzlakowanej czci); można sądzić, że odnosi się to nietylko do czci w życiu prywatnem, lecz również publicznem, i będzie znaczyć to samo, co u nas, kiedy się mówi o Polaku nieposzlakowanej czci. Dlatego, też nie będzie zapewne zbyt trudno tę cześć utracić; w razie wątpliwości rozstrzyga o *Bauernfähigkeit* sąd zagród dziedzicznych na wniosek okręgowego przywódcy chłopów. Wreszcie warunki zdolności gospodarczej. Traci je, kto zostaje ubezwłasnowolniony, kto nie jest zdolny do porządnego (ordnungsmässig) gospodarowania na zagrodzie, kto wreszcie nie wypełnia swoich zobowiazań

dłużnych, mimo że mógłby to uczynić w razie porządnego prowadzenia gospodarstwa. To ostatnie zapewne podyktowane jest chęcią wzmocnienia zdolności kredytowej nadwerężonej przez nieobdłużalność zagrody; wątpić można, czy przemówi to do przekonania wierzycielom.

Niewiele można powiedzieć o organizacji stanu chłopskiego. Chłopi wchodzą w skład stanu żywicieli Rzeszy, razem z właścicielami, dzierżawcami, użytkowcami jakichkolwiek gruntów rolnych, z wszystkiemi osobami pracującemi w rolnictwie, stowarzyszeniami rolniczemi, instytucjami i organizacjami popierania rolnictwa, fizycznemi i prawnemi osobami trudniącemi się handlem rolniczym lub przerabiającemi artykuły rolnicze. Wśród tej całej ludności żyjącej z rolnictwa preponderancja stanu chłopskiego zaznacza się jednak w tem, że na czele stanu żywicieli Rzeszy stoi przywódca chłopów Rzeszy z atrybucjami niezmiernie rozległemi, a krajowi i okręgowi przywódcy chłopów jako organy terytorjalne, i że wśród zadań stanu żywicieli Rzeszy na pierwszem miejscu wymienione jest popieranie stanu chłopskiego, jako niewątpliwie najcenniejszego.

Ustawa o zagrodach dziedzicznych jest przedewszystkiem wielką reformą agrarną. Nie w sensie przebudowy ustroju agrarnego, a więc przesunięć między poszczególnemi kategorjami własności. Reformy takie, jak wiadomo, były i są przeprowadzane w Niemczech, po wojnie, na zasadzie ustawy o osadnictwie z r. 1919, której autorem był prof. Sering i która swem umiarkowaniem korzystnie wyróżnia się od równoczesnych powojennych reform agrarnych. Akcja osadnicza prowadzona jest z pewnemi przerwami dość wydatnie, chociaż coprawda znaczną rolę odgrywa przy niej parcelacja sąsiedzka (dokupno gruntów); będzie ona kontynuowana przez Trzecią Rzeszę na podstawie ustawy z 14 lipca 1933. Zagrody dziedziczne są reformą prawną podobnego typu, jak wielkie reformy uwłaszczeniowe, jak reforma Stołypinowska z r. 1907 w Rosji przedwojennej, jak reformy Rosji Sowieckiej; kiedy reformy uwłaszczeniowe i Stołypinowska prowadziły do indywidualnej własności chłopskiej, reforma sowiecka kasuje własność indywidualną na rzecz

kooperatyw i państwa. Do którego rodzaju reform należą zagrody dziedziczne? To pewna, że nie umacniają one własności indywidualnej, lecz przetwarzają ją na coś innego.

Według spisu przedsiębiorstw rolnych z r. 1925 (spis z r. 1933 nie jest jeszcze opracowany) było gospodarstw od 5 do 20 ha 956.155, od 20 do 100 ha 199.825. Pominąwszy pewną niedokładność wynikającą stąd, że jest to spis przedsiębiorstw a nie własności, można przyjąć, że w tych dwóch grupach mieszczą się gospodarstwa, które będą zaliczone do zagród dziedzicznych; przypuśćmy, że będzie ich okrągły miljon. Obszar, zajmowany przez te dwie grupy wynosił 22,731.356 ha, co stanowi około 63% całego obszaru rolniczego Rzeszy; znowu więc bez popełnienia przesady można przyjąć, że zagrody dziedziczne obejmą 20 miljonów ha i 55% obszaru rolniczego Rzeszy. Na tej olbrzymiej przestrzeni powstaje nowe prawo własności. W gruncie rzeczy właściciel tej ziemi będzie właścicielem tylko z tytułu i raczej użytkownikiem dziedzicznym, który w pewnych wypadkach może być swych praw pozbawiony przez władzę państwową. Osłabi to zapewne działanie interesu własnego, chyba żeby przewrót narodowo-socjalistyczny stał się zarazem przewrotem w psychologji chłopa. Intensywność gospodarki ulegnie pogorszeniu przez ograniczenie zdolności kredytowej, a trudno, aby te ujemne następstwa mogło zrównoważyć radykalne zapobieżenie niebezpieczeństwu przeciążenia długami. Możnaby raczej przypuszczać, że chłop będzie się starał o pomnażanie majątku poza zagrodą, celem zaopatrzenia swoich potomków, wykluczonych od dziedziczenia zagrody. Ta ziemia zagród dziedzicznych znajdzie się między obszarami małej i wielkiej własności o pełnej wolności obrotu. Będą to tereny gospodarki prawdopodobnie bardziej intensywnej, aniżeli gospodarka na zagrodach dziedzicznych. Własność wielka nie może w zupełności zaniknąć wobec konieczności utrzymywania produkcji rolniczej, zwłaszcza zbożowej, na odpowiednim poziomie dla zapewnienia wyżywienia kraju; przestawienie produkcji rolniczej Niemiec na produkcję hodowlaną małych gospodarstw, jak to jest propagowane przez Seringa i Aereboego, uważane jest za mało realne ze względu na warunki naturalne i warunki zbytu.

Stąd pomnażanie się zagród dziedzicznych na terenie wielkiej własności znajdzie rychło swój kres. Natomiast można przewidywać, że własność mała ulegać będzie rozdrobnieniu, co dotychczas nie występowało w poważniejszych rozmiarach. Jest mało prawdopodobnem, aby mały właściciel dążył do zwiększania posiadanego obszaru, gdyż groziłoby w takim razie zaliczenie jego własności do kategorji zagród dziedzicznych. Także liczyć się można ze zwiększeniem się popytu na ziemię małej własności, wobec wykluczenia z obrotu ziemi ujętej w więzy zagród dziedzicznych.

Narzuca się pytanie, jaka jest istotna myśl przewodnia tej wielkiej reformy agrarnej? Nie wydaje nam się, aby własność chłopska była naprawdę zagrożona w swej egzystencji; jeżeli w ciągu ostatnich dziesięcioleci wykazują wyraźny ubytek gospodarstwa powyżej 20 ha, to jednak równocześnie wzrosły bardzo pokaźnie, bo niemal o 10% obszaru, gospodarstwa od 5 do 20 ha. Gospodarstwa chłopskie są, pomimo wszystko, najtrwalszą formą ustroju gospodarczego, która jak dotąd, nie zatraciła swojej żywotności; jej walka o byt w Rosji Sowieckiej zapewne nie jest jeszcze definitywnie rozegraną. Inne niebezpieczeństwo, które przejawia się w niektórych terytorjach współczesnej Francji, a mianowicie opuszczanie zagród, które stoją pustką, niezamieszkałe i nieuprawione, sprowadza się prawdopodobnie w swych ostatecznych przyczynach do objawów wymierania rasy; nic nie przemawia za tem, aby groziło to współczesnej wsi niemieckiej. Pozostaje więc jako jedyny, istotny cel zagród dziedzicznych: zabezpieczenie przed zmiennemi losami ziemi dla rasy i zarezerwowanie wyłączne tej ziemi dla rasy. Zagrody dziedziczne — trudno to inaczej wyrazić — mają służyć hodowli rasy germańskiej. Ale też zarazem uwidacznia się w tem zasadnicza różnica tej instytucji w porównaniu ze wspomnianemi powyżej przedwojennemi tendencjami do reformy prawa ziemskiego. Chodziło przy nich o ochronę ziemi i warsztatu rolnego przed wpływem rodzinnych stosunków majątkowych, tutaj poświęca się interesy przedsiębiorstwa rolnego interesom nie rodziny wprawdzie, lecz rasy. Czy jednak stwarza się w ten sposób najlepsze warunki dla rozwoju tej rasy? Chłop rasy niemieckiej będzie niewątpliwie

mocno i pewnie siedział na swej dziedzicznej zagrodzie, ale też to pozbawienie go troski o utrzymanie się przy ziemi, osłabić w nim może energję i przedsiębiorczość. Nie można zaś wykluczyć i tej obawy, że nie mogąc wyposażyć całego potomstwa, ograniczać będzie jego ilość, a to zadałoby cios śmiertelny przyszłości rasy.

Jeszcze wyświetlić należy jedną sprawę, a mianowicie związek zasady „ziemia dla rasy" z ustrojem stanowym. Z średniowiecznym ustrojem stanowym łączy się pojęcie nietylko podziału społeczeństwa na ściśle od siebie odgraniczone grupy, lecz również udział tych grup w zarządzaniu sprawami publicznemi. W jednym i drugim kierunku wyobrażenia zwolenników „państwa stanowego" są nader nieokreślone. I tak główny reprezentant tego kierunku O. Spann, powołuje się najczęściej na organizację stanową wieków średnich, aby uczynić zrozumiałą ideę ustroju „organicznego"; w stosunku do ustroju współczesnego wyobraźnia jego nie umie odkryć innych elementów stanowości poza kartelami i związkami zawodowemi. Niewiele też inny charakter mają wspomniane na wstępie reformy narodowo-socjalistyczne o przygotowaniu organicznej przebudowy w kierunku ustroju stanowego, jak też i stworzenie stanu żywicieli Rzeszy; nie jest to w gruncie rzeczy dla nas nic nowego, gdyż oddawna patrzymy się na te wielorakie ugrupowania zawodowych interesów, i to nietylko na terenie ściśle gospodarczym. Jeżeli zaś ze strony narodowo-socjalistycznej mówi się, że to nie jest to samo, to jednak samo uzależnienie tych organizacyj od państwa byłoby tylko formą etatyzmu, a nie stanowością. Dlatego też z właściwych i nowych cech ustroju stanowego Trzeciej Rzeszy pozostaje tylko stan chłopski niemieckiej rasy. W stanie wieków średnich trzeba się było urodzić i trudno było z niego wyjść; stany te posiadały również pewną hierarchję, były wyższe i niższe. Stan chłopski jest, jak dotychczas, tylko jeden. Nie jest on tak długo zamknięty dla człowieka czystej rasy, jak długo starczy jeszcze ziemi na tworzenie nowych zagród dziedzicznych; z tą chwilą jednak trzeba będzie urodzić się dziedzicem na zagrodzie, aby móc zostać chłopem. Korzyści przynależenia do stanu chłopskiego są właściwie honorowe, polegają bowiem prze-

dewszystkiem na prawie do noszenia tytułu chłopa; wyższość zaznaczać się będzie prawdopodobnie tylko w stosunku do innych warstw zawodu rolniczego. Będzie on jednak cieszył się specjalną opieką państwa, jeżeli ustawa mówi o nim, że jest źródłem krwi narodu niemieckiego. Być może, że w tej koncepcji stanu chłopskich dziedziców czystej krwi znajduje oddźwięk idea dynastyczna. W ten sposób społeczeństwo współczesne, które tę ideę postradało, a nie umie żyć z ideą demokratyczną, szukałoby drogi wyjścia w elicie miljona dynastów, w których rękach, kierowanych głosem krwi, spoczywałyby losy Trzeciej Rzeszy.

Prof. Dr Tadeusz Brzeski.

Warszawa, 14 maja 1934.

Czego Dante nie przejął z apokaliptyki średniowiecznej?

W artykule pisanym przed kilku laty o dogmacie piekła, pominięto umyślnie uzmysłowienie tego stanu w Piśmie św. z jego tłem kosmicznem i apokaliptycznem, bo to wymagałoby osobnego studjum. Jeśli dziś powracamy do tego tematu, to w innym związku. Nie zamierzamy bowiem i teraz omawiać problemu antropomorfizmów i przenośni biblijnych, tak silnych, żywych i wstrząsających, tak przytem odpowiadających stylowi proroczemu; wystarczy nadmienić, że język ten obrazowy i realistyczny, przemawiający nie tylko do umysłu w sposób oderwany, ale do całego człowieka, jest jednak nawskróś prawdziwy, t. j. nie zawiera żadnego błędu rzeczowego, lecz podaje prawdę w sposób przystępny i odpowiedni dla ludzi. — Kreśląc np. postać Boga żywego, nie przedstawia go jedynie w pojęciach oderwanych, jako Byt Najwyższy lub Stwórcę świata, lecz daje nam go zarazem poznać jako Ojca opatrznego, który ma pieczę o swych stworzeniach, który rozrządza wszystko mocno a łagodnie. Na jego skinienie drżą posady ziemi, ale i głodne ptaszęta wyciągają doń swe dzióbki, łaknąc okruszyn z jego ręki; On gwiazdom i ptakom zarówno wyznaczył ich szlaki, zakreślił oceanom granice, a rybom ich ścieżyny morskie; królując ludziom, zasiada na tronie miłosierdzia, ale i miecz przypasze, by ruszyć na pogrom bluźnierców swego imienia; wstąpiwszy na lekki obłok wypatruje sprawy człowiecze, lecz i wśród ludzi się przechadza; nie dosięgnie go ramię ludzkie, lecz przecież bliskim jest każdego i badaczem tajników serdecznych. — Słusznie pewien odłam teologji żydowskiej (por. dawną opo-

wieść o królu Chazarów w układzie Jehudy ha Lewi) upatrywał w tem właśnie zasadniczą różnicę między filozoficzną (w danym razie awerroistyczną) a biblijną koncepcją Boga, że filozofja przedstawiała go w rysach bladych i oderwanych, podczas gdy pisarze natchnieni zbliżają go poniekąd do nas, pozostawiając zresztą nietkniętym jego Majestat. Transcendencja absolutna i imanencja Boża we wszechświecie z równem prawem wyrażają się w Piśmie św., lecz transcendencja nigdy nie przechodzi w abstrakt, a imanencja w panteizm, bo żywy koloryt uzmysławiający niejako Boga obecnego, jest poprostu zobrazowaniem konkretnej Opatrzności, władającej na świecie, roztaczającej opiekę nad dziełem rąk swoich, jak to prześlicznie uwydatniają przypowieści ewangeliczne.

To samo mniejwięcej wypadnie powtórzyć o potężnych, wspaniałych, żadną ludzką sztuką nieprzewyższonych akordach, w jakich wedle proroków zabrzmi finał dziejów ludzkości. Na tle grozy powszechnej, wśród kataklizmów, przy huku trąb archanielskich, zjawi się sędzia, głoszący wyrok nad światem, odmierzający każdemu słuszną odpłatę za czyny. Następuje wizja niebiańska wiecznego triumfu i wesela, i druga, przepastnych mroczni wiekuistej zagłady. W tem wszystkiem jest prawda i symbol; prawda o dokonaniu wszechrzeczy, o sądzie nad światem, o sankcji wiekuistej, prawda objawiona i zgodna z rozumem, z naszemi pojęciami o wszechmocy i świętości Bożej; trudniej odgraniczyć symbol od rzeczywistych okoliczności, mających towarzyszyć faktom eschatologicznym, uwydatnić w czem jest zobrazowanie, przenośnia, a co wyraża wizję przyszłości; w każdym razie szczegóły te nie dotyczą istoty rzeczy.

Co nie jest istotnem dla wiary, jest niem dla sztuki, dla poezji, ta bowiem nie ma innych środków do wypowiedzenia się, jak fabuła, symbol, obraz. Nic przeto dziwnego, że właśnie z potężnych, nadludzkich sceneryj biblijnych czerpała swe najwznioślejsze natchnienia. W szczególności upodobała sobie pewna jej gałąź wizje prorocze, sięgające w zaświaty, przyczem dopełniała ich niedomówienia, tajemnicą jakąś pokryte. Tendencję tę zauważamy już w literaturze apokryficznej, która podszywając się pod imię jakiejś osobistości biblijnej, nawiązuje do takich niedopowiedzeń i rozsnuwa je

w sposób fantastyczny. Zależnie od tego czy bohaterowie tych legend są przejęci ze St. czy N. Zakonu, przeważa w nich ideologja judaistyczna lub chrześcijańska, względnie sekciarska. Wartość czysto literacka tych utworów, których jest mnóstwo, naogół jest bardzo mała lub żadna, a interesują jedynie jako pomniki zdegenerowanej nieraz kultury religijnej, niekiedy służą do poznania prądów ówczesnych lub świadczą o wierzeniach pewnych odłamów sekciarskich. Zresztą ten rodzaj literatury i teraz bynajmniej nie wygasł.

Tu właśnie uwydatnia się zasadnicza różnica w sposobie przedstawienia wizyj zaświatowych. Podczas gdy Pismo św. naogół dziwnie jest wstrzemięźliwe w takich opisach, traktując je tylko jako tło, na którem rozsnuwa naukę objawioną, a jeśli w ustępach apokaliptycznych ujmuje wizje przyszłości w szeregu obrazów, to do nich samych nie przywiązuje wagi dydaktycznej — przeciwnie w literaturze apokryficznej, podającej się za objawioną, owo tło podmalowuje się starannie, wprowadza się rozkład schematyczny, na którym koncentruje się uwagę czytelnika, z wyraźną tendencją dydaktyczną. Dołącza się nadto strona doktrynalna, która może być zasadniczo zgodna z nauką objawioną, częściej jednak odchyla się od niej albo w kierunku nadmiaru wierzeń albo też wprost nieprawowiernym. Rzecz znamienna, że poezja, a w pewnej mierze tyczy się to i sztuk pięknych, z tych właśnie produktów czerpie, jeśli nie natchnienie, to surowy materjał do kompozycji, znajdując w nich dogodne, owszem utarte już wzory do przelania w nie nowej, artystycznej treści. Można tu powtórzyć za Brunetière'm, że komunał zwyczajnie jest warunkiem powstania genjalnych kompozycyj, wszak mógł z jarmarcznej fabuły powstać *Faust* Goethego.

Coś podobnego miało miejsce i w powstaniu *Komedji Dantejskiej*. Pomijając już wspólne niemal wszystkim religjom i mitologjom, hinduskim, grecko-rzymskim, muzułmańskim, wędrówki w zaświaty, ich nawet dominujące znaczenie w misterjach — bo na tle dramatycznego przedstawienia tych legend odbywało się samo przeżycie religijne — a ograniczając się do chrześcijańskich tylko wzorów, można pisać i pisano historję *B. Komedji* przed *B. Komedją*, przyczem jednak zazwyczaj poprzestaje się na t. zw. poprzednikach

Dantego, na trubadurach, którzy opiewali przed nim wędrówki po zaświatach. [1])

Jak ulubionym był ten temat w wiekach średnich, o tem świadczy długi szereg wizyj, jakie przechowały się w kronikach i literaturze budującej. Chociaż brak w nich ustalonego szablonu, przecież pewne motywy się powtarzają. Przedewszystkiem kompozycja wedle schematu piekło-niebo, niekiedy odwrotnie, jak w wizji św. Baronta (ok. r. 684, por. AA SS pod 25 marca), podczas gdy o czyścu rzadko jest mowa, raczej mimochodem, jak w świetnej wizji Drycthelma, opowiedzianej potoczystym stylem W. Bedy (Hist. eccl. V 12; ML 95, 247—252), — skąd może przejęty obraz wstępujących płomieni w 26 p. *Piekła Dantejskiego* (źli doradcy). — Scenarjusz piekielny jest oczywiście daleko żywszy, plastyczniejszy i bardziej urozmaicony (por. jednak milutką wizję rajską chłopczyka Augusta z AA SS pod 1 listopada). — W szczególności architektonika piekła w dawniejszych opisach prozaicznych nie występuje dość wyraziście, brak planu jednolitego i stopniowania w karach odpowiednio do występków. Pewien wyjątek stanowi tu wizja Wettina (ok. r. 824), którą Walafrid Strabo opracował w kunsztownych heksametrach (ML 114, 1063-84), gdzie jest podział wedle kategoryj osób (duchownych, wyjąwszy Karola W., który zresztą ma być wybawiony), oraz bolesna wędrówka Tnugdala, spisana przez Br. Marka ok. r. 1150. Narzucający się podział według grzechów głównych, na którym Dante osnuł swój Czyściec, a zasadniczo stosuje już w 2—5 kręgu piekielnym

[1]) Bardzo liczne i dokładne wskazówki bibljograficzne oraz informacje, zwłaszcza z zakresu romanistyki, które tu, nie pisząc studjum fachowego, w drobnej tylko części wyzyskać mogę, zawdzięczam prof. J. Morawskiemu — Poznań. — Wystarczy tu nadmienić, że o paralelach indyjskich informuje H. Günter, *Buddha in der abendländischen Legende,* Leipzig 1922, p. 149; tenże w *Die christliche Legende des Abendlandes,* Heidelberg 1910, p. 109 ss podaje niemal kompletny wykaz zaświatowych wizyj chrześcijańskich, z literaturą w przyp. 239; o greckich zob. E. Rohde, *Psyche,* Tübingen 1907 pod Hadesfahrt, Nekyia) por. tegoż *D. griech. Roman und seine Vorläufer,* Leipzig 1900 str. 279, przyp. 3); dokładną informację o przypuszczalnej, a nawet prawdopodobnej zależności D. od dwu islamickich redakcyj podróży Mahometa po zaświatach podaje za prof. Asin y Palacios, *La Escatologia musulmana en la D. Comedia,* prof. Sobeski, *Z pogranicza sztuki i filozofji,* Poznań 1928, p. 8—60.

(p. 5—8), dopiero później stał się popularnym, w formie przypisanej Łazarzowi wskrzeszonemu (por. drukowany nieraz w XV i XVI w. *Le grant Kalendrier et compost des Bergiers,* wyd. Payot 1927). Zresztą ilość kar jest niewielka, a jakość ich opiera się przeważnie na alegorycznych danych apokaliptyki N. Testamentu; wcześnie już ujmowano je w wierszach mnemotechnicznych; stale powtarza się tylko ogień i lód.

Poza temi ramami kompozycji zaznacza się na spisanych prozą wizjach średniowiecznych przeważny wpływ św. Grzegorza W., który w IV księdze swych *Dialogów* podaje cały szereg zdarzeń cudownych i widzeń wraz z ich świadkami i okolicznościami, a w r. 36 referuje opowieść pewnego żołnierza o losie pośmiertnym znajomego sobie Stefana. Szczegóły tego opowiadania powtarzają się w relacjach późniejszych, niekiedy nawet z powołaniem się na autorytet *Dialogów*, zwłaszcza opis raju; natomiast pomysł mostu, po którym muszą przejść zmarli — widocznie daleka reminiscencja eschatologji perskiej, zapewne najstarsza na Zachodzie — dopiero w poezji był wyzyskany, chociaż motyw rozgrywającej się przy tej sposobności „walki o duszę" między wynurzającymi się z rzeki piekielnej demonami a świetlistymi aniołami mógł dać początek groteskowym nieco scenom we wizjach późniejszych, skąd oczywiście daleko jeszcze do burleski Dantejskiej w 20 i 21 p. *Piekła.* Zresztą pomysł mostu, niewątpliwie bardzo dramatyczny, obcym jest autorowi *Komedji*, który wolał się tu oprzeć na wzorach mitologji klasycznej (Charon, Minos i t. d.)

Nie znalazł też oddźwięku motyw „pomyłki w osobie potępieńca", który porusza już św. Augustyn w *De cura pro mortuis gerenda* r. XII, a powtarza za nim św. Grzegorz wyjaśniając na przykładzie Stefana, że „to nie omyłka, lecz upomnienie" (podobny motyw zachodzi już u Lukjana, Philopseudes r. 25).

Najdawniejsza łacińska poezja chrześcijańska nie nawiązuje do wizyj zaświatowych, chyba pod względem doktrynalnym, o czem niżej, lecz poprzestaje na apokaliptyce N. Testamentu, z domieszką oczywiście wyrażeń mitologicznych, zwłaszcza co do hydrografji piekielnej. Tak Prudencjusz

w Hamartigenia w 824—838 (ML 59, 1069 sq) i w Cathemerinon h. V w. 125 sqq, św. Orjencjusz w Commonitorium 209—218, Drakoncjusz i Arator, o których niżej, św. Piotr Damian, carm. 224 n. (ML 145, 974—6), w XII jeszcze wieku Marbodus w pieśni o karach potępieńców (ML 171, 1669) i Aegidius z Paryża w dyspucie o wieczności kar piekielnych (ML 212, 43—46).

Natomiast poezja romańska upodobała sobie we wizjach średniowiecznych, jak np. św. Filiberta (Fulberta 684), znanej też jako *Contentio animae et corporis,* oraz żołnierza irlandzkiego *Tnugdala* (obie wierszowane po polsku przez Ks. Klem. Bolesławjusza p. t. *Echo przeraźliwe trąby ostatecznej*, Kraków 1694, nieraz jeszcze wydawane, ostatnio we Wilnie 1883) i innych, między któremi niepoślednią rolę odgrywa t. zw. Czyściec św. Patryka (informują Bolandyści pod 17 marca, p. 587 n; por. przypisane św. Patrykowi dziełko *De tribus habitaculis,* ML 53, 831—833). — Nie brak też kompozycyj oryginalnych, których przedmiotem są rzeczy ostateczne, śmierć, sąd, kary piekielne, rozkosze rajskie, jak *Il libro delle tre Scritture* z przed r. 1274, gdzie autor, Bonvesin da la Riva kreśli los pośmiertny człowieka, mianowicie w księdze Czarnej, nędze tego życia, śmierć, sąd i 12 kar piekielnych, w Czerwonej opiewa Mękę Pańską, a w Złotej niebiańskie rozkosze (wyd. L. Biadene, Pisa 1902). Forma wiązana niesie ze sobą większą zwartość kompozycji, harmonijny układ całości, ściślejsze odgraniczenie kategoryj przestępstw i odpowiednich kar, które naogół nie przekraczają zakresu apokaliptyki tradycjonalnej, a wahają się od 4 do 14 (zestawienie u Biadene p. XXV sq przyp. 4); tendencja tych utworów jest zawsze religijna, moralna.

Mówiąc jednak o tych bezpośrednich „poprzednikach Dantego", niepodobna pominąć najdawniejszego ich źródła, którem jest, jak już powiedziano, apokryficzna literatura chrześcijańska. Eschatologiczna jej gałąź nawiązuje do danych Pisma św., mianowicie do zstąpienia Chrystusa Pana do piekieł (Ef. 4, 8 sqq) w związku z przepowiadaną tamże Ewangelją (I Piotra 3, 19 i 4, 6), oraz do zachwytu św. Pawła z 2 Kor. 12, 2—4. Artykuł o zstąpieniu Jezusa do podziemi stanowi osnowę 2. części t. zw. *Aktów Piłata* czyli Ewangelji

Nikodema (z poł. IV w.). Niektórzy Ojcowie greccy, począwszy od Klemensa z Aleksandrji, radzi nań się powoływali, aby wytłumaczyć zbawienie pogan przed Chrystusem żyjących: oto Zbawiciel świata zaniósł im dobrą nowinę i wyzwolił wierzących; na Zachodzie opinja ta nie cieszyła się uznaniem, św. Augustyn i Grzegorz W. zwalczają ją; Dante nie był jej zwolennikiem, jak świadczą stanowcze słowa Wirgiljusza (P. 4, 21—42), to też ogranicza się do stwierdzenia ruiny piekła, jaką spowodowało zstąpienie Chrystusa (12, 38 n.) i do wybawienia z podziemi patrjarchów i proroków starozakonnych (4, 52—63), a w miejsce zbawienia pogan, gromadzi ich w „otchłani", co było pomysłem nowym, uprzedzającym teorje Humanistów o zbawczej Opatrzności boskiej.

Nierównie ważniejszem źródłem poezji romańskiej, to zachwyt św. Pawła. Apokryficzna „Apokalipsa św. Pawła" podaje cały rzekomy przebieg tego objawienia, przyczem nie zadowalnia się „trzeciem niebem", ale zstępuje z Pawłem do podziemi i opisuje różne kategorje mąk, jakim podlegają grzesznicy. Mamy zatem w zasadzie kręgi piekielne, choć nie po raz pierwszy, bo takie dokładne rozmieszczenie potępieńców pochodzi z dawniejszego jeszcze źródła, odkrytego w r. 1886, z t. zw. Apokalipsy Piotra, komentowanej już przez Klemensa z Aleksandrji i wymienionej w *Fragmencie* Muratoriego (w. 71 sqq), sięgającej zatem poł. II w. — Apokalipsa św. Pawła, wedle jej wstępu, powstała ok. r. 380, za panowania Teodozego W., co zdaje się niewiele odbiega od prawdy, choć bowiem w opisie piekła znajdujemy wzmiankę o herezji, zbliżonej do Nestorjańskiej (potępionej dopiero w r. 431), może to być wtręt późniejszy. W każdym razie nie można tego utworu mieszać z dawniejszym, który wedle św. Epifanjusza (haer 38, 2) stanowił księgę świętą gnostyckiej sekty Kajnitów, a miał także za przedmiot „tajemnicze słowa" z 2 Kor. 12, 4, p. t. Anabasis Paulou, t. j. wniebowzięcie Pawła, bo św. Epifanjusz świadczy, iż „pełna była obrzydliwości", właściwych tej sekcie, czego o Apokalipsie Pawła powiedzieć nie można. Zresztą wszelki ślad tej Anabazy zaginął. — Jak natomiast popularną była opowieść o zachwycie Apostoła, o tem świadczy notatka historyka

kościelnego Sozomena, z r. 440, że cieszy się wielką poczytnością wśród mnichów (hist. eccl. 7, 19). Ten fakt oraz sama treść utworu zdaje się też potwierdzać domysł historyka greckiego, że autorem Wizji był pewien mnich z Jerozolimy.

Wydania Apokalipsy Pawła w oryginale greckim, na podstawie rs. monachijskiego z XIII i medjolańskiego z XV w., dokonał C. Tischendorf, przekład syryjski znany jest tylko z tłumaczenia angielskiego, dołączonego do tegoż wydania (*Apocalypses apocryphae*, Lipsk 1866), i późniejszego J. Perkins'a, oraz z przekładu niemieckiego Zingerlego z r. 1871. — Bliżej obchodzi nas przekład łaciński, który jedynie mógł być dostępny Dantemu, czy to w oryginale, czy też w przeróbkach anglonormandzkich. Przekład ten wcześnie już był dokonany. Dwie jego recenzje znane są z publikacji H. Brandes'a (*Visio S. Pauli*, Halle 1885), pełniejszy tekst łaciński M. R. James (w *Texts and Studies*, Cambridge 1893), gdzie też ważne zestawienie z recenzjami Brandes'a, z tekstem greckim i syryjskim. — O innych przekładach informuje studjum E. Szepielewicza z Ateneum, z r. 1888, t. IV, str. 159—165.

Ta właśnie wizja łacińska doczekała się w średniowieczu licznych wierszowanych przekładów i przeróbek starofrancuskich, których większość pisana jest w narzeczu anglonormandzkiem. Paul Meyer w *Histoire littéraire de la France*, t. 33, p. 372, wylicza sześć różnych poematów z XIII w., osnutych na tle łacińskiej Apokalipsy św. Pawła. Najdawniejszy z nich, to utwór Adama de Ros (w Herefordshire), z końca XII lub początku XIII w., przechowany w 4 rs. angielskich i jednym paryskim. Wydany był naprzód paryski przez Fr. Ozanama, w dziele *Dante et la philosophie catholique*, Paryż 1839 (przedruk u Migne'a w *Dictionnaires des légendes*, Paryż 1885). Znacznie obszerniejszą recenzję londyńską wydał I. E. Kastner (*Z. f. franz. Sprache u. Litt.*, t. 29, z r. 1905, p. 275—286), który w aparacie uwzględnia warjanty innych kodeksów angielskich oraz recenzję paryską. — Wersja londyńska tem się różni od paryskiej, że na wstępie (w. 50—91) zawiera szereg innych jeszcze kar piekielnych, sucho tylko wyliczonych, z wyjątkiem obszerniejszego opisu tortury „koła piekielnego", w które wplecione są ciała potę-

pieńców, bardzo zresztą popularnego. Kaźni tej, jak i powyższych, nie znajdujemy w Wizji łacińskiej recenzji James'a, lecz zawiera się w innych, wydanych przez Brandes'a. Dante ją pominął. — Naogół kompozycja paryska jest bardziej zwarta i epicka, podczas gdy londyńska uzupełnia szczęśliwie niektóre luki, a nadto pomaga do zrozumienia pewnych wyrażeń i zwrotów, niezwykłych w narzeczu anglonormandzkiem.

Dante niezawodnie znał któryś z tych poematów, których treść zresztą jest niemal identyczna. Wynika to z *II pieśni Piekła* w. 28—33, bo skądże indziej mógł zaczerpnąć wiadomości o wędrówce zaświatowej Apostoła? Zresztą, poza pewnemi szczegółami, trudno się zależności dopatrzeć. Ogólny rozkład *Komedji* zgodny jest z wzorami zdawna przyjętemi, choć rozmieszczenie przestępców w piekle niezawodnie dokładniejszem jest we *Wizji św. Pawła* niż w innych. Dante powodował się tu koncepcją nawskróś oryginalną, jak wynika z *XI pieśni Piekła,* zwłaszcza w. 94—111 o grzechach przeciwko sztuce, co jako córa natury, „jakby wnuką jest Boga". Idea przewodnika po zaświatach (we *Wizji:* Michała lub Gabrjela) jest częsta. — Z pewnością jednak nieraz powtarzający się w *Komedji* motyw rzeki piekielnej, wspólny wielu wizjom, w tem przynajmniej naśladuje *Wizję św. Pawła;* że wedle p. 12 gwałtownicy zanurzeni są stopniowo (od stóp po głowę) we krwi kipiącej Flegetontu. — Może i groteskowy lot czarta z grzesznikiem w szponach z *Wizji* wpłynął na p. 21 *Piekła.* — Zresztą można w tym związku powtórzyć to, co i o innych poprzednikach Dantego, że w tem właśnie okazuje się nieporównana wyższość jego talentu, jego genjusz, iż temat tak oklepany stał się dzięki niemu *Boską Komedją.* Z samego porównania wynika, jak dalece *Komedja* przewyższa swą treścią i kompozycją literaturę apokaliptyczną, jakie światy myśli wkłada poeta w ramy swej wędrówki zaświatowej, podczas gdy poematy średniowieczne poprzestają na jaskrawem odmalowaniu kar piekielnych. Powtarza się tu znany proces, że duch ludzki długie nieraz wieki wysila się w jakimś kierunku, poszukując nieudolnie wyrazu idealnego na oddanie swej myśli, aż zjawi się genjusz i znajdzie słowo doskonałe, jakby z ust wszyst-

kim wyjęte, a jednak tak nowe, tak pełne, tak wyższe nadspodziewanie. Nietylko w poezji to się zdarza, jest to szlak, którym kroczą zdobywcy, odkrywcy, przodownicy ludzkości, a do nich należy niezawodnie twórca *Komedji* pod niejednym względem.

Jeśli teraz zestawimy treść doktrynalną *Wizji św. Pawła* z teologją Dantego, to porównanie nie wypadnie na korzyść tamtej; w szczególności Beatrice, a nawet Wirgiljusz okaże się lepszym teologiem niż Archanioł Michał z *Wizji*. W apokalipsie św. Pawła po raz pierwszy w literaturze chrześcijańskiej spotykamy się z myślą, przejętą przez trubadurów, o spoczynku niedzielnym w Piekle. — Koncepcja ta, jak wykazał J. Lévy w r. 1892 (cyt. za A. Michel, art. Mitigation w DTC. 1998) pochodzi ze źródła judaistycznego, z kół mianowicie, które wierzyły w spoczynek sobotni potępieńców. Prócz apokalipsy Pawła znajdujemy jej oddźwięk u poetów chrześcijańskich, Prudencjusza w jego pieśni wielkanocnej (cyt. wyż.) i Drakoncjusza (Carm. de Deo, ML LX 812 sq), w wieku VI jeszcze u diakona Aratora (ML 68, 112 sq). — Od tego spoczynku sobotniego, który u tych poetów przekształcony został na wielkanocny, względnie na niedzielny, należy odróżnić t. zw. złagodzenie kar piekielnych wskutek modlitw żyjących; zdanie to od IV wieku miało zwolenników wśród chrześcijan (por. A. Cabassut w RHE XXIII 1927, p. 65—70), dotąd jeszcze z pewnemi odmianami utrzymuje się w Cerkwi odłączonej (por. M. Jugie, Theol. dogm. Christ. Orient., t. IV, p. 174—178, por. 137—164), pogrzebane jednak zostało na Zachodzie już w wieku XIII, a werdykt św. Tomasza z Akwinu jest tu bardzo stanowczy (in IV d. XLV q 2 a 2). — Inaczej sprawa przedstawia się ze spoczynkiem niedzielnym dla potępieńców. Św. Augustyn, który ma niejakie wyrozumienie dla teorji złagodzenia (Ench. 110. 112, por. De civ. Dei XXI 24, 3), potępia stanowczo Apokalipsę Pawła jako brednię (Tract. in Ioan. 98, 8) tą prostą a słuszną uwagą, że sam Apostoł powiedział, iż mu się nie godzi mówić o rzeczach, jakie miał sobie objawione w zachwycie, jakże więc inni ludzie ośmielają się o nich pisać (por. jednak co S. Merkle pisze o stosunku Augustyna do Prudencjusza w Th. QS z r. 1896 st. 251—275).

Na chlubę Dantego trzeba powiedzieć, że tego szczegółu nie wciągnął do *Komedji.* Zamiłowanie prawdy przemogło w nim niezawodnie pokusę zapuszczania się na pole, wdzięczne może dla zobrazowania poetyckiego, ale obce wierze i myśli teologicznej, w jej formie i wyrobieniu klasycznem.

Dołączony przekład *Wizji św. Pawła,* pierwszy w języku polskim, może posłużyć do porównania najbardziej popularnej przed Dantem opowieści zaświatowej z *Komedją.* Przekład dokonany jest z recenzji paryskiej w wydaniu Ozanama, z uwzględnieniem warjantów Kastnera i lekcyj londyńskich. Budowa stroficzna dała się prawie wszędzie przeprowadzić bez uszczerbku dla kompozycji oryginalnej (ilość wierszy jest niemal równa), miara wiersza jest ta sama, przekład wcale gładki, niemal zawsze wiernie oddaje odcienie myśli. Nieliczne skróty były potrzebne dla jednolitości wiersza, nieznaczne odchylenia od dosłownego znaczenia, nieraz wątpliwego, w przypiskach uwzględniane nie będą.

Ks. Marjan Morawski T. J.

Wizja św. Pawła.[1])

Słuchajcie, bracia panowie,
Dworzanie Władcy przestworzy:
Widzenie pieśń wam opowie,
Jakie miał Paweł, mąż boży.

Niech Król nasz, pełen słodyczy,
Bóg, co jest serca rozkoszą,
Litości duszom użyczy,
Co w czyścu ciężką kaźń znoszą!

Michała, cnego Anioła,
Co w pieczy niebios ma straże,
Przed tron swój rychło On woła
I mknąć do Pawła rozkaże.

W piekielne męża bez skazy
Wprowadzić zleca otchłanie,
Ów, chętnie pełniąc rozkazy,
U kresu drogi wnet stanie.

---

[1]) Podajemy dla ilustracji kilka zwrotek starofrancuskiego oryginału.

LA VISION DE SAINT PAUL.

Seignors frères, ore escoutez,
Vos qui estes à Deu nummez,
Et aidez-moi à translater
La visiun saint Pol le ber.

Deu, par sa douçor
Et par la soue grant amor,
Ait merci et memoire
Des almes, qui sunt en purgatoire.

Il prist un angre del ciel,
Qui est apelé saint Michel,
A un saint home l'envoia,
Et en ayfes lui cummanda.

Que en enfer le menast
Et les peines lui mostrast.
Icil s'enforne volentiers,
Car a ceo erf li suens mestiers;

Et vint ai serf, si l'esveilla,
En s'oreille lui conseilla:
„Sevez mei, buens hom, sens esme-
[ance,
„Senz poor et senz dofance;

„Car Deu veuf qu'ieo t'enmeine
„En enfer veir la peine
„Et le graveil et la tristor,
„Que suefrent iloc pécheor".

Saint Michel s'en vait avant,
Saint Pol le seuf, salmes disant,
Et prie Deu, le creator
Que par la soue douce amour.

Icèle chose lui mostrast
Dunf sainte iglise revisitast.

Zbudziwszy Pawła, tak rzecze
I temi słowy nakłania:
„Spiesz za mną, dobry człowiecze,
„Bez obaw i bez wahania!

„Bóg w czartów wieść cię siedliska,
„Do piekieł każe ciemnicy,
„Byś męki ujrzeć mógł zbliska,
„Jakie tam znoszą grzesznicy".

Więc przodem święty szedł Michał,
A Paweł za nim zgnębiony
Odmawiał psalmy i wzdychał,
Wzywając Boga obrony.

„Spraw — błagał — Władco stwo-
[rzenia,
„Bym stawił mocom złym czoła
„I słuszne twoje zrządzenia
„Dla dobra zjawił Kościoła!"

Przed bramą piekieł (ach, co za
Gospoda, bracia!) olbrzymie
Zobaczą drzewo, wkrąg — zgroza!
Spowite w ogniu i dymie.

Z pnia jego, nakształt pochodni
Zwisały rajców złych ciała,
Czerń chciwców, która swej zbrodni
Zapłatę godną zbierała.

Ci uczepieni za nogi
Wiszą, a tamci za szyje;
O, jakiż czeka los srogi
Tego, co zbożnie nie żyje!

Potem piec z głębin się spiętrzy,
Gdzie winnych rozpacz żre głucha
I ogień z mrocznych jam wnętrzy
Płomieńmi siedmiu wybucha.

Ten ogień, niby noc czarna,
Bez blasków dziko się kłębi
I dusze grzesznych, jak żarna
Torturą ściera do głębi.

Tuż rwącej rzeki nurt wali,
Wśród której, środkiem łożyska,
Jak ryby djabli pływali,
Lwów srogich jawiąc kształt zbliska...

Nąd mroczne rzeki tej strugi,
Co mogła świata pół zalec,
W przestworzach zwisał most długi
Wysoko, wąski na palec...

Kto most ten przejdzie, u Boga
Wśród rajskich rzesz się weseli,
Lecz komu potknie się noga
W piekielnej ginie topieli.

Dusz ludzkich wielka gromada
Z onego mostu się wali
I w zdradnych djabłów moc wpada,
Iż boże prawo złamali.

Gdy do tej rzeki mąż święty
Z pobladłą zbliżył się twarzą,
Ujrzał, jak wodne odmęty
Wszelakiej zbrodni złość karzą.

Jedni do kolan w roztoczy
Wód brodzą, drudzy w półciała,
Tym topiel chłonie już oczy,
Tamtym brwi nawet zalała.

Tu pomsta wszystkie na ziemi
Spełnione ściga bezprawia,
Co Zbawca usty własnemi
Tak w Ewangelji objawia:

„Związawszy ręce i nogi,
„W ciemność ich rzućcie bezdenną,
„Niech djabeł porwie ich srogi
„I żarów dręczy gehenną!

„Jednaka niecnych tych wina,
„Porubstwo, bezwstyd ich plami!"
Mąż święty wzdychać zaczyna
I oczy zajdą mu łzami.

Zagadnąć wnet się ośmieli
Anioła, by mu wyraźnie

Oznajmił: Czemu w topieli
Ciał tyle znosi te kaźnie?

Zać Michał: „Jasnoć wyjawię
„Sąd, jaki bierze tu zbrodnia:
„Do kolan brnący — na sławie
„Szkodzili bliźnim swym co dnia.

„Ci, co do bioder we fali
„Grzęzną — w żądz brudnych po-
[słudze
„Z porubstwa chluby szukali,
„Niewiasty ciągnąc w grzech cudze,

„Zatraty na się grom sami
„Ściągnęli w życiu minionem,
„Iż, nie chcąc kajać się, łzami
„Nie zmyli grzechów przed zgonem.

„Ci, co w piekielne odmęty
„Do oczu toną, zuchwale
„Na bój z Kościołem zawzięty
„W obłędnym rwali się szale.

„Słów bożych gardząc wymową,
„Niesnaski siali i zwady
„I wieczną skałę Piotrową
„Wyważyć chcieli z posady...

„Ci, którym topiel skroń hardą
„Zalewa, patrzaj, w tej chwili,
„Swych bliźnich depcąc pogardą,
„Z nieszczęścia ich się cieszyli".

Na wielki potem wszedł majdan
Mąż święty, kędy dusz mnogi
Tłum ujrzał, którym do kajdan
Wtłoczono ręce i nogi.

Zębami szarpiąc swe ciało,
Wśród mąk się wili bezradnie...
„Co powód męce tej dało?"
Anioła Paweł zagadnie.

Ów odparł: „Niech cię nie dziwi
„Ten widok: czerń, co się miota
„W kajdanach — ździercy to chciwi,
„Gardzący prawem dla złota.

„Drwiąc z Boga, w szale omamień
„Zgarniali lichwą zysk wraży
„I serce mieli jak kamień
„Dla ograbionych nędzarzy!"

Ledwie się krokiem posuną
Dalej, gdy z mroków posowy,
Ziskrzony krwawych zórz łuną,
Mąk obraz zjawił się nowy:

Gromada dziewcząt tam stała,
Przed laty orszak wesoły.
Dziś szata kryła ich ciała
Z płomienia, siarki i smoły.

Kłem szarpiąc, węże i smoki
Oplotły każdą dokoła.
O powód kar tych bez zwłoki
Mąż święty pyta Anioła.

Ów rzekł: „Mąk srogich nawały
„I los ich smutny stąd idzie,
„Że Boga kochać nie chciały
„I w niecnym żyły bezwstydzie.

„Z matczynych w sercu skalanem
„Drwiąc przestróg, w złości dosycie
„By dziewic chlubić się mianem
„Dusiły dziatki swe skrycie...

„Rojąc, że onej zakały
„Zarzut — złość nowa odeprze,
„Przez okna w gnój je strącały,
„Gdzie sprosne żarły je wieprze...

Opodal, w męce stłoczony,
Dusz innych zastęp spotkali:
Żar ognia z jednej je strony
Jak suchych chrustów stos pali...

Bok drugi (iście kaźń nowa!)
Jak sęp im szarpie mróz srogi,
Więc stoją nadzy, bez słowa,
Drżąc z zimna, bólu i trwogi.

Źli sędzie w mąk tych rozterce
Odnoszą wyrok surowy,

Iż zatwardzili swe serce,
Sieroty krzywdząc i wdowy.

Wnet potem obraz niespodzian
Mąk nowych ujrzał mąż boży:
Z płaczącym starcem stał młodzian
Zakuty w pęta obroży.

Trzydziestu czterech gromada
Czartów, tłum gniewem miotany,
Na szyje obu nakłada
Wśród szyderstw ciężkie kajdany.

Łask bożych źli to szafarze,
Hańbiący stan swój kapłani
W moc czartów wzięci, tej karze
Zostali słusznie poddani.

W ladacznic gronie, wstyd z czoła
Starty, dziś twarz im rumieni..
„Przecz — Paweł spyta Anioła,
„Nieszczęśni ci są zrodzeni?

„Czyż na to życia im wrota
„Bóg otwarł, na to dał dusze,
„By zamiast wnijść do żywota,
„Cierpieli wieczne katusze?"

Ów odparł: „W złości bez granic
„Ich męki powód się mieści,
„Dociekań mozół tu na nic,
„Wnet cięższe ujrzysz boleści!"

Cysternę potem mu wskaże
Z pieczęćmi siedmiu dokoła,
Pieczęcie zrywa z niej wraże
I tak do Pawła zawoła:

„Nie podchodź, bracie, dla Boga!
„Nie czujesz?" — Wraz z pod po-
[krywy
Skłębionych dymów srężoga
I smród slę dobył straszliwy.

Z wyrazem lęku na twarzy
Anioła Paweł zapyta:
„Jakaż to zgraja zbrodniarzy
„Każń znosi, w bezdni tej skryta?

„Tu — rzekł ów — cierpią grzesznicy,
„Przeczący w życiu minionem,
„Że Bóg się zrodził z Dziewicy
„I świat odkupił swym zgonem."

Tuż nagich ujrzą tłum szary
Nędzników w głębi wądołu,
Co, wyjąc, niby ogary,
Wśród mąk się tłoczą pospołu.

Jad wokół ziejąc plugawy,
Robactwa żre ich nawała,
Co innej zgoła się strawy
Nie ima, jeno ich ciała...

Wraz potem ujrzy zdumiony
Djabła, co lotem pomyka:
Z uciechą dzierżył on szpony
Zmarłego świeżo grzesznika.

Pięściami djasków niemały
Tłum w strony grzmocił go obie.
„Fe, gnojku — czarty wrzeszczały,
„W nieszczęsnej zrodzon tyś dobie!"

„Wzgardziwszy Bogiem, twym Pa-
[nem,
„Nasz los obrałeś, człowiecze!"
Zaś Michał z licem świetlanem
Do Apostoła tak rzecze:

„W to, co oglądasz dziś tutaj,
„Wierz i świadectwo daj wierze;
„Niczego wiernym nie utaj:
„Plon dzieł swych — każdy odbie-
[rze."

Ów odparł: „Zjaw to proroczy!
Któż przeczyć ci się ośmieli?!
Aniołów potem dwóch zoczy,
Co hen, w przestworzach lecieli.

W zorzy, co wkrąg ich obleka,
Moc wielbiąc Pana nad pany,
Prawego duszę człowieka
W raj szczęścia nieśli świetlany.

„O, duszo słodka, przemiła,
„Śpiewali — raj cię nie minie,
„Poczciwość ciebie zrodziła
„W błogosławionej godzinie!

„Sam Bóg cię wzywa do siebie,
„Śpiew dzięki zanuć wesoły,
„Bo radość będziesz mieć w niebie
„Z wszystkiemi społem anioły!"

Jak wdzięczne harfy zabrzmiały
Przebłogie duchów tych pienia,
Z miłością Jezus, Król Chwały
Przyjął je, Dawca zbawienia.

Zaś piekła mrocznym wądołem
Krzyk głośny bólu zatarga
I z niezliczonych ust społem
Rozpaczna wyrwie się skarga:

„Bez przerwy męka nas sroga
„Dręczy i trawią płomienie;
„Niebianie szczęśni, u Boga
„Zjednajcie, prosim, wytchnienie!"

Zaś Michał odparł: „Nędzarze,
„Bóg wie, że ku wam zawiści
„Nie żywię, widząc, jak w karze
„Plon waszych grzechów się iści...!"

„Ponówcież płacze i jęki,
„My korne modły słać będziem,
„Może Bóg ulży wam męki,
„Wzruszony naszem orędziem..."

Więc płacz i lament ponury
Napełni piekieł otchłanie,
A wszystkie rajskich rzesz chóry
Żałosne wzniosą błaganie:

„Jezusie, Synu Dziewicy,
„Słysz modły nasze łaskawie,
„Spójrz, jaką boleść grzesznicy
„Za win swych znoszą bezprawie!

„Przez zbawczej Krwi Twej strumie-
[nie,
„Co słusznej pomsty grot kruszy,
„Racz nędznym zesłać wytchnienie
„W bezmiarze wiecznej katuszy!"

Usłyszał prośby Syn Boży,
Co losy waży człowiecze;
Z niebiosów zstąpi przestworzy
I do skazańców tak rzecze:

„Cóż to za zamysł zuchwały,
„Iż po niebiosów utracie,
„Kar słusznych znosząc nawały,
„O ulgę w mękach błagacie?!

„Przebite nogi i ręce
„Do krzyża tuląc pnia, siny
„Od biczów, niegdyś jam w męce
„Konał, by zgładzić wam winy.

„Niebiosów brama przed wami
„Widniała, Krwią mą otwarta,
„A wyście, gardząc mną, sami
„Woleli pastwą być czarta!"

Umilkły nędznych czeredy...
Lecz Paweł padł na kolana,
Błagając, by choć niekiedy
Ta ulga mogła być dana...

Gdy niebios konwent z nim cały
Bez przerwy wznawiał błagania,
Przesłodki Jezus, Król Chwały
Ku prośbom wkońcu się skłania...

„Druhowie — wyrzekł — kochani,
„Wyroki słuszne chcą boże,
„Że w mękach piekła otchłani
„Odmiana nastać nie może!

„Lecz prośbą waszą znaglony
„W katuszach ulgi udzielę
„Nieszczęsnym duszom od nony
„Sobotniej poprzez niedzielę..."

Dar Boga wielbiąc łaskawy,
Śpiew dzięki z niebios popłynie,
Wtórują nędzni, zgiełk wrzawy
Podnoszą djabli jedynie...

Zaś Paweł, w głębie złowieszcze
Wpatrzony, spyta Michała
O liczbę katusz, co jeszcze
Zakrytą przed nim została.

Ów, czoło chyląc tęczące:
„Myśl sama o tem — rzekł — rani...
„Czterdzieści cztery tysiące
„I sto jest mąk w tej otchłani...

Człowieka jednak toń gwiezdna
„Nie oglądała na ziemi,
„Któryby wszystkich kar bezdna
„Wysłowił usty wątłemi...!

„Niech Bóg, co czarta moc kruszy,
„Na nowo jawiąc moc swoją,
„Od wiecznej chroni katuszy
„Tych, którzy Jego się boją!"

Panowie bracia, na Boga!
Tej łaski stańmy się godni:
Niech myśl, jak kara jest sroga,
Od wszelkiej strzeże nas zbrodni!

Porzućmy winy bezdroże,
Gdy Bóg nas wzywa na gody...!
Amen. Przez litość twą, Boże,
Daj wiecznej dopiąć nagrody!

Przełożył
Ks. Tadeusz Karyłowski T. J.

Spowiedź publiczna Kanclerza Niemiec.

(Adolf Hitler „Mein Kampf". Erster Band. Eine Abrechnung, München, 1933. — Verlag. Franz Eber, Nachfolger, 8°, str. 1—406. Personen und Sachverzeichnis. I—XVIII. Wyd. 23). — Zweiter Band. Die nationalsozialistische Bewegung. München, 1933, str. 409—782, Personen u. Sachverzeichnis od I—XVI. 8°. Wyd. 20.

Dzieło powyższe zawiera nietylko cele rewolucyjnego ruchu narodowo-socjalnego w Niemczech, ale także obraz rozwoju tego ruchu, jako też autobiografję samego autora, który zasądzony w r. 1924 przez Sąd Ludowy w Monachjum na areszt kilkuletni twierdzy w Landsbergu nad rzeką Lechem, od dnia 1 kwietnia 1924 r., rok cały miał czas i sposobność na spisywanie swych wspomnień i poglądów dla swych zwolenników. Od r. 1925 dzieło powyższe wyszło w wymienionej liczbie wydań i 1,040.000 egzemplarzy po r. 1933. Stało się przytem ewangelją hitleryzmu nietylko w całych Niemczech, ale wśród Niemców Austrji, w Czechosłowacji, Polsce, Szwajcarji, w Stanach Zjednoczonych Płn. Ameryki; sporadycznie w Szwajcarji, znalazło odgłos wśród Flamandów belgijskich, Fryzyjczyków holenderskich, co więcej wśród wielu Anglików, Rumunów, Irlandczyków, nawet Francuzów, a hitlerowskie koszule stały się modne niemal w całej Europie, nie brak ich nawet w Paryżu, z tą tylko odmianą, że wogóle brunatne, są jednak białe w Warszawie a amarantowe na Polskim G. Śląsku.

Autor przeznaczył to dzieło wyłącznie dla Niemców, nie dla obcych. *Mein Kampf* Hitlera jest zakazane w szeregu państw, jak w Austrji, Czechosłowacji i w Polsce. Dlaczego zakazane jest w Austrji, o tem mówią pierwsze zaraz zdania

w tem dziele: „Niemiecka Austrja musi wrócić do swej wielkiej niemieckiej macierzy". Głosi to autor, jako swą misję dziejową, na tej podstawie, że miejsce jego rodzinne Braunau n/rzeką Innem, na pograniczu Austrji i Niemiec, predestynowało go do tej misji „albowiem jedna i ta sama krew należy do jednego i tego samego państwa". Dlaczego w Czechosłowacji i w Polsce nie ma debitu rzeczone dzieło, uzasadnia to dziwnie charakterystyczne dla światopoglądu i zamiarów autora dalsze zdanie: „Dopiero gdy granica Rzeszy Niemieckiej obejmie ostatniego Niemca, nie dostarczając mu jednak pewności wyżywienia, wtedy z potrzeb własnego narodu wyrasta moralne prawo do zabierania cudzej ziemi". W ten sposób odsłania autor jasno i wyraźnie swą nacjonalistyczną etykę narodową, będącą sygnaturką naszych czasów i niebezpieczną żagwią i zapowiedzią zewnętrznych krwawych wojen ale i wewnętrznych bratobójczych waśni i rozterek tak samo w Niemczech, jak i w Polsce i w całym świecie.

Światopogląd każdego człowieka tworzy się z reguły na podstawie jego własnych przeżyć. Stwierdza się to na całej linji w światopoglądzie Hitlera.

Syn niższego urzędnika celnego w Braunau, uczęszczał od r. 1899 do niższych klas szkoły realnej w Linzu. Tutaj wywarł wpływ na wrażliwy umysł chłopca prof. historji, wszechniemiec, Schönerer. Od niego przyswoił sobie Hitler szowinizm wszechniemiecki, bałwochwalczy kult dla zwycięskich Niemiec i Hohenzollernów, przyswoił sobie nienawiść do Habsburgów i zgodnie z Schönererowskiem hasłem *Los von Rom*, nienawiść do Rzymu i Kościoła katolickiego.

Patrząc przez wszechniemieckie okulary na stosunki austrjackie, głosi wprost paradoksalne sądy o polityce rzekomo zdegenerowanej dynastji Habsburgów, zwłaszcza o znienawidzonym przez Schönererowców następcy tronu, Franciszku Ferdynandzie, ożenionym z Czeszką. Twierdzi, że ten nieszczęśliwy arcyksiążę „dążył do szczechizowania Niemców! do ich wytępienia w Austrji!" że „wprzęgając katolicyzm do polityki, pozbawił Habsburgów tronu, a Rzym wielkiego państwa" (str. 101—102). Hitler jako zwolennik Schönerera, nie może przebaczyć Habsburgom, że przez uratowanie ka-

tolicyzmu w sprotestantyzowanej przeważnie Austrji w w. XVI uniemożliwili zjednoczenie Niemiec pod względem religijnym. To też jego stosunek do Kościoła katolickiego najlepiej charakteryzuje jego oświadczenie, że „za największych mężów w dziejach niemieckich poczytuje obok Fryderyka Wielkiego, Marcina Lutra i Ryszarda Wagnera" (str. 232).

Hitler tak samo, jak jego wzór Schönerer, nie jest nawet chrześcijaninem. Dowodzi to jego wynurzenie w następujących słowach: „Może ktoś ubolewać, że do swobodnego świata starożytnego z pojawieniem się chrześcijaństwa dostał się duchowy teror, nie może jednak zaprzeczyć faktowi, że odtąd świat opanowany jest i gnębiony tym gwałtem i że gwałt tylko gwałtem się odpiera, a teror terorem. Dopiero wtedy przez odbudowę można nowe stosunki zaprowadzić" (t. II str. 507).

Tłumacząc swoje, za Schönererem, antydynastyczne i antyaustrjackie nastawienie, głosi następnie bezpodstawne, na fałszywych historycznych danych oparte, a ze stanowiska moralnego wprost potworne poglądy: „Gdy środkami władzy rządowej narodowość jest w swym bycie zagrożona, wtedy rebelja przeciw tej władzy staje się obowiązkiem". Możnaby to wyrozumieć u Polaków pod dawnem panowaniem rosyjskiem, lub pruskiem, ale gdzie, kiedykolwiek narodowość niemiecka w Austrji była w swem istnieniu zagrożona? W Austrji tylko grupka inteligencji buntowała się przeciw własnemu państwu dążąc bezprawnie do połączenia się z Rzeszą Niemiecką pod protestanckimi Hohenzollernami. Wobec tego czyż nie jest zbrodniczą obłudą głosić dla usprawiedliwienia zdrady stanu tego rodzaju sentencje? „Skoro grozi niebezpieczeństwo zniszczenia narodowości, wtedy znika kwestja legalności, wtedy choćby tysiąc razy rząd posługiwał się t. zw. środkami legalnemi, mimo to popęd samozachowawczy gnębionych będzie najwznioślejszem uprawnieniem do walki z wszelką bronią" (105).

„Prawo narodowe łamie prawo państwowe. Jeśli ulegnie naród w walce o prawa narodowe, wtedy na wadze losu znalezion jest zbyt lekkim dla szczęścia utrzymania się na tym świecie. Kto bowiem nie jest gotów i zdolny walczyć

o swój byt, na tego wydaje wiecznie sprawiedliwa Opatrzność wyrok śmierci. Świat nie istnieje dla tchórzliwych narodów. Pod wpływem antyniemieckiego parlamentu i antyniem. dynastji w Austrji, naród niemiecki byłby zginął w Austrji(?). Ponieważ Habsburgowie niemieckości zagrozili (?), przeto wszechniemcy zaatakowali dynastję i okazali największy dowód miłości Ojczyzny, że się z objęć tej dynastji wyzwolili!" (str. 106). „Schönerer widział dokładnie marazm dynastji habsburskiej i gdyby w Niemczech jego przestróg słuchano, nie byłoby wojny światowej (!) Przyczyną walki wszechniemców z katolicyzmem, miał być zdaniem autora rzekomy fakt, iż dynastja posługiwała się katolickiemi instytucjami bezskrupulatnie do gnębienia niemieckości w Niemczech, usiłowała zesłowieńszczyć Austrję przez czeskich proboszczów (str. 119). Niemieckie duchowieństwo katolickie nie umiało bronić niemieckości. W Austrji istniało rzekomo brutalne pogwałcenie niemieckich praw ze strony duchowieństwa katolickiego (str. 119). Wszystkie te i t. p. twierdzenia mają tę samą wartość rzeczową, co narzekanie hakatysty w Prusiech na polską propagandę i polskie niebezpieczeństwo dla niemieckości w polskich dzielnicach w b. zaborze pruskim. Hitler osobiście religijnie indyferentny, liczy się jednak z uczuciem mas, i dlatego zdaniem jego walka Schönerera z Kościołem celem zjednoczenia Niemców pod względem religijnym w protestantyźmie była główną przyczyną przegranej wszechniemieckiej w Austrji.

W 12 roku życia stracił Hitler swego ojca, a w 2 lata później swą matkę, nie skończywszy nawet niższych klas szkoły realnej. Bez środków utrzymania, udał się do Wiednia, aby tu wykształcić się na architekta. Ponieważ nie posiadał matury i egzaminu nie zdał, musiał między r. 1903 a 1912 szukać kawałka chleba w pracy zrazu prostego robotnika murarskiego czy malarskiego, później utrzymywał się z malowania obrazków i ich sprzedaży. Pobyt jego w Wiedniu z kilku przerwami wycisnął na światopoglądzie Hitlera niezatarte piętno. Były to czasy zaciekłej walki znakomitego burmistrza Wiednia Luegera z destruktywnemi wpływami rozwielmożnionego w Wiedniu żydostwa i marksyzmu, kierowanego przez żydowskich Adlerów, ojca i syna.

Dominujące stanowisko zajmował wtedy kapitalizm żydowski z bar. Rotszyldem na czele i prasa żydowska z naczelnym organem *Neue Freie Presse*. Parlament austrjacki, t. zw. Rada Państwa był widownią hałaśliwych i brutalnych walk narodowościowych, w których Wszechniemcy i Młodoczesi pierwsze grali skrzypce. Wszystko to na dorastającego chłopaka, wysoce uzdolnionego, decydujący wywarło wpływ.

Jako prosty robotnik spotykał się z terorystyczną dyscypliną socjalistów i ich żydowskich przywódców. Zetknął się oko w oko z nędzą mas robotniczych, zbiegających się z całej Austrji do ogniska przemysłu w Austrji, do Wiednia. Ze wstrętem i wzgardą patrzył na demoralizujące wpływy żydowskich i nieżydowskich wyzyskiwaczy nędzy mas robotniczych w przedmieściach wiedeńskich. Jako żądny wiedzy młodzieniec, z oczyma otwartemi na życie zewnętrzne i wewnętrzne, nietylko z księgi własnych przeżyć sformułował swój własny światopogląd, ale z prasy, z książek, które umiał czytać, wybierając z nich nie masę wiedzy, ale istotę wiedzy. Pobyt pono 5-cioletni w Wiedniu był dla Hitlera prawdziwym „Wilhelm Meisters Lehrjahre". Tu poznał najsłabsze strony demokracji i parlamentaryzmu, zwyrodniałych w ochlokrację, chaos parlamentarny i widownię awantur. Nie dziw, że wyeliminował te instytucje, jako przeżytki ze swego reżimu, zastępując je dewizą *sic volo, sic iubeo*, „Führera" t. j. wodza. Tu w Wiedniu poznał wyzysk mas robotniczych przez liberalizm kapitalistyczny z jednej strony, a niesumiennych prowodyrów żydowskich socjalizmu z drugiej strony. Stąd jego walka nieubłagana z marksyzmem i rozpoczynająca się walka z kapitalizmem. W Luegerze znalazł Hitler wzór do naśladowania w walce z destruktywnym wpływem żydowskim. Wszystko co dodatnie w hitleryźmie, to wpływ ruchu chrześcijańsko-socjalnego w Wiedniu. Wszystkie jego przeliczne ekspektoracje w sprawie żydowskiej żywcem są zaczerpnięte z prasy i literatury chrześcijańsko-socjalnej wiedeńskiej. Pod jednym względem w antysemityźmie poszedł Hitler dalej. „Antysemityzm Luegera, zdaniem jego, był tylko połowiczny, nie rasowy. Chrztem można było semityzm pokryć i w ten sposób semicką truciznę zachować. I to było błędem chrześcijańsko-socjalnych" (str. 132—133).

Zdaniem Kościoła, „rasyzm" Hitlera jest głównym błędem jego doktryny, zaczerpniętej z antychrześcijańskich poglądów odrodzonego pogaństwa germańskiego. Hitler przeciwny jest wprawdzie histerycznym wybrykom germańskiego Wodanizmu, niemniej swój rasyzm i poglądy o Arjach zaczerpnął z obłędnej manji wielkości wśród nacjonalistów niemieckich *Am Deutschen Wesen, muss alles genesen* [1]). Oto hasło, którem Wszechniemcy swą zaborczość i etnofagję usprawiedliwiali. Hołdując temu hasłu, Hitler pod niebiosa wynosi rasę aryjską (317—324), a wśród niej germańską, wobec mniej wartościowych Słowian; przypisuje Arjom niezgodnie z prawdą, że byli twórcami wszelkiej cywilizacji i kultury. Cywilizację przed Arjami tworzyli Suberowie, turańscy Sumerowie i semiccy Akadowie, Armoryci, Babilończycy, Hamicko-semiccy Egipcjanie, a podstawy grecko-helleńskiej kultury i cywilizacji tworzyli, śródziemno-morskiej rasy, twórcy kultury kreteńskiej, której pomniki obecnie odkrywane, budzą podziw całego świata. Prawdziwą zaś duchową kulturę przynieśli światu dopiero semiccy wyznawcy Chrystusa. Przyznać tego atoli Hitler nie chce, nie chcą nacjonaliści niemieccy i stąd ich nienawiść do Chrystjanizmu, a zwłaszcza do Kościoła.

Tak samo, jak poglądy o znaczeniu rasy aryjskiej, kuleją jego poglądy na mieszanie czyli bastardowanie się ras (311—324). Gdyby teorja jego w tej sprawie była słuszna, wtedy najtęższymi przedstawicielami ludzkości mogliby być Bramini, kastowo odgraniczeni od innych ras. Że mieszanie się ludzi różnej rasy potęguje sprawność i zdolność potomków, tego dowodem są Anglicy, którzy swą dzielność zawdzięczają skrzyżowaniu Anglo-Sasów z walijskimi Celtami, ze zromanizowanymi Normanami, a później z celtyckimi Szkotami i Irlandczykami. Utopjami są więc rasowe poglądy Hitlera, a bezcelowe i śmieszne usiłowania stworzenia czystej rasy niemieckiej. Gdzie dziś znaleźć można czystą rasę? Czy może w Niemczech, gdzie tyle nazwisk słowiańskich, polskich, litewskich, francuskich, mówi o pochodzeniu rodzin, nazwiska te noszących? Chorobliwa manja utworzenia

[1]) Na niemieckiej istocie wszystko odrodzić się musi.

czystej rasy pchnęła Hitlera i jego zwolenników do zbrodniczej sterylizacji (279), potępianej słusznie przez Kościół. Rację ma Hitler, gdy piorunuje przeciw „środkom zapobiegawczym" płodzeniu dzieci, tak rozpowszechnionym zwłaszcza w Niemczech i we Francji, ale ustawy o sterylizacji przymusowej są wprost pogańskiem barbarzyństwem, które eunuchów sztucznie wytwarzało i usiłuje wytwarzać.

Wiosną r. 1912 przeniósł się Hitler do Monachjum, czysto niemieckiego miasta, z wiedeńskiego Babilonu przeróżnych narodowości. Dla młodzieńca wrażliwego na piękno linij i barw i dźwięków, Monachjum, główne ognisko niemieckiej sztuki, zrobiło ogromne wrażenie. Mimo bardzo trudnych warunków w zdobywaniu utrzymania, przylgnął całem sercem do tych Aten niemieckich, a rozważając, co Witelsbachowie dla upiększenia miasta zrobili, przeciwstawia monachijskie pomniki sztuki koszarowym budynkom modernistycznych drapaczy chmur. Trzechletni blisko pobyt w Monachjum przed wybuchem wojny światowej dlatego też ma epokowe znaczenie dla niego, że w tych gorączkowych latach przedwojennych skrystalizował się jego światopogląd polityczny. Z Austrji wyniósł przedewszystkiem nienawiść wszechniemiecką do katolickiej dynastji Habsburgów za to, że nie pozwoliła 10 miljonom Niemców austrjackich tak germanizować i gnębić 48 milj. innych narodowości jak to czynili Prusacy z Polakami w Poznańskiem, na Pomorzu i Śląsku. Co więcej jednak, on widział w trójprzymierzu Niemiec z Austrją i Włochami rzekomo już przed wojną klęskę Niemiec. Nigdy przymierze z Austrją i Włochami razem nie obiecywało korzyści, skoro te państwa dzielił stały antagonizm. Nadto łączenie się z rozkładającą się już Austrją i chorym tureckim człowiekiem, musiało pomnażać Niemcom wrogów, łasych na spadek austrjacki lub turecki. Zdaniem Hitlera, czy przed wojną czy po wojnie powziętem, należało oprzeć się o Anglję, w przymierzu z nią, należało już w 1904 r., jak to uczyniła Japonja, rzucić się na Rosję i zabrać jej tyle obszaru, aby na całe wieki, mnożące się o 900.000 ludności rocznie Niemcy znalazły dosyć ziemi na wyżywienie swego przyrostu. Że te obszary, mające być Rosji odebrane, były to przedewszystkiem nasze polskie ziemie, że pragnął swą nację uszczęśliwić

połykaniem Polaków i tępieniem ich, o tem nie pisze się wyraźnie, ale takiemi zamiarami rozbrzmiewała cała ogromna od r. 1874 literatura wszechniemiecka. [1]) A co głoszą piosenki niemieckie w rodzaju: *Was ist des Deutschen Vaterland?* Co jest Ojczyzną Niemca? Czy Prusy, czy Szwabja, lub Nadrenja? O nie, o nie! powtarza zaborcza pieśń: „Moja Ojczyzna większą być musi. Jak daleko tylko niemiecka mowa sięga i Bogu na niebie pieśń śpiewa, wszystkie te ziemie, dzielny Niemcze, zwij swoją własnością". Rosenberg, naczelnik propagandy w Niemczech, jest tylko kontynuatorem od 60 lat głoszonego *Drang nach Osten*, tak samo, jak głośny dziś w Anglji brunświcki prof. nauk wojennych Ewald Banse, który w podręczniku przeznaczonym dla niemieckiej młodzieży uniwersyteckiej p. t. *Wehrwissenschaft*, nietylko grozi Anglji najazdem i utratą imperjum brytyjskiego, ale przyszłe granice Niemiec wytycza od ujścia Sommy po góry Jurajskie z aneksją całej północnowschodniej Francji, anektuje Belgję, niemieckie kantony w Szwajcarji, Polskę, Czechosłowację, Danję, Litwę i t. p. Podobne granice wytyczała około r. 1890 broszura *Grossdeutschland im J. 1950*. Hitler w tym koncercie wszechniemieckiej zaborczości staje się obecnie pierwszym kapelmistrzem. Mówi o 4 drogach polityki niemieckiej wobec przyrostu ludności. Dla zabezpieczenia sobie przyszłości w granicach obecnych można albo iść śladem Francuzów, ograniczając sztucznie przyrost i wychowywać słabeuszy, albo przez parcelację latyfundjów junkerskich dać warsztat pracy przyrostowi ludności, co trąci komunizmem i szerzy zgubny pacyfizm, albo należy dać przyrostowi wygodne warunki życia w przemyśle i handlu, co jednak sprowadza konkurencję i konflikt z Anglją. Zostaje tylko jedyna droga zdobycia nowych obszarów na kontynencie europejskim, na Wschodzie. Brutalnie tedy uzasadnia niemieckie prawo do zdobywania nowych ziem na słabszych sąsiadach i tępienia zwłaszcza mniej wartościowych narodów słowiańskich (149). „Humanitarność jest, jego zdaniem, mieszaniną głupoty, tchórzostwa

[1]) Grossdeutschland im J. 1913 — Grossdeutschland im J. 1950, Der Kampf um die Ostmark. — Kampf um das Deutschtum in Steiermark u. in Kärnthen i t. d. Der weisse Adler im Kampf in der Ostmark. Das schlachtende Heer. Klara Vielig i t. d.

i wmówionej w siebie chełpliwości. Bezwzględnie przechodzi nad tem i zwycięża zawsze instynkt zachowania siebie. W wieczystej walce ludzkość stała się wielką, w wieczystym pokoju ginie" (148—9). „Dla Niemców hasło wewnętrznej kolonizacji jest zgubne, bo szerzy wygodny pacyfizm, przeszkadzający nam zdobyć to stanowisko, jakie się nam należy; jest ono dla Niemców koniecznością życiową, albowiem wszelka polityka zagraniczna w ten sposób byłaby sparaliżowana i przyszłość Niemców pogrzebana. Celem narodu niemieckiego jest stać się panem naszej planety. Nasz naród nie ma przyszłości bez zdobywania sobie nowej ziemi i nowych posiadłości".

„Gdybyśmy inaczej postępowali, staniemy wkrótce u końca naszej ziemi i u końca naszych sił" (149—150).

„Zdobywanie nowych ziem jest koniecznością na przyszłość, lecz nie należy ich szukać w Kamerunie, tylko w Europie. Trzeba sobie na chłodno wytłumaczyć, że to nie leży w wyrokach Opatrzności, by jeden naród otrzymał 50 razy więcej ziemi, niż drugi. Nie wolno nam się dać odwieść od dążenia do rozszerzenia naszych posiadłości ze względu na granice polityczne, bo ważniejsze od tych granic są granice wiekuistego prawa. Jeżeli nasza ziemia ma rzeczywiście dość przestrzeni dla wyżywienia wszystkich, wtedy niech nam dadzą potrzebną do wyżywienia ziemię! Oczywiście nikt nie uczyni tego z dobrej woli, ale w tym wypadku prawo do utrzymania samego siebie realizuje się wymuszeniem i co po dobroci się odmawia, to winna sobie pięść zabrać". „Gdyby nasi przodkowie swe poczynania byli uczynili zawisłemi od podobnej pacyficznej głupoty, jak dzisiejsza teraźniejszość, posiadalibyśmy dzisiaj zaledwie 1/3 naszego obszaru. Tylko dzielnemu zdecydowaniu do walki o byt zawdzięczamy obie marchje wschodnie, a tem samem wielkość i potęgę naszego państwa" (152). Klasycznym tego dowodem ma być powstanie potęgi pruskiej „która zaiste nie powstała zapomocą operacyj finansowych lub interesów handlowych, lecz dzięki promiennemu bohaterstwu i nieustraszonej odwadze żołnierskiej" (169). Taki światopogląd sformułował sobie obecny kanclerz Niemiec w latach 1912/14 w Monachjum, już wtedy, jak twierdzi, przewidując przyczynę klęski w so-

juszu z Austrją, w antagoniźmie handlowym do Anglji i wreszcie w rozkładającym nację niemiecką marksyzmie.

Za wywołanie wojny światowej nie wini Hitler Rządu niemieckiego. Wojny żądał cały niemiecki naród i nie była mu narzuconą, twierdzi to Hitler zgodnie z prawdą. Kto od r. 1874 siał ustawicznie wszechniemiecki wiatr, ten wkońcu musiał ściągnąć na siebie wszechniemiecką burzę. Przecież dzięki wszechniemieckiej propagandzie wojennej odrazu 2 miljony ochotników niemieckich zgłosiło się do boju, a Hitler sam na kolanach dziękował za tę wojnę (167). Wszyscy rozumieli, że nie chodzi w tej wojnie o Serbję lub Austrję, lecz, wedle Hitlera, o egzystencję narodu niemieckiego, a w rzeczywistości chodziło imperjalizmowi niemieckiemu o panowanie nad światem, w myśl hasła *Deutschland über alles.*

Uderza przy tem wszystkiem straszliwa nienawiść Hitlera do Słowian. Oświadcza, że już w klęsce zadanej Rosji przez Japończyków 1904 r. widział klęskę austrjackich Słowian, a na wieść o mordzie w Serajewie ucieszył się, że Franc. Ferdynand, największy przyjaciel Słowian, padł od kuli słowiańskiej (174). Hitler może nie wie, że na tę kulę słowiańską, gnębionych przez Węgrów Bośniaków, wiodły nieszczęsnego arcyksięcia niemieckie ręce, nienawidzące katolickiego następcy tronu, tak samo, jak wszechniemieckie z Hitlerem.[1])

Z wybuchem wojny zgłosił się jako ochotnik do wojska bawarskiego i całą kampanję przebył w bagnach nad Sommą lub w szpitalach, lecząc się z ran lub zatrucia gazem. Po wojnie wraca do Monachjum, gdzie sytuację i władzę opanowały zrazu najskrajniejsze żywioły socjalistyczne z Kurtem Eisnerem na czele. Reagowały przeciw tym rządom sfery wojskowe i stwierdziwszy w 30-letnim Hitlerze zdolnego agitatora, poleciły mu oświatową działalność najpierw wśród żołnierzy, a później wśród robotników. W ten sposób rozpoczął swą karjerę polityczną jako zdeklarowany nacjonalista, narażając się na prześladowanie ze strony rządzących w pierwszych miesiącach 1919 r. w Monachjum, Rad komunistycz-

[1]) Dr K. Krotoski: *Oświetlenie historyczne powodów wojny wszechświatowej.* Poznań, 1922.

nych. Dnia 27. IV. chciano go nawet aresztować, ale karabinem odpędził 3 wysłanników komuny. Po upadku rządów komunistycznych otrzymał Hitler rozkaz brania udziału w kursach nauki obywatelskiej, przeznaczonych dla żołnierzy. Tutaj upatrując główną przyczynę załamania się Niemiec w rzekomej zdradzie listopadowej socjalistów i centrowców, postanowił stworzyć nową partję z narodowo-socjalistycznym programem, głównie pod wpływem wykładów ekonomicznych niejakiego Gottfrieda Federera, o konieczności skruszenia jarzma dłużniczego w kwocie 100 miljardów marek, narzuconego Niemcom przez Koalicję, przy pomocy międzynarodowego kapitalizmu. „Ten międzynarodowy kapitalizm, zdaniem Federera, podzielanem przez Hitlera, był głównym podżegaczem do wojny światowej, a po zakończeniu tej wojny wszystko czynił, by nasz pokój w piekło zamienić" (233). „Walka z międzynarodowym kapitałem wypożyczkowym stała się jednym z najważniejszych punktów programu partji narodowo-socjalistycznej". To pisze Hitler dlatego, że Niemcy nabrawszy w bankach amerykańskich, angielskich, szwajcarskich i holenderskich na 20 miljardów Mk. pożyczek, nie chcą i nie mogą ich spłacić wedle orędzia dyrektora Banku Rzeszy p. Schachta. „O co się toczy walka w Niemczech?" pyta się patetycznie Hitler i odpowiada: „O zabezpieczenie i istnienie naszej rasy i naszego ludu, o wyżywienie jego dzieci, o utrzymanie czystej krwi, o wolność i niezawisłość naszej ojczyzny, aby nasz naród dojrzał do spełnienia wyznaczonej mu przez Stwórcę naszego wszechświata misji" (234), t. zn. misji podbicia całego świata, albowiem *Am Deutschen Wesen muss alles genesen.* W kręgu tego rodzaju wykładów i dyskusyj dojrzewa agitatorski zmysł Hitlera, zaczyna czynnie występować na zebraniach, a przez arcyzręczną i druzgocącą polemikę z obrońcami żydów, zdobywa sobie olbrzymi wpływ w całej załodze monachijskiej, a nawet stopień porucznika oświatowego.

Wystąpienie publiczne Hitlera na zebraniach zwróciło na niego uwagę drobnej grupki, organizującej się dopiero, partji niemiecko-robotniczej *Deutsche Arbeiterpartei,* która go bez jego wiedzy do swego grona przyjęła z tego powodu że jakiemuś bawarskiemu separatyście, zwalczającemu łącz-

ność z Prusami, dał należytą odprawę. Przybył więc na zapowiedziane zebranie tego stowarzyszenia i zastał w niem zaledwie paru członków, w liczbę których przyjęto go jako 7-mego zrzędu. W kasie partji było zaledwie 7 mk. 50 fen. Partja nie posiadała ani programu, ani legitymacji dla członków, ani pieczęci towarzystwa. Ponieważ Hitler miał zamiar stworzyć własną partję dla szerzenia własnego nacjonalistyczno-socjalnego światopoglądu, skorzystał z przyjęcia do tej małej grupy i rozpoczął olbrzymie dzieło zorganizowania nacji niemieckiej w jednem stronnictwie (236—241).

Niełatwo czytelnikowi się uporać z tasiemcowemi ekspektoracjami Hitlera, na temat załamania się Niemiec w wojnie i po wojnie. Usiłuje on niemi skaptować dusze niemieckiego robotnika i chłopa dla swej wszechniemieckiej ewangelji. Jest to istny misz-masz prawdy i kłamstwa, naiwności i obłudy, *ad captandam benevolentiam* niemieckiej zarozumiałości i zaborczości. Głównymi np. sprawcami wojny i upadku Niemiec byli żydzi, a zwłaszcza „prasa żydowska, która każdą prawdę krzyżowała" (253). Jak ją krzyżowała, dowodzi, zdaniem Hitlera fakt, „że głosiła przed wojną pacyfizm w tej chwili, gdy inny świat gotował się, aby Niemcy udusić" (262). Ta prasa żydowska, w marksystycznych czy demokratycznych organach roztrąbiła w świat „kłamstwo" (!) o niemieckim militaryźmie, podczas gdy równocześnie „socjalistyczne i demokratyczne stronnictwa w parlamencie przeszkadzały należytemu wyszkoleniu niemieckiej siły zbrojnej" i dlatego wysłano miljony nieprzygotowanej młodzieży w bagna flandryjskie na śmierć (298). Słusznie piętnuje Hitler rozpustę i zgniliznę obyczajową w Niemczech, ale czy jego obłędny rasyzm i sterylizacja nie jest równem złem? (272) Dużo światła na rzekome sympatje do katolicyzmu Hitlera rzuca takie zdanie: „Niemałą winę w wytworzeniu smutnych naszych stosunków religijnych ponoszą ci, co religijne poglądy obciążają czysto ziemskiemi sprawami i wywołują niepotrzebny konflikt ze ścisłą wiedzą. W tym wypadku, po ciężkich walkach, zwycięstwo przypadnie wiedzy, a wiara w oczach prostaczków poniesie wielką szkodę" (!) (294). Czyż to nie obłudny gest wolnomyśliciela występującego rzekomo w obronie wiary prostaczków, a głoszącego przytem, że w walce z t. zw.

ścisłą nauką broni religja już zgóry przegranej sprawy! Rację ma Hitler, głosząc, że największymi szkodnikami religijności są ci, którzy religją posługują się jako środkiem politycznym (294).

Czyż tego nie stwierdza na całej linji nacjonalizm, obłudnie proklamujący swą prawowierność dla pozyskania mas, a równocześnie w życiu publicznem podkopujący podwaliny wiary i etyki chrześcijańskiej? Czyż Hitler ze swymi zwolennikami nie jest winien tego samego faryzeizmu wobec chrześcijaństwa i Kościoła, tylko w wyższym stopniu, niż nacjonaliści innych narodów, gdy swemi światoburczemi zasadami i poglądami bije taranem w Kościół i naukę Chrystusa, a obrońców tej nauki prześladuje? Listopad 1918 r., był zdaniem Hitlera, zdradą własnego kraju ze strony socjalistów i centrowców i dlatego odrodzenie mogło przynieść tylko rozbudzenie narodowego ducha. Tylko masy znacjonalizowane tworzą nieprzepartą siłę i o znacjonalizowanie tych mas pokusił się Hitler swoją doktryną.

Można tę doktrynę jako zgubną potępiać, ale jednak przyznać Hitlerowi należy, że jest genjalnym agitatorem i równie genjalnym organizatorem i dzięki temu w ciągu jednego roku opanował całe Monachjum, znajdujące się od 1887 r. pod wyłącznym prawie wpływem socjalizmu. Dzieła tego dokonał nietylko swą wymową, porywającą prosty lud niemiecki dla ideałów nacjonalistycznych, ale genjalną organizacją strażniczą t. zw. Schutzabteilung, złożoną z samych byłych żołnierzy, ludzi zdecydowanych, sfanatyzowanych do walki z komunistami i socjalistami. Po kilku posiedzeniach w r. 1919 gdzie przeciwników pięścią, kijem lub pałką gładko za drzwi wyrzucano, partja Hitlera wzrosła szybko do takich rozmiarów, że w r. 1920 największe lokale monachijskie nie mogły pomieścić jego zwolenników, co więcej, na zebraniach socjalistycznych tysiącami robotników na stronę Hitlera przeciągano. W ten sposób do r. 1923 całe Monachjum było w ręku „wodza-Führera", który choć zrazu uwięziony, musiał patrzeć na rozwiązanie swej partji, po roku wypuszczony zdołał na wzór Monachjum, owładnąć całą Rzeszą niemiecką i z pomocą 400.000 S. A. szturmowców wprowadzić w nią

komunizm socjalny, opanować katolickie centrum i pruskich junkrów nacjonalistów, militarystów i przemysłowców.

Spowiedź Hitlera nie należy do książek pociągających. Jego rozumowania filozoficzno-polityczne na temat np. „Nacja i rasa" lub „Światopogląd a partja" lub „Państwo" lub „Przynależność państwowa a obywatel państwa" lub „Osobistość a nacjonalistyczna myśl państwowa" lub „Światopogląd a organizacja" lub „Zasadnicze myśli nad sensem i organizacją narodowego socjalizmu" i t. d. bynajmniej łatwo się nie czytają. Czemu więc przypisać, że książka ta o treści niezbyt przystępnej, w krótkim czasie w 23 wydaniach i 1.040.000 egzemplarzach się ukazała? Czy tylko swobodnemu i dość oryginalnemu stylowi, czy może poprostu rozpowszechnieniu i triumfowi hitleryzmu w Niemczech? Z pewnością jeden czy drugi z przytoczonych momentów przyczynił się do wyjątkowej popularności tej książki. Nie wystarczają one jednak do wytłumaczenia faktu, że ona stała się dziś jakby nową ewangelją dla dzisiejszych Niemców.

Doktryna Hitlera nie jest czem innem, jak nowem, do stosunków powojennych zastosowanem wydaniem Schönererowskiej wszechniemieckości, która od r. 1874 fascynowała świat niemiecki i pchała go do zdobycia panowania nad światem. Wojnę o to panowanie przygotowali i wywołali sami; zamiast zwycięstwa spotkała ich zasłużona klęska. Zrozumieć tego obłędny nacjonalizm wszechniemców nie mógł, i po dziś dzień nie chce i nie może. Skompromitowany klęską chwilowo usunąć się musiał na drugi plan, a władzę przywłaszczył sobie socjalizm wraz z centrum. Słabe rządy socjalistyczno-centrowe, ustępliwe wobec zwycięskiej koalicji, a zmuszone liczyć się z nacjonalistyczną opozycją, nie zadowoliły nikogo i stały się powodem gwałtownej reakcji nacjonalistycznej. Na czoło tej reakcji wybił się Hitler właśnie dlatego, że wyszedłszy z wszechniemieckiego nacjonalizmu austrjackiego najmniej z realnem życiem się liczącego, więc tem krzykliwszego i maksymalizmem nacjonalistycznym przejętego, dzięki swym agitatorskim zdolnościom wysunął się na przywódcę nacjonalistycznej reakcji, ze wszystkiemi jej utopjami, obłędami, aspiracjami i brutalnemi gwałtami. Uznać właściwych sprawców klęski niemiec-

kiej, znaczyłoby potępić własną dotychczasową działalność i własny program. Trzeba było szukać kozła ofiarnego klęski. Tym kozłem ofiarnym przy wszystkich klęskach w ciągu wieków był zawsze żyd. Był nim w końcu XI wieku, kiedy w czasie 1-szej wyprawy krzyżowej za Władysława Hermana pierwsze grupy żydowskie napłynęły do Polski, był nim w czasie „czarnej śmierci" w r. 1346, posądzany o zatruwanie studzien, kiedy prześladowani znaleźli gościnne przyjęcie w Polsce Kazimierza Wielkiego. Był nim w XV wieku, kiedy go posądzano o używanie krwi dzieci chrześcijańskich i bezczeszczenie Hostyj konsekrowanych z nienawiści do Chrystusa Pana i za to setkami na stosach palono we wszystkich znaczniejszych miastach niemieckich, kiedy prześladowane masy żydowskie znalazły gościnne schronienie w Polsce Kazimierza Jagiellończyka, potrzebującego żydowskiego pogłównego na wojnę z Krzyżakami.

Kiedy więc Hitler głównie na żydów spędził winę klęski, na żydowski międzynarodowy kapitalizm, na marksyzm żydowski, znalazł odrazu poklask powszechny, choć w pewnej tylko mierze uzasadniony. Co sądzić jednak o takich zarzutach, jakoby żydzi rozdmuchali nienawiść miedzy katolickimi Bawarczykami, a protestanckimi Prusakami (623), albo że antagonizm między katolicyzmem a protestantyzmem był zgoła dziełem rąk żydowskich, nietrudno osądzić (629).

Niemałą popularność zdobyła sobie książka *Mein Kampf* gryzącą krytyką wszystkiego i wszystkich. Sporo zarzutów stawia ona rządom cesarskim w rozdziale X o przyczynach załamania się (str. 245—311), a pieni się wprost na przywódców rewolucji z roku 1918, socjalistów i centrowców, drwi z tchórzliwości burżuazji niemieckiej, urzędników i ministrów. Wychodząc z zasady, „żeby nie wieszać małych złodziei, celem puszczenia bezkarnie wielkich", pragnąłby Hitler w przyszłości ustanowić niemiecko-nacjonalistyczny trybunał, któryby jakich 10.000 zbrodniarzy listopadowych, t. j. twórców republiki i konstytucji weimarskiej, jako zdrajców narodowych na śmierć zasądził" (611). „Przy tępieniu t. zw. zdrajców ojczyzny śmiesznem jest i nielogicznem pozbawiać życia pachołka, psującego np. armatę, a równocześnie utrzymywać na najwyższych stanowiskach kanalje, które

całe państwo sprzedały, mają na sumieniu daremną ofiarę 2 milj. ludzi poległych i odpowiadają za całe miljony inwalidów, a przy tem jednak z całym spokojem robią znakomite interesa republikańskie" (610). Politycy zwycięskiej rewolucji socjalistyczno-centrowej także i pod względem polityki zagranicznej stali się szkodnikami nacji niemieckiej. Jeżeli zagraniczna polityka przed wojną szwankowała, wskutek błędów popełnionych przy zawieraniu fatalnych sojuszów, to powojenna polityka zagraniczna kulała wskutek braku uczciwej woli (684). „Republikańscy politycy nie mieli interesu w odbudowaniu ojczyzny i w sprzeciwieniu się umiędzynarodowieniu niemieckiej gospodarki, a tymczasem nie można podnieść narodu bez znacjonalizowania go" (685).

Że pod wpływem tego rodzaju agitacji chorujące już od 60 lat na szał nacjonalistyczny, masy niemieckie na nowo ocknęły się, wszelkie międzynarodowe naloty precz odrzuciły od siebie i niebywały sukces przyniosły apostołowi spotęgowanej wszechniemieckości, wynosząc go na kanclerza, a raczej dyktatora zupełnie zunifikowanych Niemiec, nie można się dziwić.

Najważniejszą jednak częścią jego spowiedzi są ostatnie jego rozdziały, poświęcone zagranicznej polityce hitlerowskich Niemiec. Są one nietylko ciekawem, ale arcyciekawem, a nawet groźnem momento dla całej Europy, zwłaszcza dla wszystkich sąsiadów Niemiec, a przedewszystkiem dla nas Polaków. „Jeżeli przed wojną, zdaniem Hitlera, zadaniem polityki zagranicznej mocarstwa niemieckiego było zabezpieczenie wyżywienia naszego narodu i jego dzieci, to po wojnie pozostaje ten sam cel imperjalistyczny z przygotowaniem sił do zdobywania sobie mocarstwowej potęgi w celu utrzymania i wyżywienia nacji naszej na przyszłość, innemi słowy: celem zewnętrznej polityki Niemiec jest przygotowanie do odzyskania wolności na przyszłość" (687). Kwestja odzyskania utraconych terytorjów państwa, jest w pierwszej linji kwestją odzyskania dawnej potęgi w kraju macierzystym, wobec czego interesy oderwanych ziem, czy prowincyj muszą zejść na drugi plan. Odzyskanie utraconych prowincyj dokonywa się nie na życzenie uciśnionych, lecz środkami przemocy niezawisłej macierzy

państwowej. Podbite kraje wracają na łono ojczyzny nie zapomocą płomiennych protestów, lecz zapomocą gotowego do walki miecza. Kucie tego miecza jest zadaniem wewnętrznej polityki, uskutecznienie zaś tej roboty kowalskiej zależy od wyszukania towarzyszy broni, a to jest zadaniem polityki zagranicznej" (688—9). Towarzyszami broni, t. j. sojusznikami w przyszłej wojnie odwetowej, głównie przeciw Francji skierowanej, mogą być tylko Anglja i Włochy". Anglja wprawdzie nie życzy sobie mocarstwowego stanowiska Niemiec w świecie, ale Niemcy o to stanowisko nie walczą, walczą tylko o byt swej ojczyzny, o zjednoczenie swej nacji i o chleb powszedni dla swych dzieci" (699). Jak ta troska o byt i chleb dla niemieckich dzieci w rzeczywistości wygląda, zobaczymy poniżej. Hitler dodaje, że „przewaga militarna Francji wywiera wielki nacisk na serce brytyjskiej potęgi światowej, a Włochy nie życzą sobie przewagi Francji w Europie, zatem Anglja i Włochy nie sprzeciwiają się zasadniczo interesom Niemiec" (700). „Francja jest rabusiem, a inni biorą udział we francuskich rabusiowskich wyprawach wobec płaczliwych protestów naszych nacjonalistów" burżujskiego autoramentu (701). „Niemcy, mimo wojny światowej, jaką z całym światem prowadzili, nie są potęgą światową. Za małe posiadają terytorjum wobec Anglji, Rosji, Chin, St. Zjednocz. i Francji. We Francji powstaje mulatowa rasa bastardów murzyńskich. Niemcy nie posługiwały się w swych wojnach murzynami (730), Niemcy muszą szukać nowych ziem dla swej przyszłości, jako przedstawiciele najszlachetniejszej rasy na tej ziemi, i na tem polega misja narodowa socjalizmu, aby hodować nietylko szlachetne konie, szlachetne psy, ale i ludzi" (732).

„Granice z r. 1914 nie dadzą nacji niemieckiej satysfakcji, ani nie zabezpieczą jej przyszłości i o te granice nie warto krwi przelewać (738). Musimy dla naszej nacji tyle ziem zdobyć, aby na przyszłość przez osadzenie kolonistów nacja niemiecka miała na zawsze zabezpieczone źródło wyżywienia. Wzgląd na skrzywdzenie drugich nie powinien odgrywać roli. Nie istnieje prawo do posiadania ziemi; ziemię się zdobywa; tylko w sile zdobywców istnieje prawo. Granice państwa tworzą ludzie, i ludzie je zmieniają. Fakt posiadania

niezmierzonych terytorjów przez jakiś naród, nie jest żadnym prawnym tytułem do wieczystego tegoż uznawania — dowodzi najwyżej siły zdobywania, a słabości pokrzywdzonych" (740). „Konieczność ostatecznej rozprawy z Francją wszyscy uznajemy, to jednak nie wyczerpuje zadań naszej polityki zagranicznej; bez rozszerzania atoli naszych terytorjów, jako przestrzeni do wyżywienia narodu, nie miałaby polityka nasza sensu". „Nie w pozyskiwaniu kolonjalnych obszarów mamy szukać rozwiązania tej kwestji. W pozyskaniu obszarów, łączących się z macierzystą ziemią, by przez skolonizowanie ich naszymi osadnikami rozszerzone terytorja uczynić podwaliną przyszłej naszej potęgi" (741). Ruch socjalno-narodowy nie ma być obrońcą innych narodów. Nie chcemy być policją ochronną dla małych, biednych narodów, lecz tylko żołnierzami naszego własnego. Prawo zaś do zdobywania nowych ziem może stać się obowiązkiem wtedy, gdy bez rozszerzania terytorjum wielki naród zdaje się być poświęconym na zgubę, zwłaszcza gdy chodzi o germańską macierz wszelakiego życia, które na dzisiejszym świecie nosi kulturalne piętno. Jest więc dla Niemiec konieczne, żeby stać się światową potęgą" (742). „Dlatego my narodowo-socjalni przekreślamy politykę czasów przedwojennych i zaczynamy stąd na nowo, gdzie przed 6-ciu wiekami zakończono. Zahamujemy odwieczny pochód na Zachód i Południe, a zwrócimy naszą uwagę na Wschód. Kończymy nareszcie z naszą polityką handlową i kolonjalną i przechodzimy do polityki agrarnej przez zdobywanie nowych gruntów na Rosji i okalających ją państewkach. Los sam daje nam wskazówkę dzięki bolszewizmowi, ktory zniszczył inteligencję rosyjską, podtrzymującą rosyjską państwowość" (742). „Rosję stworzył nie mało wartościowy żywioł słowiański, lecz państwowo twórczy żywioł germański. Ten element zczasem się zużył, a Rosją owładnął Żyd niezdolny do organizacji, lecz tylko do rozkładu. Rosja jako państwo żydowskie stoi w przededniu upadku, a nam narodowo-socjalnym losy wyznaczyły misję rosyjskie obszary mieczem zdobyć a pługiem niemieckim owładnąć" (743). Opozycja przeciw wschodnio-zaborczej polityce powołuje się na Bismarcka" (745). „Głupią jednak była polityka, zajmująca się

podbitemi narodami, jak Egipt, Indje, Turcja" (746). „Dlaczego dziś sojusz z Rosją dla Niemiec jest niemożliwy? W rosyjskim bolszewiźmie mamy do czynienia z podjętą w XX w. próbą żydostwa, aby sobie przywłaszczyć panowanie nad światem; dlatego walka przeciw żydowskiemu zbolszewizowaniu świata wymaga otwartego stanowiska przeciw Rosji Sowieckiej. Nie można przecież djabła wypędzać belzebubem" (751—2).

Tak pisze Hitler o Rosji, dobierając się w gruncie rzeczy przedewszystkiem do naszej polskiej skóry, boć droga do obszarów rosyjskich, przeznaczonych na kolonizację niemiecką i na połączenie z niemiecką macierzą idzie przez polskie terytorjum. Dlatego też dla nas, Polaków, jest niesłychanie ważny testament polityczny Hitlera. „Nie dopuścić, przykazuje tenże, do wytworzenia się dwóch mocarstw na kontynencie Europy". „Upatrujcie w każdem usiłowaniu organizowania drugiej potęgi militarnej nad granicą Niemiec, a choćby tylko w formie utworzenia państwa zdolnego do wytworzenia potęgi militarnej — zaatakowanie Niemiec i upatrujcie w tem nietylko prawo, ale i obowiązek przeszkadzania w utworzeniu tego rodzaju państwa choćby z użyciem siły zbrojnej, wzgl. w razie gdyby już powstało, do rozbicia go wszelkiemi siłami". Postarajcie się o to, by siła narodu niemieckiego znalazła podstawę nie w kolonjach, lecz w ziemi ojczystej Europy. Nie poczytujcie Rzeszy za całkiem zabezpieczoną, dopóki nie zdoła na setki lat potomstwu naszej nacji dać na własność kawał gruntu i roli! Nie zapominajcie nigdy, że największem prawem na tej ziemi, jest prawo posiadania własnej ziemi, którą się chce własnemi siłami uprawiać i że największą ofiarą jest krew, która się ma przelać na zdobycie tej ziemi" (755). „Zniszczenie Francji i pozyskanie olbrzymich obszarów na Wschodzie kosztem Polski i Rosji, oto zasadniczy program polityki hitlerowskiej" (757). „Cokolwiek nam niebo przeznacza, kończy Hitler swój testament polityczny (758), po spuszczonym do walki hełmie mają nas poznać." I przyznać trzeba, że ta zaborcza, wojownicza zapowiedź Hitlera jest znacznie uczciwsza od pokojowych Lokarnów Stresemanna.

Wywody Hitlera stoją na gruncie nawskroś pogańskim, takim samym, na jakim stała dawna Roma, uważając siebie za uprawnioną do podbicia całego świata starożytnego, lub nowożytna Japonja do opanowania Chin.

Na szczęście w Europie żyjemy w erze chrześcijańskiej od $1^1/_2$ tysiąca przeszło lat. Przyznajemy niestety, że w tej chrześcijańskiej Europie duch pogański od czasu do czasu podnosi butnie głowę i krwawemi szlakami zaznacza swoje pochody. Ile razy jednak gwałtem i mieczem usiłował opanować Europę, tyle razy legł pognębiony na arenie dziejowej. Światoburcze zapędy Hohenstaufów skończyły się śmiercią ostatniego ich potomka pod toporem kata. Z całą Europą walczył Ludwik XIV o hegemonję w Europie, a podkopał tylko potęgę Francji i tron swej dynastji. Genjusz wojenny Napoleona triumfy odnosił od Hiszpanji po Moskwę i ze złamanemi skrzydłami, jako więzień, skończył na wyspie św. Heleny swój lot światowładny. Po sukcesach Bismarcka wszechniemiecki ruch po 40-letniej propagandzie zerwał się do podboju świata i doprowadził Niemcy nad Marnę! Należy się spodziewać, że obecnie przez hitleryzm wznowione światoburcze zapędy niemieckie pójdą tak samo na marne, tembardziej, że ostrzeżony przez zaborcze ekspektoracje Hitlera Zachód i Wschód Europy, znajdą dość sił odpornych, aby w dzisiejszych chrześcijańskich czasach położyć kres prawu Brennusa, opartemu na ostrzu miecza.

Ufajmy, że Chrystus, który zwyciężył świat, zwycięży także nacjonalistyczny, pogański świat niemiecki!

Czy jednak światopogląd Hitlera z r. 1925 jest jeszcze światopoglądem dzisiaj i będzie nim jutro...?

Dr K. Krotoski.

Współczesna literatura francuska.

Prądy, pisarze i dzieła.[1])

Przewroty polityczne dokonywują się zawsze w ciągu niewielu lat, duchowa przemiana zaś przygotowuje się przez lat dziesiątki i realizuje nieznacznie, w każdym razie prawie niepostrzeżenie. I tak dzisiejsza niemiecka literatura miała swych poprzedników w epoce jedynowładczego liberalizmu i jego artystycznego odpowiednika: mieszczańskiego realizmu; wyczuwało się ją jako podziemny prąd obok naturalistycznej i impresjonistycznej poezji epoki marksowskiej, a wywodzi się ona bezpośrednio z literatury ekspresjonistycznej lat powojennych. Zupełnie podobnie było we Francji. Z bezpośrednich przodków dzisiejszej literatury francuskiej kilku należy jeszcze do epoki mieszczańskiego realizmu: Lautréamont, Hello, Gobineau; inni bytowali obok naturalizmu np. Laforgue i Dujardin, jeszcze inni wreszcie uchodzili w czasie rozkwitu symbolizmu, w początkach naszego stulecia, za zwarjowanych dziwaków, jak Jarry, albo ograniczali

[1]) Artykuł w ramach tak szczupłych jak niniejszy, nie może rościć sobie pretensji ani do wyczerpującej całości, ani do wszechstronności. Nam chodziło tutaj o ukazanie zasadniczych prądów współczesnego piśmiennictwa francuskiego. Następnie wymieniamy dla przykładu kilku autorów i ich dzieła, w których się te prądy najznamienniej przejawiają. Niechaj czytelnik się nie dziwi, że brak tutaj pisarzy tej miary co Maeterlinck: ten za naszych czasów nie dodał nic ważnego do swego dawno zakończonego dzieła, chociaż i wydał ten lub ów nowy tom. Przy poszczególnych nazwiskach nie należy spodziewać się chociażby nawet zaczątka pełnej bibljografji. Chodzi nam tutaj jedynie o wielkie zarysy ważnego i — naszem zdaniem — decydującego ruchu, ktory, jak i w innych krajach europejskich, prowadzi do zmiany umysłów, przygotowując ją zarazem i wyrażając przez twórczość literacką.

się w swym wpływie do ciasnego koła snobów i smakoszów literackich, jak André Gide, Paul Valéry i Larbaud.

Dopiero tuż przed wielką wojną zarysowały się wielkie linje, które zasadniczo ujmują obraz współczesnej literatury francuskiej. Oto motyw przewodni: niepokój, szukanie nowej treści i nowych form, odwrót od przekazanych tematów i zapatrywań na literaturę. W szczegółach: rozszerzenie przestrzeni literackiej na najdalsze kraje, nie ograniczając się tylko do Francji i do nielicznych „książkodajnych" narodów, które romantyzmowi, realizmowi i naturalizmowi wydały się godne uwagi; pęd do wyrwania się poza granice globu, w kosmiczne zaświaty, w krainę fantazji, legendy i mitu; żądza docierania do najskrytszych tajników naszej duszy i podsłuchiwania odruchów podświadomości i nieświadomości. Następnie: chodzi o zgłębienie i zbadanie nietylko istoty poszczególnego człowieka, lecz również i istoty społeczności, a więc odrębności narodów, ras, plemion, o dostrzeganie niezliczonych twarzy ziemi rodzimej. Wreszcie: należy zastanowić się nad własnem dziedzictwem ojców, zdobyć je na nowo zapomocą jasnego osądu, utwierdzić z dumą i bohatersko przedstawić czytelnikowi o obcej psychice, umocnić je i godnie obronić.

W czasach kiedy nieświadoma zagranica uważała jeszcze za właściwych przedstawicieli literatury francuskiej: wyprany humanitaryzm takiego Zoli i jego pomniejszych uczniów, wymęczony artyzm takiego Anatola France'a, bezczasowy, hołdujący modzie „szlagierowy" dramatyzm bulwarowy takiego Bernsteina, podczas gdy obdarzeni większą zdolnością krytycyzmu, cudzoziemscy znawcy francuskiego piśmiennictwa rozkoszowali się symboliczną poezją, która późno zdobyła sobie uznanie, już wówczas walczyli we Francji pionierzy dnia dzisiejszego o młodzież, poddaną bolesnym próbom na polach bitew. Charles Maurras werbował zwolenników dla „integralnego nacjonalizmu" „Action Française". Przeciwieństwem co do stylu i myśli skamieniałego w żelaznej karności Maurras'a był Maurice Barrès, bliski jednak tamtemu ze względu na wspólny cel. Romain Rolland głosił uduchowioną wiarę w ludzkość, niepodobną ani do płaskich rozczulań się Zoli, ani do wygodne

cierpliwości Anatola France'a. André Gide bronił błyskotliwemi sztuczkami bezcelowości bytowania, rozpaczającego nad swemi niskiemi celami. Henri Bergson zaś poznał sens życia we wzniesieniu się ku wyższym celom. Paul Claudel, któremu Léon Bloy wskazał tę drogę, dążył poprzez wzlot jako cel ostateczny, poprzez ruch jako cel, ku wiekuistej, niezachwianej prawdzie, którą odkrył w katolicyźmie, będącym zarazem ponadczasowem, ponadnarodowem wyznaniem i uświęconą przez historję formą myślenia Francji.

Ci pisarze, o których mówiliśmy w tej chwili jako o przywódcach literatury, brali udział w wojnie wyłącznie piórem. Urodzeni w latach od r. 1859 do r. 1869, nie należą już do bojowników, przelewających krew dla ojczyzny. Ale ich najbliżsi uczniowie doświadczyli owych potężnych lat na własnej skórze: jedni z nich padli chwalebnie jak Ernest Psichari, nawrócony wnuk Renana i Charles Péguy, którzy wraz z Claudelem przywrócili katolicyzmowi w literaturze utracone poważanie; inni przynieśli z frontu ów nowy pogląd, głoszony przez mistrzów, a teraz ostatecznie utwierdzony, pogląd, który nie chciał słyszeć o literackiej spuściźnie *du stupide dix-neuvième siècle.*

W pełnych namiętności i cierpienia latach powojennych jedna szkoła literacka goniła drugą; zaledwie zdawało się jednej, że przepędziła swą poprzedniczkę, już i ją zdetronizowano. Powątpiewano we wszystkie przekazane, a jeszcze bardziej w dopiero co ustanowione wątpliwe wartości, odrzucano je na śmietnik i wydobywano zpowrotem. Jeśli nie było to szaleństwem, to w każdym razie było metodą, a przeważnie jednem i drugiem równocześnie: i szaleństwem i metodą. Literacka rewolucja rozpoczęła się dadaizmem, owym bolesnym krzykiem chorych na malignę, podjętym przez szereg sprytnych tchórzów w tym celu, aby jako rzekomi warjaci, mogli uchylić się od służby wojskowej. Zwolna dadaizm, wojenne dziecko abnegatów wojny przekształcił się w surrealizm, który zdobył się na prawidłową szkołę (nie chcąc oczywiście nic słyszeć o dźwięku dzwonów) i starał się nawet przy pomocy troskliwie pracującego biura o ład w nieładzie.

Około r. 1925 skończyła się ruchawka. Dadaizm wyjąkał się, wypaplał. Przedstawiciele jego albo wstąpili w szeregi walczącego komunizmu i poddali się panującym tam burżuazyjnym obyczajom literackim, albo też, i to odnosi się do najzdolniejszych z tego koła, przyłączyli się do tych kierunków, które po zamieszaniu i gmatwaninie szalonego siedmiolecia inflacji francuskiej, dążyły z uporem do nowego ładu.

Czyżby nim miało być „odburżuazowane", ulepszone demokratyczne społeczeństwo? Czy też proletarjacka Francja, wyzbyta łączności z swoją dumną przeszłością? Czy nowa, na sile i dzielności ugruntowana monarchja? Czy chrześcijańskie państwo stanów? Czy też poprostu społeczność, obejmująca wszystkie wartościowe siły, utwierdzająca całą tradycję narodu, nie wypierająca się św. Ludwika i Wielkiej Rewolucji, Dziewicy Orleańskiej i bohaterów z barykad *trois glorieuses*, scholastyków z Sorbony i Descartes'a, Racine'a i Victora Hugo, przedewszystkiem zaś przyszłości, która czerpiąc z przeszłości wypełniła jednak teraźniejszość szumiącem życiem.

W każdym razie głowy najlepsze i najroztropniejsze nie chcą już powracać do liberalnej, mieszczańskiej wygody myśli i pisania, co było we Francji zwyczajem aż do wielkiej wojny. Znamiennym objawem tego jest niewiarygodnie szybki spadek uznania, którem cieszyli się Anatol France i Renan, — i uwieńczona powodzeniem — próba dostosowania się do nowych czasów, którą podjęli w ostatnich latach ulubieńcy konserwatywnej, wielko-burżuazyjnej publiczności: Paul Bourget, Henry Bordeaux.

Jeśli ktoś bronił znużonego sceptycyzmu, to czynił to z omamiającą chytrością i artystyczną finezją; z polemiczną zręcznością, jak to czynili wybitni krytycy: Pierre Lasserre, Paul Souday i Albert Thibaudet; ze zwodniczą sofistyką, jak to czynił spadkobierca wątpliwości Renana, niezmiernie wpływowy jako nauczyciel całej generacji wychowanków wielkiego liceum paryskiego, rozsyłający wśród świata uniwersyteckiego pod pseudonimem „Alain" swoje „Propos" o zagadnieniach chwili i zagadnieniach ludzkości. Liberalnym jest przebiegły, zaczepny Julien Benda, czu-

purny przeciwnik, nawet w procesie z Bogiem (*La fin de l'Eternel*), któremu zarzuca karygodne *laisser-faire, laisser-aller* wobec dzieła stworzenia, wytworny tłumacz filozofji dla wykwintnych pań (*Lettres à Mélisande*) i nieubłagany oskarżyciel „intelektualistów" (*La trahison des clercs*), którym ma za złe przystosowywanie się do okoliczności, podczas kiedy — według zdania Bendy — powinni, jakby żyjąc w próżni, pozostać wiernymi wiedzy dedukcyjnej bez względu na następstwa.

Kiedy Benda broni swego liberalnego deizmu z podejrzanym zapałem, nasuwającym nieomal przypuszczenie, jakoby się jednak obawiał wkroczenia wygnanych potęg w swoje niebieskie granice, to Paul Valéry ze swoją uprzejmą obojętnością wobec transcendentu jest najprawdziwszym przedstawicielem przezwyciężonego światopoglądu, gorączkującego się o nic (i przeciwko niczemu), późny potomek epoki oświecenia, którą kiedyś sławił jako najszczęśliwszą i najmędrszą w historji. Valérego, wywodzącego się z matematyki i fizyki, ujmującego życie *more geometrico*, przed ofiarowaniem swej przychylności obrzydliwej, małomieszczańskiej demokracji uchronił jego wykwintny smak i bystry rozum. Głosił on w poezji i prozie wyłącznie ziemską radość rozkoszy i towarzyszącą rozkoszy a potęgującą ją kokieteryjną zadumę nad przemijaniem wszystkiego co doczesne, jak ongiś któryś z dzierżawców podatków z czasów Ludwika XV, jak M. Teste, najpodobniejszy do Valéry'ego bohater, sobowtór i jego rzecznik. Liryka w swej mentalności znowu niefałszowany, niezaprzeczalny w. XVIII — ukazuje Paula Valéry, autora *Jeune Parque, Cimetière marin, Pythie,* jako kryjącego się za symbolami i porównaniami indywidualistę, któremu jakikolwiek związek z nadrzędnym kolektywem wydaje się głupi i poniżający, dalej: jako zarozumiałego przeciwnika wypartego Boga, któremu mniema się być równym, jako wirtouza, z którego jednak wkońcu nic nie zostanie prócz zadziwiającej samochwalby — do której musimy się przyłączyć — *qualis artifex pereo!* Jakiż artysta odchodzi na zawsze ze sztuką tak obcą najwyższemu celowi! Proza Valéry'ego, cudownie-harmonijne dialogi o architekturze i o tańcu (*Eupalinos, L'âme et la danse*), estetyka, przecho-

dząca w metafizykę i broniąca pewnej etyki, uwarunkowanej wciąż znowu przez „ja" znużonego, przesyconego estety, uwagi o epoce i o wybitnych zdobyczach ducha w przeszłości są zdumiewające jako mistrzostwo języka i arcydzieła dialektyki. Nie zdołają być jednak skutecznym lekiem.

Dużo więcej dbały o wrażenie, lecz w podstawie swej również artysta, żądający dla siebie i dla wielkich ludzi praw wyjątkowych, mieszający nazbyt ze sobą pojęcie piękna i dobra, André Suarès jest obok encyklopedysty Valéry'ego, uczniem renesansu i filozofji heroicznej Nietzschego. U niego i u Elie Faure'a, który swój kult heroizmu usiłuje pogodzić z niejasnemi socjalistycznemi pojęciami, indywidualizm jest tak silnie rozwinięty, że wszystkie uczuciowe przydźwięki do społeczności, narodu, klasy — ostatecznie odpadają jako nieorganiczne akcesorja. A gdyby chodziło tylko o formę, to wystarczyłaby już ezoteryczność essay'ów André Suarès'a i pism wyrażających światopogląd Faure'a (*La danse sur feu et sur l'eau*), ich śmiała symbolika, ich balast wiedzy, aby odstraszyć tłum i aby je zarazem oddzielić od pełnych prostoty tworów Wielkiej Poezji.

Również unanimizm, który Jules Romains, z zawodu profesor psychologji, z powołania liryk, z zamiłowania autor sceniczny, powieściopisarz dla celów werbunkowych, od ćwierć wieku rozumowo uzasadnił a pukaniem w serce, bijące współczująco w zgodzie z tłumem, usprawiedliwił wobec uczucia — również i bożyszcze tłumu nosi w sobie sprzeczność, którą spotykamy u Suarès'a i Faure'a. Na niepospolitą jednostkę wskazuje się jako na twórcę i prawdziwą treść historji a mimo to zjawia się tłum — i to bynajmniej nie zorganizowana społeczność — zawsze i stale jako bożyszcze, żądające bezwzględnego uwielbienia. Korzyścią dla dzieł Jules Romains'a jest zwycięstwo potężnego talentu ich autora nad tendencjami. I oto możemy się w luźnie w całość złączonych, starych powieściach (*Mort de quelqu'un, Lucienne, Le Dieu des corps, Quand le navire...*) dać porwać bez zastrzeżeń czarowi niesłychanej sztuki twórczej pisarza, współczuć z biednemi, udręczonemi cierpieniem miłości, duszami przytroczonemi do ciał, nie troszcząc się o teorje, których mają dowieść te właśnie, zawarte w książce losy ludzkie.

Szereg tomów *Hommes de bonne volonté* zdaje się być zapowiedzią wspaniałego wizerunku współczesnej Francji. W nich usiłuje Romains oddać sprawiedliwość zagadnieniom i ludziom, których dotychczas omijał dalekim łukiem: wyznawcom Kościoła i świadomego nacjonalizmu. Także w swej politycznej rozprawie *Problèmes européens* stara się Romains zrozumieć wrogie mu formy polityczne i znaleźć pomost między autorytetem a wolnością. Ze starszych utworów autora należy wymienić jego pocieszne filmowe krotochwile (*Donogoo Tonka*) i jego wesołe utwory sceniczne, przedewszystkiem *Knock* i *Le Trouhadec.*

Z pośród towarzyszy Romains'a w opactwie Créteil, które było punktem wyjścia unanimizmu, Georges Chennevière okazał się najczystszym lirykiem, Lue Durtain pokonał jako prozaik demony: pieniądz i maszynę, René Arcos zwrócił się do najbardziej romantycznego indywidualizmu, Pierre-Jean Jouve zaś przesunął się z centrum ku prawicy, na niwy jakiegoś mistycznego katolicyzmu. Różnorodna indywidualność Georges Duhamel'a usunęła się najwcześniej z pod wpływu Jules Romains'a. Niezapomniane są elegje i ballady, w których Duhamel utrwalił grozę wojny, niezapomniana jest *La vie des martyrs,* pieśń nad pieśniami o dzielnym człowieku z ludu, który nie skarżąc się, walczył i cierpiał dla Francji. Opowieści o Salavin'ie, nędznym błaźnie i przeciętnym niewolniku kapitalizmu, historja o jego tragicznym zapędzie ku świętości i jego smętnem wegetowaniu, kronika rodziny Pasquier, demaskująca obłudną, mieszczańską czcigodność, następnie książka o Rosji, w której jest wiele rzeczy widzianych fałszywie, ale odczutych uczciwie, wreszcie paralipomenon do tego dzieła, *La Pierre d'Horeb,* są wyznaniem wiary w słabość i wyznaniem miłości dobra, lecz nie dają one nam żadnej nadziei, gdyż uwielbianie ideału wolności we wszystkich jej zniekształceniach przeszkadza Duhamel'owi, szlachetnemu marzycielowi w rozpoznaniu właściwego zła naszych czasów.

Nie poniechał on humanitaryzmu, podobnie jak Romain Rolland, który dalszym ciągiem *L'âme enchantée* z mniejszem powodzeniem i artyzmem bardzo obniżonym przez tendencję, powtarza według własnego wzoru: Jana

Krzysztofa cykliczny opis żywota imaginacyjnego bohatera, tym razem kobiety, wyrywającej się poza granice płci. Romain Rollandowi poczyta się może za największą zasługę literacką jego powojennej działalności nie to, że czcił Gandhiego i innych dziwacznych świętych jako przeciwieństwa naszej europejskiej kultury, lecz to, że uchronił rumuńskiego waganta, Panaït Istrati'ego przed ostatecznym upadkiem i wprowadził do francuskiego piśmiennictwa. Ów wysoce utalentowany autodydakta, kelner, przemytnik i zapewne jeszcze coś gorszego, zaczął z łatwością wschodnich opowiadaczy bajek snuć swoje wrażenia z dzieciństwa i młodości, opowiadać o swych latach nauki i latach włóczęgi; i oto zdaje się nam, jakobyśmy byli wśród tysiąca i jednej szalonej nocy, otoczeni cyganami i Grekami, Rumunami i Turkami, dusząc się prawie od błota, ale w górze nad nami świecą wieczne gwiazdy i wieszczka dotyka wszystkiego magiczną swą różdżką, a wówczas najgorsze łotry stają się czystymi i porządnymi. Swą treścią wewnętrzną wznosi się Istrati jeszcze ponad Rollanda jako najżarliwszy obrońca wolności, niezakorzenionego, nieskrępowanego liberalizmu — także wobec teroru bolszewickiego (Istrati powrócił z Rosji ogromnie rozczarowany) — on, tak prawdziwie wolny, niepodległy jak jego cygańscy przodkowie, których można wyczytać z rysów jego twarzy.

Pozatem entuzjazm dla wyzwolenia z pod każdego przymusu, entuzjazm dla libertynizmu, krocżącego poprzez liberalizm konsekwentnie do anarchji, znajduje uzasadnienie nietyle w rozumowem rozważaniu, ile w uczuciu, zmysłach, w sensualiźmie. Można to stwierdzić na literaturze, wyprodukowanej na eksport i dla zaspokojenia rynku krajowego, która niedwuznaczne zamiary okrywa artystycznym płaszczykiem. — Niestety tu trzeba włączyć także i braci Joseph-Henry Rosny, dążących ongiś do wyższych celów i nieuniknionego gościa honorowego wszystkich zebrań protestujących w sprawie rzekomo obrażonych praw człowieka, osławionego autora *Garçonne*, Victora Marguerite. — Nie pisarzy już, ale raczej fabrykantów podniecających erotycznie środków, sprzedawanych w formie książki: Maurice'a Dekobrę i spółkę możemy pominąć. Lecz nie można prze-

milczeć, że także w literaturze kobiecej najwyższej klasy artystycznej, w świetnie przez Maurras'a prześwietlonym *Romantisme féminin,* żądza seksualna była matką wolnej myśli. Wiekuista, niezaspokojona tęsknota płci przemawia z prozy Colette *(Chéri),* odsłaniającej bezwstydnie i bezwzględnie ostatnie tajniki, i ze wspaniałej liryki komtessy Anne de Noailles *(Les forces éternelles, L'honneur de souffrir),* jak i z książek Lucie Delarue-Mardrus i Rachildy, przepojonych tą samą pogańską żądzą życia.

Pokrewną z przekonań Romain Rollandowi i Duhamelowi wydaje się grupa autorów scenicznych, których określa się zwykle nazwą „intymistów". Hołdują oni panującej humanitarnej filozofji uczucia; skargę i oskarżenie losu i niesprawiedliwości społecznej wypowiadają mniej lub więcej artystycznie i scenicznie. Paul Raynal znalazł swój najbardziej atrakcyjny temat w Wielkiej Wojnie: *Le tombeau sous l'Arc de Triomphe.* Ten sam kontrast frontu i etapu: z jednej strony ofiarowanej na zagładę młodzieży, z drugiej ofiarowujących ją z namaszczeniem, bezpiecznych ojców — wykorzystał Paul Nivoix w okrutnej satyrze, w *Marchands de la gloire.* Charles Vildrac zatarg z nielitościwą Mojrą przenosi z zagadnienia społecznego na teren prywatny, gdzie nieśmiali, niedołężni są zawsze szlachetniejsi, lecz los również stale skrupia się na ich skórze. Jean Sarment jest tak wzruszająco niezaradny i delikatny, że już po tem poznaje się poetę, chociaż psychologja jego *(Les plus beaux yeux du monde),* jak i jego towarzyszy Raynal'a *Maître de son coeur,* Vildrac'a *Paquebot Tenacity, Madame Béliard)* nie każdemu egzaminowi zdoła się oprzeć. Z czasów symbolizmu pozostał jeszcze na scenie stary przyjaciel ludzkości, Saint-Georges de Bouhélier, odmieniający swój temat w niezliczonych warjacjach dramatycznych.

Dużo ciekawsi od tych *comédies larmoyantes,* wraz z pseudopsychologicznemi, cukierkowato-wodnistemi drobiazgami Paul'a Géraldy, z któremi można się ze względu na ich nicość szybko załatwić, są wybitni (pomimo wszystkich swych błądzeń i dziwactw), dramatycy René Lenormand, Jean-Victor Pellerin i Simon Gantillon. I oni upodabniają się światopoglądem do „intymistów", lecz

sposób przeprowadzenia ich sporu z Opatrznością jest oryginalny i godny uwagi. Lenormand daje pierwszeństwo egzotycznemu otoczeniu. Musi to być noc podzwrotnikowa, żeby złe gwiazdy, pod któremi kroczą ofiary boskiej niełaski, szczególnie jaskrawo błyszczały. Zwykle dodaje się psychoanalizę, kompleksy, odreagowywania i tym podobne nadrzędne i podrzędne wartości. A mimo to ogarnia nas szczególne wzruszenie, gdyż Lenormand posiada tajemnicę stwarzania atmosfery, budzenia w nas nastrojów, jak w *Simoun*, albo *A l'ombre du mal*. Jak blisko spokrewnionym jest z Lenormand'em Gantillon, pokazuje opracowanie przez obu jednego i tego samego motywu: czystej, cierpiącej i nieomal na Mesjasza wyniesionej kurtyzany. Książka Lenormanda zwie się *Mixture*, Gantillon'a *Maya*. Pellerin, mniej patetyczny, oświetlił w *Intimité* i w *Têtes de rechange* mroki i głębie naszej duszy. Widzi on zbyt dobrze i zbyt jasno, ażeby mógł zachować bez ograniczeń swoją początkową, na teorji o przyrodzonej dobroci człowieka opierającą się humanitarną tendencję.

Grzebanie w głębiach i mrokach, nieomal że równe grzebaniu w błocie, z którego pewne zwierzęta wyciągają trufle — gdyby świnie umiały mówić, upiększałyby może swoje przyzwyczajenie węszenia żądzą poszukiwania trufli — ów, etycznemi zamiarami okryty pościg za rozkładem, możemy go nazwać obcem słowem: za analizą, należy nieodłącznie do tego kierunku w piśmiennictwie, który przekraczając granice liberalizmu, gloryfikuje najzupełniejszą anarchję nieskrępowanego indywiduum.

Tej literaturze demaskującej możnaby poniekąd dać jako motto pewien tytuł, oznaczający sukces bardzo wielki, tytuł, który autora bądź co bądź godnego uwagi, za jednym zamachem wysunął na pierwszy plan :*Voyage au bout de la nuit*. Louis Ferdinand Céline stanął tą książką grozy obok dręczycielsko-wzburzającego Anglo-Irlandczyka Joyce'a. Lecz on zamknął jedynie we Francji narazie pewną ewolucję, która od najazdu teorji freudowskiej niepowstrzymanie dążyła do tego głębinowego punktu. Lekarze jak Gil Robin, godni pożałowania nerwowo chorzy jak Frans Hellens i André Bail-

lon torowali tę drogę; w ich opowiadaniach wyczuwa się bolesne ich powstanie z przeżycia.

Tę samą bezwzględną szczerość, jak ci wszyscy, posiada wobec konwencjonalnych kłamstw i wobec konwencjonalnych prawd, wobec siebie i swojego otoczenia André Gide. Ta latorośl wielce poważanego rodu urzędników, uczonych i sędziów, ów potomek pobożnych Hugenotów i wiernych katolików, ów miljonowo bogaty, wysoce wykształcony wielko-mieszczanin potargał wszystkie więzy, łączące go z jego pochodzeniem i tem samem pozrywał i wszystkie więzy nabożnej i wszelkiej innej bojaźni. Czy Gide świetnemi środkami swego dostojnego języka gloryfikuje grzech przeciwko naturze jako święte prawo, czy wysławia raj sowiecki, w którymby ani przez jeden dzień nie mógł prowadzić swego zbytkownego życia sybaryty, czy też staje po stronie rasy czarnej przeciwko własnej ojczyźnie i z podróży po kolonjach, obdarzonych przez Francję rozlicznemi dobrodziejstwami, przywozi jedynie naganę i potępienie, czy wreszcie Claudel'owi na zaklinające pytanie odpowiada z cynicznym spokojem, że „nic go nie obchodzi zbawienie własnej duszy": stale i wszędzie okazuje się Gide niebezpiecznym nauczycielem młodzieży, bezbronnej wobec jego mistrzostwa pióra. Jakiż straszny obraz, chwała Bogu, tylko krzywe zwierciadło pewnego odłamu młodzieży dzisiejszej, pokazał Gide w *Faux-monnayeurs!* Wątpiąc we wszystko, zataczając się w odurzeniu od rozkoszy do rozkoszy, od występku do występku, spiesząc od zbrodni do zbrodni, rywalizują synowie warstwy duchowo-przewodniej w swawolnem burzeniu przekazanych od wielu pokoleń wartości obyczajowych, intelektualnych i gospodarczych. Filistrem nazwią tego, kto ośmieli się nazwać rzecz po imieniu. Lecz my poważymy się na to i żadna zasługa literacka tego zgubnego dzieła nie może zrównoważyć zła, które wyrządziło ono we Francji, a podkopując opinję francuską zagranicą, tem samem poza granicami Francji.

Również w niezamkniętym dotychczas cyklu *Thibault'ów* Roger'a Martin du Garda opisane jest to samo otoczenie, z tą samą doskonałością języka i rysunku postaci, niestety z tem samem amoralnem lubowaniem się w przykrym

temacie. Za Gide'm i Martin du Gard'em zjawia się znów cały szereg młodych ludzi, którzy chorują na nowe *Mal du siècle*, na własne rozbicie i rozbicie swej epoki, na zniszczenie wszystkich etycznych zasad. Wzrusza nas jednak i przejednywa gorąca tęsknota tych żarliwców, którzy darmo pragną ocalenia i uzdrowienia. Pierre Drieu la Rochelle ze swemi nowelami *Valise vide*, Maurice Betz z *Coeur incertain* — tytuły są znowuż programem i Jean Prévost, Pierre Bost, René Crevel, Andre Beucler, Martin Maurice, jakżeż podobni są do siebie. Ponad ich błądzącą poomacku niepewność kilka wielkich talentów doszło do chwilowego lub może nawet ostatecznego celu.

Raymond Radiguet niechaj będzie tu pierwszy, ów przedwcześnie dojrzały, przedwcześnie doskonały cud, którego krótka, nieprawdopodobnie treściwa droga życiowa ogniskuje się w dwóch arcydziełach, które pozostawił dwudziestoletni autor: w przesyconym namiętnością, chaotycznym *Diable au corps* i w dosięgającym klasycznej harmonji *Bal du comte d'Orgel*. Jacques de Lacretelle, który w *Silbermann* zanalizował wnikliwie równocześnie problem żydowski i duszę młodzieńca, okazał się w kilku powieściach *La Bonifas, Amour nuptial*, wrażliwym obserwatorem najdelikatniejszych drgnień erotycznego wahadła; dorównywa mu pokrewny duchem Henri Deberly.

Jean Cocteau, jako liryk raz pełen chłopięcego uroku, raz nieznośny w swych błazeńskich zniekształceniach, to klasycznie prosty lub barokowo dziwaczny, to znów anarchistycznie szalony, dał w *Thomas l'Imposteur*, w *Les enfants terribles* i w *La machine infernale* trzy książki, które przetrwają długo jako główni świadkowie (za i przeciw) gwałtownych zwątpień młodzieży zaniedbanego pokolenia. Krótkiego jedynie wypoczynku zaznał Cocteau w cieniu Kościoła katolickiego. Marcel Arland natomiast, któremu zawdzięczamy słowo o nowym *Weltschmerzu*, o *nouveau mal du siècle*, który w *L'ordre* opisuje w sposób najbardziej wzruszający i podburzający nieład i zbyt wczesne cierpienie swoich współczesnych, doszedł teraz na zawsze już do ufnej pewności chrześcijanina-katolika.

Jeszcze dalej poza Gide'a, w ową rozwiązłość nie przestrzegającą w konsekwencji ani praw rozsądku, ani praw uczucia i smaku, kroczą spadkobiercy dadaizmu, surrealiści, jak żórawie Rilkego w światy imaginacji. Tylko że nie pysznią się barwami np. Fragonarda, lecz paradują w krzykliwej, ach jakże krzykliwej, czerwieni! Szkoda niejednego talentu, szkoda brutalnie-mocnego Louis'a Aragon, marzyciela André'a Breton; szkoda oryginalnego Georges'a Ribemont-Dessaignes, Antonin'a Artaud i Roger'a Vitrac, którzy wespół chcieli stworzyć teatr bez założeń. Nie szkoda zaś nieutalentowanych przywódców wrzaskliwej Roty Koraha: Albert'a Birot'a, Tristan'a Tzara i Francis'a Picabia. Najzdolniejsi z nich wycofali się z państwa dadaizmu w spokojniejsze okolice, w krainę poezji (Henry Michaux), do intratnego przemysłu literatury (Philippe Soupault), na łono Kościoła (Pierre Reverdy) lub całkiem poprostu do cienia narodowej tradycji (Joseph Delteil, autor nawpół cudacznej, nawpół cudownej *Jeanne d'Arc* i peanu na cześć *Poilus,* będącego czemś pośredniem między prawdziwą gawędą ludową a krotochwilą literacką).

Przy Delteil'u przypominamy sobie w porę, że we Francji nie musi się zawsze wszystkiego brać poważnie. Pozostanie to na wieki nierozstrzygniętą zagadką, ile też w *Mal du siècle* jest oszukańczego nabierania i ile w surrealiźmie było świadomych kpin. O bezpośrednich przodkach dadaizmu o kubistach, którzy też i po wojnie odgrywali znaczną rolę w „młodej" literaturze, możemy powiedzieć z wszelką pewnością, że głównym ich celem było wprawienie spokojnego obywatela w zdumienie. Guillaume Apollinaire, natura artystyczna, pełna soczystości i siły, zresztą dzielny żołnierz, który dla swej przybranej ojczyzny Francji (był Polakiem a po matce Niemcem) oddał życie, czyhał stale na nowe formy, które jako prawdziwy poeta bez wielkich trudów napełniał poetycką treścią. Jego *Calligrammes* są niedoścignionym wzorem liryki nawpół świadomej; w swych krótkich opowieściach, przypominających E. T. A. Hoffmanna i E. A. Poe'go, wykazuje on najosobliwszy humor i najbardziej wszechstronne wiadomości. Na polu dramatu dał w sztuce

Mammelles de Tirésias pobudkę do zapobiegliwego, zgniłego czaru surrealistycznego teatru. Obok niego stał i stoi dziś jeszcze André Salmon, liryk o zaklinającej magji słowa (*Prikaz*) i skrupulatnie wczuwający się opisywacz *Tendres canailles* wszelkiego rodzaju. Max Jacob, bretoński Żyd, który w katolicyźmie szukał schronienia przed fantomami wybujałej fantazji pisał drobne utwory prozą, najbardziej przypominające hiszpańskie *Greguerias*, zawiłe, dziwnie pociągające a zarazem odpychające. W strofach rymowanych osiąga on szczyt nierymowanej glossolalji.

Podczas kiedy kubiści puszczają wodze swojej wyobraźni i pozwalają jej burzyć swobodnie, bez ograniczeń nawet odnośnie do formy, nie mniejsi od nich awanturnicy, imaginiści są co do stylu lubiącymi ład obywatelami Parnasu. I to nawet Parnasu w ściślejszym, klasycznym sensie. Politycznie przynależą, co dziwne, albo właściwie wcale nie dziwne, do narodowej prawicy. Wywodzą się przecież od gładkich poetów *Ancien régime'u*. Jean Paul Toulet, Jean Pellerin, i padły na wojnie Jean-Marc Bernard otrzymali następców w osobach Charles'a Derennes, Tristan'a Klingsor'a, Maurice'a Franc-Nohain, Tristan'a Derême, Georges'a Fourest, Jacques'a Dyssord.

Pociąg do niecodzienności, niezwyczajności, niebywałości, który podkreśliliśmy jako jedno z najwybitniejszych znamion współczesnej literatury francuskiej nie wyczerpuje się w kurczowych lub naturalnych, nieudałych lub uwieńczonych powodzeniem wysiłkach surrealistów, kubistów i imaginistów. On to zrodził, jako żer dla szerokich mas, powieści kolporterskie Pierre'a Benoit, rozrzucane z niezaprzeczalną zręcznością, które, napisane lepiej niż tego rodzaju rzeczy zwykle bywają, wprowadziły swego autora podług niezbadanych wyroków wyborców, między czterdziestu nieśmiertelnych Akademji Francuskiej; (*Atlantide, Königsmarck* i *Châtelaine de Liban*, jako najlepsi przedstawiciele trzech tuzinów pendantów wystarczają, aby tego, o ileż pośledniejszego od poczciwego Karola Maya, bajczarza odesłać z literatury do izby czeladnej lub do buduaru księżnej-wdowy). Pogoń za opowiadaną przygodą żywiła następnie także książki Pierre'a Mac Orlan, zniżające się z poziomu powieści fan-

tastycznej do romansu gazeciarskiego. Jako najszlachetniejszy owoc ucieczki od czasu i przestrzeni rozwinęła się powieść egzotyczna o walorze artystycznym.

Nie była to już łzawa tandetna powódź drobiazgów i japońszczyzny Pierre Loti'ego, ani też nadprzyrodzona injekcja opjumowa, zapomocą której inny oficer marynarki, Claude Farrère małomieszczańskie klientki dziesiątek tysięcy czytelni przyprawiał o emocje i przeprawiał do dalekich krain. Nie był to również solidny objektywizm pisarzy-podróżników, którzy brali jakiś wątek powieściowy za pretekst do szerzenia wiedzy historycznej i geograficznej lub jej ukazywania. Jako sympatyczne przykłady tego dawno wypróbowanego genre'u mogą posłużyć: dla Afryki północnej Robert Randau, dla Indochin Jean Ajalbert, Henry Daguerches i Jean Marquet. Nowa egzotyka w stosunku do starannych fotografij starszej generacji wygląda jak malowidła, złożone z tysiąca pozornie bezsensownych plam, rzuconych odgadującą i tłumaczącą ręką mistrza. Jako przejście od sumiennego opisu kolorytu lokalnego do uduchowionego wyczarowania świata dookolnego pojawia nam się François Bonjean, rzecznik bajkowego Wschodu wobec mieszczańskiej trzeźwości z fantazji obdartej Europy (*Histoire d'un enfant d'Egypte*).

Pionierem i zwiastunem jest Valéry Larbaud, który stworzył postać podróżnika naokoło świata, dręczonego metafizycznym niepokojem, przesyconego kulturą: amerykańskiego miljonera Barnabooth, nawpół Harun-al-Raszyda, nawpół potynkowanego ledwo po wierzchu, wykształconego cow-boya. Taki Barnabooth, coprawda pochodzący z najlepszego towarzystwa Ameryki Południowej, istnieje w rzeczywistości; zwie się Jules Supervielle i napisał czarujące opowiadania *Homme de la Pampa*. Ale jako pierwszego mistrza egzotycznej powieści podziwiamy lekarza i archeologa Victor'a Segalen. Jego *Immémoriaux* dają świadectwo o umierającej kulturze czarodziejskiej wyspy Tahiti. Powieść *D'après René Leys* i wspaniałe *Odes* i *Stéles* zachowują pamięć o przebrzmiałej cywilizacji cesarskich Chin.

Na drugiem miejscu: Jean Giraudoux. Jego doskonale zdyscyplinowana fantazja zestawiła obok siebie w uro-

czym niełądzie jak najporządniej dobrze obliczone nieprzemyślenia. Jeśli *Siegfried et le Limousin* ukazuje granice autora mówiącego inteligentnie o najważniejszych zagadnieniach (problem francusko-niemiecki, teorja o *fable rase*, równość i wymienność ludzi), to w politycznej satyrze *Belle*, opisującej (dla wtajemniczonych wyraźnie, pod przejrzystą osłonką) spór dwóch rodów „konsularnych": Poincaré'ów i Berthelot'ów, Giraudoux rozwija przebogato możliwości daru obserwacji, nie skrępowanej żadnym szacunkiem. Tutaj i w *Elpénor* (wojna trojańska z perspektywy jakiegoś starogreckiego Szwejka) przypomina Giraudoux Offenbacha. Najbardziej poetą pozostaje on jednak w swych egzotycznych obrazach (*Amica America, Suzanne et le Pacifique*), zwłaszcza gdy chodzi o podróż w ów świat wewnętrzny duchowy (*Juliette au pays des hommes*), o którym powiada w ładnym wierszu, że tam czyni się bogatsze odkrycia niż podczas podróży naokoło całej kuli ziemskiej.

To powiązanie przyjemności psychologicznych dociekań i chęci przygód powraca u Auguste'a Gilbert des Voisins, który powieść o dzikim Zachodzie podniósł na wyżyny literackie, u Szwajcara Blaise Cendrars, którego pociągają nieodparcie ludzie czynu, zwłaszcza kiedy z dusznego powietrza cywilizacji uciekają do swobodnej puszczy (*L'or*, historja kalifornijskiego dyktatora, jenerała Suter), dalej u Marc'a Chadourne (*Vasco*) i u najsławniejszego z tych niespokojnych włóczęgów, którzy całkowicie zerwali z prafrancuską zasiedziałością, u Paul Morand'a. Jego nowele *Ouvert la nuit, Fermé la nuit, L'Europe galante*, jego przelotnie uchwycone wrażenia z Nowego Jorku, jego studja nad mentalnością murzyńską *Magie noire*, jego próba ujęcia stanowiska azjatyckiego w stosunku do naszego świata mechanicznego (*Bouddha vivant*) są wartościowe nietyle jako dostateczne i mile powierzchowne uwagi o psychologji narodów, ile jako świetne świadectwa o pośpiechu i błądzeniu poomacku, o manowcach i zawikłaniach naszej współczesności. Ale gryząca ironja Morand'a, zdaje się, dopiero teraz wkroczyła na swe właściwe pole, kiedy we *France la doulce* postawił pod pręgierzem wstrętny świat meteków, którzy

z krajów goszczących ich dawniej przenieśli się teraz do Francji, siejąc tu jak wszędzie niepokój, niezgodę i nierząd.

Możemy tu przypomnieć starszych, bardziej łagodnych kronikarzy wielkiego, pół i reszty nie nudzącego się świata paryskiego, którzy sportretowali przedwojennych i powojennych Staviskych i Oustric'ów, podupadłych arystokratów, wydźwigniętych proletarjuszów, wschodnich Żydów, ludzi z najdzikszego Zachodu, mężów stanu i chytre kobiety stanu, dyrektorów banku, polityków, przemysłowców i inne, wesoło balansujące pomiędzy ministerstwem a więzieniem postacie, zaplątane do historji drogą łaski obozów politycznych. Henri Lavedan, Maurice Donnay, Francis de Croisset, Tristan Bernard, którzy przez całe pokolenie przenosili na scenę z mniej lub więcej złośliwym zamiarem owe sympatyczne współczesne im postacie, znaleźli następców: Edouard Bourdet (*Vient de paraître*, olśniewająca satyra literacka), Sacha Guitry (który, będąc sam świetnym aktorem, pisze sztuki historyczne z brawurowemi rolami dla siebie), Alfred Savoir, Jacques Natanson, Louis Verneuil i tylu innych. U Emile'a Mazaud, Bernarda Zimmer'a, Marcela Achard'a zdradza pogodna twórczość bulwarowa wyższe ambicje literackie i dążenia do nowej przeróbki prastarych tematów. Belgijczyk Fernand Crommelynck, jak przed nim Georges Courteline, podnosi wiekuiste tematy komedjowe o ociężałym rogaczu i zawiedzionym skąpcu (*Le cocu magnifique*, *Tripes d'or*) na poziom filozoficznie przemyślanych karykatur ogólnoludzkich słabości, które uosobiły się tylko przypadkowo na terenie języka francuskiego i za naszych czasów.

Ta prawdziwa sztuka analizy psychologicznej różni się zasadniczo od pseudo-psychologicznych, pseudo-tragicznych obrazów zgniłego towarzystwa tout-Paris, któremi Henri Bernstein ciągle jeszcze bawi swoją wielką gminę małomieszczan, upajających się rozkoszą i cierpieniem miłosnem wyższej warstwy. Uczciwszem postawieniem problemu i lepszą znajomością duszy niż Bernstein wykazuje się tak w powieści jak i na scenie Henri Duvernois, podobny po-

zatem do tamtego. Abel Hermant wreszcie uszlachetnia swoje beztreściwe, przyjemnie rozbawiające gawędy o wytwornych nierobach wykwintnym, nieskazitelnym stylem, który czyni z niego jednego z najlepszych pisarzy swojej epoki.

W tym punkcie styka się on z braćmi Jérôme i Jean Tharaud. Ci dwaj mistrzowie świetnego pod względem artystycznym reportażu należą, jako pionierzy, zarówno do powieści egzotycznej, jak i do wnikliwych krytyków społeczeństwa. Książki ich z Afryki północnej (*La fête arabe, Marrakech dans les palmes, Rabat, Fez*) odsłoniły Francuzom oblicze mahometańskiej Afryki północnej. Przedewszystkiem atoli godne uwagi są książki braci Tharaud o kwestji żydowskiej, w których to po raz pierwszy we Francji zdano sobie sprawę z ważności tych zagadnień i roztrząśnięto je bez przesądów na podstawie rzeczowej znajomości (*Quand Israël est roi, Un royaume de Dieu, A l'ombre de la Croix, La rose de Sâron, Quand Israël n'est plus roi*). Poza braćmi Tharaud i Lacretelle'm jedynie żydowscy pisarze zajmowali się w prozie stosunkiem swej rasy do narodu francuskiego.

Dwaj wybitni lirycy, Lotaryńczyk André Spire (*Poemes juifs,* studja krytyczne *Quelques juifs*), genewczyk Edmond Fleg (*Ecoute Israël,* powieść *L'enfant prophète*) przyznają się do sjonizmu. W innych swych poglądach zbiegają się z unanimistami z otoczenia Jules Romains'a, (który jest podobno pochodzenia żydowskiego). Również Jean-Richard Bloch (*Et Cie*) powątpiewa w możliwość asymilacji i widzi wyjście z wszystkich trudności w międzynarodówce, która znać będzie wyłącznie człowieka a nie narody. O ile w wymienionych trzech nazwiskach chodzi o prawdziwych artystów — (Bloch napisał także barwne opowieści wschodnie, np. *La nuit kurde*) — którzy zabierają się do swego zadania z rzetelną powagą i zachowują poziom artystyczny, o tyle bardzo zdolny rosyjski żyd Joseph Kessel po szybkich triumfach nowicjusza (*La steppe rouge*) zeszargał swoją opinję docna przez pozbawione skrupułów polowanie za sensacjami politycznemi i seksualnemi; przecież zdołał on nawet w szybko wypuszczonej książce kruszyć kopje

w obronie swojego przyjaciela Stavisky'ego. Inwazja ze Wschodu otwiera przed dawno osiadłymi Żydami francuskimi to niebezpieczeństwo, że również i w ich kraju pojęcia: żydowstwa, niepokoju, przewrotu, wrogiego stosunku do myśli narodowej, korupcji i zepsucia obyczajów, stopią się w jedną nierozerwalną całość.

(Dok. nast.)

Otto Forst-Battaglia
Tłum. Edyta Gałuszkowa

Obrona Zbaraża według „Ogniem i Mieczem“ w świetle prawdy historycznej.

O trylogji H. Sienkiewicza napisano już mnóstwo dzieł, rozpraw i artykułów. Dzieło to istotnie zasłużyło na całą literaturę tak przez swą wewnętrzną wartość jak przez wpływ, jaki wywarło na polski naród. Wszak śmiało twierdzić można, że ono wychowało nasze pokolenie; ono sprawiło, że Polacy, gdy zagrzmiał złoty róg wolności, stanęli gotowi do boju i do pracy, dla dobra ojczyzny; że wielu pośród nich było podobnych do Skrzetuskich, Wołodyjowskich i Podbipiętów. W niniejszym artykule chciałbym dorzucić kilka uwag do opisu obrony Zbaraża, tej najwspanialszej perły całej trylogji i nawet całej polskiej literatury. Rzecz sama w sobie jest bardzo ciekawa i nawet z punktu wychowawczego ważna. Czyż to bowiem nie jest rzeczą zajmującą wiedzieć, czy opis oblężenia zbaraskiego, jaki nam dał Sienkiewicz zgadza się ze źródłami historycznemi a więc z rzeczywistością, czy też zaliczyć go należy do bajek i pięknych opowieści, a jeżeli do prawdy historycznej, to w jakiej mierze?

Powszechnie znaną jest rzeczą, że Sienkiewicz zabrał się do opisu walk pod Zbarażem pod wpływem szkicu Kubali: *Oblężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem.* Kubala oparł swój szkic na Kochowskim i na diarjuszach, obszernym i krótszym, wydrukowanych w księdze pamiętniczej Michałowskiego, a poczęści także na diarjuszach umieszczonych w rękopisie Golińskiego (Oss. 189) w *Starożytnościach historycznych* Grabowskiego i w *Pamiętnikach* Albrechta Radziwiłła. Nie są to wszystkie źródła, bo jest wiele innych, że wspomnę tu tylko prace obejmujące dłuższe okresy wojen

polsko-kozackich jak Rudawskiego, Pastorjusza, Temberskiego, Twardowskiego: *Wojna domowa z Kozaki i Tatary*, Viminy: *Historia delle guerre civili di Polonia in 5 libri*, a oprócz tego diarjusze i relacje samej tylko ekspedycji zbaraskiej, jak relację Kuczwarewicza, diarjusz kapelana zbaraskiego (Rkp. Oss. 1389), diarjusz rękopisu bibljoteki Jagiellońskiej Nr. 5., i szczególnie *Ekspedycję Zbaraską* Radwana, bez którego nie można umiejscowić walk pod Zbarażem. Te i inne źródła wyliczam i omawiam w swej rozprawie p. t. *Obrona Zbaraża*,[1]) więc tutaj streszczam tylko wyniki badań źródłowych i z tego powodu jedynie w ważniejszych punktach zaznaczam, na jakiem opieram się źródle.

Na początku naszych roztrząsań postawmy sobie pytanie, dlaczego wojsko koronne wybrało właśnie za punkt oparcia Zbaraż, a nie inną, silniejszą twierdzę. Odpowiedź umożliwi nam też poznanie ogólnego położenia politycznego a zwłaszcza wojskowego Rzplitej w r. 1649. Sienkiewicz tak przedstawia przyczynę przyjścia polskiego wojska pod Zbaraż: „Regimentarze bowiem po niewoli przyszli pod Zbaraż, ulegając w tem żądaniu księcia Jeremiego. Początkowo mieli regimentarze chęć bronić się pod Konstantynowem, ale, gdy rozeszła się wieść, że Jeremi obiecuje stanąć własną osobą, tylko w takim razie, jeżeli Zbaraż na miejsce obrony będzie wybrany, żołnierstwo natychmiast oświadczyło królewskim wodzom, iż chce iść na Zbaraż i gdzieindziej bić się nie będzie... nie pomogła ani perswazja, ani powaga buławy i regimentarze przyszli do przekonania, że jeżeli w dłuższym oporze trwać będą, tedy wojska... zbiegną do Wiśniowieckiego... Tak więc musieli ruszyć pod Zbaraż". Sienkiewicz poszedł tu za Kubalą, który też twierdzi, że „powodem ustąpienia był rozkaz króla i życzenie Wiśniowieckiego". Otóż na podstawie źródeł odpowiedź wypadnie inna: „Król rozkazał wojsku bronić się pod Konstantynowem a wojsko uciekło z trwogi przed armją Chmielnickiego na Podole, tu zaś wybrało na obronę Zbaraż, należący do rodziny Wiśniowieckich, ażeby tem prawdopodobnie skłonić księcia do przyłączenia się do głównej armji".

---

[1]) Ks. Ludwik Fraś C. SS. R.: *Obrona Zbaraża w r. 1649.*

Na wiosnę 1649 r. chorągwie polskie stały na granicy wskazanej przez układ zawieszenia broni, postanawiający, że do ruskich Zielonych Świątek t. j. do 22 maja „wojska koronne i litewskie nie mają wchodzić w województwo kijowskie po Horyń i Prypeć rzeki, a od podolskiego i bracławskiego województwa po Kamieniec, a także wojska zaporoskie za te rzeki przechodzić nie mają". Wojsko polskie koronne stało pod komendą dwu regimentarzy: Andrzeja Firleja, kasztelana bełskiego, który w czasie trwania zawieszenia broni nie podejmował żadnej akcji bojowej i Stanisława Lanckorońskiego, który z pomocą Mikołaja Ostroroga, podczaszego koronnego, wbrew paktom zajmuje twierdzę Bar. Wyrzucił go z niej Federenko, czyli Iwan Bohun, pułkownik podolski. List Bohuna jest wydrukowany u W. Lipińskiego w dziele o Krzeczowskim w zbiorowej pracy: *Z dziejów Ukrainy*, Kraków 1912, s. 492. Prosił w niej Bohun polskich dowódców, by „zachowali ostrożność, albowiem lepsza jest rzecz w prawowiernym chrześcijaństwie, zjednoczywszy się żyć, a niewiernych nieprzyjaciół zwyciężać a zwyciężywszy nieprzyjaciół, żyć w łasce z sobą, jak przodkowie, póki będzie Wola Boża".

Polskich żołnierzy niebardzo przekonywała argumentacja obrońcy chrześcijaństwa, który parę miesięcy temu ręka w rękę z Tatarami pustoszył kraje chrześcijańskie i prześladował chrześcijan (doznał tego nawet męczennik z Galaty — pan Zagłoba!) więc mimo uniwersałów Adama Kisiela walczyli dalej, opanowali na stałe Bar, wyprawili się pod Stanisławczyk, Berlińce, Szarogród, aż wkońcu mróz ich osadził na leżach zimowych. Lanckoroński pozostał w Barze, podczaszy koronny osiadł w Płoskirowie, mniejsze oddziały zatrzymały się w Latyczowie i Międzybożu. Małe utarczki powtarzały się nieustannie i na jednej z nich właśnie dowiedział się Wołodyjowski o losach „nieboszczki Heleny", któremi to wiadomościami tak bardzo zasmucił bohaterów Sienkiewicza, że ich pocieszyć mógł tylko Rzędzian radosnemi wieściami o życiu Bohunowej branki. Wybrał się po nią pod koniec maja p. Zagłoba, a gdy po szczęśliwej wyprawie miesiąc później wracał, gnały już za nim pierwsze straże armji Chmielnickiego. Zaczynała się kampanja r. 1649.

Chorągwie koronne pod naporem oddziałów kozackich połączyły się i stanęły wkońcu pod Konstantynowem. Wodzowie zdecydowali się, że w jakiemś warownem miejscu zatoczą silny obóz i będą oczekiwać głównej armji, na czele której stanie zapewnie sam król. Wojsko jednak na wieść o potędze wroga, „który miał armję tak wielką, jakiej od czasów Tamerlana żaden wódz nie posiadał", zatrwożyło się niezmiernie, chorągwie poczęły się rwać, wkońcu wielka część żołnierzy przygotowała się do ucieczki i to nie do Wiśniowieckiego, ale jak najdalej w głąb kraju. Do nieładu przyczynili się i regimentarze, którzy wadzili się między sobą o wybór miejscowości na warowny obóz.

Lanckoroński, kasztelan kamieniecki, obstawał rzeczywiście za Kamieńcem Podolskim, gdzie szczupłe wojsko, którego nie było więcej jak 9.000, przy potężnym zamku mogłoby się długo i wytrwale bronić. Krążyły pomiędzy Polakami pogłoski, że Kozacy mieli się właśnie na tę twierdzę zwrócić, że Turcy mieli wykorzystać sprzyjające okoliczności i zdobyć tę twierdzę, a ponadto załoga w tym zamku była nieliczna i niewystarczająca na odparcie silniejszego wroga.

Przeciwko Kamieńcowi Firlej przytaczał poważne zarzuty, mianowicie twierdza ta straciła wiele z powodu pojawienia się dział burzących, znajdowała się daleko, więc marsz odsieczny byłby bardzo utrudniony, a co gorsza Chmielnicki mógł ominąć polski obóz i uderzyć na odsłonięte miasta i województwa. Z tych powodów przeciw Lanckorońskiemu względnie też przeciw Ostrorogowi, który, chociaż się zrzekł regimentarstwa, wiele znaczył na naradach wojennych, wystąpili oficerowie pochodzący głównie z województwa wołyńskiego. Zdaniem ich należało przedewszystkiem bronić kresowych województw, zatoczywszy obóz pod Zasławiem, Włodzimierzem, albo najlepiej pod Konstantynowem. Plany omawiano szeroko, zmieniano decyzje, wydawano wojsku rozkazy przygotowania się do wymarszu pod Kamieniec, to znów pod Kuźmin, a żołnierze „zszeptywali się, a każdy co lepsze na wozie miał, — rok temu wojsko widząc nieprzyjaciela trwożyło się, a teraz słysząc o nim, zamyślało uciekań". Wreszcie zupełnie zdemoralizowane wojsko „konfuzję srogą uczyniło" krzycząc, że sobie utworzy „Czernecką radę"

i samo wybierze zdolnego wodza. Firlej, widząc, że łatwo rozlęci się, już i tak silnie uszczuplone wojsko, nakazał „retiradę" w głąb kraju nie dalej jednak jak pod Zbaraż albo pod Lachowce. Retirada była podobna do panicznej ucieczki.

Z pod Czołhańskiego Kamienia zawiadomił Firlej króla o powziętych postanowieniach i o marszu pod Zbaraż. List ten: niestosowanie się do rozkazów, skargi na małą liczbę wojska, które król obliczał na 10.000 a regimentarze na 6.000, wstrząsnęły królem, senatorami i szlachtą. Wzburzony Jan Kazimierz odpowiedział bezzwłocznie Firlejowi, wyrażając zdziwienie, że mimo rozkazów zupełnie przeciwnych porzucili Konstantynów, miejsce nietylko jego zdaniem, ale zdaniem dawnych hetmanów sposobne do zatrzymania choćby największej potęgi nieprzyjacielskiej. Zwracał mu uwagę, że miejsce, które powinien był wzmocnić polowemi fortyfikacjami i w żywność wcześnie zaopatrzyć, opuścił bez żadnej przyczyny, co tem bardziej jest niezrozumiałe, że zwyciężając do ostatnich dni w rozmaitych utarczkach, cały tamtejszy kraj od wroga oczyścił.

Dziwimy się — tak pisał dalej — że tylko 6.000 wojska masz, jakby ja i urzędnicy moi tej szczupłości byli winni i Wierność Wasza nie urodził się w Rzplitej, nie wiedział jej instytuta i nie mógł baczyć, skąd to pochodzi. My pewnie nietylko 30.000 ale trzykroć sto tysięcy radzibyśmy na tę wojnę mieli, lecz wiadomo, jaka konkluzja sejmu, z którego nie spodziewać się było i 10.000, atoli my uczyniliśmy, że go jest 20.000... Acz i to mam w podziwieniu, że tylko o 6.000 piszesz, podobno zapomniałeś Wierność Wasza komputu swego do nas przysłanego, z którego okazuje się, że około 10.000 wojska być miało prócz chorągwi, które interim tam posłaliśmy, nie wspominając ludu wojewody sandomierskiego i innych chorągwi, które z ochoty swojej tam poszły". (Żereła do istorii Ukraino - Rusy XII, 107).

Tłumaczyli się potem regimentarze, że opuszczając Konstantynów, wybierali wprawdzie to, co było złem, ale złem mniejszem od rozprószenia wojska, przerażonego wieściami o potędze wroga. Uniewinnili się, że nie odpowiadają za małą liczbę wojska, gdyż chorągwie i tak „kuse" zdzierają się coraz więcej, czemu nie regimentarze i oficerowie są

winni, ale brak pieniędzy o które się wszyscy upominają, inni zaś narzekają, że nawet służby nie są pewni, bo mają wprawdzie listy przepowiednie, ale do komputu nie są włączeni, wskutek czego tak pacholikowie jak towarzysze odjeżdżają i niektóre chorągwie do połowy spadły. Wkońcu obiecywali, że wróg chyba po ich głowach posunie się naprzód. „Wy o nas nie zapominajcie, a my czynić będziem, co cnota i powinność czynić każe" — oświadczali. (*Ojczyste spominki* II. 56).

Wojsko polskie przybyło pod Zbaraż 30 czerwca. Stan jego moralny, jak z przytoczonych listów widać, był fatalny. A temu nie byli winni tylko regimentarze, ale wpływ hańby piławieckiej, niedbalstwo sejmu o wojsko i znikoma ilość żołnierzy wobec tysięcy Chmielnickiego. Firlej już w czasie „retirady" zdecydował się na Zbaraż. Co go skłoniło do tego, że właśnie ten niepokaźny i nawet niebardzo warowny zamek wybrał na miejsce obrony? Czy tego żądał Wiśniowiecki, obruszony na króla, iż mu odebrał buławę, którą otrzymał z rąk paru tysięcy niedobitków piławieckich, co następnie sejm na tymczasem potwierdził? Wiśniowiecki zbliżył się w połowie czerwca do wojsk koronnych i wkońcu stanął pod Szymkowcami (około dwie mile na północ od Zbaraża). Rozumiał on dobrze, że ani sam z trzema tysiącami ani regimentarze z sześciu nie zdołają zatrzymać nieprzyjaciela i dlatego chętnie zrezygnowałby z pierwotnego planu założenia osobnego obozu, byleby to się stało honorowo, to jest, gdyby inicjatywa wyszła ze strony królewskich regimentarzy. Zawiadomił ich więc o swej obecności, posyłając równocześnie jeńców schwytanych pod Czołhańskim Kamieniem. Lanckoroński zachęcony tym dowodem pamięci Wiśniowieckiego, udał się do Szymkowiec osobiście i prosił kniazia, aby przybył do Zbaraża. Ofiarował mu nawet swą buławę; książę oczywiście jej nie przyjął, lecz rozrzewnił się bezinteresownością regimentarza i tylko pozornie się wymawiał od połączenia swoich chorągwi z głównym korpusem, twierdząc, że nie ma zapasów żywności i amunicji, więc raczej ciężarem niż pomocą stanie się dla oblężonych. Uspokoił jednak jego obawy Lanckoroński, przyrzekając, że książę ze wspólnych magazynów będzie mógł korzystać narówni

z regimentarzami. Tak doszło do wjazdu księcia do obozu. Szczegóły tego wjazdu jak np. meteor spadający w stronę Konstantynowa, uroczyste ofiarowanie trzech buław regimentarskich księciu, radosny płacz podczaszego, to przepiękne opisy owego wesela, jakie ogarnęło chorągwie polskie na widok pogromcy Kozaków. Źródła krótko tylko zaznaczają że książę wieczorem dziewiątego lipca wśród powszechnej radości wjechał do Zbaraża i że po jego przyjeździe otucha wstąpiła w serca żołnierzy. Wiśniowiecki przybył ze Szymkowiec, więc mógł wjechać do miasta a stąd po grobli zastępującej most dostać się do obozu. Nie wydaje się prawdopodobnem, by jechał od strony Starego Zbaraża, który się znajduje w południowo-zachodnim kierunku od zbaraskiego zamku.

Z innych jeszcze wypadków, które zaszły przed przybyciem armji Chmielnickiego, Sienkiewicz na podstawie źródeł wspomina podjazd Sierakowskiego, natomiast o podjeździe Kuszla, który taką przysługę wyświadczył Wołodyjowskiemu i Zagłobie, ratując im wolność i życie, źródła nie czynią najmniejszej wzmianki. Wyruszyły wprawdzie na zwiady dwa podjazdy pod wodzą Hulewicza i Duszyńskiego, lecz nie byłyby one bohaterom trylogji przyszły z pomocą, gdyż na widok Tatarów umykały przerażone co prędzej do obozu.

Z przybyciem Wiśniowieckiego inny duch zapanował w obozie. Wszystkie diarjusze i relacje zgadzają się ze słowami Sienkiewicza: „W obozie zapanował najlepszy duch, karność była przywrócona, a zamiast dawnego zamieszania, krzyżowania się rozporządzeń, niepewności — widziałeś wszędy ład i sprawność". Inaczej jednak zapatrywać się należy na poprzednie słowa powieści: „Książę, przyjąwszy bez dłuższych wahań naczelne dowództwo, szykował wojsko, wyznaczał każdemu, gdzie miał stać, jak się bronić i jak innym w pomoc przychodzić". Postawmy sobie pytanie: kto był naczelnym dowódcą zbaraskiej załogi? Sienkiewicz wszędzie na pierwsze miejsce wysuwa księcia Jeremiego, regimentarze u niego grają rolę podkomendnych oficerów. Wiśniowiecki przed bitwą staje przed szeregami i wszystkie oddziały zachęca do męstwa. On wysyła i przyj-

muje posłów, jak naprzykład owego gońca Chmielnickiego, Sokoła, który według powieści, gdyż źródła go nie znają — miał powiedzieć księciu, że hetman kozacki w gości przybył do Zbaraża i na drugi dzień w zamku księcia odwiedzi. Na Wiśniowieckiego są zwrócone główne ataki, chociaż w rzeczywistości właśnie książę miał przez cały ciąg oblężenia najspokojniejszą pozycję. On zmniejsza wały, jak to widać z jego krótkiego rozkazu, danego Przyjemskiemu. „Potem zwrócił się do p. Przyjemskiego. — Ten okop jest za duży! — rzekł. Przyjemski skinął głową na znak zgody" — tymczasem źródła a zwłaszcza diarjusz Rkp. Oss. 1389 podkreślają, że zmiany obozów uchwalano na wspólnej radzie dowódców dywizyj i że wogóle ważniejsze przedsięwzięcia roztrząsano na naradach wojskowych, a ostatnie zdanie bynajmniej nie należało do Wiśniowieckiego, lecz do obydwóch regimentarzy. Widać to nawet i z diarjusza obszernego i krótszego, według których książę tylko przeróżnemi argumentami przekonywuje regimentarzy, by się bronili w obozie, a nie zamykali się w samym zamku. Słowem, Wiśniowiecki w powieści jest naczelnym wodzem w Zbarażu. Regimentarze poszli w cień, gdyż „pan Firlej stary, pan Kamieniecki dobry żołnierz, ale żaden wódz, a co do podczaszego koronnego, no, ten razem z księciem Dominikiem pod Piławcami zdobył sobie reputację". Sienkiewicz poszedł tu za Kubalą, a naczelną władzę Wiśniowieckiego uwydatnił jeszcze bardziej przez to, że jego bohaterzy walczyli w chorągwiach kniazia. W rzeczywistości pod Zbarażem — rzec można — nie było naczelnej władzy. Ani Wiśniowiecki nie wydawał rozkazów regimentarzom, ani ci nie odważyliby się rozkazywać księciu. Nie było ono nawet konieczne, gdyż dywizje miały wyznaczone kwatery i każda z nich broniła swej pozycji, jak mogła, a gdy nie czuła się na siłach, prosiła swego sąsiada o pomoc. Regimentarze nie byli znowu nieudolnymi wodzami, jak to właśnie Zbaraż najlepiej wykazuje. Firlej stary umiał wybierać najniebezpieczniejsze pozycje i nie chciał z nich ustępować mimo nalegań swoich kolegów i zawziętych ataków ze strony wroga. Walczył mimo swej starości w szeregach przy prostych żołnierzach, jak to zaznaczają prawie wszystkie diarjusze przy opisie walnych szturmów. Prawda,

że jako protestant, nie miał on wielkiej popularności między żołnierzami, którzy mu z tego powodu raz tak dokuczyli, że staruszek skarżył się na nich ze łzami. Jednakowoż starzec ten zgrzybiały, stojący na wałach zbaraskich w gradzie kul kozackich i strzał tatarskich, nie uciekał ani przed odpowiedzialnością wodza, ani przed obowiązkiem szeregowca, nie unikał śmierci, której ostatecznie zaraz po skończeniu oblężenia uległ, a więc zasługuje na wdzięczną i sprawiedliwą ocenę historji — gdyż powieść ma także tutaj więcej swobody. Lanckoroński umiał już na wiosnę, jak grom spadać na chłopów i kozaków, a teraz w Zbarażu walczył też dzielnie i właśnie w Zbarażu nie potrzebował wielkich zdolności strategicznych, jego zaś osobista odwaga, zaciętość w walce, porywała przykładem żołnierzy i przyczyniła się w niemałej mierze do zwycięstwa. Były regimentarz Ostroróg starał się zmyć z siebie plamę piławiecką, a że dobrze dowodził na swoim odcinku i dzielnie walczył, jako żołnierz, świadczy diarjusz kapelana jego dywizji, a potwierdzają to inne relacje.

To wszystko nie ujmuje zasługi księciu Wiśniowieckiemu, bo twierdzić można, że bez niego klęska załogi stałaby się bardzo prawdopodobną. On to bowiem siłą swego charakteru, sławą niezwyciężonego wodza i magnetycznym wpływem na żołnierzy, utrzymywał w chorągwiach męstwo i wytrwałość, posuniętą do najwyższej możliwości i wytrzymałości siły nerwów ludzkich. On też swoją obecnością usuwał niezgodę pomiędzy regimentarzami i radą skupiał wszystkie wysiłki załogi zbaraskiej. Jemu więc słusznie historja i powieść winna przypisywać zasługę zwycięstwa pod Zbarażem.

Następnego dnia po przybyciu księcia stanął pod Zbarażem Chmielnicki. Rozpoczęła się więc walka, która miała trwać pięć tygodni, walka nieustanna i zażarta. Przyjrzymy się jej głównym szczegółom w zwierciedle powieści i źródeł historycznych, a to zapewne przyczyni się tak do wyrobienia należytego sądu o tym wspaniałym czynie wojska polskiego, a zarazem do tem większego podziwiania genjuszu Sienkiewicza. Ponieważ jednak bitwy, bez znajomości terenu, nie można zrozumieć, zatrzymamy się chwilkę nad mapą okolicy Zbaraża.

Okolica Zbaraża, to część wyżyny podolskiej, powyginanej i pogarbionej dosyć silnie, a przez to przedstawiającej się, jako kraj pagórkowaty, niemal górski. Z północnego wschodu płynie po niej mała rzeczka Gniezna i pod wsią Bazarzyńcami wpada do stawu, zwanego Bazarzynieckim lub zbaraskim wschodnim. Jest on dosyć długi, bo rozciąga się na jakie 700 m, szerokość jego dochodzi do 300 m. Gniezna wypływa z niego wąskiem korytem, ścieśnionem przez silną groblę, która zastępowała i zastępuje most, a zarazem podtrzymuje wodę stawu, który z całym terenem pochyla się w stronę zachodnią. Pod miastem płynie rzeka w kierunku równoleżnikowym i stanowi niejako podstawę osiedli miejskich. Następnie wpada do drugiego stawu „zbaraskiego", a wypłynąwszy z niego, zatacza ku północnemu zachodowi łuk, by potem skręcić na południe. Tu w kierunku południowo-zachodnim od zamku zbaraskiego znajduje się Stary Zbaraż.

Samo miasto Zbaraż leży w wielkiej części jak na półwyspie, oblanym z trzech stron przez rzekę i dwa stawy. W XVII wieku, jak wszystkie podolskie miasta, było ono otoczone rowem i ostrokołem. Wspominają o tem wyraźnie diarjusze obrony zbaraskiej. Na południowej stronie rzeki wznosił się zamek dawniej książąt Zbaraskich a potem Wiśniowieckich. Zbudowano go według planu holenderskiego architekta, Henryka van Pöene, w systemie bastjonowym, nazwanym tak z powodu bastjonów, które przez kąty wysunięte naprzód umożliwiały ostrzeliwanie długiej ściany czyli kurtyny. Zamek ten nie był wielki i najwięcej parę tysięcy wojska mogło się w nim zamknąć, a prócz tego wystawiony był na równinie i wskutek tego choć wystarczał na zwyczajne zagony tatarskie, na wytrzymanie większej siły wroga był za słaby.

Otoczono go więc obozem, co Sienkiewicz w tych słowach opisuje: „Pan Przyjemski na południowych stokach miasta i zamku, za rzeczką Gniezną i dwoma stawami, zatoczył potężny obóz, który cudzoziemską sztuką ufortyfikował, a który tylko z przodu można było zdobywać, bo tyłów broniły stawy, zamek i rzeczka... (s. 189)" Sienkiewicz przypisuje plany fortyfikacyj i ich wykonanie Przyjemskiemu

opierając się w tem na Kubali a raczej na Kochowskim, źródła jednakowoż, które specjalnie zajmują się wałami, jak Vimina (s. 142), a szczególnie Radwan, który się wyłącznie tylko niemi zajmuje, świadczą, że pracami kierował przy pierwszych i drugich wałach, Lotaryńczyk, Franciszek Dubois, przy trzecich Aders, który też wykonał plany do czwartych, lecz ich już w czyn zamienić nie mógł, bo śmiertelnie ranny, 26/VII, zakończył życie. Zastąpił go „Wojciech z Łazów Radwański, geometra polny, armaty porucznik, wszystkich sługa wspólny", któremu, „jako ziemianinowi, wodzowie kazali niezwłocznie wał nowy robić ku zamkowi". Jakoż i wszystko dobrze przeprowadził i w swej „Ekspedycji zbaraskiej" opisał, a nawet mapę fortyfikacyj narysował. Niestety mapy tej nie można odnaleźć, jak wogóle i dziełko jego jest niezmiernie rzadkie, a szkoda, że nie zetknął się z niem Sienkiewicz, bo jego obraz Zbaraża nabrałby dużo wyrazistości przez dokładne umiejscowienie poszczególnych wypadków.

Wały polskie rozpoczynały się u „wierzchowin" stawu Zbaraskiego wschodniego, który dla jasności zawsze nazywać będziemy bazarzynieckim. Stąd na południe zataczały one linję przeszło milę — ponad 7 km długą — prawdopodobnie z linją obronną miasta — i kończyły się przy drugim stawie, w dolinie, utrzymując kontakt z fortyfikacjami miasta. Kubala i Sienkiewicz poza tem określeniem obozu według samego tylko Twardowskiego, nic więcej stanowczego o pozycjach polskich nie umieli powiedzieć, gdyż nie sięgnęli do dzieł czysto wojskowych, mianowicie do Viminy i Radwana. Sienkiewicz przeto ogólnie tylko mówi, że Wiśniowiecki miał pozycję na prawem polskiem skrzydle a regimentarze na lewem. Z dziełka Radwana znamy nietylko głębokość i szerokość rowów, ale także główny zarys fortyfikacyj i rozłożenie kwater. I tak przy samym stawie Bazarzynieckim stał Rozrażewski Jacek z dragonami z Wielkopolski, a był on doskonałym oficerem, bo sztuki wojennej uczył się przez kilka lat w Belgji. Dalej na południe swej „sztuki" pilnował z wojskiem zaciężnem Krzysztof Przyjemski, następnie rozciągały się wały i „rogata reduta" Firleja, gdzie jako w najsilniej atakowanem miejscu stała artylerja koronna, tuż przy

Firleju „irregularnego beluardu" bronił drugi regimentarz, Lanckoroński, za nim znowu wysuwał się naprzód „rawelin" Koniecpolskiego, chorążego koronnego, na zejściu ku południowi Ostroróg bronił swego „kwadratu", a przy nim stali: Marek Sobieski, starosta krasnostawski i Sieniawski; ten łączył się z wojskami książąt Wiśniowieckich Jeremiego i Dymitra, którzy usypali tu „raweliny", to jest odcięte od wału i tylko fosami z nim złączone, reduty. Zapamiętajmy sobie dobrze to stanowisko księcia Jeremiego! Stoi on przy stawie zbaraskim, mniej więcej naprzeciw zachodnich fortyfikacyj miejskich, i swego stanowiska nie może wiele ku zamkowi posuwać, gdyż przez to utworzyłaby się luka między obozem a miastem. Między zamkiem a stawem znajdował się i w części w tym stanie aż do naszych czasów pozostał Przygródek, którego ściany oskarpowane są ciosowemi kamieniami. Miasta bronili z początku mieszczanie, piechota łanowa i „drużyny w mieście nazbierane". Przy wylocie ulic wybudowane były drewniane wieże, w jednej z nich zajął swą placówkę słynny strzelec Buttler. Wysławiają go niemal wszystkie diarjusze i pamiętniki. Od miasta na północny wschód szła droga ku Załościom, a prawdopodobnie w kierunku zupełnie północnym do Wiśniowca, gdyż ta miejscowość znajduje się na północ od Zbaraża, ze znikomem zboczeniem na wschód. Podkreślamy to, gdyż ku dąbrowie, znajdującej się między temi drogami, miał zdążać Podbipięta. Na lewo od drogi ku Załościom rozciągał się „Czarny las". Przejdźmy do opowiadania Sienkiewicza o walkach pod Zbarażem, a najprzód o pierwszej potyczce o taborek książęcy.

Któż nie pamięta tej przepięknej walki, w której przeciw doborowemu podjazdowi ordyńców, liczącemu 20 do 30 tysięcy ludzi, książe wyprowadził całą jazdę polską? Wysunęły się z niej „dwie chorągwie Tatarów i semenów książęcych i szły drobnym kłusem naprzód; łuki trzęsły się im na plecach, migotały kołpaki... dzień był jasny, przeźroczysty — i widać ich było jak na dłoni". Półksiężyc tatarski ruszył z kopyta ku taborkowi książęcemu, który się właśnie w tej chwili ukazał od strony Starego Zbaraża. Półksiężyc czarną wstęgą otoczył taborek, a równocześnie kilka tysięcy Tatarów zwróciło się przeciw Wierszułłowi, prowadzącemu

chorągwie książęce. Żołnierze Wiśniowieckiego „rozdzielili się na troje i skoczyli na boki, potem rozdzielili się na czworo, potem na dwoje", aż nareszcie razem uderzyli w najsłabsze miejsce pierścienia tatarskiego i wskoczyli w środek taborku. Taborek broni się teraz lepiej, ale słabnie, a wtedy książe wysyła na pomoc dragonów Kuszla i Wołodyjowskiego, potem jeszcze kilka innych i te „dobiegłszy i uderzywszy, jak obuchem, rozerwały pierścień tatarski, potem spędziły go, zgniotły na równinie... i gnały o ćwierć mili od obozu". Całe to opowiadanie wziął Sienkiewicz z diarjusza obszernego. Na dowód wystarczy przytoczyć zdanie tego diarjusza: „Zaczem nasi tatarowie, rozdzieliwszy się bez chorągwi, raz we troje, drugi raz we czworo, trzeci raz we dwoje, czwarty raz wraz uderzyli, już z chorągwią skoczywszy". Są jednak różnice między powieścią a źródłami, chociażby samym diarjuszem obszernym. I tak wojsko polskie było przygotowane do walnej rozprawy. Piechota zatrzymała się na wałach, a jazda uszykowała się do boju. Na prawem skrzydle stanął Wiśniowiecki, przy nim Sobieski i Sieniawski, w centrum Koniecpolski, na lewem zaś skrzydle regimentarze. Przed bitwą odbyły się zwyczajnie harce, na które ze strony nieprzyjacielskiej wyjechało 2.000 ordyńców, a książe wysłał przeciw nim 150 swoich Tatarów. Ci staczają utarczki, aż nareszcie razem uderzają nie na taborek, czy na pierścień tatarski koło niego, lecz na harcowników i oczywiście wobec olbrzymiej przewagi nieprzyjacielskiej prawie wszyscy giną, porucznik książęcy został też „sześć razy w łeb szkodliwie cięty". Do walnej bitwy nie doszło, gdyż Tatarzy stanowili tylko liczny rekonesans, a nie armję nieprzyjacielską, zato przyszło do utarczki wokoło taborku książęcego, który stał bez okopów poza głównemi wałami, czekając na przygotowanie mu miejsca w obozie. Wzięły w niej udział chorągwie Zamoyskiego i Lubomirskiego, które rozbiły Tatarów i uratowały przez to taborek. Lekka jazda Wiśniowieckiego gnała rozprószonego wroga „ćwierć mili od taboru (słowa diarjusza obszernego), zaczem już nas naokoło opasywać poczęli i tylko harcami bawili". To samo pisze Sienkiewicz: „Mnóstwo ich harcowników zbliżyło się pod okopy, a naprzeciw sypnęli się zaraz i pojedynczo

i kupkami żołnierze". Na tych to harcach Wołodyjowski takich cudów dokonywał, że zachwycony Zagłoba, który go „szablą robić uczył, wołał Dali-Bóg, niezadługo mnie dorówna",

Ta utarczka była początkiem walki „Dawida z Goljatem. Siły, które ze sobą się zmagały, nie były równe, warto jednak zastanowić się, czy przewaga Chmielnickiego była w rzeczywistości tak olbrzymia i czy nie ma pewnej dozy słuszności ukraiński historyk, M. Hruszewskij, który polskie opisy oblężenia Zbaraża nazywa „koszmarno-krwawemi" i „nową gigantomachją".

— Mówią, że hordy i kozactwa jest na pół miljona — rzekł Litwin.

— Bodaj Waści język odjęło! — krzyknął Zagłoba. Dobra nowina!

„Zdawaćby się mogło, że to nowa wędrówka narodów, które porzuciły mroczne stepowe siedziby, ciągną na zachód, by nowe ziemie zająć, nowe państwo utworzyć. — Taki to był stosunek sił walczących... garść przeciw krociom, wyspa naprzeciw morzu!" To są zdania powieści o małej liczbie zbaraskiej załogi i nieprzejrzanych zastępach kozacko-tatarskich.

Słowa Podbipięty nie różnią się od wiadomości pamiętników, diarjuszy i relacyj. Mówią one też o 300.000, 400.000 i t. d. Są jednak źródła, które podają liczby znacznie mniejsze i schodzą nawet do 70.000 kozaków, mniejszą jeszcze liczbę Tatarów i ponadto bliżej nieznaną ilość czerni. Czy te niższe cyfry nie są prawdopodobniejsze od tych setek tysięcy kozaków, setek tysięcy Tatarów i chłopów? Czy Ukraina była wtedy w stanie wystawić trzysta tysięcy żołnierzy? A przecież parę pułków z Krzeczowskim poszło przeciw księciu Januszowi Radziwiłłowi, garstka także została po miastach ukraińskich lub krążyła wokoło, szukając zdobyczy. Kozacy stanowili wyborną piechotę, to prawda, którą odczuli na sobie Polacy w czasie wojen z Chmielnickim, nieraz bardzo dotkliwie, ale Tatarzy niewiele znaczyli pod Zbarażem. Cóż miały dokonać ich błyskawiczne ataki pod ziejące ogniem wały polskie? Takich wałów, okolonych głębokim i szerokim rowem, nie zdobywa się przy pomocy

konnicy, tem więcej, że Tatarzy tak pod Zbarażem, jak pod Zborowem i wszędzie okazywali się nadzwyczaj czułymi na kule samopałów i muszkietów. Inne zdanie można mieć o znaczeniu czerni ruskiej. Nie była ona wyćwiczona w boju, ujęto ją zaledwie w karby prymitywnego porządku, ale masą swoją stała się groźną i straszną potęgą. Trzeba też i to przypomnieć, że oblężony żołnierz, a więc żołnierz w wielkiej części zasłonięty przed pociskami wroga, znaczy więcej, aniżeli kilku stojących lub atakujących na otwartem polu. Frejtag, inżynier polski, w swem dziele o fortyfikacjach swego, t. j. XVII wieku, mówiąc o stałych twierdzach, wypowiada zdanie, że załoga twierdzy powinna dziesięć razy mniej liczyć żołnierzy, aniżeli nieprzyjaciel. Wiedział o tem i pan Zagłoba, kiedy na pytanie Litwina, czy siła naszych poległa, odpowiedział: „I! niewielu, jak to zawsze bywa, że oblegających zawsze więcej ginie, niż oblężonych... my starzy praktycy nie potrzebujemy trupa liczyć, bo z samej bitwy umiemy wymiarkować".

„W tej chwili sześćdziesiąt armat kozackich ryknęło jednym głosem" — powiada powieść, a było ich w rzeczywistości trzydzieści i to jeszcze 24 „dosyć małych", jak to zeznają jeńcy pojmani przez podjazd Ostroroga (Ojczyste spominki 58). Trzeba też wkońcu zauważyć, że trudności utrzymania w jakiejś karności takiej masy ludzkiej i dostarczania jej żywności były niemałe; dodajmy też i tę okoliczność, że dla oblężonych pomyślnie pracował sam czas, zbliżając im odsiecz królewską, a dla Chmielnickiego oblężenie Zbaraża było zaledwie wstępem do dalszej walki, na którą musiał się przygotowywać, a w pewnej mierze ściągniemy obraz oblężenia Zbaraskiego do więcej realnych, chociaż niemniej godnych podziwienia rysów.

Wojska polskiego było w Zbarażu według komputu i wykazu źródeł dziewięć do dziesięciu tysięcy. Powiększymy tę liczbę w dwójnasób, gdy dodamy do niej luźnych pachołków, a więcej jeszcze, gdy nie zapomnimy o woźnicach obsługujących konie i wozy. A nie było ich mało, jeżeli Vimina twierdzi, że w Zbarażu było aż sześćdziesiąt tysięcy koni, z których przy końcu walki pozostało tylko trzy tysiące. Bez wielkiej przesady można liczbę załogi

podać na jakie 20 może 25 tysięcy walczących żołnierzy. Armat koronnych było 15, ile było prywatnych, a zwłaszcza książęcych w zamku, w którym po klęsce piławieckiej, jak twierdzi naoczny świadek, Twardowski, Chmielnicki bez bitwy zabrał 50 armat, niewiadomo, ale można utrzymywać, że ich też było 15, więc, że artylerja polska dorównywała mniej więcej kozackiej. Na prochu zbywało raczej kozakom, aniżeli oblężonym, ci bowiem dopiero w ostatnich dniach walki uważali za stosowne zmniejszyć „racje" wydawane żołnierzom.

„Czy aby wiwendy dosyć?" pytał niespokojnie Zagłoba. I słusznie pytał, bo głód może najlepszym obrońcom twierdzy wytrącić broń z ręki. A jakąż otrzymał odpowiedź od Zaćwilichowskiego? — „I tego nietyle — odpowiada on — nietyle, ile potrzeba, ale z paszą jeszcze gorzej. Jeżeli się oblężenie przez miesiąc przeciągnie, to chyba wióry a kamienie będziemy koniom dawali". Jakoż paszy brakło niemal w pierwszym tygodniu walki, ale to mniejsza, boć konie można było wypędzić, zabić, a resztę czemkolwiek żywić, ale żywności już w początkach sierpnia niewiele było, żywiono się więc koniną, wkońcu psom i kotom nie przepuszczano, a w ostatnich dniach oblężenia głód dziesiątkował załogę przez choroby i dezercję. Jak wielki był brak żywności pod koniec walki, świadczy najlepiej fakt, że dwa tysiące okolicznej ludności, którą spędzono do miasta, za pozwoleniem wodzów opuściło Zbaraż, by u wroga znaleźć miłosierdzie, a wtedy jeszcze każdego uchodźcę przepuszczano przez poczwórne straże, które zabierały ostatnią okruszynę chleba. Nieszczęśliwi nie znaleźli łaski u Tatarów, którzy ich prawie wszystkich wymordowali lub pojmali w jassyr. Rzeź ich jednak nie powstrzymała innych, którzy mimo to, nie mając żadnego pokarmu, gotowi byli na wszystko i prosili wodzów, by im też pozwolili przejść do taboru wroga. Nie otrzymali tego pozwolenia i po kilku dniach doczekali się wybawienia.

Po zaznajomieniu się tak z polską jak z kozacką armją, przejdźmy do dalszego opowiadania powieści o walkach pod Zbarażem. Więc najprzód 11 VII Chmielnicki przypuścił do polskiego obozu pierwszy atak, niejako na próbę, czy

przypadkowo wojsko polskie nie ulegnie piławieckiej panice i nie umknie z pola bitwy. Młodzi żołnierze, widząc po raz pierwszy takie chmary ludzi, przerazili się i uspokoiła ich dopiero procesja z Przenajświętszym Sakramentem na wałach zamku. Wspominają o niej diarjusze, zresztą nie była ona ostatnią, a Sienkiewicz opisuje ją przepięknie i z drobnemi szczegółami. Monstrancję trzyma ks. Muchowiecki, a przy nim idą księża Jaskólski i Żabkowski. Sienkiewicz przedstawia ks. Muchowieckiego jako wielkiego ascetę, Jaskólskiego jako świetnego strzelca, a Żabkowskiego, jako rubachę, serdecznego towarzysza Zagłoby. W rzeczywistości właśnie ks. Muchowiecki nie zasłużył na irytację Zagłoby, który niezadowolony tak skarży się na niego: „A nasz ksiądz Muchowiecki jeno ręce ku niebu wznosi a płacze, że się tyle krwi chrześcijańskiej leje". Tymczasem źródła właśnie o ks. Muchowieckim, jezuicie z klasztoru pereasławskiego, piszą, że dobrym był strzelcem i „miał guldynkę wileńską bardzo dobrą, że ich 215, jako się wszyscy zgadzają, przez oblężenie ubił". Siedział on — jak o tem i Zagłoba mówi — w dębowej baszcie w przygródku, którą Fedorenko podjął się wysadzić w powietrze, ale jest postrzelony. Jeżeli kto przyjmie wywody W. Lipińskiego, że Fedorenko jest sławnym Bohunem, za przekonywujące, to przyzna, że pan Zagłoba był mocno niewdzięczny.

Ksiądz Żabkowski widocznie był bardzo wśród żołnierzy popularny, bo pamiętniki i diarjusze ze szczególnym pietyzmem zapisują jego śmierć: „29 VII trafiła go kula kozacka w krzyż w zamku przed bramą w czasie odprawiania mszy świętej — i umarł w parę godzin później. Diarjusz Rkp. Jag. 5 wspomina też ks. Petrykowskiego, który miał awanturę z ministrem protestanckim, chcącym zaopatrzyć Ardensa (Sienkiewicz pisze: Szenberka), a fizyczną argumentację przypisuje ks. Żabkowskiemu. Słowa diarjusza obszernego: „Jednak nie rewokowawszy ten kapitan dziś zmarł" przekłada Sienkiewicz na dialog: „A ówże kapitan Szenberk nie rewokował? — pytał pan Michał. Gdzie tam, umarł w bezecności, jak żył!"

Dzień dwunasty lipca upłynął na obustronnych przygotowaniach do walki. Następnego dnia odbył się w a l n y

szturm kozacko-tatarski na wały polskie. Sienkiewicz opisuje go bardzo dokładnie, dzieląc akcję bojową na dwie części, z których jedną umieszcza na lewem skrzydle a drugą na prawem, to jest na pozycji księcia Wiśniowieckiego. Według powieści szturm rozpoczął się późnym wieczorem i zakończył się prawie że nad świtem. Na wały książęce rzucił najprzód Chmielnicki pod osłoną stada wołów i gromady chłopów „najprzebrańszy lud swój, wiedząc, że tam będzie opór największy". Szły więc kurzenie siczowe, za nimi straszliwi perejasławscy z Łobodą... Mrozowicki korsuński wiódł pułk korsuński, Neczaj bracławski, wkońcu sam Chmielnicki „w ogniu, jak szatan czerwony, szeroką pierś na kule wystawiający, z twarzą lwa, z okiem orła — w chaosie, dymie, zamieszaniu, rzezi i zwichrzeniu, na wszystko baczny, wszystkiem rządzący. Piechota niemiecka i polska łanowa, a prócz tego dragoni książęcy lali w te masy ludzkie śmiercionośny płomień i ołów. I trwała walka bezpardonowa przez całe godziny. Naokół wału urósł drugi wał trupów i tamował przystęp szturmującym... Siczowych wycięto niemal do nogi, pułk perejesławski leżał pokotem koło wału, karwowski, bracławski i humański były zdziesiątkowane — ale inne pchały się jeszcze, popychane z tyłu przez gwardje hetmańskie, rumelskich Turków i urumbejskich Tatarów. Chorągwie księcia nie ustępują ani na krok, porwani szałem bojowym, zmagali się z wrogiem, którego z powodu ciemności nawet widzieć nie mogły. Do pomocy przybył im oberszter Machnicki i wtedy „trąbki na odwrót poczęły grać w tylnych szeregach mołojców".

Teraz jednakowoż ukazał się na wałach książe Jeremi, skinął złotą buławą, a na ten znak z przerwy między zwierciadłem stawu a wałem wypadła jazda ciężka i lekka i uderzyła we flankę kozacką. Zastępy kozaków i Tatarów zachwiały się i mimo dzielnego oporu, z wielkiemi stratami uciekły w popłochu z pola bitwy, na którem stał tylko niewzruszenie potężny czworobok urumelskich i sylistryjskich janczarów i watah poturczeńców serbskich. Longinus Podbipięta wpadł na swym rumaku w środek tego czworoboku i ciął zerwikapturem za trzech olbrzymów. Wkońcu: kozacy, Tatarzy, poturczeńcy i janczarowie uciekali w naj-

większym nieładzie i odetchnęli dopiero wśród wozów swego taboru.

Porównajmy to opowiadanie ze źródłami. Otóż diarjusze i relacje nie opisują dokładnie tego szturmu a zwłaszcza walki na prawem skrzydle. W każdym razie szturm rozpoczął się rano, trwał cały dzień a wieczorem doszedł do kulminacyjnego punktu i to na lewem skrzydle. Wystarczy zacytować słowa diarjusza krótszego: „13/VII. We wtorek rano tymże kształtem nastąpił ze czterech stron do szturmu, gdzie horda jako chmura poszła, ubiegając się do naszych wałów. Przez dzień strzelali, wielka była nawałność nad wieczorem". Jak odbyła się walka na wałach Wiśniowieckiego, nie wiemy to pewne jednak, że główne siły kozackie nie zwróciły się przeciw księciu, lecz przeciw Firlejowi. Przebieg bowiem całego szturmu był następujący. Najprzód Chmielnicki wymierzył główny atak na kwaterę Jacka Rozrażewskiego, spodziewając się, że w tem miejscu, gdzie wały nie były jeszcze ukończone, najłatwiej wedrze się do wnętrza obozu. Dragoni jednak rozsypani przed wałami tak celnie strzelali, że atak się załamał, Chmielnicki cofnął swoje chorągwie, uszykował piechotę po raz drugi i rzucił ja na prawe i na lewe polskie skrzydło. Walka była zacięta, po stronie polskiej stanęli do boju wszyscy, którzy mogli ująć broń w rękę, nawet czeladź od wozów, rydli i koni. Wiśniowiecki odparł wszystkie ataki i na jego skrzydle pod wieczór zapanował względny spokój. Sienkiewicz wylicza pułki kozackie, które szły przeciw Wiśniowieckiemu, wie, które z nich największe poniosły straty, przedstawia szeroko kontratak konnicy książęcej na nieprzyjaciela i wspaniałą walkę z czworobokiem janczarów — te szczegóły są jednak dowolnem rozwinięciem krótkich wiadomości źródłowych.

W powieści nie przedstawiono walki na lewem skrzydle, zapewne dlatego, że bohaterzy jak Skrzetuski, Wołodyjowski, Podbipięta należeli do chorągwi książęcych, niemniej jednak podkreślić należy, że właśnie tutaj rozegrała się główna walka, że na Firleja Chmielnicki siedm razy przypuszczał atak, że właściwie nie Wiśniowiecki, ale „starzec siwy, który sam gromił, sam przewodził" (Diarjusz Jag.) jest bohaterem dnia. Ostatecznie „sam Pan Bóg ratował", że nieprzyjaciel

odstąpił, gdyż wieczorem walczono tu już wewnątrz obozu, a kozacy zatknęli na wale swoją chorągiew. Wtedy to na pomoc Firlejowi przybyła konnica innych dywizyj, mianowicie na flankę kozacką wypadła królewska chorągiew Koniecpolskiego, za nią pośpieszył Marek Sobieski, potem Zaćwilichowski z siedmiu chorągwiami. Atak jazdy nietylko odparł kozaków od wałów Firleja, ale w pościgu zepchnął oddział nieprzyjacielski w staw bezarzyniecki. Zaćwilichowski miał kwarcianą chorągiew, a w Zbarażu należał do dywizji Koniecpolskiego, więc można z tego wywnioskować, że w ataku brały udział chorągwie Koniecpolskiego i Marka Sobieskiego a nie Wiśniowieckiego, jednakowoż nie wyklucza to możliwości, że także mniejszy czy większy oddział konnicy książęcej ratował Firleja, a więc, że przy stawie bazarzynieckim mógł się znaleźć Skrzetuski a zwłaszcza pan Zagłoba, by tam zabić strasznego Burłaja. Należy jednak pamiętać, że od rawelinu Koniecpolskiego do stawu nie było bardzo daleko, a pan Zagłoba, okrążając całe wały, począwszy od kwatery Wiśniowieckiego do stawu wschodniego musiałby przebyć kilka kilometrów.

Druga część opowieści Sienkiewicza o szturmie to opis ataku i śmierci Burłaja. „Kiedy Wiśniowiecki — opowiada Sienkiewicz — odpierał ataki, wymierzone na prawe skrzydło obozu, Burłaj na lewem omało nie stał się panem okopów. Obszedłszy cicho miasto i zamek na czele zadnieprzańskich wojowników, dotarł do wschodniego stawu i uderzył potężnie na Firlejowe kwatery". Piechota węgierska nie wytrzymała ataku, chorąży pierzchnął z banderją, nieprzyjaciel wskoczył do środka obozu. Kozacy rozbili w biegu mały oddział jazdy, zabrali kilka działek i dobiegali już do kwatery kasztelana bełskiego, ale Przyjemski z rotami zaciężnemi ruszył do kontrataku, przebił jednem pchnięciem chorążego, po półgodzinnej walce przyparł najprzód nieprzyjaciela do wałów, by go stąd wyrzucić na równinę między stawem a przygródkiem. Położenie Burłaja było istotnie ciężkie, gdyż od taboru kozackiego odcięła go konnica Koniecpolskiego i Skrzetuskiego, który przyłączył się do atakujących chorągwi, wracając ze zwycięstwa nad janczarami. Nieprzyjaciel miał drogę odciętą, więc nastąpiła rzeź. Między innymi

zginął sam Burłaj i to z zaszczytnej, bo Zagłobowej ręki. Wypadek ten zapewne każdy Polak pamięta, więc nie należy się tu nad tem rozwodzić, tem więcej, że historja nie zna żołnierza, który pozbawił życia sławnego zdobywcę Synopy.

Atak Burłaja, ucieczka węgierskiej piechoty, opanowanie kwatery Rozrażewskiego, pomoc Przyjemskiego, odcięcie nieprzyjaciela przez konnicę Koniecpolskiego, śmierć Burłaja — to historja w powieści. Warto się jednak zastanowić, dlaczego to Burłaj tak łatwo opanował polską kwaterę. Sienkiewicz powiada, że Burłaj ze swoim pułkiem obszedł cicho miasto i przy stawie uderzył w miejsce, gdzie wały nie były ukończone i gdzie stała słaba chorągiew piechoty węgierskiej a więc zwycięstwo było łatwe. Jak wyżej widzieliśmy, tych niewykończonych wałów nie mógł rano zdobyć sam Chmielnicki, chociaż prowadził tam najlepsze swoje wojska. Otóż według Twardowskiego, Viminy i Temberskiego atak Burłaja udał się dlatego, że dzielny i mądry pułkownik wykorzystał słabą rzeczywiście placówkę polską, mianowicie połączenie ostrokołu miejskiego ze stawem nie od południa, ale od północy stawu. Tu uderzył Burłaj, rozbił oddziałek Węgrów i po grobli podtrzymującej staw wpadł do kwatery Rozrażewskiego nie od zewnątrz ale od jej boku, opartego o tę właśnie groblę i rzeczkę. Wyprawa nie udała mu się, gdyż zaciężni Przyjemskiego dzielnie walczyli; uciec nie zdołał, gdyż los sprawił, że właśnie w tej chwili Koniecpolski w ataku na flankę kozacką znalazł się przy stawie i rozbił pułkownika Mrozowickiego, który mu szedł na pomoc. Tak zginął albo między stawem a Przygródkiem, albo jeżeli się wykradł za wały Rozrażewskiego — na równinie przed Przygródkiem, albo, jeżeli umykał drogą, którą przyszedł, to jest po grobli na północny brzeg stawu — między tym stawem a miejskim ostrokołem. — Z drobiazgów zauważyć należy nazwisko obersztera Machnickiego — diarjusz Starożytności historycznych zna kapitana Maszyckiego, który koło dwudziestego lipca odparł atak kozacki nie na obóz, lecz na miasto. Po szturmie bowiem na obóz urządzał Chmielnicki często napady na miasto, gdzie Polacy mieli dobrą wodę do picia, stąd też od połowy lipca stał tu Korff i strzegł ze

szczególną pieczołowitością dojścia do grobli. Później nawet cały regiment Lanckorońskiego przeniósł się do miasta.

Po odparciu szturmu zmniejszono wały, nie poszło to jednak tak łatwo, jak opowiada Sienkiewicz: „Pracowano nad tem gwałtownie noc całą, a husarja narówni ze wszystkimi pułkami i czeladzią". Pracę bowiem zaczęto jeszcze przed przybyciem Chmielnickiego, a potem równocześnie kończono pierwsze i przygotowywano drugie, albo raczej sypano wały tam, gdzie tego z powodu zmniejszenia obozu o połowę konieczność wymagała. Radwan opisuje główny zarys zmniejszonego obozu, kwatery zachowały mniej więcej dawny porządek. Plan regimentarzy, by porzucić obóz, a bronić się w samym tylko zamku, nie został wykonany z powodu oporu Wiśniowieckiego. Wiadomość, jaką podają źródła o naradzie wojennej wodzów, ujął Sienkiewicz w przepiękny obrazek, przedstawiając księcia na wałach i Firleja obserwującego przez perspektywę nieprzyjaciela. Firlej mówi do podczaszego koronnego; „Widzę, że trzeba nam będzie obrony w okopie poniechać i do zamku się przenieść". Usłyszał te słowa książe Jeremi i rzekł, pochylając się z góry ku kasztelanowi: „Niechże nas Bóg od tego broni, bo dobrowolnie, jakobyśmy w potrzask wleźli. Tu nam żyć albo umierać". Oczywiście, że pan Zagłoba był tego samego zdania i w imieniu całego wojska zaprotestował „przeciw zdaniu jaśnie wielmożnego kasztelana bełskiego".

W nowych wałach odparto d r u g i s z t u r m, może jeszcze groźniejszy od pierwszego, a to z powodu machin oblężniczych, czyli t. zw. h u l a j - g o r o d ó w. Były one tak straszne, że Zagłoba oburzony na bezczelność kozacką mówił: „Djabli nadali te machiny! Sprawże Boże, żeby się ziemia pod niemi rozstąpiła..." Atak, ulewny deszcz, wycieczka, odparcie Tatarów — to wszystko oparte jest na źródłach historycznych. Niewiadomo tylko, ile było machin, gdy bowiem jedne diarjusze podają 14, inne koło dwadzieścia, to inne mówią o kilkudziesięciu. Sienkiewicz poszedł za temi ostatniemi. Wykorzystał tu też wzmiankę Kochowskiego o pociskach holenderskich, które, „roztrząsnąwszy się ludzi zabijają, albo ranią, albo budynki zapalają", pisząc „wtem huknęło z okopów i granat, chychocząc jak puszczyk, zakreślił

czerwony łuk na niebie i upadł w ściśniętą ławicę... kozakom nieznane były tego rodzaju pociski i po trzeźwemu bali się ich najwięcej".

Między 21 lipca a 24 trwała ustawiczna strzelanina; potem rozpoczęły się układy pokojowe, w czasie których polscy żołnierze swobodnie rozmawiali sobie z kozakami. Diarjusz obszerny mówi nawet, że się „tabaką nawzajem częstowali". Sienkiewicz przeprowadza te rozmowy, uwydatniając w nich nastrój panujący w obu armjach. Kpiny bowiem, które pan Zagłoba rzuca na kozaków, gdy mu za wiele dokuczają, w treści swej są wyjęte z diarjuszów Kochowskiego i Twardowskiego. Nic dziwnego, że pan Zagłoba coraz częściej w gniew wpadał, bo przecież z postępem czasu zaczęło brakować „wiwendy" i biedny wojak napróżno chodził z ks. Żabkowskim, „by co znaleźć do przegryzienia", Diarjusz obszerny podaje ceny, jakie pod koniec lipca kursowały w Zbarażu. Więc groszowa bułka kosztowała teraz złotego czyli trzydzieści razy więcej, kwartę gorzałki i to lichej można było kupić za 12 złotych, gdy tymczasem we Lwowie w tymże roku kwartę anyżówki sprzedawano za 12 groszy, garniec piwa kosztował w Zbarażu półtora złotego, niemal dziesięć razy drożej od normalnej ceny. Nietyle więc ataki, ile głód i zaraza dziesiątkowały załogę zbaraską i koniec końcem zdawało się, że bohaterscy obrońcy wszyscy wyginą, gdyż o królewskiej pomocy nie było najmniejszej wiadomości. „A może król nie wie, jakie jest nasze położenie?" — takie pytanie cisnęło się do głowy i na usta strudzonych wodzów i żołnierzy. Skomunikowanie się z królem było bardzo trudne, — rzec można — niemożliwe. Ostatni list, który przedostał się przez wały zbaraskie i tabor nieprzyjacielski, napisał Lanckoroński w imieniu chorego naonczas Firleja, 12/VII, więc w przeddzień walnego szturmu. Następnego dnia wysłano do króla kilku innych gońców, ale ci już nie przekradli się przez obóz nieprzyjacielski, błąkali się po Zbarażu, aż ich wkońcu przyłapano 16/VIII. Listy do króla były rozpieczętowane. Także i od króla nie przychodziły żadne wieści, a jak trudno było przekraść się przez obóz kozacko-tatarski świadczy fakt, zanotowany przez Kuszewicza, że matka Marka Sobieskiego dawała ogromne

sumy zaufanym Tatarom, byleby zanieśli list do jej syna w Zbarażu i przynieśli od niego jaką wiadomość. Tatarzy wracali, twierdząc, że wszelkie ich próby spełzły na niczem. Hetman kozacki pod koniec sierpnia obostrzył jeszcze rozporządzenia co do straży, tak że nawet Kozacy i Tatarzy nie mogli wychodzić z taboru, chodziło mu bowiem o to, by się król nie dowiedział o jego potędze, zwłaszcza o obecności Tatarów pod wodzą samego chana, a to mu się świetnie udało. Ażeby też marsz króla uniemożliwić albo przynajmniej znacznie utrudnić, kopał poza taborem w odpowiednich miejscach głębokie rowy, nakrywał je gałęziami, by w nich unieruchomić królewską artylerję i ciężką konnicę. Diarjusz obszerny pod drugim sierpnia podaje wiadomość, że Chmielnicki napisał do księcia Wiśniowieckiego list, w którym mu donosił, że posłańca z listem do króla wysłanego „w trzech milach za Lwowem" pojmano i głowę mu ucięto. Na dowód hetman kozacki przysłał księciu list, jaki znaleziono przy nieszczęśliwym posłańcu.

Przypuszczać należy, że właśnie ta notatka podsunęła Sienkiewiczowi genjalną opowieść o wyprawie i śmierci P o d b i p i ę t y, bo przecież i ten wybrał się pod koniec lipca ze Zbaraża, wydostał się już poza tabor kozacki — i głowy mu wprawdzie nie ucięto, lecz zato obnażone jego zwłoki zawisły na szczycie kozackiej beluardy. Tyle było prawdy historycznej w bohaterskim czynie posłańca, którego śmierć książę w gorzkich i surowych słowach wypomniał Chmielnickiemu w liście przesłanym do taboru kozackiego przez prostego chłopa (diarjusz obszerny). Wypada nam jednak przypatrzeć się drodze Podbipięty, ażeby ją dokładnie umieścić na mapie. Nie jest to tak rzecz łatwa, jakby się na pierwszy rzut oka wydawało, wiadomo bowiem, że nawet w szkicu Kubali niektóre ataki wiszą niejako w powietrzu a nie trzymają się ziemi, a to z tego powodu, że w braku Radwana i Viminy niemożliwą jest rzeczą należycie odtworzyć sobie obraz polskiego obozu i oznaczyć położenie kozacko-tatarskiego taboru.

Podbipięta dzień przed wyprawą przepędził na modlitwie i zjawił się dopiero wieczorem na szturm, który był jednym z najokropniejszych, a to z tego powodu, że Kozacy i Tatarzy ruszyli do ataku w chwili, gdy Polacy przenosili

się do zmniejszonego obozu. Zdawało się czasem, że „szczupłe siły polskie ulegną nawale dwustu tysięcy nieprzyjaciół". Nieprzyjaciel następował ze szczególną zajadłością, albowiem Chmielnickiemu chan a nawet jego własni pułkownicy zapowiedzieli, że odtąd szturmów przeprowadzać nie będą i ograniczą się do do oblężenia w ścisłem tego słowa znaczeniu. Toteż bitwa tak była zażarta, że według późniejszych wieści, czterdzieści tysięcy nieprzyjaciół miało pozostać na pobojowisku. Po odparciu szturmu Wiśniowiecki. poprowadził na wycieczkę, a gdy powrócił „cisza ukoiła tabor i obóz".

„Noc była ciepła, ale chmurna. Cztery postacie posuwały się cicho i ostrożnie ku wschodniemu krańcowi wałów". Za cel wziął sobie bohater dąbrowę, która poprzerywana wpoprzek idącemi łąkami, zieleniła się między drogą do Załościec a gościńcem z Wiśniowca, a łączyła się ze starym borem, rozciągającym się daleko aż poza Załośce. Podbipięta doszedł do drugich wałów,. potem doszedł do okopu sypanego jeszcze przez regimentarzy, a chociaż nagła tęsknota za towarzyszami opanowała jego serce, ruszył dalej, wyciągając ręce przed siębie. „Po pewnym czasie znalazł się na pobojowisku, na którem w dniu pierwszego szturmu. jazda księcia rozbiła kozaków i janczarów... Było już nieco jaśniej... Grunt spadał pochyło ku południowi — ale pan Longinus skręcił zaraz w bok, pragnąc się prześlizgnąć między zachodnim stawem a taborem". Doszedł wkońcu w pobliże taboru i teraz zauważył, że kosz tatarski i obozy czerni okalały, jakoby pierścieniem, cały Zbaraż. W środku tego pierścienia stały placówki i krążyły straże, aby nikt nie mógł się przedostać". Chodziło więc o to, aby się wydostać poza niebezpieczny pierścień. Longinus po dłuższym poszukiwaniu znalazł ciemną i pustą ścieżynę między wozami i tak przyczołgał się do chróstów i gąszczów, „za któremi rosła dębina, za dębiną bór, aż hen do Toporowa, za borem król". Począł padać deszcz, więc Longinus, czując się niejako pewnym zwycięstwa, „rozpuścił swoje długie nogi i szedł, jak olbrzym"... Wozy coraz dalej, dębina coraz bliżej... Ot już i dęby... Już od okopu polskiego dzieli z półtorej mili pana Longina..: Dębina rzednie... Rycerz wstępuje na odludną łąkę. Jeden tylko stoi na niej dąb w pośrodku, ale potężniejszy

od innych. Pan Longinus zmierza do tego dębu" — i tam — „aniołowie niebiescy wzięli jego duszę i położyli ją, jako perłą jasną, u nóg „Królowej Anielskiej".

Od cudownej opowieści przejdźmy do rzeczywistości. Polacy cofnęli się do ostatnich wałów ze świtem trzydziestego lipca. Użyli oni wszelkich środków, ażeby się nieprzyjaciel nic o ich zamiarach nie dowiedział, ale napróżno, gdyż Kozacy z wysokich swoich redut zauważyli już w przeddzień niezwykły ruch w polskim obozie, więc właśnie na krytyczną chwilę przygotowali natarcie. Łatwo zrozumieć, że im towarzyszyło szczęście. W połowie drogi między staremi a nowemi wałami przyszło do walki wręcz, w której zginęło aż kilkudziesięciu z „towarzystwa i mnóstwo czeladzi". Jedynie doskonała artylerja potrafiła opanować sytuację. Więc różnica między powieścią polega na tem, że szturm istotnie najokropniejszy, bo najniebezpieczniejszy odbył się nie wieczorem, ale rano. Sienkiewicz przeniósł go umyślnie na wieczorne godziny, by dać panu Longinowi całą noc na przeprawę. Ponadto szturm zakończył się nie zwycięstwem, ale dosyć znaczną klęską po stronie polskiej. Kozacy po walce nie uciekli do taboru, ale pozostawszy na miejscu sypali wały i kopali rowy tak energicznie, że rankiem wysokością swoich redut przewyższali polskie fortyfikacje. Wiadomości te opierają się na diarjuszu Jagiellońskim, Pamiętnikach Radziwiłła i innych. Więc wyprawa Podbipięty byłaby w rzeczywistości z powodu bliskości Kozaków daleko trudniejszą.

Przeprowadzenie linji na mapie, by oznaczyć drogę pana Longina jest niezmiernie trudne. Ma się nawet wrażenie, że Sienkiewicz wyjątkowo w tym wypadku nie patrzył na rzeczywisty obraz okolicy zbaraskiej. Nie byłoby to wielkim u powieściopisarza występkiem, albowiem nawet Kotłubaj w swoim planie oblężenia Zbaraża (Atlas wojen polskich Rkp. Ak. Um. 1576) wbrew rzeczywistości, obóz zbaraski umieszcza nie na południe od rzeki Gniezny, ale na północ, to znaczy wokoło miasta.

Pan Longinus zdążał do dąbrowy, znajdującej się między drogą ku Załościom a gościńcem wiodącym z Wiśniowca, słowem do dąbrowy, leżącej na północ od miasta Zbaraża. Wydawałoby się, że najłatwiej mógłby się dostać do niej

z miasta, a nie z obozu, chyba, że z powodu gęstych straży stało się to niemożliwem. Wychodzi on z obozu i to ze wschodnich okopów, więc mógłby wschodni staw okrążyć i znaleźć się w dąbrowie. On jednak znajduje się potem naprzeciw centrum albo nawet na zachód od polskiego obozu — w miejscu, gdzie w czasie walnego szturmu Wiśniowiecki rozbił janczarów. Jak widzieliśmy, Sienkiewicz umieszcza ten epizod na prawem polskiem skrzydle. Dalej widzimy pana Longina, jak się przekrada między brzegiem zachodniego stawu a taborem. Pocóż więc krążył wokoło całego polskiego obozu, kiedy mógł zaraz z początku wyjść ze zachodniego skrzydła polskiego, to znaczy z kwatery książęcej i bez długiego pełzania znaleźć się na tem miejscu? Tabor i kosz inaczej rozciągały się pod Zbarażem, aniżeli sobie wyobraża Sienkiewicz. Kozacy stali ze swym taborem na wschód od Polaków, a Tatarzy na zachód, więc na skrzydle Wiśniowieckiego. Tam umieszczają go diarjusze i relacje. Podbipięta przekradł się przez tabor i zaraz stanął w gąszczach, niedaleko dąbrowy, ale on pełzał po południowej stronie rzeki, a dąbrowa była daleko i to na północ od miasta. Sienkiewicz ani słówkiem nie wspomina, by pan Longinus przeszedł też i rzekę, a przecież stanowiło to dosyć wielką trudność. Być może, że te wytyczne punkty dane przez powieść, dałoby się jakoś powiązać, jest to jednak w każdym razie rzeczą trudną. Lecz przejdźmy już do drugiego, o wiele szczęśliwszego posłańca: do pana Skrzetuskiego.

Jakąż drogę wybrał Skrzetuski? — „Którędy pójdziesz" pyta go stroskany pan Wołodyjowski. — „Mówiłem księciu, że pójdę przez staw, a później rzeką, póki się daleko za tabor nie przedostanę. Książe powiedział, że to lepsza droga niż inna..." W godzinę później Skrzetuski pogrążył się w wody zachodniego stawu. Noc była bardzo jasna i środek stawu wyglądał jak srebrna tarcza, ale Skrzetuski zniknął natychmiast z oczu, brzeg bowiem był porosły sitowiem, trzciną i bucianem". Ta mieszanina wszelakich roślin ukrywała rycerza przed oczyma straży. Ponieważ przez środkową, jasną szybę nie można było bez zwrócenia na siebie uwagi przebyć na drugi brzeg stawu, Skrzetuski postanowił

okrążyć brzegiem cały staw aż do bagienka, leżącego po drugiej stronie", „przez które wpływała do stawu rzeka... Dostawszy się raz do bagienka, można się było posuwać wśród trzcin nawet we dnie, chybaby topielisko okazało się zbyt głębokie..." Posuwał się więc ciągle brzegiem, ominął poczwórne straże tatarskie i chociaż wkońcu stracił z oczu bagienko i sądził, że zmylił drogę, szedł naprzód napół senny ze zmęczenia, aż go ocucił widok dwu mołojców, wsiadających na czółno. Nareszcie zatrzymał się „spostrzegłszy pas czystej wody, leżącej wpoprzek. Odetchnął. Była to rzeka, a po obu jej stronach bagienko". Szedł dalej rzeką, w której woda była zimniejsza. Po niedługim czasie upadł na kolana i rękoma zmacał kępę suchą, porosłą mchami. Była to jakoby wysepka wśród sitowia. Tutaj przeleżał w kamiennym śnie cały dzień. Dopiero późnym wieczorem puścił się w dalszą drogę, a szedł rzeką, chociaż woda była w niektórych miejscach tak głęboka, że pływać musiał, „co mu przychodziło ciężko, bo był w ubraniu i płynął pod bieg, który jakkolwiek leniwy, pchał go jednak nazad ku stawom. Ale zato najbystrzejsze oczy tatarskie nie mogły dostrzec tej głowy, posuwającej się wzdłuż ciemnej ściany trzcin". Zbliżył się tak do taborów. „Po lewym brzegu rzeki, idąc z jej biegiem, stał obóz kozacki ze swojemi tysiącami wozów, namiotów — po prawym kosz tatarski... rzeka przedzielała je, stanowiąc zarazem przeszkodę dla kłótni i zabójstw... była też w tem miejscu szersza, a może rozkopano ją umyślnie". Skrzetuski przekradł się w tem najniebezpieczniejszem miejscu pod zadartemi tyłami czółen, ustawionych rzędem w rzece, a potem szedł przez trzciny, kępy, zapadał w błota, topił się i płynął znowu, aż ozwał się przed nim szum większy i poważniejszy niż szum trzcin... las był z obu stron rzeki. Wówczas skierował się ku brzegom i wychynął z trzcin... zagłębił się w ciemność leśną, a ten bór to gościniec jasny, który go doprowadził do królewskiego majestatu.

Historyczność Skrzetuskiego nie ulega kwestji. Piszą o nim trzy bardzo poważne źródła, mianowicie list nuncjusza Torresa, relacja Samuela Kazimierza Kuszewicza i list Andrzeja Szołdrskiego, biskupa poznańskiego. Nuncjusz Torres — jak to widać na fotografji jego listu — nazywa go

Skrzetunoskim, a co ważniejsza, Rusinem-schizmatykiem. W polemice, która rozwinęła się z powodu jubileuszu Sienkiewicza, ukazywały się w prasie artykuły o Zbarażu i Skrzetuskim. Niektóre z nich, uznając słowa nuncjusza za niewzruszalne, podkreślały ruską narodowość i prawosławne wyznanie Skrzetuskiego, a inne usiłowały wykazać jego charakter narodowy — polski, a religijny — katolicki. Skrzetuski poza swym głośnym czynem pod Zbarażem i drobnemi szczegółami, podanemi przez Paska i Łosia, jest zupełnie nieznany. Nie wie dotychczasowa historja skąd pochodził, w jakich walkach przed Zbarażem brał udział, gdzie potem zakończył życie. Nawet jego imię zna powieść tylko, ale nie zna go historja. — Jakiej był narodowości? Czyż jego nazwisko, złączone ze służbą i to służbą bohaterską w sprawie polskiej, a przeciw Rusinom, niedosyć świadczy, że był Polakiem? Jego nazwisko, to dowód, że był polskiego pochodzenia, a wielki czyn, to dowód, że się czuł Polakiem (a to przecież stanowi istotę przynależności narodowej), a nie Rusinem.

Można także wątpić, czy był schizmatykiem. Twierdzenie nuncjusza dosyć naturalnie tłumaczy znakomita broszura hr. Zygmunta Lasockiego: „Ogniem i mieczem", w świetle rewelacyj Dra Górki, Kraków 1934. Nuncjusz otrzymał wieści z frontu od jakiegoś informatora, a raporty agentów, konfidentów należy brać ostrożnie i krytycznie. Informacje, jakie otrzymywał nuncjusz, były też często niepewne... Wskazują na to nawet w tym samym liście olbrzymie różnice w cyfrach, tyczących się sił Kozaków i Tatarów (500 lub 300 tysięcy lub też mniej). „Możliwem zresztą jest, iż informator nuncjusza napisał, że Skrzetuski był towarzyszem chorągwi kozackiej, albo poprostu z chorągwi kozackiej, a nuncjusz sam sobie dorobił, że to kozak, zatem Rusin — schizmatyk *(Rufeno scismatico)*, wiedząc o tem, że Kozacy byli schizmatykami." Wszak i dzisiaj nawet nie wszyscy fachowcy odróżniają towarzysza chorągwi kozackiej, a więc chorągwi lekkiej, do której zaciągali się żołnierze z całej Polski, od Kozaka — Rusina.

Nie należy prócz tego mieszać Skrzetuskiego ze Stapkowskim, który wymknął się z obozu 11. VIII. i był porucz-

nikiem książęcej tatarskiej chorągwi. Ciekawą jest rzeczą, że źródła zapisują czas wyjścia Stapkowskiego, a o wyjściu Skrzetuskiego milczą, natomiast nic nie mówią, kiedy Stapkowski zjawił się przed królem, albo, co gorsza, w jego usta wkładają wieści przyniesione królowi przez Skrzetuskiego w Toporowie. Trzeba bowiem pamiętać o tem, że Stapkowski wyszedł z obozu 11 sierpnia, a król w Toporowie był szóstego i siódmego sierpnia. Jest to więc oczywiste pomieszanie nazwisk. Skrzetuski według powieści i według historji wyszedł ze Zbaraża w pierwszych dniach sierpnia, a po nim 11. tegoż miesiąca wybrał się Stapkowski, który mógł spotkać króla co najwyżej czternastego lub piętnastego sierpnia, a więc już w czasie bitwy pod Zborowem. Z tego powodu nawet wiadomość źródła, podającego jako datę przybycia do króla Stapkowskiego, mianowicie „Diarjusza Ekspedycji Zborowskiej" dwudziesty trzeci dzień od wymarszu króla z Lublina, czyli 8. lub 9. sierpnia, należy raczej odnieść do Skrzetuskiego. Zapewne jobowe wieści Stapkowskiego, które nietylko stwierdzały relację Skrzetuskiego, ale je jeszcze potęgowały, sprawiły, że król tak pospiesznie zawarł układ zborowski, podkreślając w nim warunek, by załoga zbaraska natychmiast bezpiecznie mogła wyjść ze swego obozu.

Zrozumiemy też, że pomieszanie tak oczywiste nazwisk pociągnęło za sobą pomieszanie innych wiadomości. Można to usprawiedliwić tem, że diarjusze pochodzące bezpośrednio z ręki Wiśniowieckiego zajmowały się przeważnie tylko tem, co się działo w jego kwaterze, Skrzetuski zaś według wszelkiego prawdopodobieństwa walczył w dywizji regimentarzy i widocznie wymknął się z obozu za ich tylko wiedzą, co miało ten prosty skutek, że wyjście jego nie zostało zanotowane w diarjuszach, ale za to źródła, które wyszły od osób, znajdujących się poza obozem, szeroko rozwodzą się nad jego przybyciem do Toporowa. Sąd, że Skrzetuski nie należał do chorągwi Wiśniowieckiego, opieram na wiadomości listu Kuszewicza z dnia 17 sierpnia 1694, w którym ten poważny człowiek twierdzi, że „niejaki pan Skrzetuski, towarzysz chorągwi pana Gdeszyńskiego, wyszedłszy z czeladnikiem swoim z obozu oblężonego, z wielką odwagą zdrowia swojego, zażywszy wielkich niewczasów, przez wielkie błota

i kałuże, oganiając się psom, którego dla gęstego trupa po polach wszędy, przyszedł do obozu pod Toporowem, gdzie z ludzkością i miłością przyjęty został" *(Żerela*, t. VI, s. 20.*)*. Otóż pan Gdeszyński według spisu chorągwi wojska kwarcianego na ten rok (np. komput wojska w Rkp. Jag. 110) miał chorągiew kozacką, w niej więc służył Skrzetuski. Zaznaczam, że chorągwi Gdeszyńskiego nie było w Zbarażu, brała ona jednak udział w bitwie pod Zborowem, gdzie marną sobie zresztą sławę zyskała. Obecność Skrzetuskiego w Zbarażu można wytłumaczyć w różny sposób: chorągiew Gdeszyńskiego, należąca do wojska kwarcianego, widocznie wraz z wielu innemi na wiadomość o potędze Chmielnickiego zdezerterowała, albo nie była jeszcze zupełnie zorganizowana, więc Skrzetuski albo pozostał przy wiernych chorągwiach, albo się do jednej z nich przyłączył, albo wkońcu jako poseł przybył do Zbaraża i wskutek tego poczuwał się potem do obowiązku powrócić z wiadomościami do króla.

Co do sposobu przeprawy Stapkowskiego mamy dokładne dane, choćby nawet u Kochowskiego, który mówi, iż on, korzystając z ciemności nocnych i ustawicznego deszczu, z jednym kozakiem i dwoma Tatarami przeprawił się przez staw i przez tatarską hordę. Jak znowu przeprawił się w rzeczywistości Skrzetuski, to opowiada wyżej przytoczony list Kuszewicza i drugi niemniej ważny list nuncjusza Torresa, wysłany do Rzymu w połowie sierpnia 1649 r. Opowiada on, że pan „Skrzetunoski", Rusin-schizmatyk, wyszedł z oblężonego obozu, porozumiawszy się najprzód z dowódcą polskiego wojska. Plan swój wyjawił sługom, którzy przyrzekli mu pomoc. Przyłączyli się oni do nieprzyjaciela. Skrzetuski przez trzy dni chodził po obozie i szukał z nimi najlepszego przejścia. Wkońcu przebrany za chłopa, wymknął się z taboru nieprzyjacielskiego i przybył do króla, który go najłaskawiej przyjął, obiecując mu w nagrodę pierwsze wakujące starostwo. Kanclerz, Jerzy Ossoliński, szatami go swemi obdarował. O tym drobnym szczególe pisze też Sienkiewicz: „Niech ci jutro konia i szaty dadzą — rzekł król. Na niczem ci zbywać nie będzie" (s. 276).

Jakie wiadomości przyniósł Skrzetuski królowi? Sienkiewicz tak odpowiada: „Co słychać u was? co słychać? — pytał gorączkowo król.

— Nędza... głód... jedna mogiła...

„Jezusie Nazareński! Jezusie Nazareński!" — mówił cichym głosem.

Po chwili znowu zapytał:

— Długo się możecie trzymać?

— Prochów brak. Nieprzyjaciel w wałach...

— Siła go?

— Chmielnicki... Chan ze wszystkiemi hordami.

— Chan jest?

— Tak...

Kuszewicz przytacza wiadomości Skrzetuskiego dokładnie. Więc najprzód rycerz powiedział, że oblężeni na dwie niedziele żywności mają, lubo im na napoju wszelakim zeszło i samą wodą kontentować się muszą, z czego też niektórzy z przedniejszych posłabli". Według listu nuncjusza żywności było tylko na sześć dni.

„Na prochach także i ołowiu jeszcze nie schodzi, lubo częste szturmy przypuszcza nieprzyjaciel." (Nuncjusz pisze, że oblężeni także prochów niewiele mają.)

„Posłano Marka Sobieskiego, starostę krasnostawskiego do obozu nieprzyjaciela, ale mu powiedzieli, że wprzód traktować nie będą, dopóki armat nie wydadzą, nasi jednak odpowiedzieli, że *nulla premuntur necessitate,* aby sromotnie od siebie oddawać armatę nieprzyjacielowi i luboby z dopuszczenia Bożego do takiego stanu doszli, tedy przysięgli sobie wszyscy *more militari,* że wprzód się trupami położyć wolą, aniżeli na wydanie armaty, albo na inne podobne kondycje pozwolą."

„Owsa nasi dla koni nie mają, zaczem niemało z podlejszych poodchodziło i te konie, które pozdychały na pieczenie i szroty krają i wędzą z otrębami... i drugim koniom dają."

„Chana samego zapewne niemasz, jest jednak Szamerbey (nie, zmarły już Tuhaj-bey!) w kilkadziesiąt tysięcy Tatarów, między którymi więcej motłochu aniżeli sposobnych do boju. Ci Tatarzy z tej strony obozu ode Lwowa leżą, a kozacy zaś tamtą od Ukrainy stronę opanowali."

„Taką to dostateczną sprawę o powodzeniu obozu zbaraskiego dał Skrzetuski."

Jak z tej treści widać, Sienkiewicz znał dobrze obydwa albo jeden z cytowanych listów. Zmienia tylko niektóre szczegóły, ozdabia całe opowiadanie przepięknem przedstawieniem psychicznej walki bohatera, prowadzi go krok za krokiem przez staw, potem przez rzekę i lasy. Drogę Skrzetuskiego według powieści można dokładniej naznaczyć, aniżeli drogę pana Longina. Skrzetuski schodzi z wałów książęcych, zaraz ukrywa się w gąszczach przybrzeżnych stawu, dochodzi do rzeki, potem rzeką idzie mniej więcej aż do skrętu Gniezny na południe i tam wstępuje w las, „Czarnym lasem" zwany. Do Toporowa miał jakie ośm mil drogi. Mógł ją przebyć nawet na koniu. Pamiętać należy, że Skrzetuski, idąc w kierunku zachodnim nie powinien się był spotkać z taborem kozackim, gdyż na zachodzie stali sami Tatarzy i że po prawej stronie rzeki nie było taborów, kręciły się tam jednak straże. Brodząc w rzece i płynąc w głębszych miejscach, nie musiał walczyć z prądem wody, owszem przeciwnie, właśnie on pomagał mu w marszu, gdyż Gniezna powstaje z dwóch strumyków powyżej Bazarzyniec, potem wpada do wschodniego i zachodniego stawu zbaraskiego, a dalej okrężnym łukiem płynie na zachód, wkońcu na południe, by wpaść do Seretu. Sienkiewicz powiada, że jego bohater płynął pod bieg rzeki, uważać to można za prostą pomyłkę.

Przed opisaniem przybycia Skrzetuskiego do Toporowa, powieść przedstawia nam Jana Kazimierza, Hieronima Radziejowskiego i Jerzego Ossolińskiego. Król ukazuje się nam jako niezwykła postać, w której mimo smutku i trosk widocznych w licu i postawie, było coś majestatycznego. Hieronim Radziejowski „człowiek niski, gruby, rumiany, z tłustą i bezczelną twarzą dworaka. Jerzy Ossoliński siedział naprzeciw króla z twarzą pooraną troskami i myślą. Oczy miał błękitne, przenikliwe, cerę mimo wieku, delikatną, a strój dodawał jego regularnym, jakby z kamienia wykutym rysom senatorskiej powagi". Ten to mąż wielki dążył do pokojowego załatwienia sprawy między Polską a kozakami, „ale grom padał za gromem — pozostawała tylko wojna i wojna. Strasz-

liwy żywioł należało przedewszystkiem zgnieść, by móc w przyszłości z niego korzystać, a kanclerz paktował i zwłóczył, aż siła rzeczy zdruzgotała jego piękne teorje... Winną była cała Rzeczpospolita i wszystkie stany, jej przeszłość i ustrój państwowy, ale on nieopatrzną swoją polityką przyśpieszał jej upadek. Król rwie się do walki i nie chce ani chwili czekać", bo tam Wiśniowiecki i regimentarze zgorzeją pod Zbarażem! „Teraz gdyśmy Chmielnickiego za buntownika ogłosili i cenę nałożyli na jego głowę i buławę nad Zaporożem Zabuskiemu oddali, nie przystoi naszej powadze wchodzić z Chmielnickim w rokowania".

Sienkiewicz pisał tu całe strony historji w powieści. Jego sympatja do Jana Kazimierza rodzi się z własnych studjów, na podstawie których polemizował z Kubalą, nienawidzącym wprost tego króla. Marsz byłby król z pewnością przyśpieszył, ale nie było wojska. Pod Radziechowem 5 VIII wydał król uniwersał do czerni, wzywając ją, by porzuciła broń i odstąpiła Tatarów, swoich prawdziwych wrogów. 7/VIII pod Toporowem został wydany drugi uniwersał, w którym hetmaństwo wojska zaporoskiego oddawał Jan Kazimierz wiernemu i zdolnemu dowódcy, Semenowi Zabuskiemu. Dlatego to właśnie Sienkiewicz wspomina o nim przed opisaniem przybycia Skrzetuskiego.

Wieści przyniesione z samego Zbaraża były nadzwyczaj cenne, gdyż w obozie polskim nie znano potęgi Chmielnickiego, nie wiedziano nawet czy tatarzy pomagają kozakom. Chwytanie „języków" uniemożliwił w pewnej mierze królowi sam Chmielnicki, „który skupił się, nie wypuścił ani jednego zagonika Tatarów umyślnie", aby król nic nie wiedział o jego sile. Źródła podają jeszcze inną przyczynę braku jakichkolwiek wiadomości o wrogu w obozie polskim, mianowicie niedołęstwo i tchórzostwo polskich podjazdów. Kochowski wyraźnie powiada, że podjazdy wracały bez żadnych nowin, gdyż albo nigdzie nie były i bajki prawiły, albo nawet jeżeli patrole składały się z żołnierzy ruskich, do nieprzyjaciela przechodziły. Aleksander Zaleski, referendarz koronny, który w czasie bitwy pod Zborowem, znajdował się w obozie polskim pod Sokalem, opowiada, że chorągwie na niczem nieuzasadnioną wieść o zbliżającym się zagonie tatarskim, na-

tychmiast uciekały za Bug, by się z nieprzyjacielem oko w oko nie spotkać. Na zbadanie kraju w okolicy nie mógł referendarz znaleźć ani setki ludzi, gdyż wszyscy uważali to za bardzo „hazardowną wyprawę". Był to skutek klęski piławieckiej. Żołnierz polski stracił zaufanie we własne siły i drżał na wieść o Tatarze, dopiero Zbaraż a poczęści też Zborów wlał mu nową energję i dawną odwagę w serce.

Rzecz jasna, że między żołnierzami znajdowali się i ludzie odważni. Rzędzian naprzykład, opowiadając Skrzetuskiemu o swej niebezpiecznej podróży z Heleną, opowiada, że się spotkał z dzielnym panem Pełką, sławnym zagończykiem, „który niedawno poległ — Panie świeć nad jego duszą!" — westchnął Rzędzian, bo z nim chociaż Polakiem miał biedy niemało. Istotnie rotmistrz Pełka z pułku ks. Dominika między Sassowem a Złoczowem wpadł w zasadzkę tatarską i ze stu pięćdziesięciu ludzi stracił połowę, sam poległ, a przy nim p. Strzałkowski, „stary weteran, żołnierz dawny i dobry". Przed śmiercią zasłużył się pan Pełka panu Zagłobie tem, że schwycił i na pal wołami nawlekł Dońca, brata Horpyny. Przepowiedziała to zresztą czarownica swemu bratu: Memu bratu śmierć pisana. Jego lachy na pal wsadzą... Z historji wiemy, że pod Sulżenicami, tuż po zakończeniu się okresu zawieszenia broni, pan Suchodolski, podkomendny Firleja rozbił pułk Iwana Dumka (Dońca), a przy tej okazji pojmał dwie czarownice, które to baby wiedźmy na harc przeciwko naszym wyjechały, z których jednej, gdy tam coś kreśliła, jeden z naszych najechawszy, szyję uciął". Imię siostry Dońca niestety nie jest znane. Pisze o niej Twardowski przytaczając słowa, któremi odradzała bratu swemu bitwę. Wynika z tego wniosek, że siostry Dońcowej nie mogło być przy Helenie w czerwcu lub maju, kiedy tam przybył Rzędzian, Wołodyjowski i pan Zagłoba, boć słusznie nuncjusz, pisząc dwunastego czerwca do Rzymu o tych starych wiedźmach, zaznaczył, że wprawdzie jedną Polacy żywą pojmali, „ale, jak mniemam do tej godziny i drugą uśmiercili" (*Żereła* XVI s. 44). Nie dziwmy się więc Skrzetuskiemu, że między kozakami czarownice widział, a Litwin, żegnając się mówił, że „przy Chmielnickim czarni za rękodajnych służą",

gdyż w owych czasach nawet na sejmach o czarach jako o przyczynie niepowodzeń rozprawiano.

Do Toporowa według powieści przybyli jego wierni towarzysze zaraz po zawarciu pokoju pod Zborowem. Rzędzian mówi, że Skrzetuski leżał ośm dni nieprzytomny, więc według powieści, Zagłoba ściskałby go już ośmnastego lub dziewiętnastego sierpnia. Trzeba jednak pamiętać, że Skrzetuski stanął w Toporowie szóstego lub siódmego sierpnia. Oblężenie zaś zakończyło się dopiero 24/VIII, a wtedy jeszcze chorągwie czy raczej resztki chorągwi zbaraskich pociągnęły na Tarnopol, a stąd w trzech kolumnach pod Gliniany, do ogólnego obozu. Wiśniowiecki ciągnął kolumną południową i odpędzał błąkające się watahy tatarskie.

Sienkiewicz opisuje tylko połowę oblężenia. Od początku sierpnia do końca prawie tego miesiąca słaba i coraz słabsza załoga zbaraska walczyła z głodem, zarazą i czernią, bo kozacy i Tatarzy po dziesiątym dniu sierpnia szykowali się na wyprawę przeciw królowi. W każdym jednak razie słowa Skrzetuskiego przed królem: „Dwadzieścia szturmów odpartych, szesnaście bitew w polu wygranych, siedmdziesiąt pięć wycieczek"... słowa wyjęte z Kochowskiego staną się historycznemi, jeżeli je przeniesiemy na sam koniec całego oblężenia. Owszem można dodać, że właśnie w sierpniu walka była wprost straszna, gdyż choroby dziesiątkowały polskie chorągwie, a nieprzyjaciela nie ubywało. Jedyną pociechą obrońców była nadzieja pomocy królewskiej i ta ostatecznie wprawdzie nie w tej formie jak marzyli, już w ostatniej chwili, uratowała od zagłady bohaterów.

Jak powyższe rozważania wykazują, Sienkiewicz znał dokładnie dzieje wojen polsko-kozackich. Ze źródeł, które z gorliwością studjował, zaczerpnął niezliczoną ilość charakterystycznych szczegółów, słów, wyrażeń, zdań, dłuższych opowiadań. Wypadki historyczne prawie zawsze ozdabia on przeróżnemi dodatkami, czasem przenosi je w inne miejsce lub w inny czas, czyni to raz umyślnie raz przypadkowo, ale opowiadanie przybiera wtedy większej wyrazistości i plastyczności. Wypadki wymyślone i dzieje osób niehistorycznych wplata Sienkiewicz w tok zdarzeń, opartych na źródłach historycznych, a przez to nadaje im wyraz rzeczywistości.

Główną postacią w opisie Zbaraża w Ogniem i Mieczem, jest w pierwszej części książe Wiśniowiecki, a w drugiej pan Skrzetuski, pierwszy swoją odwagą, zimną krwią, zdolnościami strategicznemi a zwłaszcza wpływem na żołnierzy zasłużył sobie w powieści i historji miano „Zwycięskiego obrońcy Zbaraża". Historja uwydatnia więcej niż powieść zasługi regimentarzy: Firleja i Lanckorońskiego, a prócz tego Ostroroga, który na wałach zbaraskich zmył przynajmniej w części hańbę piławiecką. Skrzetuski swą wyprawą do króla przyczynił się do pośpiechu marszów królewskiej armji i do wyratowania od śmierci dogorywającej załogi zbaraskiej. Co więcej stał się on wychowawcą polskiej młodzieży, która już w ostatnich naszych czasach umiała piersią swą zasłonić stolicę ojczyzny od wschodniego, krwawego nieprzyjaciela. Pastorjusz, kończąc opowiadanie o obronie Zbaraża tak się wyraża: Obrońcy, przynajmniej niektórzy zostali wynagrodzeni, lecz „mojem zdaniem niema należytej nagrody dla tej garstki żołnierzy, którzy przez dwa miesiące w ustawicznych walkach, w ściśnieniu, w głodzie, bez pewnej nadziei pomocy, między trupami stali i walczyli z nieprzejrzanemi zastępami Chmielnickiego i chana tatarskiego". Można twierdzić, że taką godną nagrodę zbaraskim bohaterom dał dopiero Sienkiewicz, on bowiem urzeczywistnił zapowiedź Kochowskiego, że zbaraskiej załogi „sława będzie wiecznym trębaczem".

Ks. Ludwik Frąś C. SS. R.

Małżeństwo księcia de Talleyrand.

W dniu 27 maja 1802 r. na rozkaz konsula Bonaparte, wieczorem, wyjeżdżał pospiesznie kurjer z Paryża do Rzymu. Był nim oficer żandarmerji Lefèvre. Galopował jednym ciągiem, zmieniając konie i zatrzymując się jaknajmniej. Na jego drodze, wszędzie już dawały się słyszeć dzwony kościołów i katedr, nie upłynęło bowiem sześć tygodni od czasu zawarcia konkordatu, który pierwszy konsul podpisał w Nôtre-Dame, z Ojcem Św. Piusem VII.

Cóż więc tak pilnego mógł mieć znowu Bonaparte do powiedzenia papieżowi?! Była to sprawa sekularyzacji Talleyranda Pierwszy konsul sam się nią zajmował i Lefèvre wiózł do Ojca św. podanie tej treści:

„Godność rządu francuskiego i honor Kościoła wymagają, aby ministrowi de Talleyrand zostało udzielone Brewe sekularyzacji. Ponieważ oddawna wyrzekł się stanu kapłańskiego, jest obecnie do pożądania, aby stan jego był zatwierdzony uznaniem najwyższej władzy Kościoła, wyświadczył on bowiem Kościołowi wielkie usługi, i był jedynym który popierał pierwszego konsula w sprawie konkordatu. Nie wypada, aby istniały wątpliwości co do moralnego stanowiska człowieka, który cieszy się największym zaufaniem rządu francuskiego. Tak poważne względy ściągną niewątpliwie łaskawość i sprawiedliwość Ojca św. i pozwoli on księciu de Talleyrand, *vivre en tout point* w świeckim stanie".

Pierwszy konsul przy tej okazji przypomina, że w XVII w., kardynał Camillo Pamphili, został sekularyzowany i umarł w świeckim stanie. Dwaj Kazimierze królowie polscy, jeden w XI wieku,

a drugi w XVII, byli uwolnieni od stanu kapłańskiego i od ślubów zakonnych, jeden u Benedyktynów a drugi u OO. Jezuitów, a nawet jeden z nich wstąpił w związki małżeńskie. Henryk Portugalski, arcybiskup Lisbony i następca tronu w 1578 r. umarł królem i świeckim, etc. etc. „We wszystkich tych przypadkach stolica Apostolska postąpiła zgodnie z dobrem Kościoła, a w żadnej z tych epok podanie się nie opierało na ważniejszych i silniejszych pobudkach". Przy tym dokumencie był prywatny list od Bonapartego, w którym pisał, że sprawa osobiście go interesuje. Jednocześnie sam de Talleyrand pisał do kardynała sekretarza stanu że ufa: „iż jego takt, roztropność i umiejętność, potrafią usunąć wszystkie trudności, i że jego sekularyzacja zostanie udzielona z taką dobrocią i łaskawością, z jaką pierwszy konsul załatwił wszystkie sprawy Kościoła we Francji".

W dniu 10 czerwca Lefèvre stanął w Rzymie i natychmiat wręczył swoje papiery sekretarzowi stanu.

Konsternacja Kurji rzymskiej była niesłychana. Zrozumiano dobrze, iż owo: *Vivre en tout point*, w stanie świeckim oznaczało małżeństwo, gdyż de Talleyrand już od lat kilku wziął był ślub cywilny z panią Grand. — Rozesłano cyfrowaną notę do wszystkich nuncjuszów, w której kardynał Consalvi donosił im o wielkim ambarasie Ojca św. Tak Kościół we Francji jak i same Włochy doznały tylko dobra od I-go konsula, — ale z drugiej strony wiadomo, że Talleyrand chce wziąć ślub, a przykładu takiego nie było w dziejach Kościoła w stosunku do biskupa. Odmowa może jednak zaburzyć pokój. Co zrobi Ojciec św.? — Na większą chwałę Kościoła, Pius VII odsunął na bok wszystkie względy doczesne!

Kazano posłańcowi czekać ośm dni, potem piętnaście, a odpowiedź wciąż nie była gotowa. Jednak czasu w Rzymie nie tracono. Archiwista mgr Marini, przesiewał jakby przez przetak zacytowane w podaniu przykłady, a kardynałowie Spina, Consalvi i Antonelli wciąż deliberowali z Ojcem św. Ale, w miarę jak czas uchodził, widać było, że rezultat nie będzie po myśli pana de Talleyrand. Już 15 czerwca kardynał Consalvi uwiadamiał nuncjuszów, że pierwszy minister francuski, nie będzie upoważniony do wstąpienia w związki małżeńskie. Wolno mu tylko będzie powrócić do stanu świeckiego, t. j. nie spełniać funkcyj kapłańskich. Narazie, zanim zredagowano odpowiedź, mgr Caprara, nuncjusz

papieski w Paryżu, otrzymał pozwolenie zdjęcia z Talleyranda cenzur kościelnych, w które popadł za samowolne zrzucenie sutanny i oddawanie się świeckim urzędom, a także za konsekrowanie konstytucyjnych biskupów, ale i to nie było bez warunków: „Niech Wasza Eminencja", pisano do niego, „pierwej się dobrze upewni, że książe de Talleyrand wyrzeka się swoich błędów i żałuje za nie, oraz, że szczerze pragnie się nadal trzymać rzymsko katolickiego Kościoła i Stolicy św.".

Wobec tego pozwolenia, nuncjusz, kardynał Caprara przygotował akt tymczasowej sekularyzacji. — Zanim nadejdzie dokument urzędowy z Rzymu, pozwalał on ks. de Talleyrand pozostawać prawnie w stanie świeckim, na uroczystościach kościelnych znajdować się wśród świeckich ludzi, pełnić funkcje świeckiego urzędu i nosić świecki strój. Jednak w ostatniej chwili, gdy miał to wręczyć księciu, zawahał się. To nie było jeszcze pozwolenie na małżeństwo, i Talleyrand byłby nie kontent, wolał więc poczekać.

Tymczasem, w Rzymie, pod datą 29 czerwca 1802 roku Ojciec św. podpisał Brewe w odpowiedzi na podanie Bonapartego i Lefèvre spiesznie wyjeżdżał z niem do Paryża. Odpowiedź nie była pomyślną dla 1-go ministra.

Archiwista watykański, mgr Marini w bardzo mądrych wywodach dowodził na samym-że marginesie podania, że przykłady rządu francuskiego (podyktowane naturalnie przez samego Talleyranda), były nieścisłe i wprost błędne. Kardynał Pamphili nie miał nigdy biskupich święceń ani nawet kapłańskich. Obaj Kazimierze, królowie polscy, nie składali nigdy ślubów uroczystych i także nie mieli żadnych święceń. Zaś kardynał Henryk Portugalski, ponieważ był biskupem, więc panował jako duchowny i nigdy nie było mowy o udzieleniu mu sekularyzacji, pomimo próśb narodu, który pragnął zapewnić sukcesję tronu w kończącej się dynastji. Do tych przykładów mgr Marini dodawał inne, a pracę swą kończył temi słowy: „Nigdy w dziejach Kościoła nie było przykładu, aby dyspensa od celibatu została udzieloną komuś mającemu charakter biskupi". I dodawał: „Nawet w Kościele wschodnim, który dla kapłanów odstąpił od celibatu, małżeństwo dozwolone jest tylko przed święceniami, dlatego, żaden ksiądz wdowiec nie może pojąć drugiej żony, — a biskup, jeżeliby poprzednio żonę pojął, musi ją opuścić".

Ojciec św. kazał kardynałowi Colsalvi przygotować Brewe. W zredagowaniu go, Kurja watykańska przeszła sama siebie. Nie było w niem ani jednego słowa, któreby mogło dotknąć Talleyranda, a jednak wszystko zostało powiedziane. Do Brewe Ojciec św. dołączył list osobisty do Bonapartego, pisany po włosku, aby nie potrzebował tłumacza. W nim Pius VII po przedstawieniu mu zupełnej niemożliwości aby T. mógł wstąpić w związki małżeńskie, dodawał, że życzenie 1-go konsula niesłychanie wiele ważyło w tej sprawie, ale prawo kościelne i odwieczna tradycja, czynią zadośćuczynienie mu niemożliwem.

Kardynał Consalvi, ze swojej strony, pisał do Talleyranda: „Wasza Ekscelencja jest zanadto w tych kwestjach oświecona, abym potrzebował tłumaczyć, dlaczego nie mogliśmy udzielić mu dyspensy takiej, jakiejby W. E. pragnęła. 18 wieków istnienia Kościoła nie przedstawiają ani jednego podobnego przykładu. Jakkolwiek znane nam były fakty przytoczone w jego podaniu, ale Ojciec św. pragnął aby na nowo były z gruntu zbadane, i to jest powodem takiego opóźnienia w odpowiedzi."

Tak 1-y konsul jak i pierwszy minister przyjęli Brewe w milczeniu i o dyspensie na małżeństwo nie było już mowy.

Ale, któż była owa pani Grand, o którą się właściwie toczyła cała ta korespondencja?

Pani Grand urodziła się w Indjach w 1762 r. Nazywała się z domu Werlée. Ojciec jej był urzędnikiem rządu francuskiego w porcie Pondichéry. Miała lat 16, gdy poznał ją Georges Grand będący w służbie angielskiej i prosił o jej rękę. O 1-ej w nocy wzięła ślub katolicki, a o 8-ej rano protestancki, z powodu wyznania męża. — Pomimo tego podwójnego błogosławieństwa, małżeństwo nie było szczęśliwem, i państwo Grand rozstali się po dwóch latach. Młoda pani wróciła do rodziców, ale wkrótce za namową znajomych wyjechała do Europy i osiedliła się w Paryżu, gdzie przetrwała rewolucję.

W roku 1798, gdy miała już 36 lat, dowiedziała się raz na balu, że Bonaparte szykuje wyprawę na Anglików. Powiedziano jej przytem, że niewątpliwie ich zwycięży i zburzy Londyn. Pani Grand, która w czasie rewolucji wywiozła do Londynu wszystkie swoje kapitały i kosztowności, wśród których było 11 ogonów srebrnych lisów, wielkie futro lisów niebieskich, i 23 ogony japońskich tchórzy, mające podobno krociową wartość, struchlała

na tę wiadomość. Ktoś z obecnych, widząc jej zmartwienie, powiedział jej, że spieszne udanie się o pomoc do ministra de Talleyrand, mogłoby ją z tej biedy wyratować. Pani Grand, tak jak stała, wsiadła do fiakra i kazała się wieźć na rue Gallifet, gdzie wtedy było ministerjum spraw zewnętrznych. Była pierwsza w nocy. Talleyrand wrócił zmęczony z jakiegoś posiedzenia i właśnie wchodził do swego pokoju, gdy lokaj uprzedził go, że w salonie czeka jakaś dama w bardzo pilnym interesie. Pierwszy minister skrzywił się okropnie, ale pomimo tego wszedł do salonu, i tam oczom jego przedstawił się widok czarujący. Z fotelu powstała młoda jeszcze osoba o prześlicznych rysach i olśniewającej cerze. Miała włosy blond w jakimś nadzwyczajnym odcieniu, długie czarne brwi oraz rzęsy, z pod których wyglądały nad wyraz piękne oczy z fiołkowym odblaskiem. Otulona była we wielki jedwabny płaszcz, z pod którego widać było brzeg balowej sukni, ze złotej gazy. Minister stanął jakby porażony tem niespodziewanem zjawiskiem. Pani Grand z zakłopotaniem opowiadała mu o swoim niepokoju. Talleyrand był ogromnie ubawiony całą historją, która, rozumie się, że nie miała cienia prawdopodobieństwa, uspokoił panią Grand, ale znajomość już była zawarta i wkrótce potem wziął z nią ślub cywilny, przyczem nikomu na myśl nie przyszło troszczyć się o to, czy jej mąż żyje czy nie, czem i później, w czasie starania się o dyspensę dla Talleyranda, również nikt się nie zajmował.

Tymczasem nadeszło *coup d'état*, i Bonaparte zaczął na nowo urządzać Francję. Trudno było nieraz przeistoczyć pojęcia, ale chciał, aby przynajmniej nazewnątrz panował ład, porządek i dobry ton. Gdy raz, w operze, pani Tallien, słynna wówczas artystka, przebrawszy się za Dianę, za cały strój miała na sobie tygrysią skórę, pierwszy konsul kazał jej powiedzieć, że już minęły we Francji czasy takich kostjumów. Po zawarciu konkordatu, Bonaparte zamierzał z Talleyranda uczynić na nowo biskupa, i otrzymać dla niego z Rzymu purpurę. Ale gdy Talleyrand wymówił się od tego, postanowił przynajmniej uregulować jego stosunki prywatne. Wezwał więc pierwszego ministra i oświadczył mu, że ma wypędzić ze swego domu panią Grand. — Było to już we cztery lata po owym cywilnym ślubie, Talleyrand przekonał się, że piękność była jedyną zaletą jego pseudo-żony. Była bardzo mało inteligentną, a o jej opinji lepiej było nie mówić. Byłby może chętnie skorzystał z okazji uwolnienia się. Jednak nie zrobił

tego. Dlaczego? Nikt nie wie. Niektórzy powiadali, że pani Grand posiadała w ręku dokumenty, któreby go mogły skompromitować wobec pierwszego konsula. Czy to prawda, niewiadomo, jest jednak faktem, że za nic oddalić jej nie chciał. Ale, że i wola pierwszego konsula musiała być spełnioną, t. j. że pierwszy minister nie mógł mieć żony, u którejby małżonki ambasadorów, bywać nie chciały, Napoleon wziął się do rzeczy w taki sposób, że, po nadesłaniu Brewe z Rzymu, ogłosił w gazetach bez żadnych szczegółów, że książę de Talleyrand został najzupełniej przywrócony do stanu świeckiego. Wprowadziło to w błąd wiele osób nie znających się na rzeczy i udało się znaleźć młodego wikarego na prowincji, który nie wiedząc o niczem, dał ślub panu de Talleyrand z panią Grand. O tym ślubie zrobiono znów anons w jakiemś piśmie, i Bonaparte postarał się, aby się o nim panie ambasadorowe dowiedziały. Gdy wiadomość doszła do Rzymu załamano tam ręce, i kardynał Consalvi rozesłał notę do wszystkich nuncjuszów, wyświetlając, jakiej treści było Brewe, dotyczące dyspensy Talleyranda. Wobec świeckich nie chciano jednak rozmazywać tej sprawy, i pani Grand zaczęła się podpisywać, princesse de Talleyrand-Périgord. Wiele osób wiedziało, jak się rzecz ma, ale nikt nie miał interesu z tem się zdradzać i narażać się pierwszemu ministrowi.

W jego domu, przy ulicy Gallifet, zaczęły się wspaniałe przyjęcia; cały świat dyplomatyczny i arystokratyczny bywał na salonach Talleyranda. Raz, w czasie urzędowego balu w 1803 r., liczba karet zalegających ulicę była tak wielką, że musiano ustanowić numerowaną kolej dla podjeżdżania. Talleyrand miał tak znakomity dar prowadzenia konwersacji, że pani de Staël mawiała, że nie żałowałaby połowy majątku dla nabycia go. Umiał mówić swobodnie o rzeczach najpoważniejszych, obudzał wspomnienia, opowiadał anegdoty, a wszystko zaprawiał rozumnemi uwagami i dowcipem. Pani de Talleyrand przyjmowała zwykle, siedząc na wysokim fotelu przepysznie ubrana, zawsze z diademem kwiatów we włosach. Najwyżsi dygnitarze i ambasadorowie składali jej głębokie ukłony, ale pocichu powtarzali sobie różne jej odezwania, świadczące o jej zupełnym braku wykształcenia. Raz ktoś, powróciwszy z Lyonu opowiadał o pięknym moście, jaki tam stanął na Saonie. „Co za dziwny sposób wymawiania", rzekła pani de Talleyrand, „w Paryżu mówią *La Seine.*" — Pomimo

to, zawsze wokoło jej fotelu było pełno orderów, mundurów i toalet.

W jakiś czas po otwarciu tych salonów, zaszło niemiłe dla obojga państwa de Talleyrand zdarzenie.

Wśród licznych gości, których ściągała do Paryża świetność pierwszego Cesarstwa, zjawił się w stolicy świata i pan Grand. Na tę wiadomość pani de T. uczuła się bardzo skonfundowaną, i natychmiast wyjechała na wieś. Ponieważ pan Grand był poddanym holenderskim, pierwszy minister uprzejmym listem do rządu holenderskiego, uzyskał, że mianowano go na bardzo intratne miejsce do południowej Afryki, dokąd też niebawem wyjechał. Po jakimś czasie usłyszano, że się tam ożenił. Wszystko to jednak nie wpływało na poprawienie opinji pani de Talleyrand. Napoleon przyjmował ją wprost niegrzecznie, a przedtem jeszcze, Ojciec św., Pius VII, gdy przybył do Paryża w 1804 roku, wymówił sobie, że pani de Talleyrand, nie będzie mu przedstawioną.

Zczasem stosunki improwizowanych małżonków zupełnie się oziębiły, i około roku 1812, najczęściej nie mieszkali już pod jednym dachem.

W roku 1814 pani de Talleyrand powitała z radością powrót Burbonów, spodziewając się, że wobec tego, co oni jej mężowi zawdzięczają, będzie przyjmowana w Tuilleries. Bardzo się jednak omyliła. Wszyscy na dworze pamiętali biskupa z Autun, a Ludwik XVIII, chcąc być bardzo uprzejmym, udawał, że nic nie wie o przeszłych zajściach, i nigdy go się o panią Grand nie spytał. Talleyrand czuł się tem wszystkiem bardzo dotknięty, gdyż takie zachowanie pozostawiało go zawsze w owej fałszywej roli, której od tak dawna pragnął się pozbyć. — Jednakże tak w tym wypadku, jak i we wielu poprzednich, milczał, nie zdradzając swoich uczuć przed nikim.

Tymczasem wypadł Kongres i Talleyrand pojechał do Wiednia. Pierwszą osobą, którą tam spotkał, był kardynał Consalvi. Nie widzieli się od czasu owej sprawy z dyspensą, i wzajemnie wyprzedzali się w uprzejmości. Po kilku tygodniach Talleyrand niby od niechcenia wręczył kardynałowi jakiś list, który, jak powiadał, znalazł wśrod papierów przybyłych do niego z Paryża. Kardynał rozerwał pieczątkę i zdumiał się... był to list od pani Talleyrand. W kilku słowach nadzwyczaj uprzejmych, księżna przy-

pominała mu znajomość, którą zawarli jeszcze za czasów Konsulatu. Kardynał Consalvi poczuł natychmiast, jaki mądry fortel się pod tem ukrywa. Zrozumiał, że chciano uzyskać od niego odpowiedź, która byłaby niemem uznaniem małżeństwa. Pokazanoby ją królowi i rozpowszechniono w kołach dworskich. Kardynał był bardzo nie rad. Nie odpowiadać wcale byłoby impertynencją, a zaadresować do „pani Grand", zniewagą. Nie wiedząc co robić, napisał do Rzymu po instrukcje. Kardynał Tacca, który był sekretarzem stanu za Piusa VII, przysłał mu taką radę, aby, odpisawszy najuprzejmiej, oddał list do zaadresowania sekretarzowi pana de Talleyrand, który z wieloma innymi miał swoje biuro niedaleko sali posiedzeń. Tym sposobem ani pisma kardynała, ani pieczęci na kopercie nie będzie, i nikt nie będzie mógł powiedzieć, że uznał nazwisko i tytuły przez tę panią noszone. Kardynał Consalvi skwapliwie z rady skorzystał. Talleyrand zrozumiał zapewne ten wybieg, ale przełknął całą rzecz w milczeniu i więcej o niej mowy nie było. — Gdy wrócił do Paryża i gdy minęły *les cents jours* Napoleona, a nastała epoka restauracji, zrozumiał, że jeżeli nie chce zerwać ostatecznie z opinją, to separacja z panią Grand jest konieczną. Oświadczył jej to stanowczo i wyznaczył jej wielką roczną pensję. Wcale nie bolał nad tem rozstaniem, gdyż małżeństwo to przyniosło mu za wiele upokorzeń i przykrości [1]).

Odtąd pani Grand zaczęła się zacierać w pamięci paryskiego towarzystwa, i zczasem zapomniano o niej zupełnie. Przez 10 lat mieszkała w pałacyku na rue de Lille, gdzie od czasu do czasu urządzała przyjęcia dla przyjezdnych Anglików i dla ubogich poetów i literatów, którzy nie mogąc znaleźć innego audytorjum, u niej odczytywali swoje arcydzieła.

Śmierć jej więcej była warta niż życie.

W poniedziałek, 7-go grudnia 1835 r. monseigneur de Quélen, arcybiskup Paryża, który znajdował się właśnie u ss. św. Michała na rue St. Jacques, został uwiadomiony, że jakaś dama pragnie się z nim widzieć. Ks. arcybiskup w tej chwili ją przyjął. Była to ks. d'Esclignac z domu de Talleyrand, bratanica pierwszego

[1]) W gazetach pojawiły się wtedy złośliwe wiersze:

Au diable soient les moeurs, disait Chateaubriand,
Il faut auprès de moi, que ma femme revienne,
Je rend grâces aux moeurs, disait de Talleyrand,
Car je puis enfin renvoyer la mienne.

ministra, która mu doniosła, że pani Grand jest umierającą i pragnie się spowiadać. Arcybiskup wsiadł w tej chwili do powozu księżnej i pospieszył na rue de Lille, wraz z dwoma prałatami, mgr Quentin, i mgr Affre. Gdy wszedł do pokoju chorej, podniosła się na poduszkach i wyraziła mu swoją wdzięczność, a potem z budującą prostotą się wyspowiadała. Gdy spowiedź była skończoną poprosiła arcybiskupa, aby wezwał do jej pokoju wszystkie osoby obecne w jej domu. Weszli tedy obaj prałaci, ks. de Esclignac, hr. de Champeron, i książe de Vins de Tesac, oraz dwie panny służące. Gdy się ustawili około jej łoża, silnym jeszcze głosem oświadczyła: „Szczęśliwa jestem z mego pojednania się z Bogiem, a teraz proszę ludzi o przebaczenie za zgorszenie, jakie życie moje dało". Wszyscy byli wzruszeni, a ksiądz arcybiskup de Quélen posłał jednego z prałatów do parafji św. Tomasza z Akwinu po wiatyk i oleje św. Po chwili, księżna, jak ją obecni nazywali, zapragnęła zostać sam na sam z arcybiskupem. Gdy wszyscy wyszli, kazała pannie służącej przynieść sobie safianową opieczętowaną szkatułkę. Były to jej klejnoty, do których miał prawo pan de Talleyrand, gdyż były kupione za jego pieniądze. Przytem wręczyła arcybiskupowi kilka tysięcy franków dla ubogich. Tymczasem ks. prałat Affre nadjechał z wiatykiem. Przyjęła bardzo pobożnie Komunję św. i ostatnie oleje a o 3-iej w nocy wydała ostatnie tchnienie. Pochowano ją na cmentarzu Montparnasse, gdzie do dziś dnia ciało jej spoczywa.

Ks. de Talleyrand nie odwiedził jej w czasie choroby, ani nie był na jej pogrzebie. Ale gdy zachorowała, przysyłał codzień po wiadomości, a gdy zmarła, jego ludzie zajęli się pogrzebową ceremonją. Arcybiskup de Quélen sądził, że nadszedł czas zbliżenia się do jego duszy, więc 12 grudnia napisał do księcia list, w którym mu powiada: „Pewna dama, której nie potrzebuję wymieniać po nazwisku, jakiego mi prawo kanoniczne nie pozwala jej przyznawać, umarła na rue de Lille. Przed śmiercią pojednała się z Bogiem, przeprosiła ludzi za zgorszenie i przyjęła Sakramenta św. Pan Jezus, najmiłosierniej, chciał użyć mojej pomocy dla dźwignięcia tej duszy, zanim stanie przed Bogiem. Jako posłaniec Boży do dusz mojej diecezji, zaklinam Cię Mości Książe, w imię Jezusa Chrystusa, naszego Zbawiciela, Sędziego i Brata, — w imię Matki Jego Najświętszej, — w imię Kościoła katolickiego i w imię Ojca św. najwyższego jego pasterza — zwróć się bez

zwłoki do sprawy Twego zbawienia, zanim zajdzie dzień Twego życia, będącego już na schyłku. — Nie potrzebuję Ci wskazywać, Mości Książe, jakie są warunki Twego pojednania się z Bogiem i Kościołem. — Sam je dobrze znasz. Zmarła prosiła mię, aby polecić Twojej dobroci jej służbę. Wywiązuję się z tego polecenia i proszę Cię Mości Książę, o przyjęcie słów najgłębszego oddania z jakiem pozostaję na zawsze

Hyacynt arcyb. Paryża."

List ten nie został bez odpowiedzi. Tegoż samego dnia arcybiskup de Quélen otrzymał następujące słówko:

„Monseigneur. Je suis très particulièrement touché de Votre bonté. J'aurais désiré Vous parler moi-même, mais une indisposition prolongée m'empêche de sortir. Je demande à Mr Démion de Vous porter cette lettre, et d'entrer avec Vous Monseigneur, dans quelques explications, qui Vous prouveront, je l'espère, le sincère attachement, le respect et la haute considération dont je Vous prie d'agréer l'hommage.

Le prince de Talleyrand."

Nazajutrz, 13 grudnia, książe jeszcze raz napisał do arcybiskupa, widać, że zaczął na serjo rozważać sprawę swojej duszy.

Nikt nie wie, jaki był rezultat rozmowy, ale ostatnie dwa lata, jakie księciu pozostawały do życia, miał nieodstępnie przy sobie mgr Dupanloup, młodego jeszcze wówczas prałata. Jednak żądany od siebie akt retraktacji podpisał dopiero w samą wilję śmierci, o 5-ej rano, gdy zdawało się, że już następuje konanie. Umarł, opatrzony św. Sakramentami, 17 maja 1838 r. mając lat 84.

M. Campbell.

Materja i promieniowanie.

Jeszcze ostatni wysiłek i utrudzony całodzienną wędrówką turysta staje na wyniosłym szczycie grzbietu górskiego. Wzrok jego, który dotychczas zajęty był wyszukiwaniem na skalistej ścieżce punktów oparcia dla stóp i rąk — mknie teraz niepowstrzymanym pędem w siną dal wierchów i przełęczy wokoło, dotknie nieraz aksamitu lasu lub pól kobierca, ślizga po lśniącej powierzchni stawu lub zatrzymuje się na skalnem urwisku. Wiatr zwieje pot z czoła, utuli łomot krwi w skroniach lub doniesie mu do nozdrzy woń lasów i łąk.

Cicho, spokojnie i ciepło. To samo słońce, które go witało szkarłatem wschodu, które mu potem opaliło czoło i krople potu nań wycisnęło, pożegna go również purpurą zachodu, lub zabłyśnie tęczą pojednania, teraz zaś darzy go swem ciepłem i światłem, spływającym z błękitu niebios.

Oto: materja i promieniowanie. Materja lasów, skał, jezior i powietrza — promieniowanie barw, ciepła i słońca składają się na jeden wielki, wspaniały obraz, oglądany ze szczytu.

Lecz ta sama materja i to samo promieniowanie mogą być kiedyindziej złowieszcze. Nadmiar światła grozi ślepotą na śnieżnych polach, nadmiar ciepła udarem, brak światła zbłądzeniem lub upadkiem w przepaść, brak ciepła — mrozem. Gdy w skalnym żlebie zerwany mrozem nocy głaz przeleci ze złowrogim świstem nad głową, gdy turystę otoczą błędne tumany śnieżnej lawiny, gdy przyczepionemu gdzieś na skalnem urwisku wicher szarpnie ubraniem, gdy otacza-

jące turnie zaczną mu tańczyć przed oczyma w podmuchach zamieci, a grzmot za grzmotem trzaskać będzie w te miejsca, gdzie przed chwilą była lub będzie jego stopa — wówczas ta sama materja i to samo promieniowanie, które ongi napawały go podziwem i uwielbieniem — teraz przemówią doń niesamowitą grozą i respektem.

Wznieśmy się teraz ponad łąki i lasy, ponad najwyższe szczyty ziemi, ponad powietrze, opuśćmy lazur nieba i naszą całą ziemię i zawieszeni gdzieś w niezmierzonych głębiach wszechświata popatrzmy na inny obrazek. Owionie nas pustka i chłód. Pustka — bo kilka zaledwie pyłków najmniejszych, bujających w obrębie rynku krakowskiego będzie obrazem rozmieszczenia materji gwiazd w przestrzeni wszechświata, chłód — bo całkowite promieniowanie tych miljonów pyłków — gwiazd w straszliwej od siebie i od nas odległości, nie zdoła w nas wytworzyć temperatury wyższej niż kilka stopni powyżej absolutnego zera t. j. około 270° C. A te pyłki-gwiazdy, to przecież słońca, czasem mniejsze, a czasem większe od naszego, zbiorowiska materji w temperaturze miljonów stopni i pod ciśnieniem miljonów atmosfer. A więc wszechświat to przedewszystkiem pustka, przeniknięta drganiem promieniowania, wśród której tu i ówdzie rozpalony odłam materji. Życie — czem ono jest, nie wiemy. Wiemy tylko, że do życia w naszem tego słowa znaczeniu jest nieodzownie potrzebna i materja i promieniowanie i to w pewnym ściśle określonym stanie, że istnieje ono tylko na znikomym ułamku wszechświata tam, gdzie istnieją pewne specjalne ugrupowania atomów materji i w ściśle określonej temperaturze i określonym rodzaju promieniowania, oraz że istnieje ono tylko w znikomym ułamku czasu istnienia całego wszechświata.

* * *

Czem jest materja, a czem promieniowanie? Jaki jest związek między jednem i drugiem? W tych dwóch pytaniach mieszczą się wszystkie problemy fizyki dawnej, wczorajszej i dzisiejszej. Wiek XIX pozostawił nam wiedzę o tem sformułowaną w sposób następujący:

Materja — mówiliśmy już o tem [1]) — lasów, skał, powietrza, słońc, gwiazd, mgławic — to zbiorowisko cząsteczek, cząsteczka zbiorowiskiem atomów, a atom zbiorowiskiem dodatnio naelektryzowanych protonów i ujemnych elektronów. Protony i elektrony tworzą w materji naszej ziemi więcej lub mniej trwałe, więcej lub mniej liczebne rodziny, zwane przez nas pierwiastkami. Najuboższą rodziną jest atom złożony tylko z dwóch osobników t. j. jednego protonu i jednego elektronu, nazywamy go atomem wodoru. Powtarzam tu porównanie: gdybyśmy atom wodoru powiększyli do rozmiarów kuli ziemskiej, wówczas dodatni proton, znajdujący się w środku kuli byłby wielkości balonika dziecięcego (12 cm), zaś naokoło niego po powierzchni ziemi obracający się ujemny elektron miałby wielkość dużego gmachu (222 m) i musiałby wykonywać ok. 3 tysiące biljonów obrotów w jednej sekundzie, aby nie spaść na przyciągający go proton.

Czem jest promieniowanie? I o tem mówiliśmy. [2]) Teorje Faradaya, Maxwella i Hertza wyjaśniły istotę promieniowania jako zaburzenia falowe w eterze, zapoczątkowane przez drgający elektron. Powtarzam: jak kołysząca się łódka oddziaływuje na powierzchnię wody, wywoływując na niej odkształcenia, które my falami nazywamy, jak drgająca struna wyrzuca w otaczające powietrze kolejne zagęszczenia i rozrzedzenia, które my falami głosowemi nazywamy, tak też i drgający gdziekolwiek i w jakikolwiek sposób elektron wyrzuca w otaczający go eter zaburzenia falowe, które my promieniowaniem nazywamy. A promieniowanie to może być rozmaite, może nosić rozmaite nazwy, zależnie od szybkości ruchu drgającego elektronu. I tak np. gdy elektrony w antennie radjostacji nadawczej drgają 300.000 razy na sekundę, wówczas antenna promieniuje to, co nazywamy w codziennem życiu falami elektromagnetycznemi, radjowemi — długości 1 m. Gdy elektrony pieca, w którym napalono, zaczną drgać z szybkością ok. 100 biljonów razy na sekundę,

[1]) P. artykuł „Świat atomów" *Przegl. Powsz.* Nr. 594 z 1933 r. oraz „Świat elektronów" *Przegl. Powsz.* Nr. 595—6 z 1933 r.

[2]) P. artykuł „Jak powstało pojęcie eteru we fizyce" *Przegl. Powsz.* Nr. 602. z 1934 r. oraz „Na falach eteru" *Przegl. Powsz.* Nr. 604 z 1934 r.

(a więc szybciej, niż poprzednio), powiemy wówczas, że piec promieniuje ciepło, fizyk zaś powie, że piec promieniuje również fale elektromagnetyczne, przedczerwone, długości ułamków milimetra. Gdy elektrony tłoczone siłą elektromotoryczną elektrowni zostaną w cienkim druciku żarówki elektrycznej pobudzone do jeszcze szybszego ruchu drgającego, bo od 400 do 800 lub więcej biljonów razy na sekundę wówczas powiemy: żarówka promieniuje światło, fizyk zaś powie żarówka promieniuje znowu fale elektromagnetyczne - świetlne, mierzone tysiącznemi ułamkami milimetra, z których większość działa na siatkówkę naszego oka, inne zaś jeszcze krótsze — pozafiołkowe — już niewidzialne — działają na kliszę fotograficzną. Elektromagnetyczna teorja promieniowania Maxwella nie tylko połączyła zjawiska elektryczne, świetlne i cieplne w jedną całość, ale dozwoliła później odkrytym promieniom Roentgena i promieniom gamma ciał promieniotwórczych, jeszcze krótszych od poprzednich uzupełnić całą gamę promieniowania. Ponieważ zaś żadnego falowania nie można było sobie wyobrazić bez jakiegokolwiek podłoża, teorja więc przyjąć musiała istnienie eteru wszechświatowego, będącego ośrodkiem przenoszącym każde promieniowanie w postaci bliżej nieokreślonych fal elektromagnetycznych.

Taką w przybliżeniu teorję materji i promieniowania pozostawił nam wiek XIX. Istniał więc przyczynowy związek między materją a promieniowaniem i naodwrót, związek tłumaczący jasno i logicznie strukturę otaczającego nas świata. I jakkolwiek nie umiano powiedzieć, czem są owe fale elektromagnetyczne w eterze, nie umiano wyjaśnić jak materjalny elektron może oddziaływać na otaczający go niematerjalny eter, to jednak widziano, że teorja budowy materji doskonale uzupełnia teorję promieniowania i naodwrót, że niema nigdzie sprzeczności ani niezgodności, że obie teorje przylegają do siebie, jak tryby dwu kół zębatych, wypadało je tylko o siebie zahaczyć i puścić maszynę w ruch. Spodziewano się, że ruch całej maszyny nie tylko będzie gładki i równy, nie tylko wyjaśni to, co jeszcze nie było wyjaśnionem, ale że dozwoli na dalsze udoskonalenie i postępy w całej maszynie.

Tymczasem ruch maszyny zawiódł. Już po kilku obrotach dały się słyszeć zgrzyty i trzask łamanych trybów. Niedopatrzone z początku i przeoczone niezgodności trybów spowodowały ich wyłamanie. A gdy próby naoliwienia i wygładzenia trybów zawiodły, zdecydowano się na radykalną przebudowę, wyrzucono obydwa koła zębate i zastąpiono je jednem sprzęgłem, sprzęgłem, które nie dało się wykuć w żadnej z dotychczasowych wytwórni, do którego konstrukcji nie wystarczyły już trzy wymiary przestrzeni: długość, szerokość i wysokość. Zwrócono się tedy do wytwórni, rozporządzającej niewyobrażalnemi dla nas czterema przestrzennemi wymiarami, która z początkiem XX wieku dostarczyła takie cztero-wymiarowe sprzęgło. Zastąpiło ono i koło teorji materji i koło teorji promieniowania, jest ono i materją i promieniowaniem, a tylko oglądane przez nas z jednej strony przypomina nam dawne koło teorji materji, zaś z drugiej strony teorję promieniowania. Sprzęgło obecne jest już wbudowane, nazywa się t e o r j ą k w a n t ó w promieniowania i materji, maszyna ruszyła na nowo z miejsca, czy się obracać będzie lepiej — przyszłość okaże.

Oglądniemy to sprzęgło w niniejszym artykule z jednej tylko strony, a mianowicie od strony promieniowania. Zapytajmy przedewszystkiem, w czem tkwiły niedomagania klasycznej teorji elektromagnetycznej promieniowania Maxwella, przyczem omówimy dwie typowe niekonsekwencje tej teorji na najprostszym przykładzie t. j. atomu wodoru.

Po pierwsze: Drgający elektron jest według tej teorji źródłem promieniowania. Czy obrót elektronu naokoło jądra w atomie wodoru może być uważany za drganie? Oczywiście tak. Patrząc bowiem uważnie na drgającą strunę, widzimy zawsze jej drganie, niezależnie od tego, czy patrzymy z góry, czy z boku, powiemy więc, że drga we wszystkich kierunkach, lub — wyrażając się ściśle — każda jej cząsteczka o b r a c a s i ę około położenia równowagi, który to obrót składa się z przynajmniej dwu drgań prostych, wykonywanych równocześnie wzwyż i wszerz. A więc i ruch obrotowy elektronu w obrębie atomu wodoru możemy uważać za złożony ruch drgający. Jeżeli zaś elektron drga, to promieniuje, jeżeli zaś promie-

niuje, to powinien się uspokajać tak, jak raz szarpnięta i dźwięcząca struna uspokaja się i dźwięk zanika. Innemi słowy obracające się naokoło jądra elektrony muszą tracić energję na rzecz promieniowania i dlatego musiałyby spaść na jądro atomu — żaden więc atom (nie tylko wodoru) nie mógłby się ostać w tej formie, jak to przypuszczała dotychczasowa teorja budowy materji t. j. coś nakształt stałego układu planetarnego, w którym słońcem jest jądro, planetami zaś wiecznie krążące naokół elektrony. Widzimy jak jeden tryb kółka promieniowania nie przystaje do trybu budowy materji.

Po drugie: Wspomnianem było wyżej, że elektron w atomie wodoru musiałby wykonywać ok. 3 tysiące biljonów drgań w sekundzie naokoło jądra, aby nań nie spaść, promieniowanie zaś takie, któreby miało źródło w tych drganiach jest nam dobrze znane, byłoby to promieniowanie p o z a f i o ł k o w e, bliskie już promieniom Roentgena. Tymczasem doświadczenie jest w rażącej sprzeczności z powyższym wynikiem, bo jeżeli rozrzedzony wodór zamkniemy w rurce szklanej (Geisslera) i przepuścimy przez nią iskrę elektryczną, wówczas wodór świeci, a promieniując w ten sposób wysyła fale ś w i e t l n e, w i d z i a l n e, a nie pozafiołkowe, niewidzialne, jakby to z klasycznej teorji wynikało. Co więcej. Jaką barwą świeci wodór w rurce Geisslera? Sądząc z wejrzenia: różowawą. Gdy jednak to światło rzucimy przez pryzmat szklany na ekran, to zobaczymy na nim zupełnie wyraźnie i oddzielnie t r z y barwy: czerwoną (najsilniejsza), seledynową (słabsza) i fiołkową (najsłabsza).[1]) Te trzy barwy istnieją tam oddzielnie i dopiero w oku naszem zlewają się w różowawą barwę. A przecież barwy pochodzą od rozmaitych co do ilości drgań elektronów, należałoby więc przypuścić, że w świecącym wodorze istnieją trojakie elektrony, jedne obracają się z szybkością ok. 400 biljonów razy na sekundę i dlatego świecą czerwono, inne ok. 600 biljonów razy na sekundę i dlatego świecą seledynowo, wreszcie inne drgają ok. 800 biljonów razy na sekundę i świecą fioł-

[1]) W języku fizykalnym powiemy: światło świecącego wodoru rozszczepione w spektroskopie daje widmo prążkowe, złożone z trzech (ściśle: pięciu) prążków: czerwonego, seledynowego i fiołkowego.

kowo, co wydaje się wręcz nieprawdopodobne — albo też szukać całkiem innej drogi wyjaśnienia i przypuścić, że obracające się elektrony nie są wogóle źródłem promieniowania, że źródła promieniowania należy szukać gdzieindziej. A ponieważ próby pierwszej ewentualności zawiodły na całej linji, naoliwienie i wygładzenie trybów na nic nie pomogło, fizyka przypuściła tę drugą ewentualność, która równa się wyrzuceniu owego koła zębatego i tu stajemy przed jądrem naszego zagadnienia.

Ów stanowczy krok zerwania z klasyczną teorją promieniowania był w r. 1900 dziełem uczonego niemieckiego Maxa Plancka, a dalszy jej rozwój w kierunku wyjaśnienia budowy materji w ogólności, a atomu wodoru w szczególności przypada na rok 1913, związany z nazwiskiem uczonego duńskiego Nielsa Bohra. Założenia Bohra odnoszące się do atomu wodoru są następujące:

Elektron, krążący po kołowej orbicie naokoło jądra nie promieniuje. Założenie to jest sprzeczne z klasyczną teorją promieniowania, jednak Bohr nie cofa się przed tą ewentualnością. Jedynym argumentem byłby już przytoczony: gdyby elektron promieniował, musiałby tracić energję i spaść na jądro, skoro jednak nie spada, widocznie nie promieniuje.

Zwyczajnie porównuje się atom z układem planetarnym, w którym rolę słońca odgrywa jądro, role zaś planet, krążące po orbitach elektrony. W układzie planetarnym jednak odległość od słońca krążącej planety może być dowolna i tak np. możnaby sobie wyobrazić jakąś planetę krążącą po dowolnej orbicie między orbitą ziemi i Marsa, byleby tylko posiadała szybkość większą niż Mars, a mniejszą niż ziemia. Bohr (w swojem drugiem założeniu) odstępuje od tej analogji i twierdzi, że orbity elektronów naokoło jądra nie mogą być dowolne, tylko w pewien sposób uprzywilejowane, i że ich odległości od jądra są ściśle określone, a mianowicie: Najbliższa jądra orbita I jest (patrz rycinę) w atomie wodoru odległa od jądra o 0,00000001 cm i elektron, znajdując się w normalnym stanie atomu na tej orbicie, porusza się po niej dookoła jądra (nie promieniując), lecz przekroczyć tej orbity i zbliżyć się do jądra nie może.

Jakaś zewnętrzna siła może wprawdzie elektron wyważyć z tej orbity, ale wówczas przerzuca go na jedną z następnych „dozwolonych" orbit, których promienie rosną jak kwadraty liczb naturalnych, a więc promień orbity II będzie 4 razy większy, orbity III 9 razy większy, orbity IV 16 razy, V-tej 25 razy większy od promienia orbity I i t. d. Na pośrednich między temi orbitach nigdy elektron krążyć nie może. W terminologji polskiej te „dozwolone" orbity nazywają się „skwantowane" lub „stacjonarne". Założenie to jest sprzeczne nie tylko z klasyczną teorją promieniowania, ale również z klasyczną mechaniką, która nigdy o żadnych „uprzywilejowanych" orbitach ciała krążącego nie mówiła.

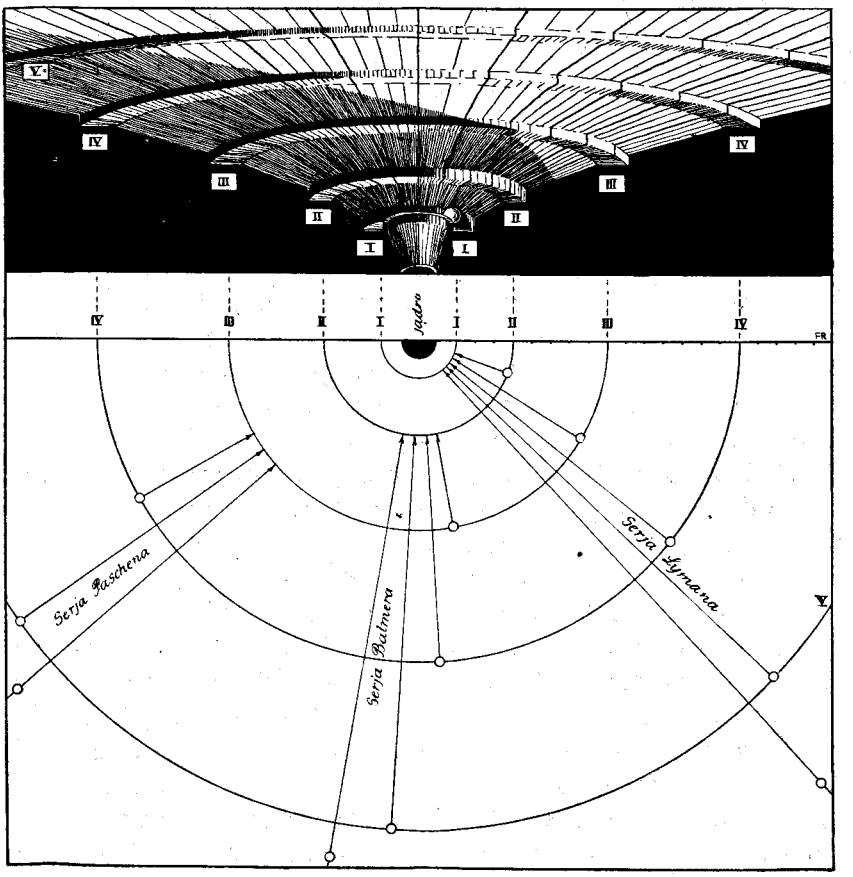

Model atomu wodoru według Bohra.

Aby uprzystępnić rozumowanie użyjemy tu następującego porównania (p. rycina). Amfiteatr rzymski, którego siedzenia widowni biegną wokoło areny i tworzą koła współśrodkowe z areną, im bliżej areny, tem koło mniejsze i na niższym poziomie. Aby jednak analogja odpowiadała budowie atomu wodoru, to należałoby przypuścić, po pierwsze, że spadek widowni ku arenie nie jest stały, lecz wzrasta ku arenie, t. j. że widownia jest bardziej stromą przy arenie, niż na obwodzie, wskutek tego im bliżej areny, tem spadek niebezpieczniejszy, a po drugie, że skasowano pewną ilość siedzeń między niektóremi kołami tak, że pozostały tylko niektóre stopnie, z których pierwszy tuż nad areną, ubezpieczony dostatecznie wysoką balustradą, uniemożliwiającą spadek na arenę (orbita I), drugi w odległości 4 razy większej od areny (orbita II), trzeci 16 razy dalej (orbita III) i t. d. Stopnie owe nie są ubezpieczone przed spadkiem ku arenie, zaś przestrzeń między temi stopniami wyłożona jakimś gładkim materjałem, na którym nic się utrzymać nie zdoła i samorzutnie spadać będzie na stopnie niższe. Arena ma przedstawiać jądro atomu, ku któremu „ciąży" (siłą elektryczną) elektron, który należałoby sobie wyobrazić jako jakąś kulę bilardową, opatrzoną mechanizmem, który ją ustawicznie porusza po orbicie najniższej, skąd jednak dzięki balustradzie wpaść do „jądra-areny" nie może. Jeżeliby ktoś złapał tę kulę i wyrzucił gdzieś na wyższe pole widowni, to ona nie tracąc nabytego ruchu obrotowego naokół areny będzie mogła krążyć tylko po jednej z „dozwolonych" jej orbit, przyczem naturalnem jej dążeniem będzie samorzutny spadek na kolejne niższe orbity-stopnie, aby po pewnym czasie znaleźć się znów najbliżej areny-jądra, na orbicie I.

Powyższe dwa założenia Bohra miały charakter negatywny, odbierały sens i znaczenie zasadniczym tezom dotychczasowej mechaniki i równały się wyjęciu jednego niezdatnego do obrotu koła zębatego całej maszyny. Należało teraz w jego miejsce wstawić nowe sprzęgło i odpowiedzieć na pytanie, jak w takim razie odbywa się mechanizm promieniowania przez elektron? Założenie trzecie jest właśnie tem sprzęgłem essencjonalnem całej teorji Bohra: Krążący po jednej z dozwolonych orbit elektron nie pro-

mieniuje, natomiast jeżeli „spadnie", czy „zeskoczy" z jednej z orbit wyższych na którąkolwiek niższą, wówczas po zeskoku posiada energję mniejszą, niż na początku, nadwyżkę energji wyrzuca nazewnątrz jako jednorazowy „błysk" promieniowania zwany kwantem. Jeżeli wrócimy do naszego modelu amfiteatru, to należałoby sobie wyobrazić, że kula-elektron krąży po jednym ze stopni orbit bez najmniejszego szmeru, natomiast gdy spada z orbity wyższej, wówczas uderzy o którykolwiek stopień niższy, straci tem samem na energji ruchu, a równocześnie wyśle w otaczającą przestrzeń krótki, urwany sygnał głosowy, niejako porcję, kwant promieniowania. I wyobraźmy sobie szereg takich mikroskopijnych amfiteatrów-atomów obok siebie, a w każdym po kilkadziesiąt (lub więcej) dozwolonych orbit-stopni, wyobraźmy sobie dalej, że jakaś zewnętrzna przyczyna wyrzuca owe kule-elektrony ustawicznie z orbit niższych na wyższe poto, aby one mogły ustawicznie same spadać z orbit wyższych na niższe, że w całości słychać ustawiczny stukot uderzających o rozmaite orbity elektronów, stukot złożony z poszczególnych uderzeń, różniących się tylko natężeniem — a będziemy mieli model mechanizmu promieniowania, jaki według teorji Bohra odbywa się w zbiorowisku atomów wodoru zamkniętego w rurce Geisslera i pobudzanych iskrą elektryczną do świecenia.

Założenia teorji Bohra sięgają jednak jeszcze głębiej swojemi konsekwencjami. Promieniowanie, o którem przyzwyczailiśmy się mówić jako o falach o określonej długości, wychodzących w sposób ciągły ze źródła drgających elektronów — nie jest już według Bohra i Plancka żadnem falowaniem. Jak długo elektron krąży po jednym z torów skwantowanych — nie promieniuje. W pewnym momencie zeskakuje z tego toru na dowolny inny tor niższy skwantowany i wówczas temu zeskokowi odpowiada jednorazowy pocisk promieniowania, kwant energji, poczem znowu jest cisza, jak długo elektron krąży po niższym torze. Promieniowanie nie jest więc zjawiskiem ciągłem, jak falowanie, lecz jest rozbite na poszczególne porcje, grad pocisków, postępujących niezależnie obok siebie lub poza sobą, z których każdy posiada pewną stałą energję. Promieniowanie

więc w tem założeniu objawia charakter wyraźnie korpuskularny, nieciągły i niefalowy, charakter uderzająco podobny do struktury materji, a przyjęcie tegoż założenia jest równoznaczne z wyjęciem drugiego kółka zębatego maszyny i wstawieniem sprzęgła, który oglądamy od strony promieniowania. Odżywają więc tu najwyraźniej z przed wieków poglądy Newtona ciałek świetlnych, korpuskułów, wyrzucanych przez świecące ciała, lecz w zmienionej i naukowo inaczej uzasadnionej formie.

Barwa światła, charakteryzująca się w dawnej teorji długością fali, charakteryzuje się obecnie czemś zupełnie innem, a mianowicie wielkością niesionej ze sobą energji kwantu, im fale krótsze, tem energja kwantu większa. Gdy kula-elektron spadnie z toru III na II, wypromieniuje kwant światła: foton czerwony, jeżeli zaś spadnie z toru IV na II, uderzy weń silniej, kwant światła będzie silniejszy, nazywamy go fotonem seledynowym, gdy zaś spadnie z toru V na II wyrzuci jeszcze silniejszy kwant światła: foton fiołkowy i t. d. Oto mamy odpowiedź na postawione wyżej pytanie, jak się to dzieje, że jeden i ten sam atom może wysyłać równocześnie światło o rozmaitej barwie, czego klasyczna teorja promieniowania nie była w stanie wytłumaczyć. Co więcej: wszystkim możliwym zeskokom elektronów z wszystkich torów wyższych na tor II towarzyszyć będzie cała serja kwantów świetlnych-fotonów o rozmaitej barwie (serja Balmera na rysunku). Lecz przecież można sobie wyobrazić i inne kombinacje zeskoków. Wszystkim zeskokom elektronu z wszystkich torów wyższych na tor I towarzyszyć będzie druga serja kwantów promieniowania o energji jeszcze większej, a więc niewidzialnych promieniowań pozafiołkowych (serja Lymana), zaś zeskokom z torów wyższych na tor III trzecia serja promieniowań słabszych, niewidzialnych kwantów podczerwonych (serja Paschena) i t. d. A wszystkie te serje barw i promieniowań przez pobudzony do świecenia wodór były dawno znane i opisane i opierały się jakiemukolwiek wyjaśnieniu na gruncie klasycznej teorji Maxwella, nadzwyczajna zaś jakościowa i ilościowa zgodność wyników teorji Bohra z doświadczeniem w przypadku promieniującego atomu wodoru (a także i niektórych innych pierwia-

stków) była i jest jednym z najwięcej przekonywujących argumentów na korzyść teorji Bohra.

A więc promienie radjowe długie lub krótkie, to kwanty o najmniejszej energji, to płatki śniegu spadające z chmury, promienie cieplne to deszcz, promienie świetlne czerwone, to grad wielkości orzecha laskowego, promienie fiołkowe to grad wielkości bobu, promienie pozafiołkowe to grad wielkości jaja, promienie Roentgena to grad pocisków karabinów maszynowych, a wreszcie promienie gamma ciał promieniotwórczych to potężne bomby zrzucane przez powietrzną eskadrę samolotów.

* * *

Ewolucja pojęć współczesnej fizyki kroczy wyraźną drogą oddalającą się coraz bardziej od utartych szlaków naszego poznawania i zmierzającą do sfer abstraktu, w których niema miejsca dla naszego zwykłego sposobu rozumowania i pojmowania. Nieciągłość bowiem ruchu elektronów w obrębie atomu jest tylko przykładem ogólniejszego prawa, którego współczesna fizyka dopiero powoli zaczyna się domyślać. Przyzwyczajeni byliśmy dotychczas sądzić, że zasób energji jakiegoś ciała można zwiększyć lub zmniejszyć tylko w sposób ciągły, niepodobna bowiem sobie wyobrazić, by ciężarek 1 kg, leżący na stole mógł w jakiś cudowny sposób nagle — bez przejścia — znaleźć się na wysokości 1 metra nad stołem i zyskać przez to 1 kilogramometr energji, nie zyskując jej w sposób ciągły przy podnoszeniu go na tę wysokość po jakiejkolwiek drodze. Z teorji jednak Bohra wynika, że tak być może, że elektron z jednego swego stanu (orbity) może przejść do drugiego n i e p r z e z e w o l u c j ę, l e c z p r z e z r e w o l u c j ę, przez przewrót i to właśnie w sposób, który jest dla nas zupełnie niezrozumiały i najprawdopodobniej zasadniczo różny od naszych dotychczasowych wyobrażeń.

I właśnie w momencie, gdy poczucie ciągłości zdarzeń przyrodniczych zdawało się święcić triumfy, ukazuje się tak niesamowite odkrycie nieciągłości promieniowania, zmuszające nas do rewizji naszych podstawowych pojęć i naszych podstaw światopoglądu. I pod wpływem tego powstają takie

przypuszczenia, że może właśnie my tylko źle się wyrażamy, gdy mówimy, że elektron przeskakuje z jednej orbity na drugą „nie przechodząc przez przestrzeń między niemi leżącą"? Może wogóle tej „przestrzeni" między orbitami niema, może to tylko nasz przesąd lub przyzwyczajenie zmusza nas do wiary, że i przestrzeń jest ciągła?

Co więcej. Poincaré rozważał nawet takie zagadnienie, że może kiedyś będziemy musieli zrezygnować w fizyce z pojęcia ciągłości czasu, że np. minutę będziemy uważali za skończoną ilość pojedyńczych momentów, między któremi nic niema? Tego rodzaju rozważania są dzisiaj jeszcze spekulacją filozoficzną; może w rzeczywistości, o której jednak mało wiemy, nie jest tak źle. Jednak nieciągłość procesów wewnętrzno-atomowych nie jest bynajmniej czystą spekulacją, chodzi przecież o teorję, która wyszła z wielu, wielu danych doświadczalnych, a co więcej mnożą się jeszcze inne doświadczalne fakta, które jeszcze jaskrawiej wskazują na niewyobrażalność przejawów przyrodniczych, a z drugiej strony wskazują, że między materją a promieniowaniem istnieje jeszcze jakiś inny, nieodgadniony związek.

Chcę wspomnieć o doświadczalnym fakcie stwierdzenia interferencji i ugięcia materji (a nie fal). Przypominam [1]): interferencja fal jest to wzajemne wyniszczenie się dwu fal jednorodnych, padających w jedno miejsce w ten sposób, że góra jednej fali spotyka się zawsze z doliną drugiej fali i przez to następuje właśnie wzajemne wyniszczenie. Światło jest zdolne do interferencji, bo można — prostem doświadczeniem — oświetlić kartkę papieru dwoma źródłami światła ale tak, aby kartka była ciemna. I w czasach, gdy ważyły się losy między teorją falową i korpuskularną światła, interferencja światła była ważkim argumentem na korzyść teorji falowej. Jeżeli bowiem według postulatów teorji korpuskularnej wyobrazimy sobie światło jako ruch jakichś ciałek świetlnych (korpuskułów), wyrzucanych przez źródło światła, to nie będziemy mogli zrozumieć, że dwa takie strumienie mogą ze sobą interferować, światło bowiem dodane

---

[1]) P. artykuł „Jak powstało we fizyce pojęcie eteru" *Przegl. Powsz.* Nr. 602 z r. 1934.

do światła musiałoby w tych warunkach dawać zawsze wzmocnienie, a nie wyniszczenie, lub nawet osłabienie.

Gdy Roentgen odkrył swe promienie, nazwał je promieniami X, nie wiedział bowiem, czy ma im przypisać charakter korpuskularny, czy falowy. Rozstrzygnięcie nastąpiło wówczas, gdy udało się te promienie przepuścić np. przez glin sproszkowany i gdy po przejściu ugięły się tak, że dały wyraźny obraz interferencyjny. I powiedziano wówczas: Promienie X są zdolne do interferencji, a więc nie mogą być natury korpuskularnej (nie mogą być np. pędzącemi elektronami), lecz są falami elektromagnetycznemi.

A co w takim razie powiemy na fakt następujący? Oto Davisson i Germer w Ameryce, Thomson w Anglji, Kirchner, Rupp w Niemczech, Kikuchie w Japonji, Dauvillier we Francji, Szczeniowski w Polsce i inni wykazali interferencję strumienia elektronów (a więc nie fal). Jeżeli strumień elektronów przepuścimy przez cieniutką warstewkę np. kamfory lub złota, to stwierdzimy bez zastrzeżeń, że elektrony załamią się w tych ciałach (zupełnie na podobieństwo fal), że się ugną tak jak fale, że dadzą identyczny obraz interferencyjny, jak fale. Co powiemy na to, że strumień elektronów w parze rtęci rozprasza się i ugina zupełnie tak samo, jak światło rozprasza się i ugina w kropelkach pary wodnej naokoło tarczy księżyca, otaczając ją barwnemi pierścieniami? Co wreszcie powiemy na to, że dwa lata temu Estermannowi i Sternowi w Hamburgu udało się wykazać ugięcie strumienia atomów helu w kryształach soli kamiennej i chlorku litu?

Musimy powiedzieć, że cytowane już nieraz słowa Flammariona: „Wszystko, co widzimy, to pozór, rzeczywistość jest inna", dziś dopiero nabierają właściwego znaczenia. Musimy powiedzieć, że „nieprzenikliwość materji" jest fikcją, skoro mogą się dwa elektrony znaleźć w tem samem miejscu, że „niezniszczalność materji" jest fikcją, skoro dwa elektrony czy atomy mogą się wzajemnie wyniszczyć. Musimy przyznać, że nie ulega najmniejszej wątpliwości, że materja posiada — oprócz cech korpuskularnych — również i cechy falowe. Z temi rozważaniami łączą

się nazwiska: De Broglie'a i Schrödingera, twórców współczesnej mechaniki falowej materji.

Teorja ta jest owem jednolitem sprzęgłem wstawionem w miejsce dwu kół zębatych materji i promieniowania i wskazuje, że między budową materji a promieniowaniem — albo ściślej: między materją a energją istnieje ścisły związek. Że jeżeli z jednej strony: energja, którą myśmy sobie dotychczas wyobrażali w postaci promieniowania, okazuje wprawdzie w wielu innych wypadkach wyraźny charakter falowy (interferencja), to jednak w wielu innych wypadkach wykazuje wyraźny charakter korpuskularny, pocisków świetlnych, kwantów, fotonów, czy jak je nazwiemy, — z drugiej zaś strony: materja, którą myśmy sobie dotychczas wyobrażali w postaci elektronów czy protonów, okazuje wprawdzie w wielu wypadkach charakter korpuskularny, to jednak w wielu innych wypadkach okazuje również charakter falowy (interferencja elektronów). A przecież nie możemy sobie wytworzyć obrazu czegoś, coby było jednocześnie i cząsteczką i falą. Czy nie należy więc wobec tego przeczuwać, że świat nas otaczający, to coś całkiem odmiennego od tego, co spostrzegamy, coś nieznanego, niezrozumiałego, niepojętego, czego kontury dopiero majaczą nam w niewyraźnej mgle, co pokazuje się nam raz z jednej, drugi raz z drugiej strony, raz jako fala, drugi raz jako cząsteczka?

Dwoisty charakter świata mikroskopowego, świata fotonów, kwantów, elektronów i protonów, pojęcie tej dwoistości jest znamienną cechą poglądów dzisiejszych fizyków-teoretyków. Zgadzają się oni na to, że świat atomów jest dla naszego umysłu niewyobrażalny. Rezygnują z wyobraźni, z poczucia zdrowego rozsądku, twierdząc, że niedoskonały nasz umysł nie jest w stanie tego pojąć, że zaklęty, abstrakcyjny symbol matematyczny, którym fizyka współczesna tak wiele się posługuje, daje nam lepsze świadectwo o tem czemś, co jest poza granicami naszego poznania.

A cóż dopiero my wszyscy inni laicy, którym niedostępna jest metoda matematycznego, abstrakcyjnego badania. Wnętrze atomu jest dla nas taką samą tajemnicą — jak po-

wiada jeden z fizyków — jak tajemnicą jest wnętrze dynamomaszyny dla Eskimosa, lub ciemnego murzyna. Musimy podziwiać, wierzyć i żałować: Podziwiać tę olbrzymią pracę myślową; z dobrą wiarą przyjmować te okruchy, które nam się dostaną; żałować, że postępowi myśli nadążyć nie jesteśmy w stanie i spodziewać się, że może kiedyś przyjdzie dzień rozjaśnienia, bo przecież wiemy, że były czasy — i to nie raz — że to, nad czem wtenczas łamali sobie głowy najtęższi uczeni, co było wówczas uważanem za sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, z naturalnym poglądem na świat — dziś uczymy się tego na ławie szkolnej i wnosimy do naszego codziennego doświadczenia.

J. Jeans, znakomity współczesny popularyzator astronomji, obliczając wiek ziemi przytacza następujący przykład: Weźmy znaczek pocztowy i przyklejmy go do małej monety. Połóżmy następnie tę monetę, znaczkiem do góry na szczycie obelisku Kleopatry w Londynie. Całkowita wysokość tegoż uzmysławia czas, jaki upłynął od powstania ziemi. W skali tej grubość monety razem ze znaczkiem odpowiada czasowi istnienia ludzkości. Grubość znaczka reprezentuje okres cywilizowanego życia ludzkości, grubość monety — przedstawia czasy przedhistoryczne. A teraz naklejmy na ów znaczek nowy, oznaczający najbliższe pięć tysięcy lat cywilizacji i tak dalej bez przerwy, dopóki nie utworzy się stos wysokości Mont Blanc. I nawet teraz stos ten niedostatecznie ilustruje długość wieków przyszłych, rozpościerających się przed ludzkością, jeżeli nie przetnie ich biegu jakiś wypadek nieoczekiwany. Pierwszy znaczek oznacza to, co ludzkość już osiągnęła i czego już dokonała — stos wyższy od Mont Blanc oznacza to, czego może jeszcze dokonać, jeśli przyszłe zdobycze będą proporcjonalne do czasu jej istnienia.

Jeżeli z tej perspektywy popatrzymy na współczesne wysiłki nauki, to zrozumiemy, że nie mieliśmy jeszcze czasu na oswojenie się ze zjawiskami, do których nie jesteśmy przyzwyczajeni. Jak swego czasu ludziom trudno było zrozumieć ruchomość ziemi w przestrzeni, jednak z biegiem zresztą niedługiego czasu osiągnęliśmy pełne zrozumienie odkrycia Kopernika, tak też widzimy, że ludzkość posiada

jeszcze aż nadto czasu przed sobą, by oswoić się z rzeczami, które dziś są nam tajemnicze i niezrozumiałe. Być może — jak powiada Bridgman — że już następne pokolenie będzie mogło do świata atomów inaczej się ustosunkować, nie odczuwając żadnego wewnętrznego niezadowolenia.

Albowiem nauka — jak mówi Planck — to nie spoczynek na wygodnem łożu zdobytej wiedzy — to niezmordowana praca i wiecznie naprzód kroczący postęp.

Feliks Rapf.

Przegląd piśmiennictwa.

Otto Karrer: Das Religiöse in der Menschheit und das Christentum. Freiburg i. B. Herder 1934, str. IX i 264.

Problem religijny w ludzkości, rozważany historycznie, psychologicznie, etnologicznie, oto wielkie zagadnienie, które od XVIII w. trzymało umysły w napięciu i stało się polem walki ideowej, przedmiotem rozlicznych teoryj. Autor roztropnie pomija prehistorję, zadowala się krótkim, lecz wyrazistym przeglądem dziejów logosu i etosu religijnego, więcej miejsca poświęca etnologji, lecz najbardziej interesuje go problem ze stanowiska psychologji religijnej. Stara się tu zbliżyć i pogodzić teorje: instynktu mistycznego R. Otto z mitoanalizą Dacqué'go, poczuciem przyczynowem W. Schmidta i androgynicznym monoteizmem pierwotnym Winthuis'a i Eberza. Koniecznem wszelako uzupełniem tej syntezy jest wedle niego etycyzm Newmana w łączności z (problematyczną nieco) teorją śladów objawienia pierwotnego i koniecznem przypuszczeniem oświecenia wewnętrznego, tu bowiem otwiera mu się droga do uprzystępnienia (transcendencji) etosu nawet w tych systemach, które zasadniczo są ateistyczne, jak buddyzm pierwotny lub czysto moralistyczne, jak Konfucjanizm. Pewne wyczucie absolutu danem jest wirtualnie już w życiowej afirmacji jakiejkolwiek normy, którą się człowiek powoduje, której się poświęca. Byłby to zatem przejaw absolutu — i to nie tylko abstrakcyjnego — w głosie sumienia i zgodnej z nim „dobrej woli". Konsekwentnie też zajmuje autor ireniczne stanowisko wobec politeizmu i panteizmu, rozróżniając ideę od jej spaczonego wcielenia, przedmiot kultu od uczucia religijnego; w szczególności panteizm wychodzi z tegoż założenia co teizm, a oddalają się od siebie nie biegunowo, owszem pozostają w kontakcie. Nawet w wypadkach ateizmu chodzi nieraz raczej o prewalencje, o negację wyobrażonego bożyszcza niż o świadome zaprzeczenie ideału chrześcijańskiego. — Chrześcijaństwo jest religją absolutną, wszystkie inne w zakresie swej prawdy czekają na „wypełnienie" w Chrystusie; ze swej też strony wpływają jako strumienie do

oceanu, nie zatracając szczególnych swych cech, jak widocznem jest w obrzędach, językach, nawet zabarwieniu treści ideowej, odpowiednio do charakteru narodu, kultury, epoki. Przychodzi tu w pomoc teorja dawnych apologetów o zarodkach Logosu, opartej na prologu św. Jana. W związku z tym poglądem autor głęboko rozprawia o *complexio oppositorum* (wyrównaniu różnic) w wyższej jedności chrześcijańskiej, skąd przechodzi do szerokiego ujęcia Katolickości na tle religijnego uniwersalizmu. Wkońcu wyświetla oryginalnie problem zbawienia poza Kościołem. Nawiązując do zdania Ripaldy o współdziałaniu łaski z każdym czynem godziwym w sferze moralnej i przejmując (z pewnemi zastrzeżeniami) jego teorję o wierze poczętej z objawienia naturalnego (w kosmosie), uzupełnioną spostrzeżeniami współczesnych teologów, liczących się z dorobkiem etnologji, wykazuje, jak w każdym wypadku etycznie dobra wola może dojść do kontaktu z absolutem-Bogiem, niezawsze refleksyjnie, niezawsze nawet ze świadomością intelektualną, ale w sposób dostateczny, i to mocą łaski Zbawiciela świata. — Niewidzialny zatem Kościół, civitas Dei, rozprzestrzenia się daleko poza jego widzialną organizację, żyjąc mimowolnie i nieświadomie ze soków witalnych, jakie w swej zbawczej instytucji złożył Jezus Chrystus. — Dzieło rozbrzmiewa we finał natchnionej pieśni o Kościele Gertrudy Le Fort.

Niepodobna tu dać należytego pojęcia o walorach omawianego dzieła. Bardzo treściwe w przekrojowem ujęciu dziejów problemu religijnego, wiernie odtwarza w hasłach, jędrnych aforyzmach, światłych przytoczeniach, poglądy współczesnych fachowców. Wobec bezmiernych widnokręgów nie zatraca jedności, przy całym ireniźmie, oględnie liczy się z duchem i słowami orzeczeń kościelnych, nadając im w świetle stwierdzeń faktycznych, jakieś pełniejsze, uniwersalniejsze znaczenie czy zrozumienie. Dla niespecjalisty będzie to znakomite wprowadzenie do filozofji i psychologji religji, teologowi da możność ożywienia wykładów o Bogu, łasce, Kościele, inteligentny czytelnik będzie wdzięczny za objaśnienie mu czem w istocie jest katolicyzm. Można mieć zastrzeżenia co do pewnych punktów. W religijnej interpretacji buddyzmu należy odróżnić związki objektywne etosu z absolutem od oficjalnego wykładu „świętych prawd", który — o ile wiadomo z dawniejszych źródeł — uchylał wszelką metafizykę; może zbytni nacisk położono na zbyt subtelną analizę Winthuis'a; w problemie zbawienia poza Kościołem niedość jasnem jest, co właściwie należy uważać za moment decydujący. Nadto w przytoczeniach, zwłaszcza dłuższych, z klasyków tradycji chrześcijańskiej wdzięczni bylibyśmy za wskazanie miejsca. — Literaturę, nader obfitą, uwzględniono niemal wyłącznie niemiecką. — Budzi się pragnienie, abyśmy i w naszej literaturze posiedli podobne dzieło.

Ks. M. Morawski T. J.

Kleeberg Gerhard dr. phil.: Die polnische Gegenreformation in Livland. Heinsius Nachfolger: Eger u. Sievers. Leipzig 1931. Str. 128.

Tiersch Kurt dr.: Deutsches Bildungswesen in Riga des XVII Jahrhunderts. (Schriften der Deutschen Akademie, H. 10.) Verlag von Ernst Reinhardt in München, str. 128, 1932.

Lehtonen Aleksi: Die livländische Kirchenordnung des Johannes Gezelius. Wyd.: Die kirchengeschichtliche Gesellschaft Finnlands. Helsinki 1931. Str. 352.

Poschmann Adolf dr.: Das Jesuitenkolleg in Rössel. (Sonderabdruck aus der Zeitschrift für die Geschichte und Altersumskunde Ermlands Bd. XXIV.) Braunsberg 1932. Str. 156.

Zebraliśmy razem 4 interesujące niemieckie prace historyczne, dotyczące dziejów reformacji i kontrreformacji jednego mniej więcej terenu, złączonego węzłami politycznemi, religijnemi i kulturalnemi z Polską i z polskimi Jezuitami. Monografje te są objawem żywego zainteresowania temi zagadnieniami tak w historycznej nauce niemieckiej, która kraje te uważa za „kolonje" Niemiec, jak i w historycznej nauce nowo powstałych państw Łotwy, Estonji i Finlandji.

Kleeberg, autor dziejów polskiej kontrreformacji na Inflantach, zdaje sobie dobrze sprawę z wyjątkowego położenia tego kraju, jako terenu walk i krzyżujących się wpływów kilku państw, różnych kultur i różnych religij. Praca jednak jego nie przynosi zasadniczo żadnych rewelacyj naukowych, zbiera razem wiadomości znane już przynajmniej polskiej nauce historycznej, uzupełniając je tylko interesującemi nowemi szczegółami, zaczerpniętemi z miejscowych, przeważnie ryskich źródeł. W przedstawianiu i oświetlaniu zdarzeń autor stara się być objektywnym, niestety nie udaje mu się to. Przyczyna braku objektywizmu leży najpierw w zasadniczym punkcie wyjścia autora, który Inflanty uważa za rdzennie niemiecki i protestancki kraj, z tego też powodu zupełnie nie uznaje praw ludności tubylczej łotewskiej i estońskiej, jak i też praw Kościoła do rewindykacji, przynajmniej częściowej, strat poniesionych przez reformacje. Dla autora nawskroś nowoczesna tolerancyjność Stefana Batorego, nie uznająca przymusu w sprawach religji i domagająca się równych praw dla obu wyznań, jest fanatyzmem i nietolerancją, a nie jest nią skrajnie nietolerancyjna, fanatyczna wprost nienawiść do Kościoła i Jezuitów mieszczan Rygi. Wszystkie kroki przedsięwzięte dla spraw Kościoła, chociażby najsprawiedliwsze, są krzywdą i prześladowaniem protestantów, a ich gwałty i szykany ustawiczne są tylko samoobroną gnębionych wyznawców Lutra. To ustawiczne oświetlanie zdarzeń właśnie pod tym kątem widzenia musi budzić poważne zastrzeżenia w czytelniku. Ono też sprawia, że autor zupełnie fałszywie, niezgodnie z prawdą dziejową, przedstawia postać króla Stefana i innych osobistości polskich, że prawie zupełnie pomija tak ważne zagadnienie ludności tubylczej: łotewskiej i estońskiej, gnębionej przez magnatów niemieckich, ludności, którą pierwsi zajęli się

Jezuici, zarówno pod względem religijnym jak i oświatowym, a królowie polscy bronili jej przed gnębieniem. Drugą przyczynę braku objektywizmu widzimy w jednostronności literatury i źródeł. Autor nie zna języka polskiego, a tem samem nie zna polskiej literatury historycznej, opiera się wyłącznie na literaturze niemieckiej, a prawie wyłącznie na źródłach miejscowych, w bardzo drobnym stopniu uwzględniając polskie wydawnictwa źródłowe. Źródła jezuickie i watykańskie są również tylko przypadkowo uwzględnione. Jednostronność autora polega wreszcie i na tem, że zbyt ufa bardzo stronniczym źródłom, a nawet zawierającym zarówno bajki jak i prawdę, starym, stronniczym, niekrytycznym komplikacjom, w rodzaju Kelcha: *Livländische Historia* (Reval 1695) lub Müllera: *Septentrionalische Historien* (Amberg 1595). Autorów tych Kleeberg przytacza dziesiątki razy ze szczególną skwapliwością. Mimo że sam kilkakrotnie (np. str. 59: diese Erzählung Müllers trägt allerdings sehr stark legendären Charakter) wypowiada swoje wątpliwości w prawdziwość relacyj tych autorów, to jednak zawsze ostatecznie kończy stałem: *ceterum censeo* i z relacji nazwanej legendarną lub przesadzoną, wyciąga takie wnioski, jakby ona była prawdziwą.

Innym poważnym brakiem pracy Kleeberga jest zupełne pominięcie stosunków religijnych, panujących wśród protestantów inflanckich, stosunków bardzo nie wesołych; znajomość tych stosunków jest konieczna dla poznania tła. Również tylko fragmentarycznie uwzględnione zostały metody i wyniki pracy Jezuitów. Dlatego książka jest raczej historją politycznej strony kontrreformacji polskiej, a nie religijnej. Znajdujemy również w książce Kleeberga sporo całkiem błędnych informacyj, jak np. że Stefan Batory w Siedmiogrodzie nie dawał do siebie przystępu dążnościom kontrreformacyjnym; gdyby autor znał źródła wydane przez Veressa (po łacinie przeważnie!), nie mógłby zamieścić takiego poglądu. Podobnie zupełnie fałszywą i oszczerczą jest relacja Kelcha o mściwości Possevina, wykluczającego jeńców lutrów inflanckich z powodu ich religji od wymiany; autor powtarza bez zająknienia tę dawno zbitą bajkę (str. 19).

Niedostatek studjum Kleeberga w przedstawieniu kulturalno-religijnych stosunków w Rydze znakomicie, choć w części tylko, wyrównuje wartościowa praca Tierscha: *Deutsches Bildungswesen in Riga des 17 Jahrhunderts*. Mówimy: w części, ponieważ autor ogranicza się tylko do Niemców i protestantów, a pomija prawie zupełnie działalność Jezuitów (poświęca im tylko 1 stronę). Pozatem przynosi bogaty materjał do dziejów kultury tego miasta, a nawet całych Inflant, ponieważ wciąga ubocznie i inne miasta. Termin *Bildungswesen* pojął autor bardzo szeroko, obejmuje nim nietylko dzieje szkolnictwa, ale również dzieje drukarń i handlu księgarskiego, dzieje publicystyki, dzieje teatru, muzyki, sztuk plastycznych, poezji, a nawet życia towarzysko-kulturalnego.

W ujmowaniu i oświetlaniu zdarzeń autor zajmuje stanowisko skrajnie jednostronne; dla niego, podobnie jak i dla Kleeberga, kraj ten i miasto jest tylko miastem niemieckiem i protestanckiem, przemocą oderwanem od macierzystych Niemiec. Sprawiedliwość uczyniona przez Traktat wersalski rodzimym mieszkańcom tego kraju, Łotyszom, uważana jest za krzywdę. Autorzy nie są zdolni do objektywnego ujmowania zagadnień, nie mogą się powstrzymać, aby zdarzeniom nie nadawać politycznego naświetlenia.

Studjum Lethonen'a: *Die livländische Kirchenordnung des Johannes Gezelius,* poświęcone jest zagadnieniu specjalnemu, a mianowicie organizacji wewnętrznej protestantyzmu na Inflantach. Praca podzielona jest na dwie części, w pierwszej (str. 5—78) przedstawia autor zarys dziejów wewnętrznej organizacji aż po rok 1668, t. j. po rok wydania przez superintendenta Jana Gezeliusa, w drugiej zaś podaje tekst jego statutu kościelnego, aby w końcowym rozdziale scharakteryzować znaczenie tego statutu.

Czwarta z wymienionych w tytule prac nie dotyczy już Inflant, lecz sąsiedniej im Warmji i zajmuje się dziejami jezuickiego kolegjum w Reszlu. O kolegjum tem pisał szczegółowo Załęski, pisał Duhr, kilkanaście artykułów poświęcił mu Lühr w różnych czasopismach, Poschman, w 300 rocznicę założenia tej placówki kulturalnej, jeszcze raz opracował cały obszerny materjał źródłowy i całą literaturę przedmiotu, dając nam w wyniku interesujące, po literacku doskonale napisane i sympatyczne studjum. Sympatję budzi autor przedewszystkiem przez troskę o objektywizm, przez spokój i wszechstronność w ocenie zdarzeń i w wyzyskaniu źródeł. Żadne względy narodowościowe czy wyznaniowe nie zamącają mu oceny i ujęcia faktów. Autor nie umie po polsku, postarał się jednak o przekład niemiecki ustępów z dzieła Załęskiego, odnoszących się do kolegjum w Reszlu. Znalazł się też w szczęśliwem położeniu, ponieważ miał do dyspozycji także i źródła jezuickie; historyk jezuicki ks. Duhr użyczył mu kilkaset kopij fotograficznych dokumentów, dotyczących tego kolegjum, a pochodzących z generalskiego Archiwum zakonu. Rozporządzał więc Poschman materjałem źródłowym pełnym i wszechstronnym. Na jego podstawie opracował studjum cenne i wyczerpujące temat zupełnie.

Ks. St. Bednarski T. J.

Zbigniew Krasnowski: Światowa Polityka Żydowska. Nakładem Tow. Wyd. „Patria". Spółdz. z odpow. udz. Warszawa 1934, str. 181.

Książka p. Krasnowskiego jest w zasadzie zbiorem dokumentów, „któremi sami żydzi świadczą o istocie i metodach światowej polityki żydowskiej". Zawiera ona „około trzysta wyciągów z dzieł, odczytów, przemówień, rozpraw i wynurzeń najwybitniejszych działaczów żydowskich doby obecnej, oraz z doniesień

żydowskiej prasy politycznej... z dokładnem wskazaniem źródeł i dat".

Zadaniem autora miało być jedynie „rozumowe uporządkowanie tak wielkiej ilości przytoczeń". Stanowisko własne pragnie on zaznaczyć niby tylko „mimochodem". Niemniej czytelnik wyczuwa z tych „komentarzy mimochodem" wyraźną tendencję, niezawsze zgodną z bardziej wstrzemięźliwym sądem czytelnika. Pamiętajmy m. i., że wysuwanemi z jakiejś całości cytatami można często mimowoli dać wyobrażenie, co najmniej nie całkiem zgodne z intencją autora. Ostrożność nigdy nie zawadzi.

Zdaniem autora, żydzi są narodem „swoistym", całkowicie różniącym się od „pozostałej rodziny narodów normalnych". Tłumaczy on to koniecznością „zachowanie bytu" wśród ustawicznych przeszkód: trudności duchowe, więzy z ojczyzną historyczną z jednej i walka o byt w diasporze z drugiej strony — oto podstawowe cechy polityki żydowskiej. Musi ona: 1. ukrywać swoje zamiary i cele, 2. wygrywać na poróżnianiu innych narodów, 3. wprowadzać w błąd otoczenie rzucaniem haseł i idei dwuznacznych, za pośrednictwem czyto wysługujących się jej nie-żydów, czyto pozornych przechrztów itd. To też, zdaniem autora, żydzi „zniewoleni są... podważyć, rozluźnić, zachwiać... więzy rodzinne, narodowe, wyznaniowe, państwowe", spajające inne narody, by uniknąć niebezpieczeństwa „asymilacji" i zachować „samowiedzę narodową", opartą o „misję" „wybranego narodu", z którym sam „Jehowa związał się kontraktem". Autor dochodzi aż do imputowania żydom autorstwa „pacyfizmu" i „braterstwa narodów..." w interesie przekonania całego świata o „krzywdzie żydowskiej". Żydzi uważają swoją rodzinę jako świętość, popierają zaś „wolną miłość" u chrześcijan.

Na potwierdzenie autor cytuje słowa sjonisty I. Bergera, zapowiadające „zakończenie misji żydowskiej i zlanie sił narodu żydowskiego z ludnością miejscową... kiedy nadejdzie wielki dzień, w którym ideały żydowskie zapanują nad całym światem...". Autor rozpisuje się obszernie nad znanemi żądaniami polskich sjonistów w sprawie zniesienia dla żydów odpoczynku niedzielnego, równouprawnienie żargonu, odciążenie handlu w dziedzinie podatkowej itd. Ciekawe są bardzo rewelacje o równoczesnem zwalczaniu brutalnem żargonu przez żydów w samej Palestynie, oraz dane o walce zwolenników i przeciwników porozumienia z Arabami. Dowiadujemy się o istnieniu kierunku militarnego, dążącego do wyrzucenia Arabów siłą... wyrazem jego jest organizacja młodzieży „Brith Trumpeldor" (dla uczczenia poległego tego nazwiska w czasie rozruchów palestyńskich).

Obszernie rozpisuje się autor na temat znanej roli żydów w ruchu rewolucyjnym i wywrotowym. Zarzuca on żydom forsowanie rozbrojenia, ochrony mniejszości itd., jedynie w celu umocnienia wpływów własnych za pośrednictwem żydowskich

mężów stanu różnych państw. Zdaniem autora nienawiść do „gojów" jest nadal wśród żydów powszechna. Piętnuje on „rozbrojenie moralne" jako „osłabienie odporności narodów rdzennych wobec zalewu żydowskiego". Tak samo przedstawia on nam udział żydów w propagowaniu wolnego handlu jako zamach na „autarkję narodową"! Jak widać, autor podziela zupełnie ultranacjonalizm p. R. Dmowskiego w zwalczaniu handlu międzynarodowego. Przytacza on jako dowód „obłudy" żydowskiej wprowadzenie wysokich ceł przez rząd palestyński (zapomina autor, że jest to rząd kierowany z Londynu).

Według autora „judaizm" — czyli „kawały żydowskie" — polega na obłudnem posługiwaniu się idealizmem „narodów rdzennych" dla urzeczywistnienia podstawowych zadań żydowskich. „Kawały żydowskie" to zresztą określenie Dr. I. Thona z 1928 r. Ten pisarz żydowski przypisuje m. i. wprowadzenie różnicy pomiędzy „narodem a państwem", odpowiedniej dla „potrzeb" żydowskich wymagających „ograniczenia wszechwładzy państwa na rzecz narodu", na rzecz „wolności i równości". Żydzi jakoby zwalczają „racje stanu" „narodów rdzennych" od zarania swojej historji, w kierunku wytrącenia ich z ich naturalnych wytycznych rozwojowych. Zdaniem autora żydzi byli narodem koczowniczym już dawno przed pogromem Palestyny przez Rzym. Zarzuca im on, że nic nie uczynili poważnego dla wyjścia z stanu rozprężenia, w którym im tak źle. Żydzi są „niezależni od tradycji", burzyciele, „przeczuleni nerwowo" (skłonni do sadyzmu), rewolucjoniści z urodzenia. Lenin był jakoby „parawanem", potrzebnym im do podboju Rosji. Antysemityzm utożsamiono z reakcją. Zdaniem autora, rewolucja jest tak samo ultima ratio całego bez wyjątku społeczeństwa żydowskiego, jak wojna „narodu rdzennego". Praca kolonizacyjna żydowsko-amerykańskiego „Joint", który na nią zebrał 100 miljonów dolarów, jest dla niego przekonywującym dowodem solidarności żydowskiej. Autor zarzuca Polsce udzielenie obywatelstwa 600 tysiącom żydów rosyjskich, którym się sprzykrzył ustrój sowiecki. Niemniej żydzi na całym świecie daleko więcej robią dla pomocy żydom w Rosji aniżeli dla Palestyny... Pisarz żydowski Rosenwald obiecuje taką samą pomoc innym państwom, np. Polsce, gotowym kolonizować żydów. Żydzi jakoby przewidywali już dawno rozpadnięcie się Rosji, w której jakoby, na wzór ongiś Francji, żydzi finansowali rewolucję (?) Ameryka jest jakoby pod wpływem żydowskim od rewolucji przeciw Anglji.

Autor posługuje się wynikami rewizji w sowieckim „Arkosie" w Londynie dla udowodnienia dążenia żydów do wywołania rewolucji w Europie (Rosenholtz). Widzi on tak samo rękę żydowską w rewolucji chińskiej, hiszpańskiej itd., w rewolcie austrjackiej... wskutek zaostrzenia się kryzysu w Sowietach i wzmagania się tam nastrojów antysemickich, żydzi jakoby tylko

pozornie ustąpili z wielu kierowniczych stanowisk. Rewolucja rosyjska prześcignęła wszelkie marzenia żydów pod względem perspektyw... główni przywódcy żydów na świecie są dziś zwolennikami Sowietów. Autor przytacza też jako moment charakterystyczny kult żydów dla mordercy Petlury — Schwarzbarda. Żydzi coraz liczniej napływają do Chin, poczęści do Indyj i Japonji. Najlepiej im się powodzi w Chinach. To też przenoszą oni coraz bardziej „nowy punkt ciężkości na wschód", m. i. też na kraje muzułmańskie. Obecnie starają się oni za wszelką cenę utrzymać Francję w stanie, wytworzonym przez rewolucję, w stanie słabości, wyludnienia i demoralizacji.

Palestyna pozostaje dla „romantyków". Ogół żydowski poszukuje innych krajów, bardziej realnych.

Gdyby autor był więcej chrześcijaninem, niż nacjonalistą, gdyby mniej nienawidził żydów a bardziej patrzał na ich dolę z punktu widzenia nauki Nowego i Starego Zakonu, gdyby lepiej znał katolicką etykę polityczną w dziedzinie „pokoju" i „braterstwa narodów", gdyby trochę lepiej znał antagonizmy dzielące żydów, uniemożliwiające im solidarne wystąpienie nazewnątrz, gdyby nie pomijał świadomie opinji żydowstwa ortodoksyjnego, najlojalniejszego wobec państwa-gospodarza, gdyby wreszcie bardziej pozostawiał sąd o przytaczanych cytatach czytelnikowi a nie narzucał go w apodyktycznych, często bardzo naciąganych, a wcale nie „mimochodem" pisanych komentarzach — książka p. Krasnowskiego byłaby o wiele cenniejszą... i bardziej celową. Uprościł on sobie cokolwiek zadanie presupozycją istnienia wspólnego całemu żydostwu kierownictwa jego „polityki światowej", oraz później utożsamieniem polityki Kominternu sowieckiego z tą właśnie „polityką światową". Ta teza szkodzi tylko ogromowi pracy, jaki autor włożył w swoje dzieło.

Adam Romer.

Die Pädagogik der Gegenwart in den grossen Kulturländern. Herausgegeben von Josef Schröteler, I. Teil unter Mitarbeit von Joseph Beck, Josef Dolch, L. Kleyheeg, J. Mirtschuk, J. T. F. Williams, W. Zenkowskij, II. Teil unter Mitarbeit von Bruno Balassa, Mario Casotti, François Datin, Br. Denys M., Harri Meier, Viktor Waschnitius. (Handbuch der Erziehungswissenschaft, V. Teil, Band 3 in zwei Halbbänden.) W. 8°, str. XXVIII i 348 oraz XXII i 282. München 1933—1934, J. Kösel u. Fr. Pustet.

Przed kilku laty zapoczątkowały katolickie sfery pedagogiczne w Niemczech zbiorowe wydawnictwo pod nazwą „Handbuch der Erziehungswissenschaft", obliczone na blisko 30 tomów, mające objąć całokształt wiedzy pedagogicznej i dziedzin pokrewnych w poważnem opracowaniu naukowem, a wychodzące pod ogólną redakcją profesorów: ks. Fr. Eggersdorfera, ś. p. M. Ettlin-

gera, J. Raederscheidta i ks. J. Schrötelera T. J. Z powodu trudności wewnętrznych i zewnętrznych wyszło dotąd dopiero kilka tomów z różnych działów, z których można wyrobić sobie sąd o wysokiej wartości całego przedsięwzięcia. Taka np. *Jugendbildung* ks. Eggersdorfera doczekała się już trzech wydań. Pierwszy tom z działu historycznego, to wydany ostatnio w dwóch częściach przegląd pedagogiki współczesnej w krajach o wybitniejszej kulturze. Zadaniem jego było dać obraz najważniejszych idei i zagadnień pedagogicznych, a w związku z niemi także instytucyj wychowawczych, z ostatnich mniejwięcej 30 lat. Każdy kraj został opracowany osobno, o ile możności przez pedagoga pochodzącego z tego kraju. Mimo jednolitego planu wypadły nie wszystkie przyczynki zupełnie zgodnie z zamierzeniami redakcji, a także różnią się one od siebie nieraz bardzo znacznie. A więc jedne są bardzo drobiazgowe, inne dają tylko ogólne rzuty, jedne ograniczają się ściśle do pierwszych 30 lat obecnego stulecia, a drugie sięgają, czasem bardzo daleko do przeszłości, jedne zajmują się głównie teorją pedagogiczną, drugie zaś opisują wyłącznie organizację szkolnictwa, jedne stają bardzo wyraźnie na stanowisku katolickiem, inne znowu nie uwzględniają go prawie wcale. Raz stosowano podział według państw, kiedyindziej według narodów. Redakcja spodziewa się, że w 2 wydaniu uda się wyrównać ten brak harmonji, oraz dodać jeszcze przyczynki odnoszące się do Stanów Zjednoczonych Am. Półn., Japonji, Chin, państw nadbałtyckich i Turcji, których obecnie jeszcze niema.

Trudno ocenić poszczególne rozdziały, zwłaszcza zajmujące się mniej znanemi krajami. Dokładniej zato trzeba przyjrzeć się części, odnoszącej się do Polski, aby sprawdzić, czy istotnie może ona spełniać dla zagranicy rolę dobrego informatora o naszej działalności pedagogicznej. Polskę umieszczono razem z Czechosłowacją, Ukrainą, Jugosławją i Bułgarją w jednym rozdziale pod nadgłówkiem: Pedagogika Słowian w XX w. (str. 255—301), opracowanym przez J. Mirtschuka, prof. uniw. berlińskiego (Ukraińca?). (O Rosji pisze osobno prof. Zienkowski.) Należy przyznać, że na kilkunastu zaledwie stronach (260—273) znalazło się dużo objektywnych wiadomości o naszej teorji i praktyce wychowawczej. Szczególnie podkreślił autor w krótkim szkicu historycznym naszą tradycję w pedagogice minionych wieków; ze szczerem uznaniem opisuje wybitniejsze pozycje w przeszłości, otwarcie potępia gwałty zaborców i trafnie ocenia wpływ okresu porozbiorowego na kształtowanie się psychiki Polaka z różnych zaborów, oraz przedstawia zagadnienie wychowania narodowego, mającego usunąć ujemne strony naszego charakteru narodowego i skutki niewoli. Jeżeli jednak chodzi o obraz czasów najnowszych, to wypadł on niezupełnie zadowalniająco. Przedewszystkiem jest on niekompletny, uwzględniając nawet szczupłość miejsca. Polski dorobek w zakresie teorji pedagogicznej jest jednak bardziej bogaty i wszechstronny,

niż to wynikałoby z artykułu. Nic nie wspomina on o naszych historykach wychowania, zmarłych czy żyjących, z psychologji pedagogicznej daje zaledwie parę wzmianek, i to jeszcze niezawsze o istotnie ważnych autorach (np. ani słowa o J. Wł. Dawidzie, St. Szumanie, Baleyu i in.), a czasem cytuje mylnie (np. nazwiska i imiona autorek na str. 268, niektóre nieznane, a inne błędne). Zupełnie nie porusza takich działów, w których Polacy mieliby dużo do powiedzenia także dla zagranicy, jak teorja wychowania fizycznego i socjologja wychowania. Także inne informacje o naukowym ruchu w pedagogice są miejscami nieścisłe.

Również nie może wystarczyć to, co prof. M. podaje o organizacji szkolnictwa polskiego i sprawach pokrewnych, gdyż stało się to w większej części nieaktualne wobec nowej ustawy z r. 1932 o ustroju szkolnictwa i innych łączących się z nią. Wspomina wprawdzie o zapoczątkowaniu prac przygotowawczych do reformy, o projektach, ale nie podaje wyniku. Autor widocznie skończył swój przyczynek już przed kilku laty, albo też trzymał się za bardzo roku 1930 jako granicy końcowej (to samo zauważyć można u kilku innych współpracowników, np. nie mówi się nawet o wielkim przewrocie w pedagogice niemieckiej od czasu dojścia do władzy Hitlera w marcu 1933 r.) Z tych też powodów nie pisze nic o zagadnieniu, które od lat kilku tak żywo porusza u nas opinję i sfer nauczycielskich i kół naukowych i publicystyki, t. j. o problemie wychowania państwowego.

Jeżeli jako miarę porównawczą weźmiemy artykuły o innych krajach, należałoby rozdział o Polsce rozszerzyć albo raczej pogłębić, a wiadomości podawane w nim staranniej dobrać. Coprawda poświęcił autor Polsce najwięcej miejsca z pomiędzy krajów opisywanych przez siebie, ale i to jest niewspółmierne w stosunku do długich nieraz rozpraw o innych państwach. Przyznać trzeba, że prof. M. starał się dać obraz objektywny, jednak jako obcy, nie mógł w zupełności sprostać temu zadaniu. Możeby redakcja rozejrzała się za polskimi współpracownikami dla drugiego wydania, także dla późniejszych tomów historycznych.

Trzeba jeszcze krótko omówić przyczynek tego samego autora o Ukrainie (str. 284—293), gdzie jest dużo punktów stycznych z Polską, w przeszłości i obecnie. Pomijam dawne i nowe żale pod adresem Polski o rzeczywiste czy rzekome krzywdy. Lecz mocno zdziwić musi w wydawnictwie katolickiem, że autor wcale nie odróżnia Cerkwi unickiej od schizmatyckiej, zwłaszcza w rysie historycznym, a nawet zdaje się identyfikować ukrainizm i dyzunję, którą zresztą stale nazywa „die orthodoxe Kirche". Nie rozumie też starań niektórych Polaków o jedność kościelną, nie docenia znaczenia Unji Brzeskiej dla oświaty. Ani słowem nie wspomina np. o bogatem szkolnictwie unickich Bazyljanów. Czy dlatego, że unici byli bliżsi Polsce niż Kozakom?

Syntezą jakgdyby przeglądu poszczególnych krajów jest treściwa rozprawa redaktora dzieła, ks. Schrötelera, na temat międzynarodowych dążeń pedagogicznych w latach od 1900 do 1930, umieszczona na wstępie pierwszego tomu. Zestawiono tu prądy wspólne w pedagogice całego świata dzisiejszego, w związku z prądami światopoglądowemi i naukowemi oraz wypadkami zewnętrznemi, dalej ponadnarodowe czynniki wychowawcze, wreszcie prądy i organizacje, zmierzające do zespolenia światowych działań pedagogicznych.

Tom niniejszy jako całość staje godnie obok poprzednich tego wydawnictwa. Ze względu na swój charakter informacyjny będzie bardzo pożyteczną pomocą zarówno dla teoretyka pedagogiki jak i dla praktycznego wychowawcy o szerszych zainteresowaniach.

Ks. K. Werbel.

Hyacinth Hermans: Acht wintersche dagen in Polenland. Over druk uit „De Maasbode" 1934, str. 24 dużego formatu.

Prasową awangardą katolicyzmu w Holandji jest obecnie *De Maasbode* zarazem jeden z najpoważniejszych dzienników zachodniej Europy. Gdy w r. ubiegłym *De Maasbode* wydał Nr. 25.000, Ojciec św. z tej okazji przesłał przez kardynała Pacelli'ego gratulacje i błogosławieństwo apostolskie dziennikowi. Przy tym dzienniku ukazują się jeszcze 42 pisma dla poszczególnych probostw. Sam zaś dziennik *De Maasbode* wychodzi w rozmiarach imponujących, jak angielski *Times*.

Naczelnym publicystą tego dziennika jest O. Hermans, Dominikanin. Jego pióro jest bardzo cenione w całej Holandji. Feljetony zaś, zamieszczane pod ogólną nazwą Hors d'oeuvre, w których omawia ważniejsze sprawy katolickiego życia politycznego i społecznego, są szczególnie wyróżniane i czytywane nietylko przez publiczność katolicką.

Ojciec Jacek Hermans zawitał do Polski po raz pierwszy w r. 1915. W czasie wojny *De Maasbode* pod wpływem odezwy Sienkiewicza otworzył listę składek na rzecz ofiar wojny w Polsce. Zebrał 10 tysięcy guldenów, przyczem do redakcji napływały listy z wyrazami wzruszającej sympatji dla Polaków. Zebrane pieniądze zaofiarował się przewieźć do Krakowa Ojciec Hermans. W kwietniu r. 1915 wyruszył w podróż poprzez Niemcy. Począwszy od Berlina policja niemiecka śledziła go na każdym kroku. Z Poznania wydalono go jako uciążliwego i niepożądanego cudzoziemca. Wreszcie przez Wrocław, w którym przechodził perypetje dotarł do Oświęcima, gdzie od księcia arcybiskupa Sapiehy z Krakowa otrzymał depeszę, iż „z powodu przejazdu wojsk nie będzie można uzyskać dla niego w najbliższym czasie przepustki wjazdowej do Krakowa", jak w oględny sposób z racji cenzury wojennej zawiadamiał ks. arcybiskup. Wobec tego Ojciec Hermans z ko-

nieczności zrezygnował z dalszej podróży i zebrane przez *De Maasbode* pieniądze wręczył księdzu proboszczowi w Oświęcimiu za pokwitowaniem. Sam zaś powrócił do Holandji.

Podczas wojny światowej Ojciec Hermans zabierał w sprawie polskiej głos kilkakrotnie, interesował się coraz więcej naszym krajem. Te zainteresowania z biegem czasu przekształciły się w uczucia prawdziwej przyjaźni. Gdy ks. biskup Teodor Kubina bawił jesienią roku ubiegłego w Holandji, Ojciec Hermans korzystając z tej okazji, zamieścił w *De Maasbode* szereg większych artykułów, które wywołały zainteresowanie i były czytane z zaciekawieniem przez intelektualne sfery w Holandji.

W grudniu ubiegłego roku Ojciec Hermans zawitał do Polski w towarzystwie ks. L. Brinka, dyrektora Katolickiej akcji społecznej w Hadze i rektora Zakładu Opatrzności w Scheveningen. Był w Warszawie, w Krakowie i w Częstochowie. Podróż swą opisał w *De Maasbode.* Poczem artykuły te ukazały się ostatnio w postaci broszury p. t. *Acht winfersche dagen in Polenland* (Ośm dni zimowych w Polsce). Po wstępnych uwagach, dotyczących pamiątek polskich w Holandji, autor notuje myśli, które nasuwają mu się pod pióro z chwilą, gdy przekroczył granicę polską. W dwu następnych rozdziałach poświęconych Warszawie, Ojciec Hermans opisuje miasto, instytucje i wybitne osobistości, oczywiście te, z któremi się stykał w ciągu tak krótkiego czasu. Przedewszystkiem ze świata duchownego. Jak przystało na osobę duchowną, Ojciec Hermans zwrócił przedewszystkiem uwagę na instytucje społeczne katolickie, jak Dom Katolicki, budowany pod patronatem J. E. kardynała Kakowskiego; dalej na Katolicką Ajencję Prasową, poświęcił sporo uwagi odrodzeniu ducha religijnego wśród młodzieży akademickiej. Z Warszawy udał się Ojciec Hermans do Częstochowy. W pięknych głęboko odczutych słowach kreśli on historję cudownego obrazu i opisuje jego symboliczne znaczenie dla Polski. Charakterystyczne są uwagi O. Hermansa w związku ze zwiedzaniem Krakowa i jego zabytków. On, człowiek wielkiej kultury i syn narodu, co świat obdarzył sławną sztuką i cudami architektury, jest zachwycony grodem Jagiellońskim i zaznacza, iż Kraków jako miasto zabytków sztuki, stoi narówni z Ravenną i Sieną, Pragą, Konstantynopolem, Paryżem, Rzymem, Brugge i Ypern. Ostatni rozdział broszury poświęcony jest prymasowi Polski, kardynałowi Hlondowi. Przy każdej zresztą sposobności rzuca Ojciec Hermans charakterystyki osób z pośród wyższego duchowieństwa a więc: ks. biskupa Gawliny, biskupa Kubiny. Nie przepomniał też i o redaktorze *Przeglądu Powszechnego* oraz o O. M. Morawskim, autorze *Wieczorów nad Lemanem.* Styl O. Hermansa posiada dowcip, niekiedy humor dobroduszny, jest przytem barwny, żywy. Jest to styl dziennikarski człowieka o dużej kulturze wewnętrznej. Broszura jest odbitką artykułów w *De Maasbode.* Broszura O. Hermansa ukazała się w nakładzie kilku-

nastu tysięcy egzemplarzy sumptem p. Kuijpersa wydawcy dziennika *De Maasbode*. Poza rozpowszechniem jej w Holandji, wydawca przeznaczył jeszcze 10.000 egzem. dla Flamandów i Burów w Południowej Afryce. Dzięki temu broszura O. Hermansa przyczyni się do rozpowszechnienia wiadomości o Polsce wśród ludności mówiącej językiem holenderskim.

Wład. Wolert.

Prof. Dr. Jan Dembowski: W poszukiwaniu istoty życia. Historja jednego pierwotniaka. Z dziedziny nauki i techniki, tom VI. Nakładem „Mathesis Polskiej". Wyd. 2-gie. Warszawa 1934. Str. X+356.

Na przykładzie jednego gatunku pierwotniaków: „pantofelka", *paramaefium caudatum Ehrenberg,* przedstawia autor, w sposób poglądowy, jednakże bynajmniej nie pobieżny, niektóre zagadnienia z dziedziny biologji ogólnej. Kolejno omawia budowę wspomnianego pierwotniaka, ruch i pobudliwość (tropizmy), zasadnicze funkcje fizjologiczne, zmienność i dziedziczność, wreszcie w ostatnim rozdziale porusza zagadnienia z dziedziny psychologji. Badanie „pantofelka" odbywa się w warunkach laboratoryjnych, jesteśmy jakby świadkami licznych i nieraz niezwykle „chytrze" obmyślanych doświadczeń, przeprowadzanych celem stwierdzenia, jak „pantofelek" reaguje na różne bodźce zewnętrzne, z czego dalej zapomocą subtelnych wnioskowań dochodzimy do wniosku czy dana reakcja może być natury czysto mechanicznej, czy też przeciwnie jest reakcją życiową oraz, w najszerszem tego słowa znaczeniu, psychiczną.

Autor broni energicznie „pantofelek" przed mechanicystycznem tłumaczeniem jego zachowania się w różnych warunkach życia, a w celu udowodnienia reakcji psychicznej przeprowadza analogje z postępowaniem człowieka. Choć się jednak p. Profesor zastrzega, że analogij tych nie należy posuwać za daleko, mimo to sam w ten błąd najwidoczniej popada, dochodząc do dziwnego wniosku, że „pantofelek" ma *wyższy od człowieka „typ umysłowości"* str. 154, ponieważ człowiek potrzebną mu wiedzę musi dopiero nabywać, a „pantofelek" bez mozolnego nabywania posiada ją odrazu, chociaż w ograniczonym stopniu. Wogóle skoro tylko zaczyna autor mówić o człowieku, wówczas towarzyszący mu w badaniach laboratoryjnych krytycyzm opuszcza go w znacznej mierze, uczony badacz widzi dobrze powierzchowne analogje, między człowiekiem a zwierzęciem, natomiast zdaje się zapominać zupełnie o tak wybitnych i zasadniczych różnicach; nie dostrzega ich, czy dostrzec nie chce a cieniutki nożyk, „którym można obcinać włoski bakterjom" zamienia na mocno zużyty scyzoryk. Najsilniej razi ta nie dość naukowa metoda w ostatnim rozdziale p. t.: „Psychika", w którym autor usiłuje porównać proces myślowy człowieka, z tem co wiemy o procesach

życiowych „pantofelka". Pojęcia abstrakcyjne, zdaniem autora, to tylko „symbole", tworzące się u ludzi i u zwierząt zupełnie podobnie, pod wpływem bodźców zewnętrznych, a utrwalone przez zmiany, wywołane w komórkach mózgowych. Cała praca myślowa to tylko podrażnienie komórek w odpowiednim zespole, a „istotą duszy ludzkiej jest pamięć". To bardzo grubo „krajane"!... Oczywiście konsekwencja takich założeń dość jasna. U „pantofelka" procesy życiowe przebiegają zasadniczo podobnie jak u innych zwierząt i u człowieka, więc zapewne ów pierwotniak ma też i pamięć, a jeżeli tak, to myśli, chociaż oczywiście nie po ludzku. Narazie rodzaju tych myśli nie znamy, ale nie traćmy nadziei, może zczasem — pociesza nas autor — genjusz ludzki pozna genjusz pantofelka, bo wyższość człowieka nad wymoczkiem to tylko *megalomania.*

Zgódźmy się: *megalomania* i to *acuta,* — ale tylko wtedy gdy metody badań pierwotniaków, uzupełni się lekceważeniem metafizyki, zwłaszcza psychologji człowieka. — Mimo wszelkie zastrzeżenia trzeba przyznać, że wykład jest jasny, ujęty w formę miłej pogadanki. Nawet zawiłe kwestje biologiczne przedstawia autor bardzo przystępnie, opiera się na badaniach najnowszych, tak że czytelnik dowiaduje się rzeczywiście wiele z dziedziny biologji pierwotniaków, a prócz tego ktoś nieobeznany z metodami badań naukowych może nabrać pewnego pojęcia jakiej one wymagają pracy i ścisłości. Wydanie bardzo staranne, graficzna strona bez zarzutu i wcale dobre ilustracje.

Ks. Paweł Dzieduszycki T. J.

Józef Löbel: Świat medycyny, wczoraj, dziś, jutro. Przekład Rafała Makara. Nakł.: Udziałowej Spółki Wydawniczej. Kraków 1933. Str. 374.

Niemałą sensacją dla literatów i lekarzy stała się znana a przereklamowana powieść p. t.: *Zachorowałem. Wiadomości Literackie* otwarły nawet na jej temat ankietę. Najzawzięciej jednak, choć nie na łamach czasopism, dyskutowali laicy, nie skąpiąc ironicznych a nawet gorzkich zarzutów pod adresem lekarzy i wogóle całej medycyny. Temat wiecznie aktualny, jak aktualną jest choroba. Wszak zrobił już na nim karjerę Molière, szydząc niemiłosiernie a z aplauzem z ówczesnych „medyków", ich instrumentów i recept. Zresztą nawet wszechstronny Goethe ubolewał, „że nie można zaufać lekarzom, a przecież tak trudno obejść się bez nich". Jeśli te ubolewania Goethego podziela potrochę cała ludzkość to można ją choć w części rozgrzeszyć twierdzeniem, iż zna „swoich lekarzy" i to z przykrych tylko doświadczeń, doświadczenia bowiem radosne jakoś niestety nie wchodzą w rachubę. Tak to już bywa wśród ludzi. Jeśli jednak ogół równie wzgardliwie wyraża się o medycynie, to daje tem jedynie dowód,

iż nie zna „swej medycyny", jej dziejów, heroicznych nieraz poświęceń i rekordowych zdobyczy.

Otóż właśnie historję tej medycyny kreśli w nadzwyczaj sugestywnym skrócie Löbel. Książka o powieściowem zacięciu, zawiera mnóstwo ciekawych a jakże wymownych szczegółów naukowych, nie rzuconych jednak luźnie lecz powiązanych logiką rozdziałów, z których każdy przedstawia dzieje, pomyłki i zdobycze jednej z gałęzi tej tak rozległej i skomplikowanej wiedzy.

Pokolei, pod wytrawnem kierownictwem, zapozna się inteligentny laik z historją i problemami biologji, anatomji, fizjologji, patologji, farmakologji, bakterjologji, serologji, chirurgji i endokrynologji, przyjrzy się zagadnieniom związanym z leczeniem bodźcowem i psychoanalitycznem, zahaczy o kwestje personalizmu i konstytucji. Nie chodzi zaś bynajmniej o mozolne zwiedzanie jakiejś galerji zmumifikowanych faktów i postaci, autor bowiem umie to wszystko ożywić, uplastycznić, prześwietlić humorem, uczynić interesującem i tu tkwi sekret talentu wysokiej klasy popularyzatora.

Równocześnie jednak tai się i niebezpieczeństwo trudnych do uniknięcia uproszczeń, zbyt pośpiesznych choć efektownych syntez i jednostronnie, nieraz tylko śmiałym paradoksem umotywowanych twierdzeń. Myślącego czytelnika muszą one tem więcej ubawić, iż autor wykazuje właśnie, że jednostronność była zawsze zabójczą w medycynie i prowadziła nieuchronnie do zwyrodnienia nieraz i całej gałęzi medycznej wiedzy. Czyż nie w jednostronności tkwiła od początku zapowiedź ruiny lokalistycznej teorji Virchova, niezwyciężalnego, jak się zdawało, potentata medycyny? To samo zresztą można wykazać w każdym dziale medycyny a dowody związać z historją wybitnych nazwisk, choćby i na miarę Kocha. A ileż pomyłek ba nawet prawdziwych klęsk spowodowała w medycynie odraza do wszystkiego co duchowe? Przez dziesiątki lat medycyna była przepojoną do szpiku kości pewnym kierunkiem filozofji przyrody, który w człowieku zupełnie ignorował ducha. Dziś istnieje potężna reakcja przeciw poglądom rozwielmożnionym do niedawna w medycynie, które jej zadania chciały rozwiązać na drodze jedynie technicznej a kurczowo trzymały się utopji, iż zagadkę życia rozwiąże bez reszty chemja i fizyka. Czyż sukces Freuda, przecenianego zresztą przez autora, nie jest objawem tej właśnie reakcji, reakcji znowu skrajnej a w pewnych objawach chorobliwie jednostronnej i dlatego zgóry skazanej na zwyrodnienie.

Przyznać trzeba, iż Löbel te wszystkie niedomagania widzi, krytycznie ocenia i ze zdrową reakcją przeciw materjalizmowi radośnie się solidaryzuje.

Tem trudniej zato wytłumaczyć jego zdecydowaną sympatję dla skrajnego transformizmu, który przecież nie jest niczem innem jak tylko teorją, lansowaną z tupetem właśnie przez pewien kie-

runek filozofji przyrody, tak zresztą zdecydowanie zwalczany przez Löbla. Wystarczy zestawić choćby tylko dwa rozdziały, początkowy p. t.: „Biologja" i końcowy: „Medycyna", by odnieść wrażenie, iż obydwa te rozdziały nie wyszły z pod pióra jednego autora!

I ten właśnie moment stanowi przykry rozdźwięk, który przejawia się na wielu stronicach tej tak skądinąd interesującej i instruktywnej pracy. Autor wmówił poprostu w siebie, iż „niema dzisiaj ani jednego poważnego biologa, któryby nie stał na gruncie darwinizmu" (str. 35), a utożsamiwszy pośpiesznie teorję ewolucji ze skrajnym transformizmem brnie aż do końca, podstawiając teorję za fakta i naświetlając fakta apriorystyczną egzegezą „pewnej" filozofji, z którą zresztą, na innych stronicach swej książki, zdecydowanie walczy.

Locke napisał, iż „tylko ten, kto uprawiał medycynę, i to przez długi czas, powinien mieć prawo do pisania o metafizyce". Chętnie odwróciłbym to powiedzenie i zaryzykował aksjomat, iż „tylko ten powinien mieć prawo pisać o medycynie, kto uprawiał, i to przez długi czas, metafizykę". W metafizyce Löbel jest słabszym i dlatego właśnie zakradło się w jego książce dość dużo nieścisłości i błędów, choć pisać chciał tylko o medycynie.

Ks. E. Kosibowicz T. J.

Rabinin Jan: Materjały do lubelskiego słownika aktowego. Lublin 1934. (Towarzystwo Przyjaciół nauk w Lublinie. Wydawnictwa Magistratu m. Lublina nr. 4). 8⁰, knl. 2, str. 60.

Wymieniona w tytule broszura jest jednym z przykładów żywej działalności naukowej w Lublinie, popieranej jak widać, przez czynniki samorządowe. Regjonalizm lubelski okazuje chlubnie swą żywotność. Nowe wydawnictwo nie jest systematycznem opracowaniem jak np. Dąbkowskiego „Księga alfabetyczna dawnego prawa prywatnego polskiego", ale stanowi źródłowy materjał, uzupełniający znane dotychczas zbiory materjałów tego rodzaju. Autor zebrał z dawnych ksiąg miejskich lubelskich, przechowanych w Archiwum Państwowem w Lublinie, formuły i terminy prawne oraz rzadsze wyrazy i sentencje prawnicze. Układ jest alfabetyczny, przyczem w jednym ciągu zawarte są i formuły i wyrazy pojedyncze, zarówno polskie, jak łacińskie. Autor unikał powtarzania formuł, zawartych w danych wydawnictwach (NB. autor pisze stale: „wydaniach" (jak „*Volumina Legum*", oraz w pracach Szymona Zagórskiego i Gorbaczewskiego, poświęconych specjalnie sądownictwu lubelskiemu. Także i wśród przytoczonych tekstów szło nie o całość, lecz raczej o wybór urywków, charakteryzujących „interpretację prawa magdeburskiego przez jurystów lubelskich, oraz prawo magdeburskie m. Lublina lokalne", zwyczaj

miasta tutecznego, który się za prawo zachowuje i jest daleko lepszy od prawa".

Dla historyka języka bardzo cenny i ciekawy jest wykaz pojedynczych wyrazów, częstokroć o zabarwieniu lokalnem. Szkoda tylko, że wyrazy te przemieszane są z formułami, z pośród których trzeba je dopiero wyławiać. Historyk języka żałuje też pewno przy przeglądaniu zebranego materjału, że dla oszczędności miejsca autor zaniechał podawania daty i źródła przy poszczególnych wyrazach, odsyłając do ułożonego przez siebie rękopiśmiennego katalogu rzeczowego, co nie ułatwia korzystania. W bogatej wiązance zebranych wyrazów pominął p. Rabinin te, które w tem samem znaczeniu znajdują się już w dawniejszych wydawnictwach jak Wierzbowskiego, Glogera, Lindego, Knapskiego, Bobrowskiego. Wymieniając te słowniki dawne, zapomniał autor o słowniku nowoczesnym, t. zw. warszawskim. Wskutek tego niejedna pozycja zapisana u autora, jako nieznana, da się odnaleźć w słowniku Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwieckiego.

Jeśli dodamy, że „Materjały" zawierają również ciekawe przysłowia i dawne potoczne powiedzonka, że nie brak w nich rysów do obyczajowości staropolskiego mieszczaństwa, stwierdzimy że sucha napozór broszura naukowa, jest nietylko cenna dla historyka, ale i zajmująca dla zwykłego czytelnika.

Z. Ciechanowska.

Nauka Polska. Jej potrzeby, organizacja i rozwój. Tom XVIII. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego. Warszawa 1934, str. 228.

Ostatni tom *Nauki Polskiej* ma specjalny charakter, zawiera bowiem jedną tylko pracę, poprzedzoną krótkim wstępem. W tomie XIII (1930) *Nauki Polskiej* dr. K. Piotrowicz dał w dłuższym artykule przegląd poloników w archiwach Krajów Naddunajskich, a więc Austrji, Czechosłowacji, Rumunji i Węgier. Tom najnowszy jest dalszym ciągiem tamtej pracy i przynosi nam przegląd poloników w archiwach niemieckich, przygotowany przez tegoż autora. Zadanie, jakiego się dr. P. podjął, było ciężkie, dla niego zapewne niewdzięczne, mało przynoszące zadowolenia twórczego, ale dla historycznej nauki polskiej bardzo pożyteczne. Stosunki nasze z Niemcami były zawsze bardzo bliskie, żywe i rozgałęzione. Syntetyczny ich przegląd i charakterystykę w 20 stronicowym wstępie podaje prof. Brückner, wielki nasz polihistor i syntetyk. Dr. Piotrowicz w pierwszym rozdziale swej pracy zaczyna 6-stronicowym szkicem *Stosunków dziejowych Polski do Niemiec,* pokazuje dalej drogi, jakiemi zabytki polskie przedostawały się do Niemiec, wreszcie przedstawia stan badań polskiej nauki historycznej nad stosunkami z zachodnim naszym sąsiadem i metodę, jaką zastosował w zbieraniu materjału. Cały zebrany

materjał ułożony został wedle alfabetycznego porządku miejscowości, w których przechowują się polonika. Korzystanie zaś znakomicie ułatwiają 3 szczegółowe skorowidze: 1. skorowidz przytaczanych autorów, czyli skorowidz bibljografji stosunków Polski z Niemcami, 2. skorowidz autorów i utworów anonimowych, będących zabytkami, wedle trzech działów: rękopisy, druki i mapy, 3. wreszcie ogólny skorowidz osób, miejscowości i rzeczy. Nie potrzebujemy chyba dodawać, że praca dr. Piotrowicza, mimo że zostanie niejednym szczegółem uzupełniona, co zresztą autor sam przewiduje, odda wielkie usługi historykom naszym, a inicjatywa redakcji *Nauki Polskiej,* która umożliwiła ogłoszenie tej pracy, spotka się z ogólnem uznaniem, połączonem z nadzieją, że otrzymamy w przyszłości przeglądy poloników w zbiorach włoskich, francuskich, angielskich, holenderskich i t. d.

Ks. St. Bednarski T. J.

Ks. Dr. Paweł Nowicki: Wzdłużenie przedakcentowe w języku hebrajskim (Studja Teologiczne III). Z zasiłku funduszu Kultury Narodowej. — Księgarnia św. Wojciecha. Wilno 1933. Str. XVII+190+13.

Uderzającą właściwością języka hebrajskiego w porównaniu z innemi językami semickiemi jest wzdłużanie samogłoski, stojącej w otwartej sylabie przed akcentem. Ks. Dr. Nowicki postawił sobie w niniejszej pracy za zadanie zestawić historycznie sposoby tłumaczenia tego ciekawego zjawiska i ustalić jego przyczyny, zacieśniając jednak swe dociekania ze względów praktycznych do samej tylko samogłoski „a" t. j. do Kames.

W dwu pierwszych częściach zajmuje się autor iloczasem samogłoski przedakcentowej i jej pochodzeniem. Przyjmując potrójny tylko iloczas w języku hebrajskim, uważa Kames przedakcentowe wbrew niektórym uczonym za długie (albo właściwie za półdługie); jego istnienie zaś nie za dane od początku ani za przybrane zamiast pierwotnego Szwa, lecz za wzdłużone z krótkiego Patach. — Główną uwagę zwraca Autor przedewszystkiem na przyczyny tego wzdłużenia, poświęcając im część III historyczną i IV krytyczno-konstruktywną.

Odrzuciwszy jako nieuzasadnione i niewystarczające różne inne tłumaczenia, dochodzi Autor do wniosku, że sylaba otwarta stanowi wprawdzie warunek wzdłużenia samogłoski przedakcentowej, przyczyną jednak jest akcent główny historyczny t. j. ten, który w okresie prahebrajskim, kiedy wszystkie zmiany samogłosek się dokonywały, stał właśnie na dzisiejszej sylabie przedakcentowej. Zdanie to nie jest całkowicie nowe, stosowali je już, niekiedy dość szeroko, niektórzy uczeni, zwłaszcza Segal; nowem natomiast jest konsekwentne zastosowanie go do wszystkich wypadków, wraz z rewizją poglądów na akcent prahebrajski. Więk-

szej części uczonych utrudniała trafne i jednolite rozwiązanie problemu ta okoliczność, iż powszechnie i jedynie panujący dziś w szkołach akcent sefardyjski (t. j. akcent Żydów w krajach romańskich), stojący na ostatniej sylabie, uważali za właściwy epoce zmian samogłosek hebrajskich (mianowicie wówczas, wobec istnienia samogłoski wygłosowej, był to akcent na sylabie przedostatniej). Tymczasem już Hommel zwrócił był uwagę na to, że akcent niektórych dialektów hebrajskich, przedewszystkiem Żydów aszkenazyjskich (w Niemczech i w Polsce), stojący na przedostatniej sylabie, może być pozostałością akcentu prahebrajskiego (t. j. wówczas na trzeciej sylabie od końca). I istotnie, jeżeli ten akcent weźmie się za podstawę tłumaczenia, prawie wszystkie wypadki Kames przedakcentowego okazują się zaraz wzdłużeniami akcentowemi. Ten sam akcent prahebrajski przyjmuje Autor w tych także typach wyrazów, które musiałyby mieć długą samogłoskę w sylabie poakcentowej; powołuje się przytem na analogję języków starogreckiego i czeskiego, oraz na akcentowanie hebrajskich imion własnych według tradycji łacińskiej. Sama zaś zasada wzdłużania samogłosek akcentowanych posiada również swój odpowiednik w innych językach. W ten sposób tłumaczy Autor konsekwentnie wszystkie wchodzące w tę kwestję formy z wyjątkiem długich samogłosek łączących przy dwu sufiksach zaimkowych, dla których wyjaśnienia musi się uciec do analogji.

Co się tyczy wzdłużenia samogłoski, która w okresie prahebrajskim stała po akcencie (np. drugie Kames w „dabar"), Autor upatruje jego przyczynę w zastępstwie zaniku samogłoski wygłosowej (np. „u" w „dabaru"); potwierdzenie zaś tego procesu znajduje w podobnem zjawisku, zaobserwowanem w języku polskim. Wzdłużeniu temu proponuje nadać w gramatyce hebrajskiej nazwę „wzdłużenia poakcentowego" — naszem zdaniem nieco bałamutną, ponieważ położenie samogłoski jest w niej wyrażone stosunkiem do akcentu prahebrajskiego, podczas gdy przyjęty już termin „wzdłużenie przedakcentowe" uwzględnia obecny akcent sefardyjski.

Z wywodów Autora jest widoczne, że problem wzdłużenia samogłosek przedakcentowych stoi w ścisłym związku z historją akcentu hebrajskiego. Tej historji poświęca Autor kilka końcowych uwag. W starszym okresie prahebrajskim stał według niego akcent na trzeciej sylabie od końca bez względu na długość następujących samogłosek. W okresie młodszym, który można nazwać ogólnohebrajskim, t. j. przed podziałem na narzecza, akcent przeniósł się w niektórych formach o jedno miejsce naprzód i odpowiada dokładnie dzisiejszemu akcentowi aszkenazyjskiemu. Wreszcie w okresie następnym, który mógł się rozpocząć około r. 930 po podziale królestwa, w narzeczach typu sefardyjskiego (według przypuszczenia Autora w królestwie judzkiem) akcent przesunął się w pewnych klasach wyrazów na dzisiejszą ostatnią

sylabę. Stąd widać, że podstawą klasyfikacji narzeczy hebrajskich jest akcent, punktem zaś wyjścia dla wyjaśnienia zmian samogłoskowych nie może być akcent sefardyjski, lecz starszy, aszkenazyjski.

Wnikliwa i mozolna praca ks. Nowickiego jest bezwątpienia cennym przyczynkiem do historji gramatyki hebrajskiej. Główna jej zasługa leży jednak w tem, że przez uwzględnienie różnic narzeczowych, dotychczas naogół zaniedbanych, rzuca nowy snop światła na historję akcentu hebrajskiego i na tem tle doprowadza rozwiązanie problemu wzdłużeń przedakcentowych nieomal do kresu. Zastosowanie do metryki w przednarzeczowej poezji hebrajskiej mogłoby być kamieniem probierczym słuszności poglądów Autora. Dokładne streszczenie, podane na końcu w języku niemieckim, ułatwi również filologom zagranicznym korzystanie z rezultatów tej solidnej rozprawy.

Ks. St. Styś T. J.

Dr. E. Klamroth: Mutter und Tochter. Ein Beitrag zur Psychologie des reifendes Mädchens. Langensalza 1934, Herman Beyer & Söhne. Str. 169.

Tematem powyższej broszury, stanowiącej 1384-y zeszyt wydawnictwa: Friedrich Mann's *Pädagogisches Magazin*, jest zupełnie specjalny odcinek psychologji dziewcząt w okresie dojrzewania, mianowicie stosunek córki do matki, kolejne jego przemiany i przyczyny tychże. Okres ten nasuwał matkom zawsze dużo trudności, dziś tem większych, że pokolenie obecne zajmuje wobec rodziców bardziej samodzielne stanowisko. Toteż autorka chce zbadać bliżej tę kwestję i w tym celu zestawia materjał z pośród współczesnych dziewcząt, szczupły wprawdzie, bo obejmujący dwadzieścia kilka osób z różnych środowisk i stron Niemiec, ale bardzo starannie przygotowany i opracowany. Zdobycie go było niełatwem ze względu na intymność i delikatność sprawy; ułatwiła je autorce bliższa znajomość dziewcząt, które prowadziła w stowarzyszeniach, wykorzystała ich rozmowy, korespondencję i dzienniczki, a poza tem zwracała się również po informacje do matek.

Jakże w świetle tego materjału przedstawia się ewolucja stosunku córki do matki w okresie rozwojowym? — Przeciętnie dom, który dotąd wystarczał dziewczęciu, zaczyna być teraz dla niej za ciasny, zainteresowania jej sięgają dalej; tworzy sobie swój świat. Budzi się popęd, a z nim marzycielstwo, erotyzm. Stosunek do matki przestaje być dawnym „dziecięcym", przekształca się. Dobrze, jeśli córka ma zaufanie do matki; wówczas zwraca się do niej ze wszystkiem, mimo że w tym okresie naturalnem zjawiskiem jest ukrywanie swych uczuć. W braku jednak zaufania szuka sobie „przyjaciółki", przed nią zwierza się ze wszystkiem i układa plany przyszłości, podczas gdy stosunek do matki oziębia się i rozluźnia stopniowo. Zdarzają się łatwo przej-

ściowe tarcia, czasem nawet unikanie matki, owszem może dojść do silniejszego konfliktu, którego przezwyciężenie następuje dopiero po dłuższym czasie.

Poszczególne te etapy autorka rozbiera bliżej i ilustruje trafnie dobranemi cytatami z wypowiedzeń się lub zapisków dziewcząt. Oczywiście, obraz ten nie upoważnia do daleko idących ogólnych wniosków co do stosunku córki do matki, lecz autorka słusznie zwraca uwagę, że wniosków takich nie możnaby wyciągnąć nawet na podstawie materjału, obejmującego tysiące osób. Zbyt wiele bowiem różnorodnych czynników wpływa na rozwój tego stosunku: indywidualne dane, poprzednie wychowanie, atmosfera domu rodzinnego, wpływ otoczenia, koleżanki i t. d. Niemniej pewne zjawiska powtarzają się stale i wpływają na nowe ustosunkowanie się do matki w okresie dojrzewania i dlatego autorka spodziewa się, że praca jej może nietylko teoretycznie rzucić światło na te sprawy, ale także dopomóc matkom i wychowawcom w orjentowaniu się i w wyborze odpowiednich metod postępowania z dziewczętami w latach rozwojowych.

Ks. S. Podoleński T. J.

R. P. Tonna-Barthet: Les Évangiles-commentés d'après les exégètes anciens et modernes. Tome I: saint Mathieu et saint Marc. P. XII+361. Tome II. saint Luc et saint Jean. P. XI+369. In 20×13, avec 4 gravures. Maison de la Bonne Presse. 5, rue Bayard, Paris - 8⁰.

Książkę Tonna-Barthet: *Les Evangiles* świat katolicki przyjął z wielką radością. Mówię „świat", bo nietylko Francja, ale i inne państwa, do których dotarła, pochwaliły ją i pochlebnemi recenzjami poleciły; między innemi Włochy w *L'Osservatore Romano* z 4. I. 34 r.

Naukowych komentarzy do poszczególnych części Pisma św. w znanych językach jest dość dużo. Trudno jednak doszukać się w różnych katolickich krajach komentarzy prostych, życiowych, praktycznych, a przytem zwięzłych, bez tych kilkustronnicowych uwag i wyjaśnień jednego zdania, czy nawet jednego słowa Pisma św. — dobrych i koniecznych dla naukowców, *ex professo* zajmujących się egzegezą Pisma św. — niedostępnych jednak i nieodpowiednich żadną miarą dla duchowieństwa, zajętego duszpasterstwem oraz dla świeckich, nawet wykształconych. Odnosi się to również do Polski. Przykro stwierdzić, ale niestety pod tym względem stoimy na szarym końcu, — nie mamy bowiem żadnego kompletnego, ani naukowego, ani popularnego komentarza. Te, które mamy w polskich wujkowych tłumaczeniach są albo zbyt szczupłe, albo częściowe tylko.

Praca Tonna Barthet, którą mamy przed sobą, jest nastawienia wybitnie praktycznego. Dotychczas ukazały się dwa tomy. Pierwszy zawiera Ewangelję według św. Mateusza i Marka, drugi

Łukasza i Jana. Każdą Ewangelję poprzedza krótki, rzeczowy wstęp, zaznajamiający czytelnika z życiem i działalnością świętego autora, planem, charakterem i celem Ewangelji. Następuje rzecz właściwa — tekst i objaśnienia. Konstrukcja inna, niż zwykle spotykana w podobnych publikacjach. Wpierw podaje Autor tekst Pisma św., stanowiący pewną samodzielną myśl lub zdarzenie — zwykle kilka wierszy — poczem zaraz go objaśnia. (A więc nie u dołu strony). Tu Autor, rzecz jasna, nie wyczerpuje wszelkich kwestyj i problemów egzegetycznych, dotyka tylko najpotrzebniejszych. Oczywiście, niektóre sceny ze względu na ważność i bogatą treść można było szerzej omówić np. cud w Kanie Galilejskiej, rozmowa Pana Jezusa z Nikodemem lub Samarytanką, mowa eucharystyczna, podczas gdy inne praktyczne mniej ważne partje nieco okroić, — ostatecznie jednak to, co jest, wystarcza i rzuca dostateczny refleks na zrozumienie całości mowy, czy zdarzenia. Objaśnienia dotyczą zagadnień topograficznych, historycznych, dogmatycznych, moralnych.

Strona zewnętrzna bez zarzutu. Papier dobry. Przejrzystość tekstu nieco zaciemnia brak wewnętrznej numeracji wierszów; — pozatem przejrzystość bez zarzutu: tłuste nagłówki nad każdym nowym paragrafem, druk tekstu inny od objaśnień, przy zachowaniu tej samej wielkości.

Słowem — wzór książki, godny naśladowania. — Książkę tę gorąco polecamy duchowieństwu oraz wszystkim, znającym język francuski. Duchowieństwu odda nieocenione przysługi w przygotowaniu kazań i nauk, osnutych na tle Ewangelji, świeckim posłuży, jako piękna lektura duchowna, a przedewszystkiem jako przystępny i jasny wykład inspirowanych słów świętych Ewangelij.

Bez przesady można powiedzieć, iż teologja francuska wiele zyskała na tej publikacji Tonna-Barthet, a katolickie wydawnictwo „Maison de la Bonne Presse", wielką oddało przysługę Kościołowi katolickiemu, wydając *Les Evangiles*.

Wartoby się zastanowić nad tem, czy nie należałoby książki tej przyswoić polskiej literaturze teologicznej. Nie mamy własnych komentarzy, miejmy przynajmniej tłumaczenie. Tłumaczymy dużo, nieraz książki wcale nie najlepsze, przetłumaczmy więc tę, wyżej określoną a naprawdę wartościową książkę. Tłumacz wielce przysłużyłby się dobrej sprawie.

M. Rode.

Paul Bayard: L'action liturgique. — Essai de directoiore. Bibliographie liturgique rédigée par Pierre Maranget. Librairie Bloud et Gay, Paris 1933; str. 247.

Ruch liturgiczny, jaki i u nas w Polsce od szeregu lat coraz piękniej się rozwija, niesie ze sobą niewątpliwie poważne wartości dla odrodzenia i wzbogacenia życia religijnego, których jednakowoż przyjęcie się zależy w dużej mierze od pewnego taktu

i umiaru w propagandzie. Tą dodatnią cechą oględności i umiaru odznacza się niniejszy podręcznik czy przewodnik akcji liturgicznej. Pozostając zdala od aktualnej polemiki na temat: pobożność objektywna czy subjektywna, asceza teocentryczna czy antropocentryczna — autor umie kwestje liturgiczne przedstawić z należytą symetrją.

Wychodząc z przekonania, że działalność zbiorowa winna się opierać na założeniach pewnych a wspólnych, podręcznik podaje w części pierwszej ogólne zasady prowadzenia akcji liturgicznej. W krótkich rzutach autor wydobywa z pośród stosu przesądów prawdziwe pojęcie liturgji, ducha i ruchu liturgicznego. Podkreślając w liturgji pierwiastki istotne, właściwe Kościołowi jako takiemu, nie utożsamia bynajmniej tego pojęcia „Ecclesiae orantis" z ascezą benedyktyńską, jak również dobitnie podkreśla, że w życiu chrześcijańskiem liturgja to jeszcze nie wszystko. Stąd zupełnie słusznie zaleca w działaniu wiele taktu: nie „reformować", ale dążyć do postępu. A już „szczególnie oględni" powinni być liturgiści, gdy chodzi o zwyczaje miejscowe, bo „niekiedy zniesienie zwyczaju równa się zubożeniu liturgji" (str. 39).

Druga część poświęcona wskazówkom szczególnym. Za podstawę operacyjną przyjmuje autor przepisy kodeksu prawa kan. odnośnie do publicznej służby bożej, a suchym nieraz paragrafom umie nadać wcale nienaciągane uzasadnienie i żywe oświetlenie liturgiczne. Tu i ówdzie, zawsze w skromnej formie, projektuje pewne modyfikacje w dziedzinie rubryk, bardziej — jak mniema — odpowiadające duchowi liturgji i więcej dostosowane do współczesnych wymogów. Np. podsuwa myśl, by ceremonje wielkotygodniowe (wyjąwszy oczywiście mszę św.) mogły się odbywać dopiero pod wieczór, ze względu na to, że w godzinach porannych praca nie pozwala wiernym na uczestniczenie w nich.

Wiele wytycznych i wskazówek tego podręcznika jest godnych przyjęcia. Zanadto jednak wyłącznie autor przepiera śpiew gregorjański, tak że prawie nie dopuszcza polifonji, co przecież byłoby przeciwne konstytucji „Divini cultus". A chyba stanowczo przesadza, gdy niewyuczenie dziecka śpiewu mszy i oficjum nazywa aż istotnym brakiem w wychowaniu religijnem (str. 176). Można również wątpić — przynajmniej u nas w Polsce — w możliwość wprawienia ludu do śpiewu łacińskich nieszporów, albo zamienienia popołudniowych nabożeństw ludowych na śpiewanie komplety po łacinie.

Ks. T. Chabrowski T. J.

Hipolit Gliwic: Podstawy Ekonomiki Światowej. Materjał Ludzki w Gospodarce Światowej, dwa tomy, razem 688 stronic. Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski S. A.

Pierwszy dział tej pracy wydany został przed ośmioma laty. Autor tłumaczy tę tak długą zwłokę „obszernością i cha-

rakterem samego tematu", wymagającego studjów specjalnych, oraz koniecznością doczekania się ogłoszenia zbiorowej statystyki migracyjnej przez Międzynarodowe Biuro Pracy. Praca ta nie chce być „ani encyklopedją, ani podręcznikiem, szkolnym w potocznem tego słowa znaczeniu". Celem jej jest m. i. „wyczerpanie dowodów" do tez autora, opartych o przykłady i zestawienia, by w ten sposób stworzyć „nieśmiałą... próbę ujęcia w kanon rozumowany tak złożonego i kalejdoskopicznego zjawiska, jak migracja".

Tom pierwszy podzielony jest na dwie części, poświęcone rozważaniom ogólnym, światowemu rynkowi pracy i mechanice migracyjnej; każda część dzieli się na kilka rozdziałów. Tom drugi składa się z trzech części, poświęconych światowej podaży pracy, światowemu popytowi na ręce robocze i rozważaniom końcowym; części te rozpadają się również na wiele rozdziałów szczegółowych.

Autor zaczyna od charakterystyki człowieka „jako podmiotu i przedmiotu ekonomiki". Zdaniem jego, wskutek postępów technicznych i tempa życia ekonomicznego w przekroju światowym nasza kula ziemska coraz bardziej się kurczy, do tego stopnia, że podnoszą się już głosy, dowodzące konieczności ujęcie całej ludzkości w jedną zwartą organizacje ekonomiczną. Zasadnicze bowiem zagadnienie gospodarcze współczesnej doby nie daje się już załatwić w ramach poszczególnych państw, zdolnych już tylko do paljatywów i środków tymczasowych. Mechanika wytwórczości, podziału i spożycia, dążąca ustawicznie do uniezależnienia się od przyrody, stwarza coraz to nowe zagadnienia, z których autor specjalnie wybrał jako główny temat swojej pracy problemat pracy ludzkiej, roli rąk roboczych.

Ziemia nasza jest, jak wiadomo, nierównomiernie zaludniona i bardzo jest różna pod względem wydajności. Autor powołuje się zwłaszcza na prace Taylora. Nietylko uprawa roli wchodzi w grę przy demograficzno-ekonomicznych porównaniach, lecz i napięcie gospodarcze, klimat, itd. Autor daje bardzo wiele ciekawej statystyki — wymieńmy chociażby stwierdzenie, że w razie zaludnienia kuli ziemskiej na wzór Anglji, świat liczyłby 25 miljardów mieszkańców. To też stwierdza on — zgodnie z Mussolinim — że teorja Malthusa jest oczywistym nonsensem, nie mówiąc już o jej stronie moralnej, którą dyktator Włoch napiętnował jako zbrodnię. Przyrost naturalny jest bardzo zmienny. Przypuszczając, że ludzkość istnieje od pół miljona lat, trzeba było 5000 wieków, by dojść 836 miljonów, a potem już tylko 100 lat, by dojść do współczesnej, podwójnej cyfry. Rozdział surowców jest bardzo nierównomierny. To też zagadnienie rąk roboczych nie powinno być zagadnieniem poszczególnych narodów, inaczej nigdy nie mogłoby być rozwiązanem. Tak samo, jak tylko na najniższych szczeblach rozwojowych praca może

służyć wyłącznie zaspokojeniu potrzeb pracującego, tak na najwyższych szczeblach wchodzi w grę zaspokajanie potrzeb całej ludzkości, wymagające podziału pracy możliwie na jaknajwiększym obszarze. Pracą olbrzymiej większości ludzkości jest praca fizyczna, wykonywana dla zarabiania chleba powszedniego dla siebie i rodziny. Tak przedsiębiorca jak i robotnik dążą do osiągnięcia jaknajwiększego zysku drogą najmniejszego wysiłku (fizycznego względnie kapitalistycznego). Autor odrzuca możność „ferowania bezapelacyjnych wyroków" o walorach tej czy innej rasy, mimo różnic wydajności pracy, zależnych od wielu czynników, pokarmowych, klimatycznych i t. p. Autor omawia zagadnienie selekcji pracowników, psychotechniki i t. d. Opisuje on wyczerpująco martyrologje kolonjalne, nieludzki wyzysk ludzi kolorowych przez białych, ohydne dzieje niewolnictwa. Rozwodzi się szeroko nad wzajemnym stosunkiem rasy; narodowości, nad przewagą duchowych czy antropologicznych więzów, łączących zbiorowiska ludzkie, cytuje różne opinje; wierzy, że większość ras będzie się amalgamowała. Rozważania te oczywiście zajmują się znaczeniem tych czynników dla zagadnienia pracy. Wbrew pozorom np. wydajność pracy Chińczyków jest znikoma; murzyn nie będzie pracować więcej, niż potrzebuje na najskromniejsze utrzymanie. U niektórych ras tylko wyrobienie indywidualnych potrzeb wzmaga popęd do pracy. Pewne rasy znowu wymierają, nie nadając się do dalszego rozwoju.

Autor omawia m. i. teorję Gini'ego, jakoby wszystkie rasy były już wynikiem dawniejszych krzyżowań i warunków pierwotnego współżycia. Zbyt długie izolowanie się jakiejś rasy powoduje jej zmierzch, wskutek degeneracji, odświeżanie ciągłe krwi przez krzyżowanie jest więc konieczne. Rasolodzy niemieccy nie mieliby pociechy z pracy p. Gliwica. Podkreśla on też znaczenie unifikacyjne idei i ducha, często silniejsze od więzów krwi, czego dowodzą dzieje wielkich religij i kultur. Zdaniem autora, zagadnienie monogenizmu ras jest sporne (?), niema jednak praktycznego znaczenia. W konkluzji stwierdza on, że „bądź co bądź głównym rezerwuarem rąk roboczych dla świata nowoczesnej gospodarki jest i długo jeszcze pozostanie Europa".

Wędrówki mas wewnątrz poszczególnych państw są niewątpliwie „barometrem nasilenia pracy" i intensywności życia gospodarczego. Autor omawia zagadnienie urbanizacji, siły atrakcyjnej wielkich ośrodków, kopalni złota i t. d. „Migracje wewnętrzne odpowiadają ściśle prawu naczyń połączonych". W Rosji wędrówka idzie w kierunku wschodnim, w Niemczech w zachodnim. Osławiony „Drang nach Osten" jest już fikcją, której przeczy kategorycznie demografja. W razie zbytniego natężenia migracji robią się luki, powodujące migrację z zewnątrz. Wojny, klęski żywiołowe i t. p. mają swoje prawa. Rozrodczość maleje zarówno pod wpływem „hierarchicznego posuwania się wzwyż", jak:

wskutek nędzy, niewoli i t. p. Najwięcej jest migracyj „krótkobieżnych" i sezonowych. Szczególne uwagi poświęca autor rozwojowi cywilizacyjnemu i kulturalnemu murzynów amerykańskich, jako typowej „importowanej siły roboczej".

Wychodztwo jest przedmiotem szczególnie ciekawych studjów autora, od wędrówek ludów do nowoczesnych przesiedleń. Specjalne uwagi poświęca on sjonizmowi żydowskiemu oraz migracjom ludności polskiej, spowodowanym wojną. Z wyjątkiem murzynów, wywożonych ongiś przymusowo, tylko Europejczycy migrują poza granice swojego kontynentu. Tu autor podaje olbrzymi materjał cyfrowy i statystyczny. Nie „nacisk demograficzny", lecz „wpływ uprzemysłowienia Europy" jest przyczyną tego zjawiska. Dziś odsetek bezrobotnych większy jest w krajach imigracyjnych niż w emigracyjnych. Teorja o konieczności emigracji w razie zbytniego zgęszczenia ludności dziś już nie wytrzymuje krytyki. Emigrant poszukuje *lepszych* warunków pracy. Rzadko robotnicze związki zawodowe przyjmują imigrantów; zwłaszcza socjaliści są pod tym względem skrajnymi nacjonalistami. Prawo imigracyjne różnych państw jest oczywiście wyczerpująco omawiane.

Zkolei przechodzi autor do udziału poszczególnych państw europejskich w wychodztwie. M. i. stwierdza on, że Niemcy, pomijając ostatnią przymusową emigrację żydów, stają się coraz bardziej krajem imigracyjnym, mimo szalejącego tam bezrobocia. Zagadnienie migracji wewnętrznej i emigracji zlewa się w jedno w olbrzymiem Imperjum Brytyjskiem, które dopiero po wojnie uznane zostało jako związek państw niepodległych. Z rozdziału, temu problematowi poświęconego, najciekawsze są może dla nas ustępy o martyrologji Irlandji. W rezultacie największem skupieniem Irlandczyków na świecie są dziś Stany Zjednoczone, gdzie umieli w pełni zachować odrębność i solidarność narodową. Niemniej ciekawe są uwagi autora o olbrzymiej roli „Trzeciego Rzymu", Włoch Faszystowskich, w dziedzinie emigracyjnej i kolonizacyjnej, wobec niemożliwości Italji wyżywienia nadmiaru ludności po użyźnieniu już wszystkich nieużytków i bagien. Masowe wychodztwo polskie autor tłumaczy głównie „rozproszkowaniem własności ziemskiej" i „proletaryzacją wsi". Podaje on olbrzymi materjał statystyczny dla zrozumienia tego zagadnienia. Polska m. i. daje największą odsetkowo ilość rozsianych po świecie górników (Pensylwanja, Westfalja, Północ Francji). Polak najłatwiej przystosowuje się do warunków. Dziś Polacy najczęściej emigrują do Francji (zaczęła się już fala odwrotna), do Brazylji i Peru. Szczegółowo autor zajmuje się migracją, emigracją i reemigracją żydów na świecie, odbywa się ona zwykle szlakiem innych narodów. Palestyna nie nadaje się na kraj imigracyjny dla większości żydów, ponieważ nie mają oni pociągu do rolnictwa; zaś

drobnych rzemieślników, sklepikarzy i lichwiarzy tam już jest nadmiar.

Inne warunki pracy wytwarza monokultura plantacyjna (Brazylja, Kuba), inne gospodarka hodowlana (Australja, Nowa Zelandja i t. d.). Popyt na ręce robocze jest tam nikły, w dodatku w wymienionych w nawiasie państwach, imigracja prawie zupełnie ograniczona jest do Anglosasów. „Polikultura agrarna" w Argentynie, wbrew zamierzeniom konstytucji od 1913 r., nie sprzyja już imigracji i spowodowała jej ograniczenie. Najlepsze dziś widoki imigracyjne przedstawia Kanada, posiadająca jeszcze olbrzymie przestrzenie, nadające się do kolonizacji rolniczej. Przeważnie jednak imigranci nie chcą być pionierami na Dalekiej Północy i wolą korzystać z gościny Kanady dla przefiltrowania się do Stanów Zjednoczonych. Imigrant zawsze ciągnie do fabryki a nie do roli. Obszernie autor omawia warunki pracy w Stanach Zjednoczonych, które przestały być dziś eldorado imigracyjnem a nadają się chyba jeszcze na pole dla emigracji sezonowej, wobec trwającego popytu na tanią, napływową pracę.

Specjalnem zagadnieniem jest wyludnienie Francji i wynikające stąd perspektywy imigracyjne (szósta część mężczyzn zginęła w czasie wojny). Niestety nadmiar złota obezwładnia zupełnie możliwości dalszego rozwoju gospodarczego tego państwa i powoduje stagnację. Nie ma już prawie „aktywnych transakcji lokaty kapitałów". Emigracja do Francji zachowa jednak głównie charakter sezonowy.

Na zakończenie autor ujmuje swoje wnioski w oryginalny dekalog: Streszczając go należałoby przyjąć, że migracja jest: 1. „wynikową niewspółmiernej repartycji" surowców, kapitałów i pracy", 2. „odbiciem każdorazowego stanu, światowego rynku pracy", 3. ograniczoną „chwilowo" pod względem „zasięgu normalnego światowego rynku pracy do rasy białej", 4. „wynikową" sił, zmuszających do emigracji i przyciągających imigrację, 5. nacechowaną koniecznością poddania się emigranta wymaganiom kraju imigracji, 6. stale zagrożoną „spychaniem migranta na najniższy szczebel życia kraju imigracji", 7. jest „procesem ekonomicznym" bez wpływu większego na „procesy demograficzne", 8. może być ujętą w karby tylko umowami pomiędzy krajami imigracji a emigracji, nigdy zaś „jednostronnemi zarządzeniami", 9. „zjawiskiem przejściowem", nie związanem z żadnym narodem, 10. „może być zastąpiona przez eksport produktów" na „jeszcze wyższym poziomie rozwoju gospodarczego... przez wywóz kapitałów" (np. Francja).

Następna praca autora będzie, jak wynika z uwag końcowych, poświęcona „spektrowi światowego kapitału" i jego roli. Sądząc z właśnie omawianej pracy można tylko powinszować nauce polskiej, że zostanie wkrótce ponownie wzbogaconą tak

znakomitem dziełem, niezmiernie ułatwiającem właściwą orjentację w skomplikowanych zagadnieniach ekonomiki.

Adam Romer.

Władysław Sikorski, generał dywizji: Przyszła Wojna. Jej możliwości i charakter, oraz związane z nim zagadnienie obrony kraju. Str. 222 oraz dwa załączniki. Warszawa 1934. Wydawnictwo: „Bibljoteka Prawnicza".

Książka gen. Sikorskiego jest, jak pisze w słowie wstępnem, „rezultatem rozważań, opartych na długoletniem doświadczeniu praktycznem i na teoretycznych studjach". Autor, „wskazując na groźbę wybuchu nowej wojny", dąży „do osłabienia tej możliwości. Temu samemu celowi służy również krytyczna, lecz oparta na objektywnej ocenie faktów, analiza dotychczasowych wysiłków, zmierzających do konsolidacji powszechnego pokoju". Liga Narodów nie zdała bowiem egzaminu.

Wszyscy zgodzą się też z autorem w stwierdzeniu szaleństwa, polegającego na wierze, „że natura ludzka, którą formowały tysiąclecia, odmieni się z gruntu i radykalnie w przeciągu kilku dziesiątków lat"; musimy się pogodzić z faktem, że „nieodzownym warunkiem tego pożądanego postępu jest i będzie jeszcze długo należycie zorganizowana a pozostająca w służbie prawa, siła". Autor nie zajmuje się „poszukiwaniem formuły politycznej, rozwiązującej problemat międzynarodowego bezpieczeństwa"; zadaniem jego jest ujęcie zagadnienia bezpieczeństwa własnego kraju z wojskowego punktu widzenia, z punktu widzenia konieczności należytego pogotowia na wypadek zbrojnego najazdu i zaistnienia ultimae rationis.

Autor, który, jak wiadomo, jest nietylko znakomitym żołnierzem, okrytym kilkakrotnie chwałą, zwłaszcza w r. 1920 jako dowódca „nad Wisłą i Wkrą", lecz również niepospolitym mężem stanu. Jako taki też zabiera on w pierwszych rozdziałach książki głos przestrogi politycznej, wskazuje na domniemanego sprawcę przyszłej wojny. Pisze on obszernie o „gorączkowych zbrojeniach Trzeciej Rzeszy". Zdaniem Autora w Niemczech wciąż jeszcze rządzi „za kulisami klika wojskowa", dążąca do odwetu w oparciu o „stały i niezmienny element polityczny, symbolizujący jego (narodu niemieckiego) jedność", a mianowicie „protest przeciwko zaakceptowanemu w 1919 roku przez nie traktatowi". Protest ten, będący nadal podstawą polityki niemieckiej, dąży jakoby do zastosowania „w korzystnych warunkach... aktu przemocy... w celu ponownego zagarnięcia rewindykowanych terytorjów" i spełnienie marzenia „ludowych mas". Generał Sikorski nie ma żadnej wątpliwości, że współczesna młodzież niemiecka nadal gloryfikuje wojnę, że stawia nadal siłę przed prawem, że Trzecia Rzesza z całą świadomością przygotowuje wojnę. Na poparcie tej swojej wiary autor przytacza nietylko ogromny ma-

terjał źródłowy w dziedzinie faktów i liczb, znanych już w znacznym stopniu, interesującym się tym tematem czytelnikom z rewelacyj i publikacyj francuskich, lecz powołuje się również na cały szereg dzieł i artykułów znanych autorów, poczynając od *Mein Kampf* Hitlera a kończąc na dyszących żądzą zemsty elukubracjach osławionego już profesora Bause.

Przytoczone przez generała Sikorskiego cytaty i dane są dziś szczególnie na czasie, kiedy nastąpiło odprężenie pomiędzy Polską a Niemcami, kiedy Polska stała się przedmiotem bardzo gorącej ofensywy zbliżeniowej ze strony Trzeciej Rzeszy. Autor nie wierzy ani w rezygnację Niemiec z rewindykacji Pomorza i Śląska, ani w szczerość niemieckich zapewnień pokojowych. Zdaniem jego, celem polityki Rzeszy jest raczej rozbicie sojuszu polsko-francuskiego i izolowanie Polski, dla ułatwienia Rzeszy w przyszłości powrotu do żądania rewizji granic, żądania równoznacznego z groźbą najazdu zbrojnego. Ponieważ zaś, „nigdy, być może, istniejące pomiędzy niemi (narodami) rozdźwięki nie ujawniały się przy tak potężnych środkach działania, ani też nie wzniecały równie głębokich nienawiści o narodowym i klasowym charakterze... pokój jest niczem innem, jak tylko zawieszeniem broni, które trwać będzie tak długo, jak długo jego rzetelni zwolennicy będą w stanie bronić go w razie potrzeby siłą".

To też główną gwarancję pokoju widzi generał Sikorski w dobrze uzbrojonej Francji, oraz w solidarności Polski z państwami, zainteresowanemi w utrzymaniu obowiązujących traktatów. Do państw tych autor nie tylko jednak nie zalicza Rosji Sowieckiej, lecz nawet w jej ustoju oraz w jej racji stanu widzi nadal poważne niebezpieczeństwo wojny; imperjalizm nacjonalistyczny jest bowiem równie groźny jak dążenie do podbicia świata drogą powszechnej rewolucji; jedynie słabość wewnętrzna Sowietów i obawa ich przed Japonją, każą autorowi poważniej traktować skutki paktów o nieagresji z Sowietami. Niemniej widzi on w pacyfikacji naszej granicy wschodniej, w następstwie paktu z Sowietami, wreszcie dodatni objaw, jak w normalizacji stosunków polsko-niemieckich. Natomiast gen. Sikorski jest widocznie przeciwnikiem jakiegokolwiek dalej idącego zbliżenia, czyli wiązania się z Sowietami — do czego zmierza dziś Francja, jak również przeciwstawia się ostro domniemanej tendencji Niemiec do wciągania Polski do jakiegoś wspólnego pochodu na północ i wschód, w rzekomej nadziei uzyskania zgody Polski na rektyfikacje granicy za cenę daleko idącej jej ekspansji w tamtym kierunku. Francji zaś autor wytyka te tendencje polityczne, których jaskrawym wyrazem stał się „pakt czterech".

Teza zasadnicza gen. Sikorskiego jest zgodna z miarodajną tezą francuską. Wywołuje ona jednak zastrzeżenia w świetle ostatnich kategorycznych enuncjacyj pokojowych odpowiedzialnych kierowników Trzeciej Rzeszy. Już wielka mowa Hitlera

z 1 maja b. r. była wybitnie pokojową. Wybitnie pokojowe były jego poprzednie, publiczne komentarze do zawartego z Polską porozumienia. Minister Goebbels w swoim odczycie Warszawskim oświadczył kategorycznie, że nowe „młode" Niemcy nie chcą ani wojny, ani zaborów, że „szanują odrębność każdego narodu" i „nie przestają wyciągać ręki do swych byłych wrogów, w nadziei, że zostaną kiedyś ich przyjaciółmi". Napiętnował on wszelką politykę, operującą możliwością wojny dla roztrzygnięcia siłą jakichkolwiek zagadnień, jako „zbrodnię"! Przekonałem się osobiście w czasie mojego ostatniego pobytu w Niemczech, jak ogromne postępy tam poczyniło rozbrojenie moralne w stosunku do Polski, usuwając najgorsze, bo duchowe niebezpieczeństwo wojny! Nieubłagana wojna, jaką Hitler wydał „pruskiemu państwu stanowemu" i podporom jego, junkrom, pozwala na optymistyczny pogląd, że militarystyczni i nacjonalistyczni autorowie, na których się powołuje gen. Sikorski, nie są już wyrazem państwa narodowo-socjalistycznego, a raczej „gasnącego świata" junkiersko-feodalnego.

Gen. Sikorski odpowie na to, że optymizm taki wymaga oficjalnego wycofania tych ustępów z *Mein Kampf* i innych publikacyj hitlerowskich, które są równoznaczne z zapowiedzią najazdu na Polskę. Jest to słuszne, jednak, — zdaniem mojem — ze względów prestige'owych może jeszcze nie bezpośrednio aktualne. Zresztą autor nie wyklucza możliwości trwałej normalizacji stosunków polsko-niemieckich, żądając jedynie takiej polityki Polski, któraby pod każdym względem była nastawiona na ewentualność najgorszą. Z pesymistycznego jego poglądu na szanse Niemiec pomyślnego dla nich wyniku awantury wojennej, której lokalizowanie autor wyklucza, też przebija optymizm. Trudno wszak Niemców posądzać o szaleństwo. Samemi bojówkami i t. p. oddziałami świata nie zawojują. Militarnym narodem Niemcy pozostaną zawsze; poza lotnictwem i wiadomym *potentiel de guerre*, gorączkowe zbrojenie Trzeciej Rzeszy dały się dotychczas udowodnić ponad wszelką wątpliwość jedynie cyframi jej budżetu. Niema bezspornych danych, przemawiających za aktualnością dążeń niemieckich do niemiecko-polskiego pochodu na Wschód, tembardziej, że sam Autor podkreśla nadzwyczajne pogotowie chemiczne Niemiec, uniezależniające je całkowicie od zagranicy.

Nie zmniejszają walorów książki te czy inne zastrzeżenia. Ponieważ jest ona właśnie poświęcona rozważaniom na temat „przyszłej wojny", więc nic dziwnego, że wychodzi ona z punktu widzenia najgorszej ewentualności. Trzeba też pamiętać, że osiągnięcie dwóch celów rewizjonistycznych polityki niemieckiej, a mianowicie wchłonięcia Austrji i Deutschböhmen, nie jest wykluczone bez zatargu zbrojnego, o ileby mianowicie hitlerowcy doszli do władzy w Austrji normalną drogą i o ileby państwo czechosłowackie nie wytrzymało odśrodkowego parcia tylu dziel-

nic. Na takich to przesłankach opierają się ci rewizjoniści, którzy są wrogami wojny. Ponieważ jednak właśnie w okresie rewizjonizmu powojennego tylko te państwa nie potrzebują się go obawiać, które okazują się dość silne i spoiste, więc autor z całkowitą słusznością wskazuje Polsce na konieczność utrzymania najdalej idącego pogotowia wojennego i sojuszniczego, bez oglądania się na zwodnicze, papierowe gwarancje genewskie. Briandowskie hasło „ni wojny, ani zbrojeń", było i pozostaje największem dla pokoju niebezpieczeństwem. Autor podkreśla niebezpieczeństwo t. zw. „pustych lat" odpowiadających zmniejszonej przez wojnę rozrodczości.

Część druga, zasadnicza książki gen. Sikorskiego poświęcona jest charakterowi przyszłej wojny i nowoczesnej obronie kraju. Pisana jest znakomitym stylem, udostępniającym i laikowi te zawiłe zagadnienia techniczne. Autor kilkakrotnie posługuje się doświadczeniami wojny światowej, oblicza dokładnie możliwości mobilizacyjne Niemiec, Sowietów i t. d. porównuje poszczególne systemy wojskowe, omawia szczegółowo perspektywy zmechanizowania armji, przedstawia wyczerpująco możliwości przyszłej wojny napowietrznej i chemicznej, nie pozostawiając przerażonemu czytelnikowi najmniejszej iluzji. Nadzwyczaj ciekawe jego wynurzenia porównawcze na temat roli piechoty, kawalerji i artylerji zdradzają wyraźną, zrozumiałą zresztą predylekcję dla piechoty, dla której zagadnienie motoryzacji jest daleko prostsze. Autor pomija jednak nieaktualne fantazje „techniczno-wojskowe", do których brak jeszcze realnych podstaw. Gen. Sikorski — zupełnie słusznie — domaga się przytem przygotowania do wojny długotrwałej, przypominając przykład Niemiec, które właśnie z powodu wiary w krótkotrwałość wojny ją przegrały. Żąda on na czas wojny uposażenia rządu w dyktatorskie pełnomocnictwa i ograniczenia parlamentu do wyłonionej przezeń komisji, reprezentującej „wolę narodu".

Ze strony pokojowo usposobionych narodów jakiekolwiek zaniedbania w zorganizowaniu i przystosowaniu do charakteru przyszłej wojny ich obrony, byłyby szaleństwem, gdyż „pokój za wszelką cenę" jest równoznaczny z prowokacją wojny. Sądzę dlatego, że książka gen. Sikorskiego winna się znaleźć na biurku każdego zatroskanego o bezpieczeństwo Ojczyzny obywatela, chociażby — tak jak niżej podpisany — w wojnę nie wierzył. Skoro zaś świat nigdy nie stoi miejscu i żaden *status quo* nie może być wiecznym — więc: *caveant consules.* *Adam Romer.*

Schulze Friedrich u. Ssymank Paul: Das deutsche Studententum von den ältesten Zeiten bis zur Gegenwart. 4-te, völlig neu bearbeitete Auflage. Verlag für Hochschulkunde. München 1932. Str. 524.

Dzieło Schulzego i Ssymanka przynosi nam pełny, obszerny, na wielkim materjale źródłowym oparty podręcznik dziejów życia

studentów szkół i uniwersytetów niemieckich od najdawniejszych czasów. Drugi z wymienionych autorów jest twórcą i kierownikiem osobnego instytutu, mającego na celu zbieranie wszelkiego rodzaju materjałów źródłowych do dziejów życia i związków studentów niemieckich. Instytut ten istnieje przy uniwersytecie w Getyndze, a zbiory jego są już bardzo bogate. Schulze opracował czasy dawniejsze po rok 1750, Ssymank resztę. Część pierwsza jest znacznie krótsza, obejmuje zaledwie 158 str. Autor przedstawia najpierw w krótkim zarysie dzieje najstarszych uniwersytetów, życie scholarów na nich i studja niemieckich studentów tamże, w drugiej grupie rozdziałów mamy dzieje uniwersytetów niemieckich i dzieje ich scholarów z okresu przedreformacyjnego, w trzeciej okresu reformacji i kontrreformacji, wreszcie okresu laicyzacji i uniezależniania się uniwersytetów od wyznań religijnych. Ssymank bardzo wyczerpująco omawia poszczególne okresy, ze specjalnem uwzględnieniem ważniejszych kierunków ideowych, religijnych, społecznych i politycznych wśród młodzieży niemieckiej. Autorzy, uważają swoją pracę za podręcznik, nie dają nam dokumentacji, książka nie posiada zupełnie przypisów. Ten brak w części wyrównuje obszerna i drobiazgowa bibljografja, dołączona do każdego rozdziału. Ponieważ w okresie reformacji i kontrreformacji, a potem w XIX w. liczne rzesze polskiej młodzieży, tak katolickiej jak i protestanckiej, udawały się na studja na uniwersytety niemieckie, przeto dzieło omawiane historykom wychowania i kultury naszej odda dobre przysługi.

Ks. St. Bednarski T. J.

Hermann Muckermann: Gestaltung der Lebenslage. XVI Aufl. Freiburg im Breisgau 1934, Herder & Co. Str. XIV+274 (br. 4 RM, opr. 5·20 RM).

Podstawą państwa i narodu jest rodzina, ale tylko rodzina wierna prawom moralnym i „prawom natury", fizycznie i duchowo zdrowa; dlatego troska o nią powinna stać na pierwszym planie. Troska ta nie może jednak ograniczyć się do odwoływania się do moralności, ale musi również objąć gospodarczą stronę, zabezpieczyć rodzinie należyte warunki bytu i rozwoju. Warunkiem powodzenia całej tej akcji jest duchowa przebudowa społeczeństwa w kierunku zwalczania dzisiejszego materjalizmu i egoizmu, a ta nie da się nigdy przeprowadzić bez odrodzenia religijnego. — Tak brzmi w streszczeniu teza, jaką znakomity i głośny dziś w całych Niemczech eugenik, H. Muckermann, przeprowadza w niniejszej książce, stanowiącej drugą część wydawnictwa „Kind und Volk".

Zagadnieniami, które w związku z liczną rodziną i aktualnemi trudnościami czasów powojennych najwięcej zajmują autora, jest sprawa karmienia niemowląt przez matkę i kwestja mieszka-

niowa. Co do pierwszego zagadnienia, autor opiera się nietylko na bogatej literaturze, ale także na specjalnych, przez siebie poczynionych doświadczeniach i obliczeniach, które wykazują, że karmienie przez matkę jest dobrodziejstwem, fizycznem i duchowem, dla niej i dla dziecka, zmniejsza znacznie śmiertelność niemowląt, wzmacnia ich odporność na choroby. Kwestję mieszkaniową uważa autor za szczególnie ważną, wykazuje szkodliwość koszarowych pomieszczeń po wielkich miastach, a jako idealne rozwiązanie podaje: dla każdej rodziny osobny domek z ogródkiem.

Książka powyższa napisana jest dla Niemców, do nich się zwraca, uwzględnia ich stosunki i statystyki; poza tem przytoczona jest tylko Francja, ale jako odstraszający przykład wyludnienia i łamania praw natury. Zawarte tu naukowe badania i praktyczne wskazówki mają jednak znaczenie ogólne i jako takie zasługują na najszersze zapoznanie się z niemi.

Ks. S. Podoleński T. J.

Ks. Franc. Rutkowski: Arcybiskup Jan Cieplak. Warszawa 1934, str. 418, cena 12. zł.

Postać arcybiskupa J. Cieplaka będzie miała piękną kartę w historji Kościoła katolickiego. On to, po wyjeździe ks. metropolity Roppa do Polski, zarządzał archidiecezją mohylewską w rewolucyjnych czasach, bronił praw Kościoła do ostatka, zasiadł też wraz z kilkunastu swymi kapłanami na ławie oskarżonych przed sądem proletarjackim i skazany został na śmierć. Wyroku nie wykonano tylko dzięki oburzeniu, jakie on wywołał w całym świecie. Mianowany arcybiskupem wileńskim, umarł jednak na obczyźnie, wśród Polaków w Ameryce.

Ks. Rutkowski obejmuje w swej książce całe życie ks. Cieplaka, najwięcej jednak słusznie się zatrzymując na jego rządach w Petersburgu, procesie i więzieniu. Książka napisana z wielkim pietyzmem dla ś. p. arcybiskupa. Autor zebrał w niej wiele cennego materjału historycznego, ile naprawdę w obecnych warunkach zebrać było można. Zczasem wiadomości podane przez autora trzeba będzie uzupełnić, względnie w szczegółach sprostować na podstawie archiwalnych dokumentów lub zapisków różnych osób. Tak np. w sprawie stosunku ks. arcybiskupa do akcji unijnej w Petersburgu możnaby powiedzieć więcej i nieco inaczej, jak to jest wiadomo niżej podpisanemu, który miał pewien udział w owych sprawach. Pomimo nieuchronnych w danych okolicznościach usterek, książka ks. Rutkowskiego powinna znaleźć duże rozpowszechnienie w naszem społeczeństwie. Wartość jej podnoszą liczne i piękne ilustracje.

Ks. J. Urban.

Ks. Zygmunt Choromański: W obronie chrześcijańskiego małżeństwa. Warszawa 1934. Str. 161.

Okres kilku ostatnich lat jest tu zamknięty. Od sprawozdania sekretarza gen. prof. Rappaporta, w grudniu 1928 r., które już niedwuznacznie dawało do poznania, że projekt naszej Komisji kodyfikacyjnej uzna rozwody, i od wyraźnego już oświadczenia w tej mierze na akademji jubileuszowej tejże Komisji, z początkiem 1929 r., aż do ogłoszenia samego Projektu oraz ostatnich paru lat wyczekiwania. Nie jest to jednolita rozprawa, książka niniejsza jest tylko zbiorem feljetonów, zamieszczonych przez autora w *Kurjerze Warszawskim*, nie można więc żądać od niej dokładnego rozbioru i gruntownego ujęcia rzeczy. Niemniej informuje ona dostatecznie o przebiegu wypadków, o treści projektu prof. Lutostańskiego, a równocześnie podaje katolicką naukę o małżeństwie i uzasadnia stanowisko, jakie katolickie społeczeństwo musiało zająć wobec Komisji kod.

Z tych wszystkich względów książka jest pouczająca i godna polecenia. Ma ona jednak inną jeszcze cenną zaletę. Wyjaśnianie stanowiska katolickiego i polemika w jego obronie staje się dziś coraz częściej potrzebną, a niestety niezawsze prowadzona jest w odpowiednim duchu i formie. Książka ks. kanclerza Choromańskiego może służyć za wzór, jak można pogodzić rzeczowe i, gdzie chodzi o zasady, nieustępliwe stanowisko, z wielkim umiarem, spokojem i poszanowaniem, nawet mało kulturalnego, przeciwnika.

Ks. S. Podoleński T. J.

Makuszyński Kornel: Śpiewający djabeł. Lwów 1934. 8°. str. 288.

Pod tym ogólnym tytułem zebrał autor garść artykułów, powiązanych w kilka grup. Pierwszą z nich stanowią przemiłe feljetony podróżne z Włoch. Pod lekkim tonem gawędy, niepozbawionym właściwej autorowi, nużącej niekiedy, maniery, ukrył tu uśmiechnięty pisarz głębię rzetelnego odczucia wiecznej poezji najpiękniejszego kraju świata. Obok zreferowania uczuć, jakie budzi istotny duch miast (Florencji i Wenecji) jest mądra „Pochwała Bokacjusza“ i bardzo piękny feljeton o padewskim „Świętym, któremu nie trzeba imienia“. Jak impresje z Florencji i Wenecji świadczą nie o jednorazowym pobycie w „kraju słońca“, lecz o gorącem umiłowaniu na podstawie wielokrotnych pielgrzymek, tak postawienie obok siebie autora „Dekamerona“ i św. Antoniego Padewskiego dowodzą systematycznego ujmowania dwóch rozbieżnych, a istotnych kierunków italskiego ducha. Drugą grupę tworzą wspomnienia o dawnych stosunkach literackich, wyzłocone przez oddalenie słońcem dobroci i wzajemnego braterstwa. Dowcipne i zabawne naigrawanie się z różnych głupstw współczesnego życia, z nawiasową niekiedy uwagą o ludzkich tragedjach stanowią dalsze grupy zatytułowane „Czarno na białem w gazecie“ i „Radjo,

telefon i śpiew". Zwolennicy brydża uśmieją się, czytając trafne charakterystyki kibiców w humoreskach „Z niedoli brydżowych". Na zakończenie oglądamy „Bałtyk z lotu mewy".

Urozmaicona treść, swoisty rodzaj humoru sprawiają, że nowa książka Makuszyńskiego, znajdzie napewno chętnych czytelników. Pod lekką formą dociera do szerszych kół w humoreskach tego popularnego pisarza niejedna myśl obywatelska. Głoszenie zaś ideału chrześcijańskiej miłości bliźniego stanowi jego wielką zasługę.

Z. K. C.

Michalina Grodzicka: Jenerałowa Zamoyska. Księgarnia Św. Wojciecha. Poznań 1934. Str. 60.

Tak wybitnej postaci, jaką była Jenerałowa z Działyńskich Zamoyska, nie poświęcono dotąd szerszej i głębszej, a zarazem krytycznie nienagannej pracy. Wprawdzie w r. 1930 we Francji ukazało się pokaźne dzieło, zawierające korespondencję Jenerałowej, p. t.: *Une grande âme — une grande oeuvre* (Paryż 1930) z przedmową Arcybiskupa Baudrillart'a, a w Polsce od r 1925 „Pisemko Kuźniczanek" drukuje pamiętniki Jenerałowej, — to jednak obie te rzeczy nie są życiorysem Pani Zamoyskiej, lecz jej własnem dziełem.

Książka p. M. Grodzickiej choć niewątpliwie dobra i pożyteczna w części tylko wypełnia ową dotkliwą lukę.

Po słowie wstępnem ks. dr. St. Brossa, zawierającem dużo bogatych myśli, rzecz właściwa dzieli się na 3 rozdziały. W dwóch pierwszych p. G. rzuca kilka faktów z młodości i wieku dojrzałego Zamoyskiej, w r. III przedstawia zasady i poglądy Jenerałowej na pracę ręczną, umysłową, duchową, — czytanie Pisma św., rodzinę i wychowanie.

Fakty z życia, oraz zasady i poglądy P. Zamoyskiej podaje p. G. we własnem oświetleniu i zaopatruje je własnym komentarzem, opiera się jednak niemal wyłącznie na pracach samej Jenerałowej: „O Pracy", „O Wychowaniu", oraz na wyżej wspomnianem dziele: *Une grande âme...* Nie mamy tu więc do czynienia z ściśle wziętą biografją, ale z rodzajem ogólnego wspomnienia, co wypadało na wstępie zaznaczyć. Zresztą jest to praca miła i staranna, która słusznie zajęła miejsce w książnicy Akcji Katolickiej jako jej tom 21-y. *M. R.*

Notatki bibljograficzne.

Cyprjan Norwid: Miłość czysta u kąpieli morskich. Komedja. Z autografu wydał Z. Przesmycki. Warszawa 1934. str. 34.

Przy wzrastającem w naszych czasach zainteresowaniu, jakie budzi twórczość Norwida, dobrą usługę literaturze naszej wyświadczył Przesmycki wydając w „Bibljotece dramatycznej" dra-

matyczne scenki tego poety składające się na krótką komedyjkę. Spostrzegawczość i swoisty humor poety-myśliciela święcą w tym urywku prawdziwe triumfy. Nawet właściwa Norwidowi ciemność i zawiłość ustępuje w komedyjce tej miejsca pogodnemu uśmiechowi na widok „zaczarowanego koła" ziemskich perypecyj...

Jerzy Braun: Epitaphium. Warszawa 1934. Str. 20.

Pełen entuzjazmu życiowego i dużej kultury literackiej, młody poeta głosi pieśń pochwalną Hoene-Wrońskiego z okazji odsłonięcia pomnika jego na cmentarzu Neuilly w Paryżu. Rzecz napisana z polotem, pełna śmiałych porównań i figur poetyckich.

Dal zamglona w wypukłość nabrzmiewa
i z mgieł lepi gigantyczną bryłę.
Już ją gromów rzęsistych ulewa
zaciosami rzeźbi ukośnemi.
Widzę: bloki pochyłe.
Biała postać na cokole ziemi...

Niejaką wadą pieśni jest pewna napuszystość i zbytnie wyolbrzymianie znaczenia filozofa, który, bądź co bądź, przy całym swym talencie, sporo wykazuje błędów i niejasności.

Leopold Lewin: Sen zimowy. Warszawa 1934. Nakładem księgarni F. Hoesicka str. 24.
Henryka Łazowertówna: Imiona świata. Wydawnictwo Droga. Warszawa 1934 str. 24.

Oba te wydawnictwa nie przedstawiają żadnej wartości literackiej i są typowemi okazami wypaczonej grafomanji. Mimo szumnych tytułów i pięknego papieru, na jakim zostały wydane, nikogo z inteligentnych czytelników nie przejmie grozą „lawina nakrywająca Karłowicza *stosem grających klawiszy*" ani nie pociągną słodko — nudne bajania liryczne, pełne sfinksowej zagadkowości, pokrywającej nieudolnie brak wszelkiego talentu autorki „Imion świata...!"

D. W. Mut; Święta Teresa od Dzieciątka Jezus. Tłumaczył i uzupełnił ks. Stanisław Szpetnar. Jarosław 1933. In 12, str. 170 i 1 ilustr.

Do stosunkowo pokaźnej u nas literatury o św. Teresie od Dz. J. przybywa nowa książeczka, będąca tłumaczeniem dwu broszur niemieckiego pisarza katolickiego, Dra W. Muta, uzupełnionem przez ks. Szpetnara zwięzłym życiorysem i charakterystyką Świętej. Przeważną część książeczki zajmuje nabożeństwo do św. Teresy (nowenna i triduum), w zakończeniu znajduje się statut niemieckiego Stowarzyszenia św. Teresy i bliższe objaśnienie tej organizacji.

Inż. Mieczysław Pluciński: Budowa kajaków. Kajak żaglowy „P. 7". Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa (4·50 zł.)

Sport żeglarski rozwija się u nas coraz pomyślniej i może się wykazać pewnemi sukcesami, na przeszkodzie w dalszym jego rozwoju stoi wszakże drożyzna sprzętu. W celu zaradzenia temu Państw. Urząd Wychowania Fiz. i Przysposobienia Wojsk. zaczął badać różne typy kajaków żaglowych, zagranicznych i projektowanych u nas, i jako najodpowiedniejszy przyjął typ konstrukcji inż. M. Plucińskiego. Typ ten, oznaczony mianem „P. 7", posiada zalety dobrej i bezpiecznej żaglówki, a jednocześnie daje się użyć jako łódź wiosłowa, tak że Polski Związek Kajakowców proponuje go jako typ międzynarodowy. — Wymienione powyżej wydawnictwo jest jasnym i praktycznym podręcznikiem budowy takiego kajaka; zawiera on liczne ilustracje i plik planów konstrukcyjnych, umożliwiających każdemu, jako tako obeznanemu z warsztatem stolarskim, budowę kajaka „P. 7".

Jan Marski: Noc poślubna. Szkice. Poznań 1934. Księgarnia Nakładowa (ul. Sew. Mielżyńskiego 24). Str. 79.

Tytuł sensacyjny, zanadto może; wiersz wstępny w formie zbyt prostej. Ale czytelnik, którego to nie zniechęci i który szczerze szuka ideału w życiu, będzie zdumiony. O miłości, stosunku mężczyzny do kobiety, o małżeństwie i rodzinie znajdzie tu prawdy głębokie, życiowe, wzniosłe. Znajdzie to, co piszą najlepsze rozprawy o tych zagadnieniach, z tą różnicą, że to samo ujęte tu zostało w słowach prostych, serdecznych, z duszy płynących. Młodym ludziom i młodym małżeństwom powie ta książeczka wiele; starszym wytłumaczy niejedno, przypomni najszczęśliwsze chwile i może je powróci.

Świat i Życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. Tom II, zeszyt 4—6. Warszawa—Lwów, Książnica-Atlas.

Nowe trzy zeszyty popularnej tej encyklopedji zawierają szereg interesujących rozpraw z różnych dziedzin nauki i życia. Obok zwięzłego całokształtu wiadomości o Grecji, Gdyni i Gdańsku, mamy obszerny i wszechstronnie opracowany rozdział o Francji. Z przyrodniczych zasługują na uwagę rozprawy o: gadach, pojęciu gatunku biologicznego, gruźlicy, gruczołach i grzybach. Z innych działów wspomnieć możemy: fortyfikacje, fotografja, gazy bojowe, gospodarka, górnictwo, granice polityczne państwa, gwary, gwiazdy. Do każdego zeszytu dołączone są starannie wykonane tablice z ilustracjami, z tych parę barwnych.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Pierre Tequi, Paris VI, 82 rue Bonaparte:

V-mte Hippolyte Le Gouvello: Armelle Nicolas, Servante des hommes et Amante du Christ. 2. Ed. Str. XVIII+366 z ilustr.

R. P. Petitalot S. M.: Un Mois de Marie sur le Vie de la Très Sainte Vierge. Nouvelle éd. Str. IV+232.

S. Em. le Cardinal Gibbons: La Foi de nos Pères, ou exposition complète de la Doctrine chrétienne. Traduit de l'Auglais par l'Abbé Ad. Saurel. 5 Ed. Str. XXVI+474.

M. l'Abbé de Cazales: La douloureuse Passion de N. S. Jesus-Christ (Trad.). 46 Ed. Str. 376.

Nakładem różnych.

Lud. Lercher S. J.: Institutiones Theologiae Dogmaticae. Vol. II: de Deo Uno et Trino, de Deo Creante et Elevante. 2 wyd. Innsbruck 1934, Fel Rauch. Str. XXVI+518.

Juljusz Nowak: Satyra polityczna Sejmu Czteroletniego. Kraków 1933 („Prace historyczno-literackie"). Str. VII+233.

Zygmunt Leśnodorski: Lucjan w Polsce. Tamże, 1933. Str. VII+94.

Tadeusz Mikulski: Ród Zoilów. Z dziejów staropolskiej krytyki literackiej. Tamże, 1933, Str. 135.

Apolonja Załuska: Poezja opisowa Delille'a w Polsce. Tamże, 1934. Str. VI+174.

Roman Kołoniecki: Solo fletowe. Warszawa 1934. Wyd. *Droga* Str. 79.

Michał Janik: W służbie idei niepodległości. Pamięci Hipolta Śliwińskiego. Kraków 1934 (druk jako rękopis). Str. 99 z ilustr.

Victor Giraud: Paul Bourget. Essai de psychologie contemporaine. Paris, Bloud et Gay. Str. 213.

Magdalena Samozwaniec: Ponura materjalistka. Poznań 1934, Biblj. *Dziennika Poznańskiego*. Str. 112.

Małżeństwo a Kościół. Cykl odczytów. Warszawa 1934, Wyd. Ks. Pallotynów. Str. 157.

Dr. Henryk Życzyński: Lalka Prusa. Studjum syntetyczno-porównawcze. Lublin 1934, T-stwo Nauk: Katol. Uniwersytetu Lub. Str. 41.

Dr. Joannes Krzemieniecki: Bernardinus Galletius de Jadra, Vicarius et Off. Gen. Cracowiensis 1509—1517. Cracovia 1934. Str. 232.

Jerzy Kossowski: Rodzina Smuszków. Warszawa 1934, Gebethner i Wolf. Str. 358,

Iwan v. Kologriwof: Die Metaphysik des Bolschewismus, Seine geistigen Quellen, Geschichte und Wesen. Salzburg, Auton Pustet. Str. 80.

Dr. Friedrich Jürgensmeier: Der Mystische Leib Christi als Grundprinzip der Aszetik. 3 Aufl. Paderborn 1934, Verl. Ferdinand Schöningh, Str. 381.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pomiędzy liberalnem a „totalnem" państwem. — Problem dzisiejszego młodego pokolenia. — Nauka religji a obecne potrzeby katolicyzmu w Polsce.

Kiedy lat temu zgórą czterdzieści, przez encyklikę *Rerum novarum*, rzucił Kościół hasło reform społecznych na korzyść pracującego ludu, nowy ten program katolicki spotkał się w liberalnie nastrojonych kołach z wyraźną niechęcią. Pomawiano Papieża robotników o socjalizujące tendencje; zarzucano mu nieznajomość najgłębszych zasad społecznego i ekonomicznego życia; na całe jego reformatorskie plany zapatrywano się jako na piękną teorję, która próby urzeczywistnienia wytrzymać nie potrafi.

Ten zły humor zresztą nie był wówczas zbyt trudny do zrozumienia. Koło lat dziewięćdziesiątych bowiem ubiegłego wieku liberalizm przeżywał swoje najpiękniejsze chwile. Przeróżne złe następstwa, jakich zarodki nosił on w swem łonie, wtedy jeszcze nie występowały zbyt jaskrawo, a wszechstronny postęp kulturalny, który on zapisywał na swe dobro, rzucał się w oczy wszystkich; przeciwnik jego socjalizm — bo o zorganizowanym komuniźmie nie było jeszcze mowy — wzrastał wprawdzie na siłach, ale daleki jeszcze był od późniejszej potęgi, a zwłaszcza nie miał tego nimbu na czole, jakim okryła go w pewnych oczach ta odrobina słuszności i prawdy, którą, nie w jego teorjach, ale motywach, dalszy rozwój kwestji socjalnej uznać kazał.

Ale jeśli da się jeszcze zrozumieć, że społeczna myśl Kościoła mogła nie budzić entuzjazmu blisko pół wieku temu, trudniej pojąć, że owo niechętne usposobienie tych samych kół, nawet zbliżonych do katolickiego światopoglądu, mogło przetrwać aż do dzisiejszego dnia. A jednak jest faktem, że pomimo zupełnego bankructwa, do jakiego prze-

rost liberalizmu doprowadził ekonomiczne i społeczne życie ludzkości, pomimo poważnych refleksyj, jakie powinien był nasunąć i bolszewizm rosyjski i gwałtowny wzrost socjalizmu, któremu dopiero ostatnio położyły tamę, bynajmniej nie liberalne zasady i czynniki, pomimo wreszcie, że cały kierunek przebudowy społecznej, jaki przyjmuje dzisiejsza myśl państwowa, dość wyraźnie się już zbliża do drogi przez Kościół wytkniętej — duża część wychowanej na liberaliźmie inteligencji, tak u nas, jak i zagranicą, zachowuje wobec socjalnych wskazań Kościoła, skrystalizowanych zwłaszcza w encyklice *Quadragesimo anno*, bądźto chłodną rezerwę, bądź nawet wyraźnie nieżyczliwą, sceptyczną a lekceważącą podstawę.

Czem to zjawisko wytłumaczyć?

Z pewnością grają tu rolę i nawyknienia myślowe, które poza pewne kategorje pojęć wychylić się poprostu nie umieją i ciche uprzedzenie, że z kół kościelnych, jak niegdyś z Nazaretu, w społecznej dziedzinie nic dobrego wyjść nie może i to uczucie, że reforma społeczna w duchu katolickim nie może nie uszczuplić stanu posiadania tych klas, którym panowanie liberalizmu pod wielu względami przyniosło bardzo realne korzyści. Liberalizm bowiem nietylko ekonomicznie wysunął nawierzch niektóre jednostki, na szkodę wielu innych, ale dopomógł do wytworzenia pewnej elity intelektualnej, która opływając sama we wszystkie kulturalne dobra, tak dalece straciła kontakt z dużo liczniejszemi warstwami niższemi, że wcale już nie potrafiła wczuć się w to niesłychanie ciężkie i krzywdzące położenie, w jakie tenże sam liberalizm je wprowadził. Kościół przeciwnie, choć wszystkie klasy jedną miłością ogarnia, już przez to samo, że od pierwszych chwil swego istnienia, żyje, rozwija się, pracuje przedewszystkiem wśród warstw niższych, wczuwa się w ich położenie, wsłuchuje się w ich słuszne skargi i dlatego nie waha się głośno się odezwać: Ten stan rzeczy jest niesprawiedliwy; dobra doczesne i czysto materjalne i kulturalne rozłożone są dziś niewłaściwie i muszą być odtąd rozdzielane według innej zasady, choćby klasy dotąd uprzywilejowane miały na tej przemianie w pewnej mierze ucierpieć.

Oto tego właśnie lękają się zwolennicy liberalizmu, rekrutujący się przeważnie z owych klas materjalnie i kulturalnie faworyzowanych i dlatego na tę wspaniałą naukę kościelną, która od *Rerum novarum* do *Quadragesimo anno* coraz to większej nabiera precyzji i siły, wolą mniej lub więcej otwarcie ramionami ruszać i pocichu lub głośno powtarzać, że to piękna teorja, z której w praktyce nic wyjść nie może.

Ale jeżeli te były dotychczas główne racje, dla których dzisiejsi epigoni manchesterjanizmu odnosili się chłodno do społecznej nauki katolickiej, to ostatniemi czasy przybył im jeden jeszcze argument, o najświeższe zjawiska na politycznem i społecznem polu oparty. Coraz częściej spotkać się można z dylematem: Co wolicie? Albo polityczny i ekonomiczny liberalizm, albo „państwo totalne", czy to na bolszewicką, czy na faszystowską, czy na hitlerowską, czy na inną podobną modłę. *Tertium non datur,* bo to solidarne spojenie wszystkich klas, o jakiem myślicie i podporządkowanie ich pod jeden cel ogólnego dobra, skoro nie może dokonać się swobodną konkurencją, musi dokonać się siłą. A ponieważ wszelki ustrój nie wyrastający swobodnie z życia, tylko nałożony zgóry przez wszechwładne państwo, musi koniec końców wyrodzić się w niewolę, cały wasz osławiony „solidaryzm" wyrodzi się w system ucisku, który w organizm społeczny wprowadzi najpierw mechanizację, potem nieuchronny marazm.

Że w tym zarzucie tkwi cząstka prawdy, to zaprzeczyć się nie da. Bo najpierw sami nawet najzagorzalsi i najoptymistyczniej nastrojeni zwolennicy solidaryzmu chrześcijańskiego otwarcie przyznają, że reformy społeczne, przynajmniej w pierwszem pokoleniu, będą musiały być nałożone siłą, [1]) co suponuje oczywiście niesłychanie rozwinięty mechanizm etatystycznego państwowego ustroju. Miarodajny zresztą w tym względzie jest eksperyment włoski. Z drugiej zaś strony nie ulega żadnej wątpliwości, że wtłoczenie społeczeństwa w tryby etatyzmu z konieczności zabija inicjatywę indywidualną, a z nią pęta lub łamie główną sprężynę wszelkiego rozwoju. Zdawałoby się więc istotnie, że jeśli Kościół nie chce „totalnego" państwa, a sympatje swoje w tej mierze chyba już niedwuznacznie objawił, to nie powinien odżegnywać się tak silnie od liberalizmu, jak to w tej chwili czynić się zdaje.

Nie pomylimy się może, sądząc, że dzisiaj zwłaszcza, gdy zagadnienia przyszłego ustroju tak bardzo zajmują umysły nawet katolickich myślicieli, warto wspomnianej trudności poświęcić chwilę uwagi.

Przedewszystkiem przypomnieć trzeba, co tak słusznie na nowo zaznacza świeża odezwa Rady Społecznej przy Prymasie Polski, że Kościół, lubo z n e g a t y w n e j strony, pewne formy ustroju np. komunizm i socjalizm, zasadniczo potępia, gdzie chodzi o p o z y t y w n ą robotę, nigdy nie występuje z gotowym programem i wykończonym planem czy to politycznego czy społecznego ustroju. Takie plany mogą

[1]) Por. np. L. Caro „Solidaryzm" Lwów 1931, str. 11.

i powinni na własną rękę i odpowiedzialność opracowywać socjologowie katoliccy, ale nauczający Kościół nie może im w tej pracy inaczej pomagać, jak przez ogólne, zasadnicze oświetlenia i wyjaśnianie ducha, w jakim reformy społeczne podejmować należy. Tem mniej jeszcze wdaje się Kościół w przepisywanie konkretnych sposobów, jakich użyć wypadnie, by te lub owe reformy społeczne w życie wprowadzić.

Z tego to powodu nie można powiedzieć, żeby między nauką Kościoła jako taką, a którymś z określonych, dopuszczalnych jeszcze systemów społecznych istniała czy to zupełna harmonja, czy bezwzględna opozycja, bo jedna i druga tam tylko miejsce mieć może, gdzie ma się do czynienia z dwiema formami odrębnych i zupełnie ściśle skrystalizowanych teoryj. Można więc powiedzieć, że Kościół odchyla się od liberalizmu, bo przypisuje mu słusznie główną winę w wytworzeniu obecnego gospodarczego i społecznego rozstroju, ale z tego bynajmniej nie wynika, żeby wszystko potępiał, co było w liberaliźmie dobre i szlachetne; można powiedzieć, że przychyla się ogólnie do pewnej autorytatywnej reglamentacji procesów wytwarzania i rozdziału dóbr, ale to wcale nie znaczy, jakoby bezwzględnie pochwalał etatyzm czy tem mniej jakiekolwiek formy „totalnego państwa".

Ale powtóre jest jeszcze inny ważny wzgląd, którego w tej kwestji nigdy z oczu tracić nie należy.

Przypuśćmy, że pracą katolików, pod tem ogólnem, o jakiem mówiliśmy, kierownictwem Kościoła, powstanie jakiś klasyczny, ściśle wykończony plan, np. korporatywnego ustroju społecznego i przypuśćmy, że ten plan — jak może będzie się działo w Austrji — pod presją rządu a z milczącą aprobatą Kościoła, zacznie powoli wchodzić czy wtłaczać się w życie. Czy można będzie wtedy powiedzieć, że Kościół zbliża się do etatystycznych zasad, albo, jak parę miesięcy temu głosił v. Papen, że społeczne tendencje „totalnego" państwa pokrywają się prawie z metodami reform społecznych, jakie wskazują ostatni papieże?

Jest bardzo daleko do tego, żeby tak powiedzieć można, a to z tego powodu, że pomija się tu zazwyczaj jeden czynnik, największej wagi.

Oto w jakimkolwiek katolickim planie społecznego ustroju te lub owe formy zewnętrzne niewiele jeszcze znaczą same przez się. One są oczywiście potrzebne, ale wreszcie są c i a ł e m tylko, do którego też się odnoszą wiecznie prawdziwe słowa: *Duch jest, który ożywia, ciało na nic się nie zda.* A tym duchem, który ożywia i ożywiać musi wszelkie k a t o l i c k i e plany społecznych reform, jest coś, na co niema może miejsca w ramach suchej, socjologicznej doktryny, ale jednak coś tak niezmiernie ważnego, że jego brak

wywołał wszystkie te niedomagania, na jakie dzisiejsze społeczeństwa chorują. A mamy tu na myśli tę jedną siłę, którą czasby był doprawdy i uznać jasno za najważniejszą sprężynę socjalnego życia i starać się usilnie w to życie wprowadzić, t. j. chrześcijańską miłość. Pożyteczne bowiem, owszem konieczne są naukowe dociekania i dyskusje, jak budowa nowego ustroju społeczeństw, w myśl katolickich zasad ma w szczegółach wyglądać i jak konkretnie ma się ziścić, ale do rezultatów wszystkich tych studjów można zgóry i bez obawy błędu zostosować Pawłowe: *Gdybym miłości nie miał, niczem nie jestem.* Jak nauka katolicka miała odwagę powiedzieć, że z czynników wpływających na społeczne i gospodarcze życie nie można wykluczać względów etycznych, tak trzeba postąpić o krok wyżej i zupełnie jasno stwierdzić, że w łonie chrześcijańskich społeczeństw, a wszystkie są obecnie przynajmniej powołane do chrześcijaństwa, nie da się przeprowadzić żadna skuteczna przebudowa ustroju, dopóki w grę nie wejdzie, owszem nie obejmie w tej grze głównej roli, ta nadprzyrodzona miłość, której Chrystus nauczył, miłość, która kocha Boga z całego serca, a bliźniego jak sam człowiek siebie. Ważna jest i nieodzowna myślowa struktura katolickich socjologicznych planów, ale one tylko wtedy zbliżą się istotnie do realizacji i wtedy będą w pełni katolickie, kiedy w sercu społeczeństw rozwinie się to, co jest duszą wszelkiego ustroju, bo jest najsilniejszym czynnikiem wszelkiego trwałego zjednoczenia.

I tutaj tkwi już odpowiedź na pytanie, w jaki to sposób myśl katolicka może wyminąć Scyllę i Charybdę liberalnego z jednej, zetatyzowanego z drugiej strony, ustroju. Sternikiem łodzi, zapuszczającej się śmiało w tę wąską cieśninę może i musi być miłość. Miłością odróżnia się prawdziwy ustrój katolicki od liberalnego, bo liberalizm to jest egoizm, to jest indywidualizm, co atomizuje, rozdrabnia i burzy; tą samą miłością wyodrębnia się od wszelkiej formy etatyzmu czy statolatrji, bo nic na świecie tak się nie sprzeciwia zmechanizowaniu, jak miłość i nic nie jest taką antytezą rasystycznej, czy imperjalistycznej, czy czysto materjalistycznej zbiorowej dumy, która w gruncie niczem innem nie jest, jak egoizmem, podniesionym do drugiej, czy wyższej jeszcze potęgi. A z drugiej strony ta sama miłość przejmuje z liberalizmu wszystko, co w nim jest prawdziwie piękne i zdrowe, bo miłość jest wolnością i swobodą a zarazem dochodzi na prostszej drodze do tego, co silna państwowość stara się, a czego najczęściej nie może osiągnąć, t. j. do koordynacji działań i wyrobienia ducha ofiary.

Być może, że miłość chrześcijańska to jest „wielkość", z którą nie ma co począć teoretyczna socjologja czy na ka-

tedrze, czy nad zielonym stołem, ale sądzimy, że do budowy nowego, da Bóg lepszego, społecznego ustroju, nikt lepiej nie przyczynia się nad tego, który potrzebę miłości i spekulatywnie uzasadnia i przedewszystkiem praktycznie wprowadzić w życie usiłuje.

W chwili, kiedy piszemy te słowa, kończy się w Nowym Sączu uroczysty, manifestacyjny pogrzeb człowieka, którego tragiczny zgon jest poniekąd ilustracją rzeczy, o jakiej mówimy w tej chwili. Bo choć niewiadomo jeszcze dzisiaj jakiej to indywidualnej dłoni i jakiej grupy społecznej ś. p. Minister Pieracki stał się niewinną ofiarą, jedno można powiedzieć z całą pewnością, że ten ohydny mord, jak wszystko się zdaje, polityczny, mógł zrodzić się ideowo i dojrzeć tylko w takiej atmosferze, którą nie miłość ożywiała, ale zatruwała nienawiść.

Ponury ten fakt nasuwa bardzo wiele refleksyj, ale na pierwszy plan wysuwa się jedna, którą zaraz bardzo słusznie poruszyły najpoważniejsze w kraju organy, a dotyczy ona kierunku, jaki przybrał ostatniemi czasy stan psychiczny naszej młodzieży.

Że wśród tej młodzieży dzieje się coś niesamowitego i w najwyższym stopniu niepokojącego, to nie może ujść uwagi nawet bardzo powierzchownego obserwatora. Na te biedne głowy, których niedouczenie i niewyrobienie wszyscy wychowawcy i profesorowie zgodnie stwierdzają, na te systemy nerwowe, które tworzyły się i zaczynały życie wśród grzmotów, wśród głodów i tysiącznych niedoli wielkiej wojny, uderzyła dziś fala niepojętego podniecenia ideowego. W tych mózgach wre i kipi jak w garnku, a fermentuje wszystko, jak w beczce młodego wina. Co chwila powstają nowe ugrupowania polityczne, które natychmiast czują się w obowiązku przez nowe organy, myśli swych dwudziestokilkoletnich głów rzucać w szeroką publiczność, a pisma te i pisemka są tego rodzaju, że zasługiwałyby na osobne i literackie i zwłaszcza psychologiczne studjum. Młodzi autorowie tych ciekawych elukubracyj prześcigają się wzajem i w radykaliźmie swych teoryj i w gwałtowności swego stylu i w soczystości swych wyrażeń, a te nieprawdopodobne bądźto głupstwa, bądźto szkarady, rozgłaszają z takim tupetem, z taką pewnością siebie, z takiem bezgranicznem zuchwalstwem, że niewiadomo doprawdy z czem się tu ma głównie do czynienia, z intelektualnem, czy z moralnem, czy z psychicznem zboczeniem. Co troszkę się czyta, że wszystko co było dotąd to nic zgoła, albo prawie nic nie warte, że wszystko nieomal budować trzeba od nowa, a przy tej budowie największe nawet powagi świata na nic lepszego nie zasługują, jak na uśmiech

politowania lub na lekceważący ruch ramion. Szczęściem, że „młodzi idą" i ci młodzi wszystkich nauczą, wszystko naprawią, wszystko urządzą, oni „pchną bryłę świata na nowe tory". A jeśli do tego, co na tem podłożu psychicznem aż nadto zrozumiałe, w jakiemś kółku młodych czy w jakiejś pojedyńczej głowie wybuchnie gwałtownym płomieniem czy to polityczna lub społeczna nienawiść, czy to ta lub inna niższego rodzaju żądza, cóż dziwnego, że przychodzi do zbrodni i tych różnych nieobliczalnych czynów, jakich ostatnie czasy tyle przyniosły najsmutniejszych przykładów.

Że pewną część odpowiedzialności za ten stan rzeczy ponoszą zupełnie szczególne czasy, jakie ludzkość w tej chwili przeżywa, to nie ulega wątpliwości, i dowodem na to może być fakt, że to rozgorączkowanie umysłów młodych nie jest zjawiskiem wyłącznie polskiem. Ten potężny przełom ideowy, jaki dokonywa się obecnie, to nagłe powstawanie nowych systemów myśli i nowych form czy to rządu, czy społecznego ustroju, to głuche oczekiwanie nowych wypadków, które zaostrza jeszcze dotkliwy ekonomiczny kryzys — wszystko to podnieca umysły i wyprowadza je z normalnych kolei.

Ale do tych ogólnych przyczyn zła, dołączają się u nas całkiem specjalne.

Pierwszą z nich — nie wahamy się tu nazwać rzeczy po nazwisku — był ten fatalny, nie do darowania błąd, który nie mógł srogo się nie zemścić, że młodych, a gdzieniegdzie i najmłodszych wciągano przedwcześnie do zabarwionych politycznie zrzeszeń lub robót. Zamiast trzymać się zasady, którą przecież elementarny zdrowy rozum dyktuje, że młodzież przedewszystkiem musi się uczyć, duchowo i fizycznie wyrabiać, robiono jak ten zły gospodarz, co zielone zboże na pniu sprzedaje i przygotowywano sobie wśród młodzieży gromady czy późniejszych pretorjanów, czy takich lub innych bojowców, nie bacząc na to, że mogą stąd powstać niepowetowane szkody, gdy do młodych, niedoświadczonych serc i umysłów, wedrze się fala tych namiętności i niezgód i brudów, które nawet w łonie starszego społeczeństwa są prawdziwem nieszczęściem i źródłem nieobliczalnego zła.

Ale nie dość na tem, że zaszczepiano młodym złowrogiego bakcyla politycznej gorączki. Przez pochlebstwo, przez wszelkiego rodzaju podniecające środki wytwarzano atmosferę, w której ta gorączka musiała się rozwinąć. Pozwalano młodym wydawać najniedorzeczniejsze pisma, owszem dopomagano im przez poważne subsydja; brano na serjo, czy udawano że bierze się na serjo ich niedowarzone myśli; posyłano ich z temi myślami w lud i wmawiano w nich, że oni

są budowniczymi nowej Polski; tolerowano ponad wszelkie rozumne granice cierpliwości, niepoczytalne ich wybryki.

Czy np. w stosunku do takiego „Legjonu Młodych" lub „Straży Przedniej" jest w tem co piszemy choć odrobina przesady? A jeśli się te procedery raz dopuszcza w jednym kierunku i z jednej strony, czy nie jest rzeczą konieczną i zupełnie nieuniknioną, żeby tych samych metod zaczęto używać ze strony drugiej i trzeciej i czwartej? Mniejsza o to z której strony z a c z ę t o żąć to zielone zboże. Grzech był wszędzie równie wielki, niezależnie od tych lub innych tendencyj i celów. A że immanentne prawo „przekleństwa złego czynu" musi się ziścić, niema co się dziwić, że raz po raz pojawiają się fakty, które dreszczem trwogi przejmują całe myślące społeczeństwo.

Na tem jednak bynajmniej nie koniec. Trzeba wziąć w rachubę, że młodzież ta ma za sobą szkołę średnią, która wśród rozmaitych dydaktycznych i pedagogicznych eksperymentów, bardzo średnio rozwijała umysł, a notorycznie mało wyrabiała karności, ładu duchowego i silnego charakteru; trzeba pamiętać, że już na ławie szkolnej wystawiona była na wpływy i romansu kryminalnego i *Tajnego defektywa* i sensacyj kinowych i tego swoistego zgrubienia uczuć, jakie nieuchronnie towarzyszy rekordomanji w sportach i, zdrowych skądinąd, fizycznych ćwiczeniach, że już pod koniec szkoły średniej a bardziej jeszcze na uniwersytecie i analogicznych uczelniach uczyła się oddychać czyto zatrutem tchnieniem takich *ex professo* deprawatorów społeczeństwa jak Boy-Żeleński i zażydzona klika, skupiająca się koło *Wiadomości Literackich* czyto przeróżnych beletrystów, doszczętnie wypranych i z moralności i z religji i ze wszystkiego, co zdolne jest nadać życiu pewien ład wewnętrzny i powagę i podniosłość.

A wreszcie — *last not least* — nie można zapominać, że pewne koła tej młodzieży wyszły z ośrodków wychowawczych, w których bezpośredni i wyżsi zwierzchnicy niczego tak się nie lękali dla gotujących się do życia młodzieńców, jak religijnych praktyk i wpływów. Bezbożności się nie obawiano, owszem pomagano jej rozwojowi; prawdziwe niebezpieczeństwo upatrywano czy w sodalicjach marjańskich, czy w Krucjacie Eucharystycznej, czy w innych podobnych związkach, które trzeba było aż ścigać i gnębić przez tajne okólniki urzędowe. Wszystko miał zastąpić bałwochwalczy kult „Marszałka", który wyradzał się aż nazbyt często nie w zdrowe uznanie ogromnych zasług jednego z największych mężów jakich Polska wydała, ale na brzydkie karjerowiczostwo, podlizujące się płasko władzom wyższym.

Otóż to wszystko powinno być dla społeczeństwa i jego zwierzchników przedmiotem gruntownej rozwagi. Bo oczywiście choć obozy koncentracyjne mogą być smutną koniecznością, na wychowanie, którego tam się będzie udzielać, bardzo liczyć nie można. Trzeba o tem myśleć, żeby nasze młode pokolenie tak dorastało, żeby te ostateczne środki nie były dla jego powściągnięcia potrzebne.

A więc przedewszystkiem miejmyż odwagę i z prawa i z lewa i ze środka i ze wszystkich obozów czy ich odcieni postawić niezłomną zasadę: Dla młodzieży nauka, wyrabianie się godziwa rozrywka — nie polityka. Obmyślmy sposób, żeby skończyć z grafomanją niewyrobionych młodzików, upajających się swą gadaniną i przekonanych, że z ich pomysłów nowe światło dla społeczeństwa zabłyśnie; zdala trzymajmy młodzież od atmosfery walk partyjnych i wogóle usuwajmy od niej wszystko, co może ją podniecać i wewnętrznie rozstrajać, a więc przedewszystkiem bezbożnicze i demoralizujące wpływy. Kiedy czyta się tragicznie smutne zeznania, jakie świeżo składali przed sądem krakowskim trzej młodzi sprawcy ohydnego, rabunkowego mordu, zaczyna się lepiej rozumieć, co biorą na swoje sumienie i ci, co zarażają serca niedorostków niewiarą i brudem i ci, co pozwalają, żeby ta zaraza bezkarnie szerzyła się po społeczeństwie. Trzebaby tę rzecz gruntownie rozważyć: jeśli Bóg i Jego prawo, Chrystus i Kościół, prawdy Boże i łaska i zbawienie wieczne są jakąś fikcją bez sensu i żadnej w sobie nie mają siły do uszlachetnienia jednostek i do umocnienia społeczeństw, to oczywiście trzeba tych środków otwarcie poniechać, a główny położyć nacisk na obozy koncentracyjne i inne tym podobne sposoby, przynajmniej tak długo, jak długo policja i wojsko zechcą do tych rzeczy rękę przykładać. Ale jeżeli to są święte rzeczywistości, które same jedne, jak odrodziły ludzkość, tak w karbach obowiązku i moralnego dostojeństwa utrzymać ją potrafią, to może nie trzebaby pozwalać, żeby w katolickiej Polsce, publicznie i bezkarnie, także z katedr uniwersyteckich, szerzono zdecydowany ateizm, żeby swobodnie obrzucano błotem wszystko co święte, żeby istniały kuratorja i inspektoraty szkolne, które niczego tak się nie boją dla młodzieży, jak religijnych wpływów, żeby słowem i piórem i przykładem życia wysoko postawionych osób szerzyła się szpetna moralna gangrena. Jest bardzo rozumne przysłowie francuskie: *Il faut qu'une porte soit ouverte ou fermée.* Z sodalicji, z Krucjaty Eucharystycznej, z Dzieła Dziecięctwa P. Jezusa napewno nie wyjdą skrytobójcy i bandyci. Ale jeżeli — dzięki tym wszystkim wpływom, jakie po części przedstawiliśmy wyżej — wśród nieletnich chłopców panować będą takie stosunki, o jakich gdzieniegdzie słyszymy

w pewnych kołach młodzieży, specjalnie w kołach „Straży Przedniej", to można mieć poważne obawy, że obozy koncentracyjne bardzo szybko się zapełnią, a wnet okażą się za ciasne.

Młodzież to jest delikatny instrument, który niezmiernie łatwo zepsuć, a bardzo trudno naprawić. Sądzimy jednak, że wśród wszystkich problemów, które w tej chwili stoją przed Polską żaden inny w takiej mierze nie zasługuje na najgłębszą rozwagę i na najusilniejsze starania, by dał się pomyślnie rozwiązać.

Nie poruszając tutaj całego mnóstwa rzeczy, które na to pomyślne rozwiązanie złożyć się będą musiały, chcemy narazie dotknąć jednej kwestji, coprawda bardzo doniosłej.

Jest to znaną właściwością natury ludzkiej, że wielkim wrogiem dokładnego poznania jakiejś rzeczywistości, jest nawyknienie do jej widoku. W rzeczach, na które patrzymy ustawicznie, uchodzą naszej świadomości przeróżne strony prawdy. Trzeba dopiero jakiegoś wstrząśnięcia, któreby zmieniło nagle pole widzenia, trzeba jakiegoś faktu, któryby nas zmusił do wyjścia z rutyny myśli i zajęcia innego poznawczego stanowiska, by dostrzec w przedmiocie różne rzeczy, które przedtem zupełnie uchodziły uwagi.

Na spokojny, normalny bieg naszego życia religijnego patrzymy codziennie. Przewija się ciągle przed naszemi oczyma rozległy film, z jednej strony przeróżnych prac, zachodów, wysiłków pasterzy, z drugiej praktyk, obrzędów, zwyczajów i innych owoców wiary, wypełniających życie wiernych. I jeśli wpatrujemy się w cały ten wątek religijnego życia naszego kraju powszedniem tylko okiem, nawykłem do powszedniości zjawisk, bylibyśmy może skłonni powiedzieć że wszystko idzie, jeśli nie najlepiej, to w każdym razie zupełnie dobrze. Żyje przecież i nie ustaje w swem cichem działaniu, rozpięta po całym kraju sieć zasadniczej organizacji kościelnej; pracują liczne zrzeszenia religijne, poczynając od wielu i to gorliwych zgromadzeń zakonnych, kończąc na zupełnie luźnych związkach, poświęconych szerzeniu wiary i cnoty; rysują się coraz wyraźniej zręby i wiązania Akcji Katolickiej jako takiej; rozchodzi się w ogromnych rozmiarach literatura religijna w formie perjodycznych i książkowych wydawnictw.

Ale gdyby tak wyjść na chwilę z tego codziennego koła spostrzeżeń i myśli i postawić sobie inne pytania, do których zaprawdę nie brak pobudek: Jak się ma rzecz z napięciem, z dynamiką naszego katolickiego życia? Czy my jesteśmy w postępie i w zwycięskiej ofensywie, czy w stagnacji' a może w cofaniu? Czy mamy do tego dobre podstawy,

żeby sądzić, iż rosnąca ciągle antyreligijna propaganda większych szkód nam nie wyrządzi i katolickiego charakteru jutrzejszej Polski nie osłabi?

Chyba niewielu znajdzie się takich, którzy odważyliby się na te pytania dać odpowiedź bezwzględnie twierdzącą. Choćby się chciało być optymistą, trudno inaczej powiedzieć, tylko że nasz katolicyzm jest raczej wątły i niezdecydowany. Podobny on jest do rzeki, szeroko rozlanej, ale zato pozbawionej tej głębi i siły prądu, jaką daje skupienie w jednem, mocno i stale wyżłobionem korycie.

Jeżeli zaś pytamy dalej, czemu ten stan rzeczy przypisać, wszakże nie od dzisiaj i nie z jednej strony słyszymy zawsze tę samą odpowiedź i tę samą bolesną skargę: Nie mamy dosyć uświadomionych, prawdziwie wyrobionych i konsekwentnych katolików.

I że nie mamy ich dosyć, to jest faktem.

Pomijając już tych, niestety coraz liczniejszych, nietylko wśród inteligencji, ale i wśród klas niższych, którzy w nic zgoła nie wierzą i nawet nazwy katolików zachować nie chcą, wśród tych, którzy nie wyrzekają się jeszcze tego imienia, jedni ograniczają swą religijność do pewnej sumy czysto zewnętrznych form i gestów, inni, choć w pewnej, nieznacznej mierze poddają się i wewnętrznie wymaganiom wiary, pozwalają sobie zasadniczo odrzucać całe partje nauki katolickiej, czy to dogmatycznej, czy zwłaszcza moralnej, a z tych, którzy rzekomo przyjmują wszystko, bardzo a bardzo wielu nie bierze swej wiary prawdziwie na serjo, nie mniejsza liczba zaledwie ją zna i podstawy jej rozumie, a tych, którzy poczuwają się do obowiązku konsekwencji religijnej, jest doprawdy znikomo mała garstka. Mamy zresztą pod tym względem i zagranicą zupełnie ustaloną opinję. Warto zawsze przypominać sobie zdanie rozumnego i skądinąd zupełnie nam życzliwego pisarza: *Quand on a vécu quelque temps avec un Polonais catholique, on ne croit plus à grand' chose.*

Że przyczyną tego smutnego stanu rzeczy jest w wielkiej mierze właściwy nam narodowy charakter: lekkomyślność i lenistwo myśli, niekonsekwencja, skłonność do rządzenia się uczuciami i nastrojami, zbyt łatwe poddawanie się wpływom nerwów i wyobraźni — to nie ulega wątpliwości. Ale czy to już wszystko tłumaczy? Czy nawet na takim, do gruntownej religijności niezbyt odpowiednim psychicznym podkładzie, nie mogłaby i nie powinna d o b r a nauka religji osiągnąć lepszych rezultatów?

Otóż tutaj nasuwa się pytanie niezmiernie doniosłe: J a k m a s i ę u n a s r z e c z z n a u c z a n i e m r e l i g j i? Czy ono — ogólnie rzecz biorąc — stoi na odpowiednim poziomie, zwłaszcza wobec rosnących w Ojczyźnie naszej

religijnych niebezpieczeństw? Czy nie wykazuje ono jakichś znaczniejszych niedostatków co do ilości przeznaczonego nań czasu, co do metod, co do kolejności rozmaitych partyj przerabianego materjału, co do związania nauki z katolickiem życiem? Czy specjalnie nie brakuje czegoś w tym kierunku, żeby naukę wiary otoczyć pewnym urokiem, żeby zrobić ją interesującą, żeby wywołać w duszach za jej pomocą pewne uczucie świętej, katolickiej dumy oraz radości z przynależenia do tej przedziwnej rzeczy, jaką jest w świecie królestwo Boże i Chrystusowe?

Jeżeli wogóle są — to może nie wyłącznie u nas dają się odczuwać te braki, tylko u nas dotkliwiej występują najaw. Bo wszakże wiadoma rzecz, że w chwilach, kiedy niezmienna zawsze nauka katolicka dostosowuje się w sposobie przedstawiania do zmieniających się czasów i warunków, mogą zachodzić momenty, w których już dawne sposoby przestają odpowiadać, a nowe niezupełnie jeszcze się wyrobiły.

Czy taki moment nie zachodzi obecnie? Czy wśród tej olbrzymiej przemiany, jaka pod wielu względami, także na polu ogólnego nauczania, dokonywa się dziś w ludzkości, nie możnaby sądzić, że tym nowym dzisiejszym duszom naszych młodych potrzeba starej prawdy Bożej, w jakiejś innej formie, w innem niż dotąd przystosowaniu i zabarwieniu?

Rzecz zupełnie prosta, że rozstrzygający sąd o tych kwestjach należy jedynie do posłanej przez Boga, kościelnej Władzy. Ale chociaż do rządzenia w Kościele, wedle katolickich zasad, nikt nie może być dopuszczony prócz tych, którym Chrystus pasterstwo nad duszami powierzył, kiedy chodziło o rzeczy ważne, nawet o prawdy, które później między określone dogmaty zaliczono, nigdy Kościół nie bronił zastanawiać się i roztrząsać, owszem rad był, gdy koło jakiejś strony religijnego życia budziło się wśród wiernych żywsze zainteresowanie i towarzysząca mu wymiana myśli.

Otóż takie zainteresowanie chcielibyśmy obudzić na punkcie nauczania religji w naszym kraju. Konstatujemy chyba wszyscy, że rezultaty dotychczasowe nie były dostateczne. Cóż więc mogło być tego stanu rzeczy powodem? Czegoby sobie trzeba życzyć, żeby ten stan zmienił się na lepsze?

Gorąco prosimy naszych Czytelników, żeby byli łaskawi zakomunikować nam swoje w tej mierze uwagi. Prosimy przedewszystkiem samych Księży nauczycieli religji, którzy z natury swego i zajęcia i zawodowego wykształcenia, najlepiej mogą zdać sobie sprawę

z ewentualnych, takich lub innych niedostatków; prosimy rodziców, którzy tak często ubolewają nad niewystarczającem wykształceniem religijnem swych dzieci; prosimy samych tych młodych, którzy mając jeszcze lekcje religji w świeżej pamięci, a stykając się już z trudnościami, na jakie religijne ich życie jest narażone, mogą już retrospektywnie osądzić, czegoby sobie sami byli życzyli pod tym względem dla siebie i podobnych sobie.

Mamy nadzieję, że w tych odpowiedziach znajdziemy cenny materjał do artykułu lub serji artykułów o tej sprawie, oraz do poważnej na ten temat dyskusji. W każdym razie mamy wrażenie, że rzucając tę myśl i otwierając przez nią pewien rodzaj skromnej ankiety, dotykamy rzeczy, która dla naszej przyszłości religijnej jest bardzo wielkiej wagi. Nikomu chyba nie tajno, że idą na Kościół w Polsce niebezpieczne chwile. Nie mówiąc już o sekciarstwie i kościele narodowym, jest nasz kraj w tej chwili przedmiotem formalnego najazdu bądź to zupełnego, wojującego bezbożnictwa, bądź jakiegoś połowicznego, ale bardzo szkodliwego niedowiarstwa. Żeby temu najazdowi tamę położyć, nie wystarczy ani jakiś bierny fideizm, który dotąd panuje w olbrzymiej większości prostego ludu, ani ta powierzchowna, wątła, słabo uświadomiona wiara, jaka, z nieznacznemi wyjątkami, jest u nas udziałem tej nawet nielicznej inteligencji, która wogóle Kościoła się trzyma. Czy to do walki, jaka nas czeka, czy do pozytywnej pracy w Akcji Katolickiej, potrzeba nam będzie katolików do szpiku kości, zupełnie przekonanych i całem życiem stojących na gruncie objawionej prawdy. A ponieważ do wyrobienia takich ludzi, w bardzo wielkiej mierze dopomóc może dobra nauka religji, trzeba wszelkich sił dołożyć, żeby ją u nas postawić na odpowiednim poziomie.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Kościoły drewniane w Siedmiogrodzie w pracach prof. Petranu.

Jedną z największych ozdób okolic podkarpackich, zarówno z tej jak i z tamtej strony łańcucha górskiego, są (poza naturalnem pięknem przyrody) swoiście piękne a odrębne w swym charakterze kościoły i cerkwie podgórskie. Świątynie te, przedewszystkiem drewniane, odpowiadające charakterem swym otaczającemu je krajobrazowi, oddawna już zwróciły uwagę historyków i znawców sztuki, ostatnio zaś, zwłaszcza w Czechosłowacji, stały się przedmiotem zainteresowań turystycznych.

Drewniane budownictwo kościelne na podkarpaciu, mimo iż stanowi ono dość jednolitą całość, nie było dotychczas traktowane przez historyków sztuki (poza Strzygowskim) jako kompleks, natomiast posiada ono bogatą literaturę regjonalną. Obejmując północno-wschodnią Słowacczyznę, Ruś Podkarpacką, Beskid, Podhale, Łemkowszczyznę, Huculszczyznę, Bukowinę i Siedmiogród, stało się ono przedmiotem zainteresowań z różnych stron. Budownictwem słowackiem zajmowali się Myszkowski, Hofmann, Vydra; Rusi Podkarpackiej — przedewszystkiem najlepszy jej znawca Zaloziecky. W literaturze polskiej i ukraińskiej tematem tym zajmowali się Sokołowski, Kopera, Szczerbakiwskyj i szereg innych. Jeżeli chodzi o Siedmiogród, to po dawnych i często przestarzałych pracach węgierskich najintensywniej dziedziną budownictwa drewnianego zajął się dr. Coriolan Petranu, prof. historji sztuki uniwersytetu w Cluj.

Poza pracami z dziedziny muzeologji, opublikował prof. Petranu, zwłaszcza w latach ostatnich, szereg wydawnictw różnojęzycznych, dotyczących sztuki siedmiogrodzkiej; jedna z ostatnich — to syntetycznie ujęte *Die Kunstdenkmäler der Siebenbürger Rumänen* (Cluj 1927). Niewielka ta praca, mimo swej zwięzłości, przynosi wiele ciekawych danych. Niezależnie od chęci autora, pragnącego, zdaje się, w drewnianych kościołach siedmiogrodzkich dopatrzeć się narodowego stylu rumuńskiego, kościoły te wykazują wiele cech wspólnych z całem budownictwem drewnianem podkarpackiem, a Rusi Podkarpackiej w szczególności. Jeżeli się przegląda nieuwzględnioną przez autora ciekawą pracę W. Zaloziecky'ego pod tytułem *Gotische und barocke Holzkirchen in den Karpathenländern* (Wiedeń 1926), nie sposób nie zauważyć bliskiego pokrewieństwa między architekturą kościelną słowacką i ruską z jednej, a siedmiogrodzką z drugiej strony, zwłaszcza, jeżeli chodzi o świątynie o cechach gotyckich. To samo prawie założenie poziome, ten sam spadzisty dach z przyszuflami, ta sama często kunsztowna wieża, zakończona szpicowym hełmem. Charakterystyczną cechą kościołów siedmiogrodzkich jest ich wieża, która nie jest zbudowana w słup, jak to spotykamy bardziej na północy, a w szczególności na naszem podgórzu (np. w Haczowie, Grywałdzie, Sękowej), lecz wyrasta z pośrodka dachu w formie czworoboku, zakończonego bogatym krużgankiem i uwieńczonego wysokim szpicem. O ile w Słowacji i u nas hełmy wieżowe prze-

chodzą zazwyczaj w latarnię, nakrytą kopułką, o tyle w Siedmiogrodzie prawie zawsze kończą się szpicem. Ten szpic, jakkolwiek nie jest lokalną osobliwością, gdyż spotyka się na Słowacczyźnie i w Rusi Podkarpackiej (Szandrowo, Ložansko) a nawet u nas (Sromowce Niżne), to jednak jest cechą charakterystyczną architektury siedmiogrodzkiej. Szpice te sięgają tam ogromnej wysokości, dochodzącej, a nawet czasem przechodzącej, wysokość całej świątyni, jak to widać na przykładach kościołów w Rosiori, Seini a zwłaszcza w Fildul. Naogół świątynie drewniane siedmiogrodzkie ustępują pod względem bogactwa zewnętrznego swym północnym sąsiadkom, nie mają ich niespokojnej różnolitości, są bardziej skromne i jednostajne w swem założeniu, największy ich przepych mieści się w kunsztownych pięterkach i hełmach wieżyc.

Im dalej od gór, tem mniejsza różnorodność, im bliżej nizin — tem większa jednolitość. Takiego wrażenia nabiera się, przeglądając bogate albumowe wydawnictwo prof. Petranu, mówiące o kościołach drewnianych północno-zachodniego Siedmiogrodu. Praca ta, pod tytułem *Monumentele istorice ale judetului Bihor. Bisericile de lemn* (Sibiiu 1931), nietyle dzięki dość oszczędnemu tekstowi, ile bogatemu działowi ilustracyjnemu (124 wielkich tablic) zapoznaje nas dokładnie z budownictwem kościołów drewnianych w północno-zachodniej części Siedmiogrodu, to jest w jego prowincji Bihor, leżącej na pograniczu dzisiejszych Węgier. Z 48 świątyń, reprodukowanych przez autora, znaczna większość ma charakter gotycki, jedynie nieliczne zdradzają cechy barokowe. Większa tu prostota niż w innych częściach Siedmiogrodu, nie mówiąc już o dalszem podkarpaciu. Wieże, jakkolwiek prawie wszędzie śpiczaste, nie mają już tej kunsztowności co w innych okolicach kraju; zdarzają się i piękne pięterka, wycięte u spodu w rąbki (kościół w Bradet), tak charakterystyczne dla naszego Beskidu, zdarzają się czasem (np. w Borumlaca) rzadko spotykane poza naszemi kościołami piękne soboty, okalające świątynię i nadające im wiele malowniczości — lecz są to naogół wyjątki. Coraz mniej różnolitości, coraz mniej góralskiej fantazji. Ta ostatnia kryje się zato w ciekawych szczegółach architektonicznych wnętrz, we wdzięcznych przez swój prymitywizm freskach i ornamentach, obficie przez autora ilustrowanych.

Prace prof. Petranu, dzięki temu, iż są publikowane w różnych językach, a przynajmniej posiadają obcojęzyczne streszczenia,

mogą być dostępne dla osób nie znających rumuńskiego. Przyjemna ich zazwyczaj szata zewnętrzna, bogaty dział ilustracyjny zachęcą niewątpliwie każdego znawcę i wielbiciela architektury podkarpackiej do zapoznania się z pracami rumuńskiego historyka sztuki. Czytając je, przekona się czytelnik, że Karpaty, mimo iż były zazwyczaj granicą polityczną narodów, stanowiły często łącznik ich zainteresowań artystycznych, czego wyraz widzimy w licznem budownictwie kościelnem w Rumunji, Czechosłowacji i Polsce.

Dr Władysław Tomkiewicz.

Z IV zjazdu orjentalistów polskich.

W czasie Zielonych Świąt dn. 20—22 maja b. r. odbył się we Lwowie na uniwersytecie J. K. IV zjazd orjentalistów polskich (trzy poprzednie były w Warszawie, Wilnie i Krakowie). Dopiero czwarty zjazd miał miejsce we Lwowie, choć pod względem orjentalistyki Lwów stoi, jak do tego czasu, na pierwszem miejscu. We Lwowie ma swą siedzibę i tu powstało w r. 1922 Polskie Towarzystwo Orjentalistyczne, które postawiło sobie za cel szerzenie w naszem społeczeństwie wiedzy o Wschodzie. Na uniwersytecie J. K. znajduje się najwyżej postawiony Instytut Orjentalistyczny, gdzie pracowali takiej miary orjentaliści, jak ś. p. prof. Andrzej Gawroński, pierwszorzędny indjanista i językoznawca i ś. p. prof. Smogorzewski, arabista, jeden z najlepszych w Polsce znawców świata muzułmańskiego. Tutaj obecnie pracują tak wybitni orjentaliści, jak prof. W. Kotwicz, pierwszorzędna powaga w dziedzinie mongolistyki, prezes P. T. O., profesor Stasiak, indjanista, wybitny znawca filozofji indyjskiej, zwłaszcza buddyzmu, ks. prof. Klawek, semitolog i biblista, prof. Kuryłowicz, iranista i językoznawca porównawczy, dr. E. Słuszkiewicz, świetny znawca sanskrytu i armenista. Pomiędzy lektorami języków wschodnich w Instytucie są dwaj egzotyczni: Sadyk Bey, Turek, i Kherbi Ahmed, Arab. Instytut posiada bogato zaopatrzone bibljoteki, jak bibljoteka po ś. p. A. Gawrońskim i Grzegorzewskim (sala imienia A. Gawrońskiego), bogato wyposażone seminarjum indjanistyczne, Dalekiego i Bliskiego Wschodu, prywatne bibljoteki profesorów i zbiory prywatne z orjentalistyki. Lwów, położony na wschodnich połaciach Rzeczypospolitej, był zawsze łącznikiem mię-

dzy Wschodem i Zachodem, wśród ludności ma pewien procent ludów wschodnich (Ormianie, Żydzi), posiada zabytki sztuki orjentalnej oraz rękopisy, druki i kolekcje z dziedziny orjentalistyki poza uniwersytetem po bibljotekach, muzeach i zbiorach prywatnych.

Ze znanych orjentalistów pozalwowskich przybyli na zjazd m. i. ks. prof. W. Michalski i prof. Szeruda, semitolodzy z Warszawy, prof. Kowalski, turkolog i arabista i prof. Helena Willman-Grabowska, indjanistka z Krakowa, E. S. Szapszał, turkolog z Wilna, hachan Karaimów.

Brakowało niektórych powszechnie znanych orjentalistów, którzy — z powodu przeszkód — nie przybyli na zjazd, jak ks. prof. Archutowski, biblista i palestynolog z Krakowa, ks. prof. Bromski, prof. Mojżesz Schorr, asyrjolodzy, prof. Schayer, indjanista z Warszawy, prof. Śmieszek, egiptolog z Poznania, obecnie z Warszawy, docent dr. Jaworski, sinolog (bawiący obecnie na Dalekim Wschodzie), docent dr. Zajączkowski, turkolog, St. Fr. Michalski, znawca indjanistyki i tłumacz — z Warszawy.

Udział w zjeździe brali również profesorzy U. J. K.: K. Chyliński, prof. historji starożytnej, ks. prof. Szydelski, religjoznawca i prof. Czekanowski, antropolog i znawca Afryki.

Wśród uczestników zjazdu znaczny procent stanowili Żydzi tak ze Lwowa jak i z poza Lwowa i to nietylko semitolodzy, ale i z innych gałęzi orjentalistyki. Oprócz orjentalistów, mających w tej dziedzinie stopnie naukowe, widziało się także pewną grupę studentów, względnie studentek, słuchaczów nauk orjentalnych ze Lwowa, Warszawy i Krakowa. Ogółem w zjeździe brało udział kilkadziesiąt osób tak z P. T. O. jako też innych, którzy się zajmują orjentalistyką. Pod względem narodowości oprócz Polaków i Żydów byli przedstawiciele (przynajmniej po jednym) Rusinów, Ormian, Karaimów, Tatarów, Arabów i Turków.

Otwarcia zjazdu dokonał prof. Kotwicz. W swem przemówieniu m. i. wskazał na rolę Lwowa w naukach orjentalnych i przypomniał kilku Lwowian, zasłużonych dla orjentalistyki, jak Ali Bobowskiego i Jezuitów, ks. Tadeusza Krusińskiego i ks. M. Boyma.

Na zjeździe wygłoszono 19 referatów z różnych dziedzin orjentalistyki. W niniejszem sprawozdaniu będzie wzmianka o takich, które mogą interesować ogół czytelników.

W referatach i dyskusjach z hebraistyki wyróżniali się duchowni chrześcijańscy: ks. prof. W. Michalski, ks. prof. Klawek, O. prof. Fic, Dominikanin ze Lwowa, prof. Szeruda (protestant), zabierający głos w dyskusjach.

Ks. prof. Michalski przedstawił historję Palestyny i początki dziejów Izraela na przełomie wieku XV i XIV przed Chr., opierając swój referat na tekstach biblijnych i na tabliczkach z Tell el Amarna. Opierając się na tych dokumentach, autor opowiedział się za wiekiem XV (a nie XIII) w kwestji o zajęciu ziemi Chanaan przez Izraela. W dowodach za wiekiem XV podkreślił łączność etniczną Hebrejczyków z Chabiri oraz obecność plemienia Ašer, zajętego uprawą roli na terenie Palestyny za czasów Ramzesa II. Pod koniec podniósł zgodność dokumentów biblijnych z poza biblijnemi, zaznaczając, że te dokumenty, choć rzucają wiele światła na początki Izraela, pozostawiają jeszcze wiele lakun, które dopiero późniejsze odkrycia mogą wyświetlić.

Ks. prof. Klawek przedstawił swoje zapatrywanie co do pojmowania nieprzyjaciół w psalmach, stawiając hipotezę, że nieprzyjaciele nie dadzą się inaczej wytłumaczyć, jak tylko współżyciem Żydów w Palestynie z plemionami chananejskiemi, jakie miało miejsce za czasów sędziowskich. Sądzi więc autor, że motywy w tych psalmach, odnoszące się do nieprzyjaciół, pochodzą z czasów przeddawidowych, że za Dawida przerobiono je w psalmy, które wprowadzono do liturgji starozakonnej. Referent widzi w tem nowy argument, że większa część psalmów pochodzi z czasów dawidowych.

O. prof. Fic przedstawił w swoim referacie, jak wyglądało morze Czerwone w epoce Tell Amarna na przełomie XV i XIV wieku. Hebrajskie „jam suf" czyli „morze Trzcinowe" oddają tłumacze przez „morze Czerwone", ale nazwa, zdaje się, odnosi się do jezior Słonych, o brzegach zarośniętych sitowiem i trzciną. Ponieważ jednak jeziora te łączyły się w epoce amarneńskicj ze zatoką Sueską i z morzem Czerwonem w sposób naturalny, przeto nazwa „jam suf" mogła być stosowana także do właściwego morza Czerwonego oraz jego zatok, Sueskiej i Elamickiej. W konkluzji referent opowiedział się w kwestji przejścia Żydów przez „morze Czerwone" za jeziorami Słonemi.

Dr. L. Freund, główny rabin miasta Lwowa, przedstawił w świetle wykopalisk na wyspie Elefantynie wiek i pochodzenie niektórych instytucyj prawnych małżeńskich Talmudu.

Z dziedziny asyrjologji był jedyny referat dr. St. Szachno-Romanowicza z Warszawy. Ten młody uczony, uczeń ks. Bromskiego, znawca także kilku innych języków wschodnich, wygłosił referat „Handel staro-asyryjski", opracowany oryginalnie na podstawie napisów klinowych.

Z dziedziny arabistyki warto wspomnieć o referatach dr. Hirschberga z Częstochowy i prof. Kowalskiego.

Referat swój: „Chrześcijanie i Żydzi w poezji staroarabskiej" opracował dr. Hirschberg oryginalnie na podstawie poezji staroarabskiej przedkoranowej. Poezja staroarabska przedstawia chrześcijan w bardzo dodatniem świetle. Arabowie zachwycają się praktykami religijnemi i życiem chrześcijan, nie rozumiejąc jednak samej treści ducha chrześcijańskiego. Ważny tak dla orjentalistów jak i dla historyków był referat prof. Kowalskiego „o potrzebie i możliwości powtórnego wydania relacji arabskiej Ibrahima, syna Jakóba o krajach słowiańskich". Ibrahim, syn Jakóba, Żyd, piszący po arabsku w X w. naszej ery podróżował po krajach słowiańskich i opisuje je. Jego dzieło wydał uczony Rosen. Lecz wydanie Rosena, choć ma wielką zasługę, jest obciążone błędem metodologicznym i nie może zadowolić ani filologa ani historyka. Znaleziono dwa nowe rękopisy, które nie były znane za czasów Rosena. Prof. Kowalski podał sposób, w jaki należałoby sporządzić nowe wydanie, uwzględniając 4 znane obecnie rękopisy. Twierdzono, że Ibrahim był handlarzem niewolników. Prof. Kowalski trzyma się raczej hipotezy, że to był lekarz, bo w swem dziele pokazuje wybitne zainteresowanie dla spraw lekarskich.

Z dziedziny turkologji były trzy referaty: prof. Kotwicza o pracach rękopiśmiennych I. Pietraszewskiego, prof. Kowalskiego o pracach tureckich ks. Michała Wieczorkowskiego, misjonarza perskiego i E. Szapszała: „Dokument turecko-niemiecki z ostatnich lat chalifatu". Dwa pierwsze referaty należy właściwie zaliczyć do badań nad dziejami orjentalistyki polskiej.

I. Pietraszewski, orjentalista polski z połowy XIX w. działał na obczyźnie (w Petersburgu, Berlinie, w Azji Mniejszej i Persji) czy jako profesor czy jako dyplomata. Napisał krytykę dzieła Sękowskiego *Collectanea* z dziejopisów tureckich, rzeczy polskich tyczących, zatytułowaną: *Nowy przekład dziejopisów tureckich, dotyczących się historji polskiej.* Pietraszewski wydał tylko I tom. Referent zaznacza istnienie w zbiorach rapperswylskich (znajdu-

jących się obecnie w Warszawie) rękopisu, który miał stanowić II tom tej pracy i zawierałby dokładne wypisy (z dziejopisów tureckich) wszystkich wiadomości, dotyczących stosunków polsko-tureckich. Referent wyraża życzenie, by się ktoś niemi zajął.

O. M. Wieczorkowski, Jezuita, misjonarz polski w w. XVIII pozostawił po turecku i po polsku krótki wykład wiary chrześcijańskiej dla mahometan i polemikę z uczonymi w Koranie. Kwestyj językowych referent nie roztrząsa, zaznaczając, że katechizm jest napisany w dialekcie turecko-azerbejdżańskim. Referat, odczytany na zjeździe we wyjątkach, ma się ukazać w całości w II tomie *Rocznika Tatarskiego.*

Referat E. Szapszała o tyle jest znamienny, że choć jest z dziedziny orjentalistyki, dotyczy ostatnich czasów, mianowicie omawia dokument pisany po turecku, wydany przez władze niemieckie do jeńców muzułmańskich w czasie wojny światowej, wzywający do „wojny świętej" z „niewiernymi" (ententą) i podaje różne obietnice dla tych, którzy zechcą w tej „świętej wojnie" wziąć udział. Jeden egzemplarz tej odezwy mieli uczestnicy zjazdu możność oglądać.

Z indjanistyki wygłoszono dwa referaty. Prof. H. Willman-Grabowska mówiła o stosowaniu magji w polityce indyjskiej na podstawie dzieł Arthaśâstra i Daśakumâracarita. Prof. Stasiak mówił o umysłowości indyjskiej, o roli, charakterze, poziomie i organizacji nauki w dawnych Indjach. Referat prof. Stasiaka jest wstępem do obszerniejszej pracy o uniwersytetach buddyjskich w Indjach starożytnych.

Z armenistyki miał referat dr. Słuszkiewicz p. t. „Relacja Ormianina polskiego Symeona o podróży na Wschód" (w. XVII). Relacja Symeona jest ciekawym opisem jego podróży na Wschód, mającej za cel odwiedzenie Ziemi św. Symeon zwiedzał przedewszystkiem ośrodki Ormian na Wschodzie. Rękopis znajduje się w bibljotece U. J. K. Odkrył go dwa lata temu jeden mechitarzysta z Wiednia i zaczął częściami drukować. Dr. Słuszkiewicz przygotowuje tłumaczenie polskie tego dzieła. Książką Symeona zainteresowali się zwłaszcza O. prof. Fic i ks. prof. Mazerski, biblista, Salezjanin z Krakowa. Dla archeologów jest o tyle ważna, że podaje topografję Palestyny w w. XVII.

Z ałtaistyki (języki tureckie, mongolskie i mandżursko-tunguskie) wygłosił referat prof. Kotwicz „o systemie zaimków oso-

bowych w językach ałtańskich". W referacie starał się dowieść istnienia liczby podwójnej w językach ałtańskich. Przy tym referacie miało się sposobność zauważyć wielkie zainteresowanie orjentalistów dla innych dziedzin orjentalistyki, kiedy się widziało, w jakiem skupieniu słuchali uczeni wykładu prof. Kotwicza w tak specjalnej kwestji.

Z okazji zjazdu orjentalistów urządzono w Instytucie wystawę rękopisów i druków wschodnich oraz zbiorów z zakresu etnografji, epigrafiki, archeologji i historji sztuki Wschodu. Na wystawę złożyły się eksponaty z bibljotek i zbiorów publicznych i prywatnych. Wystawę zorganizowano dzięki ofiarnej pracy dyrektora bibljoteki uniwersyteckiej, dr. Rudolfa Kotuli, kustosza działu rękopisów bibljoteki, p. dr. Anny Jędrzejowskiej i indjanistki, p. mgr. Ewy Gruberówny. Opis tej wystawy wymagałby osobnego artykułu.

W drugim dniu zjazdu po oglądnięciu wystawy w Instytucie i pisma klinowego w zakładzie historji starożytnej U. J. K., zwiedzono orjentalja w Miejskiem Muzeum Przemysłu Artystycznego, zbiory muzealne ormiańskie i Muzeum Żydowskiej Gminy Wyznaniowej. Dr. Mańkowski ilustrował swój referat wygłoszony dnia poprzedniego („Wpływy sztuki islamu w dawnym Lwowie") swemi objaśnieniami w katedrze ormiańskiej.

W czasie „herbatki" w pierwszy dzień zjazdu p. Kherbi Ahmed wykonał kilka pieśni arabskich andaluzyjskich i odśpiewał wezwanie muezina do modlitwy.

Można śmiało powiedzieć, że zjazd wypadł świetnie, zrobił bardzo miłe wrażenie i przyniósł znaczne korzyści dla orjentalistyki polskiej.

Lwów. *Ks. Fr. Tokarz T. J.*

Komunikaty.

Koło Polskiej Macierzy Szkolnej imienia Zofji Bukowieckiej ogłasza konkurs na utwór literatury pięknej o wartościach społeczno-wychowawczych dla dzieci (lat 10—14) najszerszych warstw ludności. Rozmiar utworów: 2—5 arkuszy druku; termin nadsyłania: 31 stycznia 1935; nagrody: 300 zł., 200 zł. i cztery po 150 zł.

Szczegółowe prospekty wysyła na żądanie sekretarjat Koła: Warszawa, ul. Żórawia 22, m. 7.

Dnia 15 lipca b. r. wybiera się z Polski do Francji wycieczka katolików różnych stanów, jako rewizyta za podobne odwiedziny, które katolicy francuscy złożyli Polsce. Czas trwania wycieczki obliczony jest na dwa tygodnie, a obejmie ona, prócz Paryża, Brukselę, Lille, Arras, Amiens, Rouen, Chartres, i przedewszystkiem ukochane katolickim sercom Lisieux. Na czele wycieczki będą stali: Prof. Oskar Halecki, Min. Niezabytowski, P. Ładzina, Hr. Władysławowa Zamoyska. Koszta wyniosą około 600 zł. w klasie III. około 700 w klasie II.

Rychłe zgłoszenia i wszelkie zapytania należy kierować do Biura Katolickiego Związku Polek, Warszawa, Senatorska 31.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN ROSTWOROWSKI T. J.*

Druk ukończono dnia 28 czerwca 1934.

Problem gruźlicy.

L'homme n'a pas d'ennemis plus redoutables que la maladie.
Montesquieu.

Choroba jest nieodstępną towarzyszką człowieka. Trudno jest sobie wyobrazić, aby w jakimkolwiek okresie swej przeszłości ludzkość była wolna od choroby, trudno też przypuścić, aby nawet w odległej przyszłości była zupełnie wolna od cierpień i chorób. Bezbolesne schodzenie ze świata „na starość" wciąż jeszcze jest mrzonką. Jesteśmy jednak świadkami ciągłych zmian w dziedzinie chorobowości: zmianom ulegają rodzaje chorób, ich stopień natężenia i rozpowszechnienia, jużto niezależnie zupełnie od zabiegów ludzkich, jużto właśnie dzięki im.

Do chorób najgroźniejszych i najtrudniejszych do wykorzenienia należą niewątpliwie choroby zakaźne, gdyż świat drobnoustrojów bynajmniej nie jest dotąd opanowany, co więcej — prawa rządzące jego rozwojem są nam dotąd mało znane. Choroby zakaźne prawdopodobnie posiadają pewien właściwy im cykl rozwojowy, często zupełnie nieoczekiwanie powstają, przybierają większe lub mniejsze rozmiary, są bardziej lub mniej złośliwe, mają przebieg epidemiczny lub endemiczny, a po pewnym czasie słabną, wreszcie wygasają — niewiadomo na stałe, czy czasowo. Nie należy jednak w tej sprawie być fatalistą, dowodząc, że przebieg chorób zakaźnych jest całkowicie niezależny od środków obronnych, jakich człowiekowi dostarcza wiedza. Wysiłki nasze mogą w niektórych okolicznościach doprowadzić do zupełnego wykorzenienia chorób (ospa, dur plamisty), w innych do wy-

bitnego ich zmniejszenia (dur brzuszny, czerwonka). Można nawet przypuścić, że dzięki celowo przeprowadzonej izolacji i dezynfekcji, człowiek ma choć niewielki wpływ na przebieg wszystkich chorób zakaźnych, zmniejszając ich rozpowszechnienie, przyśpieszając moment wygaśnięcia.

Z pośród chorób zakaźnych najtrudniejsze są do zwalczenia tak zwane choroby społeczne. Pierwsze miejsce zajmuje tu gruźlica, zwana niejednokrotnie zupełnie słusznie białą dżumą. Nazywamy gruźlicę chorobą społeczną dlatego, że jej rozwój zależny jest przedewszystkiem od warunków bytowania danej społeczności. Nieznana u ludów niestykających się ze współczesną cywilizacją (dziś takie ludy bodaj że nie istnieją), w krajach kulturalnych jest szczególnie rozpowszechniona wśród warstw najuboższych, najbardziej cierpiących wskutek warunków mieszkaniowych, wadliwego odżywiania, przeciążenia pracą — i braku uświadomienia. Stąd też często nazywamy ją chorobą proletarjatu, lub chorobą klasową. Jest to choroba społeczna, gdyż wskutek wielkiego rozpowszechnienia i długotrwałego, bo przeciętnie paru lub kilkuletniego trwania, jest ogromnym ciężarem ekonomicznym, hamującym rozwój społeczny. Wreszcie na miano choroby społecznej zasługuje gruźlica dlatego, że wysiłek indywidualny jednostki w walce z nią nie jest wystarczający. Żeby zmniejszyć niebezpieczeństwo zakażenia z jednej strony, ułatwić sytuację chorym i pomóc im do powrotu do zdrowia — z drugiej, niezbędny jest wysiłek zbiorowy, obejmujący całe społeczeństwo.

O rozmiarach tej klęski społecznej możnaby mówić wiele. Jeżeli nawet pominiemy to, co społecznie jest niezmiernie ważne, straty i ciężary spowodowane gruźlicą jako chorobą, a zatrzymamy się na gruźlicy jako przyczynie śmierci, to i wówczas będziemy mieli do czynienia z liczbami naprawdę przygniatającemi. Żadna inna choroba zakaźna, żadna wojna nie mogą się pod tym względem mierzyć z gruźlicą. Dość powiedzieć, że w ostatnich latach przed Wielką Wojną umierało w Europie rocznie na gruźlicę około miljona osób, a i obecnie z ogólnej liczby zmarłych przypada na gruźlicę w różnych państwach 7 do 16% — przeciętnie około 10%. Jeżeli zważymy, że chorych na gruźlicę jest 5—10 razy wię-

cej niż zmarłych, uprzytomnimy sobie choć w przybliżeniu, czem jest gruźlica. Należy przytem pamiętać, że zakażonych, niechorujących jest o wiele więcej. *De facto* w krajach cywilizowanych każdy niemal człowiek dorosły przeszedł zakażenie gruźlicze, choć może nigdy wyraźnie nie chorował. Opierając się na badaniach pośmiertnych, anatomopatologicznych Naegeli (Zurych 1900) i Reinhart (Berne 1917) stwierdzili wyraźnie ślady gruźlicy w 96—97% u zmarłych ze wszystkich przyczyn. Jakie to straty materjalne pociąga za sobą takie zagruźliczenie całej ludności, można wnioskować z przybliżonych obliczeń różnych autorów. Tak więc Rosenau ocenia straty z powodu gruźlicy w Stanach Zjednoczonych na 500 miljonów dolarów rocznie (inni badacze podają sumy znacznie większe), Brouardel we Francji — na 15 miljardów fr., Freudenberg twierdzi, iż Niemcy w dziale opieki społecznej wydają rocznie około 3 miljardów marek z powodu gruźlicy.

Przytem, oceniając rozmiary klęski, powodowanej gruźlicą, trzeba mieć na względzie, że gruźlica nie szczędzi żadnej części globu, żadnej rasy, żadnej warstwy ludności, choć nie wszystkie w jednakowej mierze jej ulegają. I wrażliwość na gruźlicę jest niejednolita. Największą wrażliwością odznaczają się osoby, pochodzące z terenów niezakażonych, co zostało wielokrotnie stwierdzone. Ostatnio przekonywujące materjały pod tym względem zebrano w czasie wojny. Silni i zdrowi Senegalczycy, mieszkańcy odległych od utartych dróg wiosek afrykańskich, przeniesieni jako żołnierze do Europy, zapadali na gruźlicę o objawach ogólnego zakażenia ostrego i ginęli bardzo prędko. Potwierdza to obserwacje, poczynione przez różnych badaczy wśród dzikich plemion w Afryce (murzyni), w Ameryce (indjanie), w Azji (kirgizi). Nie wydaje się jednak, żeby to była cecha rasowa, jest to raczej związane z bytem i wypływa z bardziej lub mniej długotrwałego kontaktu danego zbiorowiska z zarazkiem. U nas np. jest znaczna różnica w umieralności na gruźlicę chrześcijan i żydów. Żydzi, jako znacznie dawniej zurbanizowani, żyjący w okropnych warunkach w ciasnem i brudnem ghetto i stykający się z zarazkiem od wielu stuleci, dziś płacą gruźlicy znacznie mniejszą daninę, niż chrześcijanie.

Analogicznie przedstawia się sprawa zwierząt udomowionych, padających często ofiarą gruźlicy w porównaniu z dzikiemi, naogół wolnemi od gruźlicy. Najjaskrawszą ilustrację tego zjawiska widzimy w bardzo wysokiej zapadalności na gruźlicę różnych zwierząt dzikich np. małp w ogrodach zoologicznych. W związku z tem należałoby postawić pytanie, czy gruźlica jest chorobą dziedziczną. Można dać tu śmiało odpowiedzieć przeczącą — nie. Bardzo nieliczni badacze, twierdzą odwrotnie. Prawie wszyscy wybitni specjaliści głoszą, że nawet matka, znajdująca się w ostatniem stadjum gruźlicy, z reguły wydaje na świat potomka zupełnie wolnego od zakażenia, które następuje dopiero po przyjściu na świat. Zakaża się człowiek najczęściej w pierwszych latach życia, a pada ofiarą zakażenia jużto w dzieciństwie, jużto w wieku dojrzałym, jużto nawet w starości, która wcale nie jest wolna od gruźlicy. Myśl tę wczesnego zakażenia, a później choroby — ktoś trafnie wyraził, że gruźlica wieku dojrzałego jest tylko ostatnią zwrotką piosnki, nuconej dziecku jeszcze w kołysce. Wypowiadając się stanowczo przeciw dziedziczności gruźlicy, trudno z równą stanowczością bronić poglądu, że o wszystkiem decyduje zakażenie i że skłonność do gruźlicy jest u wszystkich ludzi jednakowa. Dość znaczny odsetek badaczy, tak dawniejszych jak i współczesnych, podtrzymuje twierdzenie, że budowa organizmu — konstytucja, będąca cechą dziedziczną, może mniej lub więcej usposabiać do zakażenia zarazkiem Kocha.

Rozpowszechnienie gruźlicy, aczkolwiek wszędzie endemicznie panującej, jest bardzo różnorodne: istnieją duże różnice pod względem liczby zmarłych z gruźlicy, prócz tego w jednych krajach jest wyraźna tendencja do stałego zmniejszania się liczby zgonów, w innych, bardzo nielicznych zresztą, odwrotnie — widzimy wzrost umieralności z gruźlicy. Jako przykład pierwszej grupy krajów można przytoczyć całą prawie Europę, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i wogóle kraje kulturalne, jako przykład drugiej — Afrykę i narody, czy ugrupowania ludzkie, zamieszkałe w pozostałych częściach świata, kulturalnie najmłodsze. O rozpowszechnieniu gruźlicy wśród narodów Dalekiego Wschodu, posiadających najdłuższą historję, posiadamy tylko wiado-

mości dorywcze. Wiemy, że nie są one wolne od gruźlicy, ale ani o nasileniu gruźlicy, ani tem mniej o kierunku, w jakim rozwój gruźlicy tam idzie, nie możemy się wypowiedzieć.

Istniejące różnice nie zmieniają jednak ogólnego charakteru przebiegu gruźlicy. Na podstawie posiadanych liczb możemy wypowiedzieć ogólne twierdzenie: gruźlica spada w całej Europie, jak również w szeregu krajów kulturalnych pozaeuropejskich i ostatnio w bardzo szybkim tempie. W rzeczywistości spadek jest jeszcze większy, niż wykazują dane liczbowe, gdyż równolegle z ulepszaniem statystyki wzrasta dokładność rejestracji i mniejszy odsetek zmarłych na gruźlicę ginie w umieralności ogólnej t. j. coraz mniej zgonów na gruźlicę kładzione jest na karb innych chorób. Spadek dotyczy tak samo gruźlicy płuc, jak i gruźlicy ogółem (wszystkich postaci).

Przebieg gruźlicy w większości krajów jest podobny. Najpierw widzimy wznoszenie się umieralności, jest to okres wzrostu; później przez jakiś czas umieralność trzyma się niemal na równym poziomie, jest to okres równowagi, który jak wypada z doświadczeń Szwecji, trwa 3—4 pokolenia; wreszcie następuje spadek. Naturalnie, niezawsze przebieg gruźlicy w całem państwie można w tę formułkę dokładnie wcisnąć. Miasta jako najbardziej podatne do endemji, wyprzedzają okręgi wiejskie pod względem zakażenia gruźlicą, okręgi wiejskie znowu są niejednakowo uprzemysłowione, bardziej i mniej kulturalne, więcej i mniej izolowane, stąd zakażenie kraju, jako całości, niezawsze da się ująć w jeden schemat. Granice państwowe występują tu jako twory zupełnie sztuczne. Zarazek niejednokrotnie i nie w jednakowej masie przenika do całego kraju, a ma swoje drogi uprzywilejowane. Poza tem czynniki społeczne, odgrywające tak wielką rolę w rozpowszechnianiu gruźlicy, w różnych dzielnicach kraju w pewnym okresie czasu mogą być bardzo różnorodne. Każda dzielnica państwa inaczej zaludniona, inaczej uprzemysłowiona, żyjąca do pewnego stopnia samodzielnem życiem, wskutek warunków naturalnych i dróg komunikacji, zakażona mniej lub więcej, ma swoją krzywą z jej charakterystycznym przebiegiem. Na całym terenie kraju te krzywe mogą się sumować, ale niekoniecznie muszą

być jednocześnie wszystkie na tym samym poziomie rozwoju, stąd przebieg ogólnej krzywej może ulegać zmianom.

Poszczególne kraje szczyt umieralności na gruźlicę osiągają w różnych okresach czasu: w Szwecji miało to miejsce około roku 1830, w Anglji i w Belgji około 1850, w Szkocji najwyższa liczba zgonów przypada na rok 1871, w Nowej Zelandji na 1880, w Bawarji i w Szwajcarji na 1890, w Irlandji i w Norwergji na 1901—1905, na Węgrzech na 1905, w Japonji na 1909.

O wielkości spadku za ostatnie kilkadziesiąt lat mówią następujące liczby: w Belgji między okresem 1851—55 a rokiem 1927 spadek wyniósł 73,8%, w Anglji między 1851—55 a 1929 — 74,4%, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej między 1900 a 1928 — 60,7%. Niema dziś państwa kulturalnego, które nie wykazywałoby w ostatnich latach żadnego spadku na gruźlicę.

Rozpatrzmy teraz spadek zgonów z gruźlicy szczegółowiej, z uwzględnieniem podziału na miasta i okręgi wiejskie, płeć i wiek.

Różnica w zgonach na gruźlicę między miastem i wsią istnieje stale, choć stopniowo zaciera się na niekorzyść wsi. Przed kilkudziesięciu laty współczynniki umieralności miejskiej (liczba umarłych na tysiąc, na 10.000 lub 100.000 mieszkańców) były znacznie wyższe, niż współczynniki zgonów w okręgach wiejskich, i im dalej sięgamy w przeszłość, tem ta różnica była większa. Obecnie miasta zbliżyły się bardzo do okręgów wiejskich, a w niektórych państwach, szczególnie rolniczych, współczynniki zgonów na gruźlicę w miastach spadły poniżej tychże współczynników wśród ludności wiejskiej; odegrały tu pewną rolę czynniki biologiczne niewiele ulegające naszym wpływom. Nie bez znaczenia jednakże są czynniki społeczne, co podkreślają liczni autorzy, tak np. Burnet twierdzi, iż stało się to dlatego, że higjenę wsi zaniedbano w tym samym stopniu w jakim popierano higjenę miast, i umieralność z gruźlicy wkońcu zaczęła wykazywać na wsi liczby wyższe, niż w wielkich miastach i środowiskach przemysłowych. Mówiąc o tej sprawie, tak ważnej dla wszystkich państw europejskich, posiadających znaczny odsetek ludności wiejskiej, W. Chodźko słusznie wskazuje, że „na

powierzchni życia długo utrzymują się pewne tezy, a właściwie legendy i mity, jedynie dlatego, że poza niemi ukrywa się chętnie nieprzyjemną i niewygodną rzeczywistość". Do takich mitów należała legenda o dobrym stanie zdrowia mieszkańców wiejskich. „Tymczasem do stwierdzonych faktów należy szerzenie się coraz większe gruźlicy na wsi". Doktór Chodźko ilustruje swoje twierdzenia licznemi przykładami, między innemi dotyczącemi i wsi polskiej.

Różnice co do płci niewątpliwie istnieją, ale nie można ich wyrazić w jednej, wszędzie obowiązującej formułce. W niektórych krajach, jak Anglja, Niemcy, Francja przeważa umieralność męska, w innych, jak Norwegja, Irlandja, Szwecja, Holandja, Danja — umiera więcej kobiet niż mężczyzn. Co więcej, przewaga tej lub innej płci nie jest stała: w tym samym kraju w pewnych okresach jest przewaga ze strony mężczyzn, w innych ze strony kobiet. Tak naprzykład, w Holandji umieralność mężczyzn była niższa, niż umieralność kobiet w latach 1875—1879 o 4%, w roku 1901 była wyższa o 5%, w latach 1905—1909 umieralność obu płci była jednakowa, a w 1929 znowu mężczyzn umierało mniej niż kobiet, i to o 16%. Podobne wahania spotykamy w Belgji, w Anglji i w innych krajach. Tak więc aczkolwiek kierunek krzywej umieralności jest w każdym kraju jednakowy dla obu płci, nasilenie spadku czy też wzrostu jest różne, co powoduje, że raz ta, drugi raz inna płeć bierze górę.

Istnieją znaczne różnice w umieralności obu płci, zależnie od wielkości osiedla. Naogół w miastach umieralność mężczyzn w stosunku do kobiet jest wyższa. niż na wsiach. Można nawet przyjąć za słuszną dość ogólną zasadę: im większe miasto, tem stosunkowo wyższa jest umieralność mężczyzn w porównaniu z umieralnością kobiet. W małych miastach różnica pod tym względem może być minimalna. Za przykład może służyć Danja: w Kopenhadze umieralność męska jest o 29% wyższa od żeńskiej, w małych miastach duńskich odwrotnie, przeważa umieralność wśród kobiet o 17%, a w okręgach wiejskich umieralność kobiet jest wyższa o 31%.

Z tego, co wyżej powiedziano, możnaby wyprowadzić ogólny wniosek, że w państwach rolniczych przeważa umieralność wśród kobiet, w krajach przemysłowych —

wśród mężczyzn. W zasadzie to jest słuszne, i potwierdzenie tej reguły widzimy w Irlandji, w Szwecji, w Danji, w Norwegji. Ale wyjątki są liczne, bo np. w Czechosłowacji i na Węgrzech umieralność obu płci jest na tym samym poziomie, a na Łotwie jest wyższa wśród mężczyzn.

Analiza umieralności na gruźlicę według grup wieku jest niejako uzupełnieniem umieralności według płci. Biorąc obie płci razem, najwyższą umieralność na gruźlicę znajdziemy w pierwszym roku życia, następnie krzywa umieralności spada i osiąga najniższy punkt między 5—14 rokiem, dalej zaczyna się dość równolegle podnosić mniej więcej do 25 roku życia. Od tego momentu ewolucja krzywej może być różna, zależnie od środowiska, kraju, epoki. Dla jasności należy tu uwzględnić jednocześnie podział według wieku i płci.

W pierwszym roku życia umieralność chłopców jest zawsze wyższa i to znacznie, bo o 20—25%, a nawet może dochodzić do 55%. Jest to, zresztą, zjawisko znane i w umieralności ogólnej, szczególnie w ostrych chorobach zakaźnych. W wieku przedszkolnym i szkolnym prawie aż do przełomowego momentu dojrzewania umieralność obu płci jest jednakowa i najniższa z całego okresu życia; od chwili dojrzałości płciowej mniej więcej do lat 25 przeważa stale we wszystkich krajach umieralność płci żeńskiej. Od tego zaś okresu przebieg umieralności bywa bardzo różnorodny.

Objaśnienie tych różnic jest dość trudne; najczęściej szukamy uzasadnienia w czynnikach społecznych w różnorodnych warunkach bytowania i pracy. Przedewszystkiem zajęcia kobiet i mężczyzn w wieku dojrzałym są naogół różne. W krajach rolniczych, gdzie rodzaj życia, pracy i środowiska obu płci stale jest jednakowy, niema wielkiej różnicy i we współczynnikach umieralności powyżej lat 25—30. Jeżeli jednak kobiety, oprócz zajęć domowych i ciężarów, związanych z macierzyństwem, biorą udział w pracy na roli, pociąga to za sobą wyższą umieralność kobiet niż mężczyzn. Odwrotnie, w miastach i w krajach uprzemysłowionych, po 30 roku mężczyźni umierają na gruźlicę więcej, niż kobiety. Może to być powodowane cięższą pracą zarobkową mężczyzn, wykonywaną często w warunkach nieodpowiednich,

podczas kiedy kobiety pozostają w domu. Większy lub mniejszy rozwój przemysłu, udział jednej, czy obu płci w przemyśle i handlu i wiele składników natury ekonomicznej może wpływać na taki lub inny przebieg krzywej. Ostatnio zwrócono uwagę, że zmniejszenie rozrodczości w miastach może być jednym z powodów spadku gruźlicy wśród kobiet.

Kiedy mowa o przemyśle, należy choć w bardzo ogólnych zarysach nakreślić, jaki wpływ wywarło uprzemysłowienie na przebieg gruźlicy. *A priori*, stojąc na dawnym punkcie widzenia, że jedynie wieś i świeże powietrze wiejskie sprzyjają zdrowiu, a miasto, związane z przemysłem jest antytezą wsi i grozi zakażeniem na każdym kroku, należałoby przypuścić, że równolegle z rozwojem przemysłu gruźlica powinna wzrastać. Tak może było, ale tylko w pierwszych chwilach rozwoju współczesnego przemysłu i gwałtownego wzrostu dzisiejszych miast olbrzymów. Wkrótce jednak nastąpiła radykalna zmiana na korzyść osiedli uprzemysłowionych. W pięknej pracy, poświęconej specjalnie temu zagadnieniu, Dr G. Wolff wskazuje, że największy spadek gruźlicy widoczny jest w Anglji, Szkocji, Belgji i w Prusach, a więc w państwach najbardziej uprzemysłowionych. Natomiast stosunkowo mały spadek wykazują kraje raczej rolnicze, jak Włochy, Francja, Szwajcarja, Finlandja, Norwegja, Węgry, Irlandja. Wolff opierał się na liczbach z końca ubiegłego wieku. Porównanie zgonów z gruźlicy w tych samych krajach za pierwsze ćwierćwiecze bieżącego stulecia, nie daje już tak jasnego obrazu. W grę weszły inne czynniki, wikłające sprawę. Ogólnie biorąc można powiedzieć, że stopień uprzemysłowienia, odsetek ludności miejskiej, poziom życia, łatwość komunikacji, to są wszystko czynniki, które się z sobą wiążą i w całości swej mogą wywierać wpływ na rozpowszechnienie gruźlicy, ale same przez się sprawy nie przesądzają.

* * *

O ile sam fakt spadku zgonów z gruźlicy jest powszechny, stały i nie budzący żadnych wątpliwości, o tyle przyczyny tego spadku nie są jasne. Dla przejrzystości myśli możnaby poglądy, warunkujące spadek gruźlicy, uszeregować i podzielić na trzy grupy: A. pierwsza grupa — czyn-

niki biologiczno-odpornościowe, B. druga — społeczno-gospodarcze, C. trzecia — świadome wysiłki leczniczo-zapobiegawcze w kierunku zwalczania samego zła.

A. Z czynników biologicznych pierwszy, jaki się nasuwa, to osłabienie zjadliwości samego zarazka, zjawisko, wysuwane i dla objaśnienia spadku innych chorób, np. trądu, ospy i szkarlatyny. Przeciwko tej hipotezie przemawia fakt, że wśród ludów pierwotnych, u których gruźlica jest nieznana, zakażenie gruźlicze po wtargnięciu zarazka szerzy się bardzo gwałtownie, przebiegając na podobieństwo ostrych chorób zakaźnych. Zresztą, z podobnie ostrą postacią gruźlicy spotykamy się od czasu do czasu i w starych ośrodkach cywilizacji, jest ona zjawiskiem dość częstem w niemowlęctwie.

Na poparcie hipotezy osłabienia zarazka nie mamy żadnych dowodów doświadczalnych. Otrzymanie niezjadliwego zarazka jest rzeczą dość trudną, na co wskazują prace Callmettéa i doświadczenia laboratoryjne za ostatnich lat 40, z których można wyprowadzić wniosek o dużej trwałości zarazka i jego cech. Obserwacja sąsiadujących z sobą okręgów o bardzo różnej zapadalności i umieralności na gruźlicę także przeczy tej hipotezie o osłabieniu zarazka. Przy dzisiejszej łatwości komunikacji nastąpiłoby bardzo prędko wyrównanie i to przypuszczalnie na korzyść zarazka mniej zjadliwego.

Inni badacze przyczyn spadku gruźlicy szukają w zwiększonej odporności organizmu ludzkiego. Przypuszczają, że odporność wzrasta z pokolenia w pokolenie, czego przykładem ma być różnica w odporności ras na gruźlicę. Naturalnie cechy rasowe przechodzą z pokolenia w pokolenie, ale co do cech nabytych, ogólnie przyjęty pogląd jest zupełnie inny. Zresztą, czyż możnaby przypuścić, że proces ten uodpornienia drogą dziedziczności odbył się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, gdy cechy rasowe wraz z różnicą w odporności wytwarzały się w ciągu setek i tysięcy lat? Doświadczalnie nie można wytworzyć w zwierzętach ani zwiększonej odporności, ani zwiększonej wrażliwości dziedzicznej. Matki z gruźlicą czynną mogą przekazywać ciała odpornościowe swym dzieciom, ale te przeciwciała

bardzo prędko znikają z organizmu. Faktem jest, że jednostki, pochodzące z rodzin gruźliczych, chore na gruźlicę, większe mają szanse wyjścia zwycięsko z choroby, niż te, których anamneza rodzinna jest pod względem gruźlicy nieskazitelna, ale jest to prawdopodobnie skutkiem uodpornienia, choćby względnego, nabytego może jeszcze w dzieciństwie przez zetknięcie się z zarazkiem, nie cechą otrzymaną w spadku od rodziców, drogą dziedziczenia.

Przypuszczenie, że odporność jest nabywana przez niezbyt silne, stopniowe zakażenie się w dzieciństwie, ma dużo zwolenników. Wobec wielkiego rozpowszechnienia zarazka Kocha zetknięcie się z nim w większem osiedlu ludzkiem jest wprost nieuniknione. To pierwotne zakażenie, jeżeli jest zbyt silne, prowadzi do zgonu, jeżeli, co najczęściej bywa, jest słabe, wytwarza pewną odporność, podtrzymywaną albo przez następne zakażenia, albo przez utajone tlejące niewielkie ogniska. Klinicznej postaci gruźlicy w większości przypadków to nie daje. Gruźlica jednak może zawsze w późniejszym wieku wystąpić albo wskutek osłabienia organizmu, spowodowanego nieprzyjaznemi okolicznościami zewnętrznemi, albo wskutek nowych wielokrotnych, często masowych zakażeń.

Możliwe jest zresztą jeszcze, że następuje stopniowa selekcja. Wskutek praw ewolucji zbyt zjadliwe zarazki i zbyt wrażliwe organizmy ludzkie są stopniowo eliminowane i nie mogą przekazać życia swego następnym pokoleniom. W ten sposób pozostają przy życiu jednostki najbardziej odporne na zarazek gruźlicy. Tą drogą następuje stopniowy wzrost odporności grupowej i spadek gruźlicy.

Wreszcie zwolennicy poglądów o cykliczności w naturze, cykliczności w przebiegu chorób zakaźnych wogóle, gruźlicy w szczególności, na tej drodze szukają wytłumaczenia spadku gruźlicy. Przed kilku laty widziałem w Instytucie Galtona w Londynie w pracowni Pearsona krzywą, ilustrującą fakt, że niski i wysoki poziom umieralności na gruźlicę powtarza się jakoby, mniej więcej, co 100 lat. I na tym niskim poziomie, na którym jesteśmy obecnie, była podobno już Europa około roku 1700, a rok 1800 był właśnie wierzchołkiem krzywej — odznaczał się wysoką umieralnością. Co

w tym poglądzie jest słusznego powiedzieć trudno, głównie dlatego, że żaden kraj nie posiada dość dokładnych liczb na tak długi okres czasu. Naturalnie, zaokrąglenie do stuleci jest tylko słabością ludzkiego umysłu.

W grupie czynników biologicznych warto jeszcze wspomnieć konstytucję, ostatnio tak często używaną i nadużywaną w celu wyjaśnienia przebiegu różnych chorób. Sądzę, że należy tu zachować umiar, a w żadnym razie spostrzegany spadek gruźlicy nie może być objaśniony zmianą konstytucji. Dosadnie wypowiedział tę myśl M. Greenwood. „Czynnik konstytucyjny, co jest samo przez się zrozumiałe, odgrywa znaczną rolę we wszystkich zjawiskach biologicznych, nie należy też go pomniejszać w gruźlicy. Nie trzeba go jednakże przeceniać, ilościowo trudno wyłączyć ten czynnik z szeregu innych wpływów otoczenia. Przecenianie może grozić dotychczasowym metodom walki z gruźlicą i chorobami zakaźnemi. Zwalczanie znaczenia bakterjologicznych, społecznych i innych wpływów otoczenia na rozwój gruźlicy łatwo przerodzić się może w walkę o „hodowlę uszlachetnionego człowieka". Lepiej zaniechać używania beznadziejnych metod tego typu w zwalczaniu chorób zakaźnych, i nie psuć dzieła rąk Boskich".

B. Drugą grupę czynników, które mogły wpłynąć na obniżenie umieralności z gruźlicy, tworzą warunki ekonomiczno-społeczne, bardzo często stawiane na pierwszem miejscu przez laików, wysoko jednak cenione i przez fachowców.

Na czoło tych czynników należy wysunąć podniesienie poziomu bytowania szerokiego ogółu, który wskutek swej liczebności na współczynnik umieralności zawsze najwięcej wpływał i wpływa. Na bytowanie człowieka składa się bardzo wiele mniej lub więcej ważkich elementów, z których każdy może wywierać wpływ na interesujące nas zagadnienie. Oddzielić, jaka część spadku przypada na każdy z tych składników, jest rzeczą niemożliwą.

Jako jeden z najważniejszych momentów, sprzyjających gruźlicy, wymieniane jest zwykle mieszkanie, często nawet gruźlicę nazywa się chorobą mieszkaniową. Aczkolwiek wszystkie prawie statystyki, nawet pozornie najbardziej prze-

konywujące, pod tym względem są błędne, bo opierają się na fałszywem założeniu, że mieszkańca jednoizbowego lokalu od trzyizbowego różni tylko wymiar zajmowanego pomieszczenia, w istocie różnica dotyczy pracy, zarobku, kultury i t. d., ale teoretyczne rozważania i obserwacje niewątpliwie prowadzą do przyznania wielkiej roli sprawie mieszkaniowej. Lokal ciasny ułatwia masowe, wielokrotnie powtarzające się zakażenia, a lokal źle utrzymany osłabia organizm — to nie budzi wątpliwości. Dlatego też należy przyznać, że ta olbrzymia zmiana na lepsze pod względem mieszkaniowym, jaka nastąpiła w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, szczególnie w miastach zachodnio-europejskich, musiała się odbić dodatnio na przebiegu gruźlicy, to jest na jej zmniejszeniu.

To samo mniej więcej można powiedzieć o odżywianiu. Masy ludowe dawniej niedojadały chronicznie, a od czasu do czasu to niedojadanie przybierało charakter ostry. Stwarzało to zawsze podatny grunt dla gruźlicy najpierw wśród dzieci, a następnie wśród osób starszych, wycieńczonych. Wielka Wojna światowa pod tym względem dostarcza materjałów obfitych i niewątpliwych nawet na naszym terenie. Z całą pewnością kryzys mieszkaniowy w latach wojny, nie mógł być głównym powodem spostrzeganego wówczas nasilenia gruźlicy, gdyż nie był tak ostry, jak w następnych latach, kiedy gruźlica spadła.

W okresie Wielkiej Wojny, w krajach dotkniętych blokadą bezpośrednio, a nawet pośrednio, gruźlica wśród kobiet szerzyła się silniej, niż wśród mężczyzn. Fakt ten może mieć wytłumaczenie nietylko w tem, że kobieta, jako słabsza ekonomicznie, więcej ucierpiała, ale i w tem, że kobieta częściej wyrzekała się najniezbędniejszych pokarmów na korzyść dzieci i męża, utrzymującego swą pracą rodzinę. Nie potrzeba zresztą mnożyć dowodów, jak wielki wpływ wywiera żywienie na przebieg gruźlicy, choroby chronicznej i tak bardzo zależnej od sił żywotnych organizmu, wystarczy wspomnieć, że dobre odżywianie obok powietrza i wypoczynku jest do dnia dzisiejszego najważniejszym środkiem pomocniczym w leczeniu gruźlicy. Nie trzeba także udowadniać, że dziś, kiedy państwa utrzymują miljony bezrobotnych, nę-

dza wielkomiejska od niedojadania cierpi znacznie mniej, niż dawniej. Zresztą, i na wsi lata masowego głodu, poza wschodem Europy, nie istnieją więcej, a dawniej powtarzały się perjodycznie.

Dalej idzie skrócenie pracy i ulepszone warunki, w jakich się ona odbywa. Wszelki nadmierny wysiłek osłabia organizm, a przez to samo sprzyja gruźlicy. Jako przykład, można przytoczyć charakterystyczne bardzo zwiększenie gruźlicy wśród kobiet w czasie wojny, obserwowane w niektórych państwach, między innemi w Anglji i w Stanach Zjednoczonych A. Północnej, gdzie niedożywianie nie odgrywało większej roli. Zwrócono uwagę, że ten wzrost dotyczył głównie okręgów, w których kobiety były zatrudnione w fabrykach amunicji i wogóle przemysłu wojennego. Uderza także fakt, że w krajach uprzemysłowionych, tam, gdzie kobiety pracują w fabrykach narówni z mężczyznami, krzywa gruźlicy u kobiet w okresie lat 20—25 nie spadła tak, jak w innych grupach wieku. Wpływ zresztą przemęczenia na gruźlicę jest faktem ustalonym i można się nad tem nie zastanawiać, chodzi tylko o wykazanie zmiany na lepsze w tej dziedzinie.

Otóż olbrzymie zmiany zaszły tu i w samej pracy i w otoczeniu, w jakiem ona się odbywa. Godziny pracy są coraz krótsze, bo od 12 i więcej godzin zeszliśmy stopniowo do 8 i niżej; istnieją odpowiednie przerwy wypoczynkowe, urlopy; wskutek ubezpieczeń społecznych robotnik „może prędzej chorować", może po chorobie być dłużej rekonwalescentem. Istnieje nawet przypuszczenie, że jednym z głównych powodów dalszego spadku gruźlicy, obserwowanego obecnie w latach bezrobocia, jest właśnie to bezrobocie.

Lokale fabryczne i handlowe dzisiejsze dalekie są od zakładów przemysłowych z przed kilkudziesięciu laty, kiedy z jednej strony pracodawca wcale nie przypuszczał, że ochrona pracy robotnika leży w jego interesie, z drugiej — kiedy przepisy prawne, dotyczące warunków pracy, prawie że nie istniały.

Nie bez wpływu prawdopodobnie jest także udoskonalenie techniki w przemyśle, ułatwienie pracy, wymagającej wskutek mechanizacji coraz mniejszego wysiłku fizycznego.

Stabilizacja warstw, pracujących w przemyśle, mogła także wpłynąć dodatnio na przebieg gruźlicy. Początkowo, kiedy do miast ruszyły nawałnicą świeże masy wiejskie, na gruźlicę bardzo wrażliwe, niekiedy wcale nietknięte przez zarazek i kiedy te masy z pól wiejskich zmuszone były przejść do ciasnoty miejskiej i pracować w warunkach, urągających najprostszym wymaganiom higjenicznym, gruźlica musiała szerzyć się wśród nich gwałtownie. Kiedy jednak dalszy wzrost elementu pracującego w miastach zaczął się odbywać i drogą przyrostu naturalnego, kiedy element ten stabilizował się społecznie i siłą konieczności zaczął się stykać z zarazkiem wcześnie, lecz stopniowo, teren rozwoju dla gruźlicy stał się znacznie mniej podatny.

Naturalnie, na tem nie kończą się czynniki społeczne, powodujące zmniejszenie gruźlicy. Poprawa ogólna warunków materjalnych pociągnęła za sobą podniesienie całego poziomu życia warstw pracujących. Zmieniły się i to bardzo na korzyść, nietylko fabryka i mieszkanie robotnika, ale i całe środowisko, w jakiem on się obraca. Odzież, czystość wokoło, bardziej umiejętne i higjeniczne przepędzanie wolnego czasu, oświata podniosły poziom kulturalny robotnika do niepoznania, postawiły go w znacznie lepszej „kondycji" w walce z gruźlicą. Ostatnio dużą rolę w zapobieganiu gruźlicy mogą odgrywać ćwiczenia fizyczne, sport, zabawy ruchowe, których rozwój przyjął tak wielkie rozmiary. Tu też należy włączyć kolonje i półkolonje letnie, coraz większe zamiłowanie do świeżego powietrza, kąpieli i t. d.

Wreszcie, za wielką reformę społeczną, dobroczynną dla szerokich mas ludowych, należy uznać ubezpieczenia społeczne, obejmujące przedewszystkiem warstwy, płacące gruźlicy największą daninę. O niektórych dodatnich stronach ubezpieczeń wzmiankowałem już, mówiąc o stabilizacji warstw robotniczych, tu tylko dodam, że nie da się zaprzeczyć, iż wczesne rozpoznanie i leczenie, płatny urlop w razie choroby, zapewnienie pomocy lekarskiej i finansowej całej rodzinie pracownika, musiały wywrzeć bardzo dodatni wpływ na podniesienie zdrowotności wogóle, a więc i na zmniejszenie gruźlicy. Nie chcę przeceniać skutków tej re-

formy, nie sprowadzam do niej ani jedynie, ani nawet głównie spadku gruźlicy, ale uważam, iż nie należy jej pomijać.

Obok dodatnich reform społecznych należy wyszczególnić szereg zmian w dziedzinie organizacji lecznictwa i zapobiegania chorobowości wogóle, co w wyniku musiało doprowadzić i do zmniejszenia gruźlicy.

Udostępnienie lecznictwa całej ludności (ubezpieczenia społeczne, leczenie ludności ubogiej przez organizacje państwowe i samorządowe) we wszystkich chorobach musiało mieć dodatni wpływ i na walkę z gruźlicą. Z udostępnieniem lecznictwa wiąże się ściśle akcja propagandy zasad higjeny, stosowana coraz szerzej z dobrym wynikiem w wielu chorobach. Drogą indywidualnego i masowego nauczania, prowadzącego do wczesnego stosowania środków leczniczych i zapobiegawczych da się w wielu przypadkach od ruiny ochronić zdrowie, niekiedy wcale nie dopuścić do choroby.

Spadły znacznie ostre choroby zakaźne, tworzące tak często podłoże dla gruźlicy.

Nie bez znaczenia jest także zmniejszenie alkoholizmu. Wprawdzie obecnie zdaje się przeważać zdanie, że skutek alkoholizmu jest tu raczej pośredni. Być może, iż organizm wskutek zatrucia alkoholem traci mniej na odporności, niż wskutek nędzy, jaką za sobą pociąga nadużywanie alkoholu, ale ta strona alkoholizmu jest groźna, nietylko dla samego konsumenta, lecz i dla wszystkich, od niego materjalnie zależnych. Dlatego też zmniejszenie alkoholizmu, a wraz z nim zmniejszenie nędzy, nie było prawdopodobnie bez wpływu na spadek gruźlicy.

C. Trzecia grupa czynników, której niektórzy przypisują największą wagę, ale która ma też najgorętszych krytyków, obejmuje wszystkie zabiegi leczniczo-zapobiegawcze. Na pierwszem miejscu należy tu postawić odkrycie zarazka. Często bardzo spadek gruźlicy jest łączony z tą wiekopomną zdobyczą naukową. Tymczasem dość wyraźny spadek i to w szeregu państw zaobserwowano znacznie przed rokiem 1882. Posłuchajmy zresztą, co o tem mówi sam Koch: „Niejednokrotnie łączono spadek gruźlicy z wykryciem zarazka. Mówiono, iż naskutek wykazania zakaźnego charakteru gruźlicy ludzie stali się ostrożniejsi i zaczęli

dbać o to, aby zejść z drogi zarazkowi, podczas gdy przed tym okresem lekarze nie chcieli słuchać o udzielaniu się. Nie ulega wątpliwości, iż w tem twierdzeniu jest nieco słuszności. W każdym razie jest to w wysokim stopniu uderzające, iż z nielicznemi wyjątkami, spadek suchot nastąpił wszędzie w niewiele lat po wykryciu zarazka. Ale właśnie te wyjątki dowodzą, że nowopowstały strach przed niebezpieczeństwem zakażenia nie jest jedynym czynnikiem wchodzącym tu w grę, chociaż musimy mu przyznać pewien, nawet niemały wpływ na bieg wypadków".

W związku z zarazkiem należy wspomnieć o izolacji i dezynfekcji. Izolacja stosowana była sporadycznie już w bardzo odległych czasach i to niekiedy z dużą surowością (Włochy, Francja, Hiszpanja, Portugalja w XVIII stuleciu), ostatnio zaś w większym lub mniejszym stopniu była przestrzegana wszędzie. Niewątpliwie unieszkodliwienie źródła zakażenia równa się zniszczeniu ogniska, i teoretycznie mogłaby izolacja mieć bardzo duże znaczenie, ale niestety, w praktyce prawdopodobnie rola jej jest znacznie mniejsza, niż naogół przypuszczamy. Dwa niedające się obalić zarzuty brzmią: 1. odsetek izolowanych w stosunku do wszystkich chorych z otwartą gruźlicą nawet w krajach o bardzo rozgałęzionej organizacji przeciwgruźliczej jest stosunkowo bardzo mały; 2. izolacja obejmuje zwykle tylko część okresu zakaźności. Tak jest wszędzie, w krajach zaś o słabej organizacji przeciwgruźliczej, jak naprzykład u nas, jest w tej dziedzinie wyjątkowo źle. Przed kilku laty, przeprowadzając na ten temat badania w Warszawie, znalazłem ciekawe liczby. Na 678 osób zmarłych w szpitalach w Warszawie w roku 1924 przebywało przed skonem w szpitalu:

1 mies. — 394 (58,1%) od 3— 6 mies. — 57 (8,4%)
od 1—2 mies. — 143 (21,1 „) od 6—12 mies. — 14 (2,1 „)
od 2—3 mies. — 65 (9,6 „) i powyżej 12 m-cy — 5 (0,7 „)

W innych miastach próbne badania wykazały niewiele lepszą sytuację; tak np. w Wilnie stwierdzono, że z pośród umierających w szpitalu około 41% umiera w ciągu pierwszego miesiąca, a około 80% w ciągu pierwszych trzech miesięcy.

Naturalnie, przy takiej izolacji liczba zakażonych „na wolności" jest stale tak wielka, że odsetek izolowanych

w stosunku do tej masy nie odgrywa roli, jąką mu przypisujemy, podobnie jak nie odgrywa roli wyciągnięcie kilku czy kilkunastu palących się belek z gorejącego domu.

Przytem izolacja szpitalna, nawet stosunkowo nieźle przeprowadzona, może mieć ograniczony wpływ ze względu na prawdopodobieństwo licznych przypadków chodzących, nie uznawanych za gruźlicę otwartą. Wreszcie dodam, iż podział dawny na gruźlicę otwartą i zamkniętą wobec ostatnich zdobyczy laboratoryjnych, nie da się w dotychczasowej postaci utrzymać.

W związku z izolacją warto wspomnieć o odkażaniu, choć rozwodzić się na ten temat dziś uważam już za zbyteczne. Dezenfekcja, tak, jak była przeprowadzona, w spadku gruźlicy nie odegrała wielkiej roli dobroczynnej i nie odgrywa nadal. Dezynfekcja końcowa gazowa, nawet przeprowadzona *lege artis* po usunięciu chorego, najczęściej po śmierci, była tylko rytuałem. Bo jeżeli chory przez kilka miesięcy zakażał bez przeszkód całe otoczenie, to co mogło pomóc zabijanie zarazków pozostałych po nim, a pochodzących zaledwie z kilku czy kilkunastu ostatnich dni jego życia? Dziś wprowadzamy wszędzie odkażanie mechaniczno-chemiczne bieżące, dokonywane przez cały czas choroby przy łóżku chorego. Odkażanie końcowe jest uzupełnieniem bieżącego.

Kiedy mowa o walce z zarazkiem, wypadałoby jeszcze wspomnieć o mleku. Wiele mówiono i pisano na temat możliwości zakażenia gruźlicą od bydła. Wbrew opinji Kocha, wypowiedzianej w r. 1901, dziś niebezpieczeństwo z tego źródła należy uważać za zupełnie realne. Zakażenie od bydła jest możliwe, aczkolwiek zarazek bydlęcy jest dla człowieka mniej zakaźny, niż ludzki. Zakażenie zarazkiem bydlęcym rzadziej prowadzi do gruźlicy płuc, częściej zaś ogranicza się do gruźlicy gruczołów, skąd w następstwie może powstać rozsianie zarazków do innych organów. Nierzadkie jest także umiejscowienie się zarazka typu bydlęcego w kościach i stawach. Walkę można tu prowadzić dwoma sposobami: przez usuwanie zakażonego bydła i przez gotowanie mleka. Wskutek intensywnej propagandy w obu kierunkach sporo zrobiono. Wybijanie gruźliczych krów na

całym świecie, przynajmniej w gospodarstwach o dużej kulturze jest stosowane tak ze względów zdrowotnych, jak i ekonomicznych. Żeby ten proces przyspieszyć część ciężarów, związanych z ubojem zakażonych sztuk, powinno brać na siebie państwo, gdyż dla właścicieli poszczególnych obór może to być zbyt uciążliwe. Kwestji odżywiania niemowląt mlekiem, pewnem pod względem gruźlicy, poświęcono w ostatnich dziesiątkach lat tak dużo uwagi, że niewątpliwie zakażenie tą drogą jest coraz rzadsze.

Drugi składnik grupy leczniczo-zapobiegawczej — to samo leczenie. Środków terapeutycznych pewnych, czy choćby tylko istotnie pomagających w leczeniu gruźlicy, nie posiadaliśmy i nie posiadamy, to prawda. Pozostają jednak nadal środki dietetyczno-klimatyczne i wypoczynek, jak również pewne zabiegi czysto lekarskie, którym trudno odmówić znaczenia. W ostatecznym wyniku, patrząc na zabiegi czysto lekarskie najkrytyczniej, byłoby niesprawiedliwością orzec, że wszystkie środki terapeutyczne, jakie dotąd stosowano, nie zaważyły wcale na rozpowszechnieniu gruźlicy, nie wpłynęły na zmniejszenie się śmiertelności z gruźlicy. Metody ostatnio wprowadzone w życie, szczególnie odma sztuczna, znacznie zwiększyły wagę zabiegów czysto leczniczych.

Leczenie szpitalne i sanatoryjne może być traktowane podwójnie: jako leczenie samo w sobie i jako izolacja. Sądzę, że po tem, co wyżej powiedziałem, nie należy w naszych warunkach oczekiwać zbyt wiele od izolacji teoretycznie słusznej, nie należy jednak odrzucać jej całkowicie, lecz ją ulepszać. Tem mniej byłoby słuszne lekceważenie leczenia sanatoryjnego. Najpierw w ojczyźnie Brehmera i Dettweilera po ich pomyślnych próbach, a później i w innych krajach, był gorączkowy pęd do tworzenia sanatorjów, które miały uwolnić ludzkość od klęski gruźlicy; obecnie po tak wielkim entuzjaźmie prosanatoryjnym nastąpiło ochłodzenie, ale to tylko może doprowadzić ocenę do należytej miary. Newsholme przypuszcza i stara się dowieść statystycznie, że sanatorja i szpitale mogły same przez się spowodować spadek gruźlicy w Anglji. Dziś sądzimy, że jest to pogląd nietylko zbyt optymistyczny, lecz zgoła nieuzasadniony. Patrząc trze-

żwo na bezpośredni efekt leczenia sanatoryjnego, oceniamy go dziś skromniej, niż początkowo ze względów na wartość „finansową" ozdrowieńca, gdyż nie zadawalniamy się już tylko przedłużeniem życia i choroby pacjenta, a chcemy, by po leczeniu był on trwale zdolny do pracy, co sanatorja dają tylko w pewnym odsetku przypadków.

Działalność wychowawcza sanatorjów, choć ograniczona do pewnej tylko liczby pacjentów, także nie jest bez znaczenia, dlatego w negacji nie powinniśmy iść zbyt daleko. Mówiąc o różnych zakładach leczniczych, należy zaznaczyć, że obecnie coraz bardziej zaciera się wyraźna dawniej granica pomiędzy szpitalem, przeznaczonym dla nieuleczalnie chorych i dlatego przez wiele osób unikanym, a sanatorjum — dla osób o pomyślniejszem rokowaniu. Wzamian tych nazw używa się coraz częściej, zwłaszcza we Francji, nazwy „ośrodka leczniczego" *(centre de traitement)* a równolegle ze zmianą nazwy zmienia się i charakter samych zakładów, bardziej ogólnych, wewnątrz których podziału chorych dokonuje lekarz, według okresu choroby, potrzeby tych czy innych zabiegów i t. p.

Następną ważną zmianą jest, że ośrodki lecznicze wznoszone są niekoniecznie w górach lub w jakimś specjalnie wyszukanym środowisku klimatycznem, lecz w dobrych warunkach zdrowotnych, w pobliżu miast, z których chorzy pochodzą. Jest to wynikiem dążenia do leczenia chorych w warunkach, w których po ukończeniu leczenia będą musieli przebywać, zmniejsza też koszta przewozu chorych, ułatwia utrzymanie łączności pomiędzy chorym i jego rodziną z jednej strony, chorym a poradnią z drugiej.

Nie ulega wątpliwości, że właściwą jednostką bojową w walce z gruźlicą jest dziś nie sanatorjum, zachowujące nadal swoją wartość, lecz poradnia, która wzięła na siebie całokształt opieki nad chorym na gruźlicę. Poradnia ma za zadanie znaleźć chorego jak najwcześniej, co jest znacznie ułatwione dzięki nowoczesnej technice laboratoryjnej i urządzeniom pomocniczym (Roentgen) i wziąć go pod swoją stałą opiekę. Poradnia ma ułatwić choremu powrót do zdrowia, ma zająć się jego izolacją, ma nauczyć go, jak powinien żyć i pracować i jak ułożyć wszystkie szczegóły życia

codziennego, żeby odzyskał siły i zdolność do pracy, a jednocześnie żeby nie był niebezpieczeństwem dla innych. Poradnia nigdy nie ogranicza się do zabiegów czysto leczniczych, lecz przenosi ciężar walki do domu chorego i do warsztatu pracy i to jest jej cechą charakterystyczną.

Wieloletnie doświadczenie wykazało, że leczenie w klęskach, dotykających mas i wypływających niejako z samego bytu, jest sprawą niemal drugorzędną. Wniknięcie w warunki pracy i życia domowego, zmiana w pożądanym kierunku tych czynników natury społecznej, które decydują o powstaniu danego zła i jego rozwoju, wysuwa się wówczas na pierwszy plan, bo to jest profilaktyka.

Życie samo uczy, że w chorobach społecznych zapobieganie nietylko opłaca się więcej niż leczenie, ale że jest jedynie racjonalne. Trzeba zainteresować się układem życia człowieka chorego w możliwie wczesnym okresie cierpienia, trzeba zwrócić uwagę na jego odżywianie, warunki mieszkaniowe, pracę i wypoczynek. Żeby osiągnąć pożądany cel niejednokrotnie trzeba zmienić cały tryb jego życia. Do tej pracy powołane zostały pielęgniarki, zwane inaczej higjenistkami lub wywiadowczyniami, których głównym obowiązkiem jest opieka nad społeczną stroną zagadnienia, organizowanie życia chorego i jego rodziny. Grupa poradni (opiekujących się chorymi na gruźlicę, na choroby weneryczne, matką ciężarną, niemowlęciem, alkoholikami), połączonych terytorjalnie i administracyjnie tworzy „ośrodek zdrowia", instytucję, o której obecnie często słyszymy.

Wreszcie trzeci czynnik tej grupy — to wychowanie, działalność uświadamiająco-propagandowa, specyficznie przeciwgruźlicza. Już od kilkunastu lat rozwijana jest na tem polu akcja tak energiczna i tak szeroka, że idea zakaźności gruźlicy przenikła do najszerszych warstw ludowych. O drogach szerzenia się gruźlicy, o metodach zapobiegawczych dziś wiedzą więcej laicy, niż lat temu kilkadziesiąt wiedział świat lekarski. Ma to wpływ na zmniejszenie rozsiewania zarazka przez plwocinę wilgotną i wyschniętą, przez mleko, prowadzi do wczesnego lecznictwa i t. d.

* * *

Po tem możliwie objektywnem omówieniu rozpowszechnienia gruźlicy, niewątpliwego jej spadku i najróżnorodniejszych przyczyn, jakie mogą wywierać wpływ na to zjawisko, postawmy pytanie, jakie są istotne przyczyny, którym zawdzięczamy spadek, i czy to jest zjawisko trwałe?

Jeżeli chodzi o mój osobisty stosunek, a odpowiedź na postawione pytanie musi mieć zabarwienie indywidualne, w streszczeniu tak mi się ta sprawa przedstawia. Z trzech grup czynników, które mogą wywierać wpływ na rozpowszechnienie gruźlicy i którym zawdzięczamy spadek, za najważniejsze uważam czynniki biologiczno - odpornościowe, które, jak dotąd, są prawie poza sferą naszych wpływów. Być może, że tu leży w przyszłości rozwiązanie całego, tak kolosalnej wagi zagadnienia (szczepionka), ale tymczasem musimy się poddać prawie całkowicie prawom natury, przyspieszając tylko ewolucję w pożądanym, korzystnym dla nas kierunku.

Drugie miejsce, sądzę, należy przypisać poprawie warunków społecznych, wywierających pośrednio bardzo duży wpływ na przebieg gruźlicy. Dowodów na to mamy wiele, gdyż wszelkie załamanie się materjalnych warunków bytowania, wszelki kryzys ekonomiczny pociąga za sobą automatycznie wzrost gruźlicy. Zarazek gruźlicy stał się wszechobecny, o uniknięciu go niema mowy, musimy z nim prowadzić stałą i umiejętną walkę; żeby z niej wyjść zwycięsko, musimy starać się być zawsze w kondycji najbardziej dla organizmu korzystnej, musimy unikać bliskiego i stałego stykania się z chorym na gruźlicę jako ze źródłem zakażenia, gdyż tylko w ten sposób można niedopuścić do zakażenia masowego. Dotychczasowa, w ostatnich latach bardzo wyraźna poprawa warunków pracy, mieszkania, żywienia szerokich warstw ludowych wraz z ubezpieczeniami społecznemi, oświatą i t. d. przyczyniły się bardzo do podniesienia zdrowotności ogólnej, do wzmocnienia sił żywotnych warstw najbardziej upośledzonych. W tej dziedzinie, zdaje się, dużo jeszcze jest do zrobienia i dalsze korzystne zmiany mogą się wiele przyczynić do dalszego spadku gruźlicy. Który zaś z tej olbrzymiej grupy czynników społecznych jest ważniejszy, który mniejszą rolę odgrywa, jest niemożliwe w obecnym stanie wiedzy

do sprecyzowania. Zresztą, trudno jeden wśród nich oddzielić od drugiego.

Wreszcie, trzecia grupa czynników — to świadome wysiłki w kierunku zwalczania gruźlicy, prowadzone przez instytucje publiczne i organizacje społeczne. Stawiam je dopiero na trzeciem miejscu, choć przez to bynajmniej nie chcę zmniejszyć ich wagi. Są znani autorzy, którzy lekceważą nasze poczynania higjeniczno-lekarskie, wskazując, że i tam, gdzie nie wprowadzono najbardziej reklamowanych inowacyj, np. poradni, tem niemniej widzimy spadek. Ten argument nie wytrzymuje krytyki, bo takie czy inne poczynania prowadzące do wykorzenienia gruźlicy, wszędzie weszły w życie i w tak skomplikowanem zjawisku, uwarunkowanem tylu poczynaniami, nigdy niewiadomo, jaki czynnik w danej chwili działa najsilniej. Wśród działaczy społecznych spotykamy się dość często ze zdaniem, że trzeba główny nacisk położyć na stronę ekonomiczną, na podniesienie stopy życiowej, na poziom kultury ogólnej, a dopiero po zaspokojeniu najpilniejszych potrzeb w tej dziedzinie, zająć się organizacją bezpośredniej walki z gruźlicą. Sądzę, że ten punkt widzenia jest również błędny, choć osobiście przywiązuję bardzo dużą wagę do warunków ekonomicznych. Społeczne czynniki, sprzyjające walce z gruźlicą, są tak ściśle związane z działalnością leczniczo-zapobiegawczą w jej współczesnem ujęciu, że oddzielenie jednych od drugich jest niemożliwe. Nie można także twierdzić, że same zabiegi leczniczo-zapobiegawcze są bez efektu na rozpowszechnienie gruźlicy, można tylko przypuszczać, że same one nie są wystarczające do zwalczania gruźlicy. Ale na tym punkcie widzenia nie stoi żaden znawca sprawy, nawet najgorliwszy entuzjasta medycyny. Wreszcie, walka czynników fachowych z gruźlicą ma jeszcze jedną dodatnią stronę — prowadzi do podniesienia skali życiowej, sposobu bytowania, do higjeny życia codziennego. Niema choroby, w imię której zrobionoby tak wiele dla poprawy warunków społecznych i higjenicznych, jak w imię gruźlicy. O tem nie powinni zapominać sceptycy, bo to jest faktem, nie dającym się zaprzeczyć.

O dalszym przebiegu gruźlicy trudno powiedzieć coś konkretnego. Brak nam doświadczenia z przeszłości, upraw-

niającego do jakiegokolwiek przewidywania, gdyż nie było dotąd w historji ludzkości chwili, kiedyby zakażenie gruźlicze objęło tak powszechnie jeden choćby kontynent, nie mówiąc już o całym globie ziemskim. Gruźlica dawniej obejmowała tylko pewne ośrodki, gęściej zaludnione, które zakażały tereny najbliższe. Materjału bardzo wrażliwego, łatwo palnego, niebezpiecznego i dla innych, nawet dla najbardziej zakażonych i zakażających ośrodków, było dotąd zawsze dużo. Dziewicze tereny pod względem gruźlicy tworzyły zawsze niebezpieczeństwo dla całej ludzkości i podtrzymywały wysoki poziom umieralności na gruźlicę wśród najstarszych cywilizacyj świata. Główne ogniska gruźlicy mogły dotąd przenosić się z miejsca na miejsce. Dziś jest inaczej. Przy współczesnej komunikacji, terenów wolnych od gruźlicy bodaj że niema, a w każdym razie tak wielkich ognisk, jak obecnie (cały niemal świat cywilizowany tworzy jedno), dotąd nie było. Obecnie brak nam materjału zupełnie świeżego, podsycającego stan zakażenia, dlatego wydaje mi się, że możemy oczekiwać dalszego spadku, a prawdopodobnie i większego wyrównania współczynników umieralności i zgonów na gruźlicę, dziś jeszcze tak różnych, nawet w sąsiadujących z sobą państwach. A co dalej?

Naturalnie, trudno jest prorokować na dłuższą metę, nie jest wyłączone, że kiedyś nastąpi znowu nasilenie gruźlicy i to bez zwiększenia zjadliwości zarazka i bez pogorszenia innych warunków, gruźlicy sprzyjających. Przypływ świeżych jednostek drogą przyrostu naturalnego jest zupełnie wystarczający, by dawać perjodyczne nasilenia i osłabienia endemji panującej. Naturalnie, to jest tylko możliwe, ale niekonieczne. A może gruźlica wygaśnie, jak wygasł trąd w Europie, jak zanika stopniowo zimnica? Prorokować można dowolnie.

W każdym razie, tak samo lekarze, jak i społeczeństwo, jako całość, nie mogą obojętnie czekać aż się ta wielka sprawa sama przez się rozwiąże. W rozgrywającej się walce między światem zarazków Kocha, a światem ludzkim, nie mamy prawa być tylko obojętnymi widzami.

* * *

A teraz, jak wygląda sprawa gruźlicy w Polsce. Gruźlica jest chorobą bardzo u nas rozpowszechnioną, takie jest przynajmniej ogólne mniemanie. Trzeba przyznać, że nasze materjały liczbowe o gruźlicy są bardzo niedokładne. Wprawdzie gruźlica „niebezpieczna dla otoczenia" prawnie podlega u nas zgłaszaniu, w rzeczywistości przypadki zgłaszane tworzą drobną cząstkę istniejących. W pierwszych latach po wprowadzeniu obowiązku zgłaszania gruźlicy, liczba zgłoszonych przypadków była niższa, niż liczba osób, zmarłych na gruźlicę. Obecnie anomalja ta już nie widnieje w naszych sprawozdaniach, ale do zgłaszania wszystkich przypadków gruźlicy, niebezpiecznej dla otoczenia, jeszcze bardzo daleko.

Drugie źródło, z którego możnaby zaczerpnąć dane o rozpowszechnieniu gruźlicy, to statystyka przyczyn zgonów. Z materjałów, ogłaszanych przez Główny Urząd Statystyczny, wypływa, że w roku 1928 zmarło na gruźlicę w całej Polsce 60.969 osób, co wynosi około 19 zgonów na 100.000 mieszkańców. Liczba ta może być bliska rzeczywistości, ale nie możemy jej bynajmniej uważać za dokładną nawet w przybliżeniu, gdyż w przeważającym odsetku zgonów przyczyna była stwierdzona przez laika - oglądacza zwłok, lub przez najbliższe otoczenie zmarłego, nie przez lekarza, co jedynie może być miarodajne. Zmierzając do liczb, możliwie dokładnych, musimy się ograniczyć do materjałów, obejmujących tylko duże miasta. Dotyczy to zwłaszcza miast z ludnością powyżej 100.000, posiadających najdawniejsze, najlepiej zebrane i najbardziej dostępne materjały liczbowe.

Dane o gruźlicy z Warszawy sięgają 1882 r., Poznania są jeszcze dawniejsze, Lwowa 1895 r., Krakowa 1905 r. We wszystkich tych miastach początkowo współczynniki umieralności na gruźlicę były bardzo wysokie. Potem, rok za rokiem, stwierdzamy naogół stopniowy spadek gruźlicy, co najwyraźniej występuje w Warszawie i w Poznaniu, aż do momentu wybuchu wojny. Spadek ten jednak z jednej strony nie jest znaczny, z drugiej — nie jest regularny, a ulega zmianom niekiedy w kierunku wstecznym.

W latach wojny miasta krajów wojujących ucierpiały bardzo z powodu gruźlicy, nigdzie jednak wzrost tej klęski

nie zaznaczył się tak silnie, jak w miastach polskich, dochodząc do 1.000 niemal zgonów na każde 100.000 mieszkańców (Warszawa). Pobiliśmy wówczas wszystkie rekordy.

Po wojnie we wszystkich naszych miastach zaznaczył się spadek gruźlicy i to ogólniejszy, szybszy i regularniejszy niż przed wojną. Jeżeli jednak porównamy nasze miasta z wielkiemi miastami europejskiemi w chwili obecnej, musimy przyjść do wniosku, że jesteśmy jednym z najbardziej zagruźliczonych krajów. Nasze miasta mają naogół współczynniki zgonów na gruźlicę powyżej 200 (na 100.000 mieszkańców), wielkie miasta w Europie i w krajach cywilizowanych innych części świata obniżyły swoje współczynniki do 150—100, a miasta, przodujące pod tym względem, jak np. amerykańskie, angielskie, skandynawskie, holenderskie, są już poniżej 100 (patrz tablica).

Że i na wsi polskiej gruźlica nie jest rzadkiem zjawiskiem i że rozpowszechnienie jej jest bardzo różnorodne w różnych okolicach kraju, mówią o tem dane z ankiet, przeprowadzonych *ad hoc*, z obserwacji lekarzy praktyków, lekarzy szkolnych i listy zwolnionych przy poborze z wojska.

Początków zorganizowanej walki z gruźlicą w Polsce należy szukać w latach przedwojennych. Inicjatorami tej walki byli wybitni lekarze praktycy, popierani czynnie przez całe społeczeństwo.

Pierwsze sanatorjum dla szerszych warstw ludności, o charakterze społecznym, powstało w r. 1874 w Mieni. Wkrótce otwarto dwa podobne zakłady w Otwocku i dwa w Zakopanem (1901 — sanatorjum dla studentów, w 1904 dla młodzieży katolickiej). Pomimo, iż poglądy ówczesne przemawiały na korzyść sanatorjów, ze względów głównie ekonomicznych liczba sanatorjów do roku 1914 była bardzo skromna. Towarzystwa przeciwgruźlicze także powstały przed wojną: pierwsze zostało zawiązane we Lwowie, w roku 1906, następne w 1908 w Warszawie, w Łodzi i w Poznaniu. Pierwsza poradnia została otwarta w roku 1908 we Lwowie, druga w 1909 w Warszawie.

Cały ruch przeciwgruźliczy, jak wypływa z powyższego, zapoczątkowany na kilkanaście lat przed wojną i prowadzony głównie, jeśli nie wyłącznie przez organizacje społeczne,

w momencie wybuchu wojny przybrał już znaczne rozmiary. Wojna wstrzymała całą pracę, a powstałe organizacje i instytucje doprowadziła do ruiny. Polska Służba Zdrowia musiała rozpoczynać pracę od początku i to w warunkach bardzo trudnych. Już w zaraniu swego istnienia, bo jeszcze w roku 1917 nasza administracja rozpoczęła prace badawcze nad rozpowszechnieniem gruźlicy i walkę z nią. Była to sprawa tem bardziej aktualna, że jak już wspominaliśmy, w miastach polskich wskutek ciężarów wojny i okupacji gruźlica doszła do niesłychanych rozmiarów, unosząc $^1/_4$—$^1/_3$ i więcej ogólnej liczby zmarłych. Następnie, wydarzenia wojenne i gwałtowne epidemje (dur plamisty) odwróciły uwagę władz sanitarnych od gruźlicy. Dopiero stłumienie epidemji i wejście w normalny okres pracy, pozwoliły zwrócić baczniejszą uwagę administracji na gruźlicę, jako na jedną z najgroźniejszych klęsk społecznych. Powołane do życia w roku 1917 Ministerstwo Zdrowia utworzyło specjalny referat do walki z gruźlicą, wprowadziło rejestrację instytucyj przeciwgruźliczych, oraz opracowało pierwszy projekt ustawy przeciwgruźliczej, który z różnych przyczyn nie został wprowadzony w życie. Obecnie istnieje nowy projekt, opracowany w Ministerstwie Opieki Społecznej i czeka na załatwienie w drodze ustawodawczej. Zniesienie w roku 1924 Ministerstwa Zdrowia Publicznego, które ogarniało całą działalność przeciwgruźliczą, a w następstwie podział jego agend między różne ministerstwa, był dla akcji przeciwgruźliczej niewątpliwie szkodliwy. Dopiero w roku 1932 większość tych agend została znowu skupiona w rękach Ministerstwa Opieki Społecznej; połączenie zdrowia z opieką społeczną może mieć szczególnie dużą doniosłość w walce z klęskami społecznemi, jak gruźlica.

Obecny ruch przeciwgruźliczy w Polsce można tak pokrótce scharakteryzować. Zasadniczo walkę prowadzą samorządy, które utrzymują szpitale, sanatorja i poradnie. Biorą jednak w tem duży udział Kasy Chorych, dla których chorzy na gruźlicę są ogromnym ciężarem, oraz prywatne organizacje społeczne (Towarzystwa Przeciwgruźlicze). Organizacje te, obecnie już w liczbie 203 na terenie kraju, złączone są w Polskim Związku Przeciwgruźliczym. Zada-

niem Związku jest zespalanie i uzgadnianie działalności instytucyj społecznych, samorządowych i ubezpieczeniowych, pracujących na polu walki z gruźlicą, przysparzanie środków pieniężnycch na cele tej akcji (dni przeciwgruźlicze), repartycja funduszów, uzyskanych od Państwa i samorządów, organizacja propagandy przeciwgruźliczej, szkolenie personelu lekarskiego (dotąd przeszkolono około 300 lekarzy) i pomocniczego. We władzach Związku reprezentowane są terytorjalne organizacje przeciwgruźlicze, inne osoby prawne, będące członkami Związku, oraz wybitni polscy ftizjologowie. Wyrazem ścisłej łączności pomiędzy Polskim Związkiem Przeciwgruźliczym, a naczelnemi władzami Państwowej Służby Zdrowia, jest wybieranie od początku istnienia Związku szefa Służby Zdrowia na prezesa Polskiego Związku Przeciwgruźliczego.

Rola Państwa sprowadza się głównie do kontroli i subsydjowania organizacyj społecznych. Wydatki Państwowej Służby Zdrowia na walkę z gruźlicą wynosiły:

w roku	1926/1927	275.000	zł.
„ „	1927/1928	524.000	„
„ „	1928/1929	813.000	„
„ „	1929/1930	1,019.000	„
„ „	1930/1931	846.000	„
„ „	1931/1932	771.000	„
„ „	1932/1933	492.000	„

Jak widać, dotacja państwowa początkowo wzrastająca od trzech lat szybko spada, pomimo, że potrzeby wzrastają, nie maleją. Naturalnie wydatki państwowe tworzą tylko cząstkę ogółu wydatków ponoszonych przez społeczeństwo, głównie przez samorządy i Kasy Chorych. Danych o samorządach nie posiadamy, co zaś dotyczy Kas Chorych rozporządzamy wynikami ankiety, obejmującej lata 1926—1928, może niezbyt pełnej, ale dającej liczby prawdopodobne. Z materjałów, zebranych wówczas przez Dr. M. Grodeckiego i Dr. St. Sielickiego, wynika, że Kasy Chorych wydawały rocznie z górą 23 miljony złotych na gruźlicę. Pomimo to finansowe oparcie walka z gruźlicą ma u nas dotąd słabe.

Jeżeli mowa o instytucjach, współczesny kierunek walki z gruźlicą opiera się u nas, podobnie jak na Zachodzie Europy, na poradniach, które według określenia ich twórcy Sir Roberta Philip'a „są osią walki przeciwgruźliczej, kwaterą główną frontu przeciwgruźliczego". Istnieją obecnie dwa rodzaje poradni, jedne jako samodzielne instytucje, drugie — wchodzące w skład ośrodków zdrowia. Pierwsze należą zwykle do towarzystw przeciwgruźliczych, drugie do samorządów. Rozwój poradni przeciwgruźliczych charakteryzują następujące liczby: w roku 1920 liczba poradni wynosiła 30, w r. 1927 — 150, w r. 1930 — 332 a w r. 1933 — 352.

Z pośród 352 poradni czynnych w 1932 r. — 216 wchodziło w skład ośrodków zdrowia, pozostałe tworzyły przeważnie poradnie samodzielne. Według przynależności można było je podzielić jak następuje: do samorządów wiejskich należało 44,8% poradni, do samorządów miejskich 13,5%, do towarzystw przeciwgruźliczych 30,9%, do Kas Chorych 4,6%, do innych instytucyj 7,4%. Niestety poradnie te nie obejmowały prawdopodobnie nawet $^1/_{10}$ ogólnej liczby chorych na gruźlicę, pozatem działalność ich ogranicza się prawie wyłącznie do miast, wieś jest wciąż pozostawiona samej sobie.

W dodatku przy tak szybkiem tempie rozwoju nie wszystkie pootwierane poradnie są należycie urządzone, nie wszystkie też spełniają swą rolę — wynajdywania środowisk gruźliczych i roztaczania wszechstronnej opieki nad choremi dopóty, dopóki oni tej opieki wymagają. Wobec stałego nacisku i instruowania przez Służbę Zdrowia, jak również przez Związek Przeciwgruźliczy, wszystkie poradnie podnoszą się stopniowo, ażeby doprowadzić działalność swoją do wymaganego poziomu. Jako jeden z największych braków poradni, który winien być usunięty w najbliższym czasie, należy wymienić niedostateczną jeszcze liczbę należycie wyszkolonych pielęgniarek społecznych, bez których poradnie nie mogą spełnić swych zadań. Dotąd 14% poradni nie posiada pielęgniarek wcale, dlatego też poradnie otrzymują pacjentów pod swoją opiekę zbyt późno, kiedy ani chorego nie można już uratować, ani zdrowego przed nim zabezpieczyć.

O działalności poradni mówią następujące liczby za rok 1931:

Ogólna liczba porad	457,972
Ogólna liczba pacjentów	273.196
W tem chorych na gruźlicę	111.418
Zbadano plwociny	49.089
W tem wynik dodatni stwierdzono	11.756 razy
Badań Roentgena dokonano: prześwietlań	60.988
Badań Roentgena dokonano: zdjęć	3.556
Odwiedzin domowych	140.147
Umieszczono w zakładach leczniczych i zapobiegawczych osób	5.368

W przeciwieństwie do tego, co widzimy na Zachodzie, poradnie nasze nie udzielają prawie wcale pomocy materjalnej chorym, nie zajmują się dożywianiem, dostarczaniem łóżek, spluwaczek, natomiast wszystkie nietylko badają chorych, lecz i leczą. Działalność lecznicza poradni w ostatnich latach bardzo się rozszerzyła, wskutek coraz częstszego stosowania odmy sztucznej.

Izolacja niebezpiecznych dla otoczenia chorych na gruźlicę jest wciąż u nas nie do przeprowadzenia. Umieszczanie chorych w szpitalach i sanatorjach jest bardzo trudne i z powodu braku miejsca, i ze względu na brak środków na opłatę kosztów leczenia, pozostawianie zaś chorych w domu ze względu na fatalne warunki mieszkaniowe jest niedopuszczalne.

W dniu 1 stycznia 1934 roku posiadaliśmy w całym kraju 3461 łóżek w 205 szpitalach i 5167 w sanatorjach. Specjaliści stawiają jako normę w krajach o dobrze postawionej walce z gruźlicą, że łóżek powinno być przynajmniej tyle, ile rocznie umiera osób na gruźlicę. Jak już uprzednio wspomniałem, brak nam danych dotyczących liczby zmarłych w całej Polsce, w każdym razie umiera wiele razy więcej, niż mamy łóżek. Od pożądanych norm jesteśmy dalecy. Tymczasem istniejące łóżka nie są należycie wyzyskiwane. Według obliczeń Polskiego Związku Przeciwgruźliczego w roku 1930 łóżka sanatoryjne były wolne przeciętnie przez 64 dni, w roku 1931 — 89, a w r. 1931 — 128. Dalsza rozbudowa szpitali i sanatorjów jest konieczna i będzie wymagała wiele czasu

i środków, o które tak trudno, ale nie jest to najważniejsza troska chwili obecnej. Należy przedewszystkiem wyzyskać łóżka istniejące, gdyż w wyniku kryzysu i „próżnowania" łóżek nietylko nie widzimy wzrostu, lecz przeciwnie spadek liczby zakładów leczniczych. Rozpatrując materjały liczbowe z sanatorjów za szereg lat znajdujemy, że z ogólnej liczby chorych tam znajdujących się zaledwie 10—18% leczy się na koszt własny, za pozostałych płacą Kasy Chorych (40—47%), pomoc lekarska urzędnikom państw. (27—28%), wreszcie samorządy i dobroczynność publiczna (10—18%). Na wzrost leczonych na koszt własny w dzisiejszych warunkach liczyć trudno. Konieczność zmusi nas do zajęcia się ogółem ludności, a koszty leczenia w tej lub innej postaci spadną na społeczeństwo.

Przegląd akcji zapobiegawczej w Polsce wskazuje na liczne jeszcze braki. W ostatnich czasach zgodnie z poglądem, że zakażenie gruźlicą ma miejsce w dzieciństwie, kładzie się coraz większy nacisk na walkę z tą klęską w wieku niemowlęcym, przedszkolnym i szkolnym. W tym celu dokonywane są między innemi u niemowląt w ciągu pierwszych dni ich życia szczepienia przeciwgruźlicze, w których świat naukowy widzi najprostszy system walki. Czy szczepionka ta okaże się, jak jej wróżono, jednym z największych zwycięstw medycyny zapobiegawczej, przyszłość pokaże. W każdym razie, jak gdzieindziej tak i u nas, dotychczasowe wyniki szczepień B. C. G. (Bacille Calmette-Guerin) są zachęcające. Nie ulega wątpliwości, że szczepionka jest całkowicie bezpieczna, nieszczęśliwe wypadki, jakie miały miejsce zagranicą (Lubeka), wynikły z niedopatrzenia, z fatalnego zbiegu okoliczności, nie zaś z racji samej szczepionki. Pewnem zdaje się być również, że umieralność na gruźlicę dzieci szczepionych jest mniejsza, niż nieszczepionych. Zaszczepiono dotychczas w Polsce zgórą 20.000 dzieci, z czego połowa przypada na Warszawę.

W związku z ochroną przed gruźlicą wieku dziecięcego urządzane są kolonje letnie, cieszące się ogromnem powodzeniem wśród szerokiej publiczności i poparciem władz rządu, samorządów i organizacyj społecznych, przedewszystkiem Kas Chorych. Dowodem tego jest fakt, że w r. 1922

na kolonje letnie wysłano 39.312 dzieci, w 1930 — 129.478, zaś w roku 1932 już 138.000. Niewątpliwie jest to ogromny postęp, choć dalecy jeszcze jesteśmy do zaspokojenia potrzeb naszych w tej dziedzinie, co się daje odczuwać, szczególnie w okresie kryzysu.

Zupełnie niepomyślnie przedstawia się opieka nad dziećmi słabowitemi i wyraźnie zagrożonemi gruźlicą. Szkół powszechnych na otwartem powietrzu, przeznaczonych dla dzieci niegruźliczych, ale wątłych, których stan wymaga specjalnej opieki higjenicznej i nadzoru lekarskiego, posiadaliśmy na 1 stycznia 1934 r. zaledwie 4 (308 miejsc). Kilka zakładów prywatnych w miejscowościach klimatycznych nie ratuje sytuacji.

Prewentorjów, to jest zakładów na otwartem powietrzu, przeznaczonych do leczenia dzieci niegorączkujących, z początkowemi utajonemi postaciami gruźlicy, z gruźlicą gruczołów przyoskrzelowych, albo z lekkiemi postaciami gruźlicy chirurgicznej, dzieci pochodzących często z rodzin gruźliczych, posiadamy zaledwie 18 z liczbą łóżek 1255. W instytucjach leczniczych o typie sanatoryjnym, lub sanatoryjno-szpitalnym, przeznaczonych specjalnie dla dzieci, posiadamy zaledwie łóżek 113, przytem niektóre z nich otwarte są tylko w okresie letnim.

Wreszcie należy zaznaczyć, że nic dotąd w Polsce nie zrobiono w jednej z najważniejszych spraw, a mianowicie w dziedzinie izolacji dzieci od ognisk gruźliczych, to jest zabierania dzieci z rodzin gruźliczych i umieszczania ich w środowisku zdrowem, czyto pojedyńczo w rodzinach, czyto zbiorowo w odpowiednich instytucjach. Akcja tego rodzaju we Francji dała bardzo dobre wyniki i w naszych warunkach naprawdę godna jest naśladowania.

Dr M. Kacprzak.

TABLICA.

UMIERALNOŚĆ NA GRUŹLICĘ W RÓŻNYCH MIASTACH NA 100.000 LUDNOŚCI.

Rok	Berlin	Kopenhaga	Praga	Rzym	Londyn	Wiedeń	Paryż	Nowy Jork	Warszawa	Łódź	Lwów	Poznań	Kraków
1921	148	114	206	215	128	282	286	102	252	275	370	184	297
1922	163	106	217	230	128	297	278	97	261	298	317	228	289
1923	181	101	172	217	116	248	270	93	268	291	313	269	290
1924	145	125	176	239	116	221	286	90	275	297	276	243	329
1925	124	105	174	232	112	196	283	86	231	253	218	219	220
1926	107	103	166	205	103	204	279	85	252	276	229	238	239
1927	107	94	178	181	105	204	242	78	257	270	241	222	210
1928	100	92	175	151	104	189	228	79	232	267	222	203	205
1929	101	89	176	160	103	182	236	75	226	238	203	189	214
1930	91	89	151	146	97	161	232	73	210	232	170	190	178
1931	92	86	155	144	102	170	219	70	187	247	157	193	190

Niecierpliwiec boski.

Hiszpanja porewolucyjna obfituje w kontrasty, czem zaświadcza tylko, że pozostała sobą. Jeżeli ich czasem nie dostrzegamy, to tylko dla tego, że nas nie dochodzą: zapirenejski kąt naszego kontynentu nie zakłóca dziś świata i korzysta z przywileju nieuwagi sąsiadów. Europa ma tyle kłopotów i nowości, że snadnie ujść mogą jej świadomości nawet bardzo ciekawe zjawiska pirenejskiego półwyspu.

Pierwsze miesiące po upadku monarchji zaznaczyły się wzmożonem znacznie tętnem propagandy księgarskiej i wydawniczej. Bibljoteki i seminarja całego świata były wciąż bombardowane katalogami i prospektami dzieł zasadniczych i encyklopedycznych o treści wojowniczo antyreligijnej i postępowej, wedle recepty z przed pół wieku i więcej. Taniość efektu szła tam w parze z zapóźnieniem tonu.

Atoli równocześnie tradycyjna, rdzenna Hiszpanja żyła dalej: dowiodły tego niedawne wybory do Kortezów. Jednym z przejawów tego, nie przebudzenia, ale dalszego snucia nieprzerwanej nici, jest wiadomość o ogromnem, zdumiewającem powodzeniu scenicznem sztuki, którą znany poeta i literat Jose Maria Pemán poświęcił świętemu Franciszkowi Xaweremu. Setki przedstawień i tysiące wiernych widzów i słuchaczy *El divino Impaciente, Boskiego Niecierpliwca* — oto memento, które w świat wysyła republikańska Hiszpanja...

Autor dotąd nie był dramaturgiem,[1]) tylko lirykiem i nowelistą. Że w tem swojem dziele przebojowem sięgnął

[1]) Oto tytuły dzieł Pemán'a, w prostym ciągu bibljograficznym: *De la vida sencilla* (1923), *Nuevas poesias* (1924), *A la rueda, rueda* (1929), *El barrio de Santa Cruz* (itinerario lirico 1931), *Elegia de la Tradici'ón de Espana* (1933). — Powieści czy raczej nowele: *Cuentos sin importancia*

dramatu — mimo dzisiejszego upadku teatru w Europie — to może zdziwić tylko tego, kto nie zna wielkich szlaków przeszłości teatralnej półwyspu.

Hiszpanja, kraj posiadający jedną z pięciu wielkich literatur europejskich, teatr swój związała z swą historją, więcej nawet, z swą płomiennie katolicką religją. Średniowiecze hiszpańskie przekazało nam nie sztuki teatralne, które przeważnie zaginęły, ale wiadomość o ciągłej walce kościoła z entuzjazmem ludności, i nawet kleru, do przedstawień teatralnych. Wprowadzone do Hiszpanji z początkiem wieku XIV-go uroczystości *Corpus Christi,* stały się tylko dalszym, walnym zaczynem rozwoju zamiłowań scenicznych. Nigdzie w takim stopniu, jak w Hiszpanji, widowiska procesyjne nie trafiły na swój grunt wybrany. Wyrosły z tego pochody i maszkary ludowe *(tarascas),* niby nasz Lajkonik, ale rozwinęły się też i *Autos Sacramentales,* stanowiące jeden z najwspanialszych kwiatów twórczości dramatycznej, jakie zna historja teatru powszechnego.

Z taką tradycją wkraczała Hiszpanja w swój wielki wiek XVII, w którym zdobyła się na teatr współczesny Szekspirowi i Moljerowi i Rasynowi, i z nimi wszystkimi rywalizujący. Wspaniałą linję rozwoju sceny hiszpańskiej w tym wieku wytyczają nazwiska: Lope de Vegi, który w drugiej połowie życia stał się księdzem, ale twórczości nie przerwał, mnicha i przeora Tellez'a, znanego pod mianem Tirso de Molina, i wreszcie księdza i dostojnika kościelnego, Calderona.

W ten sposób, Hiszpanja splotła w tym swoim ruchu klasycznym, swoje dwa ideały: teatr i religję. Jeżeli, jak to już dziś nie ulega wątpliwości, cały teatr europejski wykluł się z mszy świętej, na drodze tropów i pieśni dramatyzowanych, można stwierdzić, że teatr hiszpański, jak żaden inny, pochodzenia swego nie zaparł się na szczytach —

(1925), *Romance del fantasma y Dona Juanita,* nowela, 1927, *Volaterias* (cuento) 1932, *La eternamente vencedora* (interpretación sin tópicos del alma andaluza (1933), i wreszcie satyra współczesna: *De Madrid a Oviedo pasando por las Azores* (1933), „stylizowana karykatura stosunków i ludzi, którzy przygotowywali zmianę reżimu w Hiszpanji".

mimo wszystkiego, co tam doprowadził z tradycyj ludowej wyobraźni i humoru.

Po takiej historji, przyszłoby się zaprawdę zdziwić, gdyby w chwili nowego zakrętu dziejów swoich, hiszpańska literatura sięgnęła do wszystkich rodzajów — prócz teatru!

Przechodząc do sztuki Jose M. Pemán'a, zauważmy odrazu, że nie stanowi ona logicznie rozwijającej się akcji dramatycznej o wyraźnej, organicznej całości. Są w niej raczej dość luźno wiązane obrazy dramatyczne, z których jednakowoż każdy w sobie jest całostką posiadającą swój kręgosłup, a w tym kręgosłupie doskonały nerw dramatyczny.

Dodajmy też, że Pemán dramaturg nie zatracił w sobie liryka. Wręcz przeciwnie, mamy w tej sztuce coś w rodzaju rytmicznego i perjodycznego wybuchu lirycznego, skierowanego w łożysko dramatyczne. Rzecz może być w wykonaniu rzadką, w założeniu nie jest trudną do pomyślenia. Wszakże dramatyczne *pointy* nie są liryce obce: proszę taką *pointę* rozwinąć i uscenizować, a nabierzemy pojęcia o stylu tej pierwszej sztuki Pemán'a.

Parę przykładów.

Pierwszy obraz, prolog, dzieje się w *Collège Sainte Barbe,* w Paryżu, wśród kastylskich studentów wesołych i rozbawionych. Javier (franc. Xavier) jest tam prześladowany jako sensat. Wśród dość tanich przekomarzań się i sporów, nagle wybucha liryzm, dramatycznie bo nagle. Rozmowa toczy się nad globusem o nieznanych krainach świeżo odkrywanych właśnie przez Hiszpanów. Rozmowa dotyczy dziwów, niebezpieczeństw i polityki, a też i handlu; jedni lękają się tych dalekości, innych to nie obchodzi. Javier zdaleka słuchając tych rozmów z nad książki, nagle wpada w dialog, inny zupełnie ton wnosząc. Handel? strach przed niebezpieczeństwem? polityczne ambicje? jakież to wszystko małe wobec ogromu przyszłości. Jemu na świecie ciasno, jakżeż mu szkoda, że to nie jemu przypadło w udziale odkrycie Indyj...

Oczywiście kolegów jego ogarnia zdumienie wnet rozwiązujące się w śmiech i drwiny. Ten ponury, zamknięty w sobie, niebiorący udziału w zabawach, odludek? tak

właśnie się odzywa? Wybiera się na podbój gwiazdy z nieba Jego Łaska! „Nie, odpiera Javier, ale chodzi o to, by zrozumieć, że olbrzymieją zadania ludzkości. Dzięki Kastylji i Portugalji świat zrozumie swoją wielkość!" Na te słowa słuchacze rozpadają się odrazu na dwa obozy: jedni są za pierwszeństwem Kastylji, inni Portugalji... Ale Javier godzi ten spór w słowach znamiennych: Co znaczą te drobne spory wobec ogromu zadania! Widzicie te dwa wielkie szlaki, hiszpański i portugalski, jeden idzie na zachód a drugi na wschód. „Są to dwa otwarte ramiona rozkrzyżowanej Hiszpanji. Bo choć wydają się dwoma, jeden głos wewnętrzny mówi im o jednym ideale". Wiadomo, co oznaczają te słowa w ustach tego, o którym wiemy, że stanie się apostołem dalekiego Wschodu. W tych młodzieńczych słowach natchnionych każe się autor przejawić po raz pierwszy powołaniu misyjnemu swego bohatera.

Dodaję i to, że w tych słowach znamiennych mamy coś w rodzaju hiszpańskiego mesjanizmu narodowego, ale mesjanizmu triumfującego. Hiszpanja jest tam raczej rozkrzyżowana niż ukrzyżowana. Ale obraz krucyfiksu jest!

Drugim podobnym momentem lirycznego dramatyzmu będzie chwila zbliżającego się wyboru O. Javiera do dalekiej wyprawy. Jest to akt pierwszy odgrywający się w pierwszym zakładzie Jezuitów w Rzymie. O. Javier jest dalej taki sam: zamknięty w sobie, ale i w sobie płonący. Nie odgadł go nikt prócz O. Ignacego. Przychodzi nowina o gotującej się wyprawie: są już nawet wyznaczeni kandydaci. Po raz wtóry Javier żałuje w cichości serca, że nie na niego padł wybór władz. „Cóż to za wzruszenie być musi, móc dojść do chwili by zawołać: Słuchajcie! i móc nowem słowem przerwać dziewiczość wiatru, który nie słyszał nigdy Prawdy".

Zostawszy się sam, o zmroku, Javier spostrzega gasnącą lampkę oliwną przed obrazem Najświętszej Panny. Idzie po bańkę z oliwą, poprawia światło i, zapatrzywszy się w obraz, mówi:

„Pani, miej litość nad tym ubogim szaleńcem, który tak mało uczynił dla miłości Ciebie, a tak wielką miał ambicję. Ja, który już w wyobraźni docierałem do Indyj, zostałem się tu, by dolać oliwy do Twojej lampki".

Czemu tak patrzysz, tyle mi odwagi dodajesz o Pani takiem patrzeniem!

(na kolanach, pokornie) Gdybyś chciała Pani...

(z głową spuszczoną) Nie wiem czybym zdołał... ale wiem, żebym czynił jakbym mógł najlepiej".

Poczem przychodzi O. Ignacy, donosząc mu o zmienieniu postanowienia i o wysłaniu, jego, Javiera, do Indyj. Dziwi się trochę, że się Javier nie dziwi...

Jest w tej sztuce i prostszy element dramatyczny, taki *ad oculos* tłumu obliczony, więc melodramatyczny. Jest tam przy Javierze, przez całe życie, nieodstępna postać grzesznika i wroga Atayde, którego Javier chce zbawić. Zły kolega w Paryżu, towarzysz na obczyźnie dzikiej, jako handlarz i przedsiębiorca, wszystko zawdzięcza Javierovi, i stale go na śmierć wydaje, choć bezskutecznie: z tego złego posiewu zawsze dobro wyrasta. Do śmierci Javier zań się modli, nań pracuje duchem i męką. I nie dowiadujemy się do końca niczego o nawróceniu Atayde'a. Wolno nam w to wierzyć, ale nie znajdujemy w sztuce niczego poza tragizmem niepewności. Ten tragizm dotyczy zresztą jedynie ofiary Javiera; sam Atayde jest niecieniowanym czarnym charakterem, nie budzącym w nas zainteresowania ni współczucia.

Daleko głębszą jest trzecia warstwa roboty dramatycznej, sięgająca już głębin psychologji ludzkiej, a też i ideologji pracy nad tą psychologją. Idzie tu o stosunek wzajemny O. Ignacego i Javiera.

Javier od samego początku przedstawiony nam jest *in actu* jako burzliwy zapaleniec, wpadający wciąż w krańcowość, grzeszący brakiem miary. O. Ignacy, umiłowawszy sobie tę duszę wybraną, postanawia równocześnie wyleczyć ją z tej niemiary i naprostować zbyt lotne skrzydła.

Pracę tę duchową oglądamy *in actu*, bo stanowi ona właśnie najciekawszy moment pracy dramatycznej naszego autora. Będziemy tu mieli gwałt zadany duszy ludzkiej, gwałt błogosławiony, ale nieraz nielitościwy. Taki gwałt właśnie duchowy, w esencji swojej, jest nawskróś dramatyczny.

Tak się dzieje odrazu w paryskim prologu, w którym młody Javier odcina się temperamentem zapalczywym w swej

pokorze i ascezie od baraszkujących współtowarzyszy. Wtedy już, przybyły tam od niedawna Ignacy Loyola, z tą duszą z ognia i wrzątku, spierać się musi. Uniesiony gniewem na drwiny Atayde'a, Javier, wytrącony z równowagi, wyzywa go do walki. W tej właśnie chwili nadchodzi niepostrzeżony Ignacy i karci go wobec wszystkich. Upokorzony Javier łamie się w sobie. „Kto zrobił cię moim karcicielem?" pyta. A Ignacy: „ból o Twoją duszę płomienną!" I porównywa go do rozszalałego górskiego potoku, który trzeba ujarzmić. A gdy Javier przypomina, że troska o sławę do wielkich czynów prowadzi, odpiera Ignacy cios mówiąc, że mu tej sławy przysporzy, tylko na innej drodze. O ten spór o s ł a w ę — jakże kastylski! — zahaczono tu całe pozyskanie Javiera dla idei Ignacjańskiej. Rozmowa kończy się paktem i poddaniem się Javiera kierownictwu Ignacego.

Jakoż akt kończy się sprawdzianem tej przemiany duchowej. Gdy Atayde przychodzi na wyzwanie i walkę, Javier pada mu do kolan i prosi o przebaczenie, z rozkoszą wysłuchując zarzutów tchórzostwa, choć resztką odruchu musi powstrzymywać wybuchy gniewu (wspaniała to rola dla dobrego aktora!). I znów nadchodzi Ignacy, znów — o dziwo — gromiący, i to surowo. Javier nie rozumie: „Czyż winą było upokorzenie się?" A Ignacy: „Nie potępiam zapału, ale proszę, trochę mniej krańcowości! (un poquito menos dado a lo extremoso). Proszę, troszeczkę mniej płaczu i mniej wielkiego głosu! Pragnę cię widzieć sługą bożym, ale bez bawienia się w świętego...".

Taka jest pierwsza sprawa między mistrzem a uczniem.

I, choć już tego na scenie nie zobaczymy, rozumiemy, że w tym kierunku szła współpraca między tym surowym mistrzem posłuszeństwa duchowego a tym uczniem, wciąż wyłamującym się w imię zapału i niepohamowania w ideale. Trud duchowy tem ciekawszy, że O. Ignacy nie umie nie zdradzać się z umiłowaniem tego wybranego wśród umiłowanych uczni! Stąd jego słowa pożegnalne: „Idziesz ku wielkim celom. Pamiętaj, że dla osiągnięcia celu, nie należy rozdawać nazewnątrz tego, co trzeba chować wewnątrz... Życie wewnętrzne więcej znaczy niż czyny zewnętrzne... Nie zasypiaj bez myśli o śmierci: więcej ona znaczy od twardego

łoża... Co rano, powiesz Matce Najświętszej te wszystkie swoje bóle utajone, które się mówi Matce... Pisz do mnie bez próżności i czczej skromności. Pomyśl, że się już nie zobaczymy. Zachowaj mnie w Twem sercu, jak ja Ciebie w mojem..."

Po tych paru, bardzo oszczędnych śladach ręki twórczej Ignacego, rozumiemy, że Javier odjeżdża umocniony i przetworzony, ale niezmieniony w swoim temperamencie. Spostrzegamy te jego rysy niezmienne *Boskiego Niecierpliwca* w akcie drugim, na odjezdnem do misyj, wtedy, gdy na hiszpańskim dworze ostro i niepohamowanie karci dewocję dam dworskich. I jakgdyby już będąc w jednej osobie sobą karconym i karcącym Ignacym, na pożegnanie w samym końcu aktu, zwraca się do jednej z owych dam dworskich — z przeproszeniem: „Wybaczcie, Pani, że byłem trochę twardy w mowie. Jestem bardziej przyjacielem wichru niż wietrzyku:

Soy más amigo del viento,
Senora, que de la brisa...

Chciałbym, by z tej przydługiej analizy wystąpiło jasno, ile dramatycznego wigoru mieści się w tych, zdawałoby się pozornie tak odległych od teatru, sprawach moralnego rzeźbienia się duszy ludzkiej. Ten wigor dramatyczny co trocha krzesze iskry życia dramatycznego i, rozumiemy, wzbudza silny entuzjazm u widza i słuchacza. Że zaś idzie tu o pewien ideał życia ludzkiego i bohaterski typ człowieka, przeżycia płyną stąd społecznie pozytywne i twórcze.

Nie wszystko jest zresztą w tej sztuce równe i nie wszystko równie miłe. Jest tam pewne, rzecby można, chodzenie za pan brat z cudem pod rękę, które razi może tylko nas, ludzi Północy? Gdy więc, w dalekiej Malace, O. Javier wskrzesza umarłe dziecko, a następnie uchodzi przed wdzięcznością matki i tłumu, wołając, że to był sen, mamy scenę naprawdę dramatyczną i wstrząsającą. Ale, gdy uprzednio w Rzymie O. Fabro wraca od trędowatych, a rozsiewa koło siebie zapach róż — niecierpliwi nas widok obwąchujących go współzakonników. Niecierpliwi i nawet estetycznie uraża.

Nie bez zamierzenia, wysunąłem tu na sam koniec pewne zastrzeżenia: nie chciałbym nadawać tej notatce pozorów apologji. Ze swojemi wadami, pewnemi dziecinnemi efektami i pewnemi płyciznami obok swych głębi i porywów, jest to sztuka piękna i niejednokrotnie podniosła.

Jest to też sztuka, pobudzająca do myślenia. Odkładając tę książkę, odnajdujemy w sobie pytania i problemy. Jednym jest problem stosunku Ignacego Loyoli do literatury naszych czasów. Nie tak to dawno, Maurycy Barrès w swym młodzieńczym i bardzo jeszcze egotycznym cyklu: *le Culte du Moi,* tak entuzjastyczny hołd oddawał mistrzowi analizy wewnętrznej, za jakiego uważał św. Ignacego Loyolę. Pochwała wydawała się wtedy dwuznaczną, bo tak narcyzowo chodził młody Barrès koło swojej duszy. Ale szkoła była dobra, skoro tak daleko i tak wysoko Barrès dobiegł. Zaś teraz, u Pemán'a, autora młodej Hiszpanji, notujemy nową falę entuzjazmu pod adresem owego łamacza i rzeźbiarza dusz, jakim był Loyola.

Zaś pytanie drugie dotyczy bardzo dramatycznego stosunku Świętego do jego najbliższych towarzyszy. Jakżeż trudno im było go zadowolić, jakżeż nigdy nie było wiadomo, czy się usłyszy pochwałę, czy naganę za spaczenie myśli? Problem ten postawił autor śmiało i wyraźnie: obowiązuje on i na przyszłość i dotyczy wszystkich tych, którzy weszli w bliższą czy dalszą współpracę z myślą św. Ignacego Loyoli. Jest to problem zdrowy: zdrowo jest być przejętym niespokojną pokorą wobec wielkiej postaci Świętego, który, wszakże dalej żyje i dalej sądzi.

Władysław Folkierski.

Czy św. Wojciech napisał Bogurodzicę?[1])

Święty Wojciech, poeta doctus.

Nie mamy żadnego świadectwa historycznego, by kiedykolwiek parał się poezją, ba, literaturą, czy to spowiednik Kingi, franciszkanin Boguchwał, czy św. Jacek, czy którykolwiek z tych ludzi, którym tak skłonni do hipotez badacze przypisywali autorstwo „Bogurodzicy" jeszcze ćwierć wieku temu. Ale czy mamy takie świadectwa co do św. Wojciecha? Czy wiemy cokolwiek o jego uzdolnieniach i zamiłowaniach literackich? Czy możemy nazwać go poetą — i to poetą, któryby, wedle wyrażenia Łosia, „zasłużył sobie na to, ażebyśmy jego smak artystyczny (naturalnie w duchu wieku)

[1]) Dwa rozdziały, tu zamieszczone, stanowią zakończenie i ostateczny rezultat dłuższej rozprawy p. t. *Zagadnienie autorstwa Bogurodzicy.* W dwuch rozdziałach tejże, drukujących się w *Pamiętniku Literackim* („Wersyfikacja Bogurodzicy" i „W kręgu dogmatów marjologicznych"), wykazują, że najstarsza pieśń polska zależna jest ściśle w wierszu, stylu i języku od greckich hymmów średniowiecznych, zwłaszcza t. zw. *theotokjonów*, zawartych w liturgji Kościoła Wschodniego, zwłaszcza zaś w *horologjon* (officium) bazyljańskiem. W rozdziale p. t. „Twego dzieła Krzciciela", ogłoszonym w *Przeglądzie Katolickim* z 17 czerwca 1934 r. wskazują na niebywały rozwój kultu św. Jana Chrzciciela w X w., jako na podłoże przytoczonej inwokacji, tudzież wyjaśniam jej związek z pierwszą zwrotką „Bogurodzicy". Na podstawie wszystkich tych, szeroko ujętych rozważań dochodzę do niezachwianego przekonania, że dawna tradycja o autorstwie św. Wojciecha, poparta uroczystem zapewnieniem polskiego prymasa Łaskiego, nie jest fałszerstwem ani fantazją, jak to utrzymywali niektórzy badacze, sami puszczający się nieraz — w braku znajomości spraw kościelnych i literatury kościelnej — na karkołomne i zgoła niczem nie poparte fantazje, sugerując nawet takich, którzy mogliby w danych sprawach więcej wyjaśnić. — *J. B.*

i jeśli nie talent, to przynajmniej zręczność wersyfikacyjną sprawiedliwie ocenili"? Innemi słowy, czy możnaby stwierdzić, że św. Wojciech był nie tylko — z racji swej godności duchownej — znawcą liturgji i dogmatów, ale ponadto znawcą zasad wersyfikacji i muzyki, znawcą teoryj literackich, szczególnie poetyki... i to nietylko zachodniej, ale i greckiej?

Na wszystkie te pytania odpowiedź wypada potwierdzająco.

Bez żadnych zobowiązań wolno mi wspomnieć rzecz powszechnie znaną, że za poetę uważa św. Wojciecha nietylko tradycja polska, którąśmy omówili poprzednio, ale i niezależnie od niej, tradycja czeska, prawda, że w swych świadectwach pisemnych też dość późna, bo sięgająca wieku XIII. Kontynuator kroniki Kosmasa pisze pod r. 1260, że z okazji zwycięstwa nad Belą, Czesi śpiewali „pieśń przez św. Wojciecha ułożoną, którą pospólstwo śpiewa w każdą niedzielę i w inne święta". Chodzi tu o słynną pieśń *Hospodine pomiluj ny*, którą tenże kontynuator Kosmasa wspomniał pod r. 1249, śpiewaną na powitanie Wacława I. Wiadomo też, że benedyktyn Jan z Holeszowa w XIV wieku uważał św. Wojciecha za autora tej pieśni, a śpiewka katolicka z czasów husyckich głosiła:

Pražský biskup, svatý Vojtech,
z Polska je přinesen do Čech.
Čechové mir, spokoj meli,
dokudž jeho piseň peli —
Hospodine pomiluj ny.

Późniejsza tradycja czeska przypisywała św. Wojciechowi już dość bezpodstawnie nawet autorstwo pieśni *Svatý Václavé, vévodo české zeme.* Zwracano u nas niejednokrotnie uwagę — z różnych powodów i z różnym skutkiem — na pewne, może niezbyt wielkie, pokrewieństwo tych czeskich k e r l e s z ó w z naszą „Bogurodzicą".[1]) Zanotujmy sobie bez wyciągania z tego żadnych wniosków, owe pokrewieństwa:

Pieśń czeska:	Pieśń polska:
Hospodine pomiluj ny...	Kyrie elejson
	Twego Syna Gospodzina spuści nam...

[1]) Por. Nehring, *Studja Literackie* 1884, s. 21—24. Hipler, Bogurodzica, 1897, s. 16.

uslyš hlasy naše	usłysz głosy człowiecze
daj žizń a mir v zemi	a na świecie zbożny pobyt (dać raczy)
krleš	Kyrie eleison
spasiž ny	rajski przebyt

Nie zawadzi nadmienić, że ów Jan z Holeszowa był mnichem klasztoru w Brzewnowie, wywodzącego swój początek od św. Wojciecha, względnie od jego towarzyszy zakonnych, benedyktynów awentyńskich. (T. Wojciechowski, Szkice historyczne XI wieku, II wyd. 1925, s. 54, 56). Stanisław Zakrzewski (Opactwo benedyktyńskie śś. Bonifacego i Aleksego na Awentynie w latach 977—1085. Rozpr. A. U. II, t. XX, s. 105), stwierdza nawet, iż klasztor ten napewno był założony przez św. Wojciecha. Może więc tradycja co do autorstwa owej czeskiej prapieśni sięga istotnie czasów tak dawnych i przechowana była wiernie wśród braci zakonnej? Ostrożność nigdy nie zawadzi, więc może raczej przypuścimy, że tradycja rzekomego czy istotnego założyciela klasztoru mogła wśród benedyktynów brzewnowskich zrodzić szczególniejszy kult jego, a co za tem idzie, jego legendę? Wstrzymuję się od ostatecznego sądu w tej mierze i dając spokój późno uwierzytelnionym tradycjom, wolę sięgnąć do źródeł, bezpośrednio związanych z osobą i działalnością św. Wojciecha.

Pierwszem takiem źródłem będzie homilja św. Wojciecha o św. Aleksym, zabytek uwzględniany silnie przez historyków owej epoki (H. G. Voigt, S. Zakrzewski i in.) natomiast nierozpatrzona dotąd wcale przez badaczy naszej literatury średniowiecznej. Niniejszem, trzymając się naszego tematu, zaznaczymy, że już ks. Wyrzykowski (Geneza Bogarodzicy, s. 15) dostrzegł podobieństwo między modłami o zbożny pobyt na świecie i rajski przebyt po żywocie a zakończeniem homilji św. Wojciecha, które brzmi: *a rege caelesti virtutum spiritalium merito in praesenti centuplum accipere de societate sanctorum et in saeculo venturo vitam possidere mereamur aeternam.* Jeszcze więcej podobieństwa widzimy w tekście greckim legendy o św. Aleksym (H. F. Massman, St. Alexius Leben... herausg. v..., Quendlinburg u. Leipzig 1842, s. 208): *O thaumastê Alêxie antidoies emoi... nyn mèn galeniônta tón bion kai alypóteron, ekeithen dè tên*

makarizomènen diagogèn. Więc wyraźnie? dać raczy teraz spokojny i beztroski żywot, a po żywocie rajski przebyt (*diagogèn*). Słusznie więc pisze w swych wnioskach ks. Wyrzykowski: „O ileby się okazało, że dwa ostatnie wiersze Bogarodzicy są w literaturach europejskich zjawiskiem odosobnionem, dotyczącem tylko św. Aleksego, hipoteza o autorstwie św. Wojciecha w nowem stanęłaby świetle wobec nauki polskiej".

Ponieważ tej wyłączności stwierdzić jeszcze nie zdołałem (trudno odrazu przewertować całą literaturę europejską wieków średnich), więc narazie poprzestaję na zanotowaniu faktu pokrewieństwa, popierając go słusznemi uwagami Zakrzewskiego (l. c. 108—109), na które już częściowo powoływaliśmy się w jednym rozdziałów poprzednich. Oto św. Wojciech, najgorętszy czciciel i naśladowca patrona swego klasztoru, św. Aleksego, kojarzył ten kult nierozłącznie z kultem gorącym Matki Boskiej; czynił to już na Awentynie, czynił i w Polsce, gdy fundował w Łęczycy opactwo pod wezwaniem św. Aleksego.

Z homilji św. Wojciecha przekonać się możemy, że autor jej władał piórem wcale dobrze, pozatem, że znał pisma Ojców Kościoła, zwłaszcza kaznodziejów. W każdym razie trudno stąd jeszcze wysnuwać wniosek, że parał się poezją, że układał prócz kazań także pieśni. Żeby tę kwestję zbadać, musimy sięgnąć zatem do najwcześniejszych żywotów św. Wojciecha, powstałych tuż po jego męczeńskiej śmierci. Pierwszy z nich, najobszerniejszy i najbardziej bezpośredni, przez jednych papieżowi Sylwestrowi, przez innych Janowi Kanaparjuszowi, przez innych wreszcie (Kętrzyński, Zakrzewski) biskupowi Radzimowi-Gaudentemu, bratu św. Wojciecha, przypisywany, opowiada w rozdz. IV, że św. Wojciech już w szkole magdeburskiej rozmiłowany był w śpiewie religijnym: *Quando caeteri inanibus ludis et ioco laborem legendi sibi minuerunt, ille vero Davidici nectaris mella degustans, spiritali risu se solatur.*

To rozmiłowanie w śpiewaniu psalmów Dawidowych zostało św. Wojciechowi do końca życia. Gdy szedł jako apostoł do kraju Prusów, gdzie miał ponieść śmierć męczeńską, wespół z towarzyszami, skracał sobie pieśniami ową

podróż ostatnią: *Iam exsurgente purpureo die coeptum iter agunt et Davidico carmine viam sibi adbreviant et dulcis vitae gaudium continuo appellant Christum* (Vita S. Adalberti, 30, Biel. Mon. Pol. I. 182). Końcowe słowa tego zdania świadczą, że prócz psalmów śpiewano jakąś pieśń o Chrystusie, który daje ludziom zbożny, radosny pobyt na świecie. Czyżby to miała być pieśń ułożona przez św. Wojciecha? Tego tym razem biograf wcale nie pisze, chociaż kiedyindziej wyraźnie wspomina o pieśniach przez niego ułożonych. Przedewszystkiem trzeba zwrócić uwagę na rozdz. 24, gdzie mowa o pobycie św. Wojciecha na dworze cesarza Ottona III w Moguncji. Miał wtedy św. Wojciech dziwny sen. Widział łoże swoje, wspaniale przystrojone, purpurą zasłane, a nad niem wypisany złotemi literami taki wiersz: *Munus hoc auctentum filia sponsa tibi* — trochę niejasny w tem brzmieniu, bo niezupełny tak w swej treści, jak w formie wierszowej (pentametr bez koniecznego, poprzedzającego tenże, heksametru); to też bardziej zrozumiałą jest jego wersja, jaką podaje św. Brunon, układając ją jakoby w rytm saficki: *Munus hoc donat tibi filia regis.* Tak czy owak, nie rozumiał tego widzenia św. Wojciech i opowiadał o niem swoim zaufanym przyjaciołom. Jeden z nich, biskup Leon z Vercelli, odpowiedział mu: „Za łaską Chrystusa zostaniesz męczennikiem. Córka królewska, która ci daje te dary królewskie, jest to Pani niebios, Najświętsza Dziewica Marja".

Taką przepowiednią — mówi hagjograf — uweselił się św. Wojciech niezmiernie, przeto z głębi serca „dzięki czynił świętemu Gospodzinowi nad świętymi aniołami, wszechmogącemu Krystusowi; następnie Matkę, łask pełną, która siedzi najbliżej tronu Króla, kornie schyloną głową i radosną pieśnią pochwalną wielbił, głosząc: „Sława bądź Tobie, Dziewica, gwiazdo morza, iże raczyła jeś zwrócić swe oczy na mnie, jako na sługę Twego wielmi pokornego".

Umyślnie przełożyłem to miejsce w wiernej archaizacji, podkreślając pewne wyrażenia, które trochę przypominają tekst „Bogurodzicy", a jeszcze więcej owe teksty greckie liturgiczne i hymniczne, jakie cytowałem, wskazując wzory tej naszej prapieśni. Pieśń, którą śpiewał św. Wojciech, miała

dwie części: jedna była ku czci Chrystusa, druga ku czci Matki Boskiej, dziękczynna i pochwalna. Ale na tem nie koniec. Modlitwa owa nazwana została przez rzek. Kanaparjusza *jubilus*. Nazwa ta odsłania niezmiernie wiele każdemu, kto jest wtajemniczony w działy i rodzaje hymniki średniowiecznej. Obszernie na ten temat pisali hymnologowie, z Drevesem na czele, a w olbrzymiej encyklopedji kościelnej Cabrola i Leclercq'a (t. LXXIV—V, s. 2770 etc.) można znaleźć pożyteczne informacje, zebrane przez A. Gastoué. Dość będzie ogólnie przypomnieć rzecz dość znaną, że nazwą *jubilus* określano początkowo (od końca VII w.) amplifikacje, rozwinięcia tekstowe lub muzyczne pierwotnych inwokacyj liturgicznych, takich jak *Alleluja, Amen, Kyrie eleison*, zwane też *sequentia: Haec jubilatio, quam cantores sequentiam vocant.* (De eccl. officiis, 1, II, c. 16, P. Lat t. CV, kol. 1123). Głównym teoretykiem i propagatorem tych *jubilacyj* czy *sekwencyj* (zwanych też prozami), był tworzący nową epokę w dziejach hymnodji kościelnej Notker Barbulus, mnich z St. Gallen († 912). Cały wiek X to właśnie pierwsza faza rozwoju sekwencyj, faza zwycięskiego ich pochodu, burzącego sztuczne i krępujące prawidła metryki klasycznej, narzucone przez t. zw. renesans karoliński. Rewolucja szła w dwojakim kierunku: po pierwsze w kierunku uzgodnienia tekstu literackiego z muzycznym co do ilości zgłosek, powtóre w kierunku zastąpienia metrycznej, ilorazowej zasady wierszowania przez toniczną, przyciskową. Przykład zwłaszcza w drugim kierunku, szedł z literatury greckiej, z Bizancjum i Południowej Italji, ale wpływy te krzyżowały się i z nałogami dawnemi i z teorją wersyfikacyjną idącą z Anglji i szczycącej się tradycją gregorjańską, Irlandji. *Jubilus* św. Wojciecha, zapewne improwizowany na jakąś współczesną melodję, jest właśnie dla swej epoki typowy w swej budowie. Jego podział rytmiczny jest następujący:

Gloria
tibi, virgo, maris stella,
quae me, ut pia Domina,
humillimum servum Tuum,
respicere dignata es...

Pierwszy wiersz, zgodnie z założeniem sekwencji, jest rozwinięciem wezwania *Gloria,* natomiast dalsze trzy mają typową dla owego czasu „barbarzyńską" rytmikę dystychu ambrozjańskiego, opartego już na akcencie i nie uznającego elizyj. Ale nietylko rytm musimy wziąć pod uwagę. Słowa Wojciechowej pieśni są też wymowne. Uderza zwłaszcza inwokacja: *Virgo, maris stella.* Jakiekolwiek jest pochodzenie tej inwokacji (por. Dr. M. Skrudlik, Gwiazda morza I. K. C. 174, 1934, dod. lit.-nauk.), w każdym razie ustaliła się ona w Kościele głównie dzięki słynnemu hymnowi, napisanemu prawdopodobnie przez benedyktyna z Monte Cassino, Pawła Diakona w IX wieku (Blume, Anal. hymn. m. aevi, t. 51, s. 141-8). Początek tego hymnu brzmi:

Ave maris stella,	Witaj, gwiazdo morza,
Dei mater alma,	Bogurodzico błogosławiona,
atque semper Virgo,	któraś zawszedziewicą (*aei-parthenos*)
felix caeli porta.	szczęśliwym przebytem rajskim.

Umyślnie zamieszczam obok przekład polski, gdyż jest to jedna z niewielu średniowiecznych pieśni łacińskich, w których są pewne motywy wspólne z „Bogurodzicą"; tłumacząc *alma* przez błogosławiona, nie popełniłem dowolności, lecz poszedłem za przekładem zamieszczonym przez ks. dr. Gładysza w jego cennej książce „Hymny brewjarza" (Poznań 1933, s. 243). Pieśń ta, która uprasza Matkę Boską, by wyjednała grzesznikom „spust winam" *(nos culpae solutos),* czysty żywot i bezpieczną drogę *(iter tutum)* do radości wiekuistej, była w wieku X i połowie XI bardzo popularna, skoro właśnie wówczas powstały tak liczne jej naśladownictwa. Wspomnę tylko najgłośniejszego z naśladowców, chlubę szkoły w Reichenau, Herimanna Ułomnego (*Contractus*), zmarłego w r. 1054. Stworzył on — już po św. Wojciechu — sekwencję po dziś dzień śpiewaną w kościele. *Ave praeclara maris stella,* która według prof. Chybińskiego *Przegl. Powsz.* 1917, 136, 553 — 1918, 140, 596), jest pokrewna muzycznie naszej „Bogurodzicy"; pozatem przypisują mu śpiewane po dziś dzień antyfony: *Alma redemptoris mater* i *Salve Regina,* z których pierwsza zasługuje na uwagę przez swą formę heksametryczną oraz pewne reminiscencje ze słynnego hymnu epifanicznego Romanosa, druga zaś przez

to, że uprasza Matkę Boską, by po wygnaniu żywota ukazała nam Swego Syna Jezusa, a kończy się refrenem *o pia, Virgo Maria,* przez co znów przypomina zarówno „Bogurodzicę", jak i greckie „zdrowaś" z horologjum bazyljańskiego. Wszystkie te trzy pieśni są ponadto parafrazami hymnu Pawła Diakona: to samo możnaby powiedzieć w pewnej mierze o sekwencji rówieśnika Herimannowego, Godeschalka z Limburga: *Fecunda verbo, tu virginum Virgo Maria, Dei Mater inclita,* przyczem nadmienić warto, że zbliża się ona bardziej do *jubilus* św. Wojciecha, albowiem jest tu wzmianka i o łaskawości niebios względem pokornego sługi, naśladowana zresztą z prawzoru wszystkich hymnów chrześcijańskich, hymnu *Magnificat*: „Iż wejrzał na niskość służebnicy swojej" (Łuk. 1, 48); pozatem jednak i w rytmice i w wyrażeniach ma sekwencja Godeschalka pewne styczne punkty także z „Bogurodzicą".

Pieśń śpiewaną przez św. Wojciecha o świcie na ziemi pruskiej wspomina również i autor bezimienny „Passio s. Adalberti martyris", niewątpliwie niezależny ani od rzek. Kanaparjusza ani od Brunona kwerfurckiego. Czytamy tam: *Lucifero excussa nocte, assurgente astro, qui tunc canendus insegnis insistebat hymno* (Biel. Mon., I. 154). Mógł to być jakiś *hymnus matutinus,* hymn na jutrznię według oficjum benedyktyńskiego, ale były też tam modlitwy o śmierć szczęśliwą i wspominki za zmarłych: *Weihtahe* (t. j. Wojciech) *almus maioris triumphi gloriam sibi esse paratam agnoscens, regrediebatur memoriam defunctorum canendo celebrans, orationes usque ad dicendas pervenit.* Niewiele z tych słów można wnioskować o tekście pieśni, których tu mogło być kilka. Z tytułem „gwiazdy zarannej", którą „należało opiewać", łączy się chwalba Matki Boskiej, więc mogły być w tej pieśni, o ile biograf dobrze treść jej powtórzył, motywy hymnu *Ave maris stella,* gdzie jest i prośba o wieczną szczęśliwość: modlitwy za zmarłych, zwracane do Matki Boskiej, są w liturgji mszalnej św. Jana Chryzostoma, gdzie wspominki te łączą się i z prośbą o wstawiennictwo św. Jana Chrzciciela. Ale nie mamy już podstaw do zbyt daleko idących przypuszczeń i wniosków.

Św. Bruno, który nieraz nazywa św. Wojciecha szczególnym miłośnikiem psalmów, kończy pisany przez siebie jego życiorys następującem wezwaniem, mającem tok sekwencyj a wysłowienie podobne do tekstów hymnicznych: choć nie wchodzimy tu w bezpośrednią twórczość poetycką św. Wojciecha, jednakże uważam za stosowne przytoczyć te wiersze, gdyż widzę w nich wyraźny wpływ omówionej powyżej, Wojciechowej jubilacji, albo raczej przejrzyste do niej aluzje:

Orate ad Christum, ad cor caeli!
Surgat stella maris, beata Dei genitrix.
Iungat se sanctus Michahel et propitius Petrus!
sequatur et omnis sanctus!

Uderza w tej inwokacji podobieństwo do porządku niektórych modłów liturgicznych, zwłaszcza do *Confiteor*, gdzie o interwencję u Boga w sprawie przebaczenia grzechów prosi się najpierw Matkę Boską, następnie archanioła Michała, św. Jana Chrzciciela, apostołów Piotra i Pawła i wszystkich Świętych. Pominął Bruno św. Jana i Pawła, choć ci byli rolą swoją w danej chwili św. Wojciechowi najbliżsi; gdyby nie to, miałby tekst Brunona pewne pokrewieństwo z „Bogurodzicą".

Mimochodem tylko wspomnę, że w 32 rozdziale dzieła Brunona spotyka się jeszcze jedną pieśń pochwalną o św. Wojciechu, gdzie nawet widać wyraźną rytmikę tzw. *cursus*, jakim nas w pewnej części swej kroniki raczy późniejszy „Gallus". Dla przykładu przytoczę czterowiersz:

Tu cum purpureis proceribus
in conspectu Dei delectatus,
tu cum suavisonis angelorum vocibus
inter sancta sanctorum epulatus:...

Mamy w tem dowód, że już wkrótce po śmierci św. Wojciecha pisano chwalby, *laudes martyris* ku jego czci, może nawet wzorem jego utworów natchnione. Może z tych pieśni wzięły początek, później powstałe hymny ku czci tegoż świętego?

Bruno kwerfurcki, według świadectw ludzi jemu współczesnych (p. Bielowski, Mon. Pol. I. 184), był człowiekiem biegłym w muzyce, a więc zapewne i obeznanym z teorjami

wiersza, boć to wtedy w parze chodziło; zresztą i na podstawie przytoczonych urywków jego pióra można o niejakim talencie wierszopisarskim u niego wnioskować. Jeżeliby zaś autorem pierwszego żywota był naprawdę Jan Kanaparjusz, mnich z Awentynu, tedy i o nim wiemy, jako o składaczu wierszy, nawet dość zręcznych dystychów, rymowanych po leonińsku, zamieszczonych na jego grobie (por. wstęp Batowskiego w Mon. Pol. I. 157). Był człowiekiem światłym, skoro po Leonie wybrano go opatem awentyńskim; uznanie dlań ma i Zakrzewski. Obaj — i Kanaparjusz i Bruno — byli oczytani w klasykach, cytują raz po razu Persjusza, Wergiljusza, Horacego i innych rzymskich poetów. A więc może to który z nich skomponował ów *jubilus* i przypisał św. Wojciechowi? Przeciwko temu przemawia tak prawdomówność obu pisarzy, jak i bliskość wypadków, które opisują. Choćby słowa nieco przeinaczyli, to jednak treść zasadnicza pieśni musiała być taka właśnie, jaką podaje pierwszy żywot, gdyż to jest i w duchu epoki i zgodne z losami samego św. Wojciecha. Nic przecie nie stoi na przeszkodzie, by wierzyć zapewnieniom współczesnych, że św. Wojciech był obdarzony i miłością pieśni i zdolnością jej komponowania, czyto dzięki talentowi czy też — co w danych czasach na pierwszym planie stawiać trzeba — dzięki erudycji, nauce, która niejednokrotnie zupełnie wystarczała, by tworzyć wiersze. Kunszt i nauka górowały nad inspiracją poetycką w średniowieczu, gdzie w Wergiljuszu czy Owidjuszu przedewszystkiem czczono mędrca raczej niż poetę. Nie mamy najmniejszego powodu do powątpiewania, że św. Wojciech był co najmniej równie dobrze, jak ci dwaj jego biografowie, obeznany z teorją wiersza i muzyki. Mówię „co najmniej", gdyż jestem gotów powiedzieć, że z teorją tą był św. Wojciech obeznany tak doskonale, jak mało kto drugi w Europie. Nie wypuszczono go przecie z domu ojcowskiego, póki nie nauczył się napamięć (*memoriter*) psałterza. „Gdy przeto zbiegły szczebiotliwe lata niewyrobionego dziecięctwa, Wojciech, napiwszy się nektaru Dawidowych psalmów i nakarmiony odrobiną miodu słodkich śpiewów Grzegorza, by spożył swą cząstkę, oddany został do

siedmiu chlebów mądrości... do szlachetnej Parthenopolis (Magdeburga), nowej stolicy Teutonów...".

„Ażeby spożył swą cząstkę" — *ut partem suam comedat.* Czy to oznacza, że już kilkunastoletni Sławnikowicz własne pieśni układał za wzorem psalmów i papieża Grzegorza? Nie będę tak śmiały w przypuszczeniach, w każdym razie stwierdzę dwie rzeczy: po pierwsze, Wojciech już w latach chłopięcych obeznany był z hymnarzem papieża Grzegorza, powtóre, szkoła magdeburska krzewiła również znajomość zasad wierszowania i kult pieśni, nietylko w duchu benedyktyńskim, przyniesionym z Fuldy, a może z Reichenau i Tegernsee, ale i w duchu greckim, o czem świadczą niewątpliwe jej związki z greckim światem (grecka nazwa *Parthenopolis,* protekcja cesarzowej Teofano, jej bytność tamże i obraz tam wiszący). Jakkolwiek się do spraw reformy klunjackiej oraz spraw wiedzy odnosił mistrz Ortryk, nie można go przecie uważać za nieprzejednanego wroga klasyków starożytnych, a skoro go Bruno nazywa *facundissimus aetate illa, quasi Cicero unus,* to pominąwszy, zwykłe w takich razach superlatywy, musi w tem być część prawdy. W każdym razie wiemy, że był nader wymagającym, wręcz surowym, nauczycielem prawideł stylu i gramatyki, co się i na skórze św. Wojciecha dosłownie raz odbiło, a to właśnie z powodu mylnego odczytywania jakichś wierszy... Z tej ostrej szkoły Wojciech wyszedł jako jeden z najlepszych uczniów, może nawet najlepszy. Biografowie podkreślają jego mądrość (*dulces sapientiae liquores*), rozsądek (*ratio et sensus*), zapał do nauki (*discenti spiritus semper individuus comes*) a wreszcie i talent (*cucurrit divite vena ingenium*); był biegły i w naukach świeckich (*saecularis philosophiae sat scientissimus*), a już samo z siebie się rozumie, że jako wychowanek szkoły duchownej i przyszły kapłan musiał być wybornie obeznany z dogmatami teologicznemi. Szczególnie musiały go zajmować dogmaty marjologiczne — te właśnie, o których mówiliśmy, objaśniając pierwszy wiersz „Bogurodzicy"; wszak sama szkoła była pod wezwaniem Bogurodzicy-Dziewicy, a miasto Magdeburg wzięło właśnie od tej Patronki nazwę swoją tak niemiecką, jak i łacińską i grecką, używaną wciąż przez ówczesnych

pisarzy: *Parthenopolis, Virginis urbs.* A poza temi wszystkiemi zdobyczami wyniósł Wojciech z Magdeburga także wielką nieporównaną miłość i wiedzę w dziedzinie pieśni religijnej: *Quomodo sacra lectio in cordis palato sapiat, quantum psalmorum nobile carmen in oculis Dei valeat! Hoc ipse, aut nemo probavit!* (Bruno, V. S. A. 11). Mamy w tych słowach wyraźne świadectwo, że przyszły biskup Pragi i apostoł Słowian wiedział, jaka jest potęga pieśni w dziele pasterskiem i misyjnem, wiedział, że do serc diecezjan czy dusz nawracanych łatwiej trafić przez nią, niż kazaniami, których też z biegłością wielką (jak świadczą biografowie), lecz z różnym skutkiem próbował.

Nazwisko papieża, Grzegorza Wielkiego, jako tego, który był wzorem św. Wojciecha, dwukrotnie jeszcze wspominają jego żywoty: *Si esset nulla mortis molestia, canente mellifluo Gregorio, non esset tanta martyrum gloria* — mówi Bruno w 32 rozdz. Ponieważ wśród hymnologów niema dziś zgody, które z przypisywanych papieżowi Grzegorzowi hymnów, są jego własnością, więc nie będę poszukiwał źródła tej cytaty, zwłaszcza, że z tematem naszym bezpośrednio ona się nie wiąże, powtóre zaś może tu być mowa o św. Grzegorzu Nazjanzeńskim, również poecie-hymnografie, który wprawdzie męczenników nie opiewał, ale nad ich chwałą, tudzież nad boleścią śmierci nieraz — w epigramatach przedewszystkiem — się zastanawiał. Ale już niewątpliwie o papieżu Grzegorzu wspomina Kanaparjusz, nazywając usta jego „miodopłynnemi" (*ut os Gregorii mellifluum sonat*); jednakże w miejscu tem, dotyczącem przybycia św. Wojciecha do Kassynu, chodzi o Grzegorza nie jako hymnografa, lecz jako autora II księgi „Dialogów", mieszczącej żywot św. Benedykta i komentarz jego reguły. Ponieważ Wojciech przez kilka ważnych lat swego życia był mnichem benedyktyńskim, pozostając pod silnym, kulturalnym wpływem tego zakonu, przeto godzi się o tym wpływie powiedzieć słów kilka.

Zajmę się przedewszystkiem kwestją bliżej nas obchodzącą, a mianowicie poezją i muzyką benedyktyńską, w omawianej przez nas epoce. Jedną i drugą gałęzią sztuki Benedyktyni oddawna opiekowali się nader gorliwie. Według

reguły św. Benedykta śpiewano w klasztorach o oznaczonych godzinach hymny religijne, inne na każdą porę dnia, na każde święto, na każdy dzień tygodnia. Prócz hymnów dawnych, św. Ambrożego, czy Wenancjusza, śpiewano i hymny nowsze, już w środowisku benedyktyńskiem powstałe. Prócz Cassinum działały na tem polu żywe ogniska, wprost rzec można: szkoły poetycko-muzyczne, przy klasztorach w Tours i Poitiers (gdzie żyła tradycja św. Hilarego i Wenancjusza), w Irlandji i Anglji (św. Kolumban, Beda venerabilis), w Fuldzie (Rabanus Maurus), Utrechcie, Florjaku (Fleury nad Ligierą), wreszcie w St. Gallen, Reims, Tegernsee, Reichenau, Leodjum. Po okresie gregorjańskim (w. VI i VII) ważny jest w rozwoju hymnodji kościelnej okres t. zw. odrodzenia karolińskiego, obejmujący schyłek w. VIII i cały niemal wiek IX. Z wielu nazwisk, które epokę tę wsławiły, godzi się wpomnieć przedewszystkiem nazwisko, znanego nam już Pawła Diakona († 799), właściwego twórcy owego odrodzenia. On to bowiem utrwalił czy wznowił zasadę ścisłego przestrzegania iloczasowych metrów klasycznych i sam dał wzór tej zasady w swych hymnach, z których sławę największą zyskał wspaniały hymn o św. Janie Chrzcicielu: *Ut queant laxis resonare fibris.* Na hymnie tym przez długie lata w szkołach klasztornych uczono prawideł wierszowania i muzyki, czego ślad pozostał choćby w tem, że początkowe zgłoski wierszy i półwierszy: *ut, re, mi, fa, sol, la, si,* są do dziś dnia nazwami tonów muzycznych. Pieśnią tą zajmowali się już w X i XI wieku różni kompozytorowie i muzykolodzy, że wspomnę jednego z najwybitniejszych, Gwidona z Arezzo, związanego, podobnie jak św. Wojciech, z dworem cesarskim. — Ze szkół benedyktyńskich wyszła też i rewolucja przeciw jednostronnemu klasycyzmowi karolińskiemu. O tej rewolucji, wszczętej przez Notkera Jąkałę, jużeśmy mówili, ale wrócimy jeszcze do niej przygodnie. Teraz tylko zawczasu nadmienimy, że w parze z nią szła i druga reforma wersyfikacji, do której wzór i podnietę dawali napływający do Europy całą falą uczeni i pisarze greccy, uchodzący wraz z tomami ksiąg greckich przed najazdem Saracenów. Ta szeroka (choć często dość powierzchowna) hellenizacja wiedzy, mody i litera-

tury europejskiej jest nader znamienna dla całego wieku X i pierwszej połowy XI.

Zanim o tem więcej powiemy, zastanówmy się nad tem, jakie węzły łączyły św. Wojciecha ze wspomnianemi przez nas szkołami poetyckiemi benedyktyńskiego zakonu. Mówiliśmy, że szkoła magdeburska ulegała niewątpliwie wzorom fuldajskim, skoro ufundowana była w duchu św. Bonifacego; może więc kontynuowano tu karolińską tradycję Rabana Maura, wzorując się z jednej strony na metrach klasyków, z drugiej zaś na niezupełnie już metrycznych dystychach ambrozjańskich? O tem nic pewnego powiedzieć nie można, pomimo, że osobę Oktryka tak wyraziście — choć właściwie na tle jednego tylko momentu — przedstawił Zakrzewski. Twierdzić możemy tylko napewno, że św. Wojciech znał dobrze utwory Wergilego, Horacjusza, Persjusza. Tych poetów cytują raz po razu jego biografowie, a także i mnich Thielfpaldt, który korespondował ze św. Wojciechem. List jego, językowo nader pokrewny pismom Brunona kwerfurckiego, a więc świadczący o wspólnej szkole stylu — może właśnie magdeburskiej — przytoczymy w obszerniejszym wypisie za Mon. Pol. I, 150:

Divini fluoris rore madenti, sanctae Prissiensis (Pragensis) *cathedrae praesidenti Adalperto, unicae sibi dilectionis episcopo, Thiefipaldus, spiritu pauperum et si extimus, aspersionem sanguinis Christi et quidquid illud est, quod egregius praedicator cum Christo et Deo absconditum esse testatur.*

Novi, venerande praesul, nihil sanctitatem vestram philosophicae compilationem a mei pauxillitate exigere: sed si qua in re sunt, simplici potius veritate cudere velle, minime recordans, quia stultam fecit Deus sapientiam mundi huius (1. Cor. 20), postquam exsiccavit fluvios Ethan. Prae dulcedine enim decem chordarum Davidis, intromittensque Dei, quantum ex me, suis, paene oblitus sum totidem, categoriarum Aristotelis. Quodcircae legi abiecta quasi et mediocria, cui ad unguem labra non maduere Pegaseo fonte, Deo non praesentare magis, quam in quibus tantum inhonestius caderem, scrupulosius insudare. Si fatuus dicor remordens circuitum, gratias ago: et id quidem merito, dummodo refocillatum me fateor furfure Platonis, et te Patrem cognoscam satiatum super ferculum

Salomonis. Quid plura? Imprimis vos valere et in omnibus prospere agere me pro certo sciatis gaudere... De voluntaria vero servitutis meae in vos qualitate quid opus est verbis, cum ultra omnem vestrae subiectionis clericum vel clientem iuxta maiorem rerum mearum facultatem me in omni loco non possitis habere promptiorem simul et devotiorem.

Ów Thieltpald pisał swój list z Tegernsee, z tego miejsca, któreśmy między ogniska literackiej, a szczególnie wierszopisarskiej działalności ówczesnej policzyli, z miejsca, które z osobą, a później z kultem św. Wojciecha silnie musiało być związane, skoro tam właśnie przechował się życiorys, znany pod nazwą *Passio sancti Adalperti martyris.* Może to właśnie ów Thieltpald, lub któryś z jego towarzyszy jest pasji owej autorem? Boć tak w niej, jak w liście dopiero przytoczonym, są wzmianki o upodobaniu św. Wojciecha w „śpiewie Dawidowym". Ponadto nasuwa list ów myśl jedną: iż podobnie jak ów *clericus,* tak i jego adresat, z Salomonem dla swej mądrości tu porównany, a — jak skądinąd wiemy — w filozofji nieźle na owe czasy wyszkolony, nieraz dla strun dawidowej lutni zapominał o kategorjach Arystotelesa... tylko że na tem polu niewątpliwie więcej zdolności okazał, niż kulejący niekiedy w stylu Thieltpald.

Duc de la Salle de Rochemaure, autor wielkiego dzieła „Gerbert — Silvestre II, le savant, le faiseur des rois, le Pontife" (Rome — Paris 1914), na które niejednokrotnie powoływać się będziemy, wiąże ponadto osobę i działalność św. Wojciecha ze szkołą w Reichenau: *Reichenau d'où sortiront St. Adalbert de Prague et St. Austric, le premier archevêque hongrois* (s. 86). Nie wiem, skąd zaczerpnięta ta wiadomość, napewno niezbyt ścisła, o tyle tylko odpowiadająca prawdzie, że św. Wojciech pozostawał niewątpliwie w pewnych stosunkach z klasztorem wspomnianym, a raczej jego metropolją, jaką było St. Gallen. Wszak pieczę nad oboma klasztorami mieli jego najbliżsi powiernicy i przyjaciele, wspomniani po nazwisku w jego życiorysach. Pierwszym z nich był Leon z Vercelli, ten właśnie, który wyjaśnił św. Wojciechowi w Moguncji, jego sen proroczy. Człowiek to był uzdolniony i wykształcony. Pisywał wiersze, nawet cały poemat o Ottonie III i papieżu Grzegorzu V wypłynął

z pod jego pióra, później i tren na śmierć Ottona (Manitius, Gesch. der lat. Lit. des Mittelalters, II Teil, 1923, s. 511—513); atoli nietyle poezja przyczyniała mu sławy i wziętości, ile jego wymowa i zdolności dyplomatyczne. Wszak kierował dalekosiężną polityką Ottona III niemal narówni z Gerbertem, najpierw jako *palacii episcopus*, następnie jako cesarski *logethetes*.

Jeszcze bardziej związany z St. Gallen był długoletni prepozyt tego klasztoru, Notker IV, późniejszy (od 972 r.) biskup leodyjski, a św. Wojciecha serdeczny przyjaciel i towarzysz. Poznali się z sobą jeszcze w Rzymie, gdyż, jak o tem obszernie pisze S. Zakrzewski, w cytowanej już tu tylekroć pracy (Opactwo benedyktyńskie, s. 59—61). Notker utrzymywał zdawna stosunki z klasztorem na Awentynie, dla którego nawet interwenjował w sprawie przywileju generalnego. „Przez ten klasztor... musiał Notker zawiązać bliskie stosunki ze św. Wojciechem, obaj bowiem razem wyjeżdżają z Włoch w r. 996. Stosunki te Notker niewątpliwie rozszerzył na uczniów męczennika i przez nich wszedł prawdopodobnie w bliższe stosunki z obydwoma krajami słowiańskiemi. Przynajmniej wiemy o uczniu Notkera, Hubaldzie, że w czasach swej młodości odwiedzał Pragę" (Migne Patr. Lat. 139).

Ów Notker, mąż niepospolicie światły i uzdolniony, jedna z najważniejszych osobistości wieku, mający wpływ na cesarza Ottona III, założył w Leodjum wspomnianą już przez nas szkołę, niedość, że kontynuującą tradycje st.-galleńskie, ale nadto czerpiącą nowe zasoby bezpośrednio ze źródeł greckich. Kierownikiem jej był bowiem światły Grek, zbiegły przed Saracenami, Leon z Kalabrji, który uczniów wtajemniczał tak w swą mowę ojczystą, jak i zabytki literatury greckiej (Manitius, l. c. II, 219—221). W sferze wpływów biskupa Notkera były też miasta takie, jak Strassburg, Cambrai, Verdun, Toul i Utrecht, gdzie również tętniła żywa praca literacka. Sam Notker dawał jej dobry przykład, opracowując żywot św. Remaclusa, pisząc wierszem i prozą. Z jego uczniów wsławił się szczególnie poeta Egbert z Leodjum, autor utworu *Fecunda ratis*.

Ze słów „Kanaparjusza" (roz. 22): *cum summae discretionis viro, Notkerio episcopo* (Adalbertus) *ultra Alpes proficiscitur*, oraz na podstawie kilku zdań u Brunona, wysnuwam ten wniosek, że wbrew wyrażonemu przez Potkańskiego mniemaniu (Św. Wojciech, Potkański, Pisma pośmiertne, t. II, 1922.) św. Wojciech jeszcze przed swoją bytnością w Moguncji udał się do Francji. Tak też twierdzi i Zakrzewski (l. c. 61). Posunę się jeszcze dalej, do przypuszczenia, że i dalszą pielgrzymkę po Francji odbywał św. Wojciech w towarzystwie Notkera, który był i świadom drogi i mógł przyjacielowi służyć swemi wielkiemi stosunkami w tamtejszych klasztorach. Zresztą, skoro weźmiemy pod uwagę *itinerarium* pielgrzymki: Tours-Fleury-Paryż (St. Dénis)-St. Maur, tedy widzimy, że jest to właśnie drogą, którą Notker wracać musiał z Rzymu do swej leodyjskiej diecezji. Po drodze było i Reims, naówczas biskupia siedziba Gerberta, który już z Rzymu, a następnie z dworu Ottona III dobrze był św. Wojciechowi znanym. Choćbyśmy odrzucili utrzymujące się przez wiele wieków, a jeszcze niedawno przez ks. J. Fijałka bronione mniemanie, że to Gerbert-Sylwester II jest autorem owej „Vita S. Adalberti", którą za wzorem niemieckim zwykło się nazywać dziełem Jana Kanaparjusza, to i tak znajdziemy dość dowodów na to, że ów doradca Ottona III, w czasie którego pontyfikatu cesarz ten odbywał pielgrzymkę do grobu św. Wojciecha, sam być też musiał i przyjacielem i czcicielem apostoła Słowian. Niestety kronikarze i biografowie poskąpili nam przytoczeń z rozmów tych dwóch wielkich ludzi, nie możemy więc ocenić, w jakim stopniu oddziaływały na siebie wzajemnie ich osobistości. Nie będę tu omawiał znaczenia Gerberta jako uczonego, polityka, mówcy. Dla naszych celów wystarczy wzmianka o tem, że ten genjalny, wszechstronnie twórczy człowiek, przez ciemnotę czy złośliwość pokoleń następnych za czarownika poczytany, zwany był nietylko *papa philosophus*, ale także *Gerbertus cognomine Musicus*, albowiem *inter alia* zajmował się również poezją i muzyką, idąc za wzorem mistrza szkoły w Reims, Hincmarusa. Wiadomo, że stworzył sekwencję ku czci Ducha Św. i „prozę" do kanonu mszy św. ku czci aniołów: *Ad celebres rex caelos* (De

la Salle, l. c. 670-1), że zbudował organy w Reims oraz te drugie, które jeszcze w XVI wieku podziwiano w ogrodach kardynała d'Este. Towarzystwo i przyjaźń takiego człowieka mogły wiele korzyści przynieść umysłowi św. Wojciecha, a m. in. mogły w nim wyrobić głębsze zrozumienie prawideł muzyki i rytmu.

(C. d. n.)

Józef Birkenmajer.

Współczesna literatura francuska.

Prądy, pisarze i dzieła.

(Ciąg dalszy).

Przedstawiciele socjalizmu, komunizmu i anarchizmu w literaturze francuskiej pochodzą przeważnie z krwi prafrancuskiej. Francis Carco, Homer paryskich apaszów, jest synem dyrektora więzień z Nowej Kaledonji. Sentymentalne jego powieści z podziemnego półświatka ulicznic, sutenerów i podobnej hołoty są doskonałemi studjami językowemi nad żargonem złodziejskim, posiadają dokumentarną wartość jako obrazy obyczajów, lecz ich przykre odwracanie etycznych zasad pozbawia je wszelkich artystycznych korzyści, które w przeciwnym razie możnaby było wyciągnąć z opracowania tematu, nie traktowanego jeszcze nigdy z taką znajomością rzeczy. (Najważniejsze dzieła: *Les Innocents. Bob et Bobette s'amusent, L'equipe, Rien qu'une femme, Perversité, Traduit de l'argot*). Bohaterowie Carco'a, cofnięci o kilka lat wstecz w swoją młodość uliczną, zaludniają powieści Alfreda Machard. To, co dzieje się w tych powieściach i co poleca się litości bezlitosnych obywateli, służyło przedtem za treść liryce Jean'a Rictus, poety czczonego przez krótki czas a zmarłego niedawno prawie w zapomnieniu, który znowuż miał poprzednika w Jean'ie Richepin, zmarłym w honorach, godnościach i bogactwie.

Z epoki, w której Rictus cieszył się sławą a Richepin żył jeszcze, przeszli do teraźniejszości Henri Barbusse i Pierre Hamp. Ci im więcej piszą, tem mniej mają do powiedzenia. Barbusse wyczerpał się w *Le feu,* i produkuje odtąd już tylko komunistyczne ulotki agitacyjne o pozorach krytyki literackiej lub powieści. Hamp dodaje do swojej roz-

wlekło-nudnej, dydaktycznej pochwały rzetelnego rzemiosła zbyt wiele posłowi. Z młodego pokolenia przedstawicieli powieści proletarjackiej bardzo ciekawy jest Emanuel Bove; w swych powieściach o studenterji (*Mes amis*) jest francuskim Dostojewskim; jego satyry społeczne (*Coeurs et visages, La coalition, Monsieur Thorpe*) przypominają Gogola, Gonczarowa i Sołtykow-Szczedryna.

Niezupełnie nadaje się do tego towarzystwa subtelny krytyk André Thérive, następca Anatola France'a jako recenzent literacki w *Temps*. Będąc klasykiem formy i pedantycznie dokładnym wobec reguł stylistycznych, obojętnie czy sam tworzy czy też osądza dzieła innych, oddaje Thérive pierwszeństwo tematom wielce romantycznym i pełnym grozy. (*Le plus grand péché, Les souffrances perdues, Sans âme*). Pewnego dnia zjawił się on jako przywódca ludowego ruchu literackiego, t. zw. „populizmu". Ale nie trwało to długo. Thérive powrócił do swego trybunału gramatycznego a obecnie zajmuje się stanowiskiem Francji w kręgu narodów (*Chantiers d' Europe*). Więcej znaczenia posiadała grupa proletarjacka, na której czele stanęli Georges Valois i Henri Poulaille. Valois jest prawdziwem dzieckiem, wielkiem dzieckiem swojej epoki, dzieckiem bardzo mądrem, cudownem, a w każdym razie dobrym pisarzem (*D'un siècle à l'autre*). Poulaille, będąc w swych opowiadaniach z wojny a obecnie z życia robotników (*Le pain quotidien*) zawsze raczej reporterem i politycznym bojownikiem niż artystą, jest jako krytyk (*Un nouvel age littéraire*) bardzo zajmujący.

On, a z nim Jean Guéhenno (*Caliban parle, Conversion à l'humain*) i Emmanuel Berl (*Mort de la pensée bourgoise, Mort de la morale bourgoise*) wychodzą z założenia, że ustrój mieszczański, owa podstawa duchowa, której powstanie odsłonił w klasycznym dziele Bernard Groethuvsen, znika jakby sam ze siebie, następnie że: literatura żywi się wciąż jeszcze pojęciami burżuazyjnemi i że oddziela ją we Francji od ludu graniczny mur niedoprzebycia. W istocie literatura pozostała tu nadal dziełem i sprawą wykształconego stanu średniego. Aby się o tem przekonać, wystarczy rzucić tylko okiem na fakty dostępne każdemu, lecz prawie nigdy nie przemyślane do końca. Cóż naprzykład

z liryki współczesnej dotarło do mas szerokich? Odpowiedź powinna właściwie brzmieć: nic. Pomijając bowiem *Madelon* i teksty piosenek z Café-Concert żaden wiersz od czasu wojny nie osiągnął prawdziwej popularności, żaden poeta nie jest w najszerszych warstwach tak dobrze znany jak naprzykład w Anglji Kipling. Jeśli będziemy trochę pobłażliwsi i jeśli granicę cenzusu przesuniemy wyżej t. zn. aż do półinteligencji, zauważymy z przerażeniem, że nieznośny szept miłosny *Toi et moi* Paul'a Géraldy uzyskał rekord nakładu. Znakomici, wysoce przez znawców sztuki cenieni poeci ze zrozumiałych powodów nie znaleźli szerokiego oddźwięku. Ani weterani symbolizmu: Henri de Régnier, Francis Viélé-Griffin, ani najlepsi z następnego pokolenia: Leon-Paul Fargue, François-Raoul Alibert, Jean Lebrau, ani „muza", Mme. de Noailles, ani nawet Paul Claudel i Paul Valéry, których sławę elita inteligencji głosi całemu światu, nie są znani francuskiemu małomieszczaństwu (co najwyżej z nazwiska), a cóż dopiero robotnikowi i chłopu. Dwaj tylko wybitni poeci, którzy zasłużyli sobie na to, odkryli drogę do serca człowieka z ludu: Paul Fort, śpiewak niezliczonych ballad i rond na nutę ludową i Francis Jammes, czuły liryk rozpromienionego dnia powszedniego, bożyszcze i *Frauenlob* sławiących go marzycielskich panienek a zarazem też prosty, szlachetny twórca *Géorgiques chrétiennes* i *Ma France poétique*. Porównajmy z tem wrażenie, jakie w Niemczech wywarli Börries v. Münchhausen, Dietrich Eckart, Rainer Maria Rilke a nawet Christian Morgenstern!

Jest więc pewnikiem, że we Francji dotychczas lud i literatura jeszcze się nie zetknęli. Atoli wielka przemiana, zapowiadająca się i w tem państwie, musi usunąć owo „rozdwojenie. Rozwiązanie może być następujące: albo proletarjackie tematy i proletarjackie formy zdobędą, jak w Rosji, jedynowładztwo i zerwie się łączność z przeszłością; do tego dążą zwolennicy proletarjackiego ruchu literackiego. Albo też wybierze się drugie wyjście, i to kryje w sobie wszelkie warunki powodzenia: jest niem połączenie rewolucyjnego entuzjazmu młodzieży z tradycją narodową i z odbudową życia religijnego. Zarysy literatury związanej w ten sposób

z jej początkami, literatury oddziaływującej na szerokie masy można łatwo dostrzec.

Cztery źródła spłyną się wówczas w jedną potężną rzekę: konserwatyzm mieszczańskiej prawicy, płomienny zapał rewolucjonistów, u których miłość do ziemi i do ludu okaże się silniejszą niźli nienawiść do obumarłych tradycyj, wreszcie oba zamknięte w sobie prądy, do których należą najświętsze talenty francuskiej literatury dzisiejszej: „L'action Française" i obóz młodo-katolicki.

Mówiąc o wartościowych elementach prawicy, nie mamy oczywiście na myśli ani godnych kaznodziejów moralności, tłusto odżywianej szczegółowym opisem grzechu, jak Marcel Prévost, w którego obfitej twórczości wszystko brzmi fałszywie: i cnota i zapędy dydaktyczne i patrjotyzm a nawet i występek. Prawdziwą wydaje się jedynie zręczność zwabiania czytelników i chęć wybadania ich gustu w gorliwej dla nich służbie. Rezygnuje się też z Tyrteuszów w rodzaju François Porché i można się obejść bez megafonów zdrowego rozsądku, obojętnie czy chwieją się w lewo czy w prawo jak zegarowe wahadło i zwą się Clément Vautel czy Georges de la Fouchardière.

Wpośród tych reprezentantów sił, pracujących nad odbudową, nie może jednak brakować takiego André Maurois. On, który w pół tuzinie powieści z kół angielskiej elity (*Les silences du colonel Bramble, Les discours du dr. O'Grady, Ariël, Disraeli*) wypróbował swojej znajomości człowieka i dowiódł jej, jest jednym z najcelniejszych malarzy duszy francuskiej. Jego książka *Climats*, uwieńczona zasłużonem powodzeniem, wybija się nietylko jako mistrzowska analiza tragicznej igraszki magnetycznych sił miłosnych, lecz także jako nieprześcigniony wizerunek owego wielkiego świata najlepszej, najsubtelniejszej Francji, w którym Maurois sam obraca się stale, będąc świadectwem asymilacyjnych zdolności uwodzicielskiej kultury. Programowemi pismami o odbudowie narodowej, nawoływaniem do karności i ładu, do szacunku wobec czynu i stanowisko wodza są jego *Dialogues sur le Commandement* i pełen podziwu opis żywota marszałka Lyautey, rojalisty, któremu Trzecia Republika zawdzięcza cesarstwo: Marokko.

Obok Maurois jest miejsce publicysty o wprost wizjonerskich zdolnościach i nieomylnej pewności, Lucien'a Romiers (*Explication de notre temps*). Taki Paul Bourget mimo swoich przeszło ośmdziesięciu lat będzie ciągle jeszcze miał niejedno do powiedzenia; proszę przeczytać *Le danseur mondain*, aby zmiarkować, jak bystrym obserwatorem pozostał stary mistrz powieści psychologicznej wobec zjawisk naszej epoki. Nawet Henry Bordeux ze swemi o nierównej wartości, nazbyt licznemi opowieściami salonowemi, w których francuscy salonowi Tyrolczycy przeżywają dobrze wystylizowane tragedje, gdzie przeważnie jednak dzieci elity towarzyskiej schodzą w odświętnie przebrany lud — nauczy piszących z rozmachem i bez zastanowienia wzgardzicieli pożytecznej i koniecznej rutyny, jak się interesującą akcję wymyśla, buduje i zręcznie rozplątuje.

Mówiąc o Bordeaux doszliśmy do powieści regjonalnej. Rola jej, jako pionierki zapowiadającej się, jutrzejszej literatury francuskiej jest znaczna. Nie zdają sobie ani w kraju a tem mniej zagranicą sprawy z tego, jakie skarby w talentach literackich i gotowych dziejach istnieją na prowincji, skarby rozproszone i zbyt mało dostrzegane, leżące na uboczu. Jeśli kiedyś owe poszczególne dążenia zgrupują się wokół jednego ośrodka, wówczas zauważy się nagle we Francji, jak uprzednio w Niemczech, że z ziemi wytrysła bogata sztuka słowa, a owe dawno istniejące wartości muszą wtedy znaleźć zasłużone uznanie.

Właściwie zaczynają już cieszyć się tem uznaniem. Wprawdzie nie zatrzymamy się dłużej przy Bordeaux, ani przy sympatycznym rysowniku paryskiego *Midi* (i tegoż pracowitych nietobów), Pierre Mille'u (*Barnavaux, Le monarque*), ani przy Benjaminie Valloton, zachodnim Szwajcarze, i Henri'm Davignon, Belgijczyku, którzy szerokiej publiczności najwięcej są znani z pośród regjonalistów; są to beletryści o smaku i kulturze. Lecz jakże liczne są samoistne indywidualności, które wniosły z prowincji nowy ton do wielogłosowej symfonji piśmiennictwa. Dwaj rolnicy, Pikardyjczyk Philippe Lebesgue, liryk i powieściopisarz, znający języki humanista z za pługa i Emile Guillaumin, wybitny malarz Burbonji, obywatel ziemski

z Armagnac: Jacques de Pesquidoux (*Le livre de raison*), a dalej owiani mistycznem tchnieniem mglistej, posępnej Bretanji Charles Le Goffic, poeta, powieściopisarz i krytyk i jego wybitniejszy krajan, cierpki Alphonse de Chateaubriant (*La brière, La meute, La réponse du Seigneur*) mogą być świadectwem dla starszego pokolenia.

Nawskróś oryginalni zaś są ci pisarze, których musimy uznać za istotnych przedstawicieli najmłodszej sztuki rodzimej. A więc przedewszystkiem Szwajcar z Waadt, Charles Ferdinand Ramuz. Z ekstatycznym żarem maluje on górski krajobraz, zapraszający do kontemplacji i jego sękatych, samotnych mieszkańców. Jego styl, porywczy, ciosany, potężny i obrazowy nie ma chyba równego sobie w literaturze francuskiej. Wstrząsającem nieomal jest obserwowanie walki demona w artyście z oporną materją językową: ową wypielęgnowaną, uduchowioną, cywilizowaną francuszczyzną, która ma tu wyrazić pierwotne uczucia i zdarzenia. Ramuz jest Rodinem literatury. Jego religijna żarliwość stworzyła potężne dzieła: *La guérison des maladies, Présence de la mort. La grande peur dans la montagne, Beauté sur la terre, Adam et Eve.* Dominantą u Ramuza jest szwajcarskość, wobec której ustępuje przynależność do francuskiej narodowości językowej, a jednak, jakże wielkie jest bogactwo, którem obdarzył swoją literaturę!

Również Henri Pourrat czerpie z prafrancuskiego dziedzictwa. Będąc synem indyjskiego myśliciela, który zabłąkał się do Francji i wieśniaczki z Owernji, otula on kraj macierzysty w bajkowy przepych ojcowskich antenatów. Od czasów Gérarda de Nerval żaden Francuz nie gloryfikował i nie opisywał ojczyzny i zwyczajów tak barwnie i tak prawdziwie romantycznie jak Pourrat. *Gaspard des Montagnes, Le mauvais garçon* są arcydziełami sztuki regjonalnej.

Marcel Pagnol, w którym nierozumna krytyka i bezmyślna publiczność nazbyt często widzi tylko świetnego — to prawda — autora fars, zasługuje na nasz podziw jako twórca prawdziwie ludowego teatru. W swoich, zarówno świetnie zaobserwowanych jak i głęboko wnikliwych tak pod względem językowym, jak pod względem satyry obyczajowej i opisu obyczajów, sztukach z marsylijskiego małego światka

przypomina nam Nestroya, wiedeńskiego maga słowa i obserwacji. Także i z tamtym chciano się załatwić jako z trefnisiem, a podobnie jak on jest również i Pagnol czemś dużo więcej: jest znawcą i twórcą ludzi, artystą słowa i znawcą języka wielkiej miary.

W ostatnich latach wyłonili się następnie André Chamson i Charles Braibant. Obaj pochodzą z chłopstwa jako grupy społecznej, decydującej o charakterze ludu, ludu jako klasy i jako narodu. Regjonalne obramowanie, świetnie zresztą uchwycone nie ma u Chamsona i Braibanta wielkiego znaczenia. To, co ich książkom nadaje wybitne znaczenie, tkwi naszem zdaniem, w przerzucaniu punktu ciężkości sił narodowych ze stolicy na prowincję, ze sfery literackiej w zasiąg warstwy żywiącej, broniącej i mnożącej się, która zawsze na nowo zdoła odnowić i odmłodzić chylący się ku starości naród. *Les hommes de la route, Histoires de Tabusse* są niejako zogniskowaniem prafrancuskiej siły żywotnej w słowie jednego z prostych niebohaterskich bohaterów-robotników Chamsona: *La vie est comme elle vient. On ne la fait pas, mais on peut faire son bonheur avec elle.* Braibant zaś pokazuje w *Le roi dort* królestwo kobiety wiejskiej, która na swojej ziemi i dla swojej ziemi walczy, pracuje, rezygnuje się i cierpi, i która ratując dom, ognisko, rodzinę jako komórkę państwa, chociażby za cenę przecenionego przez romantyków-pisarzy i romantyków-polityków szczęścia indywidualnego, zachowuje wiekuiste wartości transcendentu i trwałe wartości społeczne dla przyszłych pokoleń.

Jest coś wielkiego w walce, w wyrzeczeniu, w oddaniu się idei i społeczności. Nawet wówczas, jeśliby nam cele nie odpowiadały, ba! nawet i wtedy, jeśli potępiamy je jako niedorzeczne i nieszczęsne. Tak z genjalnych scen namiętnego przewrotowca André'a Malraux promieniuje blask i wzniosłość, którym treść tych dzieł nie czyni bynajmniej uszczerbku. Malraux opowiada o obcych rasach i znienawidzonych przez nas dążeniach. Mimo to wciąga nas przemocą w swój czar i wymusza podziw dla swoich bohaterów. *Les conquérants, La voie royale, La condition humaine*: potężny podźwięk rewolucji chińskiej, walki o duszę Azji Wschodniej,

która ma wybierać pomiędzy komunizmem, kulturą europejską i starem narodowem dziedzictwem — dzieła te, będące niezupełnie powieściami i niezupełnie historją współczesną a natomiast w zupełności: podburzającą agitacją za nowością i bohaterstwem, są drogocennym filarem w odbudowie szybko postępującej francuskiej literatury dzisiejszej.

Jakkolwiek w dziedzinie myśli różnią się od siebie, to jednak rytmem, heroiczną postawą wobec świata, podporządkowaniem własnego „ja" społeczności a popędów idei, tonem i obliczem literatura młodokatolicka upodabnia się do dzieł, o których mówiliśmy właśnie. Ma ona żywy kontakt ze sztuką rodzimą. Pisarzy: Bordeaux, Chateaubriant, Pourrat moglibyśmy równie dobrze zaliczyć do literatury katolickiej jak i do regjonalistów. Ale tutaj ma być mowa o autorach, u których pogląd katolicki nie jest tylko jednym z rysów charakteru, lecz wyciska swoje piętno na ich całym dorobku i osobowości. Pamiętamy wielkiego pioniera Léona Bloy, który pozyskał większość czołowych dziś pisarzy katolickich dla sprawy religijnego odrodzenia Francji, wspominamy Charles'a Péguy, Ernesta Psichari, Emile'a Clermont, szlachetne ofiary wojny, dalej biednego, dręczonego do ostatka wątpliwościami, Jacques'a Rivière, subtelnego wydawcę *Nouvelle Revue Française,* o którego duszę Claudel i Gide toczyli ze sobą zawziętą walkę. A jako tych, którzy dokonali dzieła zbliżenia się ponownego katolicyzmu i literatury wskazujemy: Paul'a Claudel i Jacques'a Maritain.

Dzieło Claudel'a wykazało już przed Wielką Wojną swoją wysoką klasę. Twórca *Annonce faite à Marie* okazał się największym dramaturgiem swojego narodu od czasów epoki klasycznej, piewca *Grandes Odes* najwspanialszym lirykiem francuskim. Od tego czasu ukończył Claudel trylogję o sporze ducha czasu i wiecznej prawdy; po *L'otage* przyszły *Le pain dur* i *Le père humilié. Le soulier de satin* wznowiło dla naszej epoki hiszpańskie widowisko religijne w rodzaju Calderona i Lope de Vegi. Niewyczerpane jest źródło, z którego Claudel czerpie łaskę swojej twórczości, niezmierzony jest wpływ, jaki wywiera na swoich współczesnych, na przyjaciół i przeciwników (wrogów nie posiada). Złączył on an-

tyk, chrześcijaństwo, mądrość Dalekiego Wschodu, Francję, Chiny, Hiszpanję w harmonijną syntezę. Torując drogi jako twórca, Claudel zmusza do zwrócenia na się bacznej uwagi także jako krytyk, — który opierając się na własnych doświadczeniach wywiódł istotne wnioski o wierszu francuskim — i jako tłumacz odrębnej kultury japońskiej.

Obok skrępowanego zawodem dyplomaty, rzadziej występującego na forum publicznem, Claudel'a, działa Maritain, również jako organizator: jako kierownik wartościowych wydawnictw i jako inicjator i ośrodek koła, do którego prócz literatów należą również krytycy jak Charles Du Bos (*Approximations*), myśliciele jak Gabriel Marcel (*Journal metaphysique*) i kompozytorzy jak Satie i Strawiński. Maritain'owi zawdzięczamy tomizm jako system, w którym wszystkie sprzeczności znajdują swoje wiekuiste a przytem aktualne rozwiązanie. Sięga on do średniowiecza, odrzuca przedstawicieli renesansu, reformacji i kartezjanizmu, oświecenia i pozytywizmu (*Trois réformateurs, Réfléxions sur l'intelligence*), walczy o jedność religji i kultury, sztuki i myśli, o pierwszeństwo spraw ducha i duszy przed sprawami ziemskiemi (*Primauté du spirituel*) i podejmuje się systematycznego przedstawienia całej filozofji, z którego dotychczas istnieją oczywiście tylko fragmenty.

Podczas kiedy u Maritain'a tchnie wszystko jasnością, spokojem i pewnością, François Mauriac, najwybitniejszy prozaik współczesnej Francji, ciężko wywalczył sobie swoją wiarę. Rozdwojenie między dufnemi zamiarami a niedoskonałemi czynami, słabość ciała, które nie słucha chętnego ducha, niewolnicze jarzmo grzechu ciążą straszliwie na duszy tego pisarza i na jego twórczości. Już przez samo ograniczenie się do swego najbliższego otoczenia: francuskiej wielkiej burżuazji, zwłaszcza z okolic Bordeaux, wyjawia nam Mauriac autopsyjny charakter swoich powieści. Opisuje tylko to, co widział, nie w dosłownym sensie materjalnego widzenia, lecz o tyle, że każda z jego akcyj wychodzi z zagadnienia, które autora żywo poruszyło. Ostatnio zlewają się wszystkie problemy w jeden: chrześcijanin w życiu doczesnem czyli: jak zniesiemy udrękę ciała, skoro winniśmy przecież podążać za wyższemi odruchami naszej duszy? Mau-

riac jest pozatem najgłębszym malarzem i w następstwie najlepszym panegirystą moralnie i duchowo zdrowego mieszczaństwa prowincjonalnego Francji, które wraz z chłopstwem stanowi niezużytą rezerwę sił narodu. Również inni autorzy, jak wyśmienity Emile Henriot (*Arice Brun ou les vertus bourgeoises*) podejmowali te tematy, ale nikt z tak wybitnym wynikiem, tembardziej ważkim, że niezamierzonym bezpośrednio. Mauriac stale pragnął tylko dwóch rzeczy: roztrząsać zagadnienie i odmalować kilka postaci w ich naturalnem obramowaniu. To, że przez to pomaga do zwycięstwa swoim ideom i pozyskuje dla swych bohaterów najgorętsze współczucie jest jego wielkim triumfem. Głównemi dziełami Mauriac'a są: *La robe prétexte, La chair et le sang, Le baiser au lépreux, Le fleuve du feu, Génitrix, Le désert de l'amour, Thérèse Desqueyroux, Le noeud de vipère, Le mystère Frontenac.* We wstrząsających, głęboko wzruszających książkach ujawnił on następnie cierpienie i szczęście walczącego na świecie i ze światem, wewnątrz z sobą samym w niezgodzie żyjącego katolika (*Souffrances du chrétien, Bonheur du chrétien*).

Pokrewni Mauriac'owi charakterem Edouard Estaunié i Emile Baumann nie dorównują mu siłą twórczą. Estaunié posiada drogocenny dar uchwycenia duszy rzeczy martwych, umie ożywiać je czarodziejsko; zagląda w otchłanie duszy, lecz zimny jego artyzm nie zdoła porwać za sobą (*Les choses voient, L'appel de la route, Le labyrinthe, Tels qu'ils furent*). Baumann bardzo nierówny, także i we formie, używa nazbyt silnych i krzykliwych tonów, wskutek czego jego jaskrawe obrazy nie wywierają wrażenia, którego on pragnie (*Le fer sur l'enclume, Job, le prédestiné, Le signe sur la main*). Lepiej niźli do powieści nadaje się jego żar ekstatyczny do doskonałych wizerunków świętych, (*St. Paul, L'anneau d'or des grands mystiques*).

Godnymi rywalami Mauriac'a są, w zasadniczej postawie zdumiewająco doń podobni, prozaicy Bernanos, Gren i Jouhandeau. Georges Bernanos zabiera się do zła bezpośrednio, to znaczy, pokazuje nam szatana jako ojca wszelkiego zła. Ta śmiałość w odmalowaniu djabła jako wspólnika i najwyższego patrona naszej epoki, przyczyniła się do nie-

zwykłego powodzenia *Sous le soleil de Satan*, *L'imposture* i *La joie;* niesamowita prawdziwość charakterów, styl porywający nieomal jak szpony szatana są najskuteczniejszemi pomocnikami dla skądinąd bynajmniej nieprzyjemnych tez autora. Szatan u boku posła, duchownego akademika, rosyjskiego szofera, który popełnia aktualny mord seksualny: oto fantastyczna mieszanina średniowiecza i teraźniejszości, tańca szkieletów i kina. *La grande peur des bien-pensants*, paniczny strach ludzi dobrej woli snuje się dookoła. Bernanos jest jego poprzednikiem i zwiastunem. Biada nam a sława jemu, posłowi wypowiadającemu wojnę mieszczańskiemu oświeceniu!

Julien Green, z pochodzenia Amerykanin, wychowany we Francji, rozpętuje swojemi wizjami, które mistrzowska sztuka opowiadania bez trudu wtłacza w formę powieści, zgrozę podobnie jak Edgar Allan Poe; jest nieubłaganym sędzią purytanizmu i utajonego grzechu jak Nathanael Hawthorne a przytem zachowuje szlachetną, surową linję francuskiej powieści psychologicznej (*Adrienne Mesurat*, *Léviathan*, *Le visionnaire*). Rywalizuje z Marcelim Jouhandeau (*Les Pincengrain*, *Prudence Hautechaume*), patrząc przez czarne okulary na szarą monotonję francuskiej małomieszczańskości.

Z młodokatolickich pisarzy o tej samej pesymistycznej albo, powiedzmy wprost, wrogo do świata ustosunkowanej, apokaliptycznej postawie mają jeszcze znaczenie Louis Artus (*Les chiens de Dieu*), Robert Vallery-Radot (*Lamennais*) i Henri Daniel-Rops (*L'âme obscure*). Dwaj ostatnio wymienieni obrzucili naszą teraźniejszość namiętnemi pamfletami (*Le temps de la colère*, *Le monde sans âme*). Psychoza końca świata? nie, tylko obawa upadku kultury Zachodu, który to Zachód Henri Massis (*Défense de l'Occident*) chciałby bronić przed naporem wschodniej anarchji, a upadek odwrócić usiłuje Robert Garric przez związek Kościoła z ludem roboczym.

Jest jeszcze kilku wybitnych liryków katolickich, godnych pochwały: Marie Noël, która jak Francis Jammes i Louis Mercier opiewa przyrodę i zbliżonego do niej człowieka; pieśń rodzi się u obojga, tak u autorki *Chansons*

et les heures, Chatus de la merci i *Rosaire des joies,* jak i u autora *Pierres sacrées* i *Petites Géorgiques* lekko, uroczo i czysto. Loys Labéque zaś, również dziecko wsi, tłumaczy w posępnych, ciężkokrwistych strofach biblję i tajemnice zbawienia (*Poèmes visionaires, Poèmes expiatoires, Eglises parlantes*); Belgijczyk Cammille Melloy sławi w obrazach przywodzących na myśl drzeworyty *Louange des Saints populaires,* przedstawia, swoje *Offrande filiale* i przymierza *Zodiaque spirituel.* Fagus głosi szczęście chrześcijańskiej miłości małżeńskiej, która dopełnia się w misterjum małżeństwa (*La guirlande de l'épousée*) i opiewa majestat śmierci *La danse macabre, Frère tranquille).* Były towarzysz symbolistów, Louis Le Gardonnel żyje jako ksiądz gdzieś w Toskanji i obdarza nas od czasu do czasu po długich przerwach klasycznemi o pięknej formie wierszami (*De l'une à l'autre aurore, Du Rhône à l'Arno, Chants d'Ombrie et de Toscane*). Wraz z nim związany jest, jako poeta, z duchem Italji Pierre de Nolhac, świetny historyk renesansu i rokoka *(Poèmes de France et d'Italie).* W prozie znajduje humanizm katolicki swe najświetniejsze wcielenie w Paul'u Cazin. Od niego otrzymaliśmy jedną z najpiękniejszych powieści wojennych *L'humaniste à la guerre;* jest on mistrzem krótkiej opowieści *L'alouette de Pâques, Lubies,* pełne wdzięku wesołe fantazje na tematy biblijne *Bestiaire des deux Testaments,* poetyckie pomysły i wypady, glossy, opisy przyrody i wyznania, które oplatają się wokół liturgicznego roku kościelnego, *La tapisserie des jours:* dają pojęcie o różnorodności tego sympatycznego pustelnika, który sam siebie nazywa *Bienheureux Paul d'Autun.*

Lecz katolicyzm w literaturze francuskiej zna obok tych antycznych artystów kontemplacyjnej harmonji także najczystszy romantyzm. L'abbé Henri Bremond, bystry i uczony autor owej *Histoire du sentiment religieux en France,* która objawiła Francuzom najniespodziewaniej żarliwą nabożność jako nigdy nie wysychający prąd poboczny ich nazewnątrz rozumowo-zimnej kultury, dał w *Pour le romantisme* najgorliwszą i najzrozumniejszą obronę romantyzmu, a w *Prière et poésie,* i w *La poésie pure* ujął na nowo i tak dalece samodzielnie sprawę tożsamości modlitwy i twórczo-

ści poetyckiej, że zdawało się to być przewrotowem odkryciem.

Romantykami są następnie dwaj katoliccy dramaturgowie Edouard Schneider (*Le Dieu d'argile, L'exaltation*) i, służący z nieznużonym zapałem chrześcijańskiemu teatrowi ludowemu Henri Ghéon, który, podobnie jak zwrócony katolicyzmowi Jacques Copeau był uczniem André Gide'a, obecnie jest dramaturgiem o wierze dziecięcej. Najlepsze jego utwory: *Le pauvre sous l'escalier, La farce du pendu dépendu, Les jeux de l'enfer et du ciel,* i wspaniałe *Mistère de Saint Louis* pozostawiają także u ludzi inaczej niż on myślących głębokie wrażenie. Może dlatego, ponieważ powtarzają wzniosłe motywy przewodnie nowej literatury francuskiej, chwałę bohaterstwa i ofiarności, sławę dobrego pasterza swojego ludu, a gardzą przyziemno-materjalnemi dobrami tego świata.

Ten właśnie heroiczny pogląd nęci wciąż odnową w zaczarowane koło katolicyzmu ku świętym i bohaterom, w imię tradycji francuskiej Gesta Dei per Francos, niewierzącego, chwiejnego, tysiącem wątpliwości i mąk dręczonego, Henry de Montherlant'a. Talent jego ma porywającą moc, równie silną w wylewie lirycznym *Interrogations* i *Chant funèbre pour les morts de Verdun,* w opowieściach o charakterze zwierzeń *Relève du matin, Songe* i w *Paradis à l'ombre des épées,* jak i w zmysłowym żarze *Bestiaires* i *Petite infante de Castille.* Jak u Maurice Barrès'a, od którego Montherlant podobnie nie zdolen jest się oderwać jak od Kościoła, jest i tutaj mieszanina *du sang, de la volupté et de la mort*: wiekuisty przywilej burzliwej, napierającej, bohaterskiej młodzieży w obliczu tylu upadków bez godności, w tęsknocie za użyciem chwili i za potomną sławą wieczności. Montherlant jest najdumniejszym głosicielem czynów uduchowionej sprawności fizycznej. Z długiego szeregu tych, co wraz z nim sławią bojownika i prawdziwie opisują bój, wybija się Antoine de Saint-Exupéry i Roland Dorgelès. Pierwszy dźwignął francuską powieść lotniczą do poziomu artystycznego (*Vol de nuit*), drugi jest najautentyczniejszym świadkiem wojny światowej na froncie francuskim. *Croix de bois* i *Le cabaret de la belle femme* opisują

nam *poilu* bez przesady, z bliskości zaręczającej wierne odbicie a jednak z zachowaniem dystansu, gwarantującego bezstronność. Tem różni się Dorgelès od René Benjamin'a, którego *Gaspard* był wojennem dzieckiem muzy, dzieckiem żywem, niesfornem, zgrabnem, lecz dzieckiem, któremu ojciec schlebiał w sposób niedopuszczalny: żołnierzem, jakim go chciała mieć propaganda wojenna.

Pozatem Benjamin zwykle nie skłania się ku upiększaniu. Polemiki jego przeciwko Republice *Valentine ou la folie démocratique, Aliborons et démagogues* pełne są niemniej okrutnych skłonności do demaskowania, jak śmiertelna satyra Jacque Bainville'a *Jaco et Lori.* Benjamin i Bainville są najniebezpieczniejszymi harcownikami z obozu *Action Française.* Obojętne, czy Benjamin wybiera formę dramatu, aby zadać cios owej République des camardes, czy też Bainville w właśnie wymienionej książce mądrą papugę, przechodzącą pokolei przez wytworne i pospolite, arystokratyczne i demokratyczne ręce i zbierającą przytem ładny zapas pochwyconych frazesów politycznych, czyni przedstawicielem nonsensu wszelkiej gadaniny partyjnej: ciosy trafiają i trafieni leżą jak dłudzy. Bainville, jako publicysta o bezmiernej ciętości, napisał *Histoire de France,* przedstawiającą udałą próbę wytłumaczenia przebiegu historji francuskiej; książka ta rozeszła się w miljonach egzemplarzy i stała się dla rojalistów najskuteczniejszą, jaką sobie tylko wymarzyć można, duchową bronią. Wybitne grono pisarzów agituje na najróżnorodniejszych polach za *Action Française.* Lucien Dubech jako krytyk może być przykładem tuzina swoich towarzyszy partyjnych. Nieprześcignionymi zaś obrońcami myśli rojalistycznej byli i są Léon Daudet i Charles Maurras, dwaj wielcy pisarze, zgadzający się z sobą tylko w swej nienawiści do *stupide 19. siècle* i w miłości do monarchji, do „40 władców, którzy stworzyli Francję, pozatem zaś tak są niepodobni do siebie, jak tylko mogą być dwa sprzeczne pojęcia.

Daudet jest namiętnym, gwałtownym, kipiącym, nierozważnym romantykiem, renesansową naturą artystyczną jak Rabelais, któremu poświęcił swoją ostatnią powieść, polemistą, który w zapale walki nigdy nie myśli o następstwach

swoich pociągnięć, wirtuozem, igrającym słowem jak piłką; niezależnie od klątwy kościelnej, którą został obłożony, wierzący, oddający się mistycznym marzeniom chrześcijanina; pomimo swej pobożności człowiek o faunicznej, sprośnej zmysłowości. Istotnem jego dziełem są krążące wokół własnego *ja* autora *Souvenirs des milieux littéraires, artistiques et médicaux* i w wielu tomach zebrane artykuły polityczne. Z jego powieści zaś przeczytać można każdą, ale żadnej nie musi się przeczytać koniecznie.

Charles Maurras jest pod każdym względem przeciwieństwem swojego towarzysza. Trzeźwy myśliciel o obliczającej surowości, jeśli chodzi o spory duchowe, panujący zawsze nad swojemi namiętnościami, uległy prawom klasycznej karności językowej, aczkolwiek wydaje się suwerennym panem swoich słów; niewierzący, lecz nazewnątrz pełen szacunku wobec Kościoła, który go jako pozytywistę potępił, w pismach swych troskliwie zważający na przyzwoitość, wzbudza Maurras podziw, nigdy wszakże nie porywa. Dzieła jego są zawsze wysokiej klasy. Ilość nie wzrasta tutaj kosztem jakości. Poza trzydziestoma tomami o charakterze politycznym, z których najpiękniejszy stanowią świetne portrety historyczne *Les princes de la nuée*, szczególne znaczenie mają rozprawy z romantyzmem *Poésie et barbarie, Débat sur le romantisme.* Maurras wypróbował swoje teorje o poezji w marmurowo-chłodnych, szlachetnych wierszach *Musique intérieure.*

Do otoczenia *Action Française* należą jeszcze niejedni wybitni pisarze, formalnie do niej nie włączeni. Ernest Seillière zajął, u boku Maurras'a, gwałtowne stanowisko przeciw romantyzmowi i jego teorjom, które Seillière uznaje za niefrancuskie. Jest on dobrym znawcą filozofji niemieckiej i jednostronnie ją osądzających niesprawiedliwych jej przeciwników. Pierre Gaxotte za wzorem genjalnego, młodego historyka Augustin'a Cochin, padłego na wojnie, pracował nad zburzeniem demokratycznej legendy o wspaniałych czasach Rewolucji Francuskiej. Płodny powieściopisarz Louis Bertrand wybronzował postać Ludwika XIV do nadnaturalnej wielkości. Ta rewizja poglądów na narodową przeszłość przyczynia się wielce do przemiany sądów,

smaku i ideałów. Wykazanie tej przemiany musiało być jednem z istotnych zadań niniejszego przeglądu.

Zanika piśmiennictwo błogiej doczesności i wygodnej obojętności. W reprezentacyjnych dziełach francuskiej współczesności: u Mauriac'a, Ramuza, Montherlanta, u Bernanosa, Greena, Malrauxa i Chamsona wysuwają się na pierwszy plan wielkie zapytania o nasz cel ziemski i ponadziemski, o nasz stosunek do społeczności. Z płaskiej codzienności wzbija się literatura znowu na wieczne wyże; z wieży z kości słoniowej powracają poeci znowu do swego narodu, który ich potrzebuje jako przywódców i pionierów. Na tej swojej drodze spotyka się francuskie piśmiennictwo z bratnim współudziałem innych narodów, które, każdy w swoim zakresie, dążą do pokrewnych celów, do wiecznych celów każdej wielkiej literatury.

Otto Forst-Battaglia
Tłum. Edyta Gałuszkowa

Józef Skultéty.

Jubileuszowe wydawnictwa literackie i naukowe.

Ośmdziesięciolecie żywota swego obchodził Józef Škultéty dnia 25 listopada 1933 w Turczańskim św. Martinie. Pierwszy Słowak członek Polskiej Akademji Umiejętności, Prezes Maticy Slovenskej, emer. profesor wszechnicy bratislawskiej, honorowy Dr. praskiego uniwersytetu, były redaktor miesięcznika *Slovenske Pohľady* i dziennika *Narodnie Noviny*, uczczony został w dniu tym przez społeczeństwo słowackie. Wszak to i więzień polityczny w dobie madjarskiej i żywy dziś pomnik minionej niewoli a zarazem jasna pochodnia niepodległości czesko-słowackiej.

Z dniem Škultétego związane jest pojawienie się dzieł literackich *o* „batce" i naukowych *dla* niego.

Na wzór Karola Čapka czeskich „Hovorow z T. G. Masarykem" zobrazował filmowemi scenami życie Škultétego Dr. Jan V. Ormis i dał im tytuł *Rozhovory z batkom Škultétym* (Str. 125, wydawnictwo L. Mazáča w Pradze). Charakter• książki jest biograficzny. Jest to pierwsza poważna i barwna biografja, z niej każdy, nawet z najbliższych, dowiaduje się czegoś nowego. Ponieważ zaś tworzywo czerpał autor z rozmów bezpośrednich ze Škultétym, może książeczka uchodzić nawet za autobiografję.

Pochodzi Š. z Potoka z ziemi Gemerskiej, nazwisko zaś swoje wywodzi od łacińskiego scultetus (dziedziczny rychtar), ojciec jego był katolik, matka ewangeliczka. Pierwsze lata gimnazjalne spędził w Rimavskiej Sobocie i tam ukształtowała się jego dusza wedle formy madjarońskiej. Zmiana nastąpiła w gimnazjum revuckiem, wyraźnie i wybitnie słowackiem narodowem,

którego dyrektorem właśnie wtedy był imiennik jego August Horislav Š. Jako wyższoklasista był w bursie seniorem i w 1869/70 pisał sporo do studenckiego *Svitu*.

Po ukończeniu średniej szkoły z powodu niezamożności rozpoczął służbę u Pedagogiki jako nauczyciel ludowy w Sučanach, potem we Vrutkach. Stąd poszedł do Budapesztu do pedagogjum, aby uzyskać kwalifikację nauczycielską. W Budzinie prowadzi kursy dla więźniów, pomaga inspektorowi wydawać pisemko *Népfenitők Lapja* i sekretarzuje w Slovenskim Spolku.

W 1877 dostał stanowisko aktuarjusza w inspektoracie szkolnym w Rim. Sobocie. Ze szefem swym układał madjarskie czytanki dla słowackich szkół i podręcznik madjarszczyzny w ludowych szkołach słowackich, wreszcie wykonywał rewizje jako drugi cenzor książek słowackich. I tu miejsca nie zagrzał, w jesieni 1879 przybył do Turcz. św. Martina, aby rozpocząć pracę urzędniczą w banku *Slavie* praskiej.

Był to czas, kiedy po depresji, spowodowanej w słowackiem życiu narodowem przez zamknięcie gimnazjów narodowych i Macierzy, zaczęła się dźwigać praca kulturalna. „Živena" zwołała zebranie narodowe, na którem owacyjnie był witany czeski poeta Adolf Heyduk, śpiewak *Cymbála a husli*, Svetozar Hurban Vajansky ogłosił *Tatry a more* (1880), zbiorek wierszy porywających i wskrzesił miesięczne wydawnictwo literackie *Slovenske Pohľady*, które miały wynagrodzić straty „Orla". Do redakcji wstąpił i Š.

Na Słowaczyźnie ruch. Po turecko-rosyjskiej wojnie rozbrzmiewa tu piosenka:

Už su Rusi za Balkanom, — už je Turek malym panom
Už su Rusi pod Tatrami, — už jè, bratia, dobre z nami,...

Młodzi są coraz ruchliwsi. Vajansky ze Škultétym robią narodowe wizyty u Hviezdoslava w Namiestowie i Kukučina (Bencura) w Jasenowej na Orawie. Organizuje się wycieczka do Pragi na jubileusz półwiekowy hymnu *Hej Slovaci* (1884), zaproszony został i twórca pieśni Samo Tomášik. Wnet potem zbiorowa podróż na Metodyjskie święto do Kijowa (1885) z pobytem dłuższym we Lwowie i zatrzymaniem się u rusińskiego adwokata Gerowskiego. Wtedy Š. zwiedził Moskwę i Piotrogród; a w drodze powrotnej trzej Słowacy (Š., Vajansky i Valašek) byli w Warszawie. Do Martina wrócili z dobrą myślą. W Martinie

wtedy „tol'ko sa spievalo,... že si mad'arske urady nevedely dat' rady so spievajucimi a na nejaky čas prižmurily oči, prestaly rozhańat' spievajucich panslavov".

W r. 1887 w Martinie urządzono wystawę „slovenskych vyšiviek a krojov" z wystawą malarską. Wtedy wśród wielu gości z dalsza przybył tu po raz pierwszy prof. Masaryk i zawarł ściślejszą znajomość z Vajanskim i Š. Ich umysły spoiła lektura Dostojewskiego, a potem duchowego spoidła znalazło się więcej.

O rozmachu w pracy narodowej świadczą dalej książki Sam. Czambela o języku słowackim, jego dziejach i zasadach, na długie lata (prawie i dziś jeszcze) jedyne do studjum mowy słowackiej i zbiórka udziałów na budowę Narodowego Domu. „Suplikovali" po kraju osobiście i Hurban i Halaša i t. d. kwestował i Š. Organizuje się w Martinie *Knihkrpecko-nakladatelsky spolok* jako udziałowa spółka. W niej ma Š. głos tak ważny, że na własną odpowiedzialność drukować każe pierwszy zbiorek wierszy Hviezdoslava. Słowacy obracają oczy na siebie. Jan Kvačala powołany na katedrę do wszechnicy w Dorpacie (um. 1934 w Bratislawie). Czeski językoznawca Pastrnek zbiera z pomocą Škultétego ze Słowacji obfite tworzywo do dialektologicznego obrazu językowego. Na arenie już publicznej występuje ks. Hlinka (1893) razem z Masarykiem. Masaryk i Š. razem mają zatargi z żandarmerją. Masaryk obiera sobie na letnisko niemal corocznie Bystričkę pod Martinem, ze Š. i Vajanskim żyje w przyjaźni, oni go odwiedzają w Pradze, wymiana myśli coraz żywsza. Ale gdy ruch hlasistów („Hlas" słowacki był odgłosem Masarykowego „Času" praskiego) stawał się coraz gwałtowniejszy, stosunek „medzi Masarykom a Martinčanmi ochladol a ked vyšiel *Kotlin* (powieść) Svetozara Hurbana (1901), Masaryk napisal na knihu ostru kritiku, na to zase Š. prikre vystupil proti Masarykovi v Narodnych novinach". Słowaków odwiedził i rosyjski historyk Wlad. Łamanskij (1893) i Grzegorewskij redaktor nienazwanego tu po imieniu „ktorekosi vyznačnejšieho pol'skeho časopisu".

W trzy lata później (1896) jechała przez Vrutky polska wycieczka z Krakowa i Lwowa do Budapesztu na millenium madjarskie. Władze powiatowe przyszły z Martina do Vrutek powitać Polaków. Sprowadzona orkiestra cygańska miała nakazane

zagrać gościom na peronie „Jeszcze Polska nie zginęła". Przy pierwszych akordach melodji Słowacy-widzowie zaczęli śpiewać (na tęż samą melodję) pieśń „Hej Slovaci". Zakłopotanie madjarów było niezwykłe. „Poliakom stačilo, že naši dvaja Slovaci sa poznaju z Gregorevskim, ich vyznamnejšim redaktorom... za Škultétym a Hurbanom... volali: Nech žiju Slovaci! Viceišpan Lehotsky len schulil hlavu medzi plecia a ponahľal sa preč so stanice".

Madjarzy, widząc rosnący ogień patrjotyczny i prąd kulturalny Słowaków, przystąpili do duszenia i zalewania tej watry. Bagnet żandarmski nie dopuścił Masaryka do domu Kollarowego. Bagnet żandarmski odprowadził do granicy polskiego uczonego Baudouina de Courtenay. A Słowacy — do aresztu, pod sąd i do więzień. Więzienia madjarskie (Szegedyn, Piotrowaradyn...) uświęcają męczenników narodowych (Hlinka, Š. ...). Ciekawy szczegół z lat wojennych tu zapisany charakteryzuje madjaronów: dziennikarz-żyd prosi Š-go jako Viceprzewodniczącego Muzealnej Slovenskej Spoločnosti, aby mu pozwolił sfotografować kilka przedmiotów, bo chce napisać artykuł o zbiorach słowackich. I owszem. Niechże Madjarzy się czegoś dowiedzą o Muzeum. Š. się zgodził. Po kilku dniach dostaje w rękę dziennik *Az Est* z artykułem o martinskiem muzeum i czyta tam, że muzeum nieprawym sposobem zabrało dokumenty z dworu Justhowego w Necpalach. Śledztwo i poszukiwania skończyły się szczęśliwie orzeczeniem władz, że dokumenty tam przyszły legalnie, wicežupan nawet dodał do protokołu, że dokumenty te nigdzie nie mogłyby znaleźć lepszej opieki i bezpieczniejszego umieszczenia. Ale madjaron musiał denuncjować bez upewnienia się o prawdzie.

W rokowaniach wersalskich był Š. ekspertem dla spraw słowackich. Tam spotykał się ze Štefanikiem, który też niejednokrotnie musiał się dopominać o prawa Słowaków.

Inny charakter ma książka Andrzeja Mráza *Józef Škultéty* (str. 181, Knjižnica Slovenskych Pohľadov tom 28). To już monografja, dzieje twórczości duchowej jubilata na szerokiem tle społecznem i politycznem opowiedziane. Jest to prawie historja przeżyć wszystkiej kulturalnej Słowacji od połowy XIX w., tak że postać jubilata w rozdziałach zwłaszcza pierwszych ledwie że się wyłania z głębokiej fali dziejowej. Znajdzie się i wyjaśnienie niejednego zjawiska politycznego; np. Słowacy nie przestali na-

wet wtedy w Czechach widzieć sprzymierzeńca i pomoc, gdy „zaujmy českeho naroda diktovaly Riegrovi v osemdesiatych rokach vypustit z politickich koncepcii zaujem o Slovakov" (str. 33), jak rusofilska orjentacja musiała się wśród Słowaków krystalizować, dlaczego ten i ów (np. Hviezdoslav) opuścił dobrowolnie stanowisko w służbie państwowej, a wielu z tych co pozostali w niej, „boli tichymi a tajnymi [1]) Slovakami", lub dlaczego w 1884 wodzowie polityczni Słowaków proklamowali pasywizm wyborczy, z którego dość późno się wyrwali.

Wielki posłuch w polityce miał Hurban Vajansky. Publicystycznym jego współpracownikiem i prawie wyręczycielem był Š. Był Š. w redakcji tem, czem suplent w przedwojennej szkole średniej (supplens es, qui suppleas, quae supplenda sunt) „robieval v redakcii, čo bolo treba", był nawet korektorem. Jako redaktor dosłużył się sześciu procesów i zasądzeń. Zważywszy, że *Narodnie Noviny* miały ledwie 500 przedpłacicieli, zrozumiemy, że mimo bezinteresownego oddania się im redakcji, nie zdołałyby się utrzymać bez pomocy postronnej. Ta przychodziła od 1885 stale do wojny światowej w postaci 5000 rubli corocznie. Sreznewski i Lamański odwiedzili Słowaczyznę, Aksakow i Chomiakow interesowali się nią; nawzajem Mudroń, Radlinsky, Jesensky czy inni wracali z podróży do Rosji z wielkiemi wrażeniami i głębokiem przekonaniem, że Rosja jedna może zbliżyć wyzwolenie Słowaków, jakkolwiek i Czesi okazywali im sympatje. W czeskiej „Knihovnie česko-slovenskej" Pokornego wyszły słowackie oryginały jak: *Spevy* Jana Botty i Vlčkowa *Literatura na Slovensku*. Tołstoj stał się lekturą powszechną za Tatrami, podobizny jego wisiały na ścianach w domach Martinczan.

Kuźnią pracy Škultétego były wznowione *Slovenske Pohľady*, których redakcję objął w 1890 r. i prowadził do wojny światowej (do 1915). Wydawnictwo zanurzało się w coraz głębsze długi (w r. 1893—1457 złr., w 1907—4701 złr., w 1908—8902 złr. w samej drukarni), ale wytrwała współpraca administracyjna żony

[1]) Takim był Czambel. Cichaczem darował Muzealnemu Towarzystwu 600 egzemplarzy swego dzieła o języku słowackim, a testamentem zapisał mu bibljotekę i materjał rękopiśmienny. Takim był Čaplović twórca bibljoteki w Dolnym Kubinie.

doprowadziła w 1912 już do zysku 197 koron. Uporne wytrwanie na placówce charakteryzuje dodatnio narodowca słowackiego. Dla pisma samego są ciekawe coraz nowe rubryki, a zwłaszcza dwie: *Listy z Čiech i Slovensky jazyk*. W kąciku drugim zapoczątkował gromadzenie językoznawczego materjału. Dzisiaj już tej sferze treści służy osobny miesięcznik *Slovenska reč*. Š. wziął sobie za dewizę: „Položit život za vysoky ciel' zostane najvyššim z toho, čo človek može". Jako dziecko szturowskiej epoki powtarzał, że „i dym z komina slovenskej dediny narodovcovi musi byt' mily".

Dla narodu swego starał się odzyskać wyrodnych zemanów. Myśl o odzyskaniu szlachty zaprzątała go i po wojnie, gdy z Liwjuszem Odescalchim wydał pismo *Zastavą veje*. Czekał i na opamiętanie się żydów, na zorjentowanie się ich od madjarofilizmu ku słowakizmowi. Rozumował, że „kto stavia a ma plne ruky prace, nesmie odpudzovat' od seba, potrebuje byt' na všetky strany priť'ažlivym". Mścić się na nich teraz za dawne ich madjarońskie grzechy poczytywał za niemoralne. „Pomsta nebyva dobra ani v zahraničnej ani vo vnutovrnej politike". Słowacy wprawdzie pamiętają zdanie *Pesti Hirlapu* z r. 1906: „Jeśli teraz narodowościowi posłowie debatują i myślą, że wydeklamują u rządu cokolwiek z uszczerbkiem madjarskiego narodu, z uszczerbkiem madjarskiego języka na korzyść ich języków macierzystych, to się mylą. Nie będzie nigdy takiego rządu, któryby na ziarnko maku z praw udzielił narodowościom, któryby przestał wciskać i wpierać madjarszczyznę. Ani nawet pomyślenie o tem nie może wzniknąć. Nie pozwolimy, aby rząd odważył się przyobiecać egzekwowanie narodowościowego prawa z r. 1868". Zęba za zęba wyrwać teraz Madjarom, którzy dostali się w obręb państwa czechosłowackiego, — taka myśl nie powstała w głowie słowackiej żadnej.

Spokojny i równy Š. wciągnięty został i w sprawy ideowe. „Hlasiści wytykali narodowcom starszej szkoły, że nie wykonują dobrej pracy między ludem, że ich mentalność pachnie pańską wyższością i hlasiści sądzili o sobie, że oni pierwsi w Słowacji głoszą demokratyczne zasady". A przecie życie słowackie było naprawdę demokratyczne, jeśli zaś niezawsze czyniło takie wrażenie, to przyczyn było wiele, np. ciężkie stosunki polityczne, szczupłość sił i środków. Odchylenie obu stron było nieznaczne

w rzeczywistości. Dla Š. troska o lud to składnik organiczny dążeń narodowych, dla Hodży (wówczas) moment narodowy poddany politycznym zasadom demokracji. Š. liczył, że z rozwojem słowackiego uświadomienia narodowego urzeczywistniać się będą i demokratyczne postulaty mas ludowych, natomiast Hodża i jego stronnicy kładli nacisk na polityczne realizowanie demokratyzmu, a w jego obręczy dopiero znaleźć się miały narodowe prawa Słowaków. Kiedy Hodża szedł z polityką w lud, Š. przez dzieła sztuki i nauki zdobywał uznanie i sympatje dla Słowacji. Rozumiał, że „narod, ktory ma literaturu, nezanikne, takemu bude pomahat cely vzdelany svet" (81).

Przykrzejsze były spory na temat „czechosłowacki". Š. uznawał i popierał współpracę Czechów i Słowaków, ale z wychowankami czeskiego realizmu różnił się w pojmowaniu zasadniczych składników życia słowackiego. Pierwsze skrzyżowanie oręża ideowego nastąpiło między Vajanskim a Masarykiem r. 1891, a przy Vajanskim stał Š. „Masaryk nie miał zrozumienia ani dla rusofilskiej słowackiej orjentacji, nie pochwalał słowackiej taktyki politycznej i metod pracy w dążeniach Słowaków, a wreszcie zbyt odległy był dlań słowacki świat myślowy, determinowany ciężkiemi stosunkami wewnętrznemi, starał się jednak poznać go i zrozumieć wszechstronnie". Na temacie poglądów na Rosję M. i V. się poróżnili. Potem przyszła *Československa jednota*, w 1896 w Pradze powstała, która wysunęła zagadnienie wspólnego języka literackiego dla obu narodów. Odezwa w r. 1895 rozstrzygała wprawdzie, że „przyjęcie czeszczyzny za wspólny język nie musi być zaraz uskutecznione" (str. 89), ale Š. wierzył, że „ak by sme sa dnes mali pustiť slovenčiny, sme hned ako rozviazany snop" (str. 92) i nie wahał się napisać: „Kto v dnešnych našich pomeroch robi atentat proti slovenčine, alebo nezna ani abecedy slovenskych pomerov, alebo je velmi zly človek". Pił tu do *Ludovych Novin,* kupionych przez Pastrnkowców. Osłabiło to i przychylność jego ku prof. Pastrnkowi.

W sierpniu 1897 grupa hlasistów z prof. Masarykiem ułożyła w Bystriczce program działania z nawiązaniem do Kollara i Šafarika, a częściowem pominięciem „šturostva, pošturostva a vajanštiny". *Hlas* nawet wymierzył pewne strzały w kierunku Vajanskiego. Ten odpowiedział w *Nar. Novinach.* Amunicją publicystyczną Vajanski uzbroił swą powieść *Kotlín.* Rozpętała się

polemika o *Kotlin*, o Medacha i Petöfiego, rysa między obozami zmieniała się w rów coraz szerszy i coraz głębszy, że „nepokon sa i Š. s Masarykom rozišiel velmi rezolutne" (str. 102). Kiedy mu *Československa Jednota* z Pragi ofiarowała do *Slow. Pohladow* artykuły i wiersze czeskie, któreby ona sama honorowała, napisał na ofercie: „Dreveny koń do Troje..." „su to-kumšty". Wszelkie rozdźwięki z hlasistami i Masarykowcami załatwił wytwornie bez naruszenia kultury i przyzwoitości towarzyskiej. Walka jego uporna i twarda była tylko przeciw madjarskiemu szowinizmowi. Kardynalną zaś jego zasadą było oddziaływać przez literaturę na dobre uczucie człowieka.

W ocenianiu tworów i utworów literackich uwzględniał zawsze szerzej i raczej społeczne znaczenie niż piękno literackiej sztuki i filologiczne właściwości, bo przed jego oczyma historja literatury to nie dzieje książek, ale „dejiny myšlienok a vyvinu l'udsk'eho ducha". W tem naświetleniu też Madjarom pokazał piśmiennictwo słowackie w IV tomie madjarskiego „Egyetemes irodalomtörtenet" w r. 1911 (pod tytułem *A fót irodalom története)*. Podobnie w książce *O Słowakach*, czyniąc przegląd postaci literackich i naukowych szuka znamion i ziarn narodowej ideologji.

Š. historyk wyjaśniał okresy dziejów zmianami socjologicznemi. Wiele pracy poświęcił zagadnieniu słowiańskiego osiedlenia i rozsiedlenia na obszarze Węgier przed przybyciem Madjarów. Starszość słowiańską wykazuje w brzmieniu nazw topograficznych a kulturalny prymat Słowian udawadnia madjarską terminologją kościelną. Pierwotna ludność Wielkiej Morawy to Słowacy. Gdy idzie o Czechów i Słowaków Niederle głosił, że „Czesi i Słowacy całe stulecie nie czuli między sobą różnicy, a ich pierwotna, dawna jednota dopiero w nowym czasie nastała". *Škultéty* zaś powiada: „Politickej, štatnej jednoty nebolo nikda, ani za času Velkej Moravy, a jazykova blizka pribuznosť... bola marna" zwłaszcza w pierwszych wiekach węgierskiego państwa. Mowy przodków swych wagę i znaczenie tak w 1915 określił: „všetci prebudeni Slovaci považujeme slovenčinu ani zrenicu svojho oka a citime, že by sme bez nej boli ničim" (str. 147). Tem uczuciem przepojone są rozdziały jego książki *Nehaňte l'ud moj* i polemiczne dzieło o ostatnich *studwudziestu pięciu latach życia słowackiego* (1790—1914).

Sympatyzować i współpracować z Czechami — tak, ale nie poddać się Czechom z utratą swej indywidualności — również tak. A te hasła miał realizować jako profesor wszechnicy bratislawskiej. Długo tam nie mógł być. Usunął się zpowrotem do Martina i przy biurku Prezesa Macierzy Słowackiej czuje się mocniejszym.

W objaśnieniach rzeczowych (na str. 168) autor tyle mówi o stosunku Š. do Polaków: „Pomer Škultétyho a Vajanskeho k Poliakom bol determinovany polskym vztahom k Rusku a polskou politikou w Rakusku, často negativnou k Slavianstwu vtom smysle, ako otazku chapal Š. Pri svojej... navšteve Krakova Š. pisal: „Nuž Krakov!... Poliaci su mnohej neresti pričinou v Slavianstve, v srdci citiš istu topkosť naproti nim, no prichodiac z našej krajiny, kde hanobi sa všetko, co ma na sebe slaviansku znamku, srdce tvoje pod Krakovem prekypi radosťou a ty otvaraš naručie na objimanie Poliakov-Slavianov".

Uroczystościową jednodniówkę: „Z prileżitosti jubilea osemdesiatky dr. *Jozefa Škultétyho* univerzitného profesora Spravcu Matice Slovenskej" poświęciła spółka drukarska *Knihtlačiarsky učastinarsky spolok* v Turčianskom sv. Martine" 1933. Na treść tego „nepredajneho" wydawnictwa złożyły się okolicznościowe wiersze i sceny dramatyczne przedniejszych poetów oraz artykuł życiorysowy A. Mráza.

Jak akcjonarjusze drukarscy, ma i redakcja miesięcznika *Slovenske Pohľady* dla swego dawnego redaktora moralne zobowiązania. Uczciła go też osobnym zeszytem (listopadowym), w którym i weterani literaccy (Elena Marothy Šoltesova) i młodsi uczestniczą. Naszkicowali Š-go jako beletrystę i wydawcę i „żywą tradycję" i poświęcili mu trochę wspomnień i nieco poezji okolicznościowej. Przyszły i z poza Słowacji przyczynki do charakterystyki jubilata, a to od Józ. Svitila-Karnika z Moraw i Jana Magiery z Krakowa. Szczególną ozdobą zeszytu jubileuszowego są podobizny i portret Š-go i Vajanskiego p. n. Verni (Mila Mitrowskiego), plakieta Škultétego (Fr. Štefunki).

Najpoważniejszym jednak darem dla jubilata jest księga zbiorowa z pracami naukowemi, jemu poświęconemi: *Sbornik* na počesť Jozefa Škultétyho, ofiarowany Nestorovi Slovenskej vedy przez vedecke odbory Matice Slovenskej i nakładem Macierzy wydany.

Księga ma stron 687, a jej treść rozdzielona na trzy działy: 1. literacko-historyczny, 2. historyczny, 3. lingwistyczny. Część I. zaczyna się rozprawą Władysława Bobka, lektora polszczyzny w Bratislawie i zawiera ona *Úvahy o Jankovi Kraľovi.* Krytyk wykazał silną zależność poety Słowackiego od Mickiewiczowej poezji i wykazał, że w języku Kraľowym jest znaczna liczba wyrażeń, nieznanych dzisiejszemu literackiemu, ale istniejących w dzisiejszej nawet literackiej polszczyźnie. Zjawisko to istnieje i w języku innych Šturowców. Przyczynek do poznania Eug. Vrahobora Šparnensisa podał Vlad. Čaplovič. Ivan Esih, znany i w Polsce chorwacki publicysta, przedstawił stosunki, w jakich pozostawali Słowak *Bohuš Nosťak Nezabudov a Chorvati.* W 1848 Zagrzeb był jedynem wolnem miastem w świecie słowiańskim (Habsburskim), „tu się skupili proskrybowani Słowacy: Štur, Hurban, Nosak, Czesi: Frič i Mihovec, a było tu i kilku Polaków". Długi rozdział do historji polemik literackich słowackich stanowi rozprawka Beli Kleina-Tesnoskalskiego *Literarne spory sedemdesiatych rokov* (str. 44—100). I znajdziemy ślady wpływu polskiej Muzy na Słowacką („Chorału" Ujejskiego).

Porównawcze studja są bardzo ciekawe. Risto Kovijanić znalazł pogranicze duchowe serbsko-słowackie, oznaczył je nazwiskami pokrewnych duchów: *Ľudovít Štur a Branko Radičević.* Na pogranicze zaś polsko-słowackie wprowadza nas młody i bardzo utalentowany slawista słowacki Stanisław Mečiar rozprawą *Hviezdoslav a Kasprowicz* — system twórczości w motywach ich liryki (116—153). Porównanie przeprowadzone z drobiazgową dokładnością kończy się sądem ogólnym, że obaj poeci (słowacki i polski) wiedli i doprowadzili każdy swój naród „do świtu nowego życia, będąc mu wzorem walki o ideał, wzorem wytrwałości w dążeniu do szlachetnego celu tu na ziemi, z wiarą w zwycięstwo dobra i sprawiedliwości i pod egidą wyższego porządku".

Na emigrację słowacką do Jugosławji przenosi nas Andrzej Mráz w omawianiu Čajakowego przeglądu współczesnej literatury słowackiej. Čajak senior stworzył w swym domu w Petrovcu do dziś najbogatszy księgozbiór prywatny. Čajak junior (syn) dziś prawą jest ręką Matice Slovenskej w Jugosławji. Ściśle słowacką jest rozprawa Jana Martaka „Basnicke počiatky

Jana Bottu. Botta nasiąkł i przesiąkł poezją Mickiewicza i mesjanizmem polskim. A i Bottów Janosik każe nam uczynić porównanie z Janosikiem z podhalańskich gawęd polskich. *Albumem Daniela Petiana* zajął się Jan Ormis i stwierdził, że wpisy pamiętnikowe pochodzą od ludzi, co byli „viacej latinici, ako Slovaci" — wpisywali się po łacinie.

Kilka mniejszych artykułów w tej części mniej już Polskę interesuje.

Część historyczną rozpoczyna znowu polska rozprawka prof. Wł. Semkowicza p. t. *O polsko-słowackich terenach współpracy naukowej i kulturalnej.* Pamiętając, że przyroda z nauką, która jej służy, nie może znać granic politycznych, autor wskazuje ważniejsze tereny: badanie pasterstwa karpackiego i kolonizacji wołoskiej, postać Janosika, zebranie dawnych opisów Tatr (najstarszy przewodnik, przytoczony przez Długosza, pisany był polszczyzną zabarwioną słowacką mową), badanie językoznawcze, historyczne (np. przenikanie kultury przełomami Dunajca i Popradu, epoka grodziskowa, zjazdy polsko-węgierskie na obszarze Słowacji, Słowacja w dobie Łokietka, rola miast po obu stronach Karpat), kultura artystyczna...

Zagadnieniem początków miast czeskich i słowackich interesuje nas Wacł. Vojtišek w rozprawie o *Bratislawskiem burgum* (burgus w r. 1221 to nie osada obwarowana, lecz grunt podmiejski — suburbium). Przyczynek do dziejów madjaryzacji w kościele dał Stef. Jaršak szczegółami z życia Stefana Fajnora (zwłaszcza w r. 1893). Jeszcze cenniejszy jest przyczynek o pierwszym i ostatnim kapitanie powstania słowackiego 1848/9 Samuelu Štefanoviču (Karola Golańa). Analogje do legjonu polskiego z 1914 nasuwa rzecz o legjonie słowackim i wiedeńskiej polityce. Ten tragiczny człowiek doszedł w 1879, po powrocie z Chorwacji i Serbji, do przekonania, że „slovanska vzajemnosť je jednoducho a zrovna rečeno nielen bezvyznamnou parou, ale prave nic inšei'e, ako dym..." Przypomina to Havličkowe wyznanie po powrocie z Rosji i Polski do Pragi, że wyjechał Słowianinem, a powrócił Czechem.

O *rzędowych cmentarzach grodziskowych* w Słowacji pisze Jan Eisner. Zjawiają się one tutaj w XI w., są już bez mogił, zamiast nausznic w grobach niewieścich znajdują się zausznice.

Jest tu i przygodna uwaga, że Madjarzy pierwotnie usadowili się nad górną Cisą i dopiero około 955 centrum swe przesunęli ku Panonji. Najstarszy rzędowy cmentarz wskazuje na Dewinie wyżej Bratislawy. Historyczno-etnograficzne studjum o *Wołochach w Słowacji* dał Andrzej Kavuljak (str. 336—374). Ponieważ jest to znawca doskonały tego tematu, praca godna byłaby powtórzenia po polsku. Dla Słowaków specjalnie zestawił tu Jan Magiera *Slovenica* w rocznikach *Świata Słowiańskiego* bibljografję rozumowaną, aby się dowiedzieli łatwo co elita słowianofilska w Krakowie o nich mówiła i pisała. Nauka polska może się zainteresować pracą Józ. Skutila o znalezionych rzekomych pamiątkach pisma z doby przedhistorycznej i wczesnej historji na obszarze ČSR. I dziedzina architektury jest tu reprezentowana, czyni to artykuł Wład. Wagnera o działalności budowniczego rządowego Hillebrandta na terenie słowackim (przybudówka zamkowa w Bratislawie).

Szeroko zakreślił swój temat Fr. Hrušovsky w rozprawie *Bolesław Chrabry a Slovensko* (str. 454—483), którą kończy wysnutemi wnioskami, że Chrobry zajął Słowację w wojnie polsko-węgierskiej, okupacja polska trwała krótko, ziemię tę odzyskał św. Stefan w zawartym pokoju bez zwycięstwa nad Chrobrym. Napięcie między Polską a Węgrami osłabło dość późno, skoro w kijowskiej wyprawie 1018 roku brało udział 500 Węgrów. Kończy te część Paweł Florek monograficznym rozdziałem o „początkach turczańsko-*zniewskiego* hradu".

Zostaje dział językoznawczy. Treść jego zaznaczymy tytułami: *Z głosowni* szaryskiej (Jan Fedak), *stanowisko wschodniej słowaczyzny w obrębie czechosłowackości* (N. van Wijk z Leiden), zachodnio-słowackie dobrêgo a środkowo-słow. dobrô (A. E. Boutelje z Bussum), przypadki rat — lat — w słowackiem za prasłow. ort — olt — (Lud. Novak z Paryża), genetivus zaprzeczony w literackiej słowaczyźnie (Rudo Uhlar), zdrobniałe rzeczowniki w słowackiem (Belo Letz), z banowskiego narzecza (Ant. Janošik), Słowackie następstwa prasłowiańskich akcentowanych akutowych długich (Henr. Bartek).

Kończy się Sbornik *bibljografją prac Škultétego* z lat 1901—1932, (str. 665—687), albowiem wcześniejszy okres uwzględniła już wielka Riznerowa Bibljografja. Żałujemy, że wiele zaproszeń nie zostało zrealizowanych przez stronę polską. Mimo to jednak

stempel polski wyraźny w Sborniku, trzech autorów polskich i dwie rozprawy słowackie na tematy słowacko-polskie.

Słusznie to znamię polskie ma Sbornik, boć przecie Škultéty jest członkiem Polskiej Akademji Umiejętności i narazie — jedynym.

Dr. Jan Magiera.

Przegląd piśmiennictwa.

Baron Beyens, Ancien Ambassadeur de Belgique: Quatre ans à Rome, 1921—1926. Fin du Pontificat de Benoit XV. Pie XI. Le début du fascisme. Paris, Librairie Plon, 1934, str. III + 306.

Baron Beyens, jeden z wybitniejszych dyplomatów belgijskich, poseł w Berlinie w latach bezpośrednio poprzedzających Wielką Wojnę, a w okresie wojennym przez pewien czas minister spraw zagranicznych, zachęcony uznaniem z jakiem przyjęto książkę poświęconą jego misji w Niemczech p. t. *Deux ans à Berlin 1912—1914,* przygotował do druku, wydane następnie pośmiertnie, wrażenia i obserwacje zebrane na ostatniej placówce dyplomatycznej, jaką w życiu zajmował, na stanowisku ambasadora Belgji przy Stolicy Apostolskiej. Przez cały czas pobytu w Rzymie baron Beyens prowadził dziennik, w którym zapisywał godniejsze uwagi wydarzenia. Zapiski te, uzupełnione obszernym komentarzem i odpowiednio uszeregowane, stanowią treść omawianej książki. Dzieli się ona na trzy części. Część 1-a *Śmierć Benedykta XV* poświęcona jest głównie osobie tego Papieża, jego stosunkowi do Belgji, a zwłaszcza roli, jaką odegrał on podczas Wielkiej Wojny; pozatem w osobnych rozdziałach daje autor wyraz swemu bardzo krytycznemu stosunkowi do katolickiej partji popolarów oraz z niekłamaną sympatją omawia ruch faszystowski przed dojściem Mussoliniego do władzy. Część II-a, *Konklawe i wybór Piusa XI,* pozbawiona niemal momentów politycznych, zawiera bardzo żywy, barwny i ciekawy opis uroczystości, związanych z interregnum na Stolicy Apostolskiej, wyborem nowego papieża i jego koronacją. Opis ten ogłoszony był zresztą przez barona Beyensa przed kilku laty na łamach *Revue des deux Mondes.* W części III-ej p. t. *Pierwsze lata pontyfikatu Piusa XI* omawia autor działalność obecnie panującego papieża, stanowisko Stolicy Apostolskiej wobec ważnych wypadków politycznych, które rozgrywały się w pierwszych latach jego rządów jak konferencja w Genui, okupacja Nadrenji, zwycięstwo faszyzmu i objęcie przez Mussoliniego rządów we Włoszech.

W ocenie roli dziejowej Benedykta XV autor, jako patrjota belgijski i jako dyplomata, bierze pod uwagę przedewszystkiem akcję polityczną Watykanu podczas Wielkiej Wojny. Wiadomo, że akcja ta była przedmiotem żywej krytyki zwłaszcza w krajach Ententy. W trzech rozdziałach swej książki autor zestawia i krytycznie rozbiera zarzuty, stawiane Benedyktowi XV przez liczne odłamy społeczeństwa francuskiego i belgijskiego. Niesposób sobie wytłumaczyć — argumentują przeciwnicy papieża — milczenia Stolicy Apostolskiej wobec zbrodni dokonywanych przez Niemców. Papież reprezentujący najwyższy autorytet moralny w świecie, powinien był natychmiast ostro potępić wszelkie pogwałcenie sprawiedliwości i zdeptanie prawa. Szczególnie boleśnie odczuto w Belgji, że papież nie podniósł odrazu głosu w jej obronie; a gdy po dłuższym czasie potępił wreszcie inwazję niemiecką, uczynił to jedynie teoretycznie i w sposób ogólnikowy. A przecież nie można twierdzić, żeby Papież był niedostatecznie poinformowany o właściwym stanie rzeczy. Podnoszono też, że nuncjusz apostolski w Brukseli, Msgr. Tacci, najbardziej powołany informator Stolicy Świętej, wystosował 6 grudnia 1914 r. długi raport, w którym między innemi stwierdzał: „Wojska nieprzyjacielskie popełniły rzeczywiście gwałtów bez liku w Belgji tam, gdzie napotkały na opór: niszczenie miast, masakrowanie ludności cywilnej, zabójstwa księży, profanacja kościołów, podpalania i łupiestwa i wszystko, co najgorszego może zrobić rozzuchwalona soldateska..."

Obrońcy polityki papieskiej podnosili, że jeśli papież istotnie nie znał dostatecznie sytuacji w Belgji, to winę tego ponoszą przedewszystkiem rządy państw Ententy; toż obok posła rosyjskiego jedynym przedstawicielem koalicji był poseł belgijski.

Autor sądzi wszakże, że sprawa dostatecznego, czy niedostatecznego informowania Stolicy Apostolskiej o popełnionych okrucieństwach nie miała wpływu na stanowisko Ojca świętego. „Z racji pochodzenia i natury pontyfikatu — są słowa barona Beyensa — papież powinien wznosić się ponad wszystkie spory między państwami i pozostawać poza ich walkami, których celem jest rozszerzenie lub zachowanie ich posiadłości. Nie wolno mu więc było interwenjować na korzyść jednej ze stron w tym straszliwym procesie, który w jego oczach rozgrywał się siłą oręża... Nie było rzeczą papieża wypowiadać się na temat odpowiedzialności i winy sprawców wojny, sąd o tem powinien zostawić historji", (str. 56—57). Obowiązkiem jego było natomiast publicznie potępić dokonywane zbrodnie. Od tego obowiązku Benedykt XV się nie uchylił. Na konsystorzu 22 stycznia 1915 r. głośno piętnował „gwałcenie prawa, jakikolwiekby ono miało charakter". Gdy później Niemcy publikując odnalezione w archiwum w Brukseli belgijskie dokumenty dyplomatyczne, starali się wyzyskać je na swoją korzyść, usiłując udowodnić np. zawarcie przed

wojną tajnego traktatu między Belgją a Francją i Anglją, kardynał sekretarz stanu w liście wystosowanym 6 lipca 1915 r. do posła belgijskiego przy Watykanie Van den Heuvel'a stwierdził, że allokucja papieska na styczniowym konsystorzu odnosiła się do najazdu niemieckiego na Belgję. Kardynał zaznaczał przytem, że nawet jeśliby się przyjęło niemiecką interpretację odnalezionych w Brukseli dokumentów dyplomatycznych, pozostanie niezbitym faktem, iż, według oświadczenia kanclerza Rzeszy, Niemcy wkroczyli na terytorjum belgijskie mając pełną świadomość dokonanego pogwałcenia neutralności obcego państwa. „Było to — powiada baron Beyens — potępienie najazdu niemieckiego w stopniu dozwolonym Stolicy Apostolskiej; zrozumiano to w Berlinie i nie zezwolono na publikację listu kardynała Gasparri'ego", (str. 58).

Ostateczny sąd o osobie i roli dziejowej Benedykta XV ujmuje belgijski dyplomata w ten sposób, że papież, nie będąc w stanie doprowadzić do pokoju, wytężył wszystkie siły, aby przynajmniej złagodzić okropności wojny i pod tym względem zdobył sobie wiekopomne zasługi.

Część III-a poświęcona początkom pontyfikatu Piusa XI przyniesie niemały zawód czytelnikowi, któryby sądząc z tytułów poszczególnych rozdziałów spodziewał się rewelacyj na temat udziału Stolicy Apostolskiej w wielkiej grze dyplomatycznej mocarstw europejskich. Opowiadanie bowiem barona Beyensa o konferencji genueńskiej, o okupacji Ruhry, o polityce Stresemanna, o układach w Locarno nie daje absolutnie nic nowego, a i komentarz autora, który deklaruje się jako stanowczy zwolennik polityki Poincaré'go jest dość blady i nieciekawy.

Tem bardziej zajmujące są zato barwne opisy uroczystości kongresu eucharystycznego w Rzymie w 1922 r. i Roku Świętego, oraz pierwszych od 1870 r. odwiedzin monarchów katolickich w Rzymie króla Alberta I w 1922 r. i króla Alfonsa XIII w 1923 r.

Najlepsze może karty pamiętników barona Beyensa to charakterystyki wybitnych mężów, które autor daje wprawnem piórem przenikliwego dyplomaty. Oto sylwetka Piusa XI: „Cecha dominująca, cecha, na którą przedewszystkiem należy zwrócić uwagę, aby go (papieża) lepiej poznać, — to posłuszeństwo, którego wymaga wobec przejawów swej woli. Wola oświecona, wola dobro czyniąca, wola nieugięta, oto jak należy według mnie, przedstawiać sobie głowę Kościoła, — wola, przed którą ugiąć się musi nietylko Kurja Rzymska, ale cały świat katolicki. Jeden z moich kolegów z Rzymu, który przybył odwiedzić mnie w Brukseli, w ten sposób określił sytuację na Watykanie; na ustach wszystkich jest jeden tylko wyraz, *obedire*, słuchać" (str. 287).

Charakterystyczny dla poznania czysto osobistych skłonności, zainteresowań i sympatyj panującego papieża, jest opis pierw-

szej po wyborze na Stolicę Piotrową prywatnej audjencji, jakiej udzielił on ambasadorowi Belgji w dniu 26 lutego 1922 r. Rozmowę rozpoczął Pius XI od wyrażenia swych ojcowskich uczuć dla Belgji, którą odwiedził wiosną 1914 r., i do której odnosi się z podziwem, zapewnił następnie o swej sympatji dla króla Alberta i królowej Elżbiety, a następnie przez pół godziny mówił ambasadorowi Belgji o Polsce i o swoim trzyletnim pobycie nad Wisłą.

Bardzo udane są również charakterystyki kardynała Gasparri'ego oraz dwóch wybitnych ambasadorów Francji Jonnart'a i Kamilla Barrère.

W całej książce przebija się pewna dyplomatyczna rezerwa autora, który wiedział niewątpliwie znacznie więcej, niż chciał powiedzieć, sądząc widocznie, iż omawiane wypadki zwłaszcza z okresu rządów Piusa XI, są nazbyt jeszcze świeżej daty, aby można było swobodnie o nich pisać. Pomimo to pamiętniki ambasadora Beyensa przeczyta z przyjemnością i z pożytkiem każdy, kogo zajmuje także i zewnętrzna strona życia w Watykanie.

Janusz Pajewski.

Hulewicz Jan: Udział Galicji w walce o szkołę polską 1899—1914. Nakładem Komitetu Obchodu 25-lecia Walki o Szkołę polską. Warszawa 1934, str. 116.

Wskrzeszenie Państwa polskiego zaktualizowało bardzo silnie cały okres historji Polski porozbiorowej, a w niej dzieje wszystkich ruchów i poczynań, zmierzających do odrodzenia państwowości polskiej. Stopień aktualizacji zdarzeń wzrasta w miarę ich zbliżania się ich ku wojnie światowej. Inicjuje się badania nad dziejami powstań i ruchów wolnościowych, zakłada czasopisma specjalne i pracownie! Z tą działalnością, mającą charakter naukowy, łączy się ściśle publicystyka o zabarwieniu partyjnem i uczuciowem. Wypadki r. 1926 i ich skutki wysuwają na pierwszy plan ostatni czyli najświeższy okres ruchów wolnościowych i jego dzieje myśli politycznej.

Ze stanowiska nauki możnaby bardzo poważnie kwestjonować badania historyczne wypadków współczesnych; nie dostaje bowiem tym badaniom dwu podstawowych warunków objektywności, j. j. perspektywy, oddalenia czasowego, uspokajającego namiętności i dostępności najważniejszych źródeł. Tej zasadniczej trudności nie dostrzegają czy też nie uznają badacze współczesnej historji polskiej. Nie przeraża ich zarzut stronniczości, jednostronności i nastawienia uczuciowego; swoje prace uważają za środki walki, propagandy i uświadomienia!

Stąd to prace spokojne, rzeczowe, pozbawione animozyj partyjnych, dążące w miarę dostępności źródeł do wszechstronności, są r z a d k i e. Do nich należy wymieniona w tytule. Stu-

djum Hulewicza jest odbitką z obszernego, zbiorowego wydawnictwa p. t. *Nasza Walka o Szkołę Polską*. Autorzy wielu prac tamże ogłoszonych nie ustrzegli się jednostronności, polegającej na wyolbrzymieniu zasług i doniosłości walki o szkołę polską w byłym zaborze rosyjskim, a pomniejszaniu i lekceważeniu zasług polskiej szkoły w Galicji! Pomiatanie Galicją, jej szkołami, jej życiem narodowem i politycznem i t. d. stało się modne. Hulewicz w bardzo skromnym zakresie, jaki mu redakcja wydawnictwa zostawiła do dyspozycji, stara się pokazać ogromne zasługi polskiej szkoły w Galicji w przygotowywaniu serc i dusz do wielkiego dzieła odrodzenia. Nie potrzeba dodawać, że studjum Hulewicza jest bardzo interesujące; dowodem żywe echo w prasie i publicystyce. Autor po raz pierwszy zbiera w jednym obrazie fragmenty życia szkoły polskiej w zaborze austrjackim, fragmenty przeżyte przez tysiące młodzieży, dziś stanowiącej kierowniczą warstwę społeczeństwa! Przed oczyma naszemi przewija się szereg osobistości, dziś wybitnych na różnych placówkach, a równocześnie poznajemy ewolucję ideologji, jaką one przebyły. Wspomnienia każdego z nas, którzyśmy ukończyli gimnazjum galicyjskie, potwierdzają tezę Hulewicza o zasłudze polskiej szkoły w Galicji; system w niej panujący nie był ani tak zacofany, ani tembardziej wrogi ideologji wolnościowej, skoro ta właśnie szkoła wychowała tysiące młodzieży wartościowej, której uczucia patrjotyczne zostały rozpalone do najwyższego stopnia! Legjony i obrona Lwowa stanowią argument o niezwalczonej sile. I nie wolno mówić, że stało się tak mimo czy wbrew systemowi i duchowi, jaki w tej szkole panował; rzekoma jej austrjackość, przynajmniej po r. 1900 była tylko p o z o r e m, zrozumiałym i koniecznym, nie sięgającym poza zewnętrzną jakby powłokę! Ba! Nawet ten pozór w latach od 1908 bywał odrzucany... bezkarnie! Dowodem np. masowe uciekanie młodzieży w czasie śpiewania „Boże wspieraj“ w jezuickim kościele w Nowym Sączu! Zechciejmy sobie uprzytomnić, jakie skutki pociągnęłaby dziś, w Państwie polskiem podobna manifestacja młodzieży mniejszościowej w czasie śpiewania „Boże coś Polskę“, „Jeszcze Polska“, lub nawet „Pieśni Legjonów“. Jeżeli idzie o gimnazjum sądeckie, — a sądzę że to samo powiedzieliby inni o innych, — to dziś, w perspektywie lat 20 poważnie kwestjonowałbym metody dydaktyczne niektórych moich czcigodnych profesorów, natomiast ich praca wychowawczo-narodowa pozostawiła nie tylko niezatarte wpomnienia, ale przedewszystkiem najbardziej dodatni wpływ, złączony z wpojeniem już nie wiary, ale jakiegoś niezłomnego przeświadczenia o rychłem odrodzeniu Państwa Polskiego! Wykłady profesorów, pogadanki, wycieczki, przedstawienia (Kordjan, Dziady, Wyzwolenie, Wesele, Dziesiąty Pawilon) — to wszystko było stałą akumulacją uczuć i uświadomień patrjotycznych o zdecydowanem zabarwieniu państwowości niepodległej. Te uwagi i wpomnienia,

rzucone na marginesie pracy Hulewicza, potwierdzają jego tezę i protestują przeciw dzielnicowości i partyjnictwu, które sprawia, że Polska po tylu latach niepodległości jest bardziej rozbita wewnętrznie, niż była wtedy, kiedy dzieliły ją kordony zaborcze.

Ks. St. Bednarski T. J.

Stanisław Ossowski: U p o d s t a w e s t e t y k i. Warszawa 1933.

Nie łatwem jest zorjentować się we współczesnej estetyce. Jedno jest pewnem, że odbiegliśmy daleko od antycznych koncepcyj, nawet od nowożytnych uczuć funkcyjnych, bezinteresownego podobania się, wolnego i niezależnego piękna, wreszcie od zmysłowego pozoru idei, wczucia się i wogóle estetyki psychologicznej. Krzyżuje się ona, jak mówi jej historyk Utitz, coraz więcej z filozofją, by zaczepiać o podstawy ludzkiego bytu. Minęła poniekąd biologiczno-sensualistyczna estetyka Müllera-Freienfelsa, asocjacyjna Külpego, nieco oderwana Witaska, eklektyczna Dessoire, uważająca estetyczne używanie za złudę Langego. Niemniej empiryk Volkelt ma jeszcze uznanie choć fenomenologizm i metafizyka wkraczają całą falą. Czyta się też z zajęciem jakby kontynuatora psychologisty Lippsa Teodora Meyera, gdyż liczy się on z faktami, pogłębia rozumienie sztuki, jest prosty i dostępny, jak Müller-Freienfels, gdy rozważa piękno treści, piękno formy, estetyczną postawę, rodzaje, formy i style sztuki.

Być może, że Ossowski zbliża się najczęściej do niego, gdy szuka odpowiedzi przez badanie faktów i zapytuje, czem jest wartość estetyczna. Rozważa zatem przedmioty, którym się ją przypisuje i bada, czy nie mają one cechy wspólnej. Wie zaś, że różne czynniki składają się na wartość estetyczną, jak kompozycja, wygląd zewnętrzny, natężenie rzeczywistości, ekspresja. Interesująco rozprawia o tak zwanej interpretacji semantycznej i asemantycznej czyli przenośnej i nieprzenośnej, o pięknie jakości zmysłowych, o układach w przestrzeni lub w czasie, o kompleksach barw i form przestrzennych, o organizacji tonów, o wyglądzie realnych przedmiotów w sztuce.

One to wchodzą w istotę czynników wartości, które ma na oku interpretacja. Doskonale charakteryzuje zaś ekspresję, jako własność wyrażania czyichś przeżyć i dyspozycyj. Pięknu sztuki, które jest celowo stworzonem dziełem człowieka, przeciwstawia piękno natury, gdzie już niema celowości konstrukcji. Słusznie wiąże przeżycia estetyczne z pracą intelektu, uważając kontemplację estetyczną za bezinteresowną. Nie wątpi jednak, że elementy estetyczne podnoszą wartość dzieła, co jest niewątpliwie echem szkoły Lippsa. Trudno zaś nie zgodzić się na tezę, że istnieje wogóle estetyka psychologiczna czyli zajmująca się przeżyciami estetycznemi i psychologją artystycznej twórczości i —

estetyka objektywna mająca za przedmiot różne rodzaje sztuki i form estetycznych w sztuce i naturze.

Dzieło Ossowskiego przeznaczone jest niewątpliwie dla szerszego ogółu. Ten ogół może odnieść z jego czytania ogromną korzyść. Estetyk mniema bowiem, że istnieje grupa arcydzieł o ustalonej reputacji. Zna je, kocha, opisuje, ilustrując wywody przykładami i rycinami. Przypomina tem właśnie Meyera. Mądrze, wnikliwie, ciepło roztrząsa wartości estetyczne dzieł, wynikające ze stosunku dzieł jako podmiotów odtwarzających do przedmiotów przez nich odtworzonych, wartości przedmiotów odtwarzających niezależnie od ich funkcyj odtwórczych, wartości przedmiotów odtworzonych. Trafnie dzieli oznaki ekspresyjne na naturalne, konwencjonalne i celowe, zaznaczając, że w sztuce są stany psychiczne postaci i autora, że przedmioty wyrażające pozwalają wnikać w cudzą psychikę i psychikę autora.

Nie myli się, gdy rozróżnia ekspresję w sensie biernym czyli dającym cudze przeżycia i czynnym, gdzie doznajemy wzruszeń bezinteresownych. Można podziwiać estetyczną kulturę Ossowskiego. „Czy będziemy — mówi on — od owych wielkich dzieł wymagać wielkiej misji wychowawczej, misji podnoszenia i uszlachetniania ludzi, czy też będziemy na nie patrzeć bardziej hedonistycznie i szukać w nich źródeł radości, musimy się zgodzić, że obok wartościowania dzieł sztuki ze względu na ich artyzm istnieje inna jeszcze droga do objektywizacji wartości w sztuce, możemy stwierdzać pewne potencje, zawarte w dziele sztuki, a objektywnem świadectwem tych potencyj jest wpływ na życie i na twórczość ludzi". Jestem przekonany, że i w dziele Ossowskiego tkwi potencja, która może wieść ludzi nie na drogę hedonistyczną jedynie, ale ukochanie tych wartości, które czynią dzieło sztuki pełnowartościowem.

T. Grabowski.

Sergjusz Hessen i Mikołaj Hans: Pedagogika i szkolnictwo w Rosji sowieckiej. Przełożył Dr Adam Zieleńczyk. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa. Bibljoteka przekładów dzieł pedagogicznych. T. 24. Pod redakcją Dra Zygmunta Ziembińskiego.

Między wierszami dzieła wyczuwa się sympatje autorów dla liberalnych prądów szkolnictwa dawnej carskiej Rosji i chęć obniżenia dorobku Sowietów przez zestawienie z górnemi i chmurnemi zamiarami w tej dziedzinie dawnej Dumy Państwowej. Przeszłość przedrewolucyjną autorzy przedstawiają zbyt różowo; przesadzając co do możliwości, jakie miały w carskiej Rosji prądy liberalne nauczycielstwa. Niesłusznie też przeczą anglikowi C. Washburne'owi, twierdzącemu, że Rosja carska oddawna narzucała wszystkim swym obywatelom wychowanie przepojone duchem religji państwowej. Zresztą takie ozłacanie pochmurnej

przeszłości ojczystej jest zupełnie zrozumiałe u emigrantów politycznych.

Właściwe dzieje szkolnictwa sowieckiego nie potrzebują przeciwstawienia powyższego nawet wtedy, gdy chodzi o tendencję autorów. I bez tego przedstawiają się one bardzo smutno. W dziejach tego szkolnictwa zarysowują się wyraźnie trzy okresy. Okres pierwszy, zwany przez bolszewików okresem komunizmu wojennego (do r. 1922) w szkolnictwie zaznaczył się entuzjastycznem dążeniem do natychmiastowego zrealizowania postulatów demokratycznych: powszechne nauczanie, swobodne (nawet pod względem religijnym) i wszechstronne kształcenie i wychowywanie człowieka, szkoła jednolita, pozwalająca uczniowi bez egzaminów i bez przeszkód materjalnych przechodzić ze szkoły niższej do średniej i w miarę zdolności do wyższej, jako metoda — szkoła pracy, wreszcie zupełna bezstanowość wobec obowiązku i prawa powszechnego kształcenia się. Ze szczytnych zamierzeń wynikł tylko chaos i nader opłakane rezultaty. Brak środków materjalnych i brak odpowiednio przygotowanych wykonawców tych rozległych planów stanął na przeszkodzie w pierwszym rzędzie. W drugą kolej narzuciły swe wymagania potrzeby życia politycznego. Oto okazało się, że państwo proletarjackie potrzebuje nie wszechstronnie i swobodnie wykształconych obywateli, lecz specjalistów technicznych i politycznie urobionych partyjnych działaczy.

Tedy już w drugim okresie, okresie Nepu, odrzucono dawny ideał wychowawczy, a nowy zacieśniono do wychowania specjalisty, który oprócz tego musi mieć wbity w głowę katechizm polityczny marksistowski. Pozatem, gdy chodzi o metody, o ustrój szkolnictwa, o administrację, o powszechność i jednolitość nauczania zawrócono ku przeszłości i zaczęto tworzyć kompromisy z dawnemi wzorami burżuazyjnego i kapitalistycznego szkolnictwa. Chaos się zmniejszył, ale szkolnictwo zeszło do roli koszarowego przećwiczania przyszłych techników i mechanicznie karnych obywateli. Najbardziej ucierpiała powszechność nauczania, na której miejsce zjawiła się selekcja stanowa i partyjna, jak w okresach największej reakcji, — z tą jedynie różnicą, że na miejsce przywilejów dawnej szlachty wystąpiły przywileje partji komunistycznej i urodzonych proletarjuszy.

Temu nawrotowi do przeszłości i kompromisom położyła kres piatiletka. Znowu powstał inny ideał wychowawczy. Już nie dobry specjalista, ale doskonały komunista miał być celem dążeń pedagogiki sowieckiej. *Per fas et nefas* zmierzano teraz do zrealizowania powszechności nauczania. Jak w poprzednim okresie kompromisy z życiem i z tradycyjną pedagogiką przekreśliły wszystkie tradycje demokratyczne, tak w tym nowym okresie dążność do zrealizowania powszechnego nauczania przekreśliła cały dorobek kulturalny szkolnictwa rosyjskiego. Nauczycielami

w szkołach niższych (czteroletnich) zostawali tacy, którzy sami zaledwo też same szkoły pokończyli. Nauczyciele szkół niższych awansowali na wykładowców w szkołach średnich (siedmioletnich i dziewięcioletnich). Stamtąd zaś wybierano co pilniejsze jednostki na katedry szkół wyższych, skąd usuwano poważne siły profesorskie pod względem politycznym niepożądane. Coprawda ostatnio z selekcji partyjno-politycznej musiano znowu zrezygnować, jednak szkody wyrządzone przez nią i przez przerażająco szybkie tempo upowszechniania nauczania są olbrzymie. Ilościowo statystyka wykazuje imponujące liczby, ale w tej samej mierze jakościowo szkolnictwo sowieckie się obniżyło.

Tak tedy wynik pierwszego okresu dziejów szkolnictwa sowieckiego to chaos. Wynik drugiego okresu (Nep) — nawrót do najreakcyjniejszych form ustroju szkolnictwa i pedagogiki. Wynik trzeciego okresu to rezygnacja z jakości na rzecz apoteozy liczby.

W rezultacie pedagogika i szkolnictwo w Sowietach w ciągu 16 lat (1917—1932) nie zdobyły sobie wcale pozytywnego dorobku. Były cały czas na usługach polityki, a górne aspiracje z pierwszego okresu zbyt prędko zostały zmrożone przez rzeczywistość.

Trzy skłócone elementy; 1) marksistowskie zasady życia socjalnego, 2) nowinki pedagogiczne Zachodniej Europy, 3) możliwości oraz postulaty aktualnego życia politycznego napróżno szukały pogodzenia i syntezy w głowach sowieckich pedagogów, jak Krupskaja, Szackij. Gordyjski ten węzeł musieli przeciąć przydzieleni do spraw szkolnictwa politycy, odrzucając zarówno marksizm jak i doświadczenia naukowe pedagogiki, oddając głos jedynie wymaganiom aktualnego życia politycznego, żądając od szkół jedynie specjalistów techników i politycznie wyrobionych partyjnych działaczy.

Wł. Arcimowicz.

Zygmunt Leśnodorski: Lucjan w Polsce. Kraków 1933. 8, str. 94. (Prace historyczno-literackie, Nr. 43).

Zbliżająca się do półsetki serja wartościowych *Prac historyczno-literackich,* opracowanych w seminarjum prof. Chrzanowskiego pomnożyła się o nową pozycję. Autor jej, młody polonista krakowski, zbiera i omawia niemal wszystkie utwory polskie, pisane pod wpływem rzymskiego satyryka, Lucjana z Samosaty, autora zwłaszcza popularnych *Rozmów umarłych.* Praca pisana jest z zacięciem literackiem, dzięki czemu daleka jest od nudy przeciętnych prac seminaryjnych i doktorskich. Autor opiera się nietylko na materjale drukowanym, ale sięga i do rękopisów tak, że praca jego objęła zakres wcale szeroki. Również ramy chronologiczne rozprawy sięgają od wieku XVI po XX.

Po krótkim wstępie, charakteryzującym (w sposób zresztą bardzo niewystarczający) wpływ literatur starożytnych na pisarzy

polskich, następuje zwięzła i trafna, pisana żywo, charakterystyka Lucjana, jako pisarza. Następnie bez żadnego przejścia, którem byłby bardzo pożądany zarys wpływu Lucjana na ważniejsze literatury europejskie, Autor zaczyna od ciekawej wzmianki o przekładzie lucjanowego *Philopseudesa* przez C. Clariti'ego, który genezę swą ma zawdzięczać rozmowom z Polakiem Leonardem. Mniej przekonywujący jeszcze jest drugi przykład rzekomej znajomości Lucjana w Polsce z początkiem w. XVI, jakim ma być drobny szczegół jednej ilustracji w kodeksie Bohema. Trzy rozdziały poświęcone są znajomości dzieł Lucjana w Polsce wieku XVI, XVII i XVIII, przyczem Autor uwzględnia zarówno przekłady, jak naśladowania i drobne reminiscencje, nawet taki szczegół (może zbyteczny) jak to, że autorem ryciny do paryskiego wydania dzieł Lucjana jest Polak, Jan Ziarnko. Z literaturą polską ma to niewiele wspólnego. Najlepszy jest rozdział poświęcony literaturze wieku Oświecenia, której cechy zostały zręcznie zestawione z analogicznemi cechami umysłowości i stylu satyryka rzymskiego. Ocena przekładów Krasickiego wypadłaby pewno w tym rozdziale bardziej pochlebnie, gdyby Autor liczył się z tem, że ich konwencjonalność należy położyć zapewne na karb francuskich pierwowzorów, a mniej na karb samego biskupa warmińskiego.

Specjalną uwagę zwrócił p. Leśnodorski na najbardziej typowe dla Lucjana *Rozmowy umarłych*. Poświęcone im i ich naśladowaniom rozdziały stanowią jakgdyby osobną rozprawę w rozprawie. Znalazł się w niej i zarys tła europejskiego i szczegółowe opisanie tego typu utworów, który szczególnie w Polsce XVIII w. stał się podatnem narzędziem do wypowiadania poglądów społecznych, filozoficznych, a nadewszystko politycznych. Centralne niejako stanowisko zajmują tu *Rozmowy* Krasickiego oryginalne i naśladowane. Szkoda, że Autor klasyfikację ich według treści umieścił tylko w przypisku i nie opracował jej tak, by nie budziła pewnych zastrzeżeń. Zamało również została podkreślona oryginalność utworu Dmuszewskiego (już z początkiem w. XIX) p. t. *Aktorowie na polach elizejskich*. Bardzo słusznie został poświęcony osobny rozdział *Rozmowom umarłych* jako popularnej formie broszury politycznej w wieku XVIII. — Że wpływ Lucjana przetrwał epokę romantyczną (reminiscencje u Słowackiego, *Rozmowy* u Norwida) mniej dziwi, niż spotkanie jeszcze i w epoce pozytywizmu, u działaczy społecznych, wśród dzieł Świętochowskiego, w *Tece Nieczui* i *Czyścu Słowackiego*. Odżyły nawet w naszych czasach w dialogach Grubińskiego w stylu Lucjana pt. *Diogenes z Synopy i Aleksander Wielki, albo sławienie próżniactwa* (1915) i *Piękna Helena albo o zmienności powodów toczącej się wojny* (1919), o których wspomina Sinko w swej *Helladzie i Romie* na str. 376, a których nasz Autor nie zna. Czyżby dlatego, że niema ich w indeksie do książki Sinki?

Zakończeniem pracowitej, choć niewolnej od drobnych niedociągnięć [1]) rozprawy, jest omówienie nowszych przekładów dzieł Lucjana na język polski.

Dr. Z. K. Ciechanowska.

Szuman St. prof. dr., J. Pieter dr., Weryński H. ks.: Psychologja Światopoglądu Młodzieży. Idealizm. Filozofja. Religja. Nakł. Naukowego Towarzystwa Pedagogicznego. Druk. Mitręgi w Cieszynie. 1933, str. 470.

Polska nauka pedagogiczna w okresie powojennym wkroczyła na teren samodzielnych badań i doświadczeń, prowadzonych po różnych instytutach i studjach pedagogicznych. Wyniki osiągnięte dotąd są już bardzo poważne. Jedną z tych zdobyczy jest wymienione wyżej dzieło 3 autorów. Ma ono wielką wartość nietylko w ścisłej nauce pedagogiczno-badawczej, ale także i pedagogice praktycznej! Bez przesady sądzimy, że powinni je przestudjować bezwzględnie wszyscy wychowawcy i kapłani pracujący nad młodzieżą szkół średnich i młodzieżą akademicką. Dzieło to może być uważane za znakomite wprowadzenie w poznanie psychiki młodzieży dorastającej w najważniejszych dziedzinach jej życia.

Wartość omawianego dzieła spoczywa niejako na podwójnej podstawie. I tak najpierw autorzy oparli swoje wywody na bądź co bądź bogatym materjale dowodowym, materjale różnorodnym, z różnych czerpanych środowisk. Materjał ten stanowi 20 dzienników, pisanych bez myśli o wydaniu przez chłopców i dziewczęta od 13 do 20 roku życia, nawiasem dodajmy wyłącznie katolików. Materjał dodatkowy i uzupełniający, a poczęści kontrolujący dane, czerpane z dzienników, pochodzi z obszernej ankiety, obejmującej odpowiedzi 220 dziewcząt i 354 chłopców, ankiety rozpisanej przez Seminarjum Psychologji Wychowawczej U. Jag. na temat idealizmu i materjalizmu. Przy wszystkich zastrzeżeniach krytycznych, jakie należy mieć i jakie mają autorowie dla tego rodzaju ankiet, przecież materjał zdobyty z takiej ankiety należy uznać za pierwszorzędny.

Druga podstawa wartości omawianego studjum leży w opracowaniu tego materjału, bardzo gruntownem, opartem na rozległej literaturze, na trzeźwości i krytycyźmie sądów. Autorowie omawiają sprawy bardzo trudne i delikatne, sprawy około których współczesna literatura filozoficzna, psychologiczna i pedagogiczna

[1]) Oto niektóre z nich, prócz wspomnianych w tekście: brak np. roku i miejsca druku *Tymona* Danieckiego (str. 18), brak podania roku, w którym wydrukowano wierszyk z Lucjana w Zabawach Przyjemnych i Pożytecznych (str. 45), jako miejsce wydania pracy Sinki *Hellada i Roma* podano Kraków, zam. Lwów (str. 74), nazwiska autorów podane w przypisie do str. 60 w błędnej formie: Cheridan zam. Sheridan, D'Alainvalle zam. Alainvalle, Czokke zam. Zschokke.

nagromadziła nieprzejrzany los teoryj i hipotez. Wystarczy przytoczyć choćby tylko freudyzm! Z wielkiem uznaniem podnosimy, że autorowie nie ulegają sugestji modnych teoryj, zwłaszcza w delikatnych zagadnieniach życia religijnego i moralnegol To głębokie a objektywne ujmowanie zagadnień sprawia, że książka ta będzie trwałą a bardzo cenną pozycją w naszej literaturze pedagogicznej.

Ramy krótkiej recenzyj nie pozwalają ani na streszczenie prac, ani na dyskusję z poglądami lub interpretacją różnych faktów. Dla informacji i zachęty Czytelników podajemy tylko ogólne tematy, opracowane przez autorów. Prof. Szuman (str. 1—215) przedstawia psychologję młodzieńczego idealizmu. Część pierwsza syntetyczna tej pracy wydaje mi się być mistrzowską charakterystyką psychiki młodzieży; część druga przez analizę materjału doświadczalnego (dzienniki i ankieta) motywuje syntezę części pierwszej.

Dr. Pieter (str. 215—389) przeprowadza szczegółową, niezmiernie interesującą i wnikliwą analizę psychologji światopoglądu filozoficznego młodzieży; dowiadujemy się kiedy i jak wiele młodzieży filozofuje, poznajemy źródła zainteresowań filozoficznych, sposoby i treść filozofowania?

Ks. Weryński zajmuje się szczegółowo problemem religijnym w światopoglądzie i przeżyciach młodzieży, analizując 3 studja rozwoju religijności młodzieży i podając charakterystyczne cechy tej religijności.

Niech nam wolno będzie podnieść jeszcze jedną praktyczną wartość omawianej, bardzo zresztą ogólnikowo książki; sądzimy, że odda ona ogromne usługi komisji, przygotowującej nowe programy nauczania religji i metod duszpasterskich szkół średnich!

Ks. St. Bednarski T. J.

Ladewig Paul: Politik der Bücherei. Eine Grundlegung ihrer Aufgaben im Kulturleben der Gegenwart zugleich ein Handbuch für den Fachunterricht. Dritte, neugestaltete und erweiterte Auflage. Leipzig, A. Lorentz, 1934. 8⁰, str. XI, 491. (Cena Mk. 12·—).

Książka Pawła Ladewig jest w bibljotekarstwie dobrze zapisana. Pierwsze wydanie ukazało się w roku 1912; trzecie wydrukowano wytwornie w czasach kryzysu ekonomicznego, dowodzi, że książka zachowała wartość do dziś, tembardziej, że w zasadniczych linjach nie uległa zmianie. Sędziwy Autor uzupełnił nowe wydanie informacjami o najnowszych zdobyczach bibljotekarstwa, doprowadzając je do roku 1933, oraz dodał rozdział o kształceniu bibljotekarzy, zawierający niemal wyłącznie informacje o szkolnictwie bibljotekarskiem Stanów Zjednoczonych Ameryki. Bibljotekarstwo amerykańskie, wysoko stojące technicznie, Autor zna dokładnie i ceni je bardzo. To też odwołuje się

często do stosunków amerykańskich, chociaż wie i podkreśla to, że w bibljotekarstwie, podobnie jak w innych dziedzinach, ślepe naśladownictwo obcych wzorów, bez liczenia się z warunkami życia i psychiką własnego społeczeństwa może być tylko szkodliwem. Poza bibljotekarstwem amerykańskiem dostarcza autorowi wielu przykładów z życia bibljotekarstwo niemieckie, mające również dobre tradycje poza sobą. Autor jednak nie jest zadowolony ze wszystkiego, co obserwuje na tem polu w swej ojczyźnie. Z całej książki przebija chęć udoskonalenia, podniesienia na wyższy poziom tej ważnej dziedziny postępu duchowego społeczeństwa, jakim jest dobrze zorganizowana obsługa bibljoteczna. To też, mając na oku przedewszystkiem ów cel społeczny, szerzenia oświaty wśrod najszerszych warstw, Autor ujmuje swój przedmiot pod kątem widzenia bibljotek ogólnokształcących. Bibljoteki naukowe, jako jedna granica, bibljoteki drobne, ludowe, jako druga, wspominane są raczej na marginesie. Zresztą jednak wszystko, co Autor pisze, może się odnosić i rzeczywiście odnosi się z wielkim pożytkiem, do bibljotek wszelkiego typu, do bibljoteki wogóle. Książka jego bowiem nie jest bynajmniej podręcznikiem bibljotekarstwa, jako pewnej sumy wiadomości praktycznych. Podtytuł trzeciego wydania, opiewający, że jest to również „podręcznik dla nauki zawodowej" wprowadza poniekąd w błąd. Dzieło Ladewiga jest ujęte z szerszego socjologicznego punktu widzenia, gdy idzie o określenie zadań bibljotek, a z drugiej strony jest niesystematyczną próbą określania psychologicznych czynników, odgrywających rolę w prowadzeniu bibljoteki i korzystaniu z niej. Że zawiera przytem wiele wiadomości czysto praktycznych, opartych na wieloletniem doświadczeniu Autora, nie ujmuje jej wartości. Mówiąc wiele o szczegółach techniki bibljotecznej, Ladewig nie gubi się w nich. W przeciwieństwie do wielu autorów podręczników bibljotekarskich, nie bawi się w wyliczanie i charakteryzowanie rozmaitych systemów, czy katalogowania, czy budownictwa, czy urządzenia bibljoteki, ani tembardziej nie narzuca tego lub owego systemu. Poprzestając na ogólnej charakterystyce, stoi zawsze na stanowisku, że najlepszym jest jakikolwiek system, byle był zastosowany konsekwentnie i prowadził do celu. Największą bowiem zaletą rozmyślań Ladewiga nad jego pięknym zawodem jest zdrowy rozsądek i umiar, cechujący wszystkie jego poglądy. Daleki jest zarówno od bezmyślnej pedanterji, jak i lekkomyślnej beztroski. Wyobrażamy sobie łatwo, że musiał być idealnym kierownikiem bibljoteki, czego dowodzi rozkwit prowadzonej przezeń wzorowo przez szereg lat bibljoteki zakładów Kruppa w Essen. Możnaby zarzucić Autorowi, że wiele jego myśli — to rzeczy ogólnie znane, prawie banalne. Ale sformułowanie tych rzeczy banalnych, które narzucają się zdrowo myślącemu człowiekowi, a uchodzą niejednokrotnie uwagi właśnie fachowców, jest już rzeczą pożyteczną. Nie można też zapominać,

że niejedno, co dziś uchodzi za pewnik i jest ogólnie przyjęte w bibljotekarstwie, było nowością za czasów pierwszego wydania książki i zostało wprowadzone może właśnie dzięki niej. W każdym razie ogólne myśli o polityce bibljotecznej, zawarte w książce Ladewiga i powtórzone bez zmian w ostatniem wydaniu są tego rodzaju, że wartość ich nie przemija. Jego krytyczne i sceptyczne stanowisko wobec wielu poczynań bibljotekarsko-bibljograficznych (jak np. ogólna międzynarodowa bibljografja), jego sposób myślenia bardzo humanitarny, przepojony życzliwością dla ludzi, jego głębokie poczucie ładu w najlepszem tego słowa znaczeniu, jego romański raczej, niż germański, zmysł praktyczny i zdrowy rozsądek, wreszcie prawdziwy talent literacki, sprawiają, że książka, choć miejscami zbyt rozwlekła i niezawsze systematyczna, choć nie jest „dziełem sztuki" (jak chce Autor), jest bardzo zajmującą lekturą, mogącą dać wiele każdemu czynnemu bibljotekarzowi. Może też oddać usługi w kształceniu kandydatów na bibljotekarzy jako lektura uzupełniająca, rozszerzająca horyzonty.

Dr. Zofja K. Ciechanowska.

Dawne wiersze ruskie. Przełożył Tadeusz Łopalewski. Nakładem i drukiem Ludwika Chomińskiego. Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha. Wilno — Warszawa — Poznań — Lublin. — Wydane zasiłkiem Instytutu Popierania Polskiej Twórczości Literackiej, 1933.

Lud je nazywa „starynami". Jeden ze zbieraczy, Sacharow, nazwał te epickie pieśni ludowe „bylinami" i odtąd nazwa ta się rozpowszechniła i utrzymała. Łopalewski przeznaczając swoją książkę dla czytelników polskich dla większej jasności nazwał je dawnemi wierszami ruskiemi.

Początkami swemi sięgają czasów przedchrześcijańskich, niektóre są jednak pochodzenia znacznie późniejszego. Jeszcze w wieku XVIII stwierdzono narodziny byliny. Te najdawniejsze w późniejszych wiekach również ulegały modyfikacjom.

Autorzy są nieznani. Legenda mówi o słowiańskim Homerze imieniem Bojan, badacze skłonni są autorstwo przypisywać igrcom, gędźbiarzom, skoromochom i innym „artystom" dawnych dworów książęcych. Nie wykluczone są tu również utalentowane postacie z ludu.

Recytowano je niegdyś pod dźwięki kobzy, lutni, teorbanu, gęśli. Jeszcze w początkach naszego stulecia niektórzy „skazitiele" (recytatorzy) wygłaszali je przy akompanjamencie ludowych instrumentów muzycznych.

Na treść składa się 35 do 40 wątków, które się powtarzają w najróżnorodniejszych modyfikacjach i odmianach. Forma ma specyficzne cechy ludowe: rozwlekłość, powtarzania, stale powtarzające się epitety, plastyczne, obliczone nie na ozdobę, a na poglądowość, porównania. Rytmika staranna i doskonale wyczuta,

natomiast rymy trafiają się tylko przypadkowo, a i te nieliczne polegają na zbiegu gramatycznych końcówek.

Już w wieku XVIII w epoce literackiego pseudoklasycyzmu, niektórzy pisarze (Bogdanowicz, Czułkow) wprowadzali do utworów swoich wątki i rekwizyty zaczerpnięte z poezji ustnej, ludowej. Większe zainteresowanie jednak poezja ludowa wzbudziła w epoce romantyzmu. Zajęli się nią teraz już nietylko literaci, również filolodzy i lingwiści.

W tym okresie Byliny również doczekały się szeregu zapisywaczy i badaczy.

Polskiego ich przekładu dotychczas nie było. Przyczyną była prawdopodobnie ta okoliczność, że oryginał stanowi własność narodu dla którego do niedawna nie mogliśmy żywić uczuć przyjaznych, nie mogliśmy nawet być bezstronnymi. Piękno niepospolite bylin zagłuszał dla ucha polskiego świst bata. Teraz to minęło. Niedawno Tuwim pięknie przetłumaczył jeden zabytek dawnej poezji ruskiej Słowo o pułku Igoria, — teraz znów Łopalewski dał tłumaczenie drugiego, niemniej cennego zabytku tej poezji.

Trudności do pokonania były niemałe. Szereg archaizmów i epitetów, jakich lud rosyjski używa, niesposób przetłumaczyć dosłownie. Łopalewski tu prawie wszędzie znalazł jakieś nasze rodzime odpowiedniki, które archaicznego i ludowego ducha bylin nie zmieniają. To znów nastręczał trudność ruchomy akcent języka rosyjskiego nadający mu wielką muzykalność. Tu Łopalewski do pewnego stopnia zastąpił go wprowadzeniem rymów i asonansów, czego nie ma oryginał. Wspomniane cechy ludowe formy zostały zachowane z całą starannością i skrupulatnością.

Literatura polska zyskała w tem tłumaczeniu poważny, o trwałej wartości nabytek. Autor w roku bieżącym za to tłumaczenie otrzymał Nagrodę Literacką im. Filomatów w Wilnie.

Wł. Arcimowicz.

Abbé P. Tiberghien: La science mène-t-elle à Dieu? Introduction scientifique à la question religieuse. Paris. Bloud & Gay. 8°. str. 216.

Młodzi adepci nauk stają wobec trudnego zadania, jakie dyktuje im konieczność pogodzenia metod i wyników badań naukowych z zasadami ich światopoglądu, zbudowanego na podstawach filozoficzno-religijnych. Tem trudniej przychodzi rozwiązać to zadanie, im więcej rzeczywistość naukowa staje się wyłącznym ośrodkiem zainteresowań początkującego naukowca, im mniej kontaktu z resztą rzeczywistości zatrzymuje młody umysł. Dla ułatwienia w urabianiu światopoglądu, dla uwolnienia ludzi nauki od jednostronności ks. Tiberghien w szeregu konferencyj dla studentów uniwersytetów w Lille rozwijał stosunek nauki do filozo-

fji i religji. Niniejsze dziełko jest owocem jego długoletnich refleksyj, popartych szeregiem powag z grona naukowców. Wyróżnić w nim można 2 zasadnicze części: w I części Autor zajmuje się pojęciem, możliwością i granicami nauki. Jeśli dawniejsze pojmowanie nauki, jako ściśle powiązanego systemu poznań, nie tylko nie przeciwstawiało nauk filozofji, lecz organicznie je wiązało, to nowsza koncepcja nauki często przeciwstawia się metafizyce, a nawet wszelkiej filozofji. Co nie wchodzi w zakres zagadnień i metody badań nauki, sformułowanej nowocześnie spycha się w ciemną i ślepą sferę podświadomości lub życia uczuciowego. Tymczasem dzisiejsza nauka ze swej istoty może objąć tylko skromny wycinek ludzkiego poznania, bada przedmiot abstrakcyjnie, uwzględniając tylko jedną stronę tego przedmiotu, jeden charakter badanej rzeczywistości, a pozostawia na uboczu całe jej bogactwo. Stąd obok metod dzisiejszego scientyfizmu mogą istnieć inne metody, dające nam poznania innych stron nawet tej samej rzeczywistości. Dzisiejszą naukę cechuje przedewszystkiem relacyjność. Z całej rzeczywistości nauka ujmuje tylko relacje między zjawiskami, stwierdza je i wyjaśnia przez podawanie ich racyj. Ale te wyjaśnienia są znowu tylko relacjami i dlatego nauka musi zamykać się w sferze stosunków, jakie zachodzą między zjawiskami. Z pośród tej ubogiej cząstki rzeczywistości, jaką przedstawiają relacje, nauka wybiera tylko stosunki określone i dające wyrazić się ilościowo, matematycznie. Jasne zdanie sobie sprawy z granic, jakie nauce wyznaczają jej przedmiot i metoda, pozwala nam na wyróżnienie poznania naukowego od filozofji, a bliższe rozpatrzenie różnych gałęzi nauki wykazuje konieczność współistnienia z naukami ścisłemi nauk filozoficznych. Cały szereg ustępów: Nauka i materja, Nauka i życie, Nauka i ewolucja, Nauka i świadomość, Nauka i społeczeństwo, Nauka i moralność, jasno wykazuje na przykładzie poszczególnych nauk, ile rozmaitych stron rzeczywistości pomija nauka, ile stawia problemów, które przerastają jej zasoby, a których obejść nie można. W 3 następnych rozdziałach: Nauka i metafizyka, Nauka i religja, Historja i religja objawiona, które służyć mają za przejście do II części, Autor zestawia wyniki dotychczasowych rozważań. Nauka różni się od metafizyki, ale jej nie wyklucza, owszem metafizyki nauka domaga się koniecznie, bo narzuca problemy, których sama rozwiązać nie może. Może zato wykazać, że pewne rozwiązania metafizycznych problemów są zgoła niewystarczające (monizm materjalistyczny i spirytualistyczny). Owszem nauka może ogólnie wskazać kierunek, w którym należałoby szukać rozwiązania problemów narzuconych przez naukę i życie. W ten sposób nauka prowadzi do Boga, każąc wyjść uczonemu poza ciasne swe ramy i wskazując mu ogólnie kierunek, w jakim winien urabiać się jego światopogląd.

Lecz na problemy zrodzone przez nauki i przez życie filozofja nawet teistyczna odpowiada w sposób bardzo niedoskonały, a wymaga długich, drobiazgowych i ostrożnych badań, niedostępnych dla ogółu. Człowiek samorzutnie pyta, czy Najwyższa Istota nie wyszła na spotkanie szukających jej ludzi. Za punkt wyjścia ku spotkaniu Boga służą dwa fakty: wewnętrzny, wyrażający się w potrzebie pewnego punktu oparcia, i fakt zewnętrzny, którym może być tylko nieomylny Kościół, odpowiadający postulatom faktu wewnętrznego.

Stanąwszy już na gruncie religijnym nasuwają się nowe problemy religijno-naukowe: modlitwa i cud, oraz pozorna sprzeczność między nastawieniem właściwem nauce i religji. Problemy te znajdują szerokie omówienie w trzech końcowych rozdziałach. Na uwagę zasługuje zwłaszcza kwestja cudu jako motywu wiarogodności faktu Objawienia. Autor omawia stosunek cudu do nauki wogóle, do historji i filozofji, a wreszcie do aktu wiary, uzupełniając swój wykład względnie obszernym dodatkiem (str. 184—212).

Pierwsza część pracy zasługuje naogół na wielkie uznanie dla jasnego i trzeźwego ujęcia stosunku nauki do metafizyki i religji, bo pozwala nam na wyrobienie sobie krytycznego stanowiska wobec pretensyj naukowców, którzy rozstrzygać chcą rzekomo na podstawach czysto naukowych kwestje przekraczające zasięg przedmiotu i metod nauki. Najczęściej spotykane u naukowców stanowisko wobec rzeczywistości ponadnaukowej, metafizycznej, wyraża się w agnostycyzmie, uważającym poznanie dzisiejszej nauki za jedyne poznanie, albo w dogmatycznem zaprzeczeniu wszelkiej pozanaukowej rzeczywistości. Pierwsza część pracy czyni czytelnika odpornym wobec obydwu błędów, które zagrażają nietylko ludziom nauki skłonnym do sądzenia o całej rzeczywistości z ciasnego stanowiska naukowego. Hasła rzucane przez naukowców znajdują echo w warstwach inteligencji stojącej zdala od naukowych pracowni, gdyż hasła te, opatrzone w etykiety naukowej ścisłości podawane są dogmatycznie.

Natomiast druga część, zajmująca się bliżej samą religją objawioną, nasuwa wiele krytycznych uwag, zwłaszcza gdy chodzi o stosunek cudu do poznania wiarogodności faktu Objawienia. Zdaniem Autora, cudu, jako cudu, nie możemy poznać napewno ani metodami naukowemi, ani filozoficznem dociekaniem. Rozważania nad cudem mogą doprowadzić rozum naturalny jedynie do uznania, że dany fakt przekracza znane siły przyrody. Lecz o tem, że nieznane nam siły i prawa przyrody nie mogły wchodzić w grę w danym wypadku, przekonać się możemy dopiero wtedy, gdy spoglądniemy na cud ze stanowiska wiary, i gdy w świetle nadprzyrodzonem zobaczymy dany fakt, jako zajmujący naturalne sobie miejsce w wyższym, nadprzyrodzonym porządku (163, 166, 167, 209). To ujęcie stosunku, jaki zachodzi

między cudem a aktem wiary, zapożyczone od O. Rousselota, zdaje się nie tylko wprowadzać błędne koło w motywację wiarogodności faktu Objawienia, lecz ponadto takie stanowisko dość trudno uzgodnić z nauką soboru watykańskiego, która przyznaje oczywistość przesłankom wiary, podczas gdy tej oczywistości odmawia aktowi wiary (Por. Denz. 1794). Tymczasem według Autora cała siła i pewność przesłanki wiary i poznanie wiarygodności faktu Objawienia płynie już ze samego aktu wiary.

Ks. Józef Chechelski T. J.

Cyprjana Norwida. Reszta wierszy odszukanych po dziś a dotąd niedrukowanych. Zebrał i wydał Zenon Przesmycki (Miriam). Warszawa 1933. 8°, str. VIII, 155. (Tytuł na okładce: „Cyprjana Norwida Inedita. Wiersze").

Wydawca nazwał ten zbiór „relikwiarzykiem". Maluje to jego stosunek do wydawanych wierszy. Jak wiadomo był Zenon Przesmycki odkrywcą Norwida. Jego zasługą jest wydobycie z pyłu zapomnienia przepysznych klejnotów, jakiemi są wiersze prześladowanego przez los poety: trudne do czytania, wymagające głębszego wczucia się i wmyślenia, ale rozbłyskujące, gdy rozważy się każde ich słowo, tęczą niezwykłych barw. Po ogłoszeniu szeregu wierszy i nowel Norwida w „Chimerze", a zwłaszcza w przepysznym tomie tego pisma, poświęconym specjalnie twórcy „Quidam", przystąpił Miriam na kilka lat przed wojną do zbiorowego ich wydania, z którego wyszło kilka tomów (4). Cechująca je staranność opracowania i wspaniała szata zewnętrzna, dobór papieru, czcionek, układ drukarski, stojące na najwyższym poziomie smaku artystycznego, uczyniły z tych kilku tomów arcydzieło polskiej sztuki wydawniczej. Niestety dalsze tomy nie ukazały się dotychczas. Nie wchodzę tu w przyczynę, czy jest nią skrupulatność wydawcy, szlifującego swe dzieło do ostatnich granic, czy trudności innego rodzaju. Pozostała w rękopisie spuścizna poety ukazywała się częściowo w różnych czasopismach, ogłaszana czyto przez Miriama samego, czy przez innych pracowników literackich. Nakoniec naglony z wielu stron, w sposób więcej niż natarczywy, zdecydował się Przesmycki na ogłoszenie drukiem wszystkiego, co jeszcze posiadał w rękopisie. Częścią tego zasobu jest „Miłość czysta u kąpieli morskich", wydana nakładem „Drogi", częścią omawiany tomik — jakże szary i skromny wobec królewskiego wydania „Dzieł wszystkich"! Jest to oczywiście prowizoryczne załatwienie sprawy; ukończenie zbiorowego wydania na tym poziomie, na jakim zostało rozpoczęte, pozostaje nadal postulatem, podkreślanym z naciskiem przez szerokie sfery kulturalne.[1]) Jest to tembardziej potrzebne, że w tomie ostatnio wydanym ograniczył się Miriam do wydrukowania rzeczy wyłącznie

[1]) Nie zastąpi go wydany również w r. 1933, *Wybór wierszy Norwida*

rękopiśmiennych (wyjątek stanowią cztery wiersze do Lenartowicza, ogłoszone uprzednio w formie niekompletnej lub błędnej). Nie uczynił wyjątku nawet dla cyklu *Vade mecum*, którego rozproszone cząstki pojawiły się poprzednio częściowo w czasopismach, a tylko reszta wyszła obecnie. W ten sposób srogi nakaz konsekwencji sprawił, że otrzymujemy zebrane razem tylko urywki zbioru, o którym przecież sam Norwid pisze, że złożony jest

„ze stu perełek nawlekłych
Logicznie w siebie, jak we łzę łza wciekłych".

Najlepszym dowodem, że ogłoszony tom jest tylko prowizorjum, to brak wszelkich objaśnień wydawcy, prócz opisu pochodzenia rękopisów, z których korzystał. Rękę wydawcy znać też w chronologicznym porządku wierszy, pochodzących z różnych lat życia poety od r. 1845 do 1881. Tego rodzaju układ mógł być dokonany jedynie przez takiego znawcę Norwida, tak zżytego z nim od lat, jak Miriam.

Rzeczy rewelacyjnych tom nie przynosi, ale dając szereg rzeczy o najrozmaitszych nastrojach, z różnych epok, zawiera niejedną bardzo godną uwagi i pomnaża wydatnie naszą znajomość Norwida.

Nie jest to jednak jeszcze c a ł y Norwid. Słusznie powtarza wydawca w pięknym wstępie słowa poety: „Ja wiem, że z pieśni mej odleci wiele, że odleciało i codzień odlata". Odleciało i może zaginęło, albo niedostępnem jest jeszcze wiele: *Hippolitos, Vittoria Colonna, Psalm psalmów, Msza święta,* koniec *Ziemi, Wędrownego sztukmistrza, Emila na Gozdawiu* i *A Dorio ad Phrygium.*

Ale słusznie podkreśla Miriam, że choć o liczbowej „całości" nie może być mowy, to już w tem, co dotychczas zostało wydrukowane jest „cały" Norwid, już z szeregu tych różnych charakterem, czy nastrojem utworów brzmi pełnemi tony „pieśń skrzydlata".

Z. K. Ciechanowska.

Konstanty Troczyński: Z a g a d n i e n i e d y n a m i k i p o e z j i. Poznań 1934.

Zagadnienia teoretyczne zajmują u nas, w porównaniu z Zachodem, dość mizerne miejsce. A szkoda, gdyż nasz sąsiad zachodni zdobywa się na tem polu nawet na przedsięwzięcie zbiorowe, co dowodziłby pewnego skupienia sił. Autor wymienionej w tytule rozprawy dał się już poznać jako badacz zasad krytyki literackiej, którą zajmowali się u nas niedawno Łempicki i Kridl, wreszcie Irzykowski. Obecnie dał nową rozprawę, co wskazuje na pewien pęd do teorji i dobrze wróży o przyszłości poznańskiego teoretyka.

W swej pracy zajmuje się zagadnieniem prawidłowości zmian poezji, na tle krytyki tradycyjnych ujęć tego zagadnienia w hi-

storji literatury i poetyce klasycznej. Wychodząc z krytyki takich ujęć ewolucji literatury, jak romantyzm, barok, rokoko, preromantyzm, realizm, modernizm, postuluje on stworzenie dynamiki poezji, jako drugiej części poetyki, uzupełniającej część morfologiczną, na nowych założeniach metodycznych.

Założeniami temi są ograniczenie ujęć zmian do określonych układów literackich, a więc specjalizacja zmian oraz zastosowanie prawa przyczynowości. Jednakże przed postawieniem właściwego zagadnienia dynamiki poezji należy skonstruować szereg pojęć pomocniczych. Temi pojęciami są czynność artystyczno-literacka i kierunek literacki.

Opisem tych dwu pojęć zajmują się dwa pierwsze rozdziały rozprawy. Opis czynności artystycznej należy dla celów teorji literatury potraktować nie psychologicznie, jako opis specyficznych psychicznych właściwości procesu wytwarzania sztuki, ale logicznie, według określonych kategoryj. Temi kategorjami są następujące grupy zagadnień: czyn i dyspozycja, czyn i intencja, czyn i tworzywo, czyn i refleksja. Z rozpatrzenia tych zagadnień wynika szereg kategoryj opisu czynności estetycznej jako przebiegu o swoistej strukturze, ważnej ponadpsychicznie i ponadspołecznie.

Są to kategorje dyspozycji, zamiaru, struktury intencjonalnej, materjału, narzędzi, planu i motywów. Wśród narzędzi najważniejsze są schematy artystyczne, które konstytuują następnie formę utworu literackiego. Temi schematami są schematy kompozycyjne, techniczne, stylistyczne, oraz schematy proporcji i dyrektywy artystycznej. A pewną specyficzną klasą czynności artystyczno-literackiej są kierunki literackie. Celem ich wyodrębnienia wypada przeprowadzić klasyfikację czynności literackich. Tę właśnie klasyfikację można przeprowadzić na zasadzie całego szeregu fundamentów podziału.

Dopiero po jej przeprowadzeniu pojęcie kierunku literackiego nabiera niebywałej wagi dla zagadnienia zmian poezji, albowiem ono właśnie umożliwia wprowadzenie zasady przyczynowości. Po tych wstępnych określeniach można przystąpić dopiero do właściwego zagadnienia dynamiki poezji, a mianowicie do systematyki zmian poezji. Ta systematyka wykrywa mianowicie trzy klasy zmian poezji, czyli zmiany modalności czynności, zmiany modalności tworzywa, zmiany morfologiczne tworzywa. Praca autora wskazuje też drogi wiodące do ich przyczynowego wyjaśnienia w nauce o literaturze.

W końcu pracy omawia jeszcze autor pojęcie praw rozwoju poezji i ogólnych praw estetycznych, których formułowanie ma być końcowym wysiłkiem całej nauki o literaturze. Pojawia się więc ona na czasie, skoro nadeszła już chwila ujęcia w syntezę dotychczasowych wysiłków. Taka synteza musi być zbudowana w sposób organiczny, liczyć się ze zdobyczami przeszłości, objąć też cały szereg nauk pomocniczych, jak bibljografia, ustalanie

tekstu, psychologja twórczości, charakterologja, sztuka biografji, socjologja literatury, technika literacka, historja literatury. Próba Ermatingera, dająca szereg rozdziałów współczesnej nauki o literaturze, nie jest taką organiczną całością. Być może, że powstanie ona w Polsce.

T. Grabowski.

Wincenty Jan Ostrowski: Wyobraźnia ejdetyczna Stanisława Wyspiańskiego. Poznań 1934. 8°, str. 96.

Do bogatej literatury o Wyspiańskim niniejsza praca stanowi cenny przyczynek, rzucający nowe światło na twórczość pogrobowca romantyzmu. Rezultaty do jakich doszła analiza literacka dramatów Wyspiańskiego znajdują zdaniem Autora psychologiczne wytłumaczenie w jego zdolnościach ejdetycznych, które najgłębiej mają tłumaczyć teorję i praktykę dramatu imaginacyjnego u poety. Wpływ „Dziadów" i teorji Nietzschego ograniczałby się zatem co najwyżej do utwierdzenia Wysp. w pomyśle dramatu imaginacyjnego, a sam pomysł byłby osobistą własnością poety, do jakiej doszedł na podstawie swego ejdetyzmu (str. 72).

We wstępie wprowadza A. w charakterystykę i klasyfikację wyobrażeń ejdetycznych, jako normalnych przeżyć psychicznych, właściwych pewnym osobnikom, zwłaszcza młodocianym. Wyobrażenia ejdetyczne ogólnie noszą na sobie cechy spostrzeżeniowości i rzutują obraz w przestrzeń rzeczywistą, różniąc się jednak od halucynacyj i podobnych im stanów patologicznych. Charakterystyka i klasyfikacja wyobrażeń ejdetycznych opiera się na pracach Jaenscha, O. Kroha i na Fröbesa: *Lehrbuch der exper. Psych.* Zadanie pracy sprowadza się do 3 punktów: 1. do wykazania, że istnieją u Wysp. wyobrażenia ejdetyczne oraz do podania ich szczegółowej charakterystyki; 2. do podania momentów w dziełach poety, które tłumaczą się wyobraźnią ejdetyczną; 3. do sprecyzowania roli, jaką odgrywać mogły wyobrażenia ejdetyczne w twórczym procesie artysty.

Pierwsza część pracy dowodzi istnienia wyobrażeń ejdetycznych u Wysp. na podstawie wypowiedzeń, które przypisują charakter zmysłowości i spostrzeżeniowości jego wyobrażeniom optycznym i akustycznym, a prawdopodobnie także i dotykowym. W charakterystyce tych wyobrażeń, uwzględniającej ich powstanie, przebieg, trójwymiarowość, barwność, bogactwo, ruchliwość i trwałość widzi A. szczęśliwy zbieg prawie wszystkich dodatnich cech ejdetyzmu.

W drugiej części (str. 47) analiza dzieł poety ma wskazać nam symptomy ejdetyzmu — (Autor boi się jeszcze tykać cech ejdetyzmu w malarstwie) — i wykazać, że twórcę analizowanych dzieł musiały cechować takie właściwości ejdetyzmu, jakie podała nam część pierwsza pracy. Przegląd dzieł dramatycznych Wysp. pozwala nam, zdaniem Autora, stwierdzić, że osoby dra-

matów są przeważnie ejdetykami, a ich ejdetyzm ma cechy zgodne z temi cechami, jakie uzyskaliśmy na podstawie wypowiedzeń poety o samym sobie. Jeśli zaś uwzględnimy formę dramatów Wysp. ich widowiskowość, widziadłowość, ich język poetycki, to jasnem stanie się nam wpływ ejdetyzmu na dramaty Wyspiańskiego.

Jakkolwiek wnikliwa praca p. Ostrowskiego daje nam zadawalające wytłumaczenie psychologiczne wielu momentów w twórczości Wysp.: to jednak nasuwają się nam wątpliwości, czy sam ejdetyzm wytłumaczy nam takie sceny jak np. scena w której Joanna „przytomnieje", uświadamia sobie, że „to był sen", że w tym śnie straciła całkowite poczucie rzeczywistości, że wyobrażenia zidentyfikowała z rzeczywistością. Podobnie trudno samym ejdetyzmem wytłumaczyć zbiorowe zwidzenia np. w „Weselu", które z punktu widzenia psychologicznego raczej zakrawają na zbiorowe halucynacje, niż na formy wyobrażania ejdetycznego. O ile A. starannie uwydatniał różnicę między wyobraźnią zwykłą i wyobraźnią ejdetyczną, o tyle nie odciął dość wyraźnie wyobraźni ejdetycznej od tego, co Grzymała-Siedlecki nazwał „zdolnością halucynacyjną".

Ks. Józef Chechelski T. J.

Joannes Krzemieniecki: Bernardinus Gallelus de Jadra, Vic. et off. Gen. Cracoviensis 1509—1517. Cracoviae 1934. Sumptibus propriis, str. 232 in 8°.

Jedno z tych cennych studjów, które opracowując bardzo szczegółowy temat z przeszłości, rzucają światło na wiele ogólniejszych zagadnień i dopomagają do wypełnienia luk w obrazie całych epok. Za przedmiot badań wziął sobie ks. Dr. K. osobistość Włocha, pochodzącego z Zadaru (Jadra, Zara) w Dalmacji, który szukając, wzorem wielu swoich rodaków, karjery na północy, z końcem XV wieku przybył do Polski i tutaj zdobył sobie znaczne stanowisko. Był to Bernardyn Gallelus (zupełnie różny od współczesnego sobie Galla z Raciborza), który w r. 1488 lub następnym, jako sekretarz, wszedł w służbę kardynała Fryderyka Jagiellończyka, w nagrodę dostał po 2 latach gnieźnieńską, potem krakowską kanonję katedralną, wreszcie został wikarjuszem generalnym i oficjałem krakowskim. Jako człowiek i kapłan zupełnie godny powierzonych sobie urzędów, uczciwy, szlachetny, pełen kościelnego ducha, dość kulturalny i bynajmniej nie obcy humanistycznym prądom — był zapewne dość bliski Kallimachowi — zasługiwał zupełnie Gallelus by wydobyto go z niepamięci. Zasługa jednak pracy ks. Dr. K. nie kończy się bynajmniej na tem, że uratował dla historyków wizerunek interesującego człowieka, który bez jego mozolnego studjum byłby utonął w zapomnieniu. Ks. Dr. K. umie każdy szczegół z życia swego bohatera oprzeć o szersze zagadnienia, które bardzo starannie i dokładnie

oświetla. I tak dowiadujemy się z jego pracy wielu ciekawych rzeczy czy to o stosunkach Włoch z Polską, czy o obsadzaniu beneficjów, specjalnie kanonij katedralnych w Polsce, czy o dochodach i sposobie administrowania owych beneficjów, czy o ich kumulacji i o wielu jeszcze podobnych kwestjach, równie interesujących, jak doniosłych. A nadto, dzięki streszczeniu ważniejszych spraw czy to duchownych czy świeckich, które Gallelus jako oficjał rozsądzał, otrzymujemy całe mnóstwo obrazków z ówczesnego życia w rozmaitych klasach i środowiskach społecznych, które dostarczają wielu ciekawych rysów dla ilustracji stosunków polskich z początku XVI wieku. Specjalnie zasługuje na podkreślenie wiele wiadomości o miejscowościach, głównie rozległej diecezji krakowskiej. We wszystkiem zaś, co podaje, jest ks. Dr. K. niezmiernie dokładny, tak, że na jego informacjach można bezpiecznie polegać. Wyzyskanie źródeł bardzo sumienne; przytaczanie ich wzorowe. Język łaciński wogóle zupełnie poprawny, zaledwie tu i ówdzie dadzą się spostrzec usterki, które zresztą zaliczyć można raczej do błędów typograficznych. Za tę poważną, mozolną pracę należy się Autorowi tem większa wdzięczność, że wydanie takiego dzieła własnym nakładem jest z pewnością zupełnie bezinteresowną służbą nauki polskiej. Oby ks. Dr. Krz. miał jak najwięcej naśladowców.

Ks. J. Rostworowski T. J.

Rocznik Gdański. Organ Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku. Tom VI, rok 1932, Gdańsk 1933, str. 501.

Publikacja ta pokaźna rozmiarami i imponująca wysokim poziomem naukowym przynosi 11 rozpraw i bogaty dział recenzyj. Stanowi ona jeden dowód więcej na żywiołowe przywiązanie społeczeństwa polskiego do polskiego morza i Gdańska, oraz zasługuje na zakwalifikowanie jej jako poważny czyn obywatelski. Dr. Dragan Marcin w rozprawie *Polityczny testament ostatniego z książąt Pomorza Gdańskiego* (s. 5—18) omawia dokument Mściwoja II z 15. II. 1282, na mocy którego Pomorze połączyło się z Polską. Dr. Leon Koczy w artykule *W sprawie sporu o najdawniejszy piastowski podbój Pomorza* (s. 19—50), poddaje gruntownej rewizji poglądy Eryka Randta. Praca dra Karola Górskiego *Pierwotny Gdańsk i dzieje jego zagłady* (s. 51—81) rozpoczyna naukową dyskusję, mającą się odbyć na łamach *Rocznika,* na temat wydarzeń gdańskich w początkach XIV w. Interesującą jest notatka dra Stanisława Bodniaka *Nobilitacja kapitanów straży morskiej na sejmie unji,* (s. 76—81). Doskonała praca dra Kazimierza Lepszego *Stefan Batory a Gdańsk* (s. 82—136), wskazująca na zasadniczy kierunek polityki Batorego względem Gdańska, ma charakter programowy i informacyjny. Dr. Roman Lutman w artykule *Gdańsk i Polska w stosunku dziejowym 1454—1793* (s. 137—166) ujmuje to dość skomplikowane zagadnienie w jasną

syntezę. Cenną dla poznania dziejów kampanji Napoleona na Pomorzu jest, przeważnie na materjale archiwalnym oparta, rozprawa Janusza Staszewskiego *Wojsko polskie na Pomorzu i pod Gdańskiem w 1807 r.* (s. 167—239). Stanowi ona pierwsze gruntowne i wszechstronne omówienie tego zagadnienia a zarazem doskonałe uzupełnienie prac uczonych francuskich i niemieckich. Dzieje kultury polskiej w Gdańsku ilustrują dwie rozprawki dra Ludwika Simona *Z dziejów teatru polskiego w Gdańsku* (s. 240—249) i *Nieznane Polonica z bibljoteki miejskiej w Gdańsku* (s. 250—277). Zestawiona przez dra Władysława Pniewskiego bibljografja kaszubsko-pomorska (1931—1932) rozpoczyna drugą część tomu, omawiającą stosunki aktualne. Wincenty Piasecki w artykule *Tranzyt Wschodnio-Pruski w piśmiennictwie niemieckiem* (s. 291—341) wykazuje jednostronność i bezpodstawność tez uczonych niemieckich, głoszonych przez nich w latach 1921—1932. Kazimierz Bończa w rozprawie *Propaganda antypolska a rzeczywistość* (s. 342—384) analizuje metody propagandy niemieckiej stosowanej wobec Polski. Bogaty dział fachowy recenzyj świetnie orjentuje czytelnika w kierunkach i metodach naukowej ofensywy niemieckiej.

Ks. Jan Poplatek T. J.

Encyklika Papieża Leona XIII „Providentissimus Deus“ o studjach biblijnych 1893—1933. Przedmowę napisał Ks. J. Archutowski prof. Uniw. Jagiell. Nakładem Koła Biblistów U. J. Kraków 1934 8^0 55.

Ks. Piotr Stach: Kwestja biblijna w świetle encykliki „Providentissimus Deus“ Lwów 1934 8^0 74.

Wiek XIX był, jak wiadomo, okresem wspaniałego rozkwitu nauk przyrodniczych i historycznych, a także wzmożonych poszukiwań i odkryć archeologicznych, zwłaszcza, na bliższym Wschodzie. Jednakowoż sprawdziło się i tu powiedzenie Chrystusa o synach tego świata i synach światłości (Łk. 16, 8). Przeciwnicy Kościoła pierwsi skorzystali ze zdobyczy na tych polach osiągniętych. Kuli z nich broń do zwalczania nadprzyrodzonego charakteru religji katolickiej. Zajmując stanowisko „krytyczne“ do Pisma św. wykazywali w niem mnóstwo rzekomych nieścisłości, błędów historycznych i z zakresu przyrody, a stąd zaprzeczyli jego natchnienie i nieomylność. Trudności przez nich wysuwane były tem groźniejsze, że przybrane w szatę naukową, a po stronie katolickiej mało stosunkowo było ludzi odpowiednio przygotowanych do ich odparcia.

Widział i doceniał niebezpieczeństwo Leon XIII. Wskazał też środki zaradcze w słynnej encyklice *Providentissimus Deus* z 18 listop. 1893 r. Przedewszystkiem przypomniał w niej duchowieństwu i wiernym doniosłe znaczenie studjów biblijnych, podał sposób nowoczesny ich prowadzenia, określił jasno natchnie-

nie i nieomylność Ksiąg św. i zachęcił do ich obrony przed atakami wrogów.

Dziś, kiedy patrzymy na biblistykę katolicką, na rosnącą z roku na rok literaturę biblijną, na rozkwit takich instytucyj jak Szkoła Archeologiczna w Jerozolimie i Papieski Instytut Biblijny w Rzymie, możemy ocenić znaczenie encykliki „O studjach biblijnych". To też najlepszym sposobem uczczenia czterdziestolecia tej *Magna charta in re biblica* było bezwątpienia wskazanie na okoliczności, w jakich powstała, podanie jej treści i zwrócenie uwagi szerszego ogółu na doniosłe jej następstwa. To właśnie uczynili, niezależnie od siebie dwaj biblíści, ks. Stach, prof. U. J. K. i ks. Archutowski, prof. U. J., pierwszy w osobnej broszurze, drugi we wstępie do samej Encykliki *Providentissimus Deus*, na nowo przełożonej i wydanej przez Koło Biblistów U. J. Rzeczowe wywody Czcig. Autorów częściowo się pokrywają, częściowo uzupełniają i stanowią znakomity wstęp do Encykliki, za której dobry nowy przekład i wydanie należy się uznanie Kołu Biblistów i jego twórcy i kierownikowi ks. prof. Archutowskiemu. Od siebie możemy dodać tylko najgorętsze życzenie, żeby te dwie broszury dotarły do najszerszych kół, nietylko duchowieństwa, lecz i świeckich katolików polskich.

Ks. W. Płokulski T. J.

Stanisław Wałęga: Dzieje polityczne Torunia u schyłku Rzeczypospolitej (1724—1793) z słowem wstępnem Władysława Konopczyńskiego. T. I, Toruń 1933, s. XVIII + 387. (Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu n. 39).

Tom opracowany przeważnie na podstawie źródeł archiwalnych, zebranych głównie w archiwum miejskiem w Toruniu, rzuca wiele nowego światła na tę sprawę i przynosi liczne sprostowania i uzupełnienia, jakich dzieje Torunia w opracowaniach uczonych niemieckich wymagały. Praca sumienna, poważna i godna uznania. Żałować jednak wypada, że sposób wyrażania się Autora niezawsze odpowiada poważnej treści jego książki. Przywykło się u nas szermować powiedzeniem o t. zw. „intrygach jezuickich", bez względu na to, czy na uzasadnienie tego ujemnego wyrażenia posiada się wystarczające dowody. Zarzut ten pod adresem jezuitów toruńskich powtarza i Autor (n. p. str. 23, 282), zupełnie nie usiłując zbadać jego słuszności i poprzeć go jakimś dowodem rzeczowym. Z faktu, że jezuici walczyli w Toruniu z protestantami wypływa według p. Wałęgi jedyna logiczna konkluzja, dotycząca metody walki — mianowicie intryga. Na str. 53 czytamy o kolumnie Matki B., wystawionej w Toruniu, na której „napis... był tak umieszczony, aby go każdy przechodzień mógł przeczytać i zadrżeć przed potęgą zakonu". Skąd znów ta insynuacja, której ani tekst napisu, przytoczony przez Autora, nie uzasadnia, ani hipoteza o jego autorstwie Naramow-

skiego (str. 385) nie dowodzi, tembardziej, że z dwu współczesnych Naramowskich Ignacy przebywał wówczas w Poznaniu a Adam w Warszawie. Gdzieindziej znów jezuitom przypisuje się przynależność do stronnictwa Augusta III (str. 120—121), której to tezie nie przeszkadza kontakt jezuity Marczewskiego z konfederatami (str. 126). Drobne te usterki rażą czytelnika, nie zmniejszają jednak wyżej wspomnianych walorów dzieła.

Ks. Jan Poplatek T. J.

Prace Komisji Historji Sztuki. T. VI, zeszyt 1. Polska Akademja Umiejętności. Kraków 1934, str. 164 i 42.

Już przy pobieżnem przeglądaniu nowego zeszytu *Prac* uderza nas ich nowa, piękna, technicznie doskonała, całkiem nie kryzysowa szata zewnętrzna! Dobry ilustracyjny papier, bez zarzutu, czysto wykonane ilustracje, sumienne wykończenie techniczno-drukarskie, te wszystkie zalety, nieodzowne według dzisiejszych wymagań w wydawnictwach z dziedziny historji sztuki, świadczące o pietyźmie i wysiłku redakcji, sprawiają, że nowy tom *Prac* może śmiało zająć zaszczytne miejsce obok podobnych wydawnictw naukowych zagranicznych.

Na zeszyt ten składają się trzy obszerniejsze prace. A. Bochnak w artykule: *Z dziejów malarstwa gotyckiego na Podkarpaciu* omawia następujące cenne i ciekawe zabytki religijnego malarstwa średniowiecznego: Madonna z Dzieciątkiem z klasztoru Klarysek w Starym Sączu, uchodząca w tradycji za pamiątkę po bł. Kindze, w rzeczywistości obraz malowany w połowie XV w., tryptyk Madonny z Dzieciątkiem z Przydonicy pod Nowym Sączem (około 1475 r.), tryptyk z Łopusznej (okolic Nowego Targu) z koronacją M. B. (około 1460); Madonna ze św. Janem, fragment z tryptyku Ukrzyżowania, z Chełmca pod Nowym Sączem, Madonna z Cerekwi pod Bochnią, obraz św. Katarzyny Aleksandryjskiej z Biecza (około 1470), wreszcie Koronacja M. B. z Krosna (pierwsze lata XVI w.). Znaczne podobieństwo obrazów, pochodzących z okolic Sącza (u 5 pierwszych), nasuwa Autorowi nową a interesującą hipotezę, popartą częściowo przekazami źródłowemi, o istnieniu osobnej szkoły malarskiej w Nowym Sączu! Analiza stylistyczna wykazuje w tych obrazach pewne cechy wspólne, różne zarówno od cechowych obrazów krakowskich jak i dzieł pochodzenia obcego.

Z. Bocheński omawia szczegółowo bardzo piękne i wartościowe *Obrazy Giambattisty Pittoniego w kościele N. P. Marji w Krakowie.* Oddawna wiadomem było dzięki podpisowi, że wspaniałe Zwiastowanie jest dziełem Pittoniego (malarz wenecki 1687—1767). Autor przypisuje na podstawie porównawczej analizy stylowej temuż artyście 4 inne obrazy tegoż kościoła; są to: Męczeństwo św. Szczepana, Pokłon Trzech Króli, Ma-

donna z Dzieciątkiem ukazująca się św. Filipowi Nereuszowi i św. Magdalena.

Prace obu wymienionych autorów odznaczają się wspólną im i szkole, z której wychodzą, ścisłością, gruntownością i sumiennością zarówno naukowego opanowania przedmiotu i literatury naukowej jak i opracowaniu. Pierwszorzędna fachowość i ścisłość stosowanej metody nie zamienia jednak prac omówionych w ciężkie, niestrawne dla niespecjalisty studja; każdy miłośnik zabytków sztuki i kultury minionych wieków przeczyta te cenne dla wyników, jakie przynoszą, prace z wielkiem zainteresowaniem.

Te same pierwszorzędne zalety posiada trzecie najobszerniejsze, o charakterze monograficznym studjum Autora z innego naukowego pochodzącego środowiska. T. Mańkowski w *Sztuce Ormian lwowskich* daje nam pełny obraz działalności Ormian lwowskich na polu sztuki, oparty na ogromnej wprost erudycji, na literaturze i żmudnych badaniach. Autor nie ogranicza się do opisu zabytków, ale bada i wyszukuje ich genetyczne związki z macierzystą sztuką ormiańską. Architektura i rzeźba wraz z ornamentyką, malarstwo ścienne, dekoracyjne i malarstwo minjaturowe — oto główne rozdziały studjum Mańkowskiego, stanowiącego w naszej historji sztuki pozycję pierwszorzędnej wartości, bo przynoszącej wyniki zupełnie nowe.

Część sprawozdawcza zeszytu *Prac* zawiera dwa nekrologi naukowe dwu bardzo zasłużonych dla historji sztuki w Polsce, a złączonych wspólnem umiłowaniem Krakowa wybitnych uczonych i szlachetnych ludzi St. Tomkowicza (przez J. Pagaczewskiego) i A. Chmiela (przez M. Niwińskiego). Treści dopełniają sprawozdania z posiedzeń Komisji Historji Sztuki w r. 1932 i 1933.

Ks. St. Bednarski T. J.

S. J. Imber: Pieśń i dusza Oskara Wilde'a. Z przedmową Romana Dyboskiego. Warszawa—Kraków 1934. 8°, str. 120.

Jest to rozprawa doktorska literata i publicysty żydowskiego, pisana jeszcze w latach wojny, a ogłoszona dziś z dodaniem omówienia nowszych prac o Wild'zie. Autor ustosunkowuje się rewizjonistycznie względem dotychczasowych poglądów na życie i twórczość znakomitego pisarza. Stara się przeprowadzić dwie tezy: pierwszą z nich jest dowodzenie, że w duszy Wilde'a walczyły pierwiastki, dobry i zły; choć poeta ostatecznie nie zdołał przezwyciężyć grzechu, walczył z nim w różnych epokach swego życia, a pod wpływem doświadczeń więziennych zdołał wznieść się do uczuć prawdziwego żalu i pokuty. Dlatego też, zdaniem p. Imbera, utwory, płynące z tej chorej i zżartej grzechem duszy, zawierają wiele pierwiastków szlachetnych. Drugą tezą Autora jest rehabilitacja liryków Wilde'a, uchodzących za

utwory słabsze i zależne od innych wielkich poetów. Zdaniem Autora zaś są one nietylko wyrazem najszczerszych i najgłębszych uczuć poety, co stanowi ich wartość, ale posiadają cechy prawdziwego artyzmu. Imber nie stara się więc usprawiedliwić występku poety jakiemiś rzekomemi prawami artysty, jak to czyniło wielu jego biografów, nie stara się wytłumaczyć jego postępowania wpływami dziedziczności. Świadczy to dodatnio o jego zdrowem poczuciu moralnem, że zło nazywa złem. Niepotrzebnie tylko może zbyt wiele o tem pisze i — nie bez zastosowania metod psychoanalitycznych — doszukuje się śladów występku w niejednym z utworów, w których byłyby może niedostrzegalne. O ile teza Autora o walce pierwiastków złych i dobrych w duszy Wilde'a znajduje potwierdzenie w nowszych pracach, o tyle rzucona myśl o zbawczym wpływie wielkiej miłości do Nieznajomej, który przestał działać z chwilą tragicznego zerwania tego stosunku, wymagałaby jeszcze o wiele silniejszego uzasadnienia. Narazie jest to hipoteza dość wątpliwa.

W swojej apologji Wilde'a idzie Autor bardzo daleko: robi zeń nieomal świętego pokutnika. A jednak głębsze wczytanie się w utwory, powstałe w okresie więziennym, pozwala przypuszczać, że pokuta nie przeorała duszy Wilde'a nawskroś. Jest i w nich jeszcze niejeden paradoks, niejedna gierka czysto literacka, a nadewszystko brak prawdziwego hartu i bardzo dużo estetyzmu. Możnaby zarzucić Imberowi zbyt płytkie ujmowanie problemów. Zamiast przemyślanej analizy niezmiernie ciekawej zawartości myślowej *De profundis* otrzymujemy szereg cytatów wyrwanych zdań. Podobnie możnaby pogłębić rozważanie innych utworów, ujmując je nadewszystko inaczej, nie kładąc nacisku na uczuciowe przeżycia Autora, na echa perwersji erotycznej, ale raczej na zawartość ideową. Tak np. przy omówieniu wiersza „Panthea" nie wspomina Autor ani słowem o jego idei panteistycznej, na co mógł był przecież naprowadzić sam tytuł. Mimo podkreślania zasad moralnych, mających kierować powołaniem poety, mimo szlachetnego ujmowania misji poety-wieszcza, zboczył Autor w omówieniu utworów Wilde'a nieco z tej linji, ulegając sugestji sensacyjności. Zamało pisze o utworach społecznych i ich zawartości. Podkreślanie zaś nawrotu Wilde'a do Chrystusa jest nieporozumieniem o tyle, że wildeowski chrystjanizm jest czemś zupełnie różnem od prawdziwego chrystjanizmu. Otrzymujemy więc ostatecznie obraz twórczości i duszy Wilde'a wprawdzie ujęty jednolicie, ale niepełny i niezupełnie prawdziwy.

Książka pisana jest błyskotliwie, skomponowana zgrabnie i przejrzyście i czyta się łatwo. Język jej posiada cechę, spotykaną nieraz u autorów-żydów, piszących po polsku. Jest bardzo, zanadto może czasem, piękny i ozdobny. Czyżby to były echa Wschodu? U p. Imbera piękną obrazowość stylu psuje brak dostatecznego opanowania i odczucia ducha języka polskiego.

Znać, że posługiwał się w poprzednich pracach pisarskich innym językiem (żargonem). Razi też nadużycie wyrazów obcego pochodzenia. Wada ta daje się odczuć zwłaszcza w dodanym później rozdziale końcowym, na którym znać nadto wpływ pracy dziennikarskiej.

Z. K. C.

A. Auffray: Św. Jan Bosko, 1815—1888. Autoryzowany przekład z francuskiego Anny Zahorskiej. Poznań 1934, nakł. Ks. Salezjanów. Str. 428 z ilustr.

Rzadko się spotka życiorys Świętego, który mimo wielkich rozmiarów czytałoby się z tak niesłabnącem zainteresowaniem od początku do końca. Nie zawiera on ciężkiego balastu naukowego, który obarcza liczne żywoty, pisane przez uczonych, ale nie ma też naiwności. Autor zaznacza we wstępie, że przewertował dziesiątki tomów różnego rodzaju źródeł i informował się u tych, którzy znali osobiście Świętego, że zamieszcza tylko fakty historycznie stwierdzone i każdy rys, tu opisany, może poprzeć dokumentami, możemy się więc spuścić na niego. Nie zdołałby zresztą ukryć żadnego przekręcenia prawdy, zanadto świeże to są czasy, żyją przecież ludzie, pamiętający Świętego, między nimi sam papież Pius XI.

Szczęśliwą, w każdym razie sądząc ze strony praktycznej, wydaje nam się również metoda Autora, nie czysto chronologiczna, lecz uwzględniająca przedewszystkiem różne strony życia męża, który był równocześnie wielkim Świętym, kaznodzieją, misjonarzem, pedagogiem, pisarzem, niezwykłej miary działaczem apostolskim i społecznym, obdarzony przytem nadzwyczajnemi darami jasnowidzenia i czynienia cudów. Postać jego zarysowała się przed nami jasno i co najważniejsze, nie oderwana od ziemi, ale konkretna, jakby żywa, wszystkie ludzkie jego strony, kłopoty, sposoby zdobywania sobie środków i ludzi, przedstawione tu są bez osłon, co nietylko nie zaciera wielkości Świętego, lecz owszem tem silniej uwydatnia współdziałanie natury i łaski. Cennem jest też zwięzłe ujęcie jego metod wychowawczych, w teorji i na przykładach (str. 261—277). Życiorys niniejszy jest nadto bardzo pouczający dla wszystkich pracowników na niwie apostolskiej, gdyż wskazuje, co można zrobić, jak daleko się posunąć, jak ustosunkować się do ludzi różnych obozów, bez naruszenia w czemkolwiek zasadniczej linji. Z tych wszystkich względów praca A. Auffray'a jest zewszechmiar polecenia godna, zarówno dla duchowieństwa, jak dla świeckich.

Zewnętrzna szata wydawnictwa przedstawia się dodatnio i bardzo przejrzyście. Tłumaczenie jest staranne i język urozmaicony, miejscami tylko zdarzają się wyrazy i zwroty, nie zupełnie trafnie oddające rzecz.

S. P.

M. J. Jeleńska: Szatan zwyciężony. Opowiadania prawdziwe. Poznań. Św. Wojciech. Nakł. Inst. Akcji Kat. 1934, str. 160 in 8⁰.

Na dziełko to składa się pięć opowiadań, z których cztery, w formie nowelistycznej, opisuje zdarzenia wzięte z życia, piąte wnika w tajemnicę początku i działania złego ducha w świecie. Ogólną treścią wszystkich tych obrazków jest prawda, że pomimo wysiłków wroga ludzkiego zbawienia, miłosierdzie Boże odnosi zazwyczaj triumf nad przewrotnością kusiciela. Rzecz nawskroś szlachetna, owiana zdrowym optymizmem chrześcijańskim, a nie obniżająca powagi wymagań Bożych od woli ludzkiej. Szkoda, że ta budująca i polecenia godna książka nie została napisana z większym talentem. Rysunek charakterów i cała faktura literacka pozostawiają dość wiele do życzenia. Poza kilku błędami drukarskiemi, wydanie jest staranne i sympatyczne.

J.

Z literatury powieściowej.

Józef Roth: Marsz Radetzky'ego, tłumaczenie Wandy Kragen, wydawnictwo Roju. — Kpt. Mieczysław B. Lepecki: Sybir bez przekleństw, wydawnictwo Roju. — Jerzy Kossowski: Rodzina Smuszków, wydawnictwo Gebethnera. — Ewa Szelburg-Zarembina: Krzyże z papieru, wydawnictwo Roju. — Jerzy Mieczysław Rytard: Dalekie Spojrzenie, Warszawa 1934. Wydawn. „Droga".

Jako temat swej dwutomowej powieści *Marsz Radetzky'ego* wziął Józef Roth, ostatnie chwile monarchji Austrjacko-węgierskiej i stylową postać cesarza Franciszka Józefa. Ciekawem jest, że ten, zdawaćby się mogło jałowy, temat i drewniana postać, są w ostatnich czasach coraz częściej tematem literackim. Ale literacko jest to zupełnie zrozumiałe: i epoka i środowisko i postać mają w sobie ogromne artystyczne możliwości. Postać Franciszka Józefa nie interesuje napewno pisarzy przez swe psychologiczne komplikacje, przez wielkość czy potęgę, ale naprzód jest zewnętrznie bardzo dekoracyjna: poważny starszy pan w białym mundurze, z siwemi bokobrodami, który przez pół wieku patrzył na ludzi z oleodruków wszystkich stacyj, urzędów i poczekalni, był w swej zewnętrznej postaci stylowy i szlachetny, był pewnem wcieleniem niezmienności; stary był bowiem zawsze: najstarsi ludzie młodym go nie pamiętali i wyobrazić sobie nie mogli. A oprócz tego, jest naprawdę coś tragicznego i śmiesznego zarazem w tym starcu, panującym przez pół wieku w tym człowieku, koło którego krwawe mordy i tragedje zrobiły zupełną pustkę, który niezmienny i bezradny patrzył na płynące koło niego życie, który wraz z niem bezwiednie zmieniał się z monarchy absolutnego, w „dobrotliwego" monarchę konstytucyjnego, który z powagą sprawował rządy nad skazanem na zagładę państwem, który z niezamąconym spokojem i świadomy pewnego

fatalizmu, przegrywał wszystkie wojny, który ostatni na świecie wierzył szczerze i naiwnie, że jest jednak z innej ulepiony gliny, że jest jakimś symbolem i personifikacją idei cesarskiej na świecie. Cesarz wydawał odezwy do swoich ludów, ludy grały marsz Radetzky'ego i w 20 lat po śmierci cesarzowej śpiewały z przekonaniem „przy cesarzu mile włada cesarzowa pełna łask"... bo choć życie się zmieniało, formy jego nieprędko przekształcały się w c. k. monarchji. Zdawaćby się mogło, że stereotypowość starego od zawsze cesarza, udzielała się życiu całego państwa. Wszystko w niem było zawsze takie same, wszystko powolne, wszystko trochę bezmyślne. Urzędnik, ten już przysłowiowy, typ austrjackiego starosty w złotym kołnierzu — nawet zewnętrznie do cesarza podobny — równie jak jego zmumifikowany monarcha — symbol — popychał bez wielkich myślowych wysiłków oddane mu w rękę kółko państwowej maszyny. Każdy mówił o dynastji i ojczyźnie. Dynastja to był ten żywy bezdzietny trup, zamknięty w Burgu; ojczyzna... czem była ojczyzna — nie wiedział nikt. Czy ojczyzną starosty Trotta była kraina Słoweńców, czy Wiedeń, czy Morawy? Ojczyzną była fikcja monarchji, monarchji wielojęzycznej, skłóconej i pękającej od wewnątrz, jednolicie habsburskiej od zewnątrz. Poprzez olbrzymie, obce sobie i wrogie kraje, przebiegały oddziały c. k. armji. Od białego munduru naczelnego wodza pięknie odbijały czerwone spodnie ułanów, pstre dekoracje dragonów, złote szamerunki huzarów. Przedziwne państwo, barwne, ceremonjalne, etykietalne, biurokratyczne, bezmyślne, ze spetryfikowaną legendą cesarską na tronie. Jakaś dekoracja z Stendhalowskiej „Chartreuse de Parme", coś z operetki i coś z tragedji. Pod tą czczoną i pielęgnowaną fasadą kiełkowały w jego łonie zarodki nowych światów, szemrały groźne irredenty, młyny historji mełły ziarno wielkiej wojny, tej wojny o której wiedzieli wszyscy, począwszy od cesarza, skończywszy na najgłupszym poruczniku, że będzie wojną przegraną i końcem monarchji... Taki to obraz przejmujący, piękny, barwny a ponury maluje przed nami J. Roth z przedziwną maestrją. Z prawdziwie artystycznym umiarem łączy w swej książce ironję z pobłażliwością, uśmiech z pewną nutą liryzmu. Do siwego, sztywnego cesarza, właściwego bohatera książki, do zwietrzałych i śmiesznych form życia odnosi się, mimo wszystko, z pewnym sentymentem, z tym sentymentem, który się ma wobec rzeczy kończących się definitywnie. Choćby one nie były zbyt mądre i miłe, pada na nie od śmierci pewien blask powagi i rozrzewnienia. Lecz choć obraz ten jest barwny i świetny, są w jego przeprowadzeniu pewne, i to dość znaczne błędy artystyczne. Trudno je określić, choć wyraźnie się je wyczuwa. Autor, chcąc oddać nastrój „końca monarchji" końca tego typu ludzi i żyć, chcąc to całe typowe życie austrjackie przedstawić w historji czterech pokoleń rodziny Trottów, chcąc zawiesić w powietrzu przeczucie tego

grożącego końca, czyni to jakby na marginesie swej powieści, „obok niej". Te przeczucia końca, te jego wróżby i zapowiedzi nie wychodzą dostatecznie z samych powieściowych postaci, z samego toku powieści. Autor wtrąca je od siebie. Są sugestywne, bo wypadki historyczne ich autentyczność potwierdziły, ale płynąc obok toku opowiadania, wywołują u czytelnika pewien przykry artystyczny zgrzyt. Ma się wrażenie, że nie dość silnie wtopił się autor myślowo w swoją powieść, że z artystyczną szkodą utworu oddarł zewnętrzny kształt powieści od jej treści wewnętrznej. Oprócz głównej osnowy powieści, tego coraz smętniej brzmiącego żałobnego marszu Radetzky'ego, są w niej i kapitalne szczegóły psychologiczne. Historja psychologiczna rozpicia się młodego podporucznika Trotty jest doskonała. Jako całość, powieść o wielkim oddechu, o wielkiej ironicznej i smętnej poezji, powieść oczywiście nie dla dzieci, ale godna czytania i dla swych wysokich wartości artystycznych i dla ciekawych, głęboko poruszanych problemów wojny, pokoju, nacjonalizmów, szablonu życia i ludzkiej wolności.

Kapitan M. Lepecki nie jest wielkim pisarzem, w znaczeniu specjalnych zalet stylistycznych, w znaczeniu poprawnej budowy i rozplanowania książki, w znaczeniu jakichś nowych-oryginalnych walorów literackich. Ale jest człowiekiem inteligentnym, bystrym obserwatorem, człowiekiem orjentującym się w otaczających go ludziach i sprawach i umiejącym jasno i poprostu temi spostrzeżeniami z czytelnikiem się dzielić. To też ostatnią jego pracę *Sybir bez przekleństw* czyta się z największem zainteresowaniem. Przynosi ona wiele ciekawych wiadomości o życiu politycznem tego olbrzymiego kraju, o jego stosunkach etnograficznych, ekonomicznych, oświatowych. o jego stosunku do ustroju Sowieckiego, o roli jaką w Związku Republik Radzieckich odgrywa. Malując obraz życia współczesnego, zarysowuje zawsze autor w kilku słowach stosunki dawniejsze, tak, że w tej perspektywie jeszcze jaśniej zarysowują się zmiany, zaszłe na Sybirze w latach ostatnich. Bardzo ciekawe są obserwacje kpt. Lepeckiego co do stosunków religijnych na Sybirze, którym dość poświęca uwagi. Znamiennym tu jest jeden szczegół: pewna sprzeczność między tem co oficjalnie, urzędowo, oświadcza kpt. Lepecki, a tem co widzi i wyczuwa inteligentny podróżnik-obserwator. Oficjalnie stwierdza autor, że w Rosji „niema żadnego prześladowania religji", ale z jego spostrzeżeń wynika co innego. Wszędzie widzi Lepecki silną akcję antyreligijną i bezbożniczą, wszędzie widzi zburzone cerkwie, obalone krzyże. Konstatuje fakt, że nawet rozmawianie z osobą „uprawiającą kult religijny" ściąga na ludzi najwyższe niebezpieczeństwo i podejrzenia. Opisując kościół katolicki w Irkucku, stwierdza, że wedle wersji urzędowej ksiądz zniknął dobrowolnie choć tajemniczo, ale daje wyraźnie do zro-

zumienia, że to zniknięcie „dobrowolne", może być rozmaicie rozumiane... Z opisów Lepeckiego wynika, że akcja antyreligijna na Sybirze była dziwnie skuteczna, że z umysłu Sybiraków, którzy, jak twierdzi, zawsze byli mało religijni, kwestja religijna zdaje się być wymazana. Widać, że to zmazanie piętna chrześcijańskiego z całego olbrzymiego kraju robi na autorze głębokie wrażenie. Pięknie daje temu wyraz w rozmyślaniach na polskim cmentarzu w Tunce, patrząc w butwiejący w trawie krzyż katolicki. Wogóle rzeczowa książka kpt. Lepeckiego ma sporo nut lirycznych. Najsilniej uczuciowo brzmi nuta patrjotyczna. Wszędzie szuka śladów polskich zesłańców, wspomnień polskiej sybirskiej martyrologji. Wzruszające pragnienie odwiedzenia miejsc zesłania Marszałka Piłsudskiego było pobudką podróży Lepeckiego i genezą jego książki. Śladów tych odnalazł mało. Szybko się zmieniające ulice sybirskich miasteczek, szybko powstające i znikające domy, ślady te zmazały. Ludzie, którzy mogli pamiętać młodego zesłańca powymierali, tylko w okolicy Tunki spotkał jednego staruszka, który pamiętał młodzieńca o bujnej czuprynie, zrośniętych brwiach i stalowych oczach; „tak — powtarzał — włosy sterczeli u niego jak u wilka..." Zmieniły się domy i ludzie na Sybirze, niezmienna została tylko niezmierzona zielona tajga, majestatyczne wody Leny, trwoga, groza i ogrom tego wspaniałego, tajemniczego kraju. Tylko dziś jest to już kraj, za którym nie idą przekleństwa, kraj, który już nie jest ojczyzną wygnania, synonimem kaźni i męki. W echa tych łez i przekleństw wsłuchiwał się polski podróżnik, patrząc wrażliwem na piękno okiem w groźny czar szumiącej tajgi, starając się odczytać z olbrzymich bogatych przestrzeni tajemniczą przyszłość tej szóstej części świata. Połączenie wzruszających wspomnień, objektywnej, bystrej obserwacji i plastycznych opisów decydują i o interesie tej zajmującej książki i o jej niewątpliwym uroku.

Czytając *Rodzinę Smuszków*, Jerzego Kossowskiego nie można się oprzeć wrażeniu, że jest dwóch Kossowskich: jeden, który pisał „Zieloną kadrę", „Biały folwark" i „Ceglany dom", i drugi, który pisał „Cyrk" i „Rodzinę Smuszków", tak daleko te dwie powieści pozostają wtyle poza doskonałemi tamtemi książkami. Ma się wrażenie, że Kossowski robi sobie wakacje, i w chwilach nietwórczych pisze ot tak, przed siebie, bez przekonania i bez zobowiązania, nie troszcząc się o nic, ani o charaktery, ani o fabułę, rysując jakby dla zabawy postacie czarne i zacne, naiwne konflikty, sentymentalne sceny, olśniewające zbiegi okoliczności. Można się domyśleć, co chciał autor w swej powieści wyrazić: chciał dać obraz życia rodziny, obraz życia małomieszczańskiego, w jego nudzie, monotonności i szarzyźnie. Chciał wydobyć dzień powszedni, wykazać pewną żywiołową siłę życia, siłę z jaką się toczy i przechodzi ponad ludz-

kiemi zamierzeniami, bólami, tęsknotami. Doskonale te nieubłagane wymogi życia malują niektóre sceny, jak np. sceny rozgrywające się na folwarku Przetakówka po śmierci żony Smuszki. Ta śmierć tragiczna, nie zatrzymuje życia w jego biegu: wewnętrzne bóle i zmartwienia nie mają czasu wydobywać się i objawiać: gospodarstwo nie może stanąć, dom trzeba prowadzić, mąkę w młynie zasypywać, dzieci kształcić. Wszystko jest tak samo, choć inaczej. Ten sam jakiś tępy opór życia i postawa rezygnacji koniecznej, jaką musi człowiek wobec niego zająć, uwypukla się przy końcu książki, gdy bohater Julek Smuszka po nieudanej próbie studjów, musi wrócić do ciężkiej codziennej pracy. Książka autora tej miary co Kossowski, nie może nie mieć błysków talentu, a nawet świetności, ale naogół trzeba przyznać, że zamiar oddania szarzyzny dnia nie udał się. Aby oddać jednostajną płynność życia, nadać jego monotonnym płaszczyznom perspektywę dalekich horyzontów, aby nadać blask sztuki jego szarzyźnie, i wydobyć głębie płytkich mielizn, trzeba mieć specjalny rodzaj talentu. Nie mówię, że trzeba mieć go więcej niż ma Kossowski, lecz trzeba mieć go innym. Trzeba jak Dąbrowska dostrzegać miłującem okiem każdy jego szczegół, każde drgnienie z dokładnością badacza naukowego, a opisując go z zimnym realizmem, trzeba opisywać tem samem najgłębsze, najistotniejsze przejawy życia i tamtego powieściowego i naszego własnego. Kossowski, który dał nam świetne obrazy wojny, który potrafił, dać sugestywny obraz tragicznych w swej prostocie żyć w ceglanym domu, utknął sam w Rodzinie Smuszków na mieliznach i zatonął w łatwiznach. Nie zwyciężył, nawet nie starał się zwyciężyć szablonu banalnej powieści o wykrytych zbrodniarzach, nawróconych grzesznikach, niedoszłych artystach, ukrywanych w dzwonnicy skrzypcach, a otwarta naiwność jego książki, jej naiwny i arcyzacny dydaktyzm, przykładowa, choć nie przekonywująca zacność podsuwa myśl, czy zamiarem autora nie było napisanie książki dla młodzieży, lub dla ludu. Jakiekolwiek były zamiary autora — Rodzina Smuszków — jest jaknajbardziej odpowiednią i budującą książką dla młodzieży i ludu.

Krzyże z papieru Ewy Szelburg-Zarembiny obejmują w pierwszej swej części miłe i ładnie pisane obrazki z życia dzieci, jakby przyczynki do ich psychologji — w drugiej o wiele szerszej — są zebrane artykuły i reportaże autorki, o zabarwieniu społecznem. Z reportaży tych przebija duże współczucie dla ludzkich bied i nędz, szczere i szlachetne oburzenie na różne niedość doskonałe ludzkie urządzenia, i na liczne niesprawiedliwości życia. Autorka zajmuje się głównie sprawą sądów, więzień, przestępczości i kary, ale w swem szlachetnem uniesieniu nie przemyślała do końca spraw, o których pisze. Trzeba przyznać na jej usprawiedliwienie, że sprawy te, sprawy ludzkich sądów i kar są przynajmniej dla

mnie — problemami na świecie najtrudniejszemi. Rzeczywiście jest coś okropnego w widoku ludzi zamkniętych jak zwierzęta, jest coś zatrważającego w widoku ludzi ułomnych i omylnych „sądzących" swych bliźnich, mających prawo odebrać im wolność a nawet życie. Na tym jednym punkcie skłonna byłabym przyznać autorce rację i solidaryzować się z nią w bezwzględnem potępieniu kary śmierci. Napewno w sądach są często tragiczne pomyłki, napewno zdarzają się nadużycia ze strony władzy, ale z drugiej strony, czy jest do pomyślenia społeczeństwo bez sądów i więzień? Oczywiście społeczeństwo złożone z aniołów sądów by nie potrzebowało, ale mówimy o ludzkości takiej, jaka chwilowo jest. Jeśli litość autorki wzbudzają ludzie w sali sądowej i więzieniu, to czyż na litość nie zasługują ci wszyscy, których te „niewinne ofiary" okradły, oszukały, pozabijały? Pewnie że zabitemu nie przyjdzie nic z ukarania jego zabójcy, ale przez zamknięcie go, broni się przed jego złością, czy choćby nawet zboczeniem umysłowem, innych. Jeśliby nawet człowiekowi odmówić prawa do „sądzenia" drugiego w sensie jego moralnej winy i odpowiedzialności, to nie można odmówić prawa i obowiązku społeczeństwu do obrony i chronienia życia i mienia ludzi spokojnych. Każdy zasądzony, uwięziony i ukarany wywołuje zawsze prawie, ogromne zainteresowanie i obronę u części naszych pisarzy, dlaczego ta ich litość nie idzie ku biednej zamordowanej służącej, ku ludziom ograbionym, nieraz z ostatniego kęsa chleba? Dlaczego nie chcą zrozumieć, że unieszkodliwianie przez uwięzienie, typów zbrodniczych nie jest wyłącznie zemstą, ale jest obroną ludzi niewinnych? Szlachetny jest odruch autorki, która wzdryga się na widok więzienia, która z goryczą mówi, że Polska objęła po zaborcach budynki więzienne, ale niestety, życie nie jest tak proste i nie może się kierować jedynie czułemi sentymentami. Te sentymenty byłyby ciężką krzywdą dla wielu. Najbardziej oburza się autorka procesem komunistów w Kobryniu. Przedstawia grupę tępych ruskich chłopów, oskarżonych o to, że chcieli „oderwać część ziem od Rzeczypospolitej Polskiej". Z ironją zestawia p. Zarembina głupie, tępe, chłopskie odpowiedzi, z napuszonym i niezrozumiałym żargonem urzędowym. Że tak skrystalizowanych planów politycznych Chryćki te nie miały, jest możliwe, ale faktem jest, że strzelali do policjanta, że posterunek policji formalnie oblegali i ostrzeliwali. Trudno żeby najliberalniejszy rząd pozwolił na bezkarne strzelanie do ludzi (choćby to byli policjanci co w oczach p. Zarembiny zmniejsza znacznie wartość ich żyć), żeby tolerował uzbrojone bojówki. Chłop nie jest znowu tak głupi, jak się w demokratycznym zapale wydaje pani Zarembinie. Chłop doskonale rozumie co jest bunt przeciwko władzy, co jest partja komunistyczna, co jest chęć przyłączenia się do Rosji. Inwokacje p. Zarembiny do szlachetnego rządu Polski, która jest tak wielka i potężna, że kilku chłopów zaszkodzić jej nie może — są wprost dziecinne. Trudno wymagać, żeby

rząd z uśmiechem pobłażania patrzył jak chłopi ślicznie się zabawiają strzelaniem z karabinów, bo te karabiny są przestarzałe, żeby cieszył się, patrząc, jak dla rozrywki i bez złych intencji chcą rozbroić miejscowe organizacje wojskowe. Są to wszystko sentymenty à la Konopnicka, a nie problemy trudne i bolesne, do końca przemyślane. Czasem ma się wrażenie że sama autorka nie wie czego chce. Opisuje przytułek dla dzieci zbrodniarzy, dla dzieci więźniów. Dzieciom jest w przytułku świetnie, za dobrze w porównaniu z tem, co będą miały potem. Ale mimo to w nocy każde woła „mamo", mimo to autorka z bólem opisuje matki, które odwiedzają dzieci, chcą je zabrać a odchodzą z pustemi rękami. Więc co? Czy lepiej te dzieci oddać mordercom i złodziejom, aby były bite, katowane wyzyskiwane i demoralizowane? Czy w schronisku ma być brudno i chłodno, żeby dzieci do zbytku nie przyzwyczajać? Takich niekonsekwencyj jest w książce sporo; są w niej co gorsza i wiadomości tendencyjnie wypaczone, jak np. ta bezsensowna historja o córce cieśli, którą Urszulanki sadzały na osobnej ławce „bo była córką cieśli". Byłam u Urszulanek i siedziałam najspokojniej koło córek stróżów i robotników, a jeśli jakaś dziewczynka siedziała osobno, to albo za karę, albo była chora. Ale choć reportaże p. Zarembiny są jednostronne, choć są nieraz krzywdzące, a przez pewną płytkość i przez pewne nieprzejednane *„parti pris"* mogą być szkodliwe, mają i strony dobre. Tą stroną dobrą i pożyteczną jest stawianie przed oczy czytelników gehenny ludzkiej nędzy. To przykre dla egoizmu sytych spojrzenie jest zawsze dobre i korzystne.

Żywo pisane te reportaże, zyskałyby na pewnej prostocie, na unikaniu pewnych umyślnych nastrojowych zawiłości i zamazań, zyskałyby na unikaniu słów takich jak „przypodniosłam się".

Dalekiem spojrzeniem nazywa J. M. Rytard spojrzenie Conrada-Korzeniowskiego. Conrad jak wiadomo przyjechał do Polski w lecie 1914 r. i w Polsce zaskoczył go wybuch wojny. W pierwszej, najdłuższej noweli zbiorku, przedstawia autor Conrada w Krakowie i Zakopanem, podczas tych pełnych trwogi dni sierpniowych. To opowiadanie, w które wplecione są obrazki wymarszu pierwszych oddziałów legjonowych, pierwsze wojenne utarczki, pierwsze nadchodzące do Krakowa pociągi z rannymi, jest trochę chaotyczne, trochę się rwie i przeskakuje, ale ma ładne i sugestywne opisy i obrazki, wzruszające momenty. Temi samemi ładnemi opisami odznaczają się nowele dalsze. Ślicznie, ze znawstwem i umiłowaniem są w nich kreślone widoki i przeżycia tatrzańskie. Najładniejsze jest opowiadanie *Nie będzie ciszy tej nocy*. Autor opisuje groźny halny wiatr i pełną grozy wśród tego wiatru drogę na Halę pod Kominami, nad doliną Kościeliską. Zaniepokojeni losem znajdującego się tam gazdy, idą mu ludzie na ratunek. Ale gazda był spokojny i bezpieczny w swem

schronieniu „Jo wiem — mówi — do przybyłych cemuście wy tu psyśli, jale wom powiem, ze tako ciepła burniawa wtoro z powietrza idzie, z wysoka, nie ukrzywdzi cłeka ino się jej nie trza dać".

Zofja Starowieyska - Morstinowa.

Z francuskiej literatury powieściowej.

Marcel Arland: l'Ordre (édition Gallimard). — J. Malègue: Augustin ou le maître est là (édition Spés). — Drieu La Rochelle: La comédie de Charleroi (èdition Gallimard).

Chcąc wybrać do omówienia kilka książek z bogatej i pięknej literatury francuskiej trzeba wybór zrobić według linji pewnej ideologji, aby te omawiane, względnie przeczytane książki dały obraz jednego z oblicz francuskiej myśli. Oprócz oczywiście wielu prądów innych, żywiących ciągle nowemi sokami tę wielką literaturę, jednym z najciekawszych jest strumień niepokoju religijnego, znajdujący wyraz w wielu bardzo książkach. Nie chodzi tu o książki pobożne czy religijne, nie o książki ściśle katolickie (wiele z nich od katolicyzmu jest daleko) chodzi o te, których fermentem twórczym mniej lub bardziej wyraźnie jest Bóg, lub szukanie Go, których zainteresowanie odnosi się nie do malowania kształtu życia i jego przypadkowości, lecz do poszukiwania celu świata i człowieka, do stawiania pytania dlaczego? w jakim celu? cierpiącemu i walczącemu człowiekowi.

Taką książką „szukającą", książką tragiczną, prawie okrutną jest wielka trzytomowa powieść Marcelego Arland *l'Ordre*. Jest to po mistrzowsku przedstawiona psychologja młodego chłopca, Gilberta, człowieka olbrzymich zdolności, wielkich aspiracyj, heroicznej duszy, który marzy i śni o czynach wielkich, uszczęśliwiających ludzkość, który odwraca się ze wstrętem od poziomości życia i jego łatwizny, który gotów jest na wszelkie ofiary i bohaterstwa, a który mimo to, sieje dokoła siebie zniszczenie, wtrącając w nieszczęście wszystkich, z którymi się styka, a dla siebie staje się katem, i umiera złamany, wykolejony, po życiu bezużytecznem i szkodliwem, które jedynie gruzy i rozpacz po sobie zostawiło. W Gilbercie, wspaniałym i wielkim, a nieznośnym, i okrutnym, burzącym dookoła siebie i w sobie wszystko, co mogłoby być życiem normalnem, dobrem i pożytecznem, jest jakieś straszne i głębokie pęknięcie wewnętrzne. Gilbert jest jak potężne, silne ramię, stworzone do czynu, które wyskoczywszy ze stawu, każdy ruch okupuje nieludzkim bólem, każdym ruchem nieopanowanym i fałszywym, zadaje dokoła siebie ciosy śmiertelne. Miłość, sława, powodzenie, swoboda, rzeczy za któremi tęsknił rozpaczliwie, raz osiągnięte wydają mu się śmieciem, poniżeniem, podłością. Pragnąc ich, pragnął w istocie czegoś więcej nic z tego co osiąga, nie syci jego nieludzkich głodów. Chwytając

w rękę to, co jest marzeniem wszystkich ludzi, nie ohwyta nic, i to „nic" z okrucieństwem odrzuca. Wciągając w płuca powietrze całego świata, dusi się. Posiadając wszystkie jego dobra, jest nędzarzem. Pożywając wszystkich owoców ziemi, jest rozpaczliwie głodny. Woła rozpaczliwie o szczęście, a wszystkie szczęścia, które widzi dokoła siebie, wydają mu się smutkiem. Bo czemżeż jest szczęście? „Szczęście jest płomieniem, który wie do czego dąży i który wie, że dąży słusznie". Gilbert jest płomieniem, jest pożarem, ale nie wie dokąd dąży, nie wie w imię czego płonie i żar jego duszy nienasyconej opada parzącemi żagwiami na niego i jego bliskich. Ma czasem chwile jasności: „Cudowny stan człowieka wierzącego. Czyż człowiek wierzący może mieć troskę inną, jak być coraz bliżej Boga?" Ale do tego stanu Gilbert nie dochodzi. Gdy umierającego i półprzytomnego Gilberta zaopatruje ksiądz Sakramentem Ostatniego Namaszczenia, otoczenie słyszy z jego ust niewyraźne słowo, które jedni rozumieją, jako „zbawiony" inni jako „odpoczynek". Autor nie daje nam odpowiedzi na tragiczną zagadkę duszy Gilberta, nie daje nam wytłumaczenia zagadkowego tytułu książki. Co ma być tym „Porządkiem"? Czy z początku sucha, potem wzruszająco-heroiczna cnota niewierzącego Justyna, brata Gilberta? Czy warunkiem porządku jest kara spotykająca Gilberta i usunięcie z normalnego toku życia jego wszystko roztrącającej, do życia nieprzystosowanej, osobowości? Czy porządkiem jest to normalne, małe, szare ludzkie życie, z jego małemi ambicjami, małemi dążeniami, drobnemi szczęściami? Czy złem jest burzenie tego życia, przez pragnienia i aspiracje poza małość i płaskość wychodzące? Czy może raczej „porządkiem" byłoby wynalezienie celów, równie wielkich jak potrzeby niektórych dusz? Czy „porządkiem" nie byłoby włączenie w życie wartości wiecznych, skoro wartości doczesne nasycić ludzi nie mogą? Czy tym „porządkiem" nie byłaby równowaga między nadprzyrodzonemi potrzebami duszy, a nadprzyrodzoną prawdą? — Na to, że o takim „porządku" myślał autor, zdawałby się wskazywać obraz kończący książkę: biedna stara wdowa, która po stracie jedynego syna została na świecie samotna i opuszczona, idzie modlić się na grób tego syna i na grób nieszczęsnego Gilberta. W serce jej wstępuje przedziwny spokój; dusza napełnia się błogiem szczęściem. A jeszcze jaśniej, na znaczenie, jakie przywiązuje autor do słowa „Porządek" wskazuje fakt, że, jak mówi Otto Forst-Battaglja, Arland „doszedł teraz, na zawsze już, do ufnej pewności chrześcijanina-katolika". — To szukanie porządku prawdy, poprzez nieład życia, jest bardzo charakterystyczne dla wojennego i powojennego pokolenia francuskich pisarzy. Jeżeli życie jest absurdem i klęską, to znaczy, że jest na fałszywych oparte podstawach, a doktryna, która w nie wprowadza „porządek", która je tłumaczy, czyni pełnem, sensownem i owocnem, musi być doktryną prawdziwą. Na tych myślowych przesłankach

oparte było nawrócenie Ernesta Psichari'ego, te fale nonsensu i niewystarczalności życia bez Boga, przyniosły zdaje się i Marcelego Arland do wrót Kościoła Katolickiego, a jego potężna i piękna książka jest ukazaniem nam bolesnych ścieżek życia, któremi myśl autora ku wiecznej zmierzała prawdzie.

Książka młodego, dotąd u nas nieznanego autora J. Malègue'a nosi dziwny tytuł *Augustin ou le maitre est là*. Jest to historja młodego chłopca, który traci wiarę w latach nauki, przez jednostronnie prowadzone studja filozoficzno-egzegetyczne. Młody, lecz już sławny profesor zapada na suchoty. Nie znając jeszcze swej choroby, przebywa w domu rodzinnym, gdzie zaraża malutkie dziecko swej siostry. Śmierć maleństwa jest dla niego wstrząsającem przeżyciem. Choroba robi postępy. Augustyn przebywa w sanatorjum. Stan jest beznadziejny. Przed śmiercią nawraca go jeden z jego dawnych kolegów, który został Jezuitą i Augustyn umiera jako gorliwy katolik. Oczywiście w czytaniu fabuła nie jest tak prosta. Wplata się w nią wielka miłość Augustyna, wplata się historja jego rodziny, przyjaciół, znajomych. Możnaby dużo zarzutów wytoczyć przeciwko tej długiej, dwutomowej powieści: naprzód — właśnie, że jest za długa, miejscami niemożliwie rozwlekła, że jest przeładowana dyskusjami i rozprawami teoretycznemi, filozoficznemi i religijnemi. Widoczne jest, że młody autor, nie umie sobie jeszcze poradzić z techniką powieściową, że nie dowierza swoim postaciom i ich wyrazistości i ciągle od siebie wiele rzeczy czuje się w obowiązku tłumaczyć i objaśniać. Książka Malègue'a ma też wadę rażącą zawsze w powieściach „à thèse": wypadki życia, mające ilustrować jakiś postulat myślowy wydają się — i są — sztucznie naginane i układane, a przez to samo tracą siłę przekonywującą i rumieniec życia. Może w obranej tezie myślowej — dróg Bożych przywodzących człowieka jakby siłą do wiary — błędy te rażą więcej, niż w innych, pokrewnych książkach. Że takie „zdobycia dusz" nawet przez śmierć zdarzają się — wątpić nie możemy; że czasami nawet są dla nas widoczne i jasne wiemy dobrze. Gdy są autentyczne, jak np. w historji Rivièra — są wstrząsające — w powieściowej fikcji trochę natomiast rażą przez jakieś jakby uproszczenie, przez jakby zbyt ludzkie traktowanie najbardziej zawiłych, najbardziej tajemniczych stosunków — stosunków Boga i człowieka. Rażą przez jakieś jakby niedyskretne wtargnięcie w zawiłość Bożej ekonomji, w tajemnice jego taktyki. Przytem siłą rzeczy, w powieści, zewnętrzny kształt życia, jego wartości i dobra doczesne, muszą się bardziej plastycznie uwypuklać, niż dobra wieczne, i choć wiemy, że zbawienie duszy ma cenę nieskończenie wyższą od szczęścia, zdrowia i życia, powieść tego istotnego stosunku rzeczy nie uwypukla dostatecznie, raczej przeciwnie zaciera go. Wiemy o tem skądinąd, z powieści zdaje się do nas

przemawiać stosunek odwrotny i wskutek tego ten Bóg z powieści Malègue'a który z miłością i dobrocią walczy przeciwko Augustynowi o jego duszę, zdobywając ją poprzez cierpienia jego i jego bliskich, wydaje nam się Bogiem dziwnie srogim, prawie okrutnym, a badając za autorem ścieżki jego, mamy czasem pokusę przyłączyć się do powieściowej opozycji, i postawić zuchwałe pytanie — które od intencji autora jest zresztą dalekie — czy nie dałoby się inaczej, bardziej łagodnie? To wszystko są wady, duże wady książki Malègue'a. Ale obok nich, z niemi splecione, istnieją ogromne wartości tej książki. Jest to jedna z tych książek irytujących wadami, a przykuwających olśniewającemi zaletami, książka i mrożąca i rozpłomieniająca. Zaletą naprzód jest przeświecający przez rozwlekłości i niezgrabstwa olbrzymi talent autora. Są poszczególne postacie, poszczególne sceny chwytające wprost za gardło. Malègue ma przedziwny dar wywoływania nastrojów słowami najprostszemi, a docierającemi do jakichś prawie niespotykanych głębin. Ma dar rozgarnywania obsłon i pozorów życia, uderzenia w same jego serce. Jego kilku słowami kreślone pejzaże są niezrównane. Poprostu oddycha czytelnik to żarem południa, to chłodem górskich ranków i wieczorów, to przepychem rozkwitniętego parku, to szarą nudą zakurzonej mieściny. Uderzający i artystycznie bardzo dziwny i piękny — jest ciągle wracający motyw białości: białych twarzy, białych nocy, białych świateł, białych szronów. Niektóre postacie, jak postać ojca Augustyna, postać jego matki, postać księdza renegata, są kreślone z mistrzostwem. Opisy choroby i śmierci dziecka są owiane niezrównaną grozą i wydobyte z okrutnym a sugestywnym realizmem. Równie cenne i ciekawe są wartości „duchowe" tej przedziwnej niezrównoważonej książki, bo jeżeli nałożenie jej ideologji na fabułę powieściową niezawsze jest szczęśliwe, to sama ideologja, w swej treści wewnętrznej, jest i bardzo piękna i bardzo wysoka, a jeżeli powieść niezawsze wydaje się prawdopodobna, to sens przeżyć wewnętrznych, religijnych, brzmi zawsze szlachetną nutą prawdy. Przeżycia te religijne nie są tyle ciekawe u bohatera, co u autora i niezmiernie ciekawe rzucają światło i na niego i na prądy, które nurtują katolickie życie młodzieży współczesnej. Augustyn traci wiarę przez czysto myślową spekulację; traci ją ze smutkiem, prawie z rozpaczą. Może u dna tej straty jest jego opieszałość w usłuchaniu głosu powołania. Gdy potem staje wobec zagadki śmierci i cierpienia, ze zdwojoną goryczą myśli o tej umysłowej spekulacji. Stracił przez nią jedyne światło, które mogło rozpraszać otaczające go mroki życia, stracił jedyne oparcie i pomoc w życiowych trudnościach. Wobec trudności życia i śmierci, trudności egzegezy i filozofji wydają mu się wprost śmieszne. Ale zło jest dokonane. Zgaszona lampa nie daje się zpowrotem zaświecić. Gdy bliskiego śmierci Augustyna odwiedza przyjaciel Jezuita, zwierza mu się Augustyn ze swej bolesnej niewiary. Ksiądz

w kilku słowach odpowiada na jego trudności; mówi o swem pięknem życiu apostolskiem, o wierze opartej na silnych podstawach myślowych. Ale rozumie ksiądz-przyjaciel, że Augustyn niema ani czasu, ani sił, burzyć i odbudowywać gmachu filozofji. Każe się Augustynowi spowiadać. Augustyn oburza się: nie wierzy, przecież ten tekst nie zgadza się z tamtym, przecież... Ksiądz siada obok chorego, zasłania twarz i czeka spowiedzi. Augustyn nie wierzy, ale — fenomenem zdarzającym się nie tak rzadko — nie wierzy mózgiem, ale wierzy podświadomie kochającem, w katolicyzm wrośniętem sercem. Zwyciężony, spowiada się. Nie myśli już o tekstach i filozofji; modli się radosnem sercem, wita odnalezionego Boga, przyjmuje pobożnie Sakramenta i w cichem, prawie radosnem skupieniu umiera. Przypomina nam się nawrócenie Claudela, który opowiada, że przez dwa lata od chwili, kiedy całem sercem uwierzył, nie mógł uporać się z przeciwnemi religji zasadami filozoficznemi — i dodaje: „Pan Bóg z pogardą zostawił na boku gmach mojej filozofji, nie racząc go zmienić ani obalić". Tak samo powieściowy Augustyn: nie przebudowuje gmachu swej filozofji, lecz przychodzi do Boga przez Sakramenta i miłość. Oczywiście nie byłoby zgodnem z duchem i nauką katolicką jedynie takie stawianie problemu wiary. Kościół nie zabrania nam myślowej spekulacji, przeciwnie, żąda od nas wiary opartej na podstawach myślowych, wiary oświeconej i rozumnej. Malègue także daleki jest od traktowania wiary jedynie jako odruchu irracjonalnego i jedynie jako gratisowego cudu łaski; nie przedstawia też, że wiara i nauka zgodzić się nie mogą, lecz, że czasem, wiara może obejść się i bez oparcia filozoficznego, że może je zwycięsko na boku zostawić. Takie ujęcie poszczególnego wypadku jest najwyraźniej reakcją przeciwko szkole pozytywizmu i materjalizmu. Zresztą w podobnej, lub zbliżonej formie, występuje ona dziś dość często w literaturze francuskiej. Reakcja ta wydaje się nieco spóźniona i wygląda raczej na osad przeszłości, jak na walkę z nieprzyjacielem atakującym, jest jednak niemniej charakterystyczna i ciekawa. Malègue, jak widać z jego powieści, jest sam katolikiem oświeconym, w wierze wykształconym, gorliwym i bardzo myślącym, a jego świetna i irytująca, wspaniała a pełna błędów książka, jest jednym dowodem więcej, rozkwitu myśli religijnej na niwie francuskiej literatury.

Jedną z licznych nagród literackich we Francji dostała niedawno książka *La comédie de Charleroi* przez Drieu La Rochelle. Książka ta obejmująca 6 opowiadań wojennych, zasługuje rzeczywiście na uwagę i wyróżnienie, już nie tyle przez doskonałość swej roboty literackiej — do tego zewnętrznego wykończenia, plastyki, żywości, do tej precyzyjności roboty, jesteśmy w literaturze francuskiej bardzo przyzwyczajeni, to też książka Rochella uderza nas przedewszystkiem ciekawą i głęboką ideolo-

gją. Autor wytacza przed nami proces wojnie, wojnie oglądanej z dalekiej perspektywy, ujętej jako zjawisko i całość. Nie idzie śladem licznych swoich poprzedników w literaturze t. zw. wojennej i nie ogranicza się do przedstawiania okropności wojny; idzie dalej i głębiej. Naprzód bada sam fakt wojny, wojny fenomenu, szaleństwa, wojny zjawiska kosmicznego. Mądrem swem okiem ogarniając dzieje świata wie, że wojna nie jest, jak to przedstawiali zbyt płytko niektórzy pisarze, skutkiem zbrodniczych knowań kilku ludzi, że nie kilku zblazowanych dyplomatów, nie kilku chciwych kapitalistów pogrąża co jakiś czas ludzkość w morze krwi i nędzy. Rochelle widzi doskonale żywiołową niejako konieczność tych kataktalizmów wojennych. Wie, że wojna tkwi niestety swemi korzeniami w najgłębszych, i dotąd nieprzezwyciężonych, instynktach człowieka. Wie, że pędu i choćby przyzwolenia na nią, nie wypleni u młodych krwawe opowiadanie kombatandów. „Nie mieliśmy żadnego celu. Mieliśmy tylko naszą młodość. Krzyczeliśmy. Czem był ten krzyk? Ryczeliśmy jak zwierzęta. Byliśmy zwierzętami. Kto skakał i krzyczał? Zwierzę, które jest w człowieku. Zwierzęcość, którą żyje człowiek. To samo ludzkie zwierzę, które uprawia miłość, to samo robi wojnę i rewolucję". Ale zwierzęta nie prowadzą wojen, nie organizują rzezi masowych. Zwierzę, dla którego życie jest dobrem jedynem, naraża go i ryzykuje jedynie dla jego ochrony, dla obrony, dla głodu, dla utrzymania gatunku. Każdy czyn człowieka ma nieskończenie dalszą projekcję od czynu zwierzęcia, właśnie dlatego, że jest czynem ludzkim, czynem istoty wychodzącej trwaniem, a zatem i pragnieniem, poza to życie doczesne. Naprzód dla człowieka śmierć nie jest śmiercią. „Wiedziałem, że niema istotnej różnicy między życiem a śmiercią". „Dla mnie śmierć nie jest nicością i niebytem, śmierć jest przedłużeniem życia". Więc musi człowiek poza tę śmierć pragnąć, musi pragnąć mimo niej, a nawet przez nią, osiągnąć wartości od niej wyższe". Do czego służyć może życie, jeśli nie sprawdzamy go śmiercią, jeśli nie uderzamy niem o śmierć, jak krzemieniem o kamień". W zdolności i chęci poświęcenia i ryzykowania życia, dla wartości ideowych, szuka człowiek istotnej miary tych wartości, bo jeśli dla tych wartości umrzeć nie warto, to czyż warto dla nich żyć? Te pragnienie mierzenia wartości życia miarą śmierci, narówni z instynktami mordu i nienawiści, pędziły zawsze człowieka w rzeź wojny i dlatego wojna, oprócz swych stron okrutnych, oprócz deprawacji, jaką z człowieka wyzwalała, wyzwalała także czasem i walory inne. Całe studjum możnaby napisać wedle książki Rochella o bohaterskiej nędzy człowieka, chwyconego w tryby wojny, o jego męstwie i tchórzostwie, splatającem się w najdziwniejsze reakcje, o instynkcie władzy, o stosunku podwładnego do przełożonego, intelektualisty do człowieka prostego, o poczuciu solidarności, o powstających przed człowiekiem problemach cierpienia,

śmierci i współczucia. Widać, że u autora buntuje się cała dusza przeciwko potwornościom wojny, ale że uczciwie uznaje możliwości, jakie daje człowiekowi do wzniesienia się ponad siebie. Jedna tylko rzecz nie znajduje w jego oczach żadnego usprawiedliwienia, żadnego wytłumaczenia, to jest wojna współczesna, ostatnia wielka wojna. To nie była wojna „ludzka", nie była wojną ludzi, była wojną materji. Była równaniem matematycznem, które w swe krwawe tryby chwyciło bezwolną ludzkość. Była to wojna anonimowa mas nieuświadomionych. Człowiek był beznadziejnie samotny i opuszczony w kadrach przez siebie zbudowanej machiny organizacyjnej. „Szliśmy niewiadomo ku czemu; naprzeciwko nas nie było nic". „Nie spotykaliśmy się nigdy podczas tej wojny". Naprawdę wspaniałe są ustępy przedstawiające walkę rozpętanego żelaziwa cyfr i mechaniki, walkę jakiegoś żywiołu ziemi, panującego nad człowiekiem i miażdżącego człowieka, zwycięski bunt materji i maszyny, które człowiek za bóstwa swe uznał, którym oddał nad sobą panowanie i pod których brutalną przemocą ginął we wojnie i ginie teraz, w czasie pokoju.

Nie dyskutuję tu z ideologją autora, lecz ją przedstawiam. Książka Drieu La Rochella nie jest z pewnością książką „katolicką", jest książką cyniczną, miejscami nawet bluźnierczą, ale jest znowu jedną książką więcej, wytaczającą okrutny i sprawiedliwy proces cywilizacji materjalistycznej, jest książką docierającą do metafizycznych potrzeb człowieka, jest książką ludzkiego niepokoju, jest książką poszukiwania wartości od życia większych i cenniejszych i dlatego fascynuje nas i wstrząsa, jak głos wołający z mroków wątpienia i niewiedzy, o nieznane sobie i nieodkryte jeszcze światło. Jest to jedna z tych coraz liczniejszych dziś a tak bolesnych książek, które odkrywają fałsz, a nie umieją znaleźć prawdy. *Zofja Starowieyska - Morstinowa.*

Z literatury rosyjskiej.

Michał Szołochow: Cichy Don, tomy II i III. [1])

Pierwszy tom *Cichego Donu*, barwna opowieść z życia Kozaków dońskich w czasie pokoju i wojny z Niemcami, zwracała na Szołochowa uwagę swem zacięciem epickiem i plastyką. [2])

[1]) Michaił Szołochow: *Tichij Don*, roman, kniga wtoraja (II), Moskwa 1933, str. 414; — *Tichij Don*, roman, kniga trietja (III), Moskwa 1933, str. 388.

[2]) Patrz *Przegląd Powszechny* — marzec 1934 — „Z literatury rosyjskiej". Nakładem „Roju" ukazały się już 2 pierwsze tomy *Cichego Donu* w przekładzie polskim, przyczem tłumaczenie tomu 2-go dokonane przez Wacława Rogowicza, stoi nieporównanie wyżej od przekładu tomu 1-go. Należy jednak zwrócić uwagę na to, że w 1-szym tomie przekładu polskiego mieści się tylko połowa 1-go tomu oryginału, tak, że wydany świeżo przez „Rój" — tom drugi jest zakończeniem 1-szego tomu oryginału rosyjskiego.

Czytając tę powieść, odnosiło się nieodparte wrażenie, że Szołochow — to talent dużej miary i co ważniejsze — tak rzadki w naszej epoce talent rasowo epicki. Spodziewać się po nim można było, że w dalszym rozwoju swego talentu zdobędzie się na jakąś większą, imponującą kompozycję epicką. I istotnie młody pisarz rosyjski nie zawiódł tych pokładanych w nim nadziei. Dowodem *Zorany ugór*,[1]) powieść na temat walki o realizację zbiorowych gospodarstw rolnych, prawdziwe arcydzieło sztuki epickiej, zdumiewające wspaniałą plastyką obrazów i charakterów i emocjonujące, dzięki ożywionej olbrzymim talentem narratorskim i udynamizowanej fabule. Okazało się jednak, że Szołochow jest bardziej rasowym epikiem, niż można było przypuszczać, za mało mu było samej techniki epickiej, zapragnął i wielkiego, epickiego, na miarę heroicznego niemal eposu zakrawającego — tematu, — wrócił więc do pierwszego swego dzieła *Cichy Don* i w jego ciągu dalszym stworzył wspaniałą, potężną i wstrząsającą epopeę zaciekłej, bezlitosnej walki, jaką po rewolucji Rosja toczyła... ze sobą samą — stworzył porywający, pod względem artystycznym nieporównany i realistyczny, bezwzględnie wierny zarazem — obraz wojny domowej między „białymi", a „czerwonymi" w tej części Rosji, która najlepiej była mu znaną, bo jego własną była ojczyzną — w Ziemi Wojska Dońskiego.

Cichy Don staje się olbrzymim triumfem odradzającej się epiki, staje się potężnem hasłem nawrotu sztuki powieściopisarskiej do tematów heroicznych, do szerokiego oddechu, do rozpinania olbrzymich obrazów dziejowych.

W tomie 2-gim spotykamy starych znajomych na froncie i w pierwszych miesiącach rewolucji. Rozumie się autor stoi wyraźnie po stronie przewrotu bolszewickiego, i ta druga część *Cichego Donu* robi wrażenie powieści zdecydowanie propagandowej: widzimy idealną parę świetlanych bohaterów w walce o zwycięstwo ideologji komunistycznej: mężczyznę i kobietę, — dzieje

[1]) *Przegląd Powsz.* — marzec 1934 — „Z liter. rosyjsk." Też ukazał się już po polsku nakładem „Roju" w przekładzie Haliny Pilichowskiej starannym, ale w zakresie oddawania walorów plastycznych i stylistycznych oryginału dalekim od doskonałości, a nawet oddaje autorowi złą przysługę, obniżając znacznie ogromną wartość powieści, jako dzieła sztuki. Podpisany uważa za swój obowiązek poczynić pewne sprostowania: z omawianym w marcowym zeszycie *Przegl. Powsz.* oryginałem rosyjskim *Zoranego ugoru* zapoznał się w wydaniu emigracyjnem, paryskiem. Otóż wydanie to czy rozmyślnie, tendencyjnie, czy przez karygodne niedbalstwo nie posiadało kilku ostatnich rozdziałów powieści, zawierających opis triumfu idei Kołchozów i „happy end". W ten sposób podpisany z żalem, ale gwoli prawdzie, zmuszony jest wycofać się z pełnego podziwu stanowiska, zajętego wobec tak rzadkiego u pisarzy sowieckich, a u Szołochowa mającego jaskrawie się zarysowywać „przezwyciężenia najmniejszego oporu". Na podstawie pełnego wydania *Zoranego ugoru* widać, że i Szołochow, niestety, szedł jednak po linji najmniejszego oporu, dając swej powieści szablonowe, banalne, propagandowe zakończenie. (T. P.)

ich miłości, po nowemu, „po socjalistycznemu" ujmowanej, wreszcie ich śmierć tragiczną, męczeńską — za rewolucję. W powieści też jest dosyć dużo rozważań i rozpraw dyskusyjno-politycznych, ubranych w formę żywych dialogów. Na tle jednak czysto propagandowej „roboty" powieściowej odbija sylwetka głównego bohatera — Grzegorza Mielechowa z jego podskórnemi sympatjami bolszewickiemi, a skomplikowaną naturą, przechylającą się raz na tę, raz na drugą stronę — najbardziej jednak zasługują na uwagę doskonale robione, prawdziwie epickie obrazki różnych wypadków, znanych dobrze z historji rewolucji, — i bardzo objektywnie nakreślone sylwetki historycznych postaci — „białych" przywódców ruchu antybolszewickiego: Kaledina, Korniłowa, Aleksiejewa i innych. Najsilniej zaś, najpotężniej i najbardziej wstrząsająco całą siłę swej nasiąkniętej pełną dramatyzmu dynamiką epickości uwydatnił Szołochow w znakomitych, przerażająco plastycznych i realistycznych scenach okropności wojny domowej, — głównie w scenach masowych egzekucyj, czyto dokonywanych przez zbuntowanych i zrewolucjonizowanych żołnierzy na oficerach, czy to, — przez „białych" na przywódcach komunistycznych i czerwonogwardzistach. Nieludzkie okrucieństwo mordujących i straszne ostatnie chwile mordowanych odtworzone są tak, że nietylko wywołują w wyobraźni czytelnika żywy plastyczny obraz, ale działają wstrząsająco, budząc przerażenie i zgrozę. Autor zaś sowiecki, sam komunista, staje się w tych momentach bezstronnych, ponadpartyjnym i pozapropagandowym epikiem: okrucieństwa „czerwonych" i cierpienia „białych" budzą te same uczucia zgrozy, odrazy i współczucia, co i odwrotnie — i gdy prowadzony pod szubienicę komisarz Podtiołkow, wyrzucać będzie bohaterowi powieści, że stał się zdrajcą, że porzucił „czerwoną" sprawę i przygląda się obojętnie rozstrzeliwaniu dawnych towarzyszy — Mielechow przypomni Podtiołkowowi w godzinę jego śmierci nieludzko mordowanych oficerów... mordowanych z rozkazu Podtiołkowa.

Prawdziwy jednak triumf zupełnie już dojrzałego talentu epickiego Szołochowa widzimy w tomie trzecim. Nietylko wspaniałe, porywające i wstrząsające sceny batalistyczne, znakomite momenty narracyjne i psychologiczne i piękne opisy przyrody świadczą o dojrzałości tego talentu. Nie, epickość jego występuje przedewszystkiem w spokojnej, beznamiętnej bezstronności, z jaką opisuje ludzi i wypadki: „biali" i „czerwoni" jednakowo są przezeń traktowani, klęski kontr-rewolucjonistów i ich triumfy budzą te same reakcje uczuciowe, co zwycięstwa i nędze bolszewików, — a przytem widzimy komunistycznego, propagandowego, proletarjackiego pisarza Szołochowa, jak objektywnie, głęboko i subtelnie umie wniknąć w psychikę, w rdzeń kultury moralnej i duchowej ludzi sfery mu obcej i duchowej: inteligencji ziemiańsko-oficerskiej, jak świetnie potrafi mówić ich językiem i w tymże

języku oddawać ich myśli i uczucia. Epickość Szołochowa występuje i w jego arystokratyźmie, t. zn. — mimo pozorów, mających sugerować, że *Cichy Don* to powieść o życiu i walkach mas — całe światło rzuca autor na nieliczne tylko, wybrane jednostki i to zarówno ze strony „białej", jak i „czerwonej". Masy żyją, walczą, czerpią i giną, nas jednak naprawdę w *Cichym Donie* obchodzą tylko główni bohaterowie, tylko nieliczne jednostki, i o ich losy się trapimy, i z nimi tylko przeżywamy dzieje. Chwyt to artystyczny i ujęcie typowo epickie: tak samo w *Iliadzie,* choć walczą niezliczeni Achajowie i Trojanie, naprawdę interesują nas i wzruszają wyłącznie losy „elity" greckiej i trojańskiej: głównych bohaterów z Achillesem, Atrydami i Odysseuszem na czele z jednej strony, a Priama, jego synów i Eneasza z drugiej. Również w trylogji sienkiewiczowskiej w powodzi nieszczęść, spadłych na cały naród polski, głównie obchodzą czytelnika, smucą, radują, porywają i wzruszają losy Skrzetuskiego, Wołodyjowskiego, Zagłoby czy Kmicica; w *Wojnie i pokoju* Tołstoja w chwilach, zagładą grożących całej Rosji, najważniejszem jest to, co się dzieje z Pierre'm Bezuchowem, księciem Andrzejem Bołkońskim.

Na specjalną uwagę w *Cichym Donie,* jako kreacja artystyczna, typowa dla wielkiej, ortodoksyjnej epiki — zasługuje centralna figura powieści, młody kozak Grzegorz Mielechow. Nietrudno się domyśleć, że w ostatnim czwartym tomie (jeszcze się nie ukazał) autor po walkach i burzach doprowadzi swego bohatera do „cichej przystani komunistyczno-proletarjackiej prawowierności". Będzie jednak musiał zdać świetnie egzamin z możliwości epickich, artystycznych swego talentu, żeby ten „happy end" dopasować do całości bez żadnego naciągania, bez żadnego psychologicznego i artystycznego fałszu i zgrzytu. Dotychczas bowiem Grzegorz Mielechow, mimo utajonych sympatyj komunistycznych, walczy w szeregach „białych". Autor *con amore* kreśli barwną sylwetkę Grzegorza i jego bujną, „rogatą" naturę.

Grzegorz to na tle swego otoczenia indywidualność nieprzeciętna. Odwagą i inteligencją (wrodzoną nie nabytą, bo żadnego właściwie nie ma wykształcenia) zwraca na siebie uwagę na wojnie i z kozaka-szeregowca szybko awansuje na oficera. Jest on typem prawdziwego kozaka — nawpół rycerza, nawpół barbarzyńcy. Walka, niebezpieczeństwo, krew — to jego żywioł. A przecież ta jego kozackość nie wyklucza pierwiastków humanitaryzmu w jego duszy. Ten to humanitaryzm, burzący w nim krew na widok okrucieństw z jednej i z drugiej strony, rzuca go raz w objęcia tej, raz innej partji. Z początku znalazł się w obozie rewolucyjnym, dokąd ciągnęły go pobudki rozumowe (przekonanie o zbawiennej roli rewolucji), lecz tkwiące w nim tradycje i instynkty rycerskie rzucają go w objęcia strony przeciwnej. Odważny, dzielny, przedsiębiorczy, mający wielkie talenty wodza i organizatora, umiejący narzucać ludziom swój autorytet — szybko

wybija się w karjerze wojskowej: w końcu trzeciego tomu widzimy go jako potężnego i samodzielnego niemal wodza kilku dywizyj kawalerji powstańczej — „białej".

Grzegorz Mielechow walczy z „czerwonymi", walczy okrutnie i bezlitośnie. Ale napróżnobyśmy się doszukiwali w jego kontrrewolucyjności jakichś pobudek ideologicznych. Nie jest to człowiek z jednej bryły — przeciwnie, natura to skomplikowana, niezrównoważona, — w dodatku psychika nawskroś indywidualistyczna, anarchistyczna. Nie pobudki społeczne, ale roznosząca go, rozsadzająca od wewnątrz energja, związana ściśle z motywami czysto osobistemi, jest głównym motorem jego działania. Tak np. gdy w pewnym momencie energja ta słabnie, i w Mielechowie budzą się refleksje co do słuszności walki przeciw bolszewikom — nowa potężna fala nienawiści i żądzy walki uderza nań i zabija refleksję z pobudek czysto osobistych: bolszewicy rozstrzelali jego brata, człowieka o psychice nieskomplikowanej, święcie wierzącego w słuszność „białej" sprawy. Ten moment eposu kozackiego odrazu wywołuje w pamięci odpowiedni moment epopei greckiej: Achillesa po zabiciu serdecznego przyjaciela, Patroklesa. Wielcy twórcy epiccy zawsze się lubują w psychikach bujnych, wybujale indywidualistycznych, anarchistycznych niemal: takim jest Achilles, takim Kmicic w *Potopie,* takim Grzegorz Mielechow, potężny wódz „białych" partyzantów. I jak Achillesa doprowadził Homer do okiełzania wewnętrznego anarchizmu i pogodzenia się z Atrydami, jak Kmicica wywiódł Sienkiewicz z drogi warcholstwa na drogę pełnego poświęcenia, służby dla Ojczyzny — tak i Mielechowa, będącego „białym" wodzem i bohaterem w myśl zasady „Tak mi się podoba", doprowadzić zamierza Szołochow do oddania się bez zastrzeżeń ideologji komunistyczno-proletarjackiej.

Jeszcze jedno uderza w *Cichym Donie,* jego niewątpliwa, choć może przez autora nieuświadomiona sobie rosyjskość, biologiczny nacjonalizm, patrjotyzm, wypowiadający się w wielkiem umiłowaniu ziemi rodzinnej i rycerskich tradycyj ludu kozackiego.

W Szołochowie i w jego wielkiem dziele niema nic internacjonalizmu czy kosmopolityzmu — stworzony przez propagandowego pisarza sowieckiego, a więc pisarza, wyznającego hasła klasowej międzynarodowości, walczącej z wszelkim patrjotyzmem i wszelka tradycją — *Cichy Don*, być może, wbrew intencji twórcy — jest wielką, rdzennie rosyjską — epopeą narodową.

Rzecz znamienna, że gdy uważająca siebie za jedynie rosyjską i oficjalnie narodową — literatura emigracyjna naskutek zatracenia kontaktu z żywemi źródłami duszy rosyjskiej — coraz bardziej staje się literaturą czysto kosmopolityczną, w języku rosyjskim powstającą — w literaturze Rosji Sowieckiej budzi się potężny prąd nawrotu (nieświadomego często) do ducha i tradycyj narodowych, rdzennie rosyjskich.

Aleksy Tołstoj: Piotr Pierwszy.[1])

Jeszcze większym triumfem epiki, niż *Cichy Don,* bo triumfem, odniesionym w dziedzinie najbardziej epickiego z epickich rodzajów literackich — w dziedzinie powieści historycznej, — jest *Piotr Pierwszy* Aleksego Tołstoja. Nie będzie zbytnią przesadą, jeżeli powiemy, że *Piotr I* jest najwybitniejszą, najznakomitszą powieścią historyczną, jaką wydał wiek XX-ty, — a już z całą pewnością doba powojenna.

W powieści tej nowe triumfy święci plastyka — triumfy niebywałe od czasów *Quo vadis.* Jako plastyk, jako malarz bezsprzecznie góruje Tołstoj nad Szołochowem, choć ustępuje mu w umiejętności zaintrygowania i porwania czytelnika fabułą. Zważmy jednak, że dzieło Tołstoja było znacznie trudniejsze i większego wymagało talentu i wyższej kultury i intuicji artystycznej, by ludzie z końca w. XVII i pocz. XVIII mogli być tak samo żywi i prawdziwi, jak kozacy z przed lat 15, i by te oddalone czasy, dzieje i losy ludzi tych czasów mogły nas obchodzić i wzruszać i porywać tak samo, jak losy i czyny współczesnych nam twórców, uczestników i widzów rewolucji rosyjskiej. Dziś, gdy wszelkie zainteresowanie przeszłością zmalało do minimum, dziś, w najbardziej ahistorycznej dobie dziejów ludzkości — dokonał Aleksy Tołstoj wielkiego dzieła: nietylko odtworzył i ożywił drzemiące między kartkami zakurzonych, zapleśniałych tomów i pergaminów — dzieje i oblicze dawno minionej epoki, ale wskrzesił, uczynił żywymi i prawdziwymi, jak my sami — dawno, dawno zmarłych ludzi, których znaliśmy z rycin jedynie, z dawnych dokumentów, a najczęściej z podręczników szkolnych.

Aleksy Tołstoj jest pisarzem sowieckim. Jest jednym z tych czołowych przedstawicieli rosyjskiej elity kulturalnej i artystycznej, którzy raz na zawsze wyrwali ze swych uczuć i pamięci starą Rosję, zrozumiawszy, że skończyła się na zawsze, — i próbują przystosować się do atmosfery życia nowej Rosji. Aleksy Tołstoj jest jednym z pierwszych „smienowiechowców", t. j. tych pisarzy, którzy zmienili swe drogowskazy — którzy znalazłszy się początkowo na emigracji w opozycji do ustroju sowieckiego, powrócili niebawem do Rosji i oddali się na usługi reżimu komunistyczno-proletarjackiego i jego nagwałt budowanej, nowotworzonej kultury.

Zmazując „grzechy" swej burżuazyjnej przeszłości, wyrzekał się Tołstoj wszystkiego, co pisał przed rewolucją i oddawał swe pióro na usługi socjalistycznej propagandy, owocem tego nawrócenia był szereg tendencyjnych, agitacyjnych niemal utworów, pomiędzy niemi i fantastyczna *Aelita,* powieść o wprowadzaniu ustroju socjalistycznego na Marsie.

---

[1]) Aleksiej Tołstoj: *Piotr Pierwyj,* roman, Leningrad 1930, str. 388.

Wyrzekając się swej przeszłości i dawniejszej twórczości, starając się ortodoksyjnością i gorliwością neofity zmazać „hańbę" arystokratycznego pochodzenia, nie mógł przecież ex-hrabia, a dziś jeden z najzdolniejszych i najwybitniejszych pisarzy proletarjackich wyrwać ze swej duszy dziedzictwa, jakiem go obciążyła tradycja rodzinna, wielkie historyczne i w dziejach dawnej burżuazyjnej kultury rosyjskiej — tak świetnie zapisane nazwisko: wielki pisarz sowiecki, prawowierny pracownik na polu budownictwa międzynarodowej klasowej materjalistyczno-socjalistycznej kultury — na zawsze pozostał pisarzem rosyjskim, jaknajsilniejszemi węzłami związanym z dziedzictwem tradycji kulturalnej i historycznej starej Rosji. Toteż za zamiarem jego „podejścia" w *Piotrze Wielkim* do rewolucji „od jej głębokich tyłów" kryje się być może, nieuświadomiony ale silny instynkt narodowej wspólnoty z dawną Rosją i jej tradycjami, — kryje się podziw prawdziwego, typowego, kulturalnego Rosjanina dla osoby genjalnego cara-reformatora Piotra Wielkiego i jego wielkiego dzieła, które z barbarzyńskiego, przez Zachód wyśmiewanego i pogardzanego kraju — zrobiło Europę.

Niewątpliwie, miał Tołstoj zamiar przeprowadzić analogję między dwiema rewolucjami: Piotrową i leninowską, wierząc, że przewrót bolszewicki jest ostatecznem dokonaniem rozpoczętego w końcu w. XVII, lecz w połowie drogi zahamowanego — dzieła przetworzenia Rosji.

I analogję tę udało mu się w dobitny, a bardzo subtelny i nierażący sposób zasugerować z wielką siłą czytelnikowi, który chcąc nie chcąc, musi dojrzeć podobieństwo w społecznych zjawiskach obu przewrotów, przedewszystkiem w zjawisku wybijania się na czoło nowych zupełnie ludzi, ludzi z najniższego dołu i brania przez tych ludzi w swe ręce steru rządów i odpowiedzialność za losy kraju. Takimi są w *Piotrze I* kupiec Żygulin, Browkinowie — ojciec, syn i córka i historyczna postać — wyrosły na niekoronowanego samodierżcę — ulicznik Saszka Mieńszykow. Takimi w Sowietach są ci wszyscy, których rewolucja z dołów wyniosła na szczyty, obiecując, że kto niczem był, ten będzie wszystkiem.

A przecież, artysta Tołstoj o tyle przewyższa Tołstoja pisarza propagandowego i historjozofa komunizmu, że zaledwie autor *Aelity* czarem i siłą swego talentu dotknął epoki, osoby i reform Piotra Wielkiego — wnet na daleki, niewidoczny plan schowała się tendencja i teza społeczna i historjozoficzna, dla twórcy zaś i nieuprzedzonego krytyka i czytelnika pozostało tylko wspaniałe epickie arcydzieło, odtwarzające epokę, jej tło i kulturę i wskrzeszające ludzi bez żadnej tendencji, bez żadnego „właściwego punktu widzenia", — ale tak i takich, jakimi byli naprawdę.

Odtwarza zaś epokę i ludzi Tołstoj z taką fenomenalną maestrją, do takiej doskonałości doprowadza swój wspaniale i kla-

sycznie epicki kunszt powieściopisarski, że na przestrzeni jego dzieła rozrzucone są setki małych, kilkudziesięcio- lub kilkunastowyrazowych obrazków narracyjnych i opisowych, które siłą sugestji słowa (i to słowa, zdawałoby się, najprostszego), ekspresji i plastyki, potężniejsze wywierają wrażenie, niż kilkutomowa nieraz książka. Do tych sugestywnych drobnych arcydzieł w arcydziele zaliczyć należy pierwsze zetknięcie się Piotra z prawdziwym Zachodem (salwa powitalna cudzoziemskich okrętów w Archangielsku), spotkanie z Kiestenem w Saardamie, odejście generała Gordona od carewny Zofji do Piotra, nominacja kupca Żygulina na pierwszego „negocjanta", wreszcie przybycie Piotra z zagranicy. A i od większych wspaniałych epizodów roi się cała książka, szczególnie opisy pobytu Piotra w Europie Zachodniej, spotkanie z elektorem brandenburskim, wieczór, spędzony z księżnemi hannowerskiemi i ich dworem.

Z poszczególnych postaci wybijają się na czoło caryca-matka i żona Piotra, dwaj Golicynowie, Romodanowskij, Gordon, elektor Fryderyk — a przedewszystkiem wspaniałe kreacje Mieńszykowa, robiącego oszałamiającą karjerę dzięki urodzie, odwadze, inteligencji, ale i sprytowi i chytrości, — i Leforta, szwajcarskiego doradcy Piotra, inteligentnie i sprytnie umiejącego wlot odgadywać myśli, tęsknoty i życzenia wszechwładnego władcy olbrzymiego, a dzikiego kraju.

Na pierwsze, rozumie się, miejsce wybija się Piotr — sam uosobienie Rosji — połączenie dziwaczne najlepszych właściwości ludzkich z najgorszemi, umysł potężny, wola jeszcze potężniejsza pragnący gorąco dla Rosji kultury i światła, zduszenia ciemnoty i barbarzyństwa, a sam barbarzyńca jednocześnie, nie rozumiejący i nie umiejący odczuć najprymitywniejszych zasad humanitaryzmu — okrutnik, sadysta niemal, własnoręcznie dokonywujący barbarzyńskich egzekucyj.

Najsłabiej — jak zwykle to (poza Sienkiewiczem i Tołstojem) zdarza się w powieści historycznej — wyszły postacie bohaterów romansowych, zmyślonych, głównie Aloszki Browkina.

Piotr I to powieść o narodzie, o całem do kości się zmieniającem i przetwarzającem społeczeństwie. Tak traktował swe dzieło Tołstoj i plan swój znakomicie wykonał. A jednak — niewiadomo, czy i o ile z woli lub pomimo woli autora — jest to przedewszystkiem powieść o wielkim genjalnym człowieku — o jednym z tych, którzy są twórcami dziejów, — powieść o carze-reformatorze na wspaniale odtworzonem tle epoki.

Tworząc największe arcydzieło z zakresu powieści historycznej w swojej epoce, czyni Aleksy Tołstoj zadość tradycji rodzinnej, — jest bowiem trzecim (po Aleksym, autorze *Księcia Srebrnego* i wielkim Lwie, twórcy *Wojny i Pokoju*) pisarzem rosyjskim tego nazwiska, wybijającym się w tym rodzaju literackim na czoło swej epoki.

Iwan Nażywin: Lilje Antinoosa.[1])

Żadaniem krytyki literackiej jest zwracanie uwagi na najwybitniejsze, najlepsze, najznakomitsze zjawiska w dziedzinie twórczości pisarskiej. Czasem jednak trzeba zwrócić uwagę na zjawisko najgorsze, na rzecz całkowicie chybioną, nieudaną, tem bardziej, gdy wyjdzie spod pióra pisarza wielkiej miary, od którego spodziewaliśmy się czegoś conajmniej nieprzeciętnego. To też z pewną przykrością, ale lojalnie trzeba stwierdzić, że *Lilje Antinoosa,* najświeższe dzieło wybitnego rosyjskiego pisarza emigracyjnego, Iwana Nażywina, autora głośnego i naprawdę wysoce wartościowego *Rasputina,* piszącego dotąd zupełnie poprawne, a nawet dobre powieści historyczne, przeważnie z dziejów Rosji — jest jedną z najgorszych powieści historycznych naszych czasów, w niezwykle przykry sposób kompromitującą i bez tego marną dziś opinję mający — rodzaj literacki. To też zestawiać *Lilje Antinoosa* z *Piotrem I* Tołstoja można o tyle tylko, by na podstawie jaknajbardziej powierzchownego choćby porównania móc lojalnie stwierdzić, że jest to pierwsza naprawdę okropna i haniebna klęska rosyjskiej literatury emigracyjnej w jej walce z sowiecką o reprezentowanie piśmiennictwa rosyjskiego na arenie światowej. I to klęska na polu powieści historycznej, a więc w dziedzinie, która do niedawna jeszcze dla odwracającej się z pogardą od wszelkich związków z przeszłością — literatury sowieckiej — była *tabula rasa.*

Nażywin przenosi nas do Rzymu starożytnego, ściślej mówiąc do Cesarstwa Rzymskiego w epoce imperatora Hadrjana (II w. po Chr.). Otóż wszystko w tej powieści: próby odtworzenia ducha epoki, tło, fabuła, a przedewszystkiem postacie bohaterów: cesarza Hadrjana, jego ulubieńca Antinoosa, Joli, Bar-Kochby i figury charakterystycznych typów epoki: stoików, cyników, epikurejczyków, kapłanów, chrześcijan, Greków, Żydów — są szablonowe, banalne, aż zdumiewające, jak to wszystko mogło powstać pod piórem tak wybitnego pisarza. Akcja erotyczna równie banalna, robienie zaś z przywódcy żydowskiego powstania, Bar-Kochby romantycznego kochanka staje się nonsensem nietylko historycznym, ale i artystycznym. Chwilami odnosi się wrażenie że ta powieść to zadanie szkolne na temat: „Napisz powieść historyczną z epoki Hadrjana, wyzyskując gdzieniegdzie motywy sienkiewiczowskie (Ligja, Chilo, Petronjusz) i odpowiednio do epoki je modyfikując".

Mimowoli więc nasuwa się pytanie, w jakim celu starzejący się, ale doniedawna jeszcze pełen sił twórczych autor wziął się do tego szkolnego zadania. Poco?... Odpowiedź znajdziemy we wstępie:

---

[1]) Iwan Nażiwin: *Lilii Antinoja,* istoriczeskij roman, Brüssel 1933, str. 267+5 nl+XXXII.

...trzecia części mojej pracy, która się kończy ostateczną klęską biednego Jezusa z Nażaretu przy pozornym zewnętrznym jego triumfie...

Okazuje się, że Nażywin zamierzał w swej powieści artystycznie odtworzyć obraz „ostatecznej klęski chrześcijaństwa za Hadrjana" lub przynajmniej dowieść, że wtedy miała miejsce ta klęska (wewnętrzna, duchowa) przy pozornym zewnętrznym jego triumfie.

Gdyby nie ten wstęp, czytelnik nigdyby się nie domyślił, że blada, nie robiąca żadnego wrażenia scena zgromadzenia chrześcijan ma być „wykończeniem" chrześcijanstwa. Z powieści tego wcale nie widać, jak i nie widać potęgi i czaru antycznego świata za czasów Hadrjana.

Rosyjskiej literaturze emigracyjnej ubył jeszcze jeden wybitny pisarz.

W. Katajew: N a p r z ó d, c z a s i e![1])

Oto typowy, dobry, inteligentnie i z nerwem napisany reportaż sowiecki. Reportaż to bowiem, a nie powieść, tem bardziej, że w końcu książki autor wyraźnie zwraca się do czytelnika z przeświadczeniem, że wie, kto ukrywa się pod wymyślonemi nazwiskami bohaterów. To też nie można do *Naprzód, czasie!* stosować tych kryterjów, z jakiemi podchodzimy do *Piotra I* czy *Zoranego ugoru* — nie jest to bowiem w żadnym wypadku dzieło czy próba dzieła sztuki. Mylą się więc ci, którzy chcą widzieć w powieści Katajewa typowy, klasyczny niemal okaz powieści sowieckiej. *Naprzód, czasie!* nie może być porównywane ani z *Zoranym ugorem,* ani z *Cichym Donem,* ani nawet z *Wołga wpada do morza Kaspijskiego* Pilniczka, bo są to wartości niewspółmierne, tak samo np. imponująco pod względem techniki zrobiona nowoczesna fotografja i portret pendzla wielkiego czy choćby średniego ale oryginalnego artysty-malarza. Nieprzewyższonym typowym okazem propagandowej powieści sowieckiej pozostanie *Zorany ugór* Szołochowa, *Naprzód, czasie!* zaś może interesować, jako klasyczny typ sowieckiego reportażu. A że opinja i krytyka dzisiejsza nieraz traktuje reportaż, jako dzieło sztuki, jest to wynikiem godnego pożałowania pomieszania pojęć, grożącego bardzo poważnemi a niebezpiecznemi skutkami w zakresie odczuwania estetycznego i artystycznego smaku.

Jeżeli natomiast będziemy na powieść Katajewa patrzeli tak, jak na to zasługuje, to znaczy na żywo — i jak się powiedziało — inteligentnie napisany dokument pewnego odcinka życia w dzisiejszej Rosji, możemy dowiedzieć się stamtąd dużo ciekawych rze-

[1]) W. Katajew: *Naprzód, czasie!* Przełożył Dr. J. P. Zajączkowski, Warszawa 1934. Towarzystwo Wydawnicze „Rój", str. 296.

czy z dziedziny przemysłu sowieckiego i życia jego pracowników. Wprawdzie typy tych pracowników są niesłychanie szablonowe, i jesteśmy już przyzwyczajeni do tego, że prości robotnicy i skromni, duchowo nieskomplikowani młodzi inżynierowie okazują się ludźmi bardziej wartościowymi od inteligentnych, kulturalnych na sposób europejski, (och, z jakimże przekąsem mówi o tem autor!), mówiących po angielsku inżynierów starszego pokolenia, — i nie robi na nas wrażenia szkolny niemal charakter posiadająca nauczka (ot zbierał, zbierał Amerykanin pieniądze — 20.000 chciał zebrać, zebrał 18, jeszcze dwa zostało, już, już był blisko końca, — i zabito go... i co mu po pieniądzach?) o marności pracy dla pieniędzy, tem bardziej, że już na długo przed Katajewem powiedziane zostało: „Coby pomogło człowiekowi, gdyby cały świat zyskał, a na duszy szkodę by poniósł...". Tem niemniej czyta się reportaż z wciąż wzrastającem zaintrygowaniem, ma bowiem szybkie tempo i charakter czysto sportowy: chodzi o pobicie rekordu. Z takiem samem zainteresowaniem czyta się *Wygę* Jacka Londona, choć na to porównanie i oburzą się pewnie entuzjaści *Naprzód, czasie!*; powiedzą, że tu chodzi o bezinteresowną pracę społeczną, o budownictwo cywilizacji, a tam o własność prywatną... ale cóż, kiedy wyścig do kopalni złota u amerykańskiego pisarza jest conajmniej tak samo emocjonujący, jak sprawa rekordu w mieszaniu betonu u Katajewa.

I jeszcze jedno. Katajew pisze, że rewolucja rosyjska więcej warta od francuskiej, że betoniarka systemu Jaeger jest tysiące i tysiące razy więcej warta od bronzowego fraka Dantona czy czapki frygijskiej — trudno jednak nie odnieść wrażenia, że frak Dantona jest przynajmniej tyle wart, co nabożnie czczone pamiątki po Dzierżyńskim czy Świerkłowie.

Iwan Bunin: W i e ś.[1])

Gdy w listopadzie 1933 r. prasa przyniosła wiadomość, że literacką nagrodę Nobla przyznano Iwanowi Buninowi, zdziwili się wszyscy. Zdziwili się nawet ci, dla których to odznaczenie Bunina oznaczało wielki triumf i to zarówno kulturalny, jak i polityczny, mianowicie skrajnie prawicowe sfery emigracji rosyjskiej, z któremi Bunin był silnie związany i sympatjami, i całą swą konstrukcją psychiczną i artystyczną. Wprawdzie sfery te udały odrazu i dziś jeszcze udają, że oddawna spodziewały się nagrodzenia najwyższem odznaczeniem literackiem świata pisarza tej miary, co Bunin, — że nawet dziwiły się, dlaczego z nagrodą tą tak zwlekano — naprawdę jednak to oni się wraz z całym światem dziwili, czemu właśnie Buninowi ją dano, i wprawdzie mile, ale zawsze bądź co bądź zaskoczone zostały osobą nowego laureata.

[1]) Iwan Bunin: *Wieś*, przekład Zofji Petersowej, Warszawa 1934, wydawnictwo J. Przeworskiego, str. 324.

Cały zaś świat dziwił się tem bardziej, im mniej o osobie i twórczości Bunina wiedział i słyszał, a słyszał i wiedział bardzo mało. Bunin bowiem nietylko zagranicą, ale i w Rosji przedwojennej nigdy nie był bardzo popularny. To też tu i ówdzie padać zaczęły zarzuty, że nagrodę przyznano mu niesłusznie, że jeżeli chodzi o odznaczenie autora rosyjskiego, to są sławniejsi i godniejsi, — i że uwieńczenie Bunina jest aferą polityczną i demonstracją, skierowaną przeciwko Rosji Sowieckiej i tworzonej tam socjalistyczno-proletarjackiej kulturze i sztuce.

Trzeba przyznać, że była to prawdopodobnie i demonstracja polityczna ze strony uważających się za strażników kultury zachodnio-europejskiej członków jury, które przyznało nagrodę — Szwedów.

Były jednak pobudki głębsze i to tego rodzaju, że przy minimum dobrej woli, bezstronności i znajomości dziejów literatury rosyjskiej i stosunków jej z Europą zachodnią — nie trudno znaleźć wystarczające wytłumaczenie i uzasadnienie, dlaczego to właśnie Bunin został laureatem Nobla.

Od lat trzydziestu zgórą w opinji zarówno sądu rozstrzygającego o nagrodzie, jak i w opinji mas czytelniczych całego świata, odznaczenie ufundowane przez Nobla, jest jakby unieśmiertelnieniem żyjącego jeszcze pisarza w Panteonie najznakomitszych przedstawicieli współczesnej literatury, przedstawicieli reprezentujących w tym Panteonie bądź swój własny, indywidualny, ponad miarę ogólną wyrastający genjusz, bądź też literatury swoich narodów... te literatury, które na czołowe wybijają się miejsca w literaturze światowej. Nagroda Nobla to nie tylko uwieńczenie zasług indywidualnych pisarza, ale też i oddanie należnego hołdu tym literaturom, które największą odegrały rolę w dziejach kultury ludzkiej, w Panteonie Nobla, oprócz Francuzów, Niemców, Anglików, Włochów, Polaków, Hiszpanów — mamy Belgijczyka, Szwedów, Irlandczyka, Hindusa. Do roku 1933 nie było jednak ani jednego Rosjanina, co było wielką niesprawiedliwością zważywszy rolę, jaką literatura rosyjska odegrała na terenie międzynarodowym w końcu XIX i na początku XX stulecia. Postanowiono więc niesprawiedliwość odrobić, krzywdę naprawić i nagrodzić pisarza rosyjskiego.

Ale kogo?...

Tą literaturą rosyjską, która w drugiej połowie XIX wieku utorowała sobie drogę na Zachód i wlot zdobyła zainteresowanie, zdumienie, podziw i entuzjazm tego Zachodu, odnosząc zagranicą triumfy, większe częstokroć, niż we własnym kraju — była literatura inteligencko-ziemiańskā, ta, która do najwyższych szczytów artyzmu doprowadziła powieść realistyczną z tezą społeczną i moralną, która zdumionemu Zachodowi nowy świat pokazała: nieograniczone, tyle tajemnic w sobie kryjące, bezkresne przestrzenie olbrzymiej Rosji i równie nieograniczone, a w jeszcze więcej

tajemnic obfitujące, możliwości i właściwości duszy rosyjskiej. Ta wreszcie literatura wydała Gonczarowa, Sołtykowa, Szczedrina, Czechowa, a przedewszystkiem najbardziej ubóstwianą na Zachodzie trójcę: Turgieniewa, Dostojewskiego i Tołstoja.

Taką literaturę rosyjską Zachód poznał, takiej złożył hołd i takiej też powinien był oddać zewnętrzną oznakę swego hołdu. Tytani jednak tej ziemiańsko-inteligenckiej literatury dawno spoczęli w grobie, i nie tylko już literatury tej, ale i starej Rosji, która ją wydała, niema. Lecz w umysłach i sercach Zachodu Rosja ta wciąż żyje, żyje w dziełach wielkich genjuszy — olbrzymów powieściopisarstwa — to też nagrodę otrzymuje ostatni tej Rosji i tej rosyjskiej ziemiańsko-inteligenckiej literatury przedstawiciel: Iwan Bunin, ostatni epigon Złotego Wieku.

Nagradzając Bunina, Europa nagradza całą rosyjską ziemiańsko-inteligencką literaturę, spłaca dług wdzięczności, zaciągnięty za tyle potężnych przeżyć artystycznych i duchowych, których źródłem były dzieła trzech tytanów powieści rosyjskiej, Czechowa, Gonczarowa i innych. Czyż rzadko się zdarza, że ktoś szlachetny i wdzięczny, dług, u wielkiego ojca zaciągnięty, mniejszemu, ale prawemu spłaca synowi?

A Bunin jest istotnie ostatnim przedstawicielem rosyjskiej kultury ziemiańskiej i jej wielkiej niegdyś literatury. W dodatku nie jest on tylko figurantem, małym dziedzicem wielkich tradycyj, epigonem — jest on bezprzecznie dużej miary artystą — artystą bardzo subtelnym, spokojnym i zrównoważonym, posiadającym wysokiego gatunku kulturę i smak artystyczny w stopniu, bardzo rzadko spotykanym u pisarzy powojennych.

Przedewszystkiem jednak jest Bunin najznakomitszym nowelistą rosyjskim XX w., a może i nie rosyjskim tylko. W twórczości jego nie znajdziemy jakichś większych na szerszą skalę zakrojonych kompozycyj: największa, a zarazem ostatnia rzecz jego — nawpół autobiograficzne *Życie Arsienjewa* jest zarazem jedną z najsłabszych. Jest natomiast Bunin autorem wielkiej ilości drobnych arcydzieł, prawdziwych pereł nowelistyki, których niesposób przeliczyć, ale z pomiędzy których wymienić należy *Na letnisku, Jesień, Sen, Miłość garbusa, Szeroki oddech, Ida* i kilka nieco rzeczy większych jak *Puchar życia, Miłość Mitii* i wspaniały *Pan z San Francisko.*

Jeżeli chodzi o zakres tematycznych zainteresowań Bunina, to jest on przedewszystkiem piewcą inteligencji wiejskiej, ostatnim bardem dworu, wsi szlacheckiej i ziemiaństwa. Ta inteligencja wiejska to w jego czasach świat, znajdujący się w stanie degeneracji i dekadencji, świat ginący, ale świat to jego własny, a więc bliski mu i sympatyczny, to też zwykle chłodny, beznamiętny i z góry, jakby z olimpijskim spokojem patrzący na życie i ludzi — Bunin rozgrzewa się nieco i wzrusza, gdy pisze o wsi szla-

checkiej i jej mieszkańcach, darząc ich objawami jeżeli nie sympatji, to w każdym razie współczucia.

Zimna, beznamiętna i obojętna na losy ludzkie, traktująca je jako temat artystyczny wyłącznie — epicka, obserwacyjno-malarska postawa Bunina — artysty różni go zasadniczo od gorąco kochającego ludzi i wrażliwego na ich cierpienia, Turgieniewa. Dlatego też nazywanie Bunina „Turgieniewem XX wieku" nie jest zbyt trafne, oparte jest bowiem wyłącznie na podobieństwie zewnętrznem.

Epickość Bunina, jego talent obserwatorski, plastyczny i narratorski najsilniej występuje we *Wsi*, która utorowała mu drogę do Akademji Rosyjskiej w Petersburgu. W dużej tej noweli stwarza Bunin sugestywny obraz wsi rosyjskiej i odmalowuje duszę chłopa rosyjskiego w całej jej pierwotności i dzikości, i w tem tkwi epokowe znaczenie *Wsi* w literaturze rosyjskiej, że autor jej miał odwagę zerwać z chłopomaństwem, z fałszywą idealizacją duszy „mużyka", a pokazał nam tę duszę w całej jej nagiej, a strasznej prawdzie — pokazał tę beznadziejną, barbarzyńską otchłań duchową, znajdującą się we władzy straszliwej ciemnoty i najniższych instynktów.

Wieś kończy okres sielankowości w rosyjskiej literaturze na tematy chłopskie, — staje się alarmem, przestrzegającym przed grożącym wszelkiej kulturze niebezpieczeństwem ze strony tego strasznego, pogrążonego w ciemnocie i barbarzyństwie świata jakim jest dusza ludu rosyjskiego.

W polskiem wydaniu *Wieś* dano do rąk czytelnikowi razem z *Suchym dołem*. Ta ostatnia nowela najlepiej zapozna nas z Buninem, jako wielkim artystą-piewcą wsi szlacheckiej i jej ponurych często tradycyj.

(Dok. nastąpi).

Teodor Parnicki.

Notatki bibljograficzne.

Stanisław Pigoń: Sąd nad Polską w „Panu Tadeuszu" Kraków 1934. nakł. Polskiej Akademji Umiejętności. Str. 24.

Jest to odczyt, pełen głębokich myśli który znakomity znawca Mickiewicza wygłosił na publicznem posiedzeniu Polskiej Akademji Umiejętności, dn. 16 czerwca 1934 r.

Edward Ciborowski: Parę uwag o jedwabiu ze stanowiska gospodarczego. Łomża 1034, str. 20.

Przywozimy do Polski rocznie, pisze autor, około 600 ton jedwabiu i jego przeróbek, płacimy za to kilkadziesiąt miljonów złotych, a tymczasem posiadamy w kraju dobre warunki do produkcji tego surowca, która doskonale mogłaby się rozwijać obok wyrobu jedwabiu sztucznego. Twierdzenie to poparte jest licznemi danemi statystycznemi.

Z. Łotocki: Łucznictwo. Sprzęt, zaprawa, zawody. Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa. Str. 106 z ilustr. (2 zł.)

Sport łucznictwa rozwinął się silnie zagranicą, a ostatnio i u nas. Przyczyniły się do tego zarówno jego zalety — wyrabia bowiem orjentację, szybkość decyzji i opanowanie nerwowe, ćwiczy wszystkie mięśnie — jak taniość i dostępność tego sportu dla wszystkich, niezależnie od wieku i płci. W broszurze powyższej, o charakterze podręcznikowym, zestawił autor cały dorobek techniczny naszego łucznictwa, podaje zasady strzelania z łuku, wskazówki co do zaprawy, terenu i zawodów, oraz omawia wyrób łuków i strzał. Liczne ilustracje ułatwiają zrozumienie rzeczy, nawet bez instruktora.

Jerzy Podoski: Strzelanie. Podręcznik dla początkujących i zawodników. Warszawa 1934. Gł. Księgarnia Wojskowa. Str. 122 z ilustr. (2. 50.)

Sport strzelecki, jako przygotowujący pośrednio do obrony kraju, cieszy się zrozumiałem poparciem władz państwowych i organizacyj, pracujących na polu samoobrony państwa. Podręcznik znanego fachowca, kpt. J. Podoskiego, zbiera właściwe i pomocnicze wskazówki, dotyczące strzelania, pożyteczne nietylko dla początkujących, lecz i dla dobrze zaawansowanych strzelców, dzięki czemu nadaje się dla wszystkich, a złaszcza dla kół sportowych organizacyj przysposobienia wojskowego i osób wojskowych. Wiadomości tu zamieszczone dotyczą strzelania z broni długiej i krótkiej.

Dr. Johannes Baptist Sägmüller: Lehrbuch des katholischen Kirchenrechts. 4 Aufl., I Band, vierter Teil. Freiburg im Breisgau 1934, Herder. Str. 461—655

Powoli ale wytrwale ukazuje się czwarte, nanowo opracowane wydanie znanego podręcznika prawa kościelnego. Niniejszy zeszyt poświęcony jest osobom kościelnym i omawia szczegółowo osobę papieża i jego współpracowników.

Ludwik Łakomy: Obrazki z powstań Górnośląskich. Warszawa 1934, Wojskowy Instytut Nauk. - wydawniczy. Str. 75. (0.90 zł.).

Jest 22-y tomik „Bibljoteczki Żołnierza Polskiego", który żywo i barwnie, z zachowaniem w dialogach gwary śląskiej, opowiada zdarzenia z walk powstańczych z Niemcami. Poznajemy tu bohaterstwo naszych rodaków, którzy nie pozwolili się wynarodowić, zaznajamiamy się z ich życiem i ówczesnemi stosunkami.

Siedem opowieści. Cyki nowel z życia żołnierskiego. Warszawa 1934 Wojskowy Instytut Naukowo - wydawniczy. Str. 164 z ilustr. (2.30 zł.).

Jest to zbiór nowel, różnych autorów, nagrodzonych na konkursie literackim „Żołnierza Polskiego". Napisane prosto, interesująco i z humorem, dają opisy walk i obraz pełnej cnót żołnier-

skich duszy żołnierza frontowego. Lektura zajmująca zwłaszcza dla młodzieży i żołnierzy.

Piotr Wiśniewski: O Polakach Zagranicą. Zbiór wiadomości do użytku młodzieży. Warszawa 1934, nakł. Rady Org. Polaków z Zagranicy. Str. 28.

Bardzo pożyteczna broszura, przeznaczona wprawdzie dla młodzieży, ale z pewnością bardzo wielu dorosłych z niej dopiero dowie się bliżej o liczbie i rozmieszczeniu naszych rodaków w świecie. Broszura nawiązuje do sierpniowego zjazdu i utworzenia Światowego Związku Polaków, podaje adresy instytucyj, mogących służyć informacjami, oraz wykaz czasopism i literatury o Polakach zagranicą.

Bolesław i Józef Adamowicze: Przez Atlantyk. Spisał z relacji lotników i opracował St. Strumph Wojtkiewicz. Warszawa 1934, M. Arct. Str. 88 z ilustr. (2 zł.).

„Po raz pierwszy szlak północny Atlantyku pokonany został przez Polaków" podkreśla w przedmowie Aeroklub Rzplitej Polskiej. Był to więc fakt, który zasługiwał na uwiecznienie i któremu dano wyraz w całym kraju. Historję tego lotu, który miał i chwile dramatyczne, oraz zwycięski jego koniec opisuje żywo i plastycznie powyższa broszura. Wartość jej podnosi ta okoliczność, że podaje ona zarazem życiorys bohaterów, którzy tylko siłą woli i twardą pracą doszli do możności zrealizowania swych planów. Rzecz wydana w gustownej barwnej okładce i ozdobiona kilkunastoma ilustracjami na specjalnych wkładkach, stanowić będzie dla wszystkich interesującą lekturę.

Jędrzej Giertych: Za północnym kordonem. (Prusy Wschodnie) Warszawa, Ossolineum 1934. Str. 237 z jedną mapą geogr.

Owoc bardzo sumiennych, osobistych badań warmijsko-mazurskiej ziemi, objętej Prusami Wschodniemi, o ile ona przedstawia interes z punktu widzenia narodowości i państwowości polskiej. Autor zna swój przedmiot doskonale i opisuje go w sposób ściśle objektywny, choć z gorącem umiłowaniem tych resztek polszczyzny, które za naszą północną granicą walczą z wiekowym zalewem germanizacyjnej fali; z serdecznem zainteresowaniem zwiedza się z autorem każdy zakątek tej ziemi, wnika się w każdy tamtejszy problem, obserwuje się każdy wysiłek narodowych na tem polu pracowników, podejmowany nieraz z prawdziwem bohaterstwem dla obrony języka i wiary. Książka nic na tem nie traci, że jest zbiorem artykułów, drukowanych głównie w *Kurjerze Warszawskim*. Należałoby gorąco sobie życzyć, żeby jaknajwiększa liczba Polaków przeczytała tę książkę nietylko dla poznania Prus Książęcych, ale też dla zorjentowania się ile jest do roboty na naszych kresach i jak dla tej ludności kresowej pracować.

Abbé Rémy: Voyage dans les merveilles de l'espace. Paris - Téqui. Coll. „Je sème". 1934, str. 76, z wielu ilustracjami.

Bardzo ładna, ciepła a naukowo doskonale udokumentowana rzecz o dziwach gwiaździstego nieba. Począwszy od księżyca, planet, słońca, aż do gwiazd stałych i najodleglejszych mgławic, opisuje autor światy rozsypane w przestrzeni, ustawicznie ale dyskretnie zwracając myśl ku wszechmocy Stwórcy. Ilustracje z fotografij nieba doskonale objaśniają tekst. Dla młodych zwłaszcza, ale nietylko dla młodych, wyborne wprowadzenie w początki opisowej astronomji.

C. d'Eschevannes: Pasteur. Sa vie, sa foi, son oevre. Paris-Téqui 1934. Str. XV i 234. 8 ilustr.

W chwili gdy nowa fala bezbożnictwa usiłuje przedstawić niewiarę, jako postulat i wynik gruntownej wiedzy, na czasie jest wydanie żywotu jednego z największych uczonych lat naszych, a przytem wierzącego, praktykującego, owszem wojującego katolika. Na kartkach tych wielki lekarz i badacz wychodzi jak żywy, z całym płomiennym zapałem do wiedzy, z całem umiłowaniem ludzkości której chciał służyć, z całą nieugiętością, owszem niekiedy szorstkością charakteru, z całą głęboką miłością Boga i Chrystusa, którą do końca się odznaczał. Książka zasługująca na szerokie rozpowszechnienie. Przydałoby się przynajmniej obszerniejsze jej streszczenie po polsku.

Dom de Monléon. Bénédictain: Le Christ-Roi. Paris-Tequi 1934. Str. 126.

Jest to siedm rozważań, czy czytań lub materjału do kazań konferencyj na temat królewskości Chrystusa. Świat potrzebuje króla, Kto jest tym królem?, Królestwo Chrystusowe, Tytuł krzyża, Chrystus król świata, Król umysłów, Król serc. Ujęcie głębokie, myśli świeże. Rzecz pożyteczna kaznodziejom i głębiej myślącym wiernym.

Vicomte Le Gouvello: Armelle Nicolas, dite la Bone Armelle. Wyd. 2. Paris - Téqui 1934. Str. 370.

Bardzo słusznie wydano napowrót żywot głośnej Sługi Bożej z XVII w., która w najskromniejszych funkcjach prostej służącej, doszła do szczytów świętości i mistycznego obcowania z Bogiem. Ciekawa ilustracja tej Francji Ludwika XIII i XIV, w której obok mnóstwa złego, były takie wspaniałe kwiaty najwyższej chrześcijańskiej cnoty. Dobrą tę książkę, ozdobioną wielu ilustracjami każdy przeczyta z wielkim pożytkiem i pociechą.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Herder & Co. Verlag, Freiburg im Breisgau, 1934 r.

Katholische Leistung in der Weltliteratur der Gegenwart. Dargestellt von führenden Schriftstellern und Gelehrten; herausgegeben von Otto Forst Battaglia. Str. 387.

Dr. Edmund Kalt: Biblische Archäologie. 2 Aufl. Str. XII+148, 8 fablic i 23 ilustr.

Jan Svensson: Wie Nonni das Glück fand. Str. VI+175.

Verlag Anton Pustet, Salzburg:

Alja Rachmanowa: Studenten, Liebe, Tscheka und Tod. Tagebuch einer russischen Studentin. 5 Aufl. Str. 456.

Dr. Dietrich v. Hildebrand, Uniw.-Prof.: Liturgie und Persönlichkeit. 2 Aufl. Str. 197.

Dr. Joseph Dillersberger: Wer es fassen kann... Gedanken über. Jungfräulichkeit und Zölibat aus Schrift und Liturgie. 2 Aufl. Str. 260.

Michael Pfliegler: Heilige Bildung. Gedanken über Wesen und Weg christlicher Vollendung. 2 Aufl. Str. 178.

Dr. Anton Stonner: Briefe an Priester. Väterstimmen zum Priesterideal. Str. 108.

Karl Pfleger: Geister, die um Christus ringen. Str. 313.

Alja Rachmanowa: Ehen im roten Sturm. Tagebuch einer russischen Frau. 7 Aufl. Str. 412.

Alja Rachmanowa: Milchfrau in Ottakring. Tagebuch einer russischen Frau. 6 Aufl. Str. 332.

Dr. P. Virgil Redlich O. S. B.: Religiöse Lebensgestaltung. 2 Aufl. Str. 152,

Nakładem różnych.

Roman Grodecki, Kazimierz Lepszy, Józef Feldman: Kraków i Ziemia Krakowska. Lwów 1934, Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Str. 285 z ilustr.

Ks. Dr. Jan Bolesław Łubieński: Psychoanaliza Freuda w świetle prawdy chrześcijańskiej. Lwów, (księg. Zakł. Nar. im. Ossolińskich). Str. 191.

Bibljoteczka filozoficzna. Lwów 1934, Polskie T-stwo Filozoficzne (księg. Książnica-Atlas):

1. Platon: Eutyfron. Przełożył Wład. Witwicki. Str. 36.
2. Henryk Struve: O najważniejszej zasadzie postępowania etycznego. Str. 36.
3. Kazimierz Twardowski: O tak zwanych prawdach względnych. Str. 44.
4. Władysław Witwicki: Analiza psychologiczna ambicji. Str. 44.
5. Jan Łukasiewicz: O nauce. Str. 40
6. Tadeusz Kotarbiński: Czyn. Str. 32.

C. Testore: I Martyri Gesuiti del Sud-America, Isola del Liri 1934, Soc. Tip. A. Macioce et Pisani. Str. XVI+194 z ilustr.

P. Samuelle Da Chiaramonte M. C.: S. Conrado Da Parzham. Laico Cappuccino. Cenni biografici. Tamże 1934. Str. 99.

Sac. Sisto Colombo: S. Giovanni Bosco 1815-1888. Cenni biografici Torino, Società Ed. Internazionale. Str. 191 z ilustr.

D. Silverio Mattei: Santa Maria Michelina del SS. Sacramento. Brevi cenni. Roma, Suore Adoratrici Spagnole. Str. 55 i ilustr.

Ks. Antoni Lorens: O prawdzie zawartej w Piśmie św. i o warunkach jej poznania. Miejsce Piastowe 1934, nakł. Tow. św. Michała Arch. Str. 35.

Nauka Polska. Jej potrzeby, organizacja i rozwój: T. XIX. Warszawa 1934, Wyd. Kasy Im. Mianowskiego. Str. XI+573.

Dr. Juljan Krzyżanowski: Romans Polski Wieku XVI. Lublin 1934 T-stwo Przyjaciół Nauk. Str. VI+284, 27 tablic i 67 ilustr. w tekście.

Adrjan Divéky: Co chcieli zrobić i co zrobili Węgrzy dla Polski w okresie wojny. (Odbitka) Warszawa 1934, str. 44,

Teleilat Ghassul. I. Compte Rendu des Fouilles de l'Institut Biblique Pontifical, 1929—1932. Par Alexis Mallon S. J., Robert Koeppel S. J., René Neuville. Rome, 1934. In 4°, str. XVIII+196, 72 tablic i liczne ilustr. w tekscie

Paweł Zajcew: Szewczenko i Polacy. Warszawa 1934, nakł. „Biuletynu Polsko- Ukraińskiego". In 16°, str. 84 z ilustr.

Dr. Stanislaus Frankl: Doctrina Hosii de Notis Ecclesiae in luce saec. XVI considerata. Romae 1934, Frid. Pustet. Str. XXVIII+186.

Henryk Mianowski i Ludwik Berger: Len w polskiej strukturze gospodarczej. Nakł. T-stwa Ekonomicznego w Krakowie Str. VIII+96.

Ludwik Berger: Polski eksport metalowy i projekt jego usprawnienia. Tamże; str. 32.

Janina Ryngmanowa: Dobrowolna służba pracy w Niemczech jako eksperyment społeczny. Tamże, str. 47.

Ferenczi Imre: Trudności demograficzne międzynarodowej polityki społecznej. Tamże, str. 39.

Antoni Marczyński: Przygoda w Biarritz. Poznań 1934, Bibljoteka *Dziennika Poznańskiego*. Str. 158.

Hildegard Schaeder: Die dritte Koalition und die Heilige Allianz. Nach neuen Quellen. Königsberg — Berlin 1934, Ost-Europa — Verlag. Str. VIII+100.

Mamert Miż-Miszyn: II-i Zjazd Polaków z Zagranicy. Warszawa 1934, Rada Organizacyjna Polaków z zagranicy. Str. 24.

Dr. Stefan Truchim: Pierwsza baterja haubic Legjonów Polskich. Warszawa 1934, Wojskowy Instytut Nauk.-Wydawniczy. Str. 75 z ilustr.

Kazimierz Laskowski: Samoobrona w 17-u chwytach. Warszawa, 1934, Główna Księgarnia Wojskowa. Str. 22 z licz. wkładkami ilustr.

Wiktor Kwast i Kpt. Józef Baran: Piłka siatkowa. Podręcznik dla gracza. Tamże 1934; str. 135 z ilustr.

Czesław Mierzejewski: Zaprawa lekkoatletyczna. Wyd. 2. Tamże 1934; str. 62 z ilustr.

Rocznik Literacki na rok 1933. Pod redakcją Zygmunta Szweykowskiego. Warszawa 1934, Instytut Literacki. Str. 348.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wielka żałoba Austrji i Kościoła. — Prześladowanie religijne w Niemczech. — Niegodna napaść na misje katolickie.

Wśród tych wydarzeń, które w ostatnich miesiącach płynęły równie wartkim pędem, jak wezbrane wody naszych górskich strumieni, był jeden, który w zupełnie szczególny sposób wstrząsnął miljonami serc. Żałobna wieść, która zrazu w mętnej, potem w coraz tragiczniej sprecyzowanej formie, w nocy z 25 na 26 lipca zaczęła z Wiednia rozchodzić się po świecie, była jednak zupełnie czem innem, jak zwykłą polityczną sensacją. Każdy kto umiał głębiej czuć i myśleć, zrozumiał odrazu, że śmierć bohaterskiego kanclerza Austrji to jeden z tych faktów, które od dramatu Golgoty raz po raz powtarzając się w dziejach chrześcijaństwa, pomimo całego smutku, który im towarzyszy, mają na sobie charakter tego najwyższego i najpiękniejszego czynu, na jaki człowiek zdobyć się może, to jest charakter o f i a r y. W całem swem życiu a przedewszystkiem w swoim tragicznym, zgóry przewidzianym i przyjętym zgonie złożył siebie Dr. Dollfuss w ofierze za najświętsze, najcenniejsze dobra, dla jakich człowiek żyć i umrzeć może.

Do tej wielkiej roli przygotował się on najpierw, zupełnie niepospolitem duchowem wyrobieniem. Do samej głębi duszy religijny i żarliwie pobożny, osiągnął on w swem niedługiem życiu ten stopień cnót chrześcijańskich, który na jego stanowisku i przy jego rodzaju zajęć musi budzić rzeczywisty podziw. Absolutnie bezinteresowny, w prywatnem i publicznem życiu kryształowo czysty, skromny, łagodny, uprzejmy dla wszystkich a tylko w wymaganiu od siebie nieubłagany — takim był ten człowiek i ten chrześcijanin doprawdy w niejednym z tych szczegółów, które dziś licznie wychodzą na światło dzienne, przypominający świętych.

Ale to osobiste, nadprzyrodzone życie, które tak pięknie przebijało w pogodnych, po dziecięcemu jasnych oczach wielkiego Zmarłego, było tylko jedną stroną jego duchowego oblicza. Była i druga strona, doskonale sharmonizowana z pierwszą, ale taka, że nie łatwo byłby się jej domyślił ten, kto tylko z zewnątrz znałby postać „małego Kanclerza". Bo istotnie trudno byłoby w to uwierzyć, gdyby rzeczywistość nie dała na to niezbitych dowodów, że ten drobny, cichy człowiek o łagodnym a czasem niemal figlarnym uśmiechu, to był nietylko pierwszorzędny mąż stanu, ale jeden z tych, co potrafią w najtrudniejszych chwilach stać się wodzami i zbawcami całego narodu. Bystry umysł, jasny sąd w ocenie sytuacji, umiejętność decyzji a nadewszystko żelazna i konsekwentna wola, to wszystko miał Dr. Dollfuss w stopniu bardzo wysokim i to wszystko oddał bez zastrzeżeń w służbę najwyższych ideałów.

Przykra i upokarzająca to rzecz, że jedno z poczytnych pism polskich nad świeżą mogiłą Kanclerza Austrji odważyło się mówić o ideologicznej pustce, w jakiej on rzekomo miał błądzić i braku wszelkiego programu, który miał go cechować. Jeśli na świecie był gdzie program pełny i jasny, zarazem wspaniale oparty o najgłębsze zasady, zarazem wykończony w szczegółach i dostrojony do konkretnych możliwości, to był nim program Dra Dollfussa. Wierzący do szpiku kości katolik, przekonany że wiara nie jest tylko dekoracją, ale podstawą prawdziwego ładu rzeczy ludzkich, chciał on przedewszystkiem *instaurare Austriam in Christo,* to znaczy zastosować w niej całkowicie doktrynę religijną i społeczną a w pewnej mierze i polityczną, jaką głosili ostatni papieże; gorący patrjota, rozmiłowany całem sercem w swej naddunajskiej ojczyźnie, postanowił najpierw obronić jej niezależność i dźwignąć ją ekonomicznie, a potem zrobić z niej twierdzę prawdziwie niemieckiej kultury przeciw neopogaństwu i rasystycznym obłędom Trzeciej Rzeszy. Dla tych dwóch, jasno określonych celów poświęcił Kanclerz wszystko: siły, talent, niezmordowaną pracę, opinję nawet, o którą nie dbał, a wreszcie i życie, które w tak trudnej i niebezpiecznej walce musiał ciągle narażać na bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Ponieważ chodziło mu o stworzenie nowej Austrji, a raczej o podniesienie i skonsolidowanie zdrowych rezerw austrjackiego społeczeństwa, Dr. Dollfuss z zupełną świadomością odrzucił proponowane sobie sojusze, tak ze strony czerwonego, jak brunatnego socjalizmu. I owszem ten cichy, z natury łagodny człowiek nie zawahał się wypowiedzieć nieubłaganej walki tym dwom kierunkom, które słusznie uważał za najcięższe choroby odradzającego się państwa. Do

raka, panoszącego się w Wiedniu marksyzmu, z bezprzykładną odwagą ale zarazem z zachowaniem zupełnej miary, przyłożył nóż operacyjny i wyciął to, co w inny sposób uzdrowić się nie dało, choć doskonale wiedział, że ten krok rozpęta przeciw niemu burzę obelg i oszczerstw socjalistycznej, liberalnej i kompromisowej prasy całego świata; przeciw miejscowemu i wciskającemu się z Niemiec hitleryzmowi i jego niegodziwej kampanji teroru zorganizował i coraz bardziej wzmacniał nieugięty front obronny, walczący pod sztandarem wiary i ojczyzny.

Że w ciągu krótkich dwóch lat, wśród tak niesłychanie trudnych warunków, w jakich znalazła się Austrja, nie dało się jeszcze wszystkiego odbudować i wszystkich problemów rozwiązać — to chyba nietrudno zrozumieć. Że przedewszystkiem Rząd Dollfussa nie mógł odrazu wyprowadzić swego biednego kraju z ekonomicznych trudności, z których dużo bogatsze państwa wywikłać się nie mogą — to jest każdemu nieuprzedzonemu zupełnie oczywiste. Oskarżać go za to byłoby bądź to dziecinną pretensją, bądź aktem świadomej złej wiary.

Że jednak Austrja dzięki żelaznym, konsekwentnym wysiłkom swego wodza w ciągu tych dwóch lat zrobiła w niejednym kierunku rzeczywiste postępy, to na faktach i cyfrach z niezbitą jasnością wykazuje chociażby praca Dra Edera *Zwei Jahre Dollfuss*, która ukazała się zaledwie parę tygodni przed katastrofą 25 lipca. Mimo wszystko, polepszyła się nieco sytuacja ekonomiczna; międzynarodowe położenie Austrji, zwłaszcza przeciw Niemcom, doznało ogromnego wzmocnienia; nowa konstytucja i konkordat stworzyły podstawę pod przebudowę wewnętrznego ustroju; dokonano już całego szeregu przygotowań pod zorganizowanie chrześcijańskiego stanowego państwa, w myśl głębokich wskazań *Quadragesimo anno*.

A nadewszystko duch! W Austrji Dollfussa duch prawdziwego patrjotyzmu, opartego o żywą wiarę, wzmocnił się, rozwinął, zakwitnął w niebywały sposób. Są jeszcze oczywiście niedobitki rozgromionego socjalizmu; są też jeszcze liczniejsi — choć nie tak znów liczni, jak się to nieraz mówi — niepoprawni zwolennicy hitlerowskiej swastyki, ale ogromna i coraz rosnąca większość narodu trzyma się tej orjentacji, którą jej nadał zmarły Kanclerz i jego obóz: katolickiej, austrjackiej, po chrześcijańsku społecznej, a trzyma się jej świadomie, mężnie, z podniesioną głową i najlepszą nadzieją. Prawda, że tego ducha budzili przed nim i inni: Vogelsang, Lueger, Seipel — żeby tylko kilku największych wymienić, ale Dollfuss zdobył sobie w tej mierze zupełnie niespożyte zasługi. Ten drobny, miły człowiek potrafił stać się nietylko

wodzem narodu, ale jakby wcieleniem tej idei, która jedynie może go zbawić. Setki tysięcy ludzi powtarzały jeszcze za życia jego z najgłębszem przekonaniem to, co jest miarą pozycji, zdobytej przezeń w narodzie: *Oesterreich ist Dollfuss und Dollfuss ist Oesterreich.* Niewielu ludzi na świecie odważyło się powiedzieć: Ja i naród to jedno, ale może mniej jeszcze było takich, o których powiedziałby to sam naród.

Toteż nic dziwnego, że gdy ohydny mord położył koniec temu życiu, całą Austrję ogarnęła na chwilę niema zgroza; nic dziwnego, że kiedy 200.000 ludzi prowadziło jego zwłoki do św. Szczepana i potem na miejsce wiecznego spoczynku, z oczu tych olbrzymich tłumów płynęły łzy, przechodzące raz po raz w głośne jęki. Smucił się i Kościół nietylko w Austrji, ale i w stolicy chrześcijaństwa, bo tracił jednego z najczystszych, najszlachetniejszych, najdzielniejszych swych synów, który, jak nikt inny w naszych czasach, dążył mężnie i otwarcie do wprowadzenia w publiczne życie idei Chrystusowych.

Ale w tym ogólnym smutku, jak w każdym smutku chrześcijańskim, były jednak przebłyski nadziei. Bo nikt z tych, co rozumieli głęboki sens spełnionej tragedji, nie mógł wątpić, że t a k a przegrana jest tylko zadatkiem ostatecznego zwycięstwa. Głośniej niż tony Requiem Mozarta, wypełniające starą katedrę przypominała z cichej trumny bohatera potężna mowa jego krwi niewinnie przelanej:

Prawdę świętej wiary,
Że miłość rządzi plemieniem człowieczem
A trofeami świata są ofiary.

Z czystej miłości oddał on swą krew na ofiarę za najwyższe dobra i dlatego z posiewu tej krwi nie może nie wzejść plon obfity. Rząd Dra Schuschnigg'a jaknajlepiej wstępuje w ślady zmarłego wodza i stara się jego idee realizować jaknajwierniej, a w samym tym obozie, na którym ciąży odpowiedzialność za spełnioną zbrodnię, pokazują się już znaki otrzeźwienia. Można mieć wszelkie nadzieje, że stare słowo Tertuljana, powiedziane o krwi chrześcijańskiej, *mutatis mutandis* znajdzie zastosowanie i w dziejach katolickiej Austrji.

Kiedy z nad Dunaju przechodzi się myślą nad Izarę i Sprewę, trudno oprzeć się pokusie zastanawiających zestawień. Z dwóch nieubłaganych przeciwników, reprezentujących dwa najsprzeczniejsze światopoglądy i dwie zupełnie różne koncepcje posłannictwa i ducha Niemiec, jeden leży już w grobie, napozór pokonany w starciu z wojującą ewangelją rasystycznych zasad, podczas gdy drugi, osiągnąwszy

już szczebel po szczeblu, najwyższy szczyt znaczenia i wpływu, niebywałym w dziejach przykładem usiłuje przez wprowadzenie specjalnej przysięgi, związać wprost ze sobą jako wodzem, nietylko cały naród, ale każdego Niemca zosobna. A jednak któż nie czuje o ile wyższym, o ile czcigodniejszym, o ile pewniejszym przewodnikiem jest ten, co leży w grobie — *defunctus adhuc loquitur* — niż ten, który kieruje ducha swego narodu na niesłychane bezdroża, a cały rozwój jego dziejów pcha na ślepo ku nieuniknionej, straszliwej katastrofie!

Dla nieuprzedzonych umysłów jedną z licznych wróżb tej katastrofy jest ta zdecydowana walka, jaką podjął hitleryzm z chrześcijaństwem wogóle, a całkiem specjalnie z katolickim Kościołem.

Że tutaj, mimo wszystkich, świeżo jeszcze rzucanych przez radjo, zapowiedzi Führer'a, mamy do czynienia z rzeczywistą walką, to nie ulega wątpliwości. O charakterze i rezultatach tej walki w stosunku do wyznań protestanckich będzie można wyrobić sobie dokładniejsze pojęcie, kiedy ustali się już ostatecznie w ich łonie rozkład sił i obozów, ale co się tyczy Kościoła katolickiego, rzecz jest już dziś zupełnie widoczna. Z jednej strony wspaniały, coraz bardziej jednolity, wszędzie mężny, gdzieniegdzie bohaterski front wiernych synów Kościoła, z drugiej cały system szykan, dokuczliwości, represyj, pogróżek, jawnych gwałtów i innych przeróżnych form ucisku, na to tylko obliczonych, żeby cały katolicyzm z jego zasadami, organizacjami, objawami życia i samą głębią indywidualnych dusz przerobić na modłę, wyrojoną przez twórców nacjonalistycznego obłędu.

Poszczególnych epizodów tej codziennej walki — napadów na kościoły i lokale katolickie, rozbijanie procesyj i obchodów albo związkowych zebrań, więzienia lub fizycznego maltretowania kapłanów, przeróżnych awantur, bardzo już zbliżonych do antyreligijnych manifestacyj rosyjskiego bolszewizmu, opisywać tutaj nie będziemy. Ale na jedno chcemy zwrócić uwagę, co jest najoczywistszym dowodem, że prześladowanie Kościoła bynajmniej nie jest tylko dziełem, rzekomo zbyt gorliwych, podwładnych organów czy zanadto gorących grup związkowych, lecz świadomie obranym i konsekwentnie przeprowadzanym planem samych wodzów hitleryzmu. Fakt jest tak wymowny, że nie potrzebuje żadnego komentarza.

Kiedy mianowicie z początkiem czerwca tego roku, zebrany, jak zwykle, w Fuldzie Episkopat niemiecki wydał do wiernych wspaniałe, zbiorowe orędzie, Rząd się nie zawahał zamknąć ust pasterzom przemawiających do swych owieczek i to przemawiających nie o czem innem, tylko o za-

sadniczych prawdach i prawach chrystjanizmu. Listu Biskupów nietylko nie pozwolono ogłosić drukiem ale zabroniono pod surową odpowiedzialnością odczytania go po kościołach. I tak trwa rzecz aż do tej chwili: prześliczne, głęboko katolickie orędzie pasterzy zaledwie w ręcznych czy daktylograficznych odpisach dochodzi do tych, którym miało przynieść światło i pociechę.

Ten nieoceniony dokument, jakim jest list zbiorowy niemieckiego Episkopatu, z jednej strony tak jasno pokazuje czego hitleryzm się boi i czego w Trzeciej Rzeszy nie dopuszcza, z drugiej tak doskonale maluje obecną postawę katolików niemieckich, że nie możemy sobie odmówić, przytoczenia zeń dłuższych ustępów.

Omówiwszy we wstępie okazję listu, t. j. rozszerzony na cały świat jubileusz odkupienia i scharakteryzowawszy krótko ogromną doniosłość tego Bożego dobrodziejstwa, w następujący sposób przechodzą Biskupi do zagadnień, zajmujących w tej chwili wszystkie umysły i serca:

Pojmujecie wobec tego, ukochani Diecezjanie, jak bolesnym dla nas biskupów jest fakt, że właśnie w ostatnim roku pojawiły się i wzrosły w naszej Ojczyźnie prądy i ruchy, które zwracając się wprost przeciw wspomnianym dobrodziejstwom Jezusa Chrystusa i podstawowym prawdom katolickiego Kościoła, dążą do wprowadzenia nowej religji i niemieckiego narodowego kościoła, który chcą oprzeć o „nową wiarę" i, jak mówią, o „mit krwi".

Ta nowa wiara niema nic wspólnego z niezachwianem uznaniem nauk, które odwieczna, boska Prawda raczyła ludziom objawić, a które poręczył Chrystus, mówiąc *Niebo i ziemia przeminą, lecz słowa moje nie przeminą* (Mr. 13, 31). Ta nowa wiara to ludzki wynalazek, ludzki wymysł; nie oparty o żadną rękojmię prawdy, dlatego też jest tylko samowolnem poddaniem się omylnej mądrości ludzkiej. My zaś natomiast przeciw tej wierze głosimy niezrównaną szczytność i głębię Bożego Objawienia. Jako dzieci Kościoła Chrystusowego, pouczone słowy Zbawiciela, wierzymy w Boga, w jedynego, prawdziwego, żywego Boga, Stworzyciela i Pana nieba i ziemi. Ten Bóg, to nie bożek ręką ludzką uczyniony, jakiemi były bałwany pogańskie, ani nie żaden twór ludzkiego ducha, który z krwi i rasy zrodzony „w człowieku staje się i wzrasta", jak utrzymują zwolennicy nowego pogaństwa.

Bóg chrześcijan jest „wszechmocny, wieczny, niezgłębiony, co do rozumu woli i wszelkich doskonałości nieograniczony, jedyny, absolutnie niezłożony i nieodmienny Duch, prawdziwie i istotnie różny od świata, w sobie i sam ze siebie nieskończenie szczęśliwy i ponad wszystko, co poza Nim istnieje i pomyślanem być może, niewypowiedzianie wielki" (Sobór Wat.). Do wiary w tego ponadświatowego, wiecznego Boga, który jako Stwórca,

stoi na początku naszego istnienia, a, jako nasz cel, przeznaczył nam wieczne obcowanie ze Sobą w szczęśliwości niebieskiej, — przyznaliśmy się na Chrzcie św. Jedynie tylko ta wiara prowadzi do zbawienia. Do niej stosują się słowa: *Kto nie uwierzy, będzie potępiony* (Mr. 16, 16). Przez przyrzeczenia na Chrzcie św. zobowiązaliśmy się wierzyć w Jezusa Chrystusa, jednorodzonego Syna Bożego, a naszego Pana, który z miłości ku nam, ludziom i dla naszego zbawienia, przyjął ludzką naturę; cierpiał i umarł na Krzyżu, by nas odkupić od grzechu i winy; w Chrystusa, którego chwalebne zmartwychwstanie jest dla nas zadatkiem zwycięstwa nad śmiercią i piekłem; w Chrystusa, który kiedyś przyjdzie sądzić żywych i umarłych. Dziś jednak powstają w naszej Ojczyźnie fałszywi prorocy, którzy przeczą bóstwu Chrystusowemu i uczą innych dróg, niż te, które słowem i przykładem wskazał nam Jezus Chrystus, — On, który sam tylko mógł powiedzieć o sobie: *Jam jest droga i prawda i żywot. Nikt nie przychodzi do Ojca, jeno przeze mnie* (Jan 14, 6). Ci fałszywi prorocy uchylają prawo moralne Chrystusowe. Dziesięcioro przykazań, o których powiedział Zbawiciel: *Jeżeli chcesz wnijść do żywota, chowaj przykazania* (Mat. 19, 17), odrzucają pod pozorem, iż były one tylko wyrazem moralności żydowskiego narodu, dla narodu zaś innej krwi winny brzmieć inaczej. Z podniesioną dumnie głową chcieliby ci nowi prorocy wyplenić z ludzkiej natury to odwieczne poczucie winy, które już u pogan, nawet u naszych pogańskich przodków w obrządkach ofiarnych znalazło tak wstrząsająco wymowny wyraz. A przecież Chrystus, Bóg-Człowiek, umarł na Krzyżu, by zgładzić winę pierworodną i zadośćuczynić za ludzkie grzechy. On też ofiaruje się codziennie na naszych ołtarzach, pod postacią chleba, by zlać na nas owoce swej zadośćczyniącej śmierci. Ale nowocześni poganie mówią o „samoodkupieniu" i nie chcą nic wiedzieć o Baranku Bożym: *który gładzi grzechy świata* (Jan 1, 29). Odrzucają oni sakramenta święte, które, według ustanowienia Chrystusowego, mają nam zjednać owoc Krzyża, łaskę Bożą, a te źródła Chrystusowej łaski pragną zastąpić rzekomą „tajemnicą krwi nordyjskiej", która zwyciężyła stare sakramenta. My jednak wyznajemy za naszymi chrześcijańskimi przodkami, że wraz ze wszystkimi potomkami Adama nie byliśmy wolni od grzechów. *Lecz Bóg, który jest bogaty w miłosierdzie dla zbytniej miłości swojej, którą nas umiłował, gdyśmy byli umarłymi przez grzechy, ożywił nas społem w Chrystusie, którego łaską jesteście zbawieni* (Efez. 2, 3—5).

Jako ochrzczeni wyznawcy Chrystusa zobowiązaliśmy się do wiary w Ducha Św. i w święty Kościół katolicki.

Trzecia Osoba boska *Duch prawdy* (Jan 14, 17) mówi do nas przez księgi natchnione Starego i Nowego Testamentu, które wraz z całą chrześcijańską przeszłością uważamy za „Pismo święte" i czcimy, jako słowo Boże. Jakkolwiek one mówią nam otwarcie

o słabościach i ułomnościach ludzkiej natury, to jednak wszystkie *ku naszej nauce są napisane, abyśmy przez cierpliwość i pociechę Pisma nadzieję mieli* (Rzym. 15, 4). Dla dobrego rozumienia i właściwego wykładu Pisma św. zapewnił Jezus Kościołowi nauczającemu pomoc Ducha Św. aż do końca (Jan 14, 16). Chrystus ustanowił swój Kościół dla wszystkich narodów i wszystkich czasów, albowiem: *Bóg chce, aby wszyscy ludzie byli zbawieni i przyszli do poznania prawdy* (1. Tym. 2, 4) i P. Jezus dał Apostołom swoim takie polecenie: *Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, nauczając je chować wszystko, com wam kolwiek przykazał* (Mat. 28, 19—20).

Jest to bunt przeciw Chrystusowi, Zbawcy świata, kiedy nowocześni poganie żądają innego, narodowego, niemieckiego kościoła, o odrębnej, jak mówią, nauce i moralności, i kiedy zamiast świętej liturgji, jedynego, powszechnego Kościoła, pragną wprowadzić sztucznie wskrzeszone, dawne ludowe obrzędy. Z pewnością, że .Kościół katolicki uznaje i ceni właściwości i specjalne przymioty poszczególnych narodów czy ras i że właśnie w naszym narodzie niejeden rodzimy zwyczaj i obyczaj, oczyszczony z cech zabobonnych, wciągnął w służbę chrześcijańskiej prawdy.

W ten sposób uszlachetnił cenne ludowe obrzędy i podniósł je do służby nadprzyrodzonym celom człowieka. Byłoby to jednak zgubnem cofnięciem się wstecz i zaprzeczeniem najpiękniejszych tradycyj naszego niemieckiego narodu, gdybyśmy dzisiaj, gardząc wzniosłemi tajemnicami chrystjanizmu, oraz zapoznając błogosławieństwa chrześcijańskiej cywilizacji, powracali do pogańskiego ubóstwiania natury i do kultu sił przyrody, jak tego domagają się zwolennicy neopogańskich poglądów.

Ci, którzy chcą nas obdarzyć kościołem narodowym, pragną nas tylko oderwać od Rzymu, od opoki Piotrowej, na której Chrystus, Syn Boży, zbudował swój Kościół; chcą nas odłączyć od tego Kościoła, który, jak mówi św. Paweł: *jest filarem i utwierdzeniem prawdy* (1. Tym. 3, 15). Gdyby „krew i rasa", jak twierdzą ci nowi poganie, były dla każdego narodu podstawowym i decydującym czynnikiem w sprawie religji i wiary, to zapewne że państwo, przedstawiające sumę sił wszystkich członków narodu, powinnoby zająć miejsce społeczności wszystkich wierzących, a więc miejsce Kościoła. Wtedy mogłoby ono rościć sobie prawo do „całkowitości" czyli „totalności" w taki sposób pojętej, że godziwa byłaby pretensja do owładnięcia wszystkich ludzkich stosunków, z zupełnem wchłonięciem wszystkich praw jednostek, rodzin i wszelkich zrzeszeń.

Tak więc ta neopogańska nauka, pojmujecie to dobrze, ukochani, i często skarżyliście się na to przed waszymi duszpasterzami, jest radykalnem zaprzeczeniem chrystjanizmu w całej jego nauce, jego zasadach moralnych, w jego charakterze źródła wszelkich łask. Jest to napad na budowany od tysiąca lat, przez naj-

lepszych synów naszego narodu, gmach cywilizacji chrześcijańskiej, Kościół katolicki, święta oblubienica, *którą Chrystus nabył krwią swoją* (Dz. Ap. 20, 28), jako obcy przybłęda ma być usunięty z krajów niemieckich, w których od tak dawna mieszkał jak w domu, otoczony wiarą i miłością naszych ojców.

Ta neopogańska nauka grozi również udaremnieniem uroczyście ogłoszonej decyzji rządu Rzeszy, którego wódz w doniosłej historycznie chwili oświadczył, iż nauka chrześcijańska pozostanie nietknięta i stanie się podwaliną nowej budowy niemieckiego państwa.

My biskupi, jako od Boga postanowieni nauczyciele i pasterze katolickiego Kościoła w krajach niemieckich, podnosimy uroczyście i jednomyślnie głośny protest przeciw rozszerzaniu neopogańskich błędów w naszej Ojczyźnie, przeciw napaściom i obelgom, jakie ich zwolennicy niemal codziennie miotają na Boga, Chrystusa i Jego Kościół, tak żywem słowem, jak pismem.

Złączeni z powierzonymi nam wiernymi serdecznemi węzłami miłości ku Kościołowi świętemu, ku narodowi niemieckiemu i naszej Ojczyźnie, protestujemy z całą stanowczością przeciw temu podkopywaniu chrześcijaństwa i Kościoła, także dlatego, że ta robota usiłuje obalić niejednokrotnie i jasno wyrażone zamiary rządu Rzeszy i że w razie jej powodzenia obróciłaby się wniwecz wszelka nadzieja trwałości naszego państwa i lepszej przyszłości naszego udręczonego narodu. Autorytet państwa musi się załamać, gdy tylko przestanie się wspierać na autorytecie Boga, *od którego wszelka zwierzchność pochodzi* (Rzym. 13, 1), bo wtedy tylko może on żądać posłuszeństwa, obowiązującego w sumieniu gdy jest w zgodzie z wolą Bożą. Jeżeli zaś w ludzkiej społeczności wiara w Boga i bojaźń Boża zanika, jeżeli autorytet Boży, wiążący sumienia idzie w pogardę, to władza państwowa wyradza się w niechętnie znoszoną samowolę ludzką a posłuszeństwo władzy staje się służbą dla oka tylko spełnianą z niewolniczej bojaźni. W takich warunkach otwarte są już drzwi naoścież wszelkim rozruchom i anarchji, a porządek i bezpieczeństwo publiczne są pod ustawiczną groźbą.

Gdy zagrażają tego rodzaju niebezpieczeństwa, nam biskupom milczeć nie wolno. Boć do nas odnosi się przestroga Apostoła: *Pilnujcie sami siebie i wszystkiej trzody, nad którą was Duch Święty postanowił Biskupami, abyście rządzili Kościołem Bożym, który nabył krwią swoją. Ja wiem, że wnijdą między was wilcy drapieżni, nie przepuszczając trzodzie. I z was samych powstaną mężowie mówiący przewrotności, aby odwiedli uczniów za sobą. Dlatego czuwajcie.* (Dz. Ap. 20, 28—31). Ten obowiązek czujności, nie pozwala nam milczeć. Tem dobitniej musimy przemawiać, że owe „przewrotności" nęcące do odstępstwa od Chrystusa, i do przyjęcia „nowej wiary", ukrywają się chytrze pod osłoną dwuznacznych i napozór uświęconych słów, obiecując podstępnie

ostateczne zjednoczenie całego niemieckiego narodu, w zupełnie własnej „religji przyszłości". A hasła te zagrażają tem poważniejszem niebezpieczeństwem, że owe złudne obietnice rzuca się w najszersze masy społeczeństwa, a nawet w szeregi nieletniej młodzieży. W dziennikach, czasopismach i broszurach przez słowa i ilustracje napada się jawnie na Kościół i wyszydza się jego sługi, bluźni się przeciwko Chrystusowi, Zbawicielowi naszemu i obraża się nieskończony Majestat Boży.

Nie możemy na to milczeć, że książka, która zniekształcając zupełnie naszą świętą wiarę, najradykalniej podkopuje religję chrześcijańską oraz poszanowanie autorytetu Chrystusa i Kościoła, szerzona jest po szkołach, wśród kół nauczycielskich, na kursach przywódców i po obozach pracowników partyjnych jako zasadniczy podręcznik do urobienia światopoglądu szerokich mas ludowych. Jeżeli takie i tym podobne pisma publicznie poleca się wiernym, a nawet pod przymusem wciska im się do ręki, to z obowiązku pasterskiej czujności, musimy głośno oświadczyć, iż czytanie i rozszerzanie pism, które mają na celu walkę z chrześcijaństwem, lub usiłują podkopać zasady religji czy moralności Chrystusowej, jest jako ciężka wina, rzeczą bezwzględnie zakazaną. Nie wolno nam bojaźliwie milczeć, gdy wśród propagatorów i głosicieli tych neopogańskich idei widzimy ludzi, których stanowisko daje im szeroki wpływ i możność posługiwania się państwowym przymusem.

A jakże się ma rzecz ze strony przeciwnej?

Podczas gdy neopogaństwo przebojem zwiększa swoje szeregi, nasza prasa katolicka nie ma na tyle wolności, by mogła spokojnie i swobodnie omawiać wielkie problemy naszych czasów w świetle katolickiej wiary i moralności, oraz odpierać napaści skierowane na Kościół i chrześcijaństwo. — Niedziela dzień poświęcony Bogu i rodzinie, jest w większości wypadków tak dalece wypełniona różnemi uroczystościami i obchodami państwowych organizacyj, że wierni nie mają czasu na nabożne uczestniczenie we Mszy św., lub spędzenia paru chwil w rodzinnem kółku. Naszym katolickim związkom i organizacjom utrudnia się przez rozliczne ograniczenia pracę w służbie Kościoła i Ojczyzny. Naszą katolicką młodzież spotyka na wielu miejscach prześladowanie, tylko za to, że otwarcie wyznaje swą wiarę w Chrystusa i przynależność do związków pobłogosławionych przez Kościół, którym opieka państwowa została uroczyście zapewniona.

My odpowiedzialni pasterze Chrystusowej owczarni, nie możemy milczeć, gdy widzimy jak niektóre wpływowe koła nie zważając wcale na jakiekolwiek postanowienia i zapewnienia Rządu Rzeszy, dążą do zgniecenia i zniszczenia w naszym narodzie Chrystusowej wiary i chrześcijańskiego życia. My spełniamy tylko nasz pasterski obowiązek, kiedy czujnie i donośnie ostrzegamy

przed uwodzicielami i nauczycielami fałszu, którzy zagrażają zbawieniu powierzonych nam dusz i szczęściu naszego narodu.

Ukochani Diecezjanie! By uniknąć wszelkiej niejasności, my biskupi nie wahamy się przestrzegać Was przed pewnemi hasłami, któreby mogły zamącić Waszą wiarę i obciążyć Wasze sumienie.

Słyszeliście i czytali, że dogmaty są dziełem ludzkiem. — My zaś, Wasi biskupi, mówimy Wam, iż dogmaty, artykuły wiary, to myśli Boże i Boże prawa, z Objawienia Bożego przez urząd nauczycielski Kościoła, pod szczególnem natchnieniem Ducha Św. zaczerpnięte i nam do wierzenia podane. A zatem dogmaty żadną miarą nie są dziełem ludzkiem.

Słyszeliście i czytali, że kiedy przywdziewa się strój służbowy, przestaje się być katolikiem czy protestantem. — Na to mówimy my biskupi: Jakkolwiek w służbie należy wiernie przestrzegać koleżeństwa i wzajemnego poszanowania, to przecież przekonanie religijne nie jest czemś, co można wraz z uniformem nakładać lub zdejmować i na godziny służbowe na kołku zawieszać.

Religja jest duszą naszej duszy, szczytnym obowiązkiem na każdy czas i każdą godzinę. Religja także przy spełnianiu zawodowych i patrjotycznych obowiązków jest źródłem siły i najcenniejszą cząstką moralnej osobowości człowieka. Nie pozwólcie więc płytkiemi frazesami urabiać sobie przekonania, że w służbie przestaje się być katolikiem.

Słyszeliście i czytali, że bez wiary w Chrystusa, Syna Boga żywego, jak też i bez wiary w Ewangelję Chrystusową, można jednak być wyznawcą pozytywnego chrystjanizmu. — My, Wasi biskupi, mówimy Wam, że pozytywny chrystjanizm jest tylko tam, gdzie wyznaje się Chrystusa, Syna Bożego, który stawszy się człowiekiem, odkupił świat, gdzie wierzy się w całą Jego Ewangelję i przyjmuje się wszystkie Jego przykazania. Inny chrystjanizm, nie jest wcale pozytywnym chrystjanizmem. Pozytywny chrystjanizm to wiara w Objawienie, które nie pochodzi *z ciała i krwi, ale od Ojca, który jest w niebiesiech* (Mat. 16, 17).

Słyszeliście i czytali: Moralnem jest to, co przynosi narodowi korzyść. Moralnem jest to co odpowiada wymaganiom i celom i dobru rasy. — My, Wasi biskupi, mówimy Wam, że moralnem jest to, co, zgadza się z wolą i przykazaniami Boga, które jużto jako prawa natury wyryte są na sercu ludzkiem (Rzym. 2, 14—15), jużto też zawierają w świętych księgach Objawienia, już też podane są do wierzenia przez nauczycielski urząd Kościoła, stróża i tłumacza prawd objawionych. Taka moralność jest źródłem błogosławieństwa dla narodu. Wierność naprzykład czwartemu i szóstemu przykazaniu Bożemu zapewnia dziedziczne zdrowie rodzinom. Wierność piątemu, siódmemu i ósmemu przykazaniu Bożemu zapewnia społecznemu życiu narodu błogosławieństwa miłości braterskiej, sprawiedliwości i prawdy. Wierność prawom małżeńskim Kościoła zapobiega skutecznie powolnemu wymieraniu

narodu, a do zachowania czystości krwi, lepiej dopomaga niż jakakolwiek eugenika.

Słyszeliście i czytali, że wolno przysięgać na zupełnie bezwzględne posłuszeństwo. — My Wasi biskupi, przestrzegamy Was, na wszelki wypadek, że skoro przysięga, to uroczyste wezwanie Boga na świadka, nie może ona nigdy obowiązywać do spełnienia tego, co stoi w wyraźnej sprzeczności z przykazaniem Bożem. Można przysięgą bądźto urzędniczą, bądź też żołnierską zobowiązać się do wiernej służby zawodowej i do posłuszeństwa prawowitej zwierzchności. Jeżeliby jednak rozkaz żądał czegoś, co stoi w sprzeczności z przykazaniami Bożemi lub sumieniem, należy zastosować zastrzeżenie dodane przez biskupów w Fuldzie z listopada 1919 r. do aktu uznania konstytucji wejmarskiej: „Katolicy, składając przysięgę na Konstytucję, nie obowiązują się rzecz jasna, do niczego, co się sprzeciwia prawu Bożemu i kościelnemu, a tem samem ich własnemu sumieniu".

Słyszeliście i czytali: Chrześcijaństwo stało się nieszczęściem i przyczyną skażenia naszych germańskich przodków. — My jednak, Wasi biskupi, mówimy Wam, że wprowadzenie chrześcijaństwa do Germanów było najcenniejszym darem nieba, było łaską Bożą, za którą my zgromadzeni tu u grobu św. Bonifacego, Biskupi, nie możemy się dość nadziękować Bogu. Chrześcijaństwo uszlachetniło dobre pierwiastki złożone w naturze naszych ojców; uświęciło posłannictwo dziejowe niemieckiego narodu na Zachodzie i stworzyło tę chrześcijańsko-germańską cywilizację, która pozostanie na wszystkie czasy największą chlubą niemieckiego narodu. Przez odstępstwo od chrześcijaństwa wyparłby się naród niemiecki całej swojej przeszłości a swojej przyszłości stałby się grabarzem. Oby najlepszy i wszechmocny Bóg nie dopuścił, by świecznik Objawienia od naszej Ojczyzny usunięty został (Obj. 2, 5).

Ukochani Diecezjanie! Może Wam będą mówić, jak to już nieraz słyszeliście, że to wystąpienie Waszych Biskupów w obronie wiary Ojców, ich ostrzeżenia przed błędnemi naukami nowoczesnego pogaństwa i hasłami jego przedstawicieli jest tylko jakiemś niepowołanem „mieszaniem się do polityki". Z pełną świadomością naszego religijnego posłannictwa i obowiązków naszego świętego urzędu odrzucamy te fałszywe interpretacje naszego wystąpienia. Nie jest to bowiem żadną polityką głosić wiarę w Boga i bronić jej, jako podstawy wszelkiego porządku na ziemi. Nie jest to żadna polityka, dawać świadectwo Chrystusowi, Odkupicielowi świata. Nie jest to żadną polityką, bronić odwiecznych zasad moralności ludzkiej i świętego dekalogu, oraz płynącego z woli Bożej publicznego ładu. Nie jest to żadną polityką odrzucać zboczenia pogańskiego pojęcia honoru i przypominać, że pojedynek i menzury są zakazane Bożem i kościelnem prawem. Nie jest to żadną polityką, ujmować się, w imię miłości bliźniego za tymi, którzy bez osobistej winy, przez zbieg okoliczności, po-

padli w nędzę i ucisk i niejednokrotnie ponoszą krzywdę na czci i dobrem imieniu. Wreszcie i to nie jest żadną polityką, gdy się żąda odpowiednich warunków i możliwości prawdziwie chrześcijańskiego wykształcenia i wychowania dla poszczególnych stanów a zwłaszcza dla młodzieży. Niczego więcej nie żądamy, jak tylko zachowania prawa Bożego i nienaruszonej wolności Chrystusowego Kościoła, odpowiadającej jego boskiemu posłannictwu, by mógł zbawcze skarby odkupienia i prawdy, obyczajność i łaskę na ludzi rozlewać, mając swobodę stosowania w tym celu nieodzownych a dzisiejszym potrzebom odpowiadających środków. Co zaś odrzucamy i potępiamy, to jest ten neopogański sposób myślenia, który dąży do zerwania z tysiącletnią historją naszego narodu i grozi naszej przyszłości nieuchronną ruiną.

Nie potrzebujemy wyjaśniać ogromnego znaczenia tego wspaniałego, silnego, jasnego a głęboko katolickiego orędzia. Biskupi powiedzieli w niem wszystko, czego wymagało ich pasterskie posłannictwo wobec niesłychanych aberacyj narodowo-socjalistycznej myśli, powiedzieli i oczywiście na jeden włos nie odstąpią od ogłoszonych tutaj i wytkniętych katolikom niemieckim, zasad. A więc *alea iacta est.* Albo hitleryzm się cofnie i stanowczo się wyrzeknie swoich antychrześcijańskich wybujałości i wybryków, albo przyjdzie do otwartej wojny religijnej, pewnie gwałtowniejszej niż dawny *Kulturkampf.* Znając dzielność i coraz rosnącą sprężystość katolicyzmu niemieckiego, możemy o wynik tej wojny być zupełnie spokojni.

Przechodząc do spraw polskich, musimy z wielką przykrością zarejestrować rzecz, szczególnie bolesną i wstydliwą. Ukazała się w polskim języku bardzo szpetna i w najwyższym stopniu krzywdząca napaść na pracę misyjną Kościoła, a napaść, o której sami jej twórcy mówią, że „przykład jaskrawszego ataku trudnoby znaleźć w literaturze europejskiej".

Ktokolwiek zdaje sobie sprawę z istoty i posłannictwa katolickiego Kościoła, ten rozumie, że olbrzymie dzieło misyjne musi być i jest źrenicą jego oka. Został on nato tylko założony, by nieść światło objawionej przez Chrystusa wiary „aż na krańce świata" i nie może spocząć, dopóki gdziekolwiek będą istoty ludzkie, do którychby z dostateczną wiarogodnością nie doszła dobra nowina ewangelji zbawienia. Dlatego też od samego początku, a zwłaszcza w dniu dzisiejszym, wytęża Kościół wszystkie siły dla ewangelizacji zamorskich ludów. Na tę trudną, ale wspaniałą pracę wyjeżdżają rok rocznie tysiące misjonarzy obojej płci; na tyłach tej armji bohaterskich zdobywców pracują setki i setki sto-

warzyszeń, które wspomagają walczących na froncie propagandą idei misyjnej, groszem i modlitwą.

Toteż owoce tych wysiłków, pomimo niezmiernych trudności tego rodzaju pracy, są wogóle ogromne. Muszą oczywiście, jak w każdem dziele ludzkiem, trafiać się tu i ówdzie błędy i winy — wystarczy zajrzeć do *Dossiers de l'action missionaire* Ojca Charles T. J., żeby znaleźć liczne ich przykłady — ale te cienie stanowczo znikają w morzu światła. Misje tworzą jedną z najchlubniejszych kart działalności katolickiej. Oprócz owoców czysto religijnych, w postaci miljonów nawracanych dusz, mogą misje wykazać się olbrzymiem dziełem charytatywnem i kulturalnem, nie mówiąc już o kwiatach najwyższych cnót wyrastających wśród misyjnych poświęceń. Na dowód prawdy możnaby tu przytoczyć nietylko niezliczone tomy czasopism, roczników, dzieł misyjnych, pełne najwiarogodniejszych opisów i zestawień, ale przeliczne świadectwa nawet niekatolickich podróżnych, którzy o poziomie moralnym misjonarzy i rezultatach ich pracy wyrażają się wogóle z największem uznaniem.

Znalazł się jednak podróżnik polski, który w misjach, także katolickich, nie dopatrzył się prawie niczego innego, jak zupełnego niemal zaniku ducha, rozpusty, wyzysku i wszelkich brudów. Podróżnikiem tym jest p. Jerzy Giżycki, który jako kinooperator, z ramienia francuskiego rządu, przez pięć i pół lat przebiegał francuską Afrykę zachodnią, przygotowując materjał filmowy na głośną wystawę kolonjalną, a potem zebrane przez siebie wrażenia i obserwacje złożył w książce p. t. *Biali i Czarni*, wydanej u Gebethnera kilka miesięcy temu.

Autor, „włóczęga i miłośnik przestrzeni, człowiek wielkiego gościńca" jak go rekomenduje czytelnikom recenzent z *Wiadomości Literackich*, ma niewątpliwie niemały dar obserwacji i pewną dozę talentu w oddawaniu wrażeń z jakąś bezpośredniością i brutalną siłą. Ale jeżeli chodzi o zdolność spostrzeżenia i odczucia wyższych i szlachetniejszych stron życia a specjalnie o zdolność zrozumienia religijnego świata, autor zdaje się być z tych czynników wysterylizowany zupełnie dokładnie. Umie widzieć naokoło siebie tylko same brudy, szpetności, szkarady moralne, przy których opisie poprostu obrzydzenie za gardło chwyta, a nie umie dostrzec ani jednej z tych jasnych stron pracy białych ludzi na czarnym lądzie, o których przecież najpozytywniej nam wiadomo. Dlatego żadną miarą nie możemy przyznać racji wspomnianemu wyżej recenzentowi, że książka Giżyckiego jest „prosta i po męsku szczera", co innego bowiem jest prawda, co innego smutna umiejętność widzenia i malowania tylko na czarno.

Ale jeżeli z tych właśnie względów obrazy Giżyckiego nawet w odniesieniu do europejskich urzędników, komendantów, kupców i przeróżnych aferzystów są z wszelką pewnością przesadne, bo robi on z nich jedną bandę łotrów, kajdaniarzy, degeneratów i najostatniejszych szubrawców, to kiedy podobnemi farbami, chociaż mimochodem, próbuje szkicować sylwetki katolickich misjonarzy, same rysunki jego noszą najwyraźniejszy charakter fałszu i niegodziwego oszczerstwa. Bo proszę przejrzeć całą książkę i pokazać choć jedno konkretnie udokumentowane oskarżenie! Gdzie jest choć raz powiedziane, że to a to zdarzyło się tam a tam, przez takich a takich ludzi, w tym a w tym czasie? Zamiast faktów, przytacza się jakieś urywki rozmowy szoferów, sierżantów, lub tych samych traderów i urzędników, których równocześnie przedstawia się jako ostatnie kanalje, albo zupełnie niedokładne, żadnym odnośnikiem nie poparte, rzekome „cytaty" kilku protestanckich pisarzy. [1])

I na podstawie takich danych najlekkomyślniej rzuca się błotem na tysiące najzacniejszych ludzi, najbardziej poświęconych ludzi; stawia się pod pręgierzem olbrzymią prześliczną ich pracę, głosząc z wprost niepojętym tupetem, że „jedyną pożyteczną fazą ich działalności jest nauczanie murzynów rzemiosł, i to wtedy, gdy ono jest prowadzone rozsądnie, co wcale nie jest regułą" (str. 81). Pozatem wszystko jest złe i owoce religijnej i szkolnej pracy i życie osobiste pracowników i wogóle sama pretensja, żeby nieść kulturę europejską murzynom. Doprawdy zbyteczne było objaśnienie, że to pisze „człowiek wielkiego gościńca"!

Ale jeżeli p. Giżyckiemu z jego całą psychiką, szukającego sensacji kinooperatora i z jego obcością dla wyższego

[1]) Żeby choć na jednym przykładzie objaśnić wartość „cytatów" Giżyckiego, powołuje się on na str. 85 i n. na dzieło misjonarza angielskiego Donalda Frazera p. t. *The futur* (*sic*) *of Africa*, które rzekomo ma świadczyć o skandalicznem życiu księży i mnichów, jezuitów i dominikanów w Kongo w XVII i XVIII wieku, tak, że „trzeba było wzywać pomocy z Europy, by ich przywołać do porządku, a komisarze powracali zawsze przerażeni rozpustą i niemoralnością misjonarzy". Otóż przedewszystkiem niema żadnego autora Donalda Frazera i niema żadnej książki *The Future of Africa* tylko jest książka *The Future of the Negro* napisana przez dwóch autorów nazwiskiem G. Guggisberg i A. G. Fraser. (Donalda więc Giżycki gładko zmyślił). A co się tyczy informacyj owego Frasera o tem, co działo się w Kongo w XVII i XVIII wieku, to są tylko jedne z wielu protestanckich kalumnij, które nie wytrzymują zestawienia z dokładnemi wiadomościami o owych misjach, jakie posiadamy z współczesnych źródeł. Komisarze europejscy interwenjowali w Kongo ale nie w sprawie niemoralności misjonarzy i nie w XVIII lecz w XIX w. i to w drugiej jego połowie, w sprawie zakładania t. zw. *fermes-chapelles*, t. j. jakby dawnych redukcyj paragwajskich, które, zakładane przez Jezuitów w prefekturze Kwango, wywołały w parlamencie belgijskim interpelację socjalistycznych i liberalnych posłów. Misjonarze jednak wyszli ze śledztwa zupełnie obronną ręką.

świata można jeszcze jakkolwiek przebaczyć, to trudno przebaczyć pismu, które już z całą świadomością złego czynu fałszywe zarzuty autora *Białych i Czarnych* nietylko podkreśla, ale grubo egzageruje i w tej formie szeroko rozrzuca.

W 26 numerze tego roku, z dn. 24 czerwca zamieściły *Wiadomości Literackie* artykuł p. Zbigniewa Grabowskiego p. t. *Czarna plama na czarnym lądzie.* Otóż w tym artykule, który widocznie uważano za ważny, skoro przeznaczono mu całą pierwszą stronę, autor z wyraźną tendencją podnosi i rozdyma antymisjonarskie wycieczki Giżyckiego, poświęcając im proporcjonalnie dużo więcej miejsca i uwagi niż reszcie jego afrykańskiego reportażu. W przedstawieniu P. Grabowskiego misje katolickie są już tylko jednem wielkiem bankructwem, które straciło rację bytu; praca misjonarska, z której uciekł duch świętości i poświęcenia, stała się tragicznie bezcelową i popadła w zupełne rozprężenie ideowe. Od siebie dodaje autor artykułu takie kwiatki, jak użalenie nad psychiką biednych murzynów, którym nieludzki księżyna zapaskudza wyobraźnię, ucząc ich pojęcia grzechu, budząc lęk przed piekłem i tak zapomocą całego arsenału misyjnego zabija w tubylcach szlachetną pierwotność natury, szlachetność zwierza, a zyskuje zato żałośnie chybione półludzkie cechy.

Wielki żal i wielki wstyd, że te głupstwa i te brzydkości wyszły w polskim języku i bałamucą pojęcia polskim czytelnikom w chwili, kiedy praca misyjna najświetniejsze święci triumfy i w łonie katolickich społeczeństw najszersze zatacza kręgi. Doprawdy „czarna plama" ale nie na „czarnym lądzie" tylko na szpaltach pisma, które zresztą już tych plam niemało nosi na kartach niedługich swych dziejów.

Do pewnych zagadnień poruszonych przez obu tu wymienionych autorów, powrócimy na innem miejscu. Narazie niech wystarczy ten głos głębokiego oburzenia na niegodziwe i zupełnie bezpodstawne poniewieranie najczcigodniejszą pracą, otoczoną blaskiem najwyższych poświęceń.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Zakłady opiekuńcze dla dzieci i młodzieży w Polsce.

Rzut oka w przeszłość i teraźniejszość. — Obecny stan opieki zakładowej nad dziećmi i młodzieżą. — Garść refleksyj.

Zainteresowanie zamkniętemi zakładami opiekuńczemi, w których przebywają sieroty i młodzież najuboższą, otrzymując tam mieszkanie, całkowite utrzymanie i opiekę, osłabło dziś u nas znacznie. Było ono bardzo żywe w latach powojennych, kiedy kilkaset tysięcy dzieci i młodzieży opuszczonej, w wielkiej części

sierot i półsierot po poległych w wojnie lub zaginionych podczas ewakuacyj, czekało w tymczasowych stacjach zbornych lub prowizorycznych zakładach, żeby się niemi zająć, ubrać i wyżywić, wychować i wykształcić. Był to okres smutny ale i poniekąd radosny, kiedy się widziało, z jaką ofiarnością i bezinteresownością śpieszyły władze i całe społeczeństwo, żeby ratować nieszczęśliwych i zastąpić im dom rodzinny. Liczne zastępy ludzi wszelkich stanów poświęcały tej pracy swój czas i zasoby, różne Zgromadzenia zakonne ograniczały do ostateczności swe szczupłe pomieszczenia i środki do życia, byle otrzeć łzy i zabezpieczyć przyszłość tym, którzy za cudze winy musieli pokutować.

W tym pierwszym, najcięższym okresie Rząd polski, sam znajdujący się w niezmiernie ciężkich warunkach i pochłonięty pracami nad budową państwa, najmniej mógł dopomóc. Lwia część dzieła opieki nad opuszczoną młodzieżą zdana była na inicjatywę i fundusze prywatne. Obok przelicznych komitetów lokalnych zaznaczyły się wówczas wielkie organizacje filantropijne: Książęco-Biskupi Komitet w Krakowie, Poznańska Rada Narodowa, Główny Komitet Ratunkowy w Lublinie. Fundusze i dary składało całe społeczeństwo, a wspierały ją wydatnie: Generalny Komitet Szwajcarski dla ofiar wojny w Polsce i podobne komitety w innych krajach, a przedewszystkiem Amerykański Wydział Ratunkowy dla Polski i krajów wschodniej Europy, powstały z inicjatywy Hoover'a. Centralną organizacją do kierownictwa całą tą akcją pomocy stał się od r. 1919, powołany do życia przez Ministerstwo Zdrowia, „Polsko-Amerykański Komitet Pomocy Dzieciom" z siedzibą w Warszawie.

Dopiero po załatwieniu się z najbardziej palącemi potrzebami państwowemi mógł Rząd polski przystąpić do wydatniejszej pracy na polu opieki nad opuszczoną młodzieżą. A była to już ostatnia pora, bo postępująca dewaluacja pieniądza podkopywała możność finansową społeczeństwa, a pomoc amerykańska została zlikwidowana już w połowie 1922 r. W tym drugim etapie, który trwał kilka lat, Państwo musiało więc pospieszyć z pomocą finansową, a zarazem zabezpieczyć pomyślny rozwój całej akcji opiekuńczej na przyszłość, przez oparcie jej na odpowiedniem ustawodawstwie. Od r. 1923, w którym ukazała się zasadnicza „Ustawa o opiece społecznej", obejmująca wszystkie rodzaje tejże, ciągnęła się ta praca z przerwami aż do r. 1927. W zakresie opiekuńczych zakładów zamkniętych dla dzieci i młodzieży uregulowano kolejno sprawy ich zakładania, wewnętrznej organizacji, nadzoru i kontroli, podstaw finansowych, regulaminów i personelu wychowawczego.

Ta interwencja państwa, która odsunęła i skrępowała w niemałej mierze inicjatywę prywatną, musiała oczywiście zmniejszyć też zainteresowanie ogółu sprawami opieki nad młodzieżą opuszczoną. Przyczyniły się zresztą do tego inne jeszcze okoliczności,

a przedewszystkiem fakt, że ogromne masy sierot i półsierot wojennych w przeważnej części już przepłynęły przez zakłady; liczba wychowanków poczęła więc topnieć i wchodzić stopniowo w normalne ramy. Podług posiadanych przez nas urzędowych zestawień przypadał na r. 1925 kulminacyjny punkt, zarówno co do liczby zakładów opiekuńczo-wychowawczych dla dzieci i młodzieży — 1.175, jak ich wychowanków — 83.712. Od tego czasu zaczyna się dość szybki odwrót, tak że już w r. 1928 liczba zakładów spadła do 968, a wychowanków do 51.546; w następnych latach spadek ten posunął się jeszcze dalej. [1])

W tych warunkach trudno się dziwić, że głośne do niedawna pole pracy poczęła zwolna zalegać cisza. W tym trzecim, dotąd trwającym okresie, ustały też podawane przedtem do wiadomości publicznej obszerne sprawozdania urzędowe i tylko przy jakiejś specjalnej okazji, naprz. zjazdu międzynarodowego lub wystawy, ogłaszane są bliższe dane, dotyczące opieki zakładowej nad młodzieżą. Dopiero z początkiem bieżącego roku otrzymaliśmy nowe, wcale dokładne sprawozdanie z tego działu, opracowane przez Dra Marcina Kacprzak'a i Eugenję Rudzińską, zamieszczone w czasop. *Praca i Opieka Społeczna* (Warszawa, rocznik 1933/4 str. 372).

Jakże w świetle tego sprawozdania przedstawia się stan zamkniętych zakładów opiekuńczych dla dzieci i młodzieży, w dniu 31 marca 1932 r.?

Na obszarze całego kraju (wraz z województwem Śląskiem) znajdowało się w tym czasie 887 zakładów, a w nich 44.177 wychowanków. W porównaniu ze stanem w r. 1925 oznacza to spadek liczby zakładów o 28%, a liczby wychowanków o 49%.

W zestawieniu powyższem objęte są wszystkie kategorje zamkniętych zakładów opiekuńczych, a mianowicie:

	zakładów	wychowanków
1) dla dzieci normalnych;		
a) żłóbki	47	3.033
b) schroniska i bursy	784	37.503
2) zakłady specjalne dla dzieci anormalnych	56	3.621
a) ociemniałych i głuchoniemych	11	630
b) trudnych do prowadzenia i moralnie zaniedbanych	27	2.079
c) upośledzonych umysłowo . .	7	433
d) anemicznych, wątłych	9	410
d) dla dzieci zbieranych z ulicy .	2	89

[1]) Cyfry te nie obejmują województwa Śląskiego. — Szczegółowiej dzieje opieki społecznej nad dziećmi i młodzieżą opuszczoną opisaliśmy dawniej. Por. *Przegląd Powszechny*, luty 1923 str. 156; luty, marzec i październik 1925, str. 141, 288, 123; listopad 1928, str. 171; wrzesień 1931, str. 301; listopad 1933 str. 307.

Co się tyczy rozłożenia zakładów opiekuńczych, największa ich liczba przypada na województwo Lwowskie — 110, M. st. Warszawa — 78 i wojew. Krakowskie — 68; najmniej znajduje się w wojew. Nowogrodzkiem — 26, Pomorskiem — 26 i Poleskiem — 20.

Pod względem przynależności zakładów i odpowiadającej im liczby wychowanków, sytuacja przedstawia się następująco: [1])

	zakładów	wychowanków
organizacje społeczne	471	19.786
związki komunalne	148	9.926
zgromadzenia zakonne	128	6.971
fundacje	68	4.588
związki wyznaniowe	48	1.899
własność prywatna	12	525

W tablicy powyższej umyślnie podaliśmy także ilość wychowanków, ponieważ porównanie samej liczby zakładów nie daje jasnego pojęcia o rzeczy, wobec znacznej różnicy wielkości i pojemności poszczególnych zakładów. Wszak przeszło $^3/_4$ z ogólnej ich liczby posiada mniej niż 60 miejsc etatowych (dla wychowanków), owszem 172 z pośród tychże zakładów przewidzianych jest zaledwie na kilku do 19-u wychowanków.

Przypatrzmy się teraz bliżej samym wychowankom tych zakładów.

Z ogólnej liczby 44.177 wychowanków — mówimy ciągle o stanie w dn. 31 marca 1932 r. — największa ilość przypada na M. st. Warszawę (przeszło $6^1/_2$ tys.) i wojew. Lwowskie (ponad 5 tys.), najmniejsza na wojew. Nowogrodzkie, Poleskie i Wołyńskie (każde poniżej 1 tys.). Na 10.000 mieszkańców przypada przeciętnie w Polsce 13·8 wychowanków; w poszczególnych częściach kraju cyfra ta ulega jednak znacznym wahaniom, od 56·4 w Warszawie do 4·6 w wojew. Wołyńskiem.

Z jakich warstw rekrutuje się ta młodzież? — W $^2/_3$ są to mieszkańcy miast, dzieci robotników przemysłowych i rolnych; dzieci repatrjowanych, które po r. 1920 stanowiły wysoki kontyngent, dziś już została tylko znikoma ilość. Ogół wychowanków to przeważnie sieroty (w schroniskach i bursach 28%) i półsieroty (tamże 47%); tylko w zakładach specjalnych znaczniejsza liczba dzieci, bo 40%, miało rodziców. Swoiste stosunki panują w żłóbkach, gdzie 77% dzieci jest nieślubnych.

Co do wieku wychowanków, zastajemy tu pstrą mieszaninę w poszczególnych zakładach. I tak w żłóbkach obok właściwych niemowląt (41%) i dzieci od 1—3 lat (39%), mamy 20% dzieci w wieku od 3—7 lat. W schroniskach zaś i bursach znajdujemy 3% dzieci do 3 lat życia, 43% od 7—14 lat, młodzieży zaś od 18 lat i wyżej mamy 13%. Pod względem wyznania,

[1]) O 15 zakładach i 482 wychowankach brak danych.

jak widać z załączonego poniżej zestawienia, znacznie przeważająca część wychowanków jest rzymsko-katolików:

wyznanie	wychowanków
rzymsko-katolickie	79%
mojżeszowe	12 „
grecko-katolickie	4 „
ewangelickie	2 „
prawosławne	2 „

Cała ta masa, poza najmniejszymi lub pracującymi już zawodowo, kształci się i przygotowuje do zawodu:

rodzaj nauczania	wychowanków
szkoły powszechne	45%
„ zawodowe	11 „
„ średnie	11 „
warsztaty rzemieślnicze	7 „
przedszkola	9 „

Praktyczny wynik przygotowania zawodowego można poczęści ocenić stąd, że z pośród wychowanków, którzy w r. 1926 opuścili schroniska i bursy, 1.526 rozpoczęło pracę samodzielną. Nawiasem dodać tu można, że już podczas pobytu w zakładzie niektórzy wychowankowie (5% ogółu) pracowali zarobkowo; największy ich odsetek znajduje się w wojew. Krakowskiem, zwłaszcza w zakładach ks. Siemaszki i ks. Lubomirskiego w Krakowie.

Jakże przedstawiają się wewnętrzne warunki życiowe w zakładach?

Kwestja budynków pozostawia niejedno do życzenia. Z pośród 742 zakładów, które podały sprawozdania w tej mierze, tylko 36% posiada gmachy, umyślnie w tym celu stawiane i stąd odpowiadające całkowicie wymaganiom; pozostałe zakłady mają budynki tylko jako tako dostosowane do swych potrzeb, a 35% z pośród nich mieści się w domach wydzierżawionych. Tem zapewne tłumaczyć trzeba m. i. braki urządzeń kąpielowych dla wychowanków. Jeśli w 28 zakładach dla starszej młodzieży daje się sposobność do niej nawet częściej niż raz na tydzień, to w 145 zakładach niema ani wanien ani natrysków.[1]) Także niektóre żłóbki nie są dostatecznie wyposażone w tym względzie; w 8-u z nich kąpie się dzieci 2 razy na tydzień, a w 3 tylko raz na tydzień.

Sprawa wyżywienia przedstawia się wcale dobrze. W większości zakładów wychowankowie otrzymują posiłek 4—5 razy dziennie, ani jeden zakład nie daje go mniej niż 3 razy dziennie. Że mięso nie jest podawane codziennie, można uważać raczej za rzecz dodatnią; w przeważnej części zakładów (60%) daje się je 2—4 razy na tydzień.

[1]) Cyfry powyższej nie można jednak brać literalnie, ponieważ równocześnie sprawozdanie mówi, że tylko wychowankowie 54 zakładów nie otrzymują wcale kąpieli. Najwidoczniej pozostałe 91 zakładów korzysta z innych urządzeń w celu dostarczenia wychowankom kąpieli.

Pozostaje jeszcze sprawa rozrywek i fizycznego wychowania. Z wyjątkiem kilkudziesięciu zakładów, wszystkie posiadają bibljoteki i czasopisma, a 35% instytucyj posiada też radjo. Większość zakładów uprawia sporty i prowadzi gimnastykę, niezależnie od szkolnej. Szkoda tylko, że ani połowa ogólnej liczby zakładów nie posiada osobnych wielkich sal rekreacyjnych, a nie wszystkie mają również ogrody i place do zabaw. Z pośród 552 schronisk i burs, które udzieliły odpowiedzi w tej mierze, 29% nie posiada ani ogrodu ani boiska, 32% ma tylko ogród, 16% tylko boisko, a 24% posiada i ogród i boisko. Podkreślić wreszcie należy, że w r. 1931/2 przeszło połowa (56%) wychowanków wyjeżdżała z zakładów na wywczasy letnie, co stanowi znaczny odsetek wobec tego, że pewna część zakładów znajduje się stale na wsi.

Na koniec naszego sprawozdania pozostały dwa jeszcze podstawowe czynniki, które podtrzymują całe to bujne życie zakładowe kilkudziesięciotysięcznej armji młodzieży. Pierwszym z nich jest personel wychowawczy, którego poziom nie doszedł narazie do normy, wymaganej ustawą. W zakładach specjalnych z pośród 37 kierowników miało 26 wykształcenie fachowe, a 9 niższe niż średnie; z pozostałych 92 wychowawców posiadało 44 przygotowanie fachowe, a 65 niższe od średniego. W żłóbkach na 37 kierowników, miało 22 fachowe kwalifikacje. Najsłabiej przedstawia się sprawa w schroniskach i bursach, gdzie na 586 kierowników tylko 242 miało szkołę średnią, a 232 nie posiadało wcale wykształcenia fachowego.

Drugi czynnik, szczególnie doniosły i tłumaczący przeważną część wspomnianych dotychczas niedomagań, to finanse. Sprawozdanie ogranicza się niestety tylko do wyliczenia pewnych źródeł dochodów i ogólnego obrazu pokrycia wydatków. Poniżej zamieszczona tablica daje w tej mierze pewien pogląd, jakkolwiek niezupełny, ponieważ pewna ilość zakładów nie nadesłała potrzebnych sprawozdań:

zakłady	ogólny koszt utrzymania (zł.)	subwencje (złotych)	
		samorządy	Skarb Państwa
żłóbki (42 na 2.778 miejsc)	3,644.000	3,178.000	48.000
schroniska i bursy (622 na 33.523 miejsc)	22,208.000	7,534.000	1,976.000
zakłady specjalne (41 na 2.875 miejsc)	3,234.000	1,168.000	348.000
razem	29,086.000	11,884.000	2,372.000

Jak widać z powyższego zestawienia, wymienione subwencje nie stanowiły łącznie nawet połowy dochodów zakładów. Z czego pokrywano całość wydatków utrzymania zakładów, objaśnia do pewnego stopnia poniżej załączona tablica, wykazująca, na czyich barkach spoczywało utrzymanie ogółu wychowanków. Wynika z niej, że utrzymanie:

44%	ogółu	wychowanków	opłacały	samorządy
30 „	„	„	„	organizacje społeczne, zgromadzenia zakonne, związki wyznaniowe, fundacje
19 „	„	„	„	osoby prywatne
7 „	„	„	„	Skarb Państwa

Tak przedstawia się całokształt zamkniętej opieki zakładowej nad dziećmi i młodzieżą opuszczoną w dniu 31 marca 1932 r. A teraz parę refleksyj.

Powyższe dane sprawozdawcze są cenne; pozwalają ogarnąć całokształt opieki zamkniętej nad młodzieżą, jej rozmiary, stan i potrzeby. Odsłaniają one wszakże jedną tylko stronę rzeczywistości i dlatego nastrajają zazwyczaj czytelnika w kierunku stawiania wymagań. Druga strona obrazu, jaką jest szara, mozolna praca kierowników i wychowawców zakładowych, pozostaje przed nim zakryta; tylko ten, kto przebywa razem z nimi, lub przynajmniej ma sposobność częstszego zetknięcia się, wie, ile trudu i poświęcenia wkładają ci ludzie, pomimo niedoceniania, owszem trudności, jakie im się nieraz robi.

Nie będziemy tu powtarzali uwag, jakie poczyniliśmy już niejednokrotnie dawniej, pisząc o opiece zakładowej. Jako moment, który mógłby się stać punktem wyjścia do pewnych zbawiennych reform, chcielibyśmy tu podnieść potrzebę u n o r m o w a n i a z a s a d n i c z e g o n a s t a w i e n i a w s z e l k i c h w ł a d z d o z a k ł a d ó w o p i e k u ń c z y c h i p r a c u j ą c y c h w n i c h o s ó b. Ci ludzie mają pracę ciężką, mało wdzięczną, oddają się jej zazwyczaj z poświęcenia i nie robią chyba na niej majątku, gdyż uposażenie ogółu prawie zakładów jest więcej niż skromne. Należy się im więc wdzięczność społeczeństwa, a wyrazicielami tego uznania powinny być władze.

Tymczasem konkretnie rzecz przybiera czasem zupełnie odwrotny wygląd. Odnosi się wrażenie, że to władze robią łaskę zakładom, pozwalając im opiekować się sierotami; stawia się takie wymagania, a przy kontroli traktuje niekiedy kierowników i wychowawców w ten sposób, jakby to byli winowajcy, którzy nie umieją ocenić tej łaski. Wiemy doskonale, że Ministerstwo Opieki Społecznej, a w szczególności Wydział Opieki nad dziećmi i młodzieżą, odznaczały się zawsze wielką troskliwością o ten dział pracy; wiemy również, że podległe im organa, oraz urzędy Opieki

Społ. różnych miast odnoszą się zazwyczaj bardzo życzliwie do zakładów i ich kierowników. Ale nie brak i wyjątków, przykrych nieraz bardzo, dochodzących do niepedagogicznego wypytywania się wychowanków, oraz nietaktownego, głośnego upominania wychowawców w obecności wychowanków. Należałoby skutecznie temu zapobiec.

Lecz i same centralne władze mogłyby wiele zrobić dla ulżenia doli kierownikom zakładów opiekuńczych, przez obcięcie wygórowanej biurokracji i zbytecznych statystyk. Pokazywano mi po zakładach księgi i olbrzymie pokratkowane arkusze; ileż to obliczeń trzeba i pisania, żeby wyjąć z magazynu choćby kilogram mąki! I po co to wszystko, kiedy ten sam cel, ewidencji całego składu, osiąga się gdzieindziej na jednym arkuszu? A jeśli chodzi o statystyki, wystarczy, że odeślemy czytelnika do kwestjonarjusza, na którym opiera się zamieszczone powyżej sprawozdanie. Wystarczyłoby do niego 3—4 stron, a tymczasem kwestjonarjusz ów obejmował 18(!) stron. Jakież to niesłychane obciążenie (obok innych podobnych) nieszczęśliwych kierowników zakładowych i to bez potrzeby, bo tych drobiazgów nikt nie opracuje, a gdyby nawet po dłuższym czasie tego dokonał, to jakiż pożytek z tego ma nauka czy praktyka?

Praktyka zwłaszcza — bo o tę na pierwszym miejscu chodzi. Być może, że gdzieindziej, gdzie zakłady i młodzież ich jest nieliczna, a zasoby wielkie, statystyki takie będą na miejscu. Lecz u nas, gdzie wszystko przedstawia się odwrotnie, byłoby raczej wskazanem, liczyć się z realnemi warunkami — biedą, przepełnieniem, obciążeniem — i wobec tego ułatwiać, a nie utrudniać jeszcze pracę kierownikom zakładów.

To realne ustosunkowanie się do rzeczywistości powinno też dyktować skalę wymagań po zakładach. Winna być jakaś proporcja między wymaganiami dla kilkudziesięciu tysięcy dzieci zakładowych, a kilku- lub co najmniej paruset tysięcy dzieci rodziców uboższych, ze sfer robotniczych i wiejskich przebywających tak często w najgorszych warunkach życiowych. Bezwątpienia pragniemy, by sierotom działo się jaknajlepiej, ale ta sama sprawiedliwość każe życzyć dobrze również tym drugim dzieciom, których los jest często daleko bardziej pożałowania godnym, niż los wychowanków najgorzej sytuowanego zakładu opiekuńczego. Troskliwość i miłość powinny być rozumne, ogarniać wszystkich, a nie uszczuplać jednym, żeby hojnie obsypywać drugich!

Ks. St. Podoleński T. J.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN ROSIWOROWSKI T. J.*

Druk ukończono dnia 29 sierpnia 1934.

Spis rzeczy tomu 203.

Artykuły.

Str.

Ks. B. Bojułka T. J.: Wszystko na większą chwałę Boga . 3
Prof. Dr. T. Brzeski: Ziemia i rasa w Trzeciej Rzeszy . . 16
Ks. M. Morawski T. J.: Czego Dante nie przejął z apokaliptyki średniowiecznej? 29
Ks. T. Karyłowski T. J.: Wizja św. Pawła 40
Dr. K. Krotoski: Spowiedź publiczna Kanclerza Niemiec . 46
O. Forst-Battaglia: Współczesna literatura francuska 66, 263
Ks. L. Frąś C. SS. R.: Obrona Zbaraża według „Ogniem i Mieczem" w świetle prawdy historycznej 85
M. Campbell: Małżeństwo księcia de Talleyrand 122
F. Rapf: Materja i promieniowanie 132
Dr. M. Kacprzak: Problem gruźlicy 209
W. Folkierski: Niecierpliwiec boski 242
J. Birkenmajer: Czy św. Wojciech napisał Bogurodzicę? . 250
Dr. I. Maciera: Józef Škultéty 284

Przegląd piśmiennictwa.

Otto Karrer: Das Religiöse in der Menschheit und das Christentum (Ks. M. Morawski T. J.) 149
Gerhard Kleeberg: Die polnische Gegenreformation in Livland. — Tiersch Kurt: Deutsches Bildungswesen in Riga des XVII Jahrhunderts. — Lehtonen Aleksi: Die livländische Kirchenordnung des Johannes Gezelius. — Poschmann Adolf: Das Jesuitenkolleg in Rössel (Ks. S. Bednarski T. J.) 151
Zbigniew Krasnowski: Światowa Polityka Żydowska (A. Romer) 153
Die Pädagogik der Gegenwart in den grossen Kulturländern (Ks. K. Werbel) 156
Hyacinth Hermans: Acht wintersche dagen in Polenland (W. Wolert) 159

Str.

Prof. Dr. Jan Dembowski: W poszukiwaniu istoty życia (Ks. P. Dzieduszycki T. J.) 161

Józef Löbel: Świat medycyny, wczoraj, dziś, jutro. Przekład Rafała Makara (Ks. E. Kosibowicz T. J.) 162

Rabinin Jan: Materjały do lubelskiego słownika aktowego (Z. Ciechanowska) 164

Nauka Polska. Jej potrzeby, organizacja i rozwój. Tom XVIII. (Ks. S. Bednarski T. J.) 165

Ks. Dr. Paweł Nowicki: Wydłużenie przedakcentowe w języku hebrajskim (Ks. S. Styś T. J.) 166

Dr. E. Klamroth: Mutter und Tochter (Ks. S. Podoleński T. J.) 168

R. P. Tonna-Barthet: Les Évangiles-commentés d'après les exégètes anciens et modernes (M. Rode) 169

Paul Bayard: L'action liturgique (Ks. T. Chabrowski T. J.) 170

Hipolit Gliwic: Podstawy Ekonomiki Światowej. Materjał Ludzki w Gospodarce Światowej (A. Romer) 171

Władysław Sikorski: Przyszła Wojna (A. Römer) 176

Schulze Friedrich u. Ssymank Paul: Das deutsche Studententum von den ältesten Zeiten bis zur Gegenwart (Ks. S. Bednarski T. J.) 179

Hermann Muckermann: Gestaltung der Lebenslage. XVI Aufl. (Ks. S. Podoleński T. J.) 180

Ks. Franc. Rutkowski: Arcybiskup Jan Cieplak (Ks. J. Urban) 181

Kornel Makuszyński: Śpiewający djabeł (Z. K. C.) 182

Michalina Grodzicka: Jenerałowa Zamoyska (M. R.) 183

Notatki bibljograficzne: Cyprjan Norwid: Miłość czysta u kąpieli morskich. — Jerzy Braun: Epitaphium. — Leopold Lewin: Sen zimowy. — Henryka Łazowertówna: Imiona świata. — D. W. Mut: Święta Teresa od Dzieciątka Jezus. Tłum. i uzup. ks. Stan. Szpetnar. — Inż. Miecz. Pluciński: Budowa kajaków. — Jan Marski: Noc poślubna. — Świat i życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. T. II, zesz. 4—6. 183

Baron Beyens, Ancien Ambassadeur de Belgique: Quatre ans à Rome, 1921—1926. Fin du Pontificat de Benoit XV. Pie XI. Le début du fascisme (Janusz Pajewski) 297

Jan Hulewicz: Udział Galicji w walce o szkołę polską 1899—1914 (Ks. S. Bednarski T. J.) 300

Stanisław Ossowski: U podstaw estetyki (T. Grabowski) . 302

Sergjusz Hessen i Mikołaj Hans: Pedagogika i szkolnictwo w Rosji Sowieckiej. Przełożył Dr. Adam Zieleńczyk (W. Arcimowicz 303

Zygmunt Leśnodorski: Lucjan w Polsce (Dr. Z. K. Ciechanowska) 305

Prof. Dr. St. Szuman, Dr. J. Pieter, Ks. H. Weryński: Psychologja światopoglądu młodzieży. Idealizm. Filozofja. Religja (Ks. S. Bednarski. T. J.) 307

Str.

Paul Ladewig: Politik der Bücherei. Eine Grundlegung ihrer Aufgaben im Kulturleben der Gegenwart zugleich ein Handbuch für den Fachunterricht (Dr. Zofja K. Ciechanowska). 308

Dawne wiersze ruskie. Przełożył Tadeusz Łopalewski (Wł. Arcimowicz) 310

Abbé P. Tiberghien: La science mène-t-elle à Dieu? Introduction scientifique à la question religieuse (Ks. Józef Chechelski T. J.) 311

Cyprjana Norwida. Reszta wierszy odszukanych po dziś a dotąd niedrukowanych. Zebrał i wydał Zenon Przesmycki (Miriam) (Z. K. Ciechanowska) 314

Konstanty Troczyński: Zagadnienie dynamiki poezji (T. Grabowski) 315

Wincenty Jan Ostrowski: Wyobraźnia ejdetyczna Stanisława Wyspiańskiego (Ks. Józef Chechelski T. J.) 317

Joannes Krzemieniecki: Bernardinus Gallelus de Jadra, Vic. et off. Gen. Cracoviensis 1509—1517 (Ks. J. Rostworowski T. J.) 318

Rocznik Gdański: Organ Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku. Tom VI, rok 1932 (Ks. J. Poplatek T. J.) 319

Encyklika Papieża Leona XIII „Providentissimus Deus" o studjach biblijnych 1893—1933. Przedmowę napisał Ks. J. Archutowski, prof. U. J. — Ks. Piotr Stach: Kwestja biblijna w świetle encykliki „Providentissimus Deus" (Ks. W. Prokulski T. J.) 320

Stanisław Wałęga: Dzieje polityczne Torunia u schyłku Rzeczypospolitej (1724—1793) (Ks. Jan Poplatek T. J.) 321

Prace Komisji Historji Sztuki (Ks. S. Bednarski T. J.) . 322

S. J. Imber: Pieśń i dusza Oskara Wilde'a (Z. K. C.) 323

A. Auffray: Św. Jan Bosko (S. P.) 325

M. J. Jeleńska: Szatan zwyciężony (J.) 326

Z literatury powieściowej: Józef Roth: Marsz Radetzky'ego. — Kpt. Mieczysław B. Lepecki: Sybir bez przekleństw. — Jerzy Kossowski: Rodzina Smuszków. — Ewa Szelburg-Zarembina: Krzyże z papieru. — Jerzy Mieczysław Rytard: Dalekie spojrzenie. (Zofja Starowieyska-Morstinowa) 326

Z francuskiej literatury powieściowej: Marcel Arland: l'Ordre. — J. Malègue: Augustin ou le moître est là. — Drieu La Rochelle: La comédie de Charleroi (Zofja Starowieyska-Morstinowa) 333

Z literatury rosyjskiej: Michał Szołochow: Cichy Don. — Aleksy Tołstoj: Piotr Pierwszy. — Iwan Nażywin: Lilje Antinoosa. — W. Katajew: Naprzód, czasie! — Iwan Bunin: Wieś. (Teodor Parnicki.) 339

Notatki bibljograficzne: Stanisław Pigoń: Sąd nad Polską w „Panu Tadeuszu". — Edward Ciborowski: Parę uwag o jedwabiu ze stanowiska gospodarczego. — Z. Łotocki: Łucznictwo. — Jerzy Podoski: Strzelanie. — Dr. Johannes Babtist Sägmüller: Lehrbuch des katholischen Kirchenrechts. — Ludwik Łakomy: Obrazki z powstań

Str.

Górnośląskich. — Siedem Opowieści. — Piotr Wiśniewski: O Polakach Zagranicą. — Bolesław i Józef Adamowicze: Przez Atlantyk. — Jędrzej Giertych: Za północnym kordonem. — Abbé Rémy: Voyage dans les merveiles de l'espace. — C. d'Eschevannes: Pasteur. Sa vie, sa foi, son oevre. — Dom de Monléon. Bénédictain: Le Christ-Roi. — Vicomte Le Gouvello: Armelle Nicolas, dite la Bone Armelle 352

Nadesłane 186, 356

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Lipiec-sierpień: Pomiędzy liberalnem a „totalnem" państwem. — Problem dzisiejszego młodego pokolenia. — Nauka religji a obecne potrzeby katolicyzmu w Polsce (Ks. J. Rostworowski T. J.) 187

Wrzesień: Wielka żałoba Austrji i Kościoła. — Prześladowanie religijne w Niemczech. — Niegodna napaść na misje katolickie (Ks. J. Rostworowski T. J.) 358

Kościoły drewniane w Siedmiogrodzie w pracach prof. Petranu (Dr. W. Tomkiewicz) 199

Z IV zjazdu orjentalistów polskich (Ks. F. Tokarz T. J.) . . 202

Zakłady opiekuńcze dla dzieci i młodzieży w Polsce (Ks. S. Podoleński T. J.) 373